

TEODOR
PARNICKI
SREBRNE
ORŁY



NOIR SUR BLANC

TEODOR PARNICKI

SREBRNE
ORŁY

Wprowadzenie
Andrzej Nowak

NOIR SUR BLANC

Wprowadzenie: Prof. dr hab. ANDRZEJ NOWAK
Korekta: BEATA WYRZYKOWSKA, JAN JAROSZUK
Projekt okładki: WITOLD SIEMASZKIEWICZ
Skład i łamanie: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Copyright © by Oficyna Literacka Noir sur Blanc, 2016

ISBN 978-83-7392-609-7

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.
ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa
e-mail: nsb@wl.net.pl
księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

1

Nagły przyjazd Ryczezy zaskoczył i zaniepokoił Arona. Z żalem odłożył rękopis „Pocieszenia filozofii”, książkę, z którą nie rozstawał się nigdy, nawet wówczas gdy jeździł do Kordoby. Zawołał kilku braci i kazał im iść naprzód z łopatami; wdział ciężki kozuch i futrzane buty; przed furta przeżegnał najpierw siebie, potem klasztor, wreszcie bielejącą w dole, skutą lodem rzekę i ostrożnie począł schodzić ku z dala widnym wielkim saniom, którymi Ryczeza przyjechała po lodzie z Krakowa. Im dalej schodził, im lepiej widział jej twarz, tym większy ogarniał go niepokój.

W mroźne słoneczne południe nietrudno było dostrzec już z odległości dobrych kilku kroków, że Ryczeza ma oczy pełne łez.

— Ojciec nie wyprawił się do Rzymu! — zawołała pełnym urazy i nawet bólu głosem, wychodząc z sań i wyciągając rękę, by oprzeć się o dłoń Arona. — Nie wyprawił się i nie wyprawi. Poppo powiada, że to już ostateczne postanowienie. A król Henryk, pomyśl, jeszcze w dzień Narodzenia Pańskiego był już w Pawii.

Aron drgnął. Więc znowu wojna? Na pewno znowu! Niech tylko Henryk wróci z Italii. I doprawdy nie można mu się dziwić: trudno o jaskrawsze pogwałcenie układu przyjaźni zawartego w Merseburgu minionym latem!... Poprzez futro kozucha Aron odczuł ostre, dotkliwe zimno. Skurczył się i zmałał od razu. Wojna!

Gdy w myśli zaczynało mu trzepotać to słowo, kojarzył z nim natychmiast nie wrzawę bitewną, nie przekrzywione wściekłością czy bólem twarze, nie pola usiane kostniejącymi trupami... Nie, przyprawiały go w okamgnieniu o nagły dreszcz, więcej: o mdłości — posłusznie pojawiające się. natrętnie cisnące się obrazy tłumów kijami i batami pędzonych z płonących nadłabskich klasztorów i grodów na wschód. Nigdy nie mógł opanować szczykania zębów, gdy pragnąc usprawnieniem roboty myślowej pokonać rozbijała wyobraźnię starał się rozsądnie, trzeźwo, zimno odpowiadać sobie na stale powracające pytanie: jaki właściwie cel przyświeca władcy Polski, gdy zarządza owe masowe przesiedlanie? Czyżby było to tylko upajanie się

cierpieniem nieprzyjaciół? Czy raczej chłodny obrachunek, że w połączeniach kraju, na które się uderza lub których się broni, nie powinno się pozostawiać na miejscach żywiołu wrogiego czy choćby tylko niepewnego? I czy te rzesze ludzkie pędzi się świadomie na zagładę? Czy też troskliwe oko gospodarza zawczasu cieszy się, że przy karczunku borów i okopywaniu grodów tyle nowych, świeżych pojawi się niewolnych rąk?

Nie obawa jednak przed nową wojną najistotniejszy stanowiła powód nagłego niepokoju Arona. A tym mniej Ryczezy. W świetle zimowego słońca patrzyli na siebie wzrokiem pełnym wzajemnego zrozumienia i wspólnego zawodu.

Nie wyprawił się Bolesław do Rzymu! Nie okazał się godny nadziei, jakie w nim pokładali przyjaciele, czciciele i dziedzice krwi, ducha i dumnych marzeń największego cudu świata, Imperatora Ottona Trzeciego.

„Zaiste — myślał z goryczą Aron — nie można, okazuje się, nie przyznać słuszności słowom jadowitym opata Ryszarda, który nie nazywa księcia polskiego inaczej jak nie-ociosanym prostakiem, ciemnym barbarzyńcą”. Wprawdzie Aron zawsze odmawiał opatowi Ryszardowi prawa do wydawania sądów o ludziach, których się nie widziało, z którymi się nie mówiło, ale przecież oto niewątpliwy dowód, że Pismo święte prawdziwie rzekło: „Błogosławieni, którzy nie widzieli a uwierzyli!” — Bo istotnie: czyż kiedykolwiek powtórzy się podobna okazja? Aron uczuł przyływ rozpacz: jakże to? W imię czego więc właściwie przeniósł się on do tego dzikiego, smętnego, straszego kraju, między te tępe dusze i tępe twarze wczorajszych pogan? W imię czego zatrzasnął za sobą drzwi do skarbnicy nauki i do świątyni własnej sławy pisarskiej?

Kiedyś w Rzymie, w dniu wznowienia świąt Romulusa, zobaczył, jak prowadzono w orszaku cesarskim konia bez jeźdźca, przed koniem niesiono srebrne orły. tak jak przed konno jadącym ku Kapitolowi Imperatorem niesiono orły złote: tak czcił Rzym nieobecnego Patrycjusza Imperium, co w swym dalekim księstwie słowiańskim tyle miał pracy z nasadzaniem świętej wiary, że nie mógł

towarzyszyć Imperatorowi, który go patrycjatem obdarzył. Obiecywał przybyć później. Czy przybył? Czy Rzym zobaczył kiedykolwiek srebrne orły przed koniem dźwigającym nareszcie na swym grzbiecie potężnego Patrycjusza?! A jak go proszono, jak błagano. Aż oto nadeszła chwila, gdy z dawna oczekiwany wjazd został nareszcie postanowiony: Henryk, król Niemców i król Longobardów, wyruszył do Rzymu, by z rąk namiestnika Piotrowego wziąć na swe skronie diadem cesarski. Z trzystu najświetniejszymi wojownikami miał mu towarzyszyć Bolesław Polak. Rycheza upajała się obrazami tego, co ma się stać w Rzymie: nie wątpiła, że Bolesław zażąda od Henryka potwierdzenia nadanej mu przez Ottona godności Patrycjusza: była też pewna, że za przykładem zawartych niedawno w Akwizgranie umów, ustalających dziedziczość godności książęcych i hrabiowskich w królestwie niemieckim, Patrycjusz zażąda od Imperatora dziedziczości dla srebrnych orłów w rodzie Bolesławowym. Wówczas Patrycjuszem, pierwszym po Imperatorze dostojnikiem w świecie chrześcijańskim, będzie po ojcu Mieszko Lambert, a potem, potem jej, Rychezy; i Mieszka Lamberta syn. Aron pamiętał, jak w Kolonii, w zakrystii kościoła Świętego Pantelejmona, zbity nieco z tropu uwagami zjadliwymi opata Ryszarda, ojciec Rychezy, Herrenfryd, mruknął, że dla wnuczki Ottona Drugiego i pani Bazylissy Teofanii może istotnie syn nieokrzesanego prostaka, władcy słowiańskich barbarzyńców, to żaden zaszczyt, może nawet wstyd... Oto owdowiał król Franków Zachodnich, czemu by nie spróbować za niego wyswatać Rychezy? Krzyknęła wówczas, że wszyscy oni są głupcami i ojciec też, bo czymże jest król francuski wobec Patrycjusza Rzymskiego, najdostojniejszej po cesarzu osoby w świecie chrześcijańskim?!

Gdy w Merseburgu klęknął książę Bolesław przed królem Henrykiem i włożył swoje dłonie w jego ręce, biskup Dytmar, uśmiechając się złośliwie pod zniekształconym nosem, mruknął, że — wedle starego przysłowia — kto przychodzi późno, temu zawsze zostają już tylko kości. Że gdyby Bolesław, zamiast robienia dumnych, obrażonych min, przed dziesięciu jeszcze laty zechciał być włożyć

swoje ręce królewskie, tak jak to czyni teraz, byłby dostał wówczas z tych świętych rąk nie tylko Łużyce, ale i Czechy. Rychezie i Aronowi niemiłe było przyglądanie się owej ceremonii. Aron nawet pomyślał z melancholią, że chyba zupełnie się nie wyznaje w istocie wojny. Bo oto nie rozumie, jakże się to dzieje, że przecież wojna dlatego się zaczęła, ponieważ Bolesław nie chciał nic brać z rąk Henryków, trwała sporo lat, Bolesław podobno wciąż zwyciężał, i oto wojna się skończyła, a Bolesław klęczy przed Henrykiem i z rąk jego pokornie bierze ziemie, na których stoją zwycięskie jego drużyny...

Ale i Rycheza, i Aron pocieszali się, że to nie z rąk króla niemieckiego księżę słowiański — z Imperatora rąk rzymskiego Patrycjusz rzymski lenno bierze. Że po to klęka teraz Bolesław, by za dwa czy trzy miesiące klęknął przed nim jako przed namiestnikiem majestatu cesarskiego, Rzym.

I oto nie klęknie Rzym. Nie klęknie, bo Bolesławowi odechciało się wyprawy do Wiecznego Miasta. Dlaczego? Ciemny barbarzyńca, nieokrzesany prostak, nie rozumiejący tego, co dla niego najważniejsze? Czy też złośliwiec cieszący się, że ma możliwość nieoczekiwanie taki zawód sprawić temu, przed kim musiał zgiąć kolano?!

Aron nawet nie usiłował pocieszać Rychazy. Ostatecznie przyjechał do tego kraju na jej żądanie. Uwierzył jej, że właśnie tu — nie gdzie indziej — płonie jeszcze, jak mówiła, ogień wiary i potęgi, z którego aniołowie wykuwają rubiny na diadem, prawdziwie cesarski diadem, godny, by zdobić czoło tych, którzy urzeczywistnią wszystkie najśmielsze nawet marzenia Ottonowe o wszechświatowym Imperium. Były inne jeszcze powody, które skłoniły Arona, by przystał na rozstanie się ze szkołami klasztornymi nad Mozela. Ale Aron o nich nie lubił mówić z nikim, nawet z Rychezą. Przecież i te powody wiązały się z marzeniami o wyprawie Bolesława do Rzymu. Więc zawód i tak, i owak. I Aronowi aż płakać chciało się na myśl, że gdyby nie te i tamte marzenia z osobą Bolesława związane — marzenia, do których urzeczywistnienia Bolesławowi, okazuje się, wcale nie spieszo, bo do nich najwidoczniej nie dorósł — gdyby nie to, to by

dziś on, Aron, mógł stać na czele szkoły retoryki i gramatyki, i filozofii, szkoły górującej nad tak przesadnie wychwalaną powszechnie szkołą Fulberta w Chartres.

Rycheza tym razem żadnego zainteresowania nie okazała dla rozrostu klasztoru, który przecież sama ufundowała. Nagliła Arona, by zaraz zbierał się do drogi. Weźmie go do Krakowa. Po drodze namyśla się, jak zaradzić temu, co się stało. Ba, trzeba nie tylko zaradzić — przede wszystkim należy dowiedzieć się, dlaczego tak się stało.

— Myślałam, że jeżeli ojciec uparł się, to może Mieszka przynajmniej do Rzymu pośle. Bylibyśmy z nim ruszyli: ja, ty i Tymoteusz, może także Antoni. Ale Mieszkowi kazał ojciec do Pragi jechać, do Udalryka.

Istotnie w Krakowie zastali już kilku możnych włodyków czeskich, przysłanych przez księcia Udalryka w charakterze zakładników. Nie zdradzali żadnego niepokoju ani nawet zatroskania — widocznie pewni byli przyjaznego przebiegu rozmów w Pradze. Pełni natomiast byli gorączkowego zaciekawienia: przechadzając się po długiej sieni zamczyska wawelskiego raz po raz zaglądali przez drewnianą kratę do obszernej, zawalonej barwnymi poduszkami komnaty. Na poduszkach leżał nieruchomo bogato odziany mężczyzna. Wiedzieli, że leży tak już jedenaście lat, z rzadka tylko podnosząc się, by przechadzać się bezszelestnie po miękkiej podściółce. Czasem też, jak opowiadali Czechom strażnicy zamkowi, staje przy kracie, chwytając się jej oburącz i śpiewa, śpiewa całymi godzinami, ale nie głośno i raczej przyjemnie, tak, że mu się nie przeszkadza; gdy się wyśpiewa, kładzie się i od razu zasypia. A w wielkie święta prowadzą go do stołu biskupa lub samego księcia, gdy ów do Krakowa zjeżdża. Siedzi przy stole nieruchomo — sam sobie nie kraje, nie smaruje, z dzbana ni misy nie nalewa — wszystko to dlań robi biskup lub sam pan.

Rycheza zobaczywszy Czechów przy kracie pociągnęła tam Arona — wzbraniał się tłumacząc, że spieszo mu do biskupa. W istocie zaś nie stać go było na dziecięce rozbawione zaciekawienie, z jakim wszyscy nie wyłączając Rychezy przyglądali się księciu Bolesławowi

czeskiemu, którego Bolesław polski, jako możny opiekun i sprzymierzeniec, zaprosił przed laty do siebie na poufną, przyjazną rozmowę i w czasie uczy obfitej a wystawnej dał stojącym przy drzwiach wojownikom znak, by oślepił gościa.

Czesi, którzy przybyli jako zakładnicy dla zapewnienia bezpieczeństwa Mieszkowi, uprzejmie a dwornie witali Rychezę z żywością opowiadając, jaką to wielką wdzięczność, a w wyniku jej i przyjaźń, żywi księżę Udalryk dla księcia Bolesława polskiego za oślepienie i trzymanie w zamknięciu tak niebezpiecznego dla obu wroga, jakim był jego, Udalryka, przyrodni brat, ów Bolesław Rudy.

Idąc do biskupa Aron spotkał Mieszka Lamberta. Zaczęli z sobą rozmowę po łacinie i Aron musiał przyznać, że najdostojniejszy z jego uczniów olbrzymie znów zrobił postępy. Zadał też od razu pytanie, dlaczego wedle Mieszka jego ojciec zaniechał wyprawy do Rzymu. Mąż Rychezy uśmiechem odpowiedział, że od ojca otrzymuje tylko rozkazy nigdy wyjaśnienia. Jeśli chodzi o jego, Mieszka, osobisty sąd, pan i ojciec Bolesław najprawdopodobniej musiał otrzymać jakieś ostrzegawcze wiadomości od strony wschodniej, — nie jest wykluczone, że stary Włodzimierz ruski lub któryś z jego licznych synów zamierza powtórzyć wypad sprzed dwu lat na Opola białych Chrobatów. Przecież Aron od razu zorientował się, że Mieszko nieomal tak samo zgnębiony jest postanowieniem ojca jak Rycheza. Ale starał się nie dać poznać tego po sobie, gdy mówił z właściwym sobie uroczym uśmiechem, że cieszy się, iż jedzie do Pragi, bo stamtąd bliżej do Rzymu niż z Krakowa — jak gdyby z żalem utajonym napomykał, iż oto upragniony Rzym niestety i jego też ominął.

Aron z przyjemnością wpatrywał się w subtelną, myślącą twarz Mieszka. O tym by nawet Ryszard z Verdun nie ośmielił się powiedzieć: nieociosany prostak!... Chcąc sprawić Mieszkowi przyjemność zapytał go, czy ciesząc się jako wojownik z możliwości nowych starć na wschodzie nie martwi się prawdopodobieństwem zupełnego zamknięcia dopływu ksiąg greckich, które przecież można dostawać tylko przez Kijów? Mieszko zarumienił się. poklepał

Arona po ramieniu i nazwał go sprytnym pochlebcą, bo przecież czcigodny opat wie chyba najlepiej, że on, Mieszko, ledwie sylabizuje, gdy weźmie się do greckiej książki, więc te rękopisy, które ma, wystarczą mu na długo, chyba na cały czas niejednej nawet na wschodzie wojny.

Biskup Poppo nie ruszył się nawet na przywitanie opata tynieckiego klasztoru. Tłumaczył się, że coraz bardziej traci władzę w nogach — mogło to być prawdą: chorował ostatnio często, wiele też już miał za sobą lat życia. Aron przecież wiedział, że możliwość powołania się na chorobę raduje bardzo biskupa krakowskiego. Twierdził bowiem zawsze Poppo, że dostojności kościelne w krajach wschodnich, nie tak dawno jeszcze pogańskich, powinny przypadać w udziale tylko Niemcom — i jak tylko mógł, dawał wyraz swej niechęci dla przybyszów nie z Niemiec, nazywając ich włóczykijami. Dowiedziawszy się o mianowaniu Hipolita arcybiskupem gnieźnieńskim tak był wstrząśnięty i oburzony, że dostał ataku, który go rzucił do łóżka na kilka dni.

— Znowu Włoch! — krzyczał w gorączce. — A komu Pan wręczył miecze, o które pytał w wieczerniku? Błogosławione miecze wyrabujące drogi łasce zbawienia? Zaliż nie narodowi Karolów i Ottonów?...

Na co Tymoteusz poznański wtrącił uwagę, że maluczko, a zabierze Pan miecze tym, którzy nie umieją ich używać.

— Jak to nie umieją? — rzucił się na posłaniu Poppo.

— Nie umieją lub może nie chcą — tak czy inaczej, zamiast przeciw poganom, obracają święte miecze przeciw chrześcijańskim władcom!... Waszej dostojności wiadomo zapewne, że pobożny król niemiecki, dzierżyciel mieczów na progu wieczernika błogosławionych, łączył się z pogańskimi Lutykami w obmierzłym związku godzącym w pobożnego księcia i pana naszego...

Poppo nic wówczas nie odpowiedział Tymoteuszowi, ale teraz twarz jego promieniała złośliwą radością, której nawet nie usiłował maskować. Wznosząc oczy ku niebu pełnym tajemniczości szeptem zapytał Arona, czy zechce mu asystować przy odprawieniu jutrzni

w kościele Świętego Gereona. — Przebłagalnej jutrzni — dodał z naciskiem. — Bo i jakże to? — szeptał coraz to szybciej, coraz to gniewniej, wyraźnie zapalając się i zapominając o swej chorobie. — Wkładał, przystąpiwszy do komunii najświętszej, ręce swe, niby czyste i wierne, w błogosławione, namaszczone ręce królewskie... I świętokradczo, bluźnierczo nie dochował wierności! A co by powiedział, gdyby za jego pouczającym przykładem idąc, przestali jemu samemu dochowywać wierności ci, którzy w jego, Bolesława, ręce dłonie swoje wkładali? — Ale kto jak kto, on, Poppo, jednak dochowa wierności do ostatniego tchnienia... zresztą, niedługo już na nie czekać... — Tarczą duchową osłonię tego, który sam lekkomyślnie czy świętokradczo, wyzywając piersi swe na miecze demonów nadstawia... Odprawię jutrznię przebłagalną, choć ledwie z ławy ruszyć się mogę...

Aron zapytał biskupa krakowskiego, co mniema o przyczynach, jakie skłoniły księcia Bolesława do zaniechania wyprawy rzymskiej.

Poppo nie namyślał się długo: Jasne jest, że nasz książę pan, niestety, zamiast myśleć o zgodzie między swoim panem królem a poddanymi tegoż, cieszy się tylko, gdy widzi zwadę w królestwie. On, Poppo, miłuje prawdę i nie skłamię, nie ukryje, że wie, że sądzi, iż żaden z lenników królewskich nie może poszczycić się drużyną tak świetną

1 potężną jak Bolesław. Udział więc- trzystu wybranych wojowników z tej drużyny i pod wodzą księcia samego w wyprawie rzymskiej oczywiście w ogromnym stopniu przyczyniłby się do pogłębienia pokojowych nastrojów i w hrabstwach wszystkich królestwa Italii, i w Turcji, i w Rzymie samym z okolicami. Jedność, zgoda i pokój Chrystusowy towarzyszyłyby uroczystościom koronacji namiestnika Bożego na ziemi. Imperatora rzymskiego! Ale Bolesławowi zależy właśnie na czymś wręcz przeciwnym: dobrze wie, że brak wyborowej jego drużyny przy boku pana Henryka, dziś króla, a jutro Imperatora, rozzuchwali wszystkich przeciwników królewskich, spowoduje zakłócenie jedności, zgody i pokoju Chrystusowego.

— Bracie Aronie, módlmy się gorąco za pana i księcia naszego...

niech oświeci go Duch Święty... niech go zawróci z drogi pokusy i grzechu...

Aron wyszedł od Poppona bardziej jeszcze zaniepokojony, niż przyszedł. Jeżeli biskup krakowski tak ostro sądzi swojego pana i dobroczyńcę, to jak będzie wrzało w Magdeburgu i Moguncji, Augsburgu, Ratzbonie, Merseburgu, Paderbornie! Traci się wszystkie owoce niezręcznego przymierza króla Henryka z pogańskimi Lutykami... A co jego, Arona, najwięcej bolało, to zaiste prostacza ślepotą Bolesława, który zdaje się zupełnie nie rozumie, co mu dać może bezpośrednio zbliżenie się do papieża. Oto i teraz: Benedykt Ósmy królowi Henrykowi będzie zawdzięczał umocnienie swego stanowiska w Rzymie. A mogłoby się stać inaczej. Przecież gdyby Bolesław na czele swych trzystu drużynników wkroczył do Rzymu jako straż przednia pochodu królewskiego, zapewne niewiele by trudu kosztowało wytworzenie nastrojów, że to formalnie tylko król Henryk, a w rzeczywistości księżę polski głównym sprawcą jest umocnienia stanowiska papieskiego w Mieście! Wystarczyłoby rozwinąć myśl Poppona, że oddział polski tak ważną jest częścią całego wojska cesarskiego, iż nieobecność jego natychmiast wywołałaby nowe poruszenie wśród żywiołów przeciwnych i utwierdzeniu się Benedykta, i koronacji Henryka.

Arona olśniła nawet myśl, że wchodząc do Rzymu mógłby Bolesław znaleźć się w położeniu znacznie korzystniejszym niż Henryk... W Mieście dużo jeszcze ludzi pamięta, jak to przed laty, u stóp Kapitolu, poprzedzony złotymi orłami biały stanął rumak, z którego zsiadł w biel starorzyską przybrany Imperator Otto, tuż zaś za białym stąpał gniady, bez jeźdźca, srebrnymi poprzedzony orłami... Wjazd więc Bolesława do Rzymu byłby to wjazd tryumfalny Patrycjusza dawno mianowanego i z dawna wyglądanego; król Henryk zaś dopiero wyciąga rękę po diadem cesarski. To, że go bez przeszkód włoży na swe skronie, zawdzięczać będzie nie miłości ludu rzymskiego ani nie przychylności panów longobardzkich ze Spoletu i Tusculum, tylko sile mieczów i oszczepów, jakie do Miasta wprowadzi. A że siły tej drużyna Bolesława główny stanowi rdzeń,

nietrudno byłoby chyba przekonać i lud rzymski, i papieża, i panów tuskulańskich, że to nie król Henryk przywiódł za sobą do Rzymu posłusznego lennika, ale, przeciwnie, namiestnik cesarski, władca osieroconego majestatu, wybraniec i ulubieniec przedziwnego Ottona, wprowadza na święte stopnie Romulusowe Ottonowego następcę!

A już to samo, że ów Patrycjusz nie jest ani Sasem, ani Bawarem, ani Frankiem, ani nawet Longobardem, zjednałoby mu miłość ludu rzymskiego — miłość i dumę, że oto naprawdę odradza się potęga Romy na całym okręgu ziemskim, bo oto wierne swe służby majestatowi Wiecznego Miasta niosą mocarze nie tylko Południa i Zachodu, ale też Wschodu i Północy — krain tak odległych, że ni Juliuszowi, ni Tytusowi, ni Trajanowi Najlepszemu, ni samemu Konstantynowi nie marzyło się nigdy, by aż tam sięgać miały kiedykolwiek granice Imperium...

Ale chytrą prostacką, barbarzyńską złośliwość wszystko zniweczyły. Czy nieodwołalnie? Aron uczuł nagły przypływ nadziei: gdyby tak przedstawić księciu, co "traci przez poniechanie wyprawy rzymskiej, gdyby można było oświecić go i przekonać... Oczywiście jednak należy bardzo uważać, by się księciu nie narazić, a przede wszystkim, by się w jego oczach nie ośmieszyć...

Aronem znów wstrząsnęła fala przenikliwego, kłującego zimna, gdy nagle wyobraził sobie to, co dlań było najstraszniejsze: nie Bolesława rozgniewanego, ale Bolesława drwiącego. Och, jakąż niewysłowioną zaiste mękę sprawia widok oczu chytrze przymrużonych, a równocześnie zimnych, jakby zeszkłonych, pełnych groźnego zdziwienia, zdających się mówić: Toś ty, bracie, tylko taki? Na tyle cię tylko stać?..."

Nie, zanim Aron spróbuje zabrać się do dzieła, zanim w ogóle stanie przed obliczem Bolesławowym, musi dobrze przemyśleć całą sprawę... musi dokładnie wy badać, co naprawdę skłoniło księcia do zaniechania wyprawy rzymskiej. Kto ma słuszość — Mieszko Lambert czy Poppo? Czy obaj razem? Nie, ani jedno, ani drugie wyjaśnienie nie wystarcza. Jeżeli słuszny jest sąd Poppona, to cóż: pozostaje stwierdzić, że ulubieniec i wybraniec przedziwnego Ottona

to tylko chytry, złośliwy prostak nie umiejący odnaleźć w księdze zamierzeń Bożych drogi sobie wyznaczonej! A w takim razie czyż nie powinni dziedzice nie tylko krwi, ale ducha i marzeń Ottonowych otrząsnąć ze stóp proch ziemi uparcie ugorem stojącej, a przecież tyłu, tyłu nadziejami tak obficie zasianej?

Wczytując się w siebie Aron przyznał się przed sobą otwarcie: nie, nie troska o utwierdzenie wiary w krainie polskiej, nie niepokój o zbawienie ciemnych dusz słowiańskich wprzęgły go w służbę Bolesława. Bez żalu więc pożegna i krainę tę, i owe dusze nie znalazłszy tu tego, za czym gonił marzeniem i nadzieją, a co spodziewał się tu właśnie znaleźć...

Dobrze, a Rycheza? Jej zawód chyba jeszcze boleśniejszy, położenie zaś stokroć trudniejsze. Wprawdzie i on, Aron, powinien liczyć się z tym, że Bolesław nie zechce go wypuścić ze swych włości, tak jak przed jedenastu laty nie zechciał wypuścić Benedykta. Ale zawsze więcej by jemu przyświecało nadziei wyjazdu niż Rychezie. Bo cóż stąd, że z właściwą sobie zapalczywością zacznie wołać: „Miałam poślubić syna Patrycjusza rzymskiego, nie syna prostackiego książątka, które pokornie w ręce króla Sasów i Bawarów swoje wkłada dłonie, choć dłońmi tymi tyle razy przetrzepało drużyny i saskie, i bawarskie”. Usłyszy bowiem odpowiedź: „Mieszkowi Lambertowi podałaś rękę na dozgonne współzycie, Bóg uściskowi rąk waszych a potem waszych ciał błogosławił, niechże więc nie ośmiela się człowiek rozłączać, co złączył Bóg”.

Głęboki, bolesny smutek pochylił głowę Arona, gdy nagle wyobraził sobie, że stać by się mogło, iż oto wraca do Kolonii, do Verdun, do Chartres, do Reims. Wykładów jego słuchają setki nie tylko młodziutkich uczniów, ale doświadczonych. głośnych gramatyków, retorów, filozofów, w nocnej zaś ciszy w przytulnej samotni hoduje nasiona rzadkiej, bezcennej umiejętności: greczyzny. Nasiona wydają kielki, potem listki, wreszcie owoce; nie tylko sam się uczy, ale kształci już innych; nauka grecka odradza się w szkołach burgundzkich i zachodnio-frankońskich, potem jak w sieć chwyta Lombardię, Wschodnią Frankonię, tryumfalnie wkracza do Magdeburga. Zadufani

w sobie uczniowie Sasa Otryka z rozwartymi gębami wsłuchują się z podziwem w cudną melodię heksametrów Homera, dialogów Platona, hymnów Bazylego i Grzegorza, parafraz cesarzowej Eudocji. Sława o wielkim mistrzu dociera do starych ognisk nauki greckiej; by uczcić mistrza wieńcami i napisami rytymi w marmurze — zapraszają go do Konstantynopola, do rozmiłowanej w nauce greckiej Kordoby. A potem... potem syty wiedzy i chwały ruszy, by odpocząć może na zawsze, tam gdzie nieomal zaraz po matczynych kołysankach usłyszał po raz pierwszy mowę grecką: nad wesołymi strumykami beztrosko mknącymi srebrzystą strugą ku pełnym tajemnicy jeziorom, poprzez dziewczęco świeżą zieleń zadumanych irlandzkich łąk.

Czy to mróz wyciska z oczu łzy i szczypie w nos? Nie, nie będzie ani wieńców laurowych w Kapitele konstantynopolskim, ni dziwnie zawiłych, błękitnych czy złotych napisów w arabskiej Kordobie. Ani zawstydzonych małością swej wiedzy Sasów w Magdeburgu, ni Franków w Reims. Jedyne jego uczniami będą płowowłose, szerokolice wyrostki, dla których Fajdrosem jest: „Ale zbaw nas od złego”. Nie, zapomniał, wszak ma jeszcze ucznia! Czyż dwakroć na miesiąc, a nieraz i częściej, nie zjeżdża z Krakowa, łodzią w lecie, sańmi w zimie, zawsze jednako uroczym uśmiechnięty Mieszko Lambert? Wówczas drewniany Tyniec zdaje się przeobrażać w połyskującą marmurami Romę: mnich Aron i książątka polskie nachylają się nad tymi samymi ustępami Marona. Juwenala, Terencjusza, nad którymi nachylali się papież Sylwester i Imperator Otto. Tylko że w twarzy Mieszka nie dostrzegłbyś obłądnego niemal niepokoju, jaki przerażał Sylwestra w oczach Ottona, gdy ten coraz {o rwącym się głosem skandował:

Tu ne quaesieris, scire nefas, quem mihi, quem tibi finem di dederit...

Rzadko, bardzo rzadko sięgali Mieszko i Aron do greckich ksiąg. Opat tyniecki, któremu sam Gerbert Sylwester zazdrościł znajomości greczyzny i który po grecku wiódł układy z Arabami w Kordobie, wiedział, że w jednej z baszt krakowskich siedzi czarnobrody, długowłose kijowianin, przeważnie gadający głośno sam z sobą, a co

drugi dzień wieczorami — przy obficie zastawionym jadłem i napojami stole — z Mieszkiem Lambertem. Oczywiście mąż Ryczezy nigdy ani uchem, ani okiem o Homera się nie otarł ni o Platona — ale Aron musiał przyznać, że biorąc do rąk greckie żywoty świętych bieglej może czyta Mieszko niż on sam; a już gdy spróbują mówić z sobą, o ileż bieglejsza jest mowa Mieszkowa, choć pełno w niej takich słów i zwrotów, za które nad strumykiem irlandzkim nierzadko dostałoby się porcję potężną różeg, jako za wymysł niezdamy głowy leniwej czy wręcz podszept szatański.

Blisko dziesięć miesięcy już gospodarzy Aron w Tyńcu, osiem minie niebawem, jak jeździ do niego Mieszko Lambert, by wprawiać się w boskiej nauce łaciny, a jednak dopiero teraz, dopiero w dniu owej krótkiej z Mieszkiem rozmowy o zbliżającej się nowej wojnie ze wschodu, ba, dopiero w chwili gdy opuszczał Poppona, zadał sobie opat tyniecki pytanie, które przecież powinien był postawić dawno. Zadał sobie je i osłupiał — takie to było dziwne. Mało dziwne, dziwaczne, wprost niesamowite: zarówno to, że nigdy dotąd z tego powodu się nie zdumiewał, jak też i sprawa ta sama w sobie. Aż przystanął i obu dłońmi uderzył siebie w czoło. Cóż to za przedziwna zagadka owa nauka Mieszkowa!... Na świętego Patryka, przecież to niepojęte... Skąd to poszło? Co ubrdało sobie prostackie książątka polskie, które samo ledwie „Bolesław” nagryzmolić umie pod pismami sporządzanymi przez Antoniego, Hipolita czy Poppona... Czyż jeszcze niedawno temu nie parsknął grzmiącym śmiechem, gdy mówiono przy biesiadzie o uczoności króla Henryka... Czyż nie plusnął wzgardliwie piwem z czaszy, co miało oznaczać, że tyleż, co płyn wylany, warta dlań uczoność cherlaka, który w lektyce jeno każe się nosić lub w rydwanie wozić nie mając sił, by konia dosiąść... — „Dla opata, dla biskupa dobra, chwalebna to rzecz nauka, ale dla wojownika, dla księżęcia?!” — wolał sięgając po dzban, by dolać do pustej czaszy.

I oto młody wojownik, młody książę, ulubieniec Bolesławowy, Mieszko Lambert, tak jest uczony, że równego mu nie znajdziesz wśród książąt chrześcijańskich w mowie łacińskiej modlących się —

chyba Robert, król Franków Zachodnich, Gerberta Sylwestra uczeń, ale i ów greckich ksiąg przecież czytać nie zdoła. A i wśród biskupów czy opatów królestwa niemieckiego niewielu byś znalazł górujących nad Mieszkiem uczością. Oczywiście Dytmar w Merseburgu. Majnwerk w Paderbornie, Herybert arcybiskup, może jeszcze Erkambald — i tylu... Co prawda gdy myśli się o nauce Mieszkowej, nie należy doszukiwać się uczości uporządkowanej, takiej, jaką się w dobrych klasztorach szkołach tylko nabywa — ni retoryki bowiem on nie liznął, ni logiki, a gramatyki ledwie co... Ale za to jaka wprawa i swoboda w czytaniu autorów znamienitych i nie tylko w czytaniu, ale i w rozumieniu. I jaka wielka, może większa niż u Roberta, łatwość w powtarzaniu opowieści z dziejów rzymskich... Kto go uczył? I po co uczył?

„Dla opata, dla biskupa chwalebna to rzecz...”

Aron zobaczył nagle przed sobą słaby strumyk światła, który zdawał się go wyprowadzać z mroku zagadki. Czy należy sądzić, że Bolesław przeznaczył zrazu Mieszka do kapłańskich godności?... Ale w takim razie czemu zmienił zamiar? Czemu ożenił go z Rychezą? Czemu jej nie zażądał raczej dla pierworodnego syna swego, Bezpryma? Przecież gdy przed czternastu laty, umawiał się w Gnieźnie przedziwny Otto ze świeżo mianowanym przez siebie Patrycjuszem, że synowi jego odda najstarszą swą siostrzenicę — nie było wcale mowy o tym, któremu synowi: ale raczej chyba pierworodnemu niż wtóremu...

Strumyk światła stawał się cieńszy, blakł, szarzał, aż znikł zupełnie. Jeżeli przeznaczył Bolesław Mieszka na kapłana, na opata czy nawet na biskupa, przecież to jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego kazał mu się tyle uczyć. Tyle, że przewyższył wiedzą tych wszystkich biskupów w mowie łacińskiej Ofiarę Świętą odprawiających, jacy kiedykolwiek sprawowali ów święty urząd w siedzibach na wschód od Merseburga i Magdeburga położonych!

Dalszych dociekań i domysłów Aron zaniechał. Skierował się do komnat Rychazy, by jeszcze raz z nią się naradzić, a przede wszystkim przekazać pogląd Poppona na istotę bolesnego dla nich

obojsza postanowienia Bolesławowego.

Musiał znowu mijać drzwi z drewnianą kratą. Nie mógł patrzeć, odwrócił twarz, przecież zdążyła przed jego oczyma mignąć bogata, strojna szata, srebrny łańcuch na szyi, rude włosy nad niskim czołem, a nieco niżej coś, co wydawało mu się tak straszne i obrzydliwe, że uczuł mdłości. Przy spieszył kroku. Z daleka już, poprzez wyhaftowaną srebrnymi orłami czerwoną kotarę z nadmozeńskiej wełny, doleciał go głos Ryczezy, potem niższy, cichszy głos Mieszka i znów Ryczezy, która jak gdyby spierała się o coś tonem niby urażonym, a równocześnie rozbawionym. Mówili z sobą po niemiecku. Choć podobna do języka Angłów i Saksonów brytyjskich, mowa ta zawsze sprawiała Aronowi pewne trudności. Musiał bardzo się wsłuchiwać, i to z wielkim skupieniem, by zrozumieć wszystko. Z tego, co teraz za kotarą mówiła Ryczeza, zrozumiał końcowy urywek jakiegoś dłuższego zdania:

— Głupi byłbyś, mój panie i małżonku, jeśli byś myślał, że martwiłabym się bardzo... Jednakże mylisz się: papież to tylko następca świętego Piotra, a Imperator, wieczny Augustus, to namiestnik Boga samego na ziemi... Przypomnij sobie tylko: przecież nie przez papieża, nawet nie przez świętego Piotra, ale osobiście, bezpośrednio, we śnie cudownym wręczył Zbawiciel Konstantynowi Augustowi swój znak światowładny, zwycięstwo niosący... I kto kogo, powiedz, mianował — Sylwester wuja Ottona? Nie, Otto Sylwestra...

Aronowi nieraz z uśmiechem mawiał papież Sylwester, że gdyby u niego kunszt słowa i rytm wiersza dorównywał wyobraźni, byłby największym pisarzem od czasów Marona. Istotnie wyobraźnia Arona częstokroć olśniewała i jego mistrzów, i jego samego. Olśniła go też teraz, ocierającego się łokciem o kotarę, która oddzielała go od Ryczezy. Czy olśniewając wskazała drogę ku prawdzie, rozwiązała męczącą zagadkę? Aron wierzył, że tak. Być może dlatego, że tak olśniewające było to rozwiązanie Otto... Sylwester... Czyż dowie się kiedy on, Aron, całej prawdy, o czym to mówili z sobą w Gnieźnie Otto i Bolesław? Któż był obecny przy najważniejszej, najdłuższej z rozmów, w czasie której postanowiona została nominacja na

Patrycjusza Imperium?! Dziesięcioletni Mieszko siedzący na purpurowych poduszkach u stóp Ottona i Herybert!... A czy Herybert opowie komu wszystko? Nawet swojej ulubienicy, Rychezie, na pewno nie opowiedział i nie opowie. Ale zdziwiłby się Herybert, osłupiałby, myślałby swoim zwyczajem, że z mocą szatańską ma do czynienia, gdyby tak teraz jaki anioł przeniósł na skrzydłach swych Arona do Kolonii i gdyby Aron skrzyżowawszy tryumfująco ręce na piersiach wypalił wykwinną łaciną: Czy to prawda, najczcigodniejszy ojczy metropolito, iż wymarzyło się przedziwnemu Ottonowi w czasie tajnej rozmowy gnieźnieńskiej, że może kiedyś, kiedyś... po najdłuższym życiu drogiego mistrza Sylwestra Gerberta wola Cezara Augusta wprowadzi na tron Piotrowy krew przyjaciela najdroższego, krew Bolesława... Bo i jakież to mądre, jakie subtelne dziecię ów Mieszko Lambert! Ale oczywiście dziecięciu temu tyle tych należy ogarnąć uczoności, by godne się okazało wielkiego swego poprzednika...

Kotara drgnęła, uchylona ręką Mieszka. Uśmiechnął się przyjaźnie do Arona niezmiennie uroczym uśmiechem i oddalił się. Rycheza radośnie wyciągnęła ku Aronowi ręce, ale na twarzy jej znów odmalowała się troska — jego widok tak żywo jej przypomniawszy o wspólnym ich zmartwieniu.

Prosząc, by usiadł, przyjrzała mu się bacznie i zapytała, czemu taki jest roztargniony. Omalże jej nie powiedział, że odleciało go już upojenie spowodowane tryumfami wyobraźni — opadły go znów wątpliwości... Najważniejsza z nich to: dlaczego poniechał Bolesław najśmielszego chyba z zamierzeń Ottonowych? Dlaczego ośmielony przez Przedziwnego nie sięgnął, nawet nie spróbował sięgnąć po złote klucze dla krwi swojej zaszczyconej już srebrnymi orłami? Dlaczego ożenił z Rychezą Mieszka, nie Bezpryma pierworodnego? Czy dlatego, że Mieszko jest Słowianinem? Alł któż, prócz pysznych stryjów Tymoteusza i do głupoty rozkochanego w sobie ludu rzymskiego, ośmielił się twierdzić, że namiestnikiem Piętrowym musi być dziecię Miasta? Czy papież Bruno nie był Frankiem Wschodnim, a Gerbert Sylwester Frankiem Zachodnim, Akwitańczykiem?

Olśniewający, oślepiający strumień światła znów gasł i znów ogarniała go mroki zagadek. A wraz z nimi zniechęcenie. Postarał się otrząsnąć z siebie męczące zagadnienie — widocznie udało mu się, bo Rycieżą klasnęła w dłonie, wołając, że dzięki Bogu, nareszcie nie jest już roztargniony. Zgodziła się z nim, że próba zobaczenia się i rozmowy z samym Bolesławem byłaby przedwczesna — istotnie mógłby się narazić na gniew książe, a co ważniejsze — ona też to uważała za najważniejsze — ośmieszyć się. Opinii Poppona wysłuchała w milczeniu. Musiała zrobić na niej duże wrażenie i to wrażenie przygnębiające. Aron dostrzegł to od razu. Zacisnęła pięści, ściągnęła brwi. Pomyślał, że gdyby nie był mnichem, odważyłby się powiedzieć, iż znając ją tyle lat nigdy nie widział jej tak pięknej jak teraz. Po raz pierwszy uchwycił podobieństwo między nią a Ottonem — właśnie w tych ściągniętych gniewnie brwiach, przepyszny dziedzictwie Greczynki Teofanii. To jej powiedział. Chwyliła go za rękę i zbliżyła ją do swych ust. Wiedział, że chyba nikt dotąd nie sprawił jej takiej przyjemności, jak mówiąc o tych brwiach. Ale zarazem pomyślał, czy potężny opat kluniacki, Odylon, który tak sławi korne całowanie rąk kapłańskich przez pobożne królowe; księżniczki, czułby się zbudowany odruchem Rycieży — raczej chyba nie.

Podniósł się z ławy i zaczął chodzić po komnacie. Chodząc mówił, a raczej myślał głośno. Do kogo by się zwrócić, żeby dociec istotnej przyczyny Bolesławowego postanowienia? Nie do arcybiskupa Hipolita — człowiek nowy, nic jeszcze nie wie... Jakkolwiek poznał przyczyny i uznał je za niezbyt istotne, właśnie Hipolita można by użyć jako pośrednika przy próbach nacisku na Bolesława, by zmienił postanowienie, by choć ze spóźnieniem ruszył do Rzymu, by Mieszko przynajmniej posłał.

— Nie, ja jednak nie chcę, by Mieszko jechał — przerwała nagle Rycieżą tonem stanowczym i nawet dziwnie ostrym. — Rozmyślałam się, to przecież wcale nie to samo... Ojciec musi jechać sam... Na Kapitele i na Awentynie stanąć musi Patrycjusz Imperium we własnej osobie... własnoręcznie zatknąć pierwszego srebrnego orła na wieży Teodoryka...

Uśmiechnął się do niej życzliwie, przyjaźnie, ale nieco zdziwiony.

— Chwalebna to rzecz, iż tak dbasz o patrycjat pana naszego, o chwałę srebrnych orłów... Ale mniemałem, że serce ci się do Rzymu wrywa... że pragniesz w bieli wstępować na Kapitol śladami Ottona Czerwonego i Ottona Przedziwnego... że pilno ci pomodlić się na grobie dziada... uklęknąć pobożnie w grocie Klemensa, gdzie pościł i umartwiał się wuj. Cieszyłem się na myśl, że towarzyszyłbym tobie. Pokazałbym ci organy, na których grywał papież Sylwester. I cudną białą głowę, od posągu oderwaną, o której głupcy powiadali, że nocami papież rozmawiał z nią za sprawą czarów. I zaprowadziłbym cię do kaplicy, gdzie dostąpiłem najwyższego zaszczytu, o jakim mógłbym marzyć: spowiadałem tam raz jedyny Ottona Przedziwnego...

— A któż ci powiedział, że mi się nie wrywa serce do Rzymu?... że mi nie pilno do wszystkiego, o czymś teraz mówił?... Wszędzie byś mnie zaprowadził, także i do groty skarbów zaczarowanych; znasz ją wszak najlepiej z żyjących...

— To także bzdura! — zawołał mocno podrażniony. —

Głupie gadanie ciemnych bab... żadnej groty nie było, żadnych skarbów...

— Jakże to? Poszliście w nocy we dwóch z papieżem, niosłeś latarnię i łopatę. Mnie sam Herybert opowiadał. Aron wzruszył ramionami z wyraźnym uczuciem ulgi.

— Herybert? To mąż wielkiej świętobliwości i wielkiej nauki, ale podejrzewam, że w moc czarów wierzy goręcej niż w nieśmiertelność własnej duszy... Teodorze Stefanii przyśnił się bzdurny sen, opowiadała go, inni powtarzali, przekręcali i wyszła gadka nieprzystojna o mojej z Ojcem Najświętszym wędrownice po skarby czarodziejskie...

— Pokażesz mi też komnatę, gdzie wuj Otto sypiał z Teodora Stefanią — powiedziała Rycheza opuszczając oczy. Powiedziała to owym szczególnym tonem, jakim kobiety zwykły mówić z mężczyznami o sypialniach innych kobiet.

— Pokażesz... pokażesz...

W głosie Arona zabrzmiały gorycz i wyrzut. — Jak ci pokażę? Nie pojedziesz przecież do Rzymu... Obaj nie mogą naraz opuścić Polski, pan nasz i Mieszko. Dlatego tak gryzę się tym wyjazdem małżonka twego do Czech.

Z kolei w głosie Rychezy zabrzmiała gorycz, a raczej nie gorycz, tylko rozdrażnienie z każdym słowem bogacące się o nowe tony wyniosłego zdziwienia i jakiejś zimnej złośliwości równocześnie.

— A cóż to za moce, niebieskie czy piekielne, zaszczyciły najprzewielebniejszego pana opata objawieniem, że księżna Rycheza nie może udać się do Rzymu, gdy księżę Mieszko Lambert zostaje w Polsce?

Zdziwienie Arona zdawało się nie mieć granic.

— jak to, chciałyś bez małżonka?... Na tak długo?...

Nie przymuszona? Nie w czas wyprawy wojennej? W niecały rok po zaślubinach?

— Mogłoby to się stać już nazajutrz po zaślubinach. Zresztą racz, najprzewielebniejszy opacie, przypomnieć sobie, że oto dozwól ino ci mówić z prawnuczką Imperatora Ottona Wielkiego i Pantokratora Romana. Ojcu towarzyszyć do Rzymu powinnam właśnie ja, przede wszystkim ja. Nie będzie to chyba grzechem śmiertelnym pychy, jeśli powiem, że zaiste byłby to wjazd do Rzymu tak wspaniały jak żaden inny: dziedzic mocy Ottona Przedziwnego wespół z dziedziczką krwi jego i ducha.

Aron przyjrzał się Rychezie bardzo uważnie, bardzo przenikliwie, po czym znów ją chodzić. Spodziewał się, że krzyknie na niego, iż zachowuje się zuchwale, zapominając, jakie jej się od niego należą hołdy. Ale nie rzekła nic, spokojnie więc powrócił do porzuconego biegu myśli. Do arcybiskupa Hipolita nie ma więc na razie po co się zwracać, pozostają opat Antoni i Tymoteusz. Z Antonim niechętnie by się widział. Nie przestając chodzić spojrzął na nią spod oka, oczekując pytania, dlaczego by się nie chciał widzieć z Antonim. Lecz Rycheza zdawała się być gdzieś daleko myślami. Widział ją obróconą ku niemu profilem. Aż zdumiał się, jak niezaprzeczalnie był to profil taki sam jak na gemmach, kameach i dyptychach mistrzowsko wykonanych dla

uczczenia tej czy owej bazyliissy. Za to kwitnąca różowa cera i ciemnoniebieskie oczy nic nie miały w sobie greckiego. Hoża, saksońska dziewczyna, taka jakich setki, po kostki stojąc w wodzie, piorą płócienne koszule w Łabie i Muldzie! I tylko Matylda, siostra Przedziwnego. Mieszko Lambert i służebnice wiedzą — jasne germańskie czy ciemne greckie sploty kryje pod sobą srebrem tkana siatka na niebieskiej podszewce, szczelnie okalająca kształną, choć może za dużą nieco głowę.

Aron nie lubił opata międzyrzeckiego. Antoniego. Czy zazdrościł mu przyjaźni i zaufania, jakim darzył Antoniego Bolesław? Czasami dochodził do wniosku, że jest właśnie tak. Częściej jednak sądził, że w uczuciach swych wznosi tylko twierdzą dla obrony przed wyraźną niechęcią Antoniego. Ów bowiem nie krył się z nią wcale. Czy chodziło tylko o Tyniec, .który na skałach opodal Krakowa wyrósł nagle jako opactwo zasobniejsze od Międzyrzecza i w ludzi, i w dobytek, i we włości, ufundowany staraniem Rychyzy z darów ślubnych Bolesława? Czy też raczej zazdrościł mu Antoni uczoności, podróży po świecie szerokim i życzliwości wielu mężów znakomitych, w szczególności papieża Sylwestra?

Arona razila w Antonim obrotność, która w krótkim czasie przekształciła cichego braciszka z najsurowszych pustelni podraweńskich w niezastąpionego doradcę Bolesławowego, w nie jawnego, ale wszechmocnego kierownika kapeli książęcej. Wyraził się też kiedyś opryskliwie, że widocznie odcinające się dumnie od spraw świata tego pustelnie w moczarach pod Rawenną niejednako kształcą dusze, zapewne zależnie od materiału, w jakim mądrość Boża dusze te rzeźbiła: gdy bowiem Benedykt, upraszany przez Bolesława, by podjął się poselstwa w jego sprawie do dworu papieskiego, odmówił uprzejmie, ale stanowczo, oświadczając, że przybył na ziemię polską utwierdzać w wierze pogan wczorajszych, nie zaś służyć władcom w ich sprawach światowych — Antoni przyjął zlecenie książęce bez wahania.

Było jeszcze coś, ale o tym Aron mówił tylko z Rychezą. Gdy dziwowano się w otoczeniu Bolesławowym i w Krakowie, i w

Poznaniu, i w Krośnie, i w Budziszynie, do jakich niedoścignionych wyżyn rozognił w sobie Antoni iście Chrystusową miłość bliźniego i świętą umiejętność przebaczenia, błagając księcia, by nie karał śmiercią morderców najbliższych przecież Antoniemu istot, Jana i Benedykta — Aron, przez papieża Sylwestra i przez pełne wrażeń i doświadczeń życie wprowadzony w trudną a gorzką naukę o tajnikach współżycia ludzkiego, uśmiechał się smutnie, postrzegając, ile to pożytku przyniosło opactwu międzyrzeckiemu przydzielenie ułaskawionych zabójców do najcięższej, dozgonnej pracy niewolnej przy gospodarstwie klasztornym. Napomknął zresztą kiedyś o tym w rozmowie z Antonim sam na sam.

Więc choć był przekonany, że Antoni na pewno najlepiej wie, dlaczego Bolesław poniechał wyprawy rzymskiej — nie chciał zwracać się do niego. Pojedzie raczej do Poznania, do Tymoteusza. Zaraz jutro. Przyzwyczajonemu w ciągu lat długich do łagodnych zim nadmozelkich i jeszcze łagodniejszych rzymskich, nie uśmiechała się co prawda długa, uciążliwa podróż sańmi, ale to nic, pojedzie. Rychezą przytaknęła mu radośnie. Niech tylko prędko wraca i z dobrymi wieściami. Może dowie się czegoś takiego, co pozwoli obkoczyć Bolesława błaganiami, by przecież ruszył do Rzymu. Może nie oprze się, gdy błagać poczną i ona, i Mieszko, i sam arcybiskup Hipolit, i Poppo, i Tymoteusz, i on, Aron. A może i Antoni.

— Pozdrów Tymoteusza od małżonki Mieszkowej — dodała na zakończenie. — Pamiętam go, przyjeżdżał do Kolonii i do klasztoru w Echternach, krzątał się koło przyspieszenia moich z Mieszkiem zaślubin... Urodziwy jak mało kto, nieprawdaż? Słuchaj, czy ludzie nie zmyślają powiadając, że miłował on kiedyś Teodorę Stefanię?

2

Tymoteusza znał Aron od dawna. Ładny, złotowłosy chłopak kierował dostawami win do tych klasztorów rzymskich, które nie miały własnych winnic. Co dziesięć dni zjeżdżał ze wzgórz tuskulańskich na czele okazalej procesji osłów obładowanych beczułkami i miechami. Przez lata całe nigdy się nie zdarzyło, by osły Tymoteusza wracały do Tusculum z tym samym ładunkiem, które do Miasta zniosły: nie, zamiast beczek i miechów, na grzbietach ich niezmiennie kołysały się pękate worki wypchane barwnymi suknam i białym płótnem, ostronosymi trzewikami, siodłami i uprzężą, a niekiedy i lampami z brązu lub kolorowymi szybkami. Aż kiedyś — był to dziewiąty rok papieża Jana Piętnastego — strażnicy i żebracy u bramy Świętego Sebastiana ujrzeli niezwykle widowisko: połowa osłów Tymoteusza wynosiła na sobie z Miasta te same beczki, które przyniosła. Złotowłosy chłopak gryzł sobie wargi i zaciskał pięści. Na czole miał siniaka.

Aron przez szerokie okno biblioteki w klasztorze Świętego Pawła za Murami dokładnie widział, jak Tymoteusz ów siniak oberwał.

Wychodził z przeorem głośno wykrzykując i wymachując rękoma. Wyrzucał z siebie groźby i przekleństwa, których Aron dobrze nie rozumiał zarówno ze względu na dużą odległość okna biblioteki od furtki jak też i dlatego, ponieważ mowa i Tymoteusza, i przeora o tyle jednak różniła się od łaciny książkowej, że tylko co trzecie słowo wydawało się Aronowi zrozumiałe. Łatwiej mu było rozumieć przeora, który spokojniejszy znacznie, choć też podniecony, ostrym tonem wyjaśniał, że na nic wszelkie krzyki i groźby, na nic obietnice obniżenia ceny i polepszenia gatunku win — klasztor Świętego Pawia włączył się do wspólnoty kluniackiej i zgodnie z przepisami kluniackimi brać będzie odtąd od hrabiów tuskulańskich tylko tyle wina, ile potrzeba dla nabożeństw oraz do stołu dla ojców i braci, w ściśle określonych, a bardzo ograniczonych miarkach.

Wówczas Tymoteusz zaśmiał się wyzywająco i krzyknął coś, czego Aron zupełnie nie rozumiał, a co musiało być bardzo obraźliwe

albo dla wspólnoty kluniackiej, albo dla przeora osobiście, gdyż temu twarz się nagle wykrzywiła gniewem i zbladła! Nie rzekł przecież nic i zawróciwszy na pięcie, wszedł do klasztoru. Za to olbrzymi mnich stojący przy furcie potężną pięścią niby młotem walnął Tymoteusza w czoło aż się ten zatoczył.

Co było dalej, Aron nie widział — skutki przecież zajścia nie daty na siebie długo czekać. Nazajutrz kilku braci wróciło do klasztoru nie tylko z siniakami, ale z krwawymi ranami. W podnieceniu opowiadano sobie, że w sercu śródmieścia, koło kolumny Marka Aureliusza długo nie będzie mógł się pokazać żaden mnich z klasztorów należących do wspólnoty kluniackiej. Dookoła zameczku, naprzeciw kolumny stale gromadzą się wzburzone tłumy, do których z ostrołukiego okna zameczku po kilka razy dziennie przemawia Jan Teofilaktos, nie najstarszy, ale najrozumniejszy bezsprzecznie spośród licznej gromady hrabiów tuskulańskich, rzucając namiętne zawołania: „Żyje odwieczna Rzeczpospolita!... Nie pozwólcie, Kwiryaci, by barbarzyńcy Północy narzucali wam obyczaje, jakich nie znali czcigodni dziadkowie!... Roma stolicą Piotra, a więc stolicą chrześcijaństwa całego — nie do nas więc, lecz od nas iść winny nakazy, jak rządzić Kościołem Bożym, jak żyć kapłanom Chrystusowym...” Wieczorem zaś liczny oddział pachołków zbrojnych w koły, oszczepy a nawet miecze stoczył się ze wzgórz tuskulańskich, by nocą z pochodniami przejść od zameczku przy kolumnie przez całe miasto za mury, aż pod sam klasztor Świętego Pawia.

Dobrych kilka tygodni żyło się w klasztorze w nastroju podniecenia i trwogi — nie milkły opowieści o coraz to nowych napadach na mnichów, napadach, w których brali często udział bracia, a nawet ojcowie z klasztorów nie zrzeszonych w kluniackiej wspólnocie; szeptano też, że Jan Teofilaktos co dzień udaje się w lektyce na Drogę Nomentańską, do willi konsula Krescencjusza, z którym tajemne odbywa narady — że konsul odwiedzał papieża, że wzywał do siebie przeora, że groził mu i to z papieskiego upoważnienia — że czterej kardynałowie, między nimi kardynał biskup Portu, błagali namiestnika Piotrowego o rzucenie ekskomuniki na klasztor Świętego

Pawła.

Przeor rzeczywiście raz po raz wyjeżdżał, wzywany to do zamku Leonowego na Watykanie, to do Lateranu, to na Kapitol — wracał blady, ponury, raz nawet poturbowany, ale nie ustąpił i po kilku tygodniach Tymoteusz z uprzejmym uśmiechem wprowadził na dziedziniec klasztorny dwa niezbyt ciężko obciążone osły.

Odtąd zjawiał się stale. Co prawda nie co dziesięć, lecz co dwadzieścia dni — pewnego zaś razu zjawiał się bezpośrednio nazajutrz, ale bez osłów z winem.

Był jakiś podniecony, ale innym zupełnie podnieceniem niż w dniu kłótni z przeorem. Na ładnej twarzy niepokój mieszał się z zamyśleniem i dziwnie odbijającym od zwykłych jego butnych min onieśmieleniem.

Zobaczył uchylone skrzydło drzwi kościelnych i wszedł do bazyliki. Ogarnął go mrok — po dłuższej dopiero chwili zobaczył swój cień ślizgający się przedziwnie, tajemniczo po płytach posadzki tak wyraźnie, jak gdyby w wodzie jeziora. Opodal prześlizgiwał się między odbiciami kolumn drugi cień. Aron wolno sunął w stronę Tymoteusza zataczając krąg wokół każdej prawie kolumny.

Oczy Tymoteusza oswoiły się powoli z nikłym światłem i po chwili pozwalały już rozpoznawać w zbliżającym się rówieśnika. A to uspokajało, ośmielało.

Czas jakiś przyglądali się sobie w milczeniu.

Tymoteusz odezwał się pierwszy. Zapytał o imię. Otrzymałszy odpowiedź zdziwił się. Nie spotkał dotąd nikogo, kto by się tak nazywał. Nikogo z żyjących oczywiście, pospieszył poprawić się, bo przecież wie, że brat Mojżesza właśnie takie nosił imię.

Zbyt mroczno było, by Aron mógł spostrzec, ale Tymoteusz sam uczył, jak mocno się zarumienił z ogromnego zadowolenia, że miał okazję pokazać, iż nie jest wcale ciemny w sprawach świętych. Tamten zaś zaskoczył go pytaniem o siniak.

— Czy już znikł? Czy bardzo bolało?

Tymoteusz oszołomiony nie wiedział zrazu, jak się zachować. Uderzyć go, kopnąć? Na tyle przecież był już dorosły, że pozwolił

sobie na chwilę zastanowienia. Ta chwila, ułamek chwili, okamgnienie, wystarczyły, by uświadomił sobie, że w pytaniu Arona nie brzmiała drwina ani niechęć, ale ciekawość pełna życzliwości raczej i zatroskania, bratniej niemal serdeczności. Odpowiedział więc uśmiechem także życzliwym, nawet serdecznym, nie myśląc wcale, czy w tak nikłym świetle Aron ów uśmiech zobaczy. Wziął go za rękę.

— Jesteś mnichem? — zapytał.

Aron poważnie i z godnością skinął głową.

— Taki młody!

— Mam dziewiętnaście lat, a bywają jeszcze młodszy... Tymoteusz przytaknął milczącym ruchem głowy.

— Bywają. Skąd jesteś? — zainteresował się.

— Z daleka.

— Ze Spoleta?

— Z bardzo daleka.

— To od razu poznać. Rozmawiasz, jakbyś z książki czytał. Z Pawii jesteś? Z Rawenny?

— Jeszcze dalej.

— Z Frankonii? Z Saksonii?

— Jeszcze dalej. Spoza morza.

Wzrok Arona, który wszedł do bazyliki dobrą godzinę przed Tymoteuszem, tak dobrze radził już sobie tutaj, że mógł spostrzec wyraz nie tylko podziwu, ale nawet szacunku na ładnej, pociągłej twarzy o szczególnie pięknie zarysowanych ustach.

— Spoza morza?! — wyrwało się z nich coś pośredniego między zdumionym pytaniem a okrzykiem zachwyty.

— Tak — skinął Aron — z klasztoru Glastonbury, z Wesseksu.

— Nigdy nie słyszałem o takiej krainie. — W głosie Tymoteusza tym razem brzmiała czujność i nieomal niepokój. Węszył kpinę.

— To w Brytanii.

O Brytanii Tymoteusz coś kiedyś słyszał.

— Wasz metropolita niedawno do Miasta przyjeżdżał, prawda? — Uczuł, że znów się rumieni z zadowolenia.

— Dobrześ powiedział. Metropolita Alfryk, arcybiskup

kenterberyjski. Właśnie z nim przyjechałem.

— Jaki? Jaki? — Nazwa przerażała i śmieszyła równocześnie jakąś dziwną barbarzyńskością.

— Kenterberyjski... kenterberyjski... Po łacinie nazywamy to święte miasto: Duroyernum.

Obie te nazwy jednak nic nie mówiły Tymoteuszowi. Ale druga przynajmniej brzmiała jakoś po ludzku.

— To wy tu macie swoją szkołę, prawda? Dobrze wiem. Dwadzieścia cztery beczułki przywiozłem na uroczystość pobytu waszego metropolity w szkole. Zaraz bym tam trafił w bezksiężycową nawet noc. Uczysz się tam może?

Aron westchnął:

— Rzadko, bardzo rzadko... Ojciec Najświętszy każe nadzwyczaj drogo płacić tam gramatykom i retorom... Wszystkie zaś solidy, które wyjeżdżając arcybiskup zostawił mi na naukę, skończyły się już, a przeor nie chce, by klasztor za mnie płacił. Powiada, że gramatyka i retoryka to dzieło demonów... i nikt mu nie wytłumaczy, że to miłe Bogu nauki... Ale ty musisz świetnie znać całe Miasto — dodał z żywością. — Mógłbyś mię na pewno zaprowadzić i pod Cyrk Flawiuszów, i na Palatyn, i na Forum!

— A jakże. Dziś jeszcze chodźmy. Co zechcesz, wszystko ci pokażę; gdzie wskażesz, wszędzie zaprowadzę. Aron znowu westchnął:

— Szczęśliwyś! Dzięki, ale mnie nie wolno wychodzić z klasztoru. Jedynie do szkoły, a i to z kimś ze starszych braci.

Tymoteusz pokiwał współczująco głową. Znać przecież było, że myśl jego krąży wciąż wokół jednego: wokół tego, że oto ów jego rówieśnik aż zza morza do Rzymu przyjechał. Że stary metropolita też stamtąd przyjechał, to nie podniecało ani nawet nie obchodziło: iluż to biskupów i opatów z całego świata tu zjeżdża! Ale taki młodzik! Okrętem jechał, pod żaglami na pewno — to niebywale!

— Słuchaj! A urodziłeś się tam... w tej... tej Brytanii? Głos Arona pełen był powagi, gdy odparł, że przecież powiedział, iż jest mnichem, a tamten nie może nie wiedzieć, że dla mnicha przestaje być godne

uwagi, nawet pamięci, wszystko, co z nim było, zanim wstąpił do świętego zakonu.

— Ale ponieważ cię polubiłem bardzo, nie wiem czemu, od razu wtedy jeszcze, gdyś siniaka dostał, tobie powiem:

urodziłem się na wyspie, którą u nas zowią Irlandią, w Rzymie zaś Hibernią.

Na wyspie, którą zowią Irlandią. Czyż nie niebywałe?... Ale z wolna uwaga i ciekawość Tymoteusza zaczęły się przesuwać gdzie indziej. Ciepłe słowa o polubieniu zakolały w dziwną sprawę, jaka Tymoteusza przywiodła do tego klasztoru, bez osłów i beczek, skupionego i zmieszanego. Ogarniała go coraz to wzbierająca fala ufności, fala równie błogo ciepła jak ciepło słów Arona o polubieniu.

Nachylił się nad uchem przybysza zza morza i głosem drżącym z podniecenia, a raczej wzruszenia, ale zarazem pełnym ufności zapytał:

— Powiedz, Aronie, czy uprawiasz... to... te... praktyki, pobożne umartwienia grzesznego ciała?

Wyczuwało się, że oswojony jest dobrze z terminem, ale we własnych ustach uważa go za coś śmiesznego, aż upokarzająco śmiesznego.

I właśnie ponieważ Aron, mimo całego niedoświadczenia mniszej młodości, wyczuł to, w głosie jego brzmiało zdziwienie znacznie silniejsze, niż sobie życzył, gdy zawołał:

— Chciałżebyś wstąpić do świętego zakonu? Tymoteusz potrząsnął przecząco głową. Uśmiechnął się przy tym wyzywająco, wzgardliwie, a zarazem jakoś wstydliwie. Silnie ścisnął Arona za łokieć i tonem możliwie najbardziej rozwiązłym, a przecie nie patrząc mu w oczy, zapytał starając się uśmiechać jak najweselej:

— Powiedz, mniszeczku, miałeś kiedy kobietę? Aron drgnął.

— Czemu mnie o to pytasz? — ledwie wykrztusił pytanie, które pomyślane było jako grzmiący okrzyk.

W ogóle zaś pomyślane ono było inaczej. — Czemu mię pytasz o to teraz? Czemu mię pytasz o to tutaj? — oto jaki był istotny, niezahamowany kształt pytania, nim się z myśli stało słowem.

Bo przecież o to tylko chodziło, że teraz i tutaj: bo w tym ułamczku najmniejszej odrobiny najkrótszego okamgnienia, jakie dzieliło pytanie Tymoteusza od Aronowego pytania, wypełniły się nagle żywą treścią, straszną treścią wszystkie nie wypowiedziane poprzednio reakcje wyobraźni na tutaj i teraz...

Jeszcze na okręcie, istotnie pod żaglami, arcybiskup Alfryk zapowiadał swym towarzyszom cudowne przeżycie, jakim wedle opowieści starców w Rzymie bywały ma być bazylika Świętego Pawła za Murami. W opisach poselstw — opowiadał — jakie przed stuleciem potężny a przemądry król Alfred wyprawiał do patriarchy jerozolimskiego Eliasza, stoi, że nie masz wspanialszej w chrześcijaństwie świątyni niż święta Zofia konstantynopolska. A przecież przechować się miało podanie, że jeden z posłów do Eliasza wyprawionych bawił później w Rzymie i miał oświadczyć, że ani przyrównać Zofii do Pawła!

Młodzi towarzysze podróży wsłuchiwali się w słowa arcybiskupa z czcią i wzruszeniem. Najlepsi uczniowie słynnej szkoły glastonberyjskiej, od dziecka nieomal wchłaniający w siebie wraz z powietrzem życiodajnym mądrość ksiąg starego Rzymu, upajali się radością i dumą, że oto maluczko, a czeka ich niezmiernie szczęście, jak oglądanie własnymi oczyma miejsc błogosławionych, o których czarnymi znaczkami tyle im śpiewał słodkim dźwiękiem cytry Horacy, grzmiącym głosem trąby spiżowej — Maro, płaczem pożegnalnej nocy — Owidiusz. Dwu ich było: syn i wnuk potężnych dostojników, Etelnot, z dawna upatrzony na tę podłóż, i Aron, który omalże w ostatniej chwili nie został, jako że król Eteired osobiście raczył dać wyraz wątpliwości, czy godzi się, aby przybłęda z Irlandii dostępował zaszczytu, którego odmówiono tylu synom najszlachetniejszych rodów angielskich i saksońskich. Arcybiskup Alfryk przecież postawił na swoim.

— Ów przybłęda — oświadczył z naciskiem — jest chlubą i ozdobą najznakomitszej szkoły w królestwie! I to tylko rozstrzyga, bo na resztę już dawno odpowiedział Pan nakazując apostołom: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody...” wszystkie, najdostojniejszy królu,

Irlandczyków też!

Czy ozdoba Rzymu, bazylika Świętego Pawła, oczarowała Etelnota? Zamknięty w sobie i mrukliwy, wyniosły i mało dostępny nawet dla szkolnych towarzyszy, nie dzielił się wrażeniami z Aronem. Szybko też opuścił Miasto z arcybiskupem, który łatwo osiągnął cel przyjazdu: bogate dary wręczone konsulowi Krescencjuszowi spowodowały natychmiastowe odwiedziny w świętej dzielnicy za murem Leonowym i nazajutrz Jan Piętnasty wręczył Alfrykowi poświęcony na grobie wodza apostołów paliusz.

W przeddzień wyjazdu Aron klęknął przed Alfrykiem i błagał o zezwolenie pozostania. Arcybiskup obruszył się zrazu, długo chrząkał, mamrotał coś do siebie, wreszcie patrząc przez okno na przechadzającego się spokojnie a wyniosłe Etelnota mruknął w zamyśleniu:

— No, tak... tamten ma po co wracać, zostanie kiedyś arcybiskupem.

Ucałował Arona, błogosławił i sięgnął po wypchany okazale worek i starą, cudownie oprawną książkę. Była to przez króla Alfreda dokonana przeróbka Boecjuszowego „Pocieszenia filozofii”. Ze zmarszczonym czołem arcybiskup wyjaśnił, że daje ją Aronowi, by nie zapomniał o ziemi, która pierwsza rozpostarła przed nim drogę dostojną ku uczoneści.

— A pokazuj ją od czasu do czasu pysznym Rzymianom... Niech wiedzą, że na wyspie dalekiej, nie tylko w łacińskim, ale w języku, który barbarzyńskim w głupocie swojej zowią, nie mnisi w ciszy klasztornej, lecz królowie potężni w ogniu wojen takie oto pisali książki...

Aron miał przed sobą dwie możliwości: klasztor Świętych Aleksego i Bonifacego na Awentynie i Pawła za Murami. Alfryk wypowiedział się za tym drugim. Aron domyślał się przyczyn: opat awentyński, Leon, przewodził głośnej w całym chrześcijaństwie walce z arcybiskupem w Reims, Gerbertem. Czy jednak przeważała u Alfryka cześć dla nieporównanej uczoneści Gerberta, czy chodziło o to, że na tron arcybiskupi w Reims wyniósł go król Franków Zachodnich, w czym

opat Leon dopatrywał się naruszenia kanonów — o tym Aron nie wiedział. Sądził, że raczej to drugie: Alfryk bowiem bardzo niechętnie wybierał się do Rzymu po paliusz, twierdząc, że skoro na Wielkanoc w Amesbury sam król i cała rada starszych królestwa Anglów i Sasów okrzyknęli go arcybiskupem, świętym, pradawnym obyczajom w pełni stało się zadość i wcale niepotrzebne jest zatwierdzenie wyboru przez papieża.

Pozostanie u Świętego Pawła umożliwiło Aronowi częste przebywanie w bazylice. I dziwna rzecz! Tyle przecież zwiedził już kościołów i to wspaniałych: Chrystusowy w Canterbury, Świętego Pawła w Londynie, Świętego Krzyża w Reims z przedziwną kaplicą relikwii papieża Klemensa, Świętego Michała w Pawii, Witaliego i obu Apolinarych w Rawennie, a przecież dopiero tu, u Świętego Pawła, zdarzyło mu się spostrzec, że ilekroć tu wejdzie, nigdy nie doznaje uczuć przyzwyczajenia, obycia, zadomowienia, owszem, zawsze jednako olśniewa go poczucie zetknięcia się z nowością, przy czym każdorazowo rośnie wrażliwość na nowe, i nowe, jakby końca im nie było, szczegóły przedziwnego piękna.

A więc i tego dnia, gdy zastał go w bazylice Tymoteusz, na nowo przeżywał jej urok i to potężniej niż kiedy bądź.

Tym razem przecież po raz pierwszy urok ów zaczął osnuwać Arona powiewem tajemniczości. Nie odczuwał jej przecież nabożnie jako błogosławionej tajemniczości przedziwnych spraw Bożego Ciała i Bożej Krwi, spraw stanowiących duszę tej świątyni jak każdej innej. Ani też nie była to radość cicha, budząca tajemniczość niewidzialnej, ale wyczuwalnej obecności świetlanych duchów, gdzieś pod stropem świątyni muzyką niesłyszalną powodujących drganie ukośnych strumieni światła, którym promienne południe niby ostrzem połyskliwym rozcinało mroki bazyliki poprzez na wpół uchylone drzwi. Ale też nie tajemniczość wślizgującego się w święte miejsce, by pokalać je, świata zła: Aron wzgardliwie odrzucił od siebie godną drwała czy pastuszki myśl, że za którąś z tych niezliczonych bladoszarych kolumn czyha nań ktoś przeraźliwy lub obrzydliwy. A przecież wstrząsnął nim dreszcz w pewnej chwili na pewno nie

mniejszy, niż gdyby istotnie spoza którejś kolumny wypełził ktoś równie jak kolumna szary, ale oślizłą. o mdłości przyprawiającą szarością, ktoś niepodobny w całej postaci do niczego, a każdym oddzielnym członkiem przypominający wszystko, co się tylko najlepiej zna i czci. Oto bowiem wydało się mu, że słyszy obróconą ku sobie przemowę: znał, och, jak dobrze znał i język, i rytm, którym do niego mówiono... Kto mówił? Wysmukłe, pełne spokojnej a dumnej harmonii kolumny, sprzężone doskonałą symetrycznością archiwolt w pięć szeregów, które swą pospolitą nazwą „szereg” skojarzyły się w wyobraźni Arona nie z oddziałem żołnierzy, ale z niknącą w mgłą osnutej dali procesją śpiewnie szepczących dziewic. Starął się wzrokiem przebić mgłę i słyszał coraz wyraźniej:

— Bliżej, bliżej... Niech cię spokojna natchnie odwaga. Przekrocz śmiało zakłętą linię, zakreśloną śmiesznym w złotolitej swej napuszonej łukiem Placydii... Zaiste napuszoneść to wyzwolenca!

Ileż to razy w latach późniejszych i w Rzymie jeszcze, i w Rawennie, w Hiszpanii, w Kolonii, w Krakowie, w Tyńcu wracał Aron wylęknioną pamięcią do tych szeptów w bazylice i do swojej z nimi rozmowy! Na spowiedziach jednak zazwyczaj kajał się tylko pobieżnie: nawiedzały mnie grzeszne obrazy! Dopiero Gerbertowi, gdy już był papieżem Sylwestrem, wyznał wszystko. Papież uśmiechnął się:

— Nie masz w tym grzechu. Kiedy to było? Aha, w lipcu... wówczas kiedy to taki wiatr ohydny wieje od Afryki, tyle szaleństw i samobójstw powodujący?! Jakby był tu z nami drogi mój uczeń, lekarz Rykier, zaraz by cię za przegub pomacał i rzekłby, iżeś sam z sobą rozmawiał... Tylko pamiętaj, najmilszy — dodał papież bardzo poważnym tonem — pisma Greków i Rzymian są jak dobre wino... Mocną trzeba mieć głowę, by przyjemność i pożytek z nich mieć, a nie zamroczenie... Jakie to jednak szczęście dla ciebie, żeś mnie to wyznał, a nie mojemu poprzednikowi... czy nawet Herybertowi... Zaraz by z ciebie czarownika zrobili...

Sam Aron jednak nigdy nie był zupełnie pewien, czy rzeczywiście to on sam z sobą rozmawiał. Przecież tak dobrze wtedy słyszał

i odróżniał swój własny głos, tak inny niż te, które doń szeptały. Pierwsza właśnie różnica, że one szeptały, a on krzyczał... był pewien, że krzyczał, choć nie od razu. Zrazu odpowiedział spokojnie;

— Napuszonosc wyzwolenca? Jam także wyzwoleniec, i to taki, co nawet złotem nie ocieka.

— Nie, tyś nasz. Wzięliśmy cię między siebie zaraz, gdyś tylko zapukał.

— Kiedym zapukał do was?

— Nie pamiętasz? Utrudzając chłopięcą głowę wpijałeś się w długie szeregi heksametrów... Pomagając sobie, tam gdzie iloczias, pukałeś palcem... Nie wiedziałeś, żeś do nas pukał?

— Kim jesteście? Na świętego Pawła, kim jesteście?

— Czemu się tak ośmieszasz i uniżasz wzywając imienia tego, który nie godzien jest zdmuchiwać prochu z twoich ksiąg... Zanim wziął się do pisania swych listów, powinien by był największego lenia spośród twych towarzyszy glastonberyjskich na kolanach błagać o wykład gramatyki...

— Bluźnicie imieniowi gospodarza miejsca tego...

— Gospodarza? Chodź, chłopcze, chodź śmiało za nami w tę mglistą dal... widzisz, tam gdzie pięciu liniami szlachetnymi podążają nasze szeregi... Pójdź, odważ się, zobaczysz gospodarza... Nie przerazi cię, nie bój się, znasz go... przychodził do ciebie w wierszu i w prozie...

— Kim jesteście?

— Znasz nas. Dobrze znasz. Siadywałeś z nami na łąkach, nad strumykami, nad brzegami jezior. Myśmy cię wprowadzali w tajemną mądrość zaklętą w znakach, których same nazwy trwożą ciemnych: w znakach Alfa i Omega, Sigma i Delta... Pamiętasz? Pomagałeś nam pleść koszyki i często pasłeś za nas chude krowy. Przybieraliśmy z bratniej miłości do ciebie pokraczne kształty zgrzybiałych mnichów chowających po szalasach przed biskupami rozsypujące się w proch półtysiącletnie rękopisy...

— Kłamiecie. To nie wyście byli. Tamci o wschodzie i zachodzie słońca modlili się do Maryi i Jej Syna, znakiem krzyża zegnali brzask

i zmierzch, nów i pełnię.

— Widzisz sam, ile cię szlachetnej przepelnia mądrości. Sameś doszedł, że i z Maryją, i z Jej Synem, i krzyżem tyleż nas łączy co z Pawłem... Błędzisz jednak: to myśmy wówczas byli. Dla ciebie gotowiśmy byli na wszystko. Nawet na „Pozdrowiona bądź, Maryjo”... Zakląłeś nas zdobyciem tajemnic wiersza i prozy, któreś nam wydarł...

— Nie wydzierałem ich wam ni nikomu. Dostałem je w ojcowskim darze od Kościoła świętego.

— To Kościół święty przynosi swym synom w ojcowskim darze to, co szatańską nazywa trucizną?

— Bredzicie. W wierszu i prozie, w mozaice i posągu, w śpiewie i brzęku harfy, we wszystkim, co duszę ludzką wznosi ponad proch, objawia się przedmiot największej czci Kościoła. Objawia się w formie najcudowniejszej cząsteczka tego, co pierwszym jest przymiotem Pomyśliciela świata, Pana Zastępów: mądrość.

— Uważasz Go za mędrca?

— Wszyscy mędracy razem to proch wobec snu dziecka o Jego mądrości.

— Przypomnij sobie, coś czytał o mędracach... o Orfeuszu, o Dionizosie, o Apoloniuszu z Tiany, o Pitagorasie, o Sokratesie... Powiedz, powiedz — który z nich tak małego był serca, by w tak wielkiej godzinie lękać się i prosić o odwrócenie kielicha. Bo przecież chyba wierzysz, że to nikt inny, tylko twój Pan Zastępów modlił się wówczas pod cyprysami na Górze Oliwnej?

— Wierzę i czczę Go za to. Właśnie za to. Bo cóż by warta była Jego ofiara za grzechy człowiecze, jeśliby nie wziął na się pełni człowieczeństwa wraz z ludzką lękliwością nawet?... Któryż z bogów tak umiłował człowieka, by pójść za niego — za nich wszystkich, ilu było i będzie — na hańbę, na męki, na śmierć...

— Aha, mówisz już o innych bogach. Zespoliłeś się jednak z nami silniej, niż można było myśleć.

— Nie, nie... Miałem na myśli nie prawdziwych bogów, tylko tych, których — wiecie — stworzyła wyobraźnia poetów...

— A któż ci powiedział, że nie wyobraźnia poetów stworzyła...

— Nie mówcie! Nie mówcie! Milczcie! Milczcie! Nic mówcie. Niceście nie mówili. Nie znam was. Znam jednego który jest: Pasterza Dobrego, któremu ufam, bo umiłował świat.

— O Panu Zastępów mówisz znowu? O Synu Maryi? O Ukrzyżowanym?

— O Nim. Każde z Jego zawołań niech będzie błogosławione.

— Stoisz pod łukiem Placydii. To dobrze. Spójrz ponad siebie. Widzisz Go tam, prawda? Przyjrzyj Mu się dobrze. Spróbuj w Nim rozpoznać Dobrego Pasterza, dawcę ufności, miłującego świat. Czyż nie powiesz o Nim raczej: Bóg porażający... Bóg bezlitosny, Bóg trwogi, który każe służyć sobie na czarnych szlakach... Czytałeś przecież o Apollinie znienacka porażającym strzałą Herkulesa w samą chwilę tryumfu. Ten, na którego teraz patrzysz, tak samo poraża... poraża właśnie wówczas, gdy pomyślisz, że wzniósłeś się ponad proch... Ale Apollo przynajmniej uśmiecha się pięknie. A przyjrzyj się Temu, kogo masz nad głową: nawet się nie uśmiecha.

Najulubieńszą pamiątkę od papieża Sylwestra stanowił dla Arona biały posążek przedstawiający Dobrego Pasterza, tulącego do piersi jagnię, z uśmiechem pełnym mądrej dobrotliwości. Przez długie, długie lata stawiał Aron posążek ów przed sobą, by wpatrując się weń doznawać ukojenia i radości. Zacierało mu się wówczas wspomnienie twarzy Chrystusowej, której pełen dreszczu — wedle papieża Sylwestra, dreszczu gorączki — przyglądał się w bazylice Pawłowej, wysoko zadartszy głowę. Nie mógł długo patrzeć. Dostawał zawrotu głowy. Czy z trwogi?

— Napatrzyłeś się. przejdź już pod łukiem. Popatrz dokoła, popatrz przed siebie, pomyśl sam, czy taki może być tu prawdziwym gospodarzem... Dalej, dalej, śmiało... nic bój się... teraz nie idziesz w służbie boga trwogi czarnym szlakiem... Spójrz tylko, jak promienny jest nasz szlak... pięć promiennych szlaków... Każdy zaprowadzi przed pana domu tego... Nie bój się, znasz go...

Oczywiście Tymoteuszowi nigdy nie przyjdzie na myśl, że ciepłe braterskie słowa Arona o polubieniu — o polubieniu od razu. wtedy,

gdy dostał siniaka — w znacznej mierze wywołane były radością i wdzięcznością, że oto nareszcie ktoś przyszedł, rozwiązał grozę, zdusił szepty, procesje dziewcząt na powrót przekształcił w szeregi kolumn...

Ale za ledwie rzucił Tymoteusz swe rozwiązanie i wstydlive zarazem pytanie, w okamgnieniu Aron znów usłyszał szept. Tym razem na pewno słyszał go rzeczywiście w sobie. Wracały słowa ostatnie, które słyszał, ale wracały zmienione: — Każdy zaprowadzi przed panią domu tego... Nie bój się, znasz ją...

Nie bał się. Zdawał się zupełnie spokojnie przyglądać uroczemu zjawisku: wysmukłym, pełnym spokojnej i dumnej harmonii bladoszarym kolumnom, osnutym półmgłą, a jak w toni jeziornej odbijającym się wyraźnie w płytach posadzki.

Sprężone doskonałą symetrycznością archiwolt, biegly pięciu szeregami daleko w głąb, tam, gdzie stała — powinna była stać — poprawiał się Aron — pani domu tego... Znał ją. Choć nigdy nie widział posągów ni płaskorzeźb ją wyobrażających.

Ale cóż to znaczy? Czyż nie recytował tylekroć: „Sic te diva potens Cypri”...?

Czy bez pytania Tymoteuszowego doszedłby Aron do wniosku, że właśnie owa z piany koło Cypru zrodzona powinna być panią tego domu?

Czy zahamowane własne pytanie w owym nie wypowiedzianym „teraz i tutaj” nie znaczyło, że gdyby właśnie teraz nie padło właśnie tutaj pytanie Tymoteusza, nie zobaczyłby Aron pani cypryjskiej, w miejscu gdzie dwa złote anioły wsparte o tablice Mojżeszowe beznamiętą pełnią straż? Straż przed pustą wnęką, która kończy olbrzymią świątynię, przez wieki cale jednakowe wywołując uczucie ulgi, że przecież nie w nieskończoność ciągną się poprzez tajemniczy półmrok szeregi wysmukłych bladoszarych kolumn ani też wysnute z tego półmroku rojenia.

Postali chwilę przed złotymi aniołami i Aron wyprowadził Tymoteusza z bazyliki. Słońce ich oślepiło. Gdy po długiej dopiero chwili byli w stanie przyrzeć się sobie wzajem, ze zdumieniem, a nie

bez przyjemności stwierdzili, że właściwie obu można by przezwać ruzielcami. Dla Tymoteusza, zdaje się, stanowiło to jeszcze jeden bodziec do zacieśnienia węzłów przyjaźni. Jak mógł, opowiedział Aronowi. co go przywiodło do klasztoru i kazało zadać pytania, które przybysza z za morza tak zdumiały.

3

W Rzymie zazwyczaj hucznie obchodzono dzień świętego Wawrzyńca. Ale nigdy tak hucznie chyba jak w dziesiątym roku Jana Piętnastego.

W klasztorze Świętego Pawia za Murami także dużo mówiono i o święcie samym, i o zabawie powszechnej, jaką w murach bazyliki, świętemu diakonowi męczennikowi poświęconej, wyprawić kazał jej włodarz, kardynał-diakon. Polecił on nawet na ten dzień, żeby więcej miejsca było, wyprowadzić z lewej nawy kościelnej przepyszne swe konie, którymi od lat chlubił się nie bez słuszności przed całym Miastem i przejezdnymi cudzoziemcami. Część braci prosiła nawet przeora, by pozwolił wziąć udział w zabawie: ów jednak nie tylko odmówił, ale w ogóle na ten dzień zabronił opuszczania klasztoru. Kilku przecież, głównie starszych ojców, którym obyczajnie pradziadowskie wydawały się rzeczą bardziej świętą niż nowinkarskie przepisy kluniackie, jeszcze nocą przedświęteczną przelazło przez mur i zjawilo się na zabawie w szerokich kapeluszach z piórami kogucimi oraz w spodniach bardzo luźnych u dołu, bardzo obcisłych u góry, o jednej nogawicy żółtej, drugiej zaś czerwonej. Kardynał-diakon bazyliki Świętego Wawrzyńca wielokrotnie przepijał do nich sławiąc przywiązanie do dawnych obyczajów i zachęcając, by nic się nie bali nowego swojego przeora, bo niedługo już całe nowinkarstwo, z obczyzny do Miasta świętego złośliwymi wichrami północy naniesione, wyplenić się będzie ze szczętem, jako ów kąkol, o którym święty Paweł Apostoł tak ładnie pisał w liście do świętego Piotra, klucznika Bożego.

Zachęta kardynała-diakona nie na wiele co prawda przydała się żarliwym obrońcom dawnych obyczajów — przeor do furty ich nawet nie dopuścił grożąc psami gotowymi do spuszczenia ze smyczy. Odgrążając się odeszli. Tymoteusz opowiedział Aronowi, że kilku z nich zaofiarowało się śpiewać pobożne pieśni przed bramą domu konsula Krescencjusza, jednego przygarnął opiekun onegdajszy, kardynał-diakon od Świętego Wawrzyńca, a dwu najmłodszych

i najsilniejszych zaciągnęło się do służby zbrojnej u stryjów Tymoteuszowych. Stoją od rana do nocy w bramie zameczku, naprzeciw kolumny Marka Aureliusza, jak zobaczą mnicha ze wspólnoty kluniackiej, od razu mierzą doń z procy, by wprawiać się — jak oświadczyli stryjecznemu bratu Tymoteusza, Grzegorzowi — w szlachetnej sztuce wojowania.

Zabawa dla uczczenia świętego Wawrzyńca mogła mieć inne jeszcze skutki dla klasztoru poza murami; Tymoteusz napomykał o jakiejś rozmowie między stryjem Janem Teofilaktem a konsulem Krescencjuszem. Mówili podobno o nadziejach, jakie żywią w związku z niechęcią papieża Jana do wspólnoty kluniackiej, do przeora zaś od Świętego Pawia w szczególności.

— Mógł Ojciec Najświętszy nie uznać wyboru Gerberta na dalekie arcybiskupstwo w Reims, tym bardziej może ukrócić jakieś tam marne przeorzysko w swojej stolicy — wołał podniesionym głosem Jan Teofilaktos dolewając konsulowi najświetniejszego z win własnego wyrobu.

Arona uderzyło, że Tymoteusz mówiąc o stryjach nie ukrywa wcale trzeźwego sądu, a nawet pewnej niechęci. Narzekał na zbiorową gospodarkę winnicami.

— W ręku jednego byłoby to bogactwo nad bogactwami — tłumaczył zupełnie nie znającemu się na tych sprawach młodziutkiemu mnichowi — a przy takiej gromadzie wszyscy są żebrakami.

Śmiejąc się opowiedział, jak skakali sobie do oczu Jan Teofilaktos i stryj Roman, gdy naradzano się pospołu; czyby do dobrego wina, wysyłanego na zabawę do bazyliki Świętego Wawrzyńca, nie domieszać trochę skwaśniałych, lichych win. Po długich swarach postanowiono nie psuć dobrego gatunku: przyjaźń kardynała-diakona może jeszcze się okazać bardzo cenna... Jechał więc Tymoteusz na zabawę, prowadząc dwadzieścia sześć osłów uginających się pod ciężarem beczek z wyborowym winem. Witany był wszędzie po drodze kaskadami oklasków i burzą radosnych okrzyków^ Przed kościołem burza stała się nawałnicą! Setki rąk wyciągnęło się ku beczkom, w okamgnieniu rozładowano osły — Tymoteusz musiał

bardzo uważać, by nie pomylić rachunku, by nie sprzątnięto mu jakiejś beczki spod nosa, zanim przekaże całe wino zarządcy domu kardynalskiego. Beczki toczono przez perystyl kościelny, główne wejście i chwilę przez nawę środkową, by potem zawrócić na lewo, tam skąd jeszcze pachniało końmi, a gdzie wznosiły się już stosy butli z oliwą i worów z jarzynami, a obok jeżył się ku górze istny las najmilszych szubienic — dużych drągów, na których kołysały się żylaste przeważnie koguty z ukręconymi głowami obróconymi martwym, ale rozwartym okiem ku uśmiechającym się życzliwie ze stropu mozaikowym świętym.

W południe wstrząsnęła całą bazyliką niesłychana wrzawa.

— Cud, cud stał się, nasza świątynia dostała łaski cudu! — wołano zewsząd. Tu i ówdzie płakano z radości. Ludzie parli na siebie obalając się i tratując, rozsuwano się jednak pokornie i ze czcią, by zrobić miejsce orszakowi sunącemu z pieniem pobożnych hymnów przez dziedziniec ku głównemu wejściu, a stamtąd ku głównemu ołtarzowi, gdzie niezbyt trzeźwi już klerycy usiłowali, nie zawsze szczęśliwie, zapalić świece.

Arona ogarnęła z niczym nieporównana zgroza, gdy Tymoteusz mu opowiedział, co się działo w bazylice wstrząsanej okrzykami: „Cud, cud!”

Na czele orszaku szedł kardynał-diakon bazyliki z trzewikami w rękę, ale z mieczem zatkniętym za czerwony pas; boso szedł właśnie dla uczczenia cudu. Tuż za nim czterech młodzieniaszków z oczyma pełnymi lęku i zarazem zachwytu dźwigało na ramionach cztery zbite ze sobą deski, na których chwiała się biała postać zupełnie nagiego młodzieńca o tak prześlicznej twarzy, że, jak mówił Tymoteusz, aż dech mu zaparło i w oczach, sam nie wie czemu, łzy stanęły, co mu nigdy się nie zdarza...

Była to twarz raczej smutna, a może tylko zadumana o czymś niepojętym dla ludzkiej wyobraźni. Postać tę tu i ówdzie oblepiały jeszcze grudki ziemi — wszak dopiero przed godziną ją odkopano. Gdy z trudem umieszczono ją na głównym ołtarzu, wszyscy uklękli, a kardynał-diakon z. dymiącą kadzielnicą w rękę rozpoczął modły

dziękczynne.

— Bądź pochwalony i uwielbiony, święty Wawrzyńcze, męczenniku, iżeś taką łaskę okazał swojej świątyni w samym dniu swojego imienia, i cudem tym takeś wywyższył ją ponad wszystkie w Mieście Piętrowym kościoły... — Święty Patryku, święty Bedo, święty Edwardzie, męczenniku, przecież to chyba Apollo albo Merkury, albo zgoła krwawy Mars — szepnął szcękając zębami Aron, wpijając się paznokciami w dłoń opowiadającego Tymoteusza.

Ten zaś nie dziwił się bardzo, bo. jak przyznał, samemu zrobiło mu się straszno, gdy z ambony zawołał ktoś nagle przeraźliwie wysokim głosem:

— Bracia, widzicie? Czemuż nas mnisi bałamucą gadaniem kłamliwym, że nagość to rzecz Panu obmierza?...

Patrzcie na świętego męczennika, młodzieniaszka niewinnego!

I w okamgnieniu zrzucił z siebie wszystko, w co tylko był odziany. Pięciu czy sześciu mężczyzn poszło za jego przykładem, ale gdy jedna z kobiet zaczęła rozpinać suknię, mąż jej, sam już nagi zupełnie, trzewikiem trzymanym w rękę uderzył ją dwukrotnie w twarz z taką siłą, że zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Tymoteusz jej nie podtrzymał. Później dopiero spostrzegł Tymoteusz dwie duże czerwone plamy na zielonym swym w złotawe pasy kaftanie. Powszechną uwagę od obnażających się odwróciła inna kobieta: młoda, ładna i strojna. Przeciskała się przez tłum z wargami szeroko rozchylonymi, a zębami zaciśniętymi, z palcami mocno splecionymi dokoła zwieszającego się z szyi na srebrnym łańcuszku pięknie mieniącego się krzyża. Błagała, by jej zrobiono dostęp do posągu... Całowała wielu po rękach, a kardynała-diakona w bosą stopę.

— Nagi jest święty, nagi — wołała głosem bardzo dźwięcznym i śpiewnym. — O! błogosławiona nagości! Niech clę dotknę... Rzekł Pan: „Wiara czyni cuda...” A ja wierzę, wierzę... Dotknę świętego i będę miała dzieciątko.

Gdy zapadł zmierzch, zapłonęły kolorowe lampiony, chwiejące się pod ukwieconymi obficie girlandami przerzuconymi od kolumny do kolumny poprzez cały kościół aż do głównego ołtarza. Odezwały się

głosy cytry i fletu. Tańczono. Długi wąż roześmianych wystrojonych postaci sunął między kolumnami w stronę głównego ołtarza. Mijając różowy w blasku lampionów posąg, każdy klękał nie odrywając jednak rąk od rąk sąsiadów — tylko jedna kobieta, w gęstej zasłonie na twarzy, rozerwała łańcuch, by przyklęknawszy uczynić znak krzyża. Uwagę Tymoteusza natychmiast przykuła do siebie jej postać, zgrabność i szlachetność jej ruchów. Zaczął przemyśliwać nad tym, jakby przerzucić się od głowy węża ku ogonowi, ale wtem oderwały się nagle od siebie ręce, wszyscy tańczący jakby w ziemię wrosli mimo rozpędu i zgrabnie obracając się na pięcie jednej nogi, naraz wszyscy, choć bez rozkazu żadnego, wyrzucili daleko przed siebie drugą nogę, klaszcząc równocześnie w dłonie w rytm nagłych, ostrych przyjęknięć fletu. I wówczas to zobaczył Tymoteusz podbicie i kostkę swej sąsiadki z prawej strony: odurzyły go nagością połyskliwą, wynurzającą się spomiędzy brzegu sukni a trzewika.

Gdy wieczór przeszedł w noc i między ołtarzami rozlegać się począł stuk odbijanych z beczek den i tępy śmiech pijaków, Tymoteusz szedł za swą sąsiadką z węża tanecznego ku prawej nawie nieomal ciemnej.

Podniecenie jego rosło z siłą, która rzucała w żar. Zdawało mu się, że z nią się dzieje to samo. Miał poczucie, jak gdyby z gładkiej a ostro pochyłej staczał się góry, gdy nagle kobieta zatrzymała się dość gwałtownie i przesuając palcem po jego policzku zaczęła szeptać:

— Wiem, widzę, tyś urodziwy, pewnie silny... Dobrze by z tobą było... Ale słuchaj, mam męża... A zamężnej nie mężowi siebie dawać, to, powiadają ojcowie pobożni, grzech straszliwy, do piekła spychający... Gdybyś zabił mojego męża, inna sprawa... Ale pewnie nie zabijesz, po cóż więc mam się do piekła spychać? Czartów się nie boję, ale osądź sam, gdy w piekle będę, czyż zechce święty Wawrzyniec taką drogą daleką a trudną przedzierać się do mnie, poprzez wszystkie kręgi niebieskie świętymi usiane... poprzez Serafinów i Cherubinów, Moce i Trony... A jak nie dam siebie nikomu innemu jak mężowi, może blisko koło świętego będę... może mnie zauważy... może na kratę swoją zawoła. W niebie nie parzy już ta

krata, powiadają pobożni ojcowie... Nie gniewaj się na mnie, ale wolę z nim być w niebie niż z tobą tu teraz... Nie, nie możesz się gniewać... Przyznaj, chociaż ładny jesteś, on stokroć ładniejszy...

I odrywając lampion podsunęła go pod ścianę, skąd spojrzała na nich istotnie piękna twarz mozaikowego świętego Wawrzyńca.

Tuż na wprost bazyliki zaczęło się spoza wzgórz rozsnuwać blade pasmo brzasku. Tymoteusz wytropił wreszcie kobietę w zasłonie. Znalazł ją pod arkadami dziedzińca. Porwał w ramiona — nie opierała się. Całował przez zasłonę, też się nie opierała. Ale zasłony podnieść nie pozwoliła. Broniła się zaciekle. Była silna. Gdy zrobiło się jasno, żegnała go, stale przez zasłonę, gorącymi pocałunkami. Pozwoliła się pieścić jego dłoniom, wciąż śmiejąc się jakimś zimnym i na pewno mądrym śmiechem. Aż nagle zaśmiał się Tymoteusz.

— Zasłona to dobra rzecz, ale następny raz idąc na taką zabawę ściągnij z palca pierścień, Teodoro Stefano. Tylko konsulowie mogą obdarzać swoje małżonki takimi kamieniami. Zresztą kto raz go widział, nie zapomni.

Odrzuciła zasłonę. Śmiała się nadal. Śmiech pomniejszała trochę jej urodę. „Bywają takie twarze” — pomyślał Tymoteusz.

Nie ukrywał swego zdziwienia.

— Nie boisz się, że najprześwietniejszy konsul dowie się?

— Od kogo? Od słońca?

— A nie myślisz, że ode mnie?

— Rano powiesz, wieczorem cię zabiją — powiedziała spokojnie.

— Kto zabije? Twój ludzie?

— Nie. Po co? Oni by dopiero rozgadali. Twój brat stryjeczny, Grzegorz.

— Grzegorz?

— Grzegorz lub ktokolwiek inny. Każdy, komu bym obiecała to, na co ty teraz masz ochotę.

— Obiecałabyś i dotrzymała?

— Nie umiem kłamać.

— To czemu mnie nie obiecasz i nie dotrzymasz? Mówiąc to patrzył wyzywająco. Zuchwale przysunął się do niej całym ciałem. I o

dziwo, nie odepchnęła go, jak sądził. Przeciwnie, przywarła do niego sama.

Ale przymierzu ciał nie towarzyszyło przymierze oczu. Patrzyła na niego wyzywająco i chłodno. To, co działo się z ciałem, zdawało się nie mieć żadnego wpływu na myśl i słowo, równie jak wzrok, który nie był ni zamglony, ni płonący.

— Głupcem jesteś, Tymoteuszu, dziedzicu tuskulański, Podobasz mi się. Nigdy ci nie powiem czy od dawna, czy dziś, dla zabawy tylko. Ale nie myśl, że Teodora Stefania zechce z siebie zrobić ci zabawę. Myślisz, że nie widziała, jakimiś oczyma patrzył na odrobinę ciała pomiędzy trzewikiem a suknią? Tak patrzyłeś zawsze. Tak będziesz patrzył. Wstaniesz z mego łoża, a wnet potem tak samo będziesz patrzył. A ja tego nie chcę. Nie odrobinę między trzewikiem a suknią, ale mnie możesz mieć i bez sukni, i bez trzewików. Ale dopiero jak przez rok żadnej innej nie dotkniesz kobiety. Tak chcę. Tyle jestem warta. Potrafisz? Zobaczymy. I nie staraj się mnie zwieść. Od razu poznam. Więc w następnym roku w dzień świętego Wawrzyńca. Bywaj zdrów.

I znów się zaśmiała. Przecież nieco cieplej niż przedtem. Ale tak samo chyba mądrze. Tymoteusza oślepiął blask rozpryskiwanej hojnie przez słońce czerwieni. Ale oczy dłońmi zasłonił nie tylko dlatego. Czuł się, mówił Aronowi, tak, jak wówczas gdy oberwał siniak. Gorzej jeszcze. A raczej nie gorzej, tylko dziwniej.

Aron słuchał opowieści Tymoteusza z nieruchomymi, szeroko rozwartymi oczyma. Wychowanek szałasów pustelniczych i klasztorów wiedział o sprawach ciała i miłości tyle tylko, co z kazań ojców klasztornych i z książek. Co prawda właśnie z książek sporo sunęło na niego pokus. Ale były to jedynie pokusy dla oczu duszy. Andromeda, Laodamia, Medea, Helena i Roksana Aleksandrowa nierzadko wyłaniały się spomiędzy łacińskich strof i niepokoiły nieprzystojnie nagim pięknem. Szczególnie natrętnie odwiedzały go łowczyni Atalanta i ciężkozbrojna Pentesilea. Czerwienił się ze wstydu, gdy mimo straszliwego napięcia mięśni czuł, że nie wydoła, by tuż, tuż za Atalanta biec naprzeciw dzikowi kaledońskiemu. Padał

wówczas na mokrą ziemię i wstydlawie przykładał wargi do głębokich odcisków dużych, silnych jej palców.

Kiedyś co prawda wstrząsnął nim silnie obraz rybaka i pasterki, przytulonych do siebie, ze stopami zanurzonymi w wesoło szemrzącym strumieniu. Na ogół przecież nauczone go wcześniej na sprawę związku ciał patrzyć spokojnie jako na rzecz niegodną wyższego ducha. Mądrość ksiąg i pełnych zimnej logiki rozmów z Bogiem i świętymi była dlań, jak i dla jego mistrzów, rozkoszą tak upajającą, że warto wyrzec się dla niej bez żalu o ileż niższej rozkoszy objęć kobiecych, o której przecież mędrzec nad mędrkami, Augustyn, powiedział wzgardliwie, że trwając krótko, pozostawia po sobie nie tylko u ludzi, ale i u zwierząt bez-rozumnych smutek jedynie. Była wprawdzie w zamku królewskim w Kingstonie okrągła komnata, gdzie wyrostek Aron doznawał dreszczów nie tylko na oczy duszy nacierających. Komnata, gdzie niegdyś, w dniu uczyty koronacyjnej, arcybiskup Odo zastał króla Edwiego z dwiema dostojnymi paniami: Egifą i Etelfigą. Z szerokiego łoża, na którym blisko pół stulecia nikt podobno nie spał, zdawały się patrzeć na Arona dwie pary błękitnych kobiecych oczu. Dwoje kobiecych ust opowiadało mu wstydlawie — a przecież czuł — grzesznie podnieconym szeptem o sprawach, jakie się w tej komnacie działy. A najstraszniejsze, a zarazem o największy dreszcz pripraviające było to, że szeptały przecież po społu matka i córka... Szeptały tonem spokojnej, radosnej, przyjaznej zmowy.

Odwiedziny w Kingstonie przecież wydarzały się rzadko. Posty zaś, sen kilkugodzinny zaledwie i pilne, uporczywe ślęczenie nad rękopisami — wszystko to stanowiło tarcze:

tak potężną, że długie, długie lata Aron nie z trwogą, ale ze spokojną, pewną siebie obojętnością wsłuchiwał się w zbliżający się cichy krok lekkich stóp wesołego głuptaska, który przed oczyma jego duszy wyłaniał się z rzadka, coraz to rzadziej, spomiędzy czarnych czy kolorowych liter, szeleszcząc ukradzionymi śpiącemu aniołkowi skrzydełkami.

Ale oto po tę samą, co jego, siłę przychodzi Tymoteusz. Pyta o posty, o skracanie snu tak zrazu bolesne, o korzyści twardego łoża,

nawet o korzyści rzemiennych biczów i ostrego żwiru. Ale pyta, nie w drogę ku mądrości ruszając.

W drogę ku Teodorze Stefanii!

Aron poradził mu zwrócić się do przeora. Tymoteusz poszedł. Nazajutrz przy posiłku wieczornym przeor zaciekał braci budującą rozmową o lekkoduchu, któremu święty Wawrzyniec pokazał jedynie właściwą drogę do doskonałości: poprzez czerpanie darów ze skarbnicy umartwień, do której klucz wręczył Duch Święty na wyłączną własność wspólnocie kluniackiej. I co szczególnie winno cieszyć serca braci: ów lekkoduch to pisklę z zawałonego gnojem gniazda tuskulańskiego!

Tymoteusz coraz częściej przychodził do klasztoru Świętego Pawła. I zawsze wywabiał Arona na przechadzkę pod arkadami dziedzińca. I zawsze przychodził z czymś nowym w sobie. W wyrazie oczu, tonie głosu, zarysie twarzy, ruchach, a nawet w doborze słów i biegu myśli. Stawał się coraz bardziej skupiony i, jak to nazywał Aron, coraz bardziej rozpierany przez wyzwajającego się ducha.

Rozmowy, które prowadził, pełne się stawały nieoczekiwanej powagi. Aron długo nie mógł przyjść do siebie ze zdumienia, gdy kiedyś Tymoteusz usiadł obok niego w bibliotece i poprosił o książkę. Co prawda szybko się znużył. Ale na drugi raz wytrwał dłużej. I co uderzyło niesłychanie Arona, gdy Tymoteusz zaczynał mówić o tym, co przeczytał, mówił nienagannym, a tak niecodziennym dla siebie językiem przeczytanej książki i mówił tak rozsądnie, jak często nie umieli ojcowie, którzy lata całe na czytaniu ksiąg tych trawili.

Coraz częstsze bywały chwile, gdy Aron zapominał właściwie, z czego to wszystko się zaczęło. Tak dalece, że zaskoczył go nawet uśmiech — bardzo subtelny uśmiech, z którym Tymoteusz opowiedział kiedyś, jak to przeor wezwał go do siebie i przyjaznym, prawie tkliwym tonem wybadywał, czy nie słyszy w sobie głosów nakazujących nie dorywcze przychodzenie, ale ostateczne pozostanie w klasztorze. Dopiero wczesnowiosenna burza przypomniała Aronowi wszystko. Burzy takiej dawno nie pamiętano w klasztorze. Zapalono wszystkie świece, pokropiono wszystkie ściany święconą wodą,

uderzono we wszystkie dzwony i dzwoneczki, którymi tak chlubił się przed całym Miastem Piętrowym klasztor Świętego Pawia. Płomienny grot padł z czarnego nieba niedaleko klasztoru w ciemny gaj, gdzie trzy święte strumienie wytryskiwały z miejsc dotkniętych głową świętego Pawła, gdy odcięta od ciała podskoczyła trzykrotnie, aż zamarła. Straszliwy huk wstrząsnął potężnymi murami bazyliki. Kilku ojców zemdlało. Aron zatkał uszy: nie tylko, by słabiej słyszeć następny grzmot, ale głównie po to, by wcale nie słyszeć nagłego huku nie wiedzieć skąd walących się nań heksametrów, spoza których wyłaniało się niby spoza chmur groźne, ale wspaniałe oblicze Jowisza. Był pewien, że właśnie ten natrętny obraz — groźny a wspaniały — już samym grzesznym pojawieniem się ściągnie na niego natychmiastową karę Chrystusową w postaci drugiego piorunu. Widział go już, jak waży się w rękę — tym razem nie Jowisza, ale tego, kto bez uśmiechu Apollinowego spogląda bezlitośnie, okolony złotolitą mozaiką na łuku Placydii. Spojrzał na niebo, szepnął: „Na czarnych szlakach...” i zamknął oczy. Ale grzmot nie powtórzył się. Otworzył oczy.

Aron zawsze bał się burz. Jeszcze na łąkach Irlandii. Nie mógł wówczas nadziwić się zgrzybiałym, białobrodym mnichom, spokojnie przekładającym w zdających się walić szalasach próchniejące karty upstrzone tajemniczymi znakami Lambdy, Omegi i Psi. I tylko raz w życiu podzielił trwogę wielu pobożnych mężów, czy istotnie mistrz Gerbert nie jest czarownikiem: wówczas gdy wyciągnięty pokracznie na drewnianych schodach dziwnej wieżyczki w Reims przeszywał błędnymi oczyma brodatego arcybiskupa, spokojnie siedzącego pod targanym wichrami daszkiem na szczycie wieżyczki, z okiem przy długiej rurze zuchwale, wyzywająco, chyba świętokradczo zwróconej ku rozedrganemu straszliwymi błyskawicami niebu.

Ale Aron był pewien, że kto jak kto, lecz Tymoteusz na pewno nie boi się burzy. Nie dochodził, skąd ta wiara w beztroską ufność i siłę przyjaciela. Ale wierzył. Jakżeż się zdumiał, gdy zobaczył, że po grzmocie, który uderzył w Gaj Trzech Strumieni, Tymoteuszowi trzęsą się kolana i szcękają zęby. Rozczarowanie to przecież cieszyło go

raczej. Czyniło przyjaciela bliższym. Pozwalało w chęci pocieszenia czuć w sobie siłę. Rzucił ku poszarzałej twarzy pełne miłości bratniej spojrzenie. Tymoteusz głucho odpowiedział przez szybko, szybko uderzające o siebie zęby:

— Cóż głupszego, niż dostać w łeb od Michała Archaniola, zanim przyjdzie dzień świętego Wawrzyńca...

Michał Archanioł nie poraził Tymoteusza, ale daremna była radość, z jaką witał tęczę przerzuconą niewidzialnymi dłońmi Maryi od Janikulu do tyburtyńskich tysiącletnich cyprysów. Daremnie wypatrywał świętego Wawrzyńca, który powrócić miał w blasku barwnych lampionów, stuku odbijanych den, krzyku zarzynanych kogutów, w tanecznej muzyce cytr, fletów i klaszczących dłoni. Nim w ogóle przyszedł, na placu przed bazyliką jego imienia stanął kto inny. Stanął wśród huku młotów rozbijających w białe kamyki piękne nagie ciało o smutnej czy nieziemsko zadumanej prześlicznej twarzy. Stanął wśród straszliwej muzyki dziko rżących w przedśmiertnym bólu koni, wyciągniętych z nawy kościelnej silnymi rękoma o mięśniach tak potężnych, że zdawały się pękać pod jasnoróżową skórą. Stanął wśród szlochu kobiet, krzyku dzieci i niemej, ponurej trwogi mężczyzn.

Stanął z sędem i mieczem. Nie swoim mieczem. Mieczem, o który Chrystus zapytywał uczniów wychodząc z wieczernika.

W bazylice Świętego Pawła przeor wznosił dziękczynne modły. Ale ojcowie i bracia zagłuszał je nie milknącym tygodnie całe szeptem zgrozy.

Tymoteusz bledszy niż kiedykolwiek przekazywał Aronowi dzieje straszliwego poranka. I to, co opowiadał, natychmiast stawało się obrazem. Obrazem bez barw. Była tam tylko jasność i ciemność. Ciemne, nieruchome postacie olbrzymich Sasów trzymały przed sobą, między słupami rozkraczonych nóg. olbrzymie, jasne tarcze. Między jasne nieruchome oczy ciemną strzałą spływały od płaskodennych hełmów aż do ust sięgające przyłbice. A przed niemym, przerażającym szeregiem ciemna postać na jasnym koniu roztaczała straszliwą ciemność nieubłaganych wyroków. I ciemna zdawała się być nie stara, ale starczo wykrzywiona przez długoletnie cierpienia,

ocieniona bujnością jasnych kędziorów twarz jeźdźca.

U stóp konia ciemną plamą klęczał kardynał-diakon bazyliki Świętego Wawrzyńca. W trzęsących się dłoniach trzymał wielką otwartą księgę, w której rzadkie szeregi liter nie gasiły oślepiającej jasności kart. Ciemną krwią nabiegłe oczy bezradnie latają między ciemnymi znaczkami.

— Włodarzu świątyni Pańskiej, oto twe uniewinnienie — rozlega się głos z wysoka, sponad grzbietu końskiego. — Pokaż, jakieś czytał powierzonym sobie barankom Pismo najświętsze...

Z trudem sylabę po sylabie odczytuje kardynał-diakon. Co trzecie ledwie rozumie słowo z tego, co widzi przed sobą w księdze.

— Przeczytajcie mu — ten sam rozlega się głos. Chudy, wysoki, młodziutki mnich bierze z rąk klęczącego księgę. Czyta głosem drżącym, pełnym strachu, ale wprawnie i szybko:

„Napisano. dom mój domem modlitwy jest, a wyście go uczynili jaskinią zbójców”.

— Słyszałeś? — głos jeźdźca tnie niczym na śniegu północy zamrożone żelazo. — Dom mój domem modlitwy jest. nie domem radości brzuchów, rozpusty ciał i ciemności głów. Rzekł Pan z Cezarei Filipowej Piotrowi: „Tobie dam klucze królestwa niebieskiego... cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane w niebiosach... cokolwiek rozwiążesz, będzie rozwiązane”... Mocą Piotrową rozwiązuję po wsze czasy twe przymierze z Panem Zastępów, włodarzu niegodny... Wynijdz z miejsca świętego... Dziękuj świętemu Wawrzyńcowi, że ciebie nie rzucą od razu tam, gdzie płacz i zgrzytanie zębów...

Z boleśnie wykrzywioną twarzą słuchał Aron Tymoteusza. Głośnym szepciem błogosławił karzącą prawicę Pańską, ale w oczach mu stanęły łzy cierpienia. Cichy zaś płacz przeszedł w niepowstrzymany szloch, gdy Tymoteusz opowiedział, jak żelazo mocno trzymane w tęgiej garści ze świstem odcięło młodej, ładnej kobiecie rękę, która w noc grzesznej zabawy dotknęła nagości białego posągu. Aż Tymoteusz zdziwił się: — Powiedz, czyż nie wiernie powtórzył słowa Pisma namiestnik Piętrowy z wysokości białego

rumaka: „Jeśli ręka cię twoja gorszy, utnij ją...”

Po wielu latach zapytał nieśmiało Aron papieża Sylwestra, czy jego poprzednik, Grzegorz Piąty, namiestnik wierny Chrystusa z łuku Placydii spoglądającego, byłże też namiestnikiem Dobrego Pasterza, Chrystusa irlandzkich pustelni i brytyjskich klasztornych szkół? Nigdy przecież nikomu, nawet Tymoteuszowi, nawet Rychezie, nie odkryje, co mu wówczas powiedział papież.

Przyznał się też wówczas, że żał mu było białego posągu pogruchotanego młotami w kawałki. — To nie grzech — z żywością uspokoił go papież. — Mnie też żał... zdobyłby dziś ów Merkury perystyl w pałacu laterańskim... Ale pociesz się...

Wziął Arona za rękę i zaprowadził do swej sypialni. Na zawalonym pergaminami i modelami figur geometrycznych stole spoczywała biała głowa. Prześliczna twarz” patrzyła na Arona oczyma bez źrenic z przedziwnym smutkiem, a może tylko w zadumaniu o sprawach niepojętych dla ludzkiej wyobraźni.

Pełen wzruszenia Aron ukląkł i ucałował Sylwestra Drugiego w pokryte guzami od częstego pisania palce.

Nadszedł dzień świętego Wawrzyńca. Już w przeddzień

Miasto wrzało. Ale wrzało głucho. Z ostrym szczękiem żelaza wszedł przez bramę Flamińską oddział saksoński sprowadzony ze Spoleta. Najwięcej przecież zdumiewało i przygnębiało Rzymian to, iż straż przed bazyliką pełnili, przemieszani z awentyńskimi i kluniackimi mnichami, zbrojni w koły, oszczepy, a nawet miecze, chłopcy ze wzgórz tuskulańskich: tak bardzo stał się oddany Jan Teofilaktos z braćmi niemieckiemu papieżowi!

Rano Świętą Ofiarę odprawił przed głównym ołtarzem bazyliki sam papież. Przed nabożeństwem zapytał zarządcę dóbr bazyliki, ile solidów wydawano poprzednio na zabawę i poczęstunki. Zarządca umyślnie wymienił kwotę znacznie wyższą.

— Dobrze — spokojnie powiedział Grzegorz Piąty. — Właśnie tyle rozdasz między ubogich.

Zarządca zawahał się. Zapytał, kto właściwie wedle prawa, wobec

usunięcia jednego kardynała-diakona a braku nowego, gospodarzy bazyliką i jej dobrami.

— Ja — znowu spokojnie odpowiedział papież — tak jak całym Kościołem Chrystusowym.

Tegoż wieczora zarządca odwiedził Jana Teofilaktosa, który w nocy wysłał krytą lektykę po kardynała biskupa Portu. A jeszcze przed brzaskiem ta sama lektyka wyruszyła z zameczku naprzeciw kolumny Marka Aureliusza w kierunku drogi Nomentańskiej. Słońce jeszcze nie wysunęło się spoza bazyliki Świętego Wawrzyńca, gdy sześć par nóg wprawionych w wytłaczaniu win, a przez to i w długim chodzie niełatwo się męczących, zamarło w bezruchu przed stopniami wiodącymi do okolonego różowymi kolumnami domku.

Teodora Stefania widziała przez okno, jak sześć par rąk przeszkadzało sobie wzajem w rozsuwaniu zasłon szczelnie okrywających lektykę.

— Widziałeś Teodorę Stefanię? — oto pierwsze pytanie, jakim powitał Aron Tymoteusza nazajutrz po uroczystości. Dziwił się niepomniernie, że mu nagle to się wyrwało. Wszak nigdy dotąd, od czasu pierwszej po wyjściu z bazyliki rozmowy, nie zagadywał przyjaciela w tej sprawie. Sprawie tak dla niego wstydlivej, dziwnej i nawet nieco strasznej.

Tymoteusz poważnie skinął głową: tak, widział.

Ośmielony Aron zapytał znów:

— Czy rozmawiałeś z nią?

Nie, nie rozmawiał.

Ale Aron w ciągu blisko całorocznego współżycia wprawiony w rozpoznawaniu uczuć przyjaciela, nie był teraz pewien, czy ów mówi prawdę.

Wedle słów Tymoteusza, wieczorem, gdy procesja mnichów awentyńskich zalała całą bazylikę, żółtym blaskiem woskowych świec, zobaczył w tym blasku Teodorę Stefanię opartą o porysowaną kolumnę. Tuż za nią klęczał jej synek, raz po raz wysuwający jasną główkę spomiędzy łokci klęczących piastunek.

I odtąd sprawy Tymoteusza i Teodory Stefanii nie dawały ani chwili

wytchnienia myślom Arona. Nawiedzały go w czasie modlitwy, budziły ze snu niesamowitą, aż męczącą wyrazistością obrazów, wyłaniały się spomiędzy zdań i słów, które czytał lub sam pisał. Zaczął wypytywać ojców i braci o Teodorę Stefanię, sprytnie kołując, by się nie zdradzić. Pytał więc przede wszystkim o jej męża. W odpowiedziach, jakie dostawał, konsul Krescencjusz występował jako potwór pełen nie tylko grozy, ale i potęgi; większość rozmówców Arona dawała wyraz zdziwieniu, dlaczego Ojciec Święty, Grzegorz, nie skorzystał w dniu koronacji cesarskiej z gotowości młodocianego Imperatora Ottona Trzeciego do natychmiastowej pomsty na całym rodzie Krescencjuszów za dziesięciolecie ucisku i poniżeń, jakich doznawał od nich Kościół Rzymski. I powoli, w wyniku takich rozmów, osoba konsula Jana zaczęła zaciekawiać Arona sobą samą, nie tylko tym, iż był mężem Teodory Stefanii. Ku czemu zdążał? Czego jeszcze pragnie? O czym marzy więzień dobrowolny domku okolonego różowymi kolumnami? I najważniejsze: skąd czerpał siłę? Czy tylko z przywiązania Rzymian do odwiecznych obyczajów? Tylko z ich nienawiści i pogardy do obcych i wszelkiego nowinkarstwa? O co się opierała dziesięciolecie całe trwająca, zacięta, czasem jawna, czasem utajona walka Krescencjuszów i wszystkich spokrewnionych z nimi — walka przeciw przychodzącym do Miasta po diadem cesarski Ottonom i narzędziom Ottonów, papieżom? Na co liczyli, gdy wyganiaли, więzili lub mordowali tych Ottonowych papieży, a wynosili własnych? Kto za nimi stoi?

— Moi stryjowie — odparł Tymoteusz, zagadnięty kiedyś o to przez Arona.

— Ktoś bardzo potężny — w zamyśleniu powiedział przeor i ku wielkiemu żalowi Arona zaraz, dodał: — Ale jesteś jeszcze nadto dziecięciami, mój synu, byś mógł to zrozumieć.

Odpowiedź Tymoteusza śmieszyła Arona, odpowiedź przeora niepokoiła. Ale nowego nic nie mógł wytropić i znowuż Teodora Stefania przysłoniła sobą męża. Przysłoniła kształtną swą postacią, zielonymi oczyma i złotymi włosami, głosem, śmiechem, przede wszystkim rzuconym Tymoteuszowi wyzwaniem. Aron znał ją tylko

z opowiadań przyjaciela, ale znał dobrze. Całując we śnie odciski dużych, silnych palców na mokrej ziemi wiedział już, że to są ślady nie Atalanty łowczyni, ale Teodory Stefanii. Jeszcze w Glastonbury powtarzał mu się wielokrotnie sen, iż wyrywa Menelausowi miecz, którym ów chciał przebić Helenę. Teraz przeżywając na nowo ów sen, wiedział, że nie o Helenę wcale tak się boi...

Między przyjaciółmi powiało chłodem. Arona urażało, że Tymoteusz przestał z nim mówić o Teodorze Stefanii, a zadawane pytania ucinał krótko i oschle, niekiedy ostro. Najbardziej męczyła Arona sprawa, czy Tymoteusz uprawia nadal pobożne praktyki umartwień. Z półsłówki przeora mógł zrozumieć, że tak. W każdym razie w bibliotece klasztornej był Tymoteusz niezmiennie częstym gościem i coraz dłużej przesiadywał. Aron zaczynał być zazdrosny

O swoją nad nim wyższość. Oczywiście od razu wyśmiewał siebie za taką głupotę, bo cóż to za porównanie między rybakiem, od niemowlęstwa niemal niezmiennie zapuszczającym sieć w tonie jeziora, nad którym mieszka, a wędrownym kupczykiem, co zabłądził nad jeziorem, i nim wskaże mu ktoś drogę zabawia się rzucaniem wędki, której dotąd nigdy w ręku nie trzymał! Chłód jednak rósł. Ileż razy się zdarzyło, że Tymoteusz bawił w klasztorze i wychodził nie zamieniwszy z Aronem ni słowa. Oto kiedyś, na początku września, dwie godziny przesiedział u przeora i wcale nie zawołał potem przyjaciela, by, jak to dawniej bywało, opowiedzieć, o czym mówili. A chyba o czymś bardzo ważnym, bo po rozmowie tej przeor cały wieczór chodził podniecony i ponury. Nazajutrz zaś któregoś ze starszych braci posłał po Tymoteusza. Arona aż o płacz to przyprawiło. Po ponownej długiej rozmowie z Tymoteuszem przeor, jeszcze bardziej podniecony, kazał sobie podać lektykę i zanieść się do bazyliki Piętrowej. Aron wyczuwał, że dzieje się coś ważnego. Coś, w czym Tymoteusz bierze udział. A jego, Arona, nikt nigdy nie wzywał do udziału w sprawach, gdzie się czuje, gdzie się wie, że dzieje się coś ważnego.

Po powrocie z bazyliki znów rozmowa przeora z Tymoteuszem! Ale była to już ostatnia rozmowa. I więcej Tymoteusz nie pokazał się

w klasztorze. Aron nie żałował. nie tęsknił. Nie dawały mu tylko spokoju ostatnie słowa ostatniej rozmowy. Przez szparę w drzwiach łączących bibliotekę z celą przeora widział, że Tymoteusz klęczy, a przeor go błogosławi:

— Ja tobie wierzę, synu, ale Ojciec Najświętszy nie każe mi wierzyć.

— Oby nie pożałował — głucho odpowiedział Tymoteusz. Sucho i z jakąś zaciętością. Okazało się, że pożałował. Bo oto stało się to, przed czym Tymoteusz daremnie usiłował przestrzec papieża: Rzym nie dochował wierności Grzegorzowi Piątemu.

Wrześniową nocą przyszedł z pochodniami pod mur Leonowy, ciskając kamienie i krzyżąc: „Rzeczpospolita!” Jeszcze kazał sobie dziękować za to, że tylko wypędza, nie zabija.

Na wieży Teodoryka — po lewej ręce chowającego miecz w pochwie anioła — błysnęły srebrne orły, znak Patrycjusza. Patrycjusza Imperium Rzymskiego. Ale jakiego Imperium? Przecież rozszalały, zbuntowany Rzym zachęcającym wrzaskiem odpowiadał nie tylko na „nie chcemy niemieckiego papieża”, ale i „nie chcemy niemieckiego cesarza”. Jedno i drugie „nie chcemy” rzucał namiętym głosem przez ostrołukie okno zameczku naprzeciw kolumny Marka Aureliusza Jan Teofilaktos.

W starym gmaszysku Kurii na Forum Romanum pospiesznie przygotowywała się do trudnej zabawy w senat hałaśliwa gromada czarnookich, ciemnolicych, nie umiejących czytać ni pisać wyrostków, wnuków Marozji i Teodory, słynnych ongiś władczyń Miasta, a jeszcze słynniejszych mistrzyń miłości bujnie owocującej.

Ulice zaroily się od mnichów, którzy pozrzucali ciemne powłóczyste szaty i budzili okrzyki zachwyty szerokimi kapeluszami z kogucim piórem i spodniami o jednej nogawicy czerwonej a drugiej żółtej, bardzo luźnymi u dołu, bardzo obcisłymi u góry.

Kardynał-diakon bazyliki Świętego Wawrzyńca promieniejąc uśmiechem tryumfu pospiesznie kupił kilka koni, by uroczyście wprowadzić je do nawy kościelnej. Znowu podskoczyły ceny win tuskulańskich. I znowu rozgościł się między ołtarzami dźwięczny,

radosny, zmysłowy śmiech kobiecy.

Niebo zdawało się ruszać z posad. Gwiazdy oderwały się od odwiecznych swych orbit. To z tysiącami migocących niby gwiazdy pochodni walił olbrzymi tłum starą Nomentańską drogą. Tysiące głosów rozdarły ciszę, do której zdołały przyzwyczać się już glicynie zdobiące okolony różowymi kolumnami domek. Konsula Jana wyrwano wprost z ciepłych objęć żony i na ramionach tysięcy poniesiono ku Kapitolowi. Tam go niby tłumok rzucono na prastare stopnie, różowe w blasku pochodni, a tak zimne dla nóg ogrzanych stopami Teodory Stefanii. Tam mu się Rzym pokłonił jako Patrycjuszowi.

Jan Krescencjusz miał dobrą pamięć i wiedział, że Rzym miał pamięć złą. Nie wysiłał się więc zbytnio, nie zazdrościł laurów wymowy Janowi Teofilaktosowi, ale rzucał w skupiony tłum słowa te same, które już mówił przed kilkunastu laty, gdy innych, dawniejszych wypędzał papieży... mniej więcej te same, które mówił jego ojciec wypędzając jeszcze innych, jeszcze dawniejszych...

A więc, że „żywiolowy odruch tysięcy i tysięcy miłujących wolność nade wszystko”, że „nieśmiertelny wilczy szczep Kwiryków”, że „złote runo wolności”, „błogosławiona krew ofiarna, której każda kropla stała się morzem oliwy sycącej święty płomień szlachetnej nienawiści” i że „lud rzymski, zawsze lud rzymski, tylko lud rzymski”.

I lud rzymski wierzył, że to on, zawsze on, tylko on.

— Stado głupców — powiedział do braci Jan Teofilaktos odchodząc od ostrołukiego okna w głąb komnaty.

— Stado głupców — powtórzył słowa stryja Tymoteusz wycierając krew z twarzy zieloną, przejrzystą chustką, którą Aron raz po raz moczył w kubie z zimną wodą.

Tym razem Tymoteusz miał siniak nie tylko na czole. Sina była cała twarz, a ze spuchniętych straszliwie warg i sponad lewego ucha spływały szybko strumyki krwi.

Raz po raz wkładał palec w usta i dotykał górnych zębów.

— Chwieją się — stwierdził głuchym, pełnym zaciekłości szeptem, starając się nie patrzeć Aronowi w oczy. Ale przemógł się, spojrzał

i nawet spróbował się uśmiechnąć.

Skatowany, straszliwie obolały, plujący krwią, a nawet i zębami, uważał przecież, że udało mu się. Bardzo się udało. Nie wątpił bowiem, że stryjowie i bracia stryjeczni bez wahania pchnęliby go nożem lub wprost cicho zadusili, gdyby zdążyli — nim się wymknął — uświadomić sobie, co postanowił przedsięwziąć.

Jan Teofilaktos oczywiście nie pokalał swej wypiełęgowanej ręki prostacką robotą bicia. Ale gdy Tymoteusz zuchwale patrząc mu w oczy krzyknął: „Lisy i żmije! Nóż w plecy, oto godło hrabiów tuskulańskich!” — twarz Jana Teofilakta z wyrazem nie gniewu, ale zgorszenia i niesmaku poczęła wolno się obracać ku przeciwległemu kątowni, gdzie patrząc spode łba stali całą gromadą gotowi do skoku młodsi bracia i reszta bratanków. W lot zrozumieli, co oznaczał powolny obrót pełnej zgorszenia twarzy. Odpowiedzieli świetnie zgranym, charcim, nie, lamparcim raczej skokiem. Bili Tymoteusza długo, pracowicie, starannie, a prawie bez hałasu. Potem kopniakami wyrzucili za drzwi. Spracowani, spoceni, byli pewni, że ma dość. Że go oświecili i wskazali drogę powrotną do rodzinnej jedności. Za mało mieli wyobraźni, by przewidzieć, iż nie minie godzina, a będzie już za murami, słaby, obolały, na wpół przytomny, a przecież zdecydowany zastąpić Grzegorzowi Piątemu całe niewierne Miasto.

Wytropił papieża w ciemnym gaju, gdzie niedawno uderzył piorun. Powitany został wyniosłym i wzgardliwym pytaniem, kto go nasłał? Potem, kto go przysłał? Nie dał się zrazić ni zbić z tropu. Upór, z jakim szedł ku wytkniętemu celowi, upór, który przemógł nawyki i więzy rodzinne, strach i samotność, słabość i ból — przemógł także nieufność i czujność wygnańca. Do klasztoru Świętego Pawła broczący krwią Tymoteusz wkroczył jako wysłannik i powiernik papieża.

W klasztorze wrzało. Większość ojców i braci ogarnął strach, ale sporo też było takich, co z zapalem witali dzień przewrotu i przemiany. Dzień odrodzenia starodawnych obyczajów, dzień klęski i sądu dla kluniackiego nowinkarstwa. Na dziedzińcu przed bazyliką pstrzyły się już kogucie pióra na kapeluszach, kucharze z radością i wzgardą lali

w koryto jedyne mu klasztorne wieprzowi przeznaczoną na postny dzień polewkę. Przeor zamknął się w celi z Tymoteuszem, Aronem i trzema ojcami najstarszymi piastowaną godnością, choć młodymi wiekiem. Panował nad sobą znakomicie, ale bladej twarzy i drżenia warg nie mógł ukryć. Zapytywał ojców, czy nie należy raczej udzielić namiestnikowi Piotrowemu schronienia za potężnymi murami klasztoru, niż stawać się współwinowajcą buntu przez milczącą zgodę na jego wygnanie. Przypomniawszy, że stokroć bardziej niż gorącym czy zimnym groził Chrystus letnim. Ale ojcowie lepiej od swojego zwierzchnika wyczuwali nastroje klasztoru. Wiedzieli, że nawet ci, którzy boleją nad tym, co się stało, natychmiast przyłączą się do uradowanych, niech tylko gruchnie wieść o przybyciu papieża. Przyłączą się ze strachu przed zemstą Rzymu.

Jak dalece mieli słuszność, niebawem się okazało: mnisi nie dopuścili nawet do wydania Tymoteuszowi worka z jadłem. Podarli w strzępy odzież, którą Aron usiłował przemycić przez furtkę w wielkim kapturze czarnej swej opończy. Poturbowano go przy tym nieco. Odkąd ostatni raz przed wielu, wielu laty dostał różgi za plątanie heksametru z pentametrem, nie pamiętał, co znaczy być bitym. Ale choć poleciały mu nawet iskry z oczu, nie cierpiał bardzo, ba, odczuwał nawet pewną dumę, iż oto dzieli po trosze los przyjaciela, którego, czuł, znów bardzo miłował.

Odprowadzał Tymoteusza. Pierwszy raz przestąpił furtkę klasztorną bez nadzoru. Po raz pierwszy też czuł się naprawdę dorosły. Mówił sobie słowami Achillesa, że upaja go groza niebezpieczeństwa. Za każdym krzakiem widział połyskujące ostrza. Słyszał za sobą tupot tysiąca nóg. Wyobrażał już sobie, jak ginie. Ginie śmiercią chwalebna, męczeńską śmiercią. Nie odpychał przecież od siebie tych obrazów, owszem, nawet je przywabił. Przysłaniały mu one myśl o tym, co jedynie go naprawdę przerażało bez miary: myśl o samotnym powrocie.

Tymoteusz raz po raz powracał do wzgardliwego okrzyku, iż lud rzymski to stado głupców.

— Wyobraź sobie — syczał chrapliwie przez spuchnięte wargi —

oni naprawdę wierzą, że Jana Krescencjusza wyrwali ze snu. Że go gwałtem potaszczyli na Kapitel. Nawet mu grozili, że zabiją, gdy krzyczał, że choć miłuje nade wszystko Rzeczpospolitą, nie może... naprawdę nie może, bo przysiągł papieżowi i cesarzowi na święte relikwie, iż nie opuści już nigdy domku z różowymi kolumnami... Zauważ, bracie, krzyczał: „Niemieckiemu cesarzowi i niemieckiemu papieżowi...” Dwie krople oliwy do ognia...

A przecież on, Tymoteusz, od dawna węszył, od dawna ostrzegał. Nie słuchano go. Nie wierzono, gdy starając się mówić jak najkwieśniej, jak najbliżej języka książkowego z całym jego bogactwem porównań, przekonywał, że były konsul od miesięcy już snuje sieć pajęczą dookoła papieża, że jak poeta wiersze cyzeluje każdy szczegół żywiołowych rzekomo namiętności ludu rzymskiego. Że z biegłością wprawnego rzemieślnika obmyśla każdy, niby nagły krzyk, który podniecać ma odwagę tłumów... waży każdą kroplę krwi, która stać się ma miarką oliwy podsycającej ogień wściekłości...

Mówił też o swoich stryjach, którzy skwapliwie ostrzą nożyce sprytnych pomysłów, by móc żarliwie dopomagać Krescencjuszowi w zbożnym dziele strzyżenia złotego runa zmartwychwstałej starorzymskiej wolności.

— Pamiętasz? Pytałeś, kto podpira Krescencjusza. Rzekłem: moi stryjowie. Nie wierzyłeś mi, śmiałeś się. A jednak tak. Oni go podpierają. Sam nawet nie wie, jak bardzo podpierają. Może silniej, niż chce.

Szli długo, a Tymoteusz mimo słabości i bólu gadał bez ustanku. Jak gdyby chciał się nagadać za cały ów czas, kiedy fala chłodu i obcości tak wyraźnie odrzucała ich od siebie. A może też i za ów czas, przez który nie będą się widzieli. A może Tymoteusz myśli o tym samym co Aron: iż oto może to w ogóle ostatnia już ich rozmowa.

Odrodzone, przyjaźń i ufność zdawały się łagodzić ból, kazały zapominać o braku trzech zębów, który niejedno słowo zamieniał w syk lub świst.

Aż pewnej chwili Aron uświadomił sobie, że z owej gadaniny coraz to jaskrawiej wyłania się coś tak nieoczekiwane dziwnego, że aż

przystanął i odruchowo cofnął rękę przytrzymującą całą drogę łokieć przyjaciela. Oto mimo całego niewątpliwego oddania dla papieża i jego sprawy, oddania, któremu dał świadectwo swą odwagą, przedsiębiorczością i nade wszystko owym okrutnym pobiciem przez stryjów — mimo całej wściekłości na lud rzymski i swoich najbliższych — Tymoteusz zdawał się cieszyć z całego biegu wypadków, właśnie takiego, a nie innego. Miało się wrażenie, że udział stryjów i braci stryjecznych w buncie przeciw papieżowi niezmiernie mu dogadza. Że gdy rzucał wyzwanie całemu rodowi krzycząc: „Nóż w plecy godłem hrabiów tuskulańskich!” — świadomie zdążył ku nieuchronnemu a nieodwracalnemu zerwaniu wszelkich związków między „oni” a „ja”. I nagle Aronowi, który miał znakomitą pamięć, wydało się, że nie dobrych kilka miesięcy temu, ale przed chwilą usłyszał: „Winnice tuskulańskie w posiadaniu jednego to bogactwo nad bogactwami, ale póki władza nimi cała gromada — wszyscy żebracy...”

Słysząc już było, jak szemrzą trzy strumienie. Niebawem je ujrzeli. Uklękli trzykrotnie w miejscach, których dotknąć miała głowa Pawła Apostoła i zbliżyli się do malej, ocienionej” kapliczki.

Aron uczuł, że nogi mu przyrastają do ziemi z onieśmienia. W uszach zaczęło brzęczeć, zaczęło walić hukami młotów rozbijających biały piękny posąg — okropnym przedśmiertnym rżeniem zarzynanych koni — rozdzierającym serce błagalnym krzykiem kobiety, której odcięto rękę...

Ale nie, to przecież niemożliwe, niemożliwe, by oto ta długa, chuda postać otulona zbyt krótką, śmiesznie krótką czarną opończę z nasuniętym głęboko na oczy czarnym kapturem, miała być jasnowłosym jeźdźcem niosącym Rzymowi sąd i miecz!

Żadnej grozy, żadnego lęku, nawet niepokoju, ale litość, tylko litość budzić mogą długie, chude ręce sterczące z ledwie łokcia sięgających rękawów... I chyba to tylko straszne... tak straszne, że Aron aż oczy zmrużył — to, że namiestnik Chrystusowy, kapłan najwyższy, pan złotych kluczy królestwa niebieskiego jest nagi... chyba zupełnie nagi pod ową najnędzniejszą mniszą opończę... nagi nagością zaskoczenia i ucieczki...

Aron z rozpaczą patrzy na małe swe stopy. Powrót bosy do klasztoru stałby się dla niego tryumfalnym pochodem... dumnym pochodem dochowanej wierności...

Tymoteusz też ma małe nogi. Ale książki o dziejach starodawnych w bibliotece klasztornej nauczyły go wiele rozumieć. Wiele takiego, z czego by dawniej śmiał się tylko prostacko. Tymoteusz ściąga z nóg spiczaste trzewiki i rzuca je w krzaki.

Po czym zaczyna mówić. Mówi o tym, że już najwyższy czas. Że lada chwila rozwrzeszczany, pijany sobą Rzym spadnie ciemnym mrowiem na klasztor, na bazylikę. I że mnisi na pewno powiedzą, gdzie schronił się papież. I Rzym runie na ciemny gaj, wdepce w ziemię świętą wodę trzech strumieni, a wraz z nią może wdeptać swoje słowo — słowo: „Wygnanie, nie śmierć”.

Z przepastnych otchłani pamięci wypływają obrazy. Oto Hektor przed bramą Skejską — nie słyszy błagalnych wołań ojca. Oto Antygona zakopująca brata — przecież wie, że z nim razem zakopuje siebie. Oto Kajus Grakchus rzucający się na miecz. I Brutus. I Kasjusz. Porcja połykająca rozżarzony węgiel, Hannibal z jadem w ręku. Aron robi szalony wysiłek i mówi tym obrazom: „Nie”. Ale jak może powiedzieć „nie” Wawrzyńcowi na kracie rozżarzonej, trzydziestu legionistom lugduńskim, Cecylii i Agnieszce, a przede wszystkim trzem strumieniom tu obok?

Wnet zalewa go potężna fala wstydu. Zaiste, nie sądźcie, byście nie byli sądzeni! Gdy Petus zadrzał przed mieczem ku sobie skierowanym, żona wyrwała mu miecz, przebiła się i rzekła z uśmiechem: „Nie boli”. A on, Aron? Czemuż nie zrzuci zaraz z nóg sandałów, nie stanie obok Tymoteusza, nie powie: „Błogosław, Ojczy Najświętszy, na wspólną z tobą drogę”?!

Oto jedno niech wypowie słowo i zniknie powód do wiecznie żywego żalu o to, że Tymoteusza wciągają do udziału w wielkich i ważnych sprawach, a jego nie! Latami całymi wzdychał, że siedzieć musi nad rękopisami, a przecież on chyba stworzony do czynów na miarę Herkulesa! Marzył mu się we śnie i na jawie bieg potężny obok Atalanty naprzeciw dzikowi kaledońskiemu. Oto jego Kaledon! Jedno

słowo, tylko jedno.

Tymczasem Tymoteusz omawiał szlak wędrówki. Z pokorą zaznaczył, że pozwala sobie wskazywać szlak, gdyż Ojciec Najświętszy jako Niemiec nie zna zapewne okolic Rzymu, nie ma zaś najmniejszej ścieżyny, której by on, Tymoteusz, nie deptał po wielokroć. Arona uderzyło owo „jako Niemiec”. Zastanowił się, czy uderzyło także papieża? Czy w uszach jego nie zabrzmiało tak samo właściwie, jak gdyby wyszło z ust Krescencjusza? Tymoteusz doradzał okrążenie miasta wielkim łukiem, przecięcie drogi Tyburtyńskiej i próbę przejścia Tybru w bród nieco wyżej Mostu Mylwijskiego. Po wyjściu na drogę Flamińską można z zapadnięciem zmroku ruszyć ku Spoletu, którego księżę na pewno nie odmówi wygnańcowi gościnności. Tym bardziej że stoi tam oddział saksoński, za mały oczywiście, by podejmować z nim próbę powrotu, ale wystarczający, by zapewnić pełne bezpieczeństwo na miejscu.

Szeroki kaptur opadał tak nisko na twarz papieża, że trudno było rozpoznać, czy słucha uważnie. Tymoteusz sądził przecież, że tak. Ogromnie więc go zaskoczyło, gdy Grzegorz Piąty przerwał mu pytaniem:

— Powiedz, dlaczego twój ród złamał mi wiarę?

Pytanie padło tak nieoczekiwanie, że zbiło wyraźnie Tymoteusza z tropu, odebrało mu pewność siebie. Jąkając się zaczął bąkać coś, co bardzo przypominało stryja Jana Teofilakta lub Krescencjusza... Że prosi Ojca Najświętszego o przebaczenie, ale prastara дума Kwiryków... ale Rzeczpospolita...

Aron znów zmrużył oczy. Był pewien, że papież wybuchnie. Istotnie wybuchł, ale nie gniewem, tylko śmiechem, który w tych okolicznościach wydał się Aronowi wprost nie do zniesienia.

Śmiejąc się papież przyglądał się złotawo-rudym włosom Tymoteusza, tonącym w siniakach zielonkawym oczom, szerokim barom, grubo wiązonym kolanom.

— Też mi Kwiryta — mruknął. — Cycero takiego kijami by z Forum kazał gnać! I dodał, ale już poważnie:

— Umiesz czytać? — a gdy Tymoteusz dumnie skinął głową,

ciągnął:

— Jakbyś zajrzał do pięknych historii, przez wielce uczonego opata Widukinda dokładnie opisanych, wiedziałbyś, że jeszcze niedawno Longobardowie, z których przecież i wy, i Krescencjusze się wywodzicie, stokroć bardziej barbarzyńcami byli niż Sasi... że Rzymianie bali się was jak psów wściekłych... Czemuż się wynosicie nade mnie? Czemu mną pomiatacie?

W ostatnich słowach rozbrzmiewała gorycz powoli przechodząca w chwytający Arona za serce smutek.

— Rzeczpospolita... Rzeczpospolita... — podjął papież po chwili.
— Poczytaj sobie Augustyna najmędrszego o losach państw potężnych rozważania... I Hieronima kronik Euzebiuszowych przekład budujący... A co Daniel prorok oglądał w widzeniu natchnionym? Potwory olbrzymie na nogach glinianych... Patrz, gdyby strumień ów nie był święty, cisnąłbym tam twój trzewik i popłynąłby... Będziesz próbował ręką, obu rękoma, kijem z powrotem go pchać, a prąd przecież zawsze z sobą go poniesie, bo silniejszy...

A spróbujesz wydostać z potoku? Już nic włożysz na nogę, będzie na nic, bo mokry... Spróbujesz wysuszyć, też na nic, bo skurczy się... Martwy będzie.

Głos Tymoteusza rozbrzmiewał wcale wyraźnym lękiem, gdy wyrzucał z siebie jednym tchem, w świst i syk zmieniając co trzecie słowo:

— Wybacz, Ojcie Najświętszy, alem skłamał.

— Co powiadasz?

— Powiedziałem, że skłamał.

— Cóżżeś skłamał?

— Mówiłem: Kwirycki, Rzeczpospolita. A naprawdę, mniemam, wcale co innego rzuciło wszystkich moich przeciw tobie... Może by i mnie też rzuciło, gdybym nie miał oczu lepszych niż oni wszyscy.

— Cóż takiego?

— Piwo.

— Coś rzekł?

— Piwo, rzekłem, Ojcie Najświętszy.

Aron pomyślał, że wolałby być głuchy. Uczul, że oblewa się rumieńcem wstydu. Wstydu za Tymoteusza. Chciał zatkać uszy, ale ponieważ papież zdawał się słuchać uważnie, nie ośmielił się.

Przede wszystkim przykro było słuchać, jak Tymoteusz mówił: widocznie wargi spuchły mu jeszcze więcej i przeciskał się przez nie głuchy bełkot raczej niż zwykła ludzka mowa. Ale stokroć bardziej przykro było słuchać, co Tymoteusz mówił. Aron pomyślał nie bez zadowolenia, że przecież jednorazowe zarzucenie wędki w jezioro mądrości i nauki nie czyni jeszcze włóczęgi rybakiem. Tymoteusz mówił o tym, że cała potęga hrabiów tuskulańskich to winnice, bo Rzym chce pić, Rzym lubi pić, Rzym musi pić i zawsze pić będzie, a znikąd nigdy nie dostawał nic lepszego do picia niż wino, które osły znoszą z tuskulańskich wzgórz. Ale oto przyszli saksońscy królowie. Stali się rzymskimi cesarzami. Zaczęli i oni pić tuskulańskie wina. Smakowało, lecz głowy nieprzywykłe do wina i do słońca za szybko się upijały. Winem i słońcem. Głowy cesarzy i głowy ich wojowników. Poczęli więc sprowadzać piwo. To piwo, smak i siłę którego wsysali z mlekiem matki. Oni, ojcowie, dziadowie, pradziadowie. Sprowadzali z daleka. To prawda. Wielkie kłopoty, wielki trud. Ale od tego byli potężnymi władcami, by przemóc kłopoty. Sprowadzali więc piwo i to dużo piwa. Pili. A Rzymianie byli ciekawi, co też piją ich władcy. Ciekawi byli, jakież to smak mają barbarzyńcy Północy. Spróbowali. Śmiali się. Klęli. Ale pili. Bo w upały piwo chłodziło lepiej niż wino. Można go było więcej wypić, o ileż więcej niż wina. Hrabiowie tuskulańscy zaczęli przeklinać słońce ojców. — Nie darmo — tłumaczył Jan Teofilaktos — napisał ktoś wielce mądry, że Apollo złośliwym był bogiem, nie dobroczynnym. Zaczęli tęsknić za zimą. Żałować, że za krótka. Ale okazało się, że Niemcy grzeją w zimie piwo. I że jest pożywniejsze niż grzane wino. Z coraz to mniejszym ładunkiem wracały osły do Tusculum. Z coraz to większym szły na Północ.

Tymoteusz mówił coraz to wolniej. Coraz to trudniej. Z wielkim wysiłkiem, nie tylko dźwięku, nie tylko słowa, ale i myśli. Aron odczuwał niepokój już nie za niego, ale za siebie. Słyszał, jak to coraz

głośniej, coraz żywiej bije mu serce. Zaraz stanie się. Musi się stać. A on już oswoił się z myślą, że nie. Stanie się jednak. Papież nazwie Tymoteusza ciemnym głupcem i przepędzi precz od siebie. A wtedy Aron będzie musiał pójść z papieżem. Będzie musiał... będzie musiał...

Gdy Tymoteusz umilkł, papież długą chwilę bacznie mu się przyglądał. Aronowi ta chwila wydawała się wiekiem. Dopiero teraz nareszcie mógł widzieć lepiej oczy papieża. Były duże, trochę wypukłe, bardzo jasne. Jasnością, o której trudno powiedzieć, czy należy ją nazywać błękitną, czy szarą.

Wreszcie papież otworzył usta. Aron zamarł. — Cieszę się, że mam ciebie przy sobie — wolno cedząc każde słowo rzekł Grzegorz Piąty.

I więcej nic. Jak gdyby nic nie słyszał o winie i piwie.

Cieszy się! Jemu, Aronowi, też mógłby powiedzieć: „Cieszę się”. Nikt, nikt z towarzyszy szkolnych Arona ni w Glastonbury, ni w Cerne, ni w Reims nie stał i nigdy nie stanie w obliczu okazji, by pan kluczy królestwa niebieskiego powiedział mu: — „Cieszę się, że jesteś przy mnie”. Należy powiedzieć tylko jedno słowo. Przecież rozumie, doskonale rozumie, że łowczyni Atalanta to był sen o Grzegorz Piątym.

Ale właśnie ponowna myśl o Atalancie przynosi Aronowi błogi spokój. Więcej, poczucie dumy. Więcej, poczucie potęgi. Kiedyś, kiedyś, gdy Ojciec Najświętszy wróci do Rzymu, powie otaczającym go biskupom i opatom: zaiste, wierniejszy mi był Aron niż Tymoteusz! A jeśli nie wierniejszy, to przecież o ileż sroższą pełnił służbę! Gdy Tymoteusz poszedł ze mną, Aron pozostał, by własną pierśią powstrzymać goniących. Nie uciekł od Rzymu, ruszył Rzymowi naprzeciw. Biegiem ruszył. Tak jak biegiem mknął obok Atalanty przeciw dzikowi po rozmokłej ziemi Kaledonu. Jak Wawrzyniec nie przeląkł się rozżarzonej kraty.

Łzy napłynęły do oczu Aronowi. Łzy rozczulenia nad sobą. Ale też łzy poczucia mocy, ofiarnej mocy. Wyobraził sobie, że innym rozdziałem zamknąć się może księga dziejów wygnania Grzegorza

Piątego. Oto grobowiec marmurowy w podziemiach Piętrowych. W pobliżu miejsca, gdzie leży Otto Czerwony. Bo czyż jest miejsce za wysokie dla tego, co padł w służbie stolicy Piętrowej? Męczeńską padł śmiercią. Nadstawiając piersi ostrzom, które w piersi Ojca Najświętszego godziły. Opaci i biskupi Romanii i Tuscji, Italii i Burgundii, obu Frankonii i obu Lotaryngii, a przede wszystkim opaci i biskupi Brytanii i Irlandii kornie zginają kolana przed grobem świętego męczennika. Tysiące jarzących się świec, grzmiące dzwony, głosy i pienia, pienia, pienia... pienia starców i chłopiąt, dziewcząt i niewiast... wśród niewiast ze łzami w oczach najśliczniejszym z głosów śpiewa Teodora Stefania...

W sporo lat później w Polsce Aron towarzyszył kiedyś Bolesławowi w łowach. Jedyny raz. Nie znosił łowów. Żałował zwierząt. Ale wtedy tak wypadło, że nie mógł odmówić. Polowano na dużą zwierzynę. Ale była chwila, gdy psy pogoniły jakieś malutkie brunatne zwierzątko. Aron cierpiął, cierpiął z nim razem. Nagle zobaczył, że nie ucieka. Przywarło do ziemi. Tkwiło nieruchomo, gdy psy go dopadły. Wielkie silne psy, przed którymi, gdy szły gromadą, uciekały lisy i kozice, nawet łosie i niedźwiedzie.

Wraz z dumnym spokojem rosła w duszy Arona wielka miłość do papieża. Nie widział już w nim groźnego pana sądu i miecza. Widział bolejącego, udręczonego wygnańca. Słyszał niesłyszalne dla Tymoteusza westchnienia. Westchnął sam i wraz z westchnieniem popłynął z ust jego pełen udręki i bólu wiersz:

Jam subit, illius Christissimae noctis imago,
quae mihi supremum tempus in urbe fuit.

Czuł, że nigdy nie recytował z takim uczuciem, z taką siłą i taką śpiewnością. Nie tylko arcybiskup Alfryk, ale i sam opat Elfryk — gdyby mógł go teraz słyszeć — miałby w oczach łzy dumy. iż takiego wykształcił ucznia.

— A cóż to za dzieciuch taki uczony? — odezwał się papież tonem, o którym trudno byłoby powiedzieć, co w nim właściwie brzmi: podziw czy lekceważenie.

Patrzył na Arona tak, jak gdyby go w ogóle dotąd nie widział.

Aron upadł na kolana i zaczął mówić o sobie. Kim jest, skąd jest. Ale papież zdawał się nie słuchać. Przerwał mu:

— Dośpiewam ci — rzekł przyjaznym, ale wciąż lekceważącym jak gdyby tonem:

Jam tot mihi cara reliqui.

Tyle drogiego tu zostawiam. To prawda. Ale widzisz, dzieciaku...

Urwał na chwile. Gdy podjął znowu, w głosie jego brzmiało coś z młodzieńczego zuchwalstwa i młodzieńczego też uporu.

— Widzisz... Twój płaczący poeta widocznie czuł, że nie wróci... A ja wrócę. Jam nie Owidiusz, mnie cesarze nie wyganają, ale na tarczy przynoszą, gdzie chcę... Mówię ci, wrócę... Wrócę z mieczem. Nie, z obydwoma mieczami.

Wstał. Tymoteusz zbliżył spuchnięte wargi do ucha Arona i syknął:

— I ja też wrócę, bracie. Wrócę wziąć wszystko, czego chcę.

— I Teodorę Stefanię? — wyrwało się Aronowi.

— I Teodorę Stefanię. Zobaczysz. I zobaczysz, że nie na chwilę uciechy... chwilę przez nią dla śmiechu upatrzoną. Na zawsze. On — wskazał okiem na papieża — podzieli się ze mną dziedzictwem Krescencjusza. Jemu — Janowa głowa, mnie — żona.

4

Grzegorz Piąty wrócił do Rzymu. Wrócił tak, jak zapowiedział: niosąc dwa miecze. Miecz kościoła i miecz cesarski. Białe słońce dwudziestego drugiego lutego ledwie zdążyło się zbudzić, a już miało przed sobą usługne zwierciadło:

tysiące i tysiące płaskodennych saksońskich hełmów. Mętna, żółtawa, płytka woda Tybru stokroć bardziej zmętniała, szczerze obdarowana prochem i brudem zaalpejskich bezdroży. Morze, bezkresne zielone morze, takie zazwyczaj beztroskie, dumne i potężne, zdobywało się teraz tylko na słaby, cichy pomruk współczucia, którym przyjaźnie głaskało nieutuloną w żałobie Kampanię, daremnie usiłującą pełnym bólu echem zagłuszyć straszny huk dwusiecznych frankońskich toporów gniewnie walących w pień spróchniały Rzeczypospolitej.

Na nowo przestały rzeć konie w bazylice Świętego Wawrzyńca, za to przestronne, okazałe sale w pięknych willach prześlicznych, czarnookich, niepiśmiennych wnuków Marozji i Teodory rozbrzmiały nagle przeciągłym rzeniem bojowych rumaków, wesoło ciągnących czysty, rzeźwiący napój z tysiącletnich sadzawek i wodotrysków. Na nowo przeppełnił klasztorne kuchnie mdły zapach wodnistych, postnych polewek. Na nowo trzęsące się mnisze dłonie wciągały czarną szorstką suknię na wstrząsany dreszczem grzbiet, cały w czerwonych, a to i sinych pręgach. I na nowo zamilkł między ołtarzami dźwięczny, radosny, zmysłowy śmiech kobiecy.

Tylko lud rzymski po dawnemu budził niechęć gwiazd, własnym przemysłem czyniąc z nocy dzień. Z pochodniami płynął po dawnemu huczącym potokiem od Awentynu do Lateranu, od Maryi Większej na Kapitol. Po dawnemu upajał się dumą, że tylko on, właśnie on, zawsze on... Po dawnemu zrzucał na zimne stopnie tych, komu chciał się pokłonić. Po dawnemu brzmiał jego głos, choć już nie krzyczał: „Rzeczpospolita!”, tylko: „Ave Caesar Imperator, Ave Sanctissime Papa”.

I po dawnemu szły w górę ceny tuskulańskich win.

Z papieżem wrócił Tymoteusz. Wrócił otoczony tłumem sług i pochlebców. Kiedy chciał, wchodził do Lateranu i zamku Leonowego na Watykanie. Jeździł w kwadrydze ozdobionej złotymi kluczami. Woził nią Arona po wszystkich zakątkach Miasta. Przeora od Świętego Pawła klepał przyjaźnie po ramieniu. Bezlitosnymi drwinami z targanych trwogą braci stryjecznych zagłuszał świst sączący się przez szczerbę w lewym kąciku ust.

Ale w oczach miał smutek i gorycz. Bo nie dostał ni winnic tuskulańskich, ni Teodory Stefanii. Nie dostał nigdy.

Był pewien, że dostanie. Wiedział, że tego samego dnia, gdy Imperator Otto zeskoczył z siodła przed bramą domu biskupiego w Pawii, odbyła się długa tajemna rozmowa między Panem Cesarzem a Panem Papieżem. Otto klaskał w ręce z uciechy na myśl o gaju szubienic, który wieńcem tuskulańskich hrabiów otoczy kolumnę Marka Aureliusza. Było mu miło, że ojciec Tymoteusza zdążył spokojnie umrzeć przed dziewięciu laty. Bo przecież gdyby żył, podzieliłby los braci. A drogi sercu cesarskiemu Tymoteusz miałby niepotrzebne zmartwienie. Bo choć na pewno ojciec biłby go i kopał jak reszta rodziny, przecież zawsze niemiło by mu było patrzeć przez ostrołukie okno na rodzica kołyszącego się z wywieszonym językiem.

Jeszcze bardziej ucieszył cesarza zamiar oddania najwierniejszemu z wiernych urodziwej podobno Teodory Stefanii. Z płonącymi oczyma roztaczał przed papieżem obraz pierwszej wspólnej jej z Tymoteuszem nocy. Krescencjusza przykuje się żelaznym łańcuchem do ich łoża: niech się napatrzy do syta. A rano odkuje się go, by uciąć głowę.

— Co byś powiedział, ojczy i bracie — pytał wesoło, mierząc chudymi, długimi nogami wykładaną czerwonymi płytami posadzkę — gdyby się tak posłało wraz z rannym posiłkiem nasyconej miłością parze głowę Krescencjusza na srebrnej, ba, nawet na złotej tacy?!

Papież opowiadał Tymoteuszowi, że po tych słowach omal nie runął na czerwone płyty wraz z krzesłem, na którym siedział. Tak silnie pchnął krzesło cesarz padając nagle całym ciałem do jego obutych w czerwień i złoto stóp. Spod stóp tych patrzyły na papieża

szeroko rozwarte, nie wesołością już, ale trwogą obłądną tchnące, pełne rozpaczy oczy dziecka. Dziecka najlękliwszego z lękliwych. Dziwacznie, nawet śmiesznie trzęsły się nagle zbielełe, tak wzgardliwe zazwyczaj, piękne, wąskie wargi. Głośno szczękały długie, drapieżne zęby.

— Powiedz... powiedz... Czym nie wywołał gniewu... nie obraził zanadto świętego Jana Chrzciciela mówiąc... o tej tacy? Przecież to straszny... to śmiertelny grzech... prawda? Prędeż... prędeż... podnieś rękę... rozgrzesz, mów zaraz absolicję apostolską...

Równie szybko jak padł, zerwał się na równe nogi. Tupnął.

— Słyszysz? Rozgrzesz, powiadam ci, natychmiast... Przecież od tego jesteś... Po to cię wprowadzają znowu do Rzymu moi Frankowie i Sasi... po to... po to... po to... po to...

Piana wystąpiła mu na usta. Grzegorz Piąty przybladł, ale w spojrzeniu, jakim mierzył miotającego się Pana Świata, nie znać było niepokoju, tylko wnikliwą uwagę. Spokojnie też, choć tak sucho i wyniośle, jak nigdy nie odzywał się do Tymoteusza, powiedział:

— Po rozgrzeszenie zgłoś się do swego spowiednika. Nie wiem oczywiście, czy uzna ciebie godnym absolicji. Ale to wiem dobrze, że nie przykujesz Krescencjusza do łoża Tymoteusza i Teodory Stefanii. Nie przykujesz już choćby dlatego, że nie pozwolę Tymoteuszowi tknąć Teodory Stefanii inaczej niż jako ślubną żonę... A by nią być, musi najpierw zostać wdową... Czyli gdy wejdą razem do łoża, Krescencjusz nie będzie już miał głowy.

Ale stało się inaczej, niż papież zamierzał. Teodora Stefania nigdy nie weszła do łoża z Tymoteuszem. Nigdy nie została jego żoną.

— Lecz winnice? Co się stało z winnicami? — gorączkowo dopytywał się Aron przechadzając się z przyjacielem między porośniętymi trawą ruinami pałacu Septymiusza Sewera na Palatynie. Czuł się nieswojo. Nie mogąc zrozumieć smutku i goryczy w oczach Tymoteusza rzucił bez namysłu:

— Nie pojmuję ciebie. Gdy winnice tuskulańskie mają już jednego pana...

Z przestraczem zobaczył, że po tych słowach Tymoteusz zbladł.

Lewy kąt ust wykrzywił się w gniewnym grymasie odsłaniając szczerbę w zębach.

— Słusznie powiedział — w głosie jego brzmiała zaciętość. — Bardzo słusznie. Winnice istotnie mają jednego pana.

Wzrok jego ogarniający niezmierną przestrzeń, jaka uroczym obrazem ścieliła się u ich stóp, obojętnie prześliznął się ponad długim węzłem drogi Appijskiej wysadzonej osnutymi welonem świetlistej mgły piniami i grobowcami. Zatrzymał się dopiero na najdalszej z dalekich linii ciemnych wzgórz. Tam było Tusculum!

— Ów pan jedyny winnic — ciągnął głosem coraz bardziej świszczącym — już mnie zapytywał, czybym nie wrócił do dobrze znanej sobie roboty... czybym nie został głównym zarządcą całego gospodarstwa... Jako nowa głowa senatu, jako ulubieniec cesarski najniezbędniejszy w Mieście, zamierza na stałe przenieść się do zameczku naprzeciw kolumny Marka Aureliusza. Chce więc mieć w Tusculum, gdzie tylko z rzadka będzie wpadał, kogoś takiego, komu może zaufać, na kim może polegać.

Istotnie w rok później, gdy zmarł przedwcześnie Grzegorz Piąty, zjawił się Tymoteusz w Tusculum jako naczelnny zarządca dóbr stryja Jana Teofilakta. Do Miasta zjeżdżał rzadko, w klasztorze Świętego Pawła nie pokazywał się prawie nigdy. Zresztą Aron wówczas nie mieszkał już w klasztorze, ale w Lateranie, przy boku nowego papieża, Gerberta Sylwestra. Kiedyś namiestnik Piotrowy i jego ulubieniec wysiedli z kwadryg-i na Polu Marsowym. Na placu przed Panteonem tłum gapiów podziwiał sprawność ruchów i umiejętność władania bronią u ćwiczącego zbrojnego oddziału. Byli to ludzie hrabstwa tuskulańskiego. Dowodził nimi Grzegorz, jedyny nie wygnany z Miasta brat stryjeczny Tymoteusza. Opodał oddziałku, na kwadrydze, ozdobionej nie złotymi kluczami, jak spodziewał się Aron, ale podobizną wysmukłej kolumny, stał Tymoteusz. Opalony ogromnie i jakoś bardzo wiejski. Zeskoczył z kwadrygi. Ruszył ku Aronowi. Przyklękając ucałował papieża w dłoń. Sylwester Drugi pochwalił sprawność ćwiczącego oddziału. Tymoteusz odparł z uśmiechem, że trudno o wierniejsze, bardziej oddane stolicy Piętrowej wojsko.

Okazuje się, że największe, najpewniejsze oparcie cesarza i papieża w Mieście to hrabstwo tuskulańskie. Nawet sen o buncie jest niemożliwy, gdy czuwa niezłomny ojciec ojców ojczyzny, ozdoba Miasta i Imperium, Jan Teofilaktos. Każdy dzień przynosi nowe dowody jego gorliwości.

— Aż zębów szkoda — mruknął Tymoteusz do Arona.

Pełne czci powitanie papieża przez Tymoteusza nie mogło nie zwrócić uwagi stłoczonej na placu gawiedzi. Zagrzmiały okrzyki, oklaski, natarczywe, namiętne wołania o błogosławieństwo.

Sylwester pospiesznie przeżegnał tłum trzykrotnym znakiem krzyża i cofnął się wraz z obu młodzieńcami między potężne, surowe, ciemnoszare, chropowate kolumny od tyłu, tyłu wieków wiernie pełniące niemą straż przy wejściu do Panteonu. Prastary ów gmach, nazywany też przez lud rzymski Okrągłakiem, od dawna już był kościołem poświęconym czci Wszystkich Świętych, jak opowiadano Aronowi w klasztorze Świętego Pawła, albo też czci Maryi, Królowej wszystkich męczenników, jak twierdzono w klasztorach awentyńskich. Słyszał też niejednokrotnie, że w kościele tym nabożeństwa odprawiane są rzadko i niechętnie: niechętnie też pono patrzą już od wieków papieże na od wieków niezmienny napływ modlących się. Arona to zawsze zdumiewało niepomierne. przestał przecież się zdumiewać, gdy po raz pierwszy w życiu przekroczył z papieżem i Tymoteuszem próg świątyni. Zrozumiał wszystko.

Gdy weszli, ogarnął ich mrok. Mrok inny zupełnie niż w bazylice Pawiowej. Inność tę powodował oślepiający słup jasności włamujący się do ciemnej świątyni poprzez ogromny otwór okrągły w kopule wyłożonej harmonijnie od wewnątrz wieńcami kwadratów. Na posadzce kołysał się i wolno prześlizgiwał z miejsca na miejsce olbrzymi świetlisty krąg, pogłębiający tylko niesamowitą ciemność, jaka ogarniała wchodzących. Aron głośnym szeptem przekonywał siebie, że przecież ów ślizgający się ruch to tylko odbicie ruchu słońca, a jednak nie mógł zdusić w sobie potężnej fali dreszczu. A już zupełnie zrobiło mu się nieswojo, gdy nagle ujrzał w środku kręgu całą prześwieconą blaskiem, jak gdyby na wylot, smukłą postać papieża

Sylwestra. Niesamowity był to blask — blask zaiste magiczny. Aron przysiągłby, że papież w tej chwili jest znacznie wyższy niż zazwyczaj. Wyższy i piękniejszy. Pamięcią targnęły boleśnie i to naraz wszystkie kiedykolwiek zasłyszane opowieści o magicznej mocy Sylwestra. O czarach, o demonach jednym słowem zwoływanych, by pokornie służyły, o nocnych tajemnych rozmowach ze stojącą na zawalonym rękopisami i figurami geometrycznymi stole białą głową o prześlicznej twarzy, pełnej smutku lub zadumy o sprawach niepojętych. Aron mówił do siebie: głupiec, prostak, ciemny nieuk — a przecież nie miał odwagi podnieść głowy; bał się zobaczyć w dzień nietoperze zlatujące przez otwór w kopule nad okoloną wieńcem blasków głowę papieża.

— Widzicie te figury geometryczne zdobiące wgłębienie w murze? Patrzcie, jakie łagodne łuki... jakie niskie trójkąty... Podobno biblioteka w Efezie miała wszystkie okna ozdobione tak samo: łukami na jednym piętrze, trójkątami na drugim...

Spokojny rzeczowy głos papieża, skądś już spod ściany, nie z kręgu, w okamgnieniu wytrzeźwił Arona. Zalała go fala wstydu. Zaiste, głupcem jest nad głupcami, prostakiem nad prostakami! Zrobił krok i sam stanął w środku świetlistego kręgu: długo poił oczy niewysłowionym urokiem wspaniałego, soczystego błękitu, olbrzymim nieruchomym dyskiem tkwiącego wprost nad głową.

Gdy wyszedł z kręgu i stanął przy papieżu, by przyglądać się wraz z nim ścianom i słuchać uczonych objaśnień, wnet uczuł nową falę niepokoju, ledwie wzrok przyzwyczaił się nieco do ciemności i począł rozróżniać linie i kształty. W piaskowym, prawie pomarańczowym marmurze, jakim wyłożone było całe koliste wnętrze świątyni, wyraźnie dawały się wyróżnić prostokątne wgłębienia, o których mówił przedtem papież. Rozmieszczone symetrycznie w równych odległościach, wywołały nagle w zakamarkach pamięci Arona tylokrotnie słyszaną w dzieciństwie opowieść o okrągłym stole króla Artusa. Jak tam potężni i dobrotliwi zarazem rycerze zajmowali miejsca w równych jeden od drugiego odległościach, by żaden dzięki okrągłości stołu nie mógł pomyśleć, że inny dostojniejsze ma miejsce niż on — tak samo, przecież zupełnie tak samo, stali ongiś w tych

wgłębieniach, żaden nad innego nie wywyższony — kto?... bogowie... Nieruchomymi, spokojnymi, marmurowymi twarzami spoglądali z wysokości wgłębień na kornie modlących się, składających ofiary, spalających wonności, wiecznie o coś proszących ludzi... Tłoczyli się tu nieustannie... przybiegali ochoczo, skwapliwie... Każdy znajdował potrzebnego sobie i swoim troskom boga... Prosilili jednych o zdrowie, innych o bogactwa, jeszcze innych o śmierć, kalectwo lub hańbę wrogów... Słali pod białe boskie stopy urodę lub brzydotę swych córek, ceny win i oliwy, obfitość zbiorów, wytrzymałość oślich grzbietów, kruchość kwadryg ścigających się w hipodromie... Bogowie znikli, ale ludzie przychodzili z tym samym... przychodzili jak dawniej ochoczo i skwapliwie... Nieomylnie znajdowali wśród wszystkich poddanych królestwu Maryi męczenników takiego, który właśnie dla danej okazji najbardziej mógł być przydatny... Z żarliwością nadzriadów palili wonności przed pustymi wgłębieniami, wypełniając je obrazami potrzebnych sobie opiekunów o zasłyszanych w czasie kazań imionach... Zwracali się do mędrców, którzy życie strawili w dzikich pustelniach na odważnym zagłębianiu się w tajemnice Przedwiecznej Mądrości... Zwracali się do dziewic, co wolały więzienie, tortury, śmierć samą niż życie rozkoszne w świecie, którego nie chciały przyjąć za swój świat... Jednych i drugich prosili o tajemnicę wyniku wyścigów, o zwyczaj lub zniżkę cen zboża i oliwy... o strojne suknie... o bogate żony... o łaskę znalezienia rzeczy zgubionych, nie o łaskę doskonałości... o powodzenie, nie o zbawienie... Aron zaczynał dobrze rozumieć papieży niechętnie widzących tłoczenie się nabożnych w tej wspaniałej, prastarej świątyni. Ale zaczynał też rozumieć niemą mowę wgłębień. Zdawało mu się, że słyszy powitalny szept: „Bądźcie pozdrowieni, pełni mądrości mężowie... Zaiste mało kto kiedy był tak pożądanym gościem tutaj, jak wy właśnie... Bo mało kto wie o nas tyle, co wy... Spójrz w to wgłębienie: tu stałam ja, której tylekroć dziękowałeś za wierność dla tułacza, co rodzimej szukał Itaki... A oto tu znów ja, któregoś tak gorąco podziwiał za precudne obrazy na tarczy, w jedną noc dla Achilla wykutej... A tam znów...”

Nie, nie dopuści, by powtórzyła się straszna rozmowa z kolumnami. Słabym głosem poprosił papieża, by wyszli:

tak bardzo źle się czuje. Ma zawrót głowy.

Straż kościelna z trudem odpierała pchający się ku świątyni tłum. Znowu zabrzmiały okrzyki, oklaski, znowu natarczywe, namiętne prośby o błogosławieństwo. Tymoteusz skinął na Grzegorza; ów w lot zrozumiał: oddziałek tuskulański błyskawicznie najeżył się groźną ruchomą szczecina. Tępe końce włóczni poczęły torować przestronną drogę jak wstęga przecinając rozhukany, falujący tłum. Aron gryzł się, że razy drzewc nastroją tłum nieżyczliwie, wrogo, wzniecą gniewną wrzawę, rozjątrzą. Mylił się. Odpierani, popychani, tu i ówdzie tłuczeni dotkliwie obywatele rzymscy, nadal obsypywali papieża kwieciami przyjaznych okrzyków, oblewali nie milknącą kaskadą oklasków. ..Tak musiał Rzym witać Cezarów w hipodromie” — pomyślał Aron.

Wsiadali już do kwadrygi, gdy nagle spomiędzy rozstawionych nóg tuskulańskiego kopijnika wyśliznął się obdarty, czarnowłosy, czarnooki wyrostek. Uklęknął przed kwadrygą i ucałował papieża w nogę.

— Ojczy Najświętszy — rzekł śmiało i niemal łaskawie — jeśli dasz mi solida, powiem ci coś, co cię bardzo obejdzie.

Papież uśmiechnął się.

— Mów — powiedział zaciekawiony dając monetę.

— Wiem, że Pan Papież zbiera stare posągi. Niedaleko stąd kupa ludzi łamie ładną zieloną statuetę. Gdym tam był, już jej odwalili nogę. Jak dasz, Ojczy Najświętszy, jeszcze jednego solida, pokażę najkrótszą drogę.

Zostawili kwadrygi, poszli. Tłum walił za nimi, odpierany z trudem coraz to większym. Grzegorz zagroził, że każe nastawić szczecinę ostrzy. Pomogło, lecz nie na długo.

Istotnie niebawem zobaczyli gromadę ludzką tłoczącą się wokół pięknej statui z brązu. Musiała też być bardzo stara, tak gęsta już była pokrywająca brąz zielona pleśń. Posąg chwiał się na jednej nodze. Walono weń kijami, nożami, dłutami, młotami, nawet ciężkim żelaznym drągiem, rzeczą tak rzadką naówczas w Rzymie.

— Rozstąpcie się! — zagrzmiął Tymoteusz. Kopijnicy szybko

i sprawnie oczyścili wcale dużą przestrzeń wokół posągu. Spoceni ludzie z narzędziami mieszały się z towarzyszącym papieżowi tłumem. Patrzyli spode łba, wściekli, że ich spłoszono.

— To chyba Oktawian August — rzekł papież do Arona, a zwracając się do odpędzanych od posągu, zapytał:

— Co tu robicie?

Wyjaśnili. Aron słuchał z coraz to rosnącym zdumieniem, ale i z nie mniejszym zaciekawieniem. Spojrzał, gdzie wskazywali palcami. Na postumencie wyraźnie rysowały się litery. Papież postąpił bliżej, przyjrzał się, przeczytał: „Uderz tutaj!” Okazało się, że przyszli rozbijać posąg, zwabieni napisem. Bo cóż innego może on oznaczać, jak to, że pusty brąz zawiera wewnątrz skarby!

Papież śmiał się. Nazwał ich głupcami. Jakie skarby? Tylko posąg uszkodzili. Upierali się. Czuło się, że nie ustąpią. Gdy orszak papieski odjedzie, wróćą do dzieła zniszczenia. Jeśli odpędzi się ich drzewcami, przyjdą kiedy indziej. Jeśli postawi się straż, przyjdą w nocy, przekupią albo wielką zbrojną gromadą obezwładnią. Przecież trudno stawiać całe wojsko dla ochrony jednego posągu! Uwięzić ich? Przyjdą inni. Na pewno przyjdą. Na dziesiątkach twarzy w tłumie przybyłym z papieżem malowało się zaciekawienie. Za godzinę to się rozniesie po Rzymie całym! Zabierać posągu papież nie chciał: tworzył tak wspaniałą harmonijną całość z postumentem, że odrywać go byłoby barbarzyństwem. Przeciwnie, należy zostawić na miejscu, przymocować zręcznie na powrót oderwaną nogę, uporządkować plac dookoła — stanie się jedną z największych ozdób Rzymu.

Aron widział, jak papież dłuższą chwilę przyglądał się w skupieniu wysoko podniesionej, daleko naprzód wysuniętej ręce Oktawiana Augusta, wskazującej przed siebie pięknie wyrzeźbionym palcem. I powoli zaczął wykwitać na ustach Sylwestra uśmiech zadowolenia, niewolny też od ledwie zarysowującego się wyrazu chytrości.

— Mówiłem, żeście głupcy — zawołał. — Nie rozumiecie, co znaczy „Uderz tutaj”. Gdzie tutaj? Jakie skarby można zmieścić w brzuchu posągu? Dwa srebrne kubki? Tyleście się głowili, a nikt

z was nie pomyślał, dlaczego posąg wyciągnął przed siebie rękę, co pokazuje palcem... Wiecie, co znaczy „Uderz tutaj?” Oto: uderz tam, gdzie padnie w południe cień wskazującego palca. Tam też kopcie. Jak coś znajdziecie, przyjdźcie, powiedzcie. Ba, myślę, że wypada, byście się ze mną podzielili w nagrodę za dobrą radę, nieprawdaż?

Rozbrzmiały okrzyki zdumienia i zachwytu. I znowu kaskady oklasków.

— Oto mąż Boską nawiedzony mądrością! Salomon, Wergiliusz!

Ktoś nawet krzyknął „Nestor”, aż papież się zdumiał. Tyle wykształcenia na ulicy rzymskiej! Ludzie z narzędziami upadli na kolana i całowali ślady kół papieskiej kwadrygi. Gdy na zakręcie Aron rzucił w stronę posągu pożegnalne spojrzenie, zobaczył szybko rosnącą górę żwawo wykopywanej ziemi.

Jechał teraz w kwadrydze Tymoteusza. Widział, że stary przyjaciel pełen jest niepokoju. Zapytał, co się stało. Tymoteusz trwożnym spojrzeniem wskazał oczyma na papieża. Aron nie rozumiał. Tymoteusz nie wypuszczając z rąk cugli nachylił się nad jego uchem:

— Kto mu to powiedział?

— Co powiedział?

— Że skarby są właśnie tam. Biała głowa, co? Arona ogarnęło niemiłe uczucie. Gdy przyjadą do Lateranu, trzeba będzie koniecznie poprosić papieża, aby raczył wyjaśnić tajemniczą sprawę. Ale na razie trzeba starać się odwrócić uwagę Tymoteusza od niebezpiecznych myśli, mogących przeobrazić się w grzech przeciw Piotrowi świętemu. Zaczął zastanawiać się nad tym, co by powiedzieć. Na pomoc pomysłom przywołał pamięć. Dopomogła. Ucieszył się niezmiernie. Odwróci myśli Tymoteusza w inną stronę a nadto sprawi mu przyjemność, pokrzepi.

— Pamiętasz — zaczął mówić ciepłym, serdecznym głosem — jak w straszny dzień buntu opowiadałeś w Gaju Trzech Strumieni Ojcu Najświętszemu Grzegorzowi o walce wina z piwem?

— Pamiętam — oschle odpowiedział Tymoteusz.

— Myślę, że to, coś wówczas mówił, musiało być mądre, skoro Pan Papież wysłuchawszy raczył powiedzieć, że cieszy się, iż ma

ciebie przy sobie.

— Może było mądre.

— Więc słuchaj — z żywością zawołał Aron. — Nie masz powodu żegnać się z nadzieją. Przecież lada dzień Jan Teofilaktos znów nie dochowa wierności, będzie próbował buntu, oczywiście poniesie klęskę, a wtedy... tym razem przecież już mu się nie przebaczy...

— Mylisz się, bracie. Nie będzie próbował buntu. Dochowa wierności.

— Jakże to? Czyżeś nie mówił, że wino musi prowadzić wojnę z piwem...

— Powiedziałem. Ale przecież każda wojna kończy się kiedyś. I ta też. Nawet już się skończyła. Dawno. W dniu, gdyśmy z Ojcem Najświętszym Grzegorzem wrócili do Miasta.

— I któż zwyciężył?

— Wino.

— Nie rozumiem. Słuchaj, to niemożliwe... Przecież sam mówiłeś, że jeśli król niemiecki ostoi się w Rzymie, to piwo...

— To samo słowo w słowo mówił Najświętszy Ojciec Grzegorz. I wiesz kiedy? Zaraz po naszym powrocie. Śmiał się, nazwał mnie głupcem. Dobrze pamiętam, co rzekł, jakby to wczoraj było: „A czy ty wiesz, Tymoteuszu, że za wojskiem saksońskim ciągną niezliczone zaprzęgi wołów z beczkami piwa, tyloma, ile ich nigdy w Rzymie nie bywało? A im dłużej dochowywać będzie Miasto wierności swemu Imperatorowi, tym więcej będzie ich przybywało...”

— Prawdę rzekł Ojciec Najświętszy.

— Nie, bracie, nie rzekł prawdy. Prawdą było to, że do-póki Imperator Otto żyje i panuje, zwyciężać musi wino.

Ja się tego domyślałem, ale nie umiał nic z tego domysłu wykrzesać. A stryj Jan Teofilaktos umiał. Ale bo też on nie tylko się domyślał: on wiedział. A że miał słuszność, okazało się to zaraz wówczas, gdy klęczącego z popiołem we włosach przy bramie Flamińskiej Imperator nie chwycił za rude kudły, nie plunął mu w twarz, nie kazał swym Sasom powiesić, tylko pozwolił wygłosić do siebie mowę, a potem podstawił synowi marnotrawnemu stopę pod

usta, by pocałunkiem dziękował za przebaczenie, ba, za wywyższenie. Byłem mocniejszy, moc Grzegorza tryumfatora stała za mną, ale zwycięża nie silniejszy, tylko mądrzejszy. Stryj był mądrzejszy, więc panem jest winnic, a ja jego pachotkiem.

Tymoteusz nie ukrywał przed przyjacielem, jak bardzo podziwiał stryja Jana Teofilakta. Podziwiał nienawidząc. Gdy Rzym oniemiały ze zgrozy pokornie kładł głowę pod

- dwusieczny topór, dwu było mężów, którzy chcieli się bronić. Jan Krescencjusz i Jan Teofilaktos. Jeden z mieczem w ręku stanął na szczycie wieży Teodoryka, drugi z popiołem we włosach klęknął przy bramie Flamińskiej. Zbrojny w żelazo Krescencjusz wiedział, że zginie, ale walczył; zbrojny w myśl bystrą Jan Teofilaktos walczył, bo wiedział, że zwycięży. Wiedział, że klękając wyciąga głowę nie pod topór, lecz pod wieniec laurowy. Oczywiście mogło go zgubić jedno nieopatrzne słowo, jeden ruch inaczej wykonany niż pomyślany — ale o to był spokojny: wiedział, że błędu nie popełni. Groza mąk i śmierci nie zamąci ostrości myśli, nie osłabi władzy nad głosem, rękoma, grzbietem. Najważniejsze było, aby Otto zechciał słuchać, najtrudniejszy więc był początek, owo: „Panie nasz Wieczny, Miły Bogu Cezarze Imperatorze, Ottonie Pobożny, Szczęśliwy. Niezwyciężony, Saksoński, Frankoński, Longobardzki, Słowiański, zawsze Auguście...” Samobójstwem byłoby zapomnieć, iż przed „Cezarze” trzeba błyskawicznie, ale bardzo wyraźnie wyrzucić z siebie „Boski” i natychmiast zmieszać się, zarumienić, iż oto rzymskość doskonała Sasa Ottona doprowadza go do grzechu przypisywania chrześcijańskiemu władcy atrybutu boskości, ale tyle w nim jest z Augusta Oktawiana, Tytusa, Trajana, Hadriana, Marka Aureliusza... Niemniej zabójcze byłoby odwoływanie się do świętych słów Pisma o przebaczeniu siedem razy siedemkroć, o winach odpuszczanych naszym winowajcom, o miłowaniu nieprzyjaciół... Nie, głosem uroczystym, podniosłym, skruszonym, ale nie błagalnym należało mówić o Juliuszu płaczącym nad głową Pompejusza, wroga śmiertelnego... O Korneliuszu oplakującym pożar Kartaginy... O Tytusie, który straconym nazywał dzień ów, kiedy żadnego dobrego

nie spełnił uczynku... o Auguście wspaniałomyślnie przebaczącym Cynnie...

Gdy Tymoteusz żalił się Grzegorzowi Piątemu, że Imperator Otto mianuje Jana Teofilakta głową senatu, zamiast pluć mu w twarz, papież odpowiedział z gorzkim uśmiechem:

— Czyś widział kiedykolwiek człowieka, co by pluł w wodę, w której widzi swe oblicze, najpiękniej, najwspanialej, najpochlebniej odbite? Zwierciadło rzymskości Ottonowej nie mogło podzielić losu innych błyskotek i klejnotów niewiernego Miasta: gdy ostatnie dni lutego i marzec cały biegły ku wieczności wśród szczęku obcęgów wyrrywających nosy i języki, Jan Teofilaktos w spokoju trawił długie nocne godziny na pilnym wgłębianiu się w stare rękopisy, istne bezdenne kopalnie bezcennych wiadomości o starożytnych ceremoniach cesarskiego dworu. Gęstym czerwonym atramentem, niby krwią własną spod serca, zapisywał dokładnie wymiary świetlistej aureoli, która okolić ma kunsztownie ułożoną ze złotych kamyczków czuprynę Ottona na olbrzymich mozaikach mających zdobić ściany świeżo wznoszonego na Awentynie pałacu. Ze szczególnym umiłowaniem pracował nad pomysłem urządzenia sali jadalnej, ściśle wzorowanej na konstantynopolskiej sali Dziewiętnastu Biesiadników. Nie chciał liczyć się z tym, że lotaryńscy, frankońscy, saksońscy biskupi, opaci, grafowie i książęta zżymać się będą i szemrać, gdy na czas biesiady wbrew starodawnym zwyczajom drużyny odetnie się od nich Ottona nowością podwyższenia, na którym stanie półkolisty stół na jedną osobę. Przy stole tym podawać będą Imperatorowi Zachodu to samo ściśle, co na podwyższeniu w sali Dziewiętnastu Akkubitów spożywa Pantokrator Wschodu. I tylko wino będzie inne, na pewno lepsze: nie cypryjskie, tuskulańskie.

Jan Teofilaktos nie wiedział, czy Otto Trzeci lubi wino. Ale to go nie obchodziło. Wiedział, że Otto będzie pił wino. Dużo wina. Na pewno więcej, niż pili August i Tytus, Trajan i Marek Aureliusz. Tamci nawet mogli sobie pozwolić, by nie pić go wcale. Otto nie może.

Być może, woli nawet piwo. Jan Teofilaktos sam je woli, szczególnie w upały. Nierzadko częstuje brata Romana zimnym,

przyjemnie gorzkawym płynem, który nic nie uрониł z gęstości białej piany, mimo długiej drogi aż spod Goslaru. Oczywiście tylko brata Romana — więcej nikogo, nigdy. Ale Otto nie będzie pił piwa nawet samotnie. Za mało jest Rzymianinem, by pozwolić sobie na coś, z czego nie poznać od razu, jak bardzo jest Rzymianinem.

Dlatego Tymoteusz powiedział papieżowi, że nie ma słuszności przewidując wraz z zalewem Rzymu przez wojska niemieckie także i zalew przez piwo. Nie będzie żadnego zalewu. Piwo ukradkiem będą pili, kupując je za bezcen, jedynie potomkowie najrdzenniejszego rzymskiego plebsu i to w przedmiejskich tylko zaułkach. Na biedaków tych z zawiścią będą patrzeć saksońscy i frankońscy wojownicy — im bowiem zakazuje się go pić, jako że są wojskiem rzymskiego Cezara — a Rzymianie pijali wino. Beczki z piwem pleśnieć będą w podziemiach domów, gdzie rozguszczą się lotaryńscy opaci, frankońscy opaci, frankońscy książęta, saksońscy margrabiowie — jako że dostojnikami są Rzymskiego Imperium, a Rzymianie pijali wino. Cudzoziemscy goście — posłowie i kupcy — daremnie będą w upalne dni nęcili oczy oberżystów zamorskimi świecidełkami; droższa oberżyste całość grzbietu niż radość oczu; wie, co go czeka, jeśli za jego sprawą cudzoziemiec ciągnąc z rozkoszą piwo choć na chwilę zapomni, że Rzym i rzymskość przeżywają okres wspaniałego, ponownego rozkwitu — a przecież każdy obcy wie, że Rzymianie pijali wino.

Na Awentynie rozebrano otaczające pałac rusztowania, majestat nieśmiertelnego Imperium olśniewał oczy śmiertelników blaskiem mozaik, przepychem ceremonii, ciężarem i barwnością obsypanych klejnotami szat, z których ledwie wynurzała się chłopięca nieomal, blada twarzyczka, należycie nieruchoma, znakomicie wzgardliwa, onieśmielająca, wiecznie zaciśniętymi, ślicznymi, wąskimi ustami, w gniewie tylko ukazującymi długie, drapieżne, oślepiająco białe zęby. Jana Teofilaktosa martwiła jedynie zbyt żywość dużych czarnych oczu Imperatora — żywość tak często przeobrażająca się w niepojęty niepokój, tak bardzo kłócający się z na wpół boską beznamietnością, która bezwzględnie cechować powinna uosobienie majestatu Imperium. Czyżby Ottona bolała głowa od nadmiaru wina?

Oczywiście, nigdy do tego się nie przyzna — Jan Teofilaktos o to był spokojny. Pracował więc tylko usilnie z mistrzami ceremonii nad usuwaniem wszelkich zgrzytów, wszelkich drobnych nawet niedociągnięć.

Po pracowitym zaś dniu jakże przyjemnie było zasypiać w zameczku naprzeciw kolumny Marka Aureliusza, wsłuchując się w miłą kołysankę, jaką mu śpiewały ciężkie stapania wołów i skrzypiące koła wozów ciągnących stosy pełnusięńkich winnych beczek — dokąd? — na Północ! Z Tusculum do Ratzbony, do Moguncji, do Goslaru, do Magdeburga! Bo Ratzbona, Moguncja, Goslar, Magdeburg to Rzymskie Imperium — a Rzymianie pijali wino.

W klasztorach Kwedlinburgu i Hardensheimu uczone kobiety czytają łacińskich poetów. Z heksametrów i śpiewnych strof raz po raz wynurza się pochwała wina. I choć wzdragają się słabe kobiece głowy, kobiece wargi nie mogą nie dotknąć, lekko chociażby, napełnionych po brzegi czasz, bo chcą czuć się duszami siostrzanymi poetów rzymskich — Rzymianie, jak właśnie czytają, pijali wino.

W dalekiej słowiańskiej Pradze zgniły most łamie się pod ciężarem ładownych wozów i ciche wody rzeki bratają się z wonnym, złotym płynem. Bo ziemia czeska wiernie służy Imperium Rzymskiemu, a Rzymianie pijali wino.

Gdzieś na krańcach okręgu ziemskiego ginie śmiercią męczeńską przyjaciel Imperatora. Otto opuszcza Rzym, by daleką odbyć wędrówkę do grobu brata w duchu. Niebawem poruszy Miasto wiadomość, że w jakimś barbarzyńskim grodzie, którego nazwy nawet wymówić nie można, święta ręka cesarska zatknęła srebrne orły: słowiańskie książątko zostaje Patrycjuszem Imperium, cesarz namaszcza go pocałunkiem dumnych wąskich ust, z dłoni chudej, miękkiej, prawie kobiecej przekłada w silną, ciężką rękę święte insygnium, włócznie świętego Maurycego. Jan Teofilaktos nie podziela zgorszenia Miasta. Podobno nowy Patrycjusz ma mocną głowę. Nie zaboli z wina, które będzie obficie pił, a będzie pił, bo Rzymskiego Imperium jest Patrycjuszem, a Rzymianie pijali wino.

Oczywiście droga do leżącego na kresach okręgu ziemskiego

księstwa daleka jest i trudna — ile wozów się rozbije, nim tam dojadą... ile wołów zdechnie! Ale właśnie tam można posłać przewidująco więcej wozów z winem i być pewnym, że się nie straci... Bo wprawdzie Patrycjusz pijąc wino, pije też, kiedy chce, piwo, a nawet stać go na to, by powiedzieć: piwo piję — przecież Jan Teofilaktos widzi w nim niezmiennie jednego z najlepszych swych odbiorców. Bo oto wraz ze srebrnymi orłami wręczył mu cesarz dar od swego mistrza ulubionego, papieża: paliusz arcybiskupa dla brata męczennika. A paliusz arcybiskupi w barbarzyńskim księstwie to zakładanie nowych biskupstw, budowanie kościołów, fundowanie klasztorów, odprawianie nabożeństw. A do nabożeństw potrzeba wina. I nie tylko do nabożeństw. Z ciepłych, słonecznych krajów sprowadza Patrycjusz kapłanów i mnichów: a ci od dziecka przywykli każdy posiłek popijać winem. Im bardziej więc będzie rosła potęga Patrycjusza. im więcej zdobytych krajów podda pod pastorał swego arcybiskupa, tym więcej będzie biskupstw, kościołów, klasztorów. Więcej kapłanów i mnichów. Jakże ma podzielać Jan Teofilaktos zgorszenie Miasta, iż oto srebrne orły odleciały z gniazda Krescencjuszków na daleką surową Północ!

I jakżeż liczyć może Tymoteusz na nowy bunt stryja przeciw cesarzowi i papieżowi?! Kiedyś w obecności Jana Teofilakta Sylwester Drugi westchnął o tym, jakby to dobrze było, gdyby grób Zbawiciela nie znajdował się w ręku niewiernych... Jana Teofilakta aż zamroczyło ze wzruszenia: gdyby oręż panów chrześcijańskich, miast przeciw sobie wzajem ciągle się brać, wygnał precz niewiernych z ziem świętych i innych krain Wschodu, zniknąłby stamtąd i Półksiężyc, krzywe oko szatańskie groźnie wypatrujące, czy w krainach Wschodu nie pijają wina... O, gdybyż westchnienie papieża przemieniło się w wicher, co oderwie od śmiesznie małych pól i śmiesznie małych zwad drużyny panów chrześcijańskich i pchnie ich bezkresną drogą mórz błękitnych na Wschód... Wprawdzie inaczej niż w słowiańskich krainach znajdziesz tam miejscowe, choć jakże opuszczone winnice — ale się o to Jan Teofilaktos nie martwi... Niech tylko Krzyż zabłyśnie na miejscu Półksiężycy, a już ludzie, którzy będą

te winnice uprawiać, to jego będą ludzie... w jego łać będą beczki to wino, na jego ładować wozy, ba, na jego okręty...

— Rozumiesz więc, bracie, że na bunt liczyć nie mogę — powiedział Tymoteusz Aronowi, gdy kwadryga wjeżdżała na most wiodący ku wieży Teodoryka.

A jednak bunt wybuchnął. Kiedyś w nocy przyszedł do Jana Teofilakta bratanek Grzegorz. Zaczął mówić, że Rzym ma dość hańby, iż Kościołem Piętrowym rządzi czarownik, któremu demony pokazują, gdzie zakopane są skarby, i który w noc bezksiężycowe wraz z mnichem przybędą zabiera te skarby i znosi je do podziemi Świętego Piotra. Jan Teofilaktos słuchał spokojnie i śmiał się. Z bratanka, z Rzymu, z czarów. Zaniepokoił się dopiero wówczas, gdy Grzegorz powiedział, że Rzym również ma dosyć cesarza, który nie chce pamiętać o tym, że przede wszystkim jest pierwszym obywatelem Miasta i że pierwszym jego obowiązkiem — ochrona czci Miasta. A oto nędzna dziura, miasteczko Tybur ośmieliło się targnąć na cześć obywateli Rzymu, cesarz zaś, który zgodnie z pierwszym swym obowiązkiem wyruszył przeciw Tyburowi niosąc groźny miecz pomsty, doniósł na miejsce tylko lekką chłostę i przebaczenie. Nie zmył płamy hańbiącej, nie spełnił pierwszego obowiązku, nie dochował Miastu wierności, więc Miasto także mu jej nie dochowa. Wykreśli go ze spisu obywateli, pozbawi ognia i wody, wyrzuci za mury lub pod ziemię. Jana Teofilakta zaś Miasto zapytuje, czy spełni obywatelski swój obowiązek. A zapytując przypomina najświętsze słowa: „Kto nie ze mną, ten przeciw mnie”.

Jan Teofilaktos słuchał mrugając oczyma i raz po raz przykładając dłoń do ucha. Tybur, Rzym! Śmieszył go napuszony i namiętny równocześnie ton Grzegorza. Więc rzymska wielkość to prostackie porachunki o miedzę? Rzymska duma to tylko ujadanie poprzez zagrodę? Więc nie Pan Świata, zawsze Augustus, Saksoński, Frankoński, Słowiański Imperator zatykający srebrne orły na krańcach okręgu ziemskiego — ale pierwszy obywatel gminy miejskiej, naczelnny stróż nocny przydzielony do kopania przez dziurę w płocie ujadających sąsiedzkich psów?!

Grzegorz go nie rozumiał. Marszczył brwi i zaciskał pięści. Patrzył na stryja tym samym spojrzeniem, co wówczas gdy czekał na znak, by runąć lamparcim skokiem na Tymoteusza. Lecz teraz w spojrzeniu tym nie posłuch malował się, ale nieme przypomnienie odwołujące się do nieubłaganego prawa wspólnoty rodzinnej — prawa, któremu on, Grzegorz, poddał się wówczas bez namysłu.

Ale słodkawe złociste wino już dawno wylało się poza brzegi malej spoistej beczki, której na imię: ród tuskulański. Wylewało się i z innej, większej, okazalszej, zowiącej się Miastem. Lata całe płynęło strumieniem poprzez Frankonię, Saksonię, na wpół baśniową Słowiańszczyznę, widziało się już groźnym potokiem podmywającym twierdze Półksiężycyca. Strumienie zlewały się w jeziora, a jeziora w huczące nieogarnione morze, i właśnie morzu temu było na imię Rzym, nie beczce o zżartych rdzą obręczach. Jan Teofilaktos podniósł się.

— Przebaczył Tyburowi, powiadasz? A czyż mnie nie przebaczył przy bramie Flamińskiej? Gdyby zaś mnie nie przebaczył, ty byś dziś nie miał ognia ni wody, Grzegorzu.

Nie poszedł z Miastem, ale nie poszedł też i przeciw niemu. Czekał.

Czekał na wielką próbę wartości wina, nie tylko mocy jego, ale i szlachetności. Dawno już stwierdził, że przyprawia ono Ottona o coraz silniejsze bóle głowy. Czy przetrzyma je, przetrwa z zaciśniętymi zębami, dowiedzie, że szlachetny, choć za mocny, trunek wszedł mu już w krew i tym samym ją uszlachetnił choć zatrął, czy też bojąc się o swe zdrowie, trzaśnie czaszą o kolumnę, wdepce rozlane wino w ziemię i z ulgą powie: ..Dajcie mi piwa!”

Przed nosem wracającego z Tyburu cesarza Miasto zatrzęsęło bramy. Z głuchą nienawiścią i niemą, bezlitosną drwiną okoliło czarnym mrowiem wieżę, na którą wszedł odprawiony z hańbą naczelnym nocnym stróż. Jan Teofilaktos, zaszyty w gąszcz ludzkiego mrowia, z zapartym oddechem, z szumem w skroniach wsłuchiwał się w słaby głos chłopięcia rozebranego przez wichur nienawiści i wzgardy z ciężkich, pysznych szat.

Otto nie obsypał przekleństwami wina, które oto przyprawiło go o najcięższy w życiu ból głowy. Nie wygrażał mu. A przecież tylko wystarczyło mu rękę wyciągnąć, by ochłodzić się wielką szklanicą gęsto pieniącego się piwa. Wszak Miasto wiedziało, że z drugiej strony muru okalają wieżę ciężko zbrojne saksońskie drużyny wzbierające pianą nienawiści oraz wstydu za swego króla. Otto cicho się skarżył:

— Vosne estis mei Romani? Propter vos quidem meam patriam propinquos quoque reliqui...

Jan Teofilaktos nie gorzej od cen win znał cenę bólu, jakim się płaci za przekucie dumy w skargę, ciężkim miotem nagłego zawodu. Dostawał zawrotu głowy, gdy obliczał, ile bólu muszą kosztować Ottona rzucone z wieży gorzkie, a przecież nie gniewne słowa: — Czyż to nie wy jesteście moimi Rzymianami? Bom przecież dla was porzucił ojczyznę swoją i swych najbliższych... z miłości ku wam odepchnąłem Sasów, Niemców ospałych...

A gdy załamał mu się zupełnie głos przy słowach „...imię wasze i chwałę aż na krańce ziemi poniosłem” — Jan Teofilaktos wiedział już, że wino zwycięsko przeszło przez najwyższą próbę.

Zaczął działać. Użył całego swojego wpływu, uciszył Miasto, wymusił otworenie bram, rzucił czarne mrowie na kolana. Własnoręcznie włożył pyszną ciężką szatę na wciąż jeszcze drgające chude ramiona. Wydał Grzegorza.

A gdy uciszyło się, uczuł, że musi sobie zadać pytanie, czy chodzi mu tylko o wino. Wgłębił się w siebie i ze zgrozą znalazł tam jakiś nieoczekiwany płomyk, jakieś nie znane dotąd nici. Płomyk przywiązania, nici szczerej wierności.

Nie znaczyło to, by nie było w nim już nic z chłodnej, trzeźwej troski o winnice i wino. Przeciwnie, właśnie ta troska pozwalała mu dostrzegać i przewidywać — wiele dostrzegając zaś i przewidując, rozglądać się za narzędziami obrony. Ale nigdy już dobrze nie mógł w sobie ustalić niezawodnie, gdzie kończy się sprawa wina, a zaczyna sprawa Ottona.

Troska o wino więc kazała mu dostrzec, że z osobnego

podwyższenia w sali jadalnej dawno już nie widać, co właściwie dolewają sobie do czasz biesiadujący na dole przy wspólnych stołach opaci i biskupi, książęta i grafowie. A jeśli, jak sądził, coraz częściej dolewają sobie piwo do przeznaczonych na wino kielichów — to jak zapobiec spoza półkolistego stołu, by odpijając gęstą pianę z wesoło krążącej czaszy, nie przepijali do siebie za powrót dawnych uczt, za radosną chwilę, gdy runie podwyższenie i wódz drużyny znów siądzie przy ogólnym stole, wraz z innymi ze wspólnej popijając czaszy.

Oczywiście rozmyślając nad tym troszczył się Jan Teofilaktos o tak drogą mu wszechwładzę wina. Doskonale wiedział już, że ów, który teraz siedzi w osamotnieniu za półkolistym stołem, pijąc chciwie trujące go wino — nigdy nie zejdzie z podwyższenia, nigdy nie zasiądzie przy wspólnym stole, nigdy nie dotknie spieczonymi wargami gęstej, białej piany. Więc jeśli zechcą podwyższenie znieść, to z nim razem. A co wówczas? Któż zaręczy, że między Renem a Łabą więcej się rodzi takich dziwnych dzieci? Czyż nie przyjdzie raczej ktoś taki, co szarpnie silnie jedną ręką diadem cesarski i włoży go sobie na skronie, a drugą odtrąci podsuwany mu pod usta kielich z winem rechocząc wesoło a złośliwie:

„Nie, nie chcę mieć zawrotu głowy, bo jeszcze spadnie z niej diadem... Wolę piwo...” I znów będą skrzypiec wozy naładowane stosami beczek, ciągnięte przez woły nie na Północ — z Północy!

A dla kogo zostanie wino? Chyba dla Kościoła. Każe pić mało, umiarkowanie, ale pije tysiącem tysięcy ust.

Przecież gdy zaczęło walić się podwyższenie, gdy zachwiało się półkolisty stół, Jan Teofilaktos zdawał się przede wszystkim myśleć o tym, by waląc się nie pogrzebały pod sobą samotnego biesiadnika. Dla doraźnych zysków obniżał ceny, pogarszał gatunki, oddawał w najniedogodniejszą dzierżawę najlepsze połacie tuskulańskich ziem. Bezpłatnym rozdawnictwem win najlepszych, i to w olbrzymich ilościach, rozniecał na nowo w ludzie rzymskim gasnący ogień miłości do na wpół boskiego majestatu Cezara. Coraz liczniejszym dzierżawcom zabierał wszystkich synów, by zwiększyć drużynę zbrojną hrabstwa tuskulańskiego. Zaczął po cichu podtrzymywać

i podsycać pogłoski o czarach papieża, bo mu nie mógł darować postanowienia w sprawie korony królewskiej dla Wschodu. Koronę tę przeznaczyci początkowo cesarz i papież dla Patrycjusza Imperium, później rozmyślili się i oddali okrutnemu władcy straszliwych, dzikich Węgrów.

Jan Teofilaktos domyślał się, dlaczego tak postąpili — walcząc przecież o doraźne korzyści, o natychmiastową podporę dla chwiejącego się półkolistego stołu, dąsał się coraz bardziej na papieża, o którym sądził, że we wszystkich sprawach bezwzględny wywiera na Ottona wpływ. A wedle Jana Teofilakta, jedynie Patrycjusz Imperium ze swoją mocną głową, gdyby zjawił się w Rzymie, skutecznie by podparł chwiejący się stół. Ale nie zjawił się i nie powinno to dziwić: żal nim na pewno targa i gniew. A skoro on nie przychodzi z pomocą, któż dopomoże? Biedny Otto!

— Biedny, stryjasku? — Głos Tymoteusza bardziej niż kiedykolwiek przypominał ostry, gniewny świst.

— Ja go nie będę żałował.

Siedzieli nocą naprzeciw siebie przy ostrołukim oknie. Słyszeli donoszący się z placu przy kolumnie gwar. To drużyna tuskulańska gotuje się do opuszczenia Miasta. Poprowadzi ją Tymoteusz. Będzie na jej czele szukał Ottona tak długo, aż znajdzie. Może jest w Rawennie, może jeszcze dalej, na wyspie Rialto u Wenetów. Hrabstwo tuskulańskie

dochowa wierności do końca.

— Dochowasz, Tymoteuszu, nieprawdaż?

Tymoteusz skrzyżował ramiona na piersiach ozdobionych złotą tkaną orłem dwugłowym, a niżej obrazem kolumny. Rozchylił wargi, obnażył szczerbę w zębach, ściągnął mocno brwi. Milczał, ale i wargi rozchylone, i zaciśnięte zęby, i zmarszczone brwi jedno zdawały się mówić: wierności dochowam. Ale nie wymagaj ode mnie, bym go żałował.

Jan Teofilaktos spojrział na bratanka zmęczonymi oczyma.

— Mylisz się. Zawsze myliłeś się. To nie on ci zabrał Teodorę Stefanię.

Tymoteusz wzruszył ramionami. W ruchu tym tyleż było pobłażliwej wyrozumiałości dla cudzej ślepoty, co i zniecierpliwienia. Zniecierpliwienia, że oto niepotrzebnie wszczyna się rozmowę o sprawach dawno minionych, dawno przemyślanych i dawno daleko za sobą pozostawionych.

— Bywaj zdrów, stryjasku.

Podniósł się z miejsca. Jan Teofilaktos także.

— Wrócisz?

— Wróć. Byle było do czego. Odpił trochę wina.

— Dobrze — rzekł. Po chwili dodał:

— Nasze.

Gdy był już przy drzwiach, Jan Teofilaktos zatrzymał go wołaniem:

— A pamiętaj, że to nie Imperator ci zabrał Teodora Stefanię.

Tymoteusz rozzłościł się. Obrócił się na pięcie.

— A kto? Może Pan Papież? — zaśmiał się gniewnie.

— Ktoś znacznie potężniejszy od nich obu — rzekł Jan Teofilaktos i ziewnął.

Potem dorzucił sennym głosem:

— A turkotu kół nie słyhać. Nic jakoś nie wwożą, nie wywożą.

5

Teodora Stefania znikła w dniu powrotu Grzegorza Piątego do Miasta. Tymoteusz sądził zrazu, że schroniła się wspólnie z mężem poza potężne mury wieży Teodoryka. Ale wojownicy, którzy tuż przed zatrzaśnięciem się ciężkiej, żelaznej bramy zdążyli, rozmyśliwszy się, przekroczyć most i oddać się w ręce Ottonowych ludzi — zapewniali, że jej tam nie ma. Tymoteusz gorączkowo przeszukał cały Kapitol, gdzie Krescencjusz mieszkał z żoną i synem, odkąd został Patrycjuszem. Między przednimi łapami kamiennej wilczycy znalazł przejrzystą zieloną chustkę, zupełnie taką samą jak ta, którą otrzymał od Teodory Stefanii w godzinę przed pobiciem go przez stryjów i braci stryjecznych. Ale był to jedyny ślad, który żadnej dalszej nie wskazywał drogi. Tymoteusz przeszukał także zaciszny, okolony różowymi kolumnami domek przy drodze Nomentańskiej i olbrzymi, przyległy do domku ogród. Żadnych śladów, nikogo ze służby. Biegał po całym Mieście, rozsyłał ludzi swoich i papieskich w odległe okolice, kazał długimi drągami obmacywać dno Tybru. Daremnie. Zapytał kiedyś papieża, co sądzi o zniknięciu Teodory Stefanii. Odpowiedział, że myśli, iż Tymoteusz już jej nie odnajdzie. Nie wyjaśnił, dlaczego tak mówi. Przeciął rozmowę. Niepokój Tymoteusza wzrósł. Dzielił się nim z Aronem prosząc o pomoc w poszukiwaniach, o wypytywanie mnichów i przychodzących pod klasztor żebraków. Zeszczupłał, zbrzydł.

Któregoś z ostatnich dni marca szedł zapuszczonymi uliczkami wokół podnóża Palatynu, podążając znów ku Kapitolowi, nowej pełen choć strasznej nadziei. Imperator Otto, pragnąc przywrócić najznakomitszemu z siedmiu wzgórz Miasta wygląd jak najbardziej okazały, nakazał bezwzględne natychmiastowe zburzenie wszystkich domków śródmiejskiej biedoty, narosłych przez wieki, niby grzyby, na stokach, a nawet tuż u szczytu. Tymoteusz spodziewał się, że burzenie odsłoni jakieś lochy czy podziemne kryjówki, przedtem nikomu obcemu niedostępne. Od dawna już dał się opętać obawie, że Jan Krescencjusz zamordował żonę wpadłszy na trop jej spotkania

z Tymoteuszem w dniu wybuchu buntu albo wprost rozwścieczony odmową udania się z nim do wieży Teodoryka w dniu powrotu papieża. Bo przecież na pewno mogła odmówić spodziewając się, iż lada chwila pojawi się na Kapitelu Tymoteusz. Myśl o niej, jako o trupie gnijącym gdzieś w podziemiach, przyprawiała o mdłości, wybuchy niemal szału, ale niech już raczej to niż niepewność! Tymoteusz miał jeszcze dobrych kilkaset stadiów, do Kapitelu, ale myśli jego wybiegały daleko naprzód, grzebały już między gruzami, czuły już trupi zapach — nie dziw więc, że nie spostrzegł się, iż całym rozmachem goniącego ciała wali potężnie w pewnej chwili w wysoką, czarną postać, która przecinała mu drogę kierując się do okrągłego czerwonego kościółka u stóp Pałatynu. Czarna postać zachwiała się i by utrzymać równowagę, chwyciła mocno Tymoteusza za ramię, osadzając go gwałtownie na miejscu. Tymoteusz równie gwałtownie wyrwał ramię, lecz zamiast biec dalej, nagle wprost zamarł ze zdumienia i wzruszenia. Wysoki mnich w czarnej sukni trzymał w drugiej ręce kobiecy trzewik. Tymoteusz nie miał wątpliwości: był to trzewik Teodory Stefanii!

— Skąd to masz? — wrzasnął nieswoim głosem.

Niesamowity ów krzyk w okamgnieniu ochłodził malujący się w oczach mnicha gniew wywołany zderzeniem.

Wskazał głową na czerwony, okrągły kościółek.

— Idę ofiarować świętemu Teodorowi te kamyki — rzekł tonem spokojnym i prawie przyjaznym.

Te kamyki! Oczywiście te same!

Gdy olbrzymie głazy waliły o mur Leonowy, gdy tysiące ramion wysadzały bramę, a tysiące gardzieli wrzeszczały:

„Rzeczpospolita!”, Teodora Stefania śmiała się. Śmiała się dając Tymoteuszowi do pocałowania wysokie, za pulchne nieco podbicie. Tyle mu powinno wystarczyć: ona dobrze pamięta, jak pożerał oczyma podbicie sąsiadki w łańcuchu tanecznym na zabawie w dniu świętego Wawrzyńca! Tymoteusz dobrze zapamiętał kształt i wygląd całego trzewika, przesadnie wąskiego i spiczastego, trochę za ciasnego na pewno na jej nogę — a już szczególnie dobrze kamyki,

trzy kamyki zielone jak i suknia Teodory Stefanii, jak i śmiejące się jej oczy...

Wiele wysiłku kosztowało go spokojne wysłuchanie opowieści mnicha. Oto wieszano przy bramie świętego Sebastiana sześciu saksońskich żołnierzy. Mnich nie wie, za co ich wieszano: ktoś w tłumie gapiów twierdził, że za gwałt czy też za próbę gwałtu na jakiejś szlachetnej pani. Trzej spośród wieszanych krzyczeli przeraźliwie, bito ich, by doszli pod szubienicę; jeden co chwila mdłał, inny zupełnie był spokojny i nawet pogwizdywał; szósty zaś odszukawszy w tłumie oczyma mniszą postać skinął na nią, by wręczyć ów trzewik ze słowami: — Ofiaruj te kamyki świętemu Teodorowi, może przebaczy biednej mojej duszy!

„Świętemu Teodorowi!” — dla Tymoteusza wszystko było jasne. — Żołnierze napadli na Teodorę Stefanię, dokonali lub próbowali dokonać na niej gwałtu, za to ich powieszono! Uciekając przed nimi, zgubiła trzewik albo też jej zerwano z nogi w czasie szamotania się. Żołnierze wiedzieli, na kogo napadli, albo powiedziano im to, skazując na śmierć. Ów, który trzewik zerwał, pragnął przebłagać świętego, którego ogromnie rozgniewał napadając na osobę pozostającą pod szczególną tego świętego opieką... dla przebłagania ofiarował świętemu kamyki...

— Ale gdzie Teodora Stefania? Kto przyszedł jej z pomocą? Kto wydarł gwałcicielom? — Tymoteusz pożegnał pospiesznie mnicha, zabierając z sobą trzewik, ale pozwalając oderwać kamyki, które tamten natychmiast poniósł do kościoła.

Przy bramie świętego Sebastiana dawno już nie było żadnego śladu nawet po szubienicy, nie tylko po powieszonych. Nikt też nic nie umiał powiedzieć o sześciu żołnierzach. Tylko beznogi żebrak, który znał Tymoteusza od dawna, przez lata całe śledząc znudzonymi oczyma jego wjazd i wyjazd z dźwigającymi wino osłami — wyjaśnił, że owych sześciu stracono w cztery dni po powrocie Pana Papieża do Miasta i dodał, że setnik, który na czele zbrojnego oddziału przyprowadził skazańców, miał na piersi srebrem wyhaftowaną podobiznę niedźwiedzia.

Tymoteusz zaczął szukać oddziału, w którym setnicy znaczeni są podobizną niedźwiedzia. Szukał dziesięć dni i wreszcie odszukał nawet tego właśnie setnika, który przyprowadził skazańców. Ale ów nie umiał wyjaśnić nic poza tym, że powieszenia sześciu dokonał z rozkazu margrabiego Ekkeharda.

Należało więc udać się do Ekkeharda. Tymoteusz wiedział, że był to mąż jeden z najbliższych Imperatorowi, wódz, któremu powierzono uderzenie na wieżę Teodoryka zaraz po świętach Wielkiejnocy. Stale przebywał w pobliżu świętej osoby cesarskiej na Awentyń, gdzie rozpoczęto właśnie budowę nowego pałacu. W oczekiwaniu, aż pałac zostanie wybudowany, cesarz mieszkał w klasztorze Świętych Aleksego i Bonifacego. Podobno niechętnie opuszczał wzgórze Awentyńskie, widocznie niezbyt pewnie czując się w Mieście po tak jeszcze niedawno stłumionym buncie. Prawdopodobnie bał się zamachu. Nie odwiedzał nawet papieża, który, inaczej niż cesarz, raz po raz był widywany na ulicach Miasta, a nawet zamieszkał nie za murem Leonowym, tylko w Lateranie.

Dostęp na Awentyń był nadzwyczaj utrudniony. Tymoteusz udał się do Lateranu prosić papieża, by mu ułatwił odszukanie Ekkeharda. Nie zastał go jednak, Grzegorz Piąty właśnie przed dwiema godzinami udał się na Awentyń.

Tymoteusz był wściekły, że się spóźnił. Jedną opętany myślą, targany rozpaczą bezsilności, czuł natychmiastową potrzebę podzielenia się z kimś tym, co nim szarpało. Z kim zaś miał się podzielić jak nie z Aronem? Po chwili mknął w kwadrydze ozdobionej złotymi kluczami w kierunku klasztoru Świętego Pawła. Obok piramidy Cestiusza potracił dwóch saksońskich wojowników. Nie rozumiał czemu, ale sprawiło mu to przyjemność.

Jakaż była jego radość, gdy usłyszał od Arona, że właśnie udaje się za godzinę na Awentyń. Wezwał go mistrz Gerbert. Cały klasztor był podniecony tym wydarzeniem. Wprawdzie wspólnota kluniacka uważała Gerberta za gwałciciela świętych kanonów, jako że wszedł na arcybiskupstwo w Reims z woli króla Franków Zachodnich, a wbrew woli stolicy Piotrowej — zjawił się jednakże teraz w Rzymie jako mistrz

ulubiony, przyjaciel i powiernik cesarza — a z tym się musiała liczyć, chcąc nie chcąc, nawet kluniacka wspólnota. Wezwanie więc do Gerberta było nie lada wyróżnieniem. Aron promieniał, ale czuć było, że targa też nim i niepokój. Bał się o siebie, bał się o wrażenie, jakie sprawi. Prawie pół roku wprawdzie uczęszczał do słynnej szkoły Gerberta w Reims, ale wątpił, by mistrz go z tamtych czasów sobie zapamiętał. Posłaniec Gerberta nic nie miał przeciwko zabraniu z sobą jeszcze jednej osoby. Oczywiście, straż saksońska może nie zechceć wpuścić Tymoteusza na Awentyn — ułożono więc, że w takim razie Aron poprosi Gerberta, by odszukał papieża i powiedział mu o przybyciu ulubieńca.

O zachodzie słońca wjechali na Wzgórze Awentyńskie.

Straż saksońska niespodzianie bez żadnych trudności wpuściła także i Tymoteusza. Wystarczyło jej, że obydwoj młodzieńcy wchodzą w towarzystwie Gerbertowego posłańca. Ów wprawdzie miał pewne obawy, czy nie spotka się z naganą, a nawet karą za wprowadzenie obcego, ale zaręczenie Arona, iż jego towarzysz jest ulubieńcem papieża, zdawało się uspokajać posłańca, który młodzieńckiego mnicha, wezwanego przez mistrza, traktował z wyraźnym szacunkiem.

Aron natychmiast uległ przedziwnemu urokowi Awentynu. Czarowało go tu wszystko. Więc najpierw stroma skała, u której samego nieomal podnóża wolno, leniwie płynął żółty Tybr, niby dwoma ramionami okalający wyspę, gdzie niegdyś stała świątynia Eskulapa, a teraz wznoszono pospiesznie kościół ku czci jednego z przyjaciół cesarskich, umęczonego za wiarę Chrystusową gdzieś w jakiejś barbarzyńskiej krainie na krańcach chrześcijaństwa, blisko brzegów tajemniczego morza scytyjskiego. Ze skały rozpościerał się przepyszny widok na całą dzielnicę Leonową kąpiącą się w blaskach zachodu. Płomienny błysk ocierał się już o bazylikę Piotrową, czarodziejsko przemieniając jej wieżyczki w słupy ogniste, okolone świetlistą mgłą, jak gdyby magiczną, kryształową sferą.

Zaledwie zaś brzeg dysku zanurzył się poza bazylikę, wykrzesując z niej pęki i pęki złotych kluczy, wnet cały Awentyn rozszeptał się

kaskadą wieczornych modłów. Poprzez uchylone drzwi licznych, ciasno stłoczonych kościołów tryskała rytmem niezmałym spokojna, równa, twarda, przejrzyste dźwięczna łacina — falowała iloczasem gardłowa, ruchliwa, często urywana, śpiewna, rozedrgana, to ciesząca się, to łkająca greka...

W szepcie tysiąca ust słyszał Aron i pewne siebie ślubowanie wierności, i cichy lament kajania się, i żarliwą namiętą prośbę o łaskę doskonałości, nie o rzeczy zgubionych znalezienie.

Gerberta nie zastali u siebie — oświadczone im, że wezwany został przez Ojca Najświętszego do kościoła Świętej Sabiny. Postanowili czekać. Tymoteusz pociągnął za sobą Arona pod klasztor Świętych Aleksego i Bonifacego. Chciał wywołać Bolesława Lamberta. Aron już poznał kiedyś, i to w okolicznościach wcale niezwykłych, tego barczystego, płowowłosego wyrostka, którego imię przyprawiało go o wybuchy rozpacz, gdyż okazało się, że świetna rzekomo pamięć Arona widocznie wcale nie jest taka świetna, jako że staje zupełnie bezradnie w obliczu jednego brzmienia „Bolesław”. Chłopak ów mógł każdej chwili wychodzić, kiedy chciał, z klasztoru z taką samą swobodą, z jaką Tymoteusz, kiedy chciał, wchodził do komnat papieża. Bo też był to drugi, obok Tymoteusza, ulubieniec Grzegorza Piątego. Drugi towarzysz jego wygnania.

Gdy papież i Tymoteusz przeszli w bród Tyber nieco powyżej mostu Mylwijskiego, na drugim brzegu zbliżył się do nich Bolesław Lambert. Na klęczkach ofiarował swoje usługi. Z worka wyjął chleb, ser i wino. Z nóg zdjął sandały, ale nie po to, by wrzucić je między krzaki, ale by wdziąć je na stopy papieża — miały właściwą miarę. Tymoteusz patrzył na nieoczekiwanego współtowarzysza spode łba, przenikliwie, prawie nienawistnie. Zacisnął pięści, boleśnie sobie wpijając w dłoń długie, twarde, ostre paznokcie. Trwało to dłuższą chwilę. Potem Tymoteusz nie rozwierając zaciśniętych pięści zrobił wielki, gwałtowny krok ku Bolesławowi Lambertowi i dotknął opuchłymi wargami jego krwistych, soczystych ust. Odtąd nie rozstawali się. Byli z papieżem w Społecie, w Rawennie, rok z górą w Pawii. Tam rozłączyli się na krótko: Bolesław Lambert towarzyszył

do Rzymu posłom Imperatora, zwiastunom jego gniewu i sądu na opornych, łaski dla tych, co w czas się ukorzą. W Rzymie Bolesław Lambert przypieczętował swą wierność papieżowi kilkumiesięcznym więzieniem pełnym upokorzeń i niebezpieczeństw.

Papież osobiście przekręcił klucz w drzwiach ciemnicy. A przecież w oczach i tego także ulubieńca Grzegorzowego malowały się, miast dumy i tryumfu, smutek, żal, gorycz.

Aron wiedział, że Bolesława Lamberta wyzuł wraz z matką i braćmi z ojcowizny brat najstarszy, brat przyrodni. Było to gdzieś na krańcach chrześcijaństwa, w tajemniczej Słowiańszczyźnie, w krainie, gdzie ponoć ród książęcy tylko i drużyna dostąpili już łaski chrztu, cały zaś prawie lud tonie wciąż jeszcze w mroku pogaństwa. Nawet ojciec Bolesława Lamberta, pan dziedziczny całej krainy, aż do późnego bardzo wieku był poganinem.

Jak Tymoteusza Teodorą Stefanią i winnicami, tak też zwróceniem ojcowskiego dziedzictwa chciał papież wynagrodzić Bolesława Lamberta. Żądał od cesarza, by zaraz po odzyskaniu Rzymu powrócił na kresy swego Imperium i zmusił krzywdziciela braci do zwrotu zagarniętego im dziedzictwa. Ale Imperator odmówił wręcz, odmówił od razu. Prawdopodobnie Grzegorz Piąty, równie jak Tymoteuszowi, powtórzył Bolesławowi Lambertowi treść swej z Ottonem o nim rozmowy. Lecz mrukliwe, zamknięte w sobie książątka słowiańskie nie zwierzyło się przyjacielowi z niczego. Ani Tymoteusz więc, ani Aron nie wiedzieli, dlaczego w tej sprawie cesarz tak stanowczo, tak bezwzględnie powiedział papieżowi: — Nie. Musiał jednak to „nie” dobrze uzasadnić, bo podobno Grzegorz Piąty przyznał mu ostatecznie słusność.

Aron wiedział coś niecoś o ojczyźnie Bolesława Lamberta. Gdy opuszczał z arcybiskupem Alfrykiem Anglię, dużo mówiono w Glastonbury i w Londynie o przymierzu, jakie zawarł król Etelred z jakimś potężnym władcą słowiańskim. Przymierze to godziło w króla straszliwych morskich drużyn z Danii, Swena Widłobrodego. Stało się podobno za sprawą króla Norwegii, Olafa, o którym powiadano, że miłował siostrę słowiańskiego władcy. Z rozmów z Bolesławem

Lambertem Aron wyprowadził wniosek, iż ów potężny władca słowiański, to właśnie krzywdziciel macochy i braci przyrodnich, noszący to samo, tak trudne do zapamiętania imię: Bolesław.

Było przecież w opowiadaniu Bolesława Lamberta coś, co nie układało się dobrze w ramach wiadomości Arona o całej tej sprawie. Nowy przyjaciel Tymoteusza twierdził, że jego jedyną siostrę, także przyrodnią, poślubił nie król Olaf, tylko właśnie ów Swen Widłobrody. Mogło tak być, bo zaślubiny odbyć się miały niedawno, więc już po wyjeździe Arona z Anglii. Aron przecież tym się przejął i zaniepokoił: pamiętał dobrze króla Olafa, pięknego, wesołego, pełnego subtelnej czułości, gdy mówił o swojej oblubienicy. Aron wprost bolał za niego: straszna to rzecz widzieć małżonką zaciętego wroga kobietę, którą się miłuje!

Szli we trójkę ku kościołowi Świętej Sabiny. Teraz Awentyn czarował już nie uszy, ale oczy Arona. Z klasztorów wysypało się na główną ulicę mrowie mnichów. Oszolamiała cisza, z jaką przewalały się te tłumy. Surowa cisza ślubowanego milczenia. Aron pochłaniał wzrokiem przede wszystkim ciemnolice, długowłose, czarnobrode i czarnookie postacie Greków. Pierwszy raz widział tylu Greków! Więc tak wygląda ów tajemniczy naród, o którym tyle cudów opowiada się w klasztornych szkołach Anglii, a jeszcze więcej szepcze się w pustelniczych szałasach Irlandii! Jak bardzo jednak musiała zmienić ów naród łaska chrztu: Aronowi trudno było wyobrazić sobie, by tak mogli wyglądać Jazon, Achilles i Ulisses, a już szczególnie Aleksander, którego oczyma duszy widział zawsze podobnym do króla Olafa.

A jednak to byli oni, Grecy, mistrzowie niezrównani w sztuce wszelakiej, twórcy najcudowniejszych mozaik, budownicowie najwspanialszych kościołów, klejnot bezcenny w skarbnicy Ottonów, wiano przebogate Teofanii, żniwo jej pracowite, płody najdojrzałe sadów konstantynopolskich i neapolitańskich, gdzie wiekami całymi kunszt wysoki uprawy wyhodowywał z każdego kielka iskry Bożej przepyszny, bujny krzew mistrzostwa.

Szybko zapadał zmierzch. Wysmukłe czworograniaste wieże

kościółów pospiesznie zmieniały szatę dzienną na strój nocy: czerwień na czern. Arona pociągnął ku sobie cichy, łagodny szmer gdzieś blisko tryskającej wody; pieszczotę ucha chciał z bogacić pieszczotą skóry, ochłodzić zimnym strumieniem dłonie, wargi spieczone i czoło. Ruszył ochoczo naprzeciw śpiewnemu głosowi fontanny i nagle drgnął całym ciałem: z szarego mroku patrzyła nań martwymi oczyma trupio blada, okrągła, płaska twarz ściętego mieczem zaziemskich chyba mocy wielkoluda... Olbrzymie, zbielełe do cna wargi bluzgały potokami piany...

— Nie, nie lękaj się, to zwykły wodotrysk — zaśmiał się tuż za nim Tymoteusz — ale jak zejdziemy z Awentynu, pokażę ci, bracie, dziwo nad dziwami. W kościele Maryi w Ozdobach też taka stoi w przedsiönku twarz, ale jeśli włożysz jej między wargi palec, a skłamiesz, żegnaj się, miły, z palcem...

Ledwo Aron cofnął się sprzed strasznej fontanny, nowe ujrzął dziwo. Czerń wieczora przecinało gdzieś wysoko tajemnicze, niesamowite, krwawe światło, ostrołukiem wrzynające się w ciemność. Upłynęła spora chwila, nim ochłonał i uprzytomnił sobie, że to nie żadne czary, tylko bardzo wysoko umieszczone okno. Zjeżył się cały, wydało mu się nagle, że tam, za tym oknem dzieć się muszą jakieś sprawy tajemnicze a straszne, krwawe sprawy...

— To właśnie kościół Świętej Sabiny — mruknął Bolesław Lambert.

— Wejdźmy tam — szepnął Aron. Nęciło go nieodparcie to coś, co musiało się dzieć... był pewien, że dzieło się wewnątrz kościoła...

Ale tu strażnicy nie chcieli ich wpuścić. Patrzyli więc z daleka, przechyleni poprzez otaczającą kościół kratę. Drzwi kościelne były szeroko rozwarte. Żaden schodek nie unosił ich ponad poziom ulicy i oddzielonego od niej kratą dziedzińca. Gdzieś tam w głębi kościoła, może w apsydzie, może w ołtarzu, może w chórze, dzieły się właśnie te odgadywane przez Arona tajemnicze straszne sprawy. Tu poprzez drzwi widzieli tylko las kolumn wydzieranych z objęć mroku przez płynące od ołtarza czerwone światło. Wszystkie kolumny zdawały się nurzać w jakimś zaczarowanym jeziorze: tak wyraźnie odbijały się

w lśniących płytach nie oddzielonej żadnymi stopniami od dziedzińca posadzki. Aron pomyślał nagle, że tak musiał chyba wyglądać pałac czarodziejski, gdzie posłany przez Artusa Owen spodziewał się znaleźć rycerza strzegącego fontanny...

Nagle między kościół a trzech młodzieńców wtargnęły długim szeregim świętojańskie robaczki, też jakieś zaczarowane, bo miast latać, tkwiły nieruchomo, jakby zamarłe na wcale znacznej wysokości.

— To wschód księżycy srebrzy ostrza dzid — uśmiechnął się po chwili Tymoteusz. — A oto niosą pochodnie — dodał.

I nagle krzyknął:

— Chodźcie za mną... szybko... patrzcie, Ekkehard... tam gdzie pochodnie niosą... prędeej...

Strażnicy jednak znów nie puszczali ich poza kratę. Tymoteusz głośno zawołał:

— Margrabo Ekkehardzie...

Tamten odwrócił ognistą w świetle pochodni głowę i nie rozpoznając twarzy zapytał dość ostro, kto go woła i na co... Ale zaledwie usłyszał rzucone z ciemności imiona Bolesława Lamberta i Tymoteusza, od razu odmienił mu się głos:

— Wpuścić, wpuścić, jakżeby nie, przecież to najbliżsi, najzaufańsi Pana Papieża — mówił tonem łaskawym i pełnym życzliwości. — Wpuścić za kratę koniecznie... poczekajcie na dziedzińcu... ja zaraz...

I znikł w mrokach. Strażnicy rozstąpili się.

— Chodźmy do kościoła — szepnął Aron kusząco i natarczywie.

Usłuchali. Wśliznęli się szybko, ostrożnie i wsunęli się w najciemniejsze miejsce poza kolumny.

I nagle Aron usłyszał szept Tymoteusza... szept, w którym mimo niesamowitego wprost ściszenia siły głosu było coś z równie niesamowitego, rozdzierającego, straszliwego krzyku:

— Patrz, Teodora Stefania...

Aron uczył, jak zatrzęśły się pod nim i ugięły kolana.

Wyjrzał spoza kolumny, wpijając oszołomione a chciwe zarazem spojrzenie w pięć ludzkich twarzy, wznoszących się ponad okalającą

chór niewysoką balustradą. Czerwonawy płomień sześciu czy siedmiu lamp, przymocowanych do balustrady, rzucał na te twarze silne a niesamowite światło.

Od razu poznał Gerberta. Siedział obrócony do ukrytych za kolumnami profilem, jak zawsze ciemno i prawie surowo odziany. Tyłem do Arona, nieco na prawo od Gerberta, siedział a raczej na wpół klęczał ktoś nieznany, o czaszce nagiej zupełnie i przez tę nagość wprost strasznej. Gdy niekiedy poruszał tą czaszką, pozwalał dojrzeć szyję tak cienką i tak starczo wysuszoną, że aż dziw brał, iż głowa na niej jeszcze może się utrzymać. Pozwalał też dojrzeć przy każdym ruchu głowy brodę, zupełnie białą i długą niezmiernie.

Bliżej lewego, tylnego chóru stał z jedną nogą opartą o ławę, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, młody jeszcze, wysoki rycerz w srebrzystej kolczudze, o pięknie utrefionych, bardzo jasnych kędziorach. Najdalej w głąb, na jakimś specjalnym podwyższeniu siedziały dwie postacie, jak Aronowi się wydawało, kobiece. Siedziały bardzo dziwnie: policzek jednej opierał się o obutą w złoto tkany trzewik stopę drugiej. Długie, jasne włosy siedzącej wyżej, niczym nie osłonięte, ładnymi falami spadały na chude ramiona, z których spływała dziwnie kwiecista szata, bardzo szeroka, kryjąca w swych fałdach ramiona, dłonie, zgięcia łokci i kolan — odcinająca się u kostki szerokim, czerwonym obramowaniem od zielonego, obcisłego czepca, który okalał przytuloną do trzewika twarz.

Aron zezem zerknął ku kolumnie, za którą stał Tymoteusz. Trzęsąca się ręka przyjaciela wskazywała palcem kobietę siedzącą niżej. Aron wpił się w nią wzrokiem. Więc to jest Helena i Atalanta niedawnych jego snów! Nieumyślna, być może, burzycielka spokoju nocnego zaślubionej z nauką duszy! Żyje, odnalazła się... Dziw nad dziwy... Cóż ona tutaj robi?

Nie wydała mu się ładna w tym obcisłym czepcu pomniejszającym całą twarz, głównie czoło, wydłużającym nos, kryjącym całkowicie uszy i podbródek. Zachwyciła go za to postać siedząca wyżej, przede wszystkim pięknie wykrojonymi wąskimi wargami, szlachetnymi proporcjami nosa, płonącymi czarnymi oczyma, wspaniale

ocienionymi podwójnym łukiem prawie zrosniętych, przepysznych, bardzo ciemnych brwi. Uderzające zestawienie oczu i brwi z jasnymi splotami włosów potęgowało wrażenie przedziwnego uroku, podkreślonego jeszcze przez powłóczystość i kwiecistość tak bogatej, tak niezwyklej szaty.

Gdy wzrok Arona nasycił się nieco, upominać się począł o swe prawa upośledzony dotąd słuch: pierwsza jego zdobycz to nieoczekiwana zupełnie świeżość głosu wydobywającego się sponad mlecznobiałej, olbrzymiej brody.

— Moje błaganie ściele się pod stopy was obydwu. Na Mądrość Przedwieczną, na Miłość Ukrzyżowaną, zaklinam was, opamiętajcie się! Jakżeż można wyrokować o karze tam, gdzie jeszcze się nie rzekło: winien.

— Rzekło się już: winien.

Znów ugięły się pod Aronem kolana. Chciwie wpijał się oczyma kolejno w każdą z pięciu twarzy. Światło lamp jest jednak za słabe, by widzieć dobrze ruch mówiących ust. Kto to powiedział przed chwilą: „Rzekło się: winien”?... Czyj to głos? Przecież Aron już słyszał kiedyś ten głos... na pewno słyszał... Czyżby się przesłyszał? Na świętego Patryka, na świętego Bedę, czyj to może być głos?

Zatrzęsała się naga czaszka, znów świeżością nie do uwierzenia wionęło z głosu, co się dobywa sponad białej brody:

— Gdy rzekło się: winien, nie wolno nie orzec istoty winy.

— Prawdę mówisz — przytaknął Gerbert.

— Zapytuję więc — ciągnął świeży głos — czy Ojciec Najświętszy, namiestnik Piętrowy, oraz włodarz rzeczy świata tego, król i cesarz Otto, rozważyli najgłębiej i najdokładniej w sumieniach swoich istotę winy?

— Ojciec Najświętszy?! Król i cesarz Otto?! — huczało w głowie Arona. Całym ciałem przywarł do kolumny, objął ją rękoma, zdawało mu się, że zaczyna się chwiać.

— Istota winy nie da się zaciemnić, widnieje w blasku prawdy jak w słońcu. Jan Filigates, najniegodziwszy z mnichów i biskupów, winien jest świętokradczego pokuszenia się o klucze Piotrowe jeszcze

za życia prawem Bożym obranego klucznika.

Nie, on, Aron, nie pomylił się. Nie przestyszał się. Zsunął się bezwładnie na kolana nie wypuszczając z kurczowych objęć kolumny. Tak. On zna ten głos. Wie, kto to mówi. Wie też już, co się tu dzieje. Nie zawiodło go przeczucie, iż jest coś strasznego w czerwonym świetle jarzącym się tajemniczo w łuku wysoko umieszczonego okna. Odbywa się tu sąd nad przywłaszczycielem kluczy Piotrowych... Aron zna go, zna tego pięknego Greka, który mitrę biskupią Placencji uznał za zbyt skromne nakrycie dla swej pełnej mądrości i uczoności głowy. I zna też tego, kto go tu, nieobecnego, sądzi. Jakże od razu nie uderzyły go te wypukłe oczy?! Tak, rycerz w kolczudze, oto prawdziwe nareszcie oblicze pana miecza i sądu... otóż i jasne włosy strasznego jeźdźca na jasnym rumaku...

Aron, poza krótkim pobytem w Gaiku Trzech Strumieni w dniu buntu, widywał Grzegorza Piątego tylko z daleka... z bardzo daleka... Ale wówczas papież miał twarz zasłoniętą kapturem, a zresztą cóż jest wspólnego, prócz wypukłych oczu, między bosym mnichem w za krótkiej, ubogiej szacie a jasnowłosym rycerzem w kolczudze? Więc papież przyszedł na sąd osobiście, a cesarz przysłał w zastępstwie Gerberta...

Znów zabrzmiał świeżości pełen głos starca o nagiej czaszce:

— Czy istotnie winien jest Jan Filigatos świętokradztwa, czy raczej małoduszności? Przecież Krescencjusz, wiemy to wszyscy, mieczem mu groził lub strykiem, jeśli nie weźmie kluczy Piotrowych... Wziął je, by ocalić swe życie... małodusznie postąpił, rzekłem... podle postąpił i grzesznie, prawda to... Ale czyż prawem Bożym i zgodnie z kanonami świętymi obrany Grzegorz Piąty nie opuścił powierzonych pieczy Piotrowej owiec i baranków także, by ocalić swoje życie?...

Bardziej niż cokolwiek, kiedykolwiek, gdziekolwiek, zdumiała Arona odpowiedź papieża. Spodziewał się wybuchu strasznego gniewu, a usłyszał łagodne, lekką tylko goryczą zaprawione słowa:

— Twój żywot stuletni, Nilusie, i święte przepaści mądrości, któreś zgłębił rozpamiętując przymioty Boże, dają ci prawo jeszcze surowszymi słowy chłostać samego namiestnika Piotrowego nawet...

Ale dziś, mądrości pełen starcze, nie miałeś słuszności... Nie opuszczałem Rzymu, by ocalić swe życie, jeno by Kościołowi nie ucięto ręki mocno trzymającej miecz sądu... Bo kościół Boży dziś, mędrze przedziwny, słuszniej, niestety, niż kiedy bądź przez całe twe stuletnie życie, musi rzec o sobie: Oтом dom Pana Zastępów, dom modlitwy, a czym się stałem? Zaiste jaskinią zbójców, przybytkiem chciwości, wylęgarnią magów Szymonów...

Nilus! Więc to jest Nilus! Jeszcze w Anglii chłopięciem, bodaj jeszcze w Irlandii niemowlęciem prawie, ileż razy słyszał Aron to imię, zawsze z czcią i dreszczem świętym wymawiane... Pustelnik surowy o królestwach i królach, o wojnach i wojownikach mówiący wzdrgadliwie, iż to cień pyłku zaledwie w obliczu tchnienia najlżejszego Zofii, Mądrości Bożej...

Ale oto porzucił pustelnię umyślnie wzniesioną opodal Gaety, w takim miejscu, o którym ani Imperator Zachodu, ani Pantokrator Wschodu nie mogą rzec: „Ja tu władam”. Stuletnie stopy powlokły się na północ, stuletnia ręka ścisnęła garść suchych oliwek, stuletnie oczy nie widziały mijanych miast, stuletnie uszy nie słyszały śpiewu słowików, stuletnie nozdrza nie czuły woni pomarańczowego kwiecia...

Ale oczy te z daleka widziały miecz nad szyją Jana Filigata, uszy słyszały przedśmiertny jego krzyk, nozdrza czuły zapach tryskającej krwi.

Co rzuciło szczęśliwego oblubieńca Zofii na kolana przed cieniem pyłku? Co wydarło z ust, pół stulecia niemych, błagalne wołanie pod stopy ziemskiego majestatu rzucone? Jako że Aron czuje, rozumie, że Nilus, choć z papieżem rozmawia, do Ottona, tu ciałem nieobecnego, kieruje swe błaganie o łaskę dla skazańca. I być może, papież nie tylko walczy o samo dokonanie pomsty, ale też o prawo, by jego, nie cesarza ustami mówił Bóg:

..Moja pomsta i ja odpłacę...”

Kłęczący poza kolumną Aron daremnie marszczy czoło, daremnie wysila giętką myśl: nie, nie zdoła dociec — co schyla aż do samych płyt posadzki nagą czaszkę: wspólnota krwi ze skazańcem?

Wspólnota mowy matczynej? Czy silniejsza nad obydwie wspólnota służby dla Zofii? Ale jeżeli węzeł jedności w służbie dla Zofii nade wszystko jest mocniejszy, przecież wówczas i Gerbert, Pani Mądrości przyjaciel najwierniejszy, powinien walczyć zaciekle o głowę brata w mądrości, Jana Filigata! A właśnie do niego, do Gerberta, zwraca się teraz papież wzywając, by dał świadectwo prawdzie. Zwrócony twarzą do jasnowłosej kobiecej postaci mówi wolno, spokojnie, twardo, ostro, iż nie pod grozą miecza bynajmniej wziął biskup Placencji w niegodne dłonie złoty klucz Piotrowy. Nie, tu obecny mistrz Gerbert bez trudu może potwierdzić, że jest wręcz przeciwnie, że Jan Filigates, jak Szymon mag, za złoto chciał nabyć dary Ducha Świętego... że prosił Krescencjusza, błagał o godność papieską obsypując go skarbami, co ogniem piekielnym parzyć będą Krescencjuszowe dłonie, tak parzyć, iż nie zdoła w nich długo trzymać zuchwale podniesionego przeciw cesarzowi miecza...

— Nikt spośród nas lepiej niż Teodora Stefania nie potrafi powiedzieć, jak to było z ową zapłatą za klucze Piotrowe — przerwał nagle papieżowi dźwięczny, miękki głos.

Naga czaszka poczęła gwałtownie się trząść. Gniewnie zmarszczyły się brwi nad wypukłymi oczyma. Gorzki uśmiech wykwitł na ustach Gerberta.

— Panie — zawołał Nilus — zaklinam: racz nie mącić małymi sprawami swej cielesnej powłoki trudnej pracy wsłuchiwania się w szept miłosierdzia Bożego... Zaiste, nie masz miary temu miłosierdziu, skoro dotąd jeszcze nie uderzył grom w ten oto kościół skalany obecnością...

Nie kościołem, ale Aronem wstrząsnęło nagle straszliwe uderzenie gromu. Ledwie łowił oddech, ledwie własnych oczu i uszu rozumiał, obłąkaną, jak mu się zdawało, mowę. Ta postać kobieca! Oto zerwała się, oto gniewnie miota błyskami czarnych oczu, oto jak mieczem tnie powietrze długą, chudą, nie, nie kobiecą dłonią... I nie kobiecy to głos wyrwa się wraz z pianą poprzez pięknie wykrojone usta:

— Tobie, tobie, obłąkany starcze... tobie, nie Filigatowi, wyrwą język katowskie obcęgi... słyszysz? Tobie! O, nieszczęśliwy

zuchwalcze! Do kogo mówisz, przed kim stoisz? Przecież niech jedno rzeknę słowo, a czołgać się będziesz tu, tu, u jej stóp... ty i wszyscy pustelnicy świata... wszyscy opaci i biskupi... Całować będziecie brzeg jej szaty dziękując, żem udzielił wam tej łaski... Ja tu rządę... ja... tylko ja... mój miecz... mój sąd, moja pomsta... i moje przebaczenie. W mojej ręce znak światowładny... Od kogo, głupcy, ślepcy, dostał go Konstantyn? Od Piotra? Nie, od Chrystusa samego...

Otto urwał. Stał chwilę, ciężko chwytając spienionymi ustami powietrze. Chwiał się. Opadł wreszcie na siedzenie, wpił się długimi palcami w kwiecistą szatę. Z wolna przygasał płomień w szeroko rozwartych czarnych oczach. Po chwili gościła już w nich tylko dumna wzgarda, niby samotny puklerz potężny, zwycięsko odpierająca zgodne natarcie trzech par surowych męskich oczu. Czuło się, iż w ramię tarczę tę dzierżące coraz więcej wstępuje mocy. Mocy płynącej od obutej w złoto stopy. Mocy tym potężniejszej, tym bardziej pewnej siebie, im silniej przywierał kobiecy policzek do złoto tkanego trzewika. Czarne oczy pod dwoistym łukiem zrosniętych brwi zaczynały już się śmiać: śmiać się radosnym poczuciem dwoistej siły: przeciw wam wszystkim — ona i ja — spróbujcie zmóc nas, gdyśmy razem!

Gdy wybuch minął, gdy długie ręce znowu utonęły w fałdach kwiecistej szaty, Aron znów widział przed sobą dwie kobiece postacie. Spojrzał na prawo, tam gdzie za kolumną stał Tymoteusz. Nie udało mu się niczego wyczytać w twarzy przyjaciela mrokiem osnutej, ale z ciemności wyraźnie wynurzały się ręce, szybko ślizgające się po marmurze kolumny: w górę, w dół... w dół, w górę... i znów w górę, w dół...

I znów słuch począł się dopominać o swoje prawa. Począł łowić słowa papieża, który mówił tak spokojnie, jakby żadnego wybuchu nie było. Mówił, iż wie, jak drogie i cenne jest dla cesarza, istotnie zawsze subtelnej pełne mądrości, zdanie mistrza Gerberta. Niechże więc Panu Cesarzowi, panu sądu i miecza, powie otwarcie mistrz Gerbert, co mniema o winie Jana Filigata: czym zgrzeszył zuchwalec, który

ośmielił się nazwać bezprawnie Janem Szesnastym: małodusznością, tchórzliwością godną pokuty najsurowszej czy umyślną symonią, kupnem nieprzymuszonym godności najświętszej, dziełem bezbożnym pychy iście szatańskiej, dla której nie masz kary dość surowej? Krescencjusza, co się splamił frymarczeniem darami Ducha Świętego, dosięgnie jeszcze karząca ręka Boga cesarską ręką kierująca. Jan Filigat zaś jest osądzony, i słusznie, bo jak rzekł Pan, kto się wywyższa, będzie poniżony. I będzie rzucony tam, gdzie płacz i zgrzytanie zębów.

Wszystkie spojrzenia skierowały się ku Gerbertowi. On zaś nie patrzył na nikogo. Przymknął oczy, przykrył je dłonią. Gdy odjął dłoń, wzrok jego, zrazu ku posadzce opuszczony, długo, wolno obracał się w stronę, gdzie siedział Otto. Ale nie w twarzy cesarza utkwili Gerbert oczy, raczej w jego trzewiku, w przywartym do trzewika policzku. Aron dostrzegł, jak zderzyły się z sobą aksamitne, ciemnoorzechowe oczy mistrza Gerberta i zielone oczy przytulonej do złoto tkanego trzewika kobiety.

Dopiero w wiele lat później, w zaciszu Tyńca, surowo osądził Aron niedojrzałą, niedoświadczoną młodość swojej myśli, tak zdawać by się mogło, zawsze lotnej i giętkiej. Ile trzeba było mu lat doświadczenia i przemyśleń, by uświadomić sobie, iż wówczas za kolumną winien był rzec sobie:

Czy panem okręgu ziemskiego istotnie jest Imperator Otto? Czy też tych dwoje, tak wiele mówiących sobie oczyma? Zaprawdę, oręż kobiecości i oręż mądrości, potężniejsza to broń niż tysiące saksońskich dzid, frankońskich toporów, lotaryńskich mieczy. Ale z tych dwojga, kto potężniejszy?

Wzrok Ottona bystro, niepewnie, niecierpliwie przebiegał z twarzy Gerberta na okoloną zielonym czepcem główkę Teodory Stefanii, wreszcie zawisł nieruchomo na Gerbertowych wargach.

Co powie Gerbert? Jeżeli prawdą jest, iż miał całonocną rozmowę z Janem Filigatem i wrócił z więzienia smutny i poruszony, to...

— Gerbercie, zaklinam cię, rozjaśnij raz jeszcze swą duszę błyskawicą płomienną potężnej myśli — błagał Nilus.

— Chce mi się spać — rozległ się nagle głos Teodory Stefanii.

Zdawało się, że nikt nie dosłyszał, co mówiła, nie oburzył się, tylko Otto niecierpliwie poruszył się przynaglając Gerberta oczyma.

Wreszcie ów odezwał się spokojnie i bez pośpiechu:

— Nie, nie mogę rzec, by Jan Filigat winien był małoduszności.

— Winien najstraszliwszej symonii — zawołał Grzegorz Piąty.

— Winien i godzien jest kary miecza — pospiesznie, z ulgą wyrzucił z siebie Otto podnosząc się i pochylając nieco głowę nad Teodorą Stefanią. — Już idziemy — powiedział do niej z serdeczną czułością.

Ale Nilus nie podniósł się z klęczek.

— Panie — szepnął wyciągając przed siebie ręce. — Mówiłeś o mocy swojej władzy, o świętości swego majestatu... Czyżes zapomniął, że majestat władzy, prócz mocy sądu, jeszcze jedną, stokroć cenniejszą otrzymał od Mądrości Bożej moc: moc darowania kary dowiedzionym winom? Nie o sąd więc już wołam, lecz o łaskę: oszczędź winnego.

Ostro, gniewnie zabręczało żelazo. Grzegorz Piąty mocno uderzył dłońmi w napierśne puklerzyki kolczugi. Nie, żadnej łaski. Sąd skończony, wyrok wydany, przed świętokupcą jedna już tylko droga: pomiędzy ognie piekielne.

Stuletnie uszy zdają się nie słyszeć, nie chcą słyszeć wojowniczego brzęku żelaza. Stuletnie oczy zdają się nie widzieć, nie chcą widzieć gniewnego, nieubłaganego spojrzenia. Już się tylko ku chłopięcej twarzy Ottona kierują, ku pięknie wykrojonym wąskim ustom, ku czarnym, błyszczącym oczom. Greckim oczom. Oczom Konstantynów, Romanów i dwu Teofanii. Naga czaszka dotyka obutej w złoto stopy. Ociera się o głowę Teodory Stefanii. Osnuwa bielą brody zieleń jej czepca. Pełen świeżości niezmiennej głos zaklina Ottona mową matczyną. Zbiegają się brwi nad jasnymi, wypukłymi oczyma, marszczy się zaniepokojone czoło — dla papieża słowa Nilusa już są tylko dźwiękiem piękno brzmiącym, lecz niezrozumiałym. Nie rozumie ich też prawie wcale Gerbert. Rozumie ukryty za kolumną Aron.

Czarodziejska to iście droga przywiodła go od szalasów pustelniczych Irlandii aż w głąb najskrytszych tajników cudzej duszy, i to nie byle duszy. Duszy, co mówi o sobie: — Jam namiestnik Chrystusa, jam pan okręgu ziemskiego. Wydobyte zakłębieniem Nilusa z mrocznej otchłani minionego czasu, wynurzają się, osaczają wołania niemowlęce: „mameczko”, przymilne prośby o mleko, o miód, o pieśczętę, o kołysankę. W jakiej mowie wołałeś z łóżeczka o kołysankę, Ottonie? W jakiej ci ją nuciła Teofania przytulając oliwkową twarz do bladooliwkowych, drobnutkich nóżek i rączek?

A gdy rączka urosła, gdy chwyciła za olbrzymie pióro, gdy z uciechą i dumą postawiła swe pierwsze Omikron, Tau, Tau, Omikron — czyja dłoń wprawna nią kierowała? Czyż nie ta dłoń, Ottonie, którą odetną jutro z twojego wyroku? Czyje oczy, bystre, przenikliwe, śledziły z najbaczniejszą uwagą każde twe potknięcie się o ostry kamień trudniejszego wyrazu w pierwszej czytanej książce? Czyż nie te oczy, które jutro wyłupią z twojego, o Ottonie, wyroku? Gdy zamilkł na wieki beztroski, wesoły śmiech Czerwonego Ottona, gdy okolił go granit w podziemiach Świętego Piotra, gdy ozdobiony mozaiką z tyłu królestw chwiać się począł stołek władztwa pod chłopięcymi nóżkami twoimi — czyja myśl przebiegła porażała jak błyskawicą każdą łapę drapieżną po ów stołek chciwie sięgającą? Myśl Willigiza w krainach niemieckich, a czyja w Italii i w Rzymie? Przypomnij sobie, Ottonie. Czyż nie była to myśl zrodzona w głowie, której Teofania ufała jak żadnej innej... nawet własnej? W głowie, co jutro spadnie z twojego wyroku, Ottonie.

Choć wygasać już zaczynała oliwa w lampach, choć coraz mroczniej było nad chórem, w którego ciasnej ramie straszliwy, zaoczny odbywał się sąd — Aron dobrze widział, jak w miarę słów Nilusa rozszerzają się oczy Ottona, jak lśniąca czerń ich osnuwa mgła łez. Patrzyły gdzieś daleko, daleko przed siebie — gdzieś bardzo wysoko. Czyżby wypatrywały spojrzenia matki w zaświaty odeszłej? Aron odruchowo spojrzął poza siebie, potem w górę. Westchnął z ulgą nic nie zobaczywszy. Ale może Otto widzi? Ileż razy opowiadano Aronowi, że pomazańcy obdarzeni są szczególną łaską obcowania

z duchami zaziemskimi, a przede wszystkim z duchami zmarłych pomazańców!

Oczy Arona niegodne są, by ujrzeć ducha świetlanego Teofanii, ale widzą go na pewno oczy syna... Trzeba będzie zapytać Gerberta, czy to prawda. Zapytać jeszcze dziś.

Nie tylko ducha Teofanii nie zobaczyły oczy Arona — oto nie zobaczyły już za kolumną, opodal, Tymoteusza. Znikł, jak gdyby spłynął pod ziemię wraz z świetlistym odbiciem kolumny. Natomiast Bolesław Lambert tkwił nieruchomo na swym dawnym miejscu: dłoń jego nieustannie czyniła znaki krzyża.

Nilus wrócił do mowy Rzymian. Wskazywał ruchem brody na Gerberta, znów ocierając się o twarz Teodory Stefanii, ale tak, jak gdyby jej nie widział, jak gdyby pustym była miejscem.

— Oto siedzi tu — mówił — mąż zaiste najuczeńszy i najbieglejszy w sztukach wszystkich tego świata, nauczyciel pana Ottona ulubiony, przyjaciel zaufany, pewny i wprawny przewodnik po trudnych szlakach nauki i mądrości. Nigdy, przenigdy nie pozwoliłby Otto, by czyjaś dłoń, choćby najświętsza, targnęła się na głowę czy tylko światło oczu i słodycz mowy Gerberta. A czyż jeszcze niedawno rycerz w kolczudze, oto tutaj stojący, nie wyklinał mistrza Gerberta? Nie wołał o nim, iż jest świętokradcą, co wbrew kanonom wziął paliusz arcybiskupi z rąk pana ziemskiego, króla Franków Zachodnich? Ale cóż? Mąż w kolczudze dobrze wie, iż mistrza Gerberta pan Otto zawsze osłoni przed wszelkimi zamachami na życie, zdrowie i cześć... Lecz, o Gerbercie, wyznaj, komu zawdzięczasz tak dostojnego ucznia, którym cieszysz się i chlubisz, który w obliczu chrześcijaństwa całego okrywa twe imię chwałą rozgłośną? Kto pierwszy wzbudził w panu Ottonie miłość nauki i zapal do sztuki? Kto nauczył go rozpoznawać między wielkimi mistrzami największych i wykształcił umysł młodzieńczy na tyle, iż umiał własnowolnie rozpoznać wśród największych największego, ciebie? Z czyich rąk przyjąłeś kostur przewodnika? Komu winieneś wdzięczność, iż takiego przekazał ci ucznia? Oto temu, kogo radą swą wydajesz tu na mękę i śmierć, i ognie piekielne.

Szloch drgał w głosie Ottona, gdy zawołał:

— Powiedz, na miłość Mądrości Bożej, powiedz, Gerbercie... — Znać było, że go szarpie rozterka ponad siły... że kurczowo czepia się z ufnością bezgraniczną dziecka za twarde, mocny kostur przewodnika, najwierniejszego z wiernych, przewodnika, co sam tylko zna trudną drogę nad przepaścią.

Nilus nie patrzył na Gerberta. Ale patrzyli weń jak w jasny słup ognisty i Otto, i papież, i najbystrzej, najbaczniej — Teodora Stefania. Aronowi zdawało się, że ciężkie bolesne westchnienie poprzedzało słowa, co, jak zawsze spokojnie, wyraźnie, choć tym razem z trudem jak gdyby wydobyte, popłynęły z piersi i z ust Gerberta:

— O Piotrową to sprawę sąd i Piotr niech odpowie Twojej Świętej Wieczności...

— Piotr już odpowiedział.

— Czy jesteś pewny, Brunonie?

— Jestem pewny, Greku.

I cisza. Cisza pobojowiska po najkrótszym a najstraszliwszym starciu. Cisza nabrzmiałej grozą chwili obliczania strat. Czyj boleśnniejszy, skuteczniejszy cios? Czyj bitewny już zachwiał się sztandar?

Po chwili znów natarł Nilus. Nacierał już wprost. Nie osnuwał już białą mgłą głowy Teodory Stefanii. Nie dotykał twarzą stopy Ottona. Aron widział już nagą czaszkę, obróconą ku niemu wyrazistym, orlim profilem. Pod wysokim, wyschniętym, siecią bruzd pooranym czołem płonęło wielkie, czarne, pełne żywości młodzieńczej oko. Pełen niezmiennej świeżości głos walił uporczywie, jak taranem w wieżę, żelaznym imieniem Bruno, jak gdyby nie wiedział, nie życzył sobie wiedzieć, iż jasnowłosy Frank w kolczudze, to pasterz Pańskich baranków, pasterz pasterzy, Grzegorz. Zdawać by się mogło, że Zofia przypięła głosowi oblubieńca olbrzymie, przepotężne skrzydła. Skrzydła, na których wzbijał się do wyżyn grzmotu, by wnet spłynąć wolnym orlim krążeniem aż do budzącego dreszcz szeptu grozy.

— Czyż naprawdę to Piotr twoimi przemawia ustami, Brunonie? Czyś nie pobłądził powiadając, że z jego to wzięłeś dłoni wraz

z kluczami także miecz gniewu i pomsty? Przypomnij sobie, na Krew i Ciało Pańskie zaklinam, przypomnij: gdy Piotr w Ogrójcu ciął mieczem w ucho Malchusowe, czyż nie uzdrowiło wnet rany Słowo Przedwieczne: „Kto mieczem wojuje, od miecza zginie”? A wszak tam, Brunonie, targnięto się świętokradczo na coś tysiąckrotnie świętszego niż klucze Piotrowe...

Urwał. Głośno westchnęła stuletnia pierś. Rozkrzyżowały się bezsilne ręce stuletnie, wolno opadły dłońmi na zewnątrz, ku lśniącej płytom posadzki.

— Boję się o ciebie, Brunonie.

— Bój się o siebie, starcze. O swoją duszę skalaną grzesznym, ślepym przywiązaniem do krwi współplemiennej.

— Błędzisz, Brunonie. Nie o krew współplemienną, o siebie samego walczę. Gdyby to mojej głowie groził miecz, nie dziwowałbyś się, że błagam o łaskę. A czyż nie jest napisane: „Kochaj bliźniego jak siebie samego”?

— Błędzisz, Greku. Czyż nie jest napisane: „Nie masz już Żyda ani Greka”? Ale dla ciebie bliższy jest Grek świętokupca niż mąż cnotliwy, lecz innoplemieniec.

— Nie jesteś cnotliwy, Brunonie.

— Bóg to i święty Piotr osądzą, Greku. Alem teraz nie o sobie mówił. Mówiłem o tylu mężach pobożnych, o biskupach i namiestnikach Piotrowych, tylekroć katowanych i mordowanych rękoma Krescencjuszów i ich narzędzi, papieży fałszywych, takich samych jak Jan Filigat świętokupców... Gdzieżeś wówczas był, starcze? Wszak bliżej ci było do Rzymu z pustelni montekasyńskiej niż dziś aż z Gaety... i młodsze wtedy miałeś nogi... Czemużeś wówczas nie klęknął na Kapitelu, czemuś nie wołał, iż kto mieczem wojuje, ginie od niego? Bo katowano, mordowano Rzymian i Italczyków, nie Greków... bo nie spotykałeś ich wśród swych zabaw chłopięcych pod palmami rodzinnego miasta... Przez tyle, tyle lat pełnych umartwień i rozmyślań nie zdołała Mądrość Boża zmyć z ciebie nieczystej rysy hańbiącej, co niby słup graniczny dzieli w twej duszy Greków od nie-Greków... Rzekły tu usta twe: „Słowo

Przedwieczne”. Przypomnij sobie, Nilusie, zaklinam cię, przypomnij: czy stworzywszy niebo i ziemię, słońce i księżyc, ryby i ptaki, czy rzekło Ono dnia szóstego: „Oto stwórzmy dziś Greka na obraz i podobieństwo nasze?”

Z tajników pamięci Arona wypływać począł obraz arcybiskupa Alfryka, walczącego z królem Etelredem o wyjazd irlandzkiego sieroty do Wiecznego Miasta. Wszak tymi samymi, być może, słowami przełamywał metropolita kenterberyjski zacięty opór narodowej dumy, w majestacie królewskim ucieleśnionej: Powiedz, panie najdostojniejszy, czy sądzisz, że Bóg rzekł dnia szóstego: „Oto stwórzmy Saksona i Angla na obraz i podobieństwo nasze?!”

Ale czyżby istotnie natchnieniem Nilusa miała być jedynie wspólnota krwi? Wspólność zabaw chłopięcych z Filigatem w cieniu portyków miasta Rossano? Nie, on, Aron, wierzyć chce, wierzyć będzie, że natchnieniem jego, to wspólnota braterska w służbie Zofii... Ona, tylko ona każe stojącemu nad grobem starcowi gwałt zadawać nieubłaganej surowości klucznika Niebios. I może przekona, pokona, wyrwie spod miecza głowę przemądrą Jana Filigata, bo wszak napisane jest: „Królestwo Niebios gwałt cierpi i tylko gwałtownicy porywają je”...

Ale w takim razie, dlaczego Gerbert nie stanie u boku Nilusa, nie wesprze go w gwałcie pobożnym miłosierdzia — on, tak wprawiony w służbie Zofii, tylu najmocniejszymi węzłami związany z nią i całą jej drużyną, nieliczną, ale dostojną, po świecie całym rozsianą... on, o którym szepczą, że w Hiszpanii bratał się w mądrości z nietkniętymi łaską chrztu Maurami i Żydami?

Znów mówił Nilus. Mówił, że Bóg surowo ukarze wszystkich katów i morderców. Ukarze więc i Krescencjuszów. Ukarze też i tych, których ręka współdziałała w ich zbrodniach, i to bez względu na to, czy rękę tę namaściły święte oleje zgodnie z kanonami, czy niezgodnie. Ale każdego ukarze z osobna za jego własną przewinę — nikt nie zdoła własnej usprawiedliwić cudzą zbrodnią! A najmniej ten, kto powiada o sobie, że namiestnikiem jest Bożym na ziemi...

— Czy mówisz o Panu Papieżu? — przerwał ostro Nilusowi Otto.

— Błędnie mówisz. Pozwalam ci, jak sam widzisz, mówić wszystko i tak długo, jak chcesz, bo czczę twoją mądrość i świętość, ale pamiętaj, nie wolno ci poniżać świętego majestatu cesarskiego... Pan Papież, biskup Miasta, namiestnikiem jest Piotra... rządzi Kościołem najdosłojniejszym Rzymu i pilnuje czystości wiary na całym okręgu ziemi... Ale rządzi okręgiem ziemskim Imperator, na którego bezpośrednio spływa natchnienie Boże...

Nilus uśmiechnął się gorzko.

— Nieodrodne z ciebie, o panie, dziecię Pantokratorów greckich... Lecz racz mi wybaczyć: natchnienie rządu Bożego nie spływa na okrąg ziemski bezpośrednio, jeno za Piotra pośrednictwem, ale...

Zdawać się mogło, że Otto znowu wybuchnie. Gniewnie szarpnął nogą, oderwał ją od twarzy Teodory Stefanii. Do wybuchu przecież nie doszło. Otto, jak i wszyscy, oniemiał nagle ze zdumienia i zgrozy: Nilus podniósł się, wyprostował, gwałtownie wyrzucił rozpostarte ramiona w stronę Grzegorza Piątego i krzyknął, a raczej jęknął głośno i boleśnie:

— ...ale nie wiem... nie wiem, czy miała kiedy Mądrość Boża na ziemi równie niegodnego i niewiernego włodarza jak ten oto... ten rycerz w szczękającej bitewnym żelazem kolczudze...

Zerwał się Otto, wolno podniósł się Gerbert, tylko Teodora Stefania nie poruszyła się prawie.

Ale wzrok jej, wciąż leniwy jak gdyby i senny, z widocznym przecież zaciekawieniem powędrował najpierw ku oczom Gerberta, potem omijając Nilusa ku żelaznej kolczudze Grzegorza Piątego.

A Nilus już znów klęczał. Naga czaszka pochylila się aż do zbrojnych w ostrogi stóp papieża. Straszliwie wychudzone starcze ręce splótł na zapadniętej piersi wstrząsanej ni to dreszczem, ni to łkaniem. Szeptem drżącym, ale tak przenikliwym i tak wyraźnym, że Aron doskonale chwycił uchem każde słowo, pytał błagalnie, całując to jedną, to drugą stopę papieża:

— Brunonie, bracie i synu najmilszy, zaklinam, wyznaj... nie ukrywaj, czyżeś wziął ze straszliwych rąk Złego ów dar mocy i władzy, który Pan nasz odtrącił na puszczy... Powiedz, wnuku wojowników

i władców potężnych, dziecię krwi i żelaza, czy gdy on ci pokazał z góry stromej wszystkie królestwa świata i rzekł: „Wszystko to będzie twoje” — czy ukląkłeś? Czy oddałeś mu pokłon?

Błyskawicznie wyrzucił Otto przed siebie długą, chudą rękę, całym ciałem pochylając się gwałtownie naprzód — zachwiał się iomalże nie upadł. Czy chciał uderzyć Nilusa? Czy przeciwnie chciał go osłonić przed spodziewanym uderzeniem Grzegorza?

Ale Grzegorz nie uderzył, nie podniósł nawet ręki, nie ruszył się z miejsca. Słowa gniewnego nie rzekł. Ani w spojrzeniu jego nie było gniewu, tylko gorycz zawodu i jak gdyby zdumienie bez granic.

A przecież nie tylko Gerbert, nie tylko Otto, nawet Aron, taki młody i niedoświadczony, tak daleko za kolumną schowany, doskonale dostrzegał i rozumiał, jaka okropna nawałnica namiętności wstrząsać musi w owej chwili dumną duszą Grzegorza Piątego, ile nadludzkiej wprost woli musi z siebie wykrzesać jego porywczą zazwyczaj myśl, by osadzić, okiełzać, zdławić miotający nim wichur gniewu, rozlewisko bezbrzeżne huczących, spienionych, rozszalałych mórz. Przecież osadził, okiełzał, zdławił — zbrojną nogą wdeptał w ziemię drobnusieńkie nawet iskry zapowiadającego się straszliwego pożaru. Gdy zaczął mówić, głos miał spokojny i prawie łagodny jak nigdy dotąd. Jedynie, jak i w spojrzeniu, gorycz zawodu w nim brzmiała. Zawodu i zdumienia.

Tak, zdumiewał się bardzo. Zdumiewał się, iż oto Nilus, oblubieniec Zofii, Mądrości Bożej, tak niewiele, okazuje się, rozumie. Tak niewiele widzi, czemu zresztą i dziwić się nie wolno, bo czyż przez stulecie nie znużą się najbystrzejsze nawet oczy? Zdało się tym oczom, że widzą papieża wraz z szatanem na stromej skale? Owszem, papież ma koło siebie szatana... nie, nie szatana, ale legiony szatanów... legiony legionów. Nie widzi ich Nilus? Przecież tak łatwo ich dostrzec. Wszak to ci sami, co niegdyś przykucnęli byli niewidzialni pod stolikami, przy których w świątyni jerozolimskiej targowano się o gołębie, wymieniano monety, kupowano i sprzedawano, modlono się liczbami, składano całopalne ofiary z lichwy i oszustwa... Słowo Przedwieczne, Miłosierdzie

Niezmierzone, nie powstydziło się wziąć w rękę powrozu, by razami gniewnymi wypędzić owych niewidzialnych spod stołów oraz wszystkich widzialnych, których tamci opętali. Słowo Przedwieczne wróciło do Ojca zostawiając na ziemi Miłosierdzie. Przeto błogosławieni miłosierni, kwieciem wonnym usłana ich droga do Niebios, promieniami świetlistymi przetkane ich szaty! Ale pozostał też powróż — powróż na szatanów — powróż, który jednej tylko ręki nie kalał — najczystszej ręki Baranka Bożego... Ale gdy ręka ta wzniosła się ku chmurom i znikła za nimi, gdy dźrzyży dziś współ z Ojcowską ręką półkulę świata wraz z twardym okręgiem ziemskim, wstęgą kolistą oceanu i gwiazdami po wnętrzu klosza niebios wędrującymi — kto podniesie powróż na progu świątyni porzucony? Kto zechce zboczyć z drogi kwieciem wonnym usłanej, kto zapragnie zbrukać szatę świetlistą prochem powróż okrywającym? A ktoś przecież musi. Myślisz, że nie, Nilusie? Czyż zaprawdę oczy twoje przemądre tak już oślepyły, że nie widzą, jak rozmnożyli się bez liku owi, co pod stołami siedzieli, jak rozplodzili się nie po jednej już jerozolimskiej świątyni: po wszystkich świątyniach okręgu ziemskiego... Czy zaprawdę nie widzisz ich, jak po klasztorach się gnieźdzą, szczerząc w obleśnym czy chciwym uśmiechu drapieżne, łakome, rzekomo mnisze czy opacie nawet zęby? Nie dostrzegasz, jak w szatach świętych nachylają się nad ołtarzami w czasie odprawiania Ofiary Świętej, nie rozumiejąc znaczenia słów, które mamrocą księżymi rzekomo czy biskupimi nawet ustami? Nie słyszałeś brzęku złota, które sypią pod nogi królów i książąt, sprzedających im wraz ze swą duszą paliusze i pastorały? A wszak w Kościele, dzięki obecności przedziwnej Ciała Bożego, o ileż ich mniej jeszcze niż poza Kościołem, choć najgroźniejsi na Kościół natarli. Czemu są, o Nilusie, królestwa i księstwa chrześcijańskie? Zaiste knieje to i ostępy leśne, gdzie silny zwierz poluje na słabszego, a ów słabszy na jeszcze słabszego, najslabszy zaś wżera się w jeszcze żywe, cierpiące cielsko silnego, gdy zdycha...

— Czy mówisz też i o moich królestwach? — opryskliwie przerwał mu Otto.

— Racz, panie, o to zapytać sumienie swoje i swego spowiednika — jeszcze opryskliwiej odparł papież. Znów uderzył dłońmi o napierśne puklerzyki kolczugi.

— Prawo królewskie, prawo lenne! — zawołał. — Toż to prawo pazurów i kłów... Prawo Boże? Kędy podziało się Prawo Boże? Wy nie oglądaliście się za nim, o miłosierni... bo i gdzieżbyście zboczyć mogli z drogi wonnym kwieciem usłanej, pobrukalibyście jeszcze sobie szaty świetliste na wstrętne cuchnących bezdrożach, dokąd zaciągnęli najświętsze prawo potężni władcy ciemności... póki uszy twe nie zdołały osłabnąć, Nilusie, czyś doprawdy nie słyszał wołania biskupów i opatów, pełnego radości i zachwytu wołania: jak pobożne, jak Prawu Bożemu oddane, jak świątobliwe jest rycerstwo chrześcijańskie? Póki oczy twe nie zdołały osłabnąć, Nilusie, czyżeś doprawdy nie widział owego rycerstwa świątobliwego, jak staje przed obliczem ołtarzy Pańskich? Ocean i księżyc, gwiazdy i planety, zastępy cherubinów i serafinów drżą z świętej trwogi, iż oto Stwórca ich na nowo przechodzi na ołtarzu całą swą okrutną mękę Odkupienia z miłości do najslabszego ze swych stworzeń rozumnych, człowieka — a oto spójrz na owych najslabszych... przyjrzyj się, jak stoją w świątyni Pańskiej w obliczu Ciała Bożego i Krwi, co się w chleb i wino przedziwnie przemieniły, by przykładem Boskim uczyć ich miłości i pokory... Stoją w dumnym zbrojnym szeregu — na czele szeregu książęta i grafowie, co zaraz po Ofierze Świętej powiodą ich gwałt czynić i mord — stoją oparci o dzidy i topory, co poniosą gniew, nienawiść i śmierć... stoją pobrzękując zadzierzyście żelazem kolczug i ostróg...

Zaśmiał się Nilus. Zaśmiał się głośno, drwiąco i gniewnie zarazem. Młodzieńczo się śmiał — wesoło, zuchwale.

Ale nie zbił papieża z tropu, nie zmieszał, nie zawstydził, Śmieje się, iż papież tak mówi, sam brzęcząc żelazem kolczugi i ostróg. Ale kolczuga ta po to, by chronić serce przed ciosem zdradzieckim nienawiści — ostrogi po to, by konia w cwał puścić, gdy obskoczą nasłani przez pychę, mord miłującą, siepacze...

Załamiał się głos papieża. Aron pomyślał, że śni: w szklistych,

wypukłych oczach groźnego, twardego pana miecza i sądu stanęły duże łzy. Wolno spłynęły na kolczugę i wielkimi perłami ozdobiły rdzawe żelazo napierśnych puklerzyków.

— Powie Nilus: daj przykład, zrzucić ostrogi i kolczugę — jeśliś cnotliwy i świętobliwy, nie poganiaj konia w strachu przed mordem, odśłoń piersi ciosowi nienawiści: „Błogosławieni, których prześladują w imię moje!” Pokaż, żeś błogosławiony... Nie, Nilusie, nie zwolnię konia, nie nadstawię piersi ciosowi, bo ze słabnącej, stygnącej dłoni wypadnie powróż Pana, a kto go podniesie? Kto drugi zechce skalać swą rękę dotknięciem biczem, co jednej jedynej tylko ręki nie kalał — Pańskiej?

— Niech żadna nie kala się ręka. Ani też twoja, Brunonie. Uzbrój ją w gałąź oliwną pokoju i przebaczenia. Dotknij nią drapieżcę, a wypadną mu kły i pazury.

— Nie wypadną. Rozszarpie i pożre gałąź, a potem rękę, co ją trzyma.

— Sameś rzeki, słusznieś rzekł, że jedynie Pańskiej ręki nie kalał powróż. Niechże już prócz Pana nikt go nie tknie, nikt nim nie chłosta.

— Sameś rzekł, słusznieś rzekł, że nie bezpośrednio rządzi Pan okręgiem ziemskim, jeno przez Piotra. A Piotr przeze mnie, starcze. Nie masz na ziemi dla stworzeń, grzechem Adama obarczonych, łaski słodczy bez zaprawy goryczą. Skorom w jedną dłoń wziął chłodzący rozkosznie ciężar klucza złotego, nie może drugiej nie parzyć ciężka gorycz powroza.

— Poblądziłem, Brunonie, gdym rzekł, żeś niecnotliwy.

Cnotliwyś, lecz nieszczęśliwy: straszne tknęło cię nieszczęście ślepoty. Nie widzisz, iż zwierzęta wściekle w kniei jeno na to czekają, by ktoś dojrzał w ich ślepiach łagodność. By nie bał się wyjść im naprzeciw bez powroza: dotknij grzbietów ich różdżką miłości — miękko usuną się na ziemię, pieszczocie nadstawią karków, cichym pomrukiem uśmiechną się do kniei, do niebios, do innych zwierząt...

— I nie będą już lwy szarpały owieczek? Ani sowy królików?

— Nie będą. Uśmiechem miłości przemienisz hrabiów i książąt w pustelników i mędrców. Wytrącisz nim dzidę i topór z miłujących

mord rąk. Nauczysz je uścisku przebaczenia i miłosierdzia. Pokój nieś wojnę niosącym!

— Wojna wojnę niosącym! Jeny bicz odważnego odpędzi lwa od baranka. Wojna wojnie! Trąby wojenne Piotra tak długo grzmieć nie przestaną, aż uciszą się wszelkie inne trąby... Powrót Pana w ręce Piotrowej tak długo chłostać będzie, aż ugną się wszystkie dumnych wojowników grzbiety... aż hrabiowie i książęta przekują miecze na lemiesze, aż bratem silnemu będzie słaby, aż dziedzice ćwiczeń rycerskich zamienią się w domy modlitwy i przybytki nauki... Wcześniej nie opadnie dłoń Piotrowa, nie znuży się, nie drgnie... I nie wcześniej kolczugę z siebie zerwę i ostrogi, aż z wszystkich rycerskich opadną piersi i nóg... Wcześniej nie. Wojna wojnie!

— Chce mi się spać — powiedziała Teodora Stefania. Otto podniósł się. Zaczął schodzić z podwyższenia.

— Panie, a Jan Filigat, mistrz twój, doradca ulubiony rodzicielski? — z rozpaczą w głosie jęknął Nilus.

— Jan Filigat na Prawo Piotra się targnął, błagaj Piotra — niepewnym głosem odrzekł cesarz patrząc niespokojnie na Gerberta.

— Piotr zlituje się nad jego duszą — drżącym głosem powiedział Grzegorz Piąty. — Biorę na swą głowę ów grzech słabości: nie umrze i długie lata będzie mógł pokutować w klasztorze za zbrodnie najstraszliwszego świętokupstwa. Ale ciało jego, członki jego sroga dotknie kara, cześć jego jeszcze srogsza...

— Czy Jan Filigat to lew ryczący w puszczy? — z bolesnym uśmiechem zapytał Nilus.

— Nie, to nędzna ohydna gadzina, łaszcząca się do drapieżców i szczująca... pajak, wąż, szakal...

— Oby jęk Filigata w godzinę śmierci stał się przekleństwem, co ci wydrze powrót z ręki, Brunonie.

— Ręka moja mocno trzyma powrót, Greku. Jedno przekleństwo zagłuszą tysiące błogosławieństw. Syk żmii, tracącej zęb jadowny, utonie w głośnym chórze dziękczynnym biednych, słabych zwierzątek wiecznie szczutych w kniei. Wojna wojnie!

Otto wyciągnął rękę, podał dłoń Teodorze Stefanii.

— A ty nic nie powiesz, Gerbercie? — zapytał z trudem tłumiąc ziewanie.

— Jeśli rozkazujeś. Panie.

— Rozkazuję.

— To pozwól, bym wrócił jeszcze do słów Ojca Najświętszego o grzechu Adama, co obarcza cały rodzaj ludzki i każdą istotę ludzką z osobna. Czym najsilniej, najciężej grzech ów rodzaj ludzki obarczył? Oto dziedzictwem nienawiści, gniewu i mordy, dziedzictwem wojny... Lew niestety zawsze będzie pożerał baranka, a pająk muchę — zawsze, aż zabrzmią trąby archanielskie... I zawsze będzie wojna między ludźmi, dziedzictwo przekłete Kaina! Ale jak każda ludzka istota z osobna ukrywa się w samotności z tym, co w niej brudne jest i wstydlive, a czego nie wyzbędzie się, póki żyje, bo częśćka to jej natury, tak samo zmuszony przez dziedzictwo Kainowe prowadzić wojny, winien patrzeć na nie ród ludzki jako na coś brudnego i wstydlivego. Słusznie więc gromi Ojciec Najświętszy hrabiów, książąt i wszystkich dźwigających dzidę i topór. Gromić ich przecież należy nie za to, że topór dźwigają, lecz za to, że się nim pyszną. Bo miast wstydzić się swego zawodu, który muszą pełnić, od którego nie mogą się uchylić, bo taka już jest natura skażona rodzaju ludzkiego, iż ku świętym nieraz celom podążać musi wstydliwą drogą wojny — to oni, miast się wstydzić, powiadam, brzęczą donośnie a butnie żelazem, tak dumni z siebie, jak gdyby mędrkami byli lub mistrzami w świętej sztuce muzyki... Nigdzie jednakże, panie mój, nie widziałem wśród wojowników takiej pychy, nigdzie tak donośnego nie słyszałem brzęku żelaza jak wśród plemion niemieckich... i...

Urwał. Spojrzał przenikliwie na Ottona. — Nie wiem, czy twoja Święta Wieczność wybaczy mi, co teraz rzeknę — powiedział z pytającym uśmiechem.

— Wiesz przecież, że nie ma rzeczy, której bym ci nie wybaczył — z uśmiechem również odrzekł Otto. — Każde twe słowo to balsam krzepiący mądrości.

— Więc pozwoli twoja Święta Wieczność, że powiem, iżem wiele rozmaitych widywał wojsk, nawet niechrzczone saraceńskie, a jakem

rzekł, nigdzie tyle brzęku, tyle pychy, co u Niemców, zarówno Sasów jak Franków... Zresztą mniemam, że mówiąc tak, twego świętego nie urażam ucha, bo tak mało zostało w twej Wieczności Sasa, a i mało było: przez krew matczyną Grekiem jesteś, a matczyzna zawsze mocniejsza, bo i mleko do niej dochodzi; z ducha zaś twój ojciec najdostojniejszy był Rzymianinem raczej niż Sasem, tyżeś zaś, panie, już w pełni Rzymianin... Ale gdym słuchał świętych, mądrych słów Ojca Najświętszego, Pana Papieża, wciąż mi huczało w uszach krzykiem bojowym drużyn frankońskich. I tak bardzo z niemiecka brzęczała kolczuga i ostrogi... Gdy zaś raczył wspomnieć o trąbach Piotrowych, ażem drgnął, tak wyraźnie usłyszałem trąb wojennych wołanie; trąb tych samych, co saksońskim grają szykom, gdy miarowym, twardym, żelaznym zaiste krokiem, dumnie, ze szczękiem i brzękiem podążają ku kniejom i bagnetom Słowiańszczyzny.

Aron i Bolesław Lambert wymykali się prześlizgując się cicho od kolumny do kolumny, starając się w jak najgłębszy utrafić cień. Przecież Aron już koło drzwi zatrzymał się, by słyszeć, co odpowie papież Gerbertowi. Ale Grzegorz Piąty zdawał się wcale nie słyszeć słów Gerberta. Z rękoma skrzyżowanymi na piersiach stał przed Nilusem, który znużony widocznie ponad siły opadł na niskie krzeselko, wtuliwszy twarz i brodę w coraz silniej trzęsące się dłonie.

— A pamiętaj, starcze świątobliwy, że skoro usta twe miłują prawdę, nie pozwól im, jeśli umrę niedługo, skalać się kłamstwem, iż to kara Boża za Filigata. Wiem, że będą tak mówić. Ale pamiętaj, że kłamstwem by to było. Mnie dawno ciężka gnębi choroba i myślę, że niezadługo już powie Pan: „Czas”. Wiem, że nie doczekam, aż miecze przekują na lemieszce, aż lew spocznie w pokoju obok baranka, aż wolno mi będzie zdjąć kolczugę i ostrogi... Umrę żelazem okryty i w żelazie mnie pogrzebią. Nie, Nilusie, błędzisz — czytam w twych myślach: nie, nie będzie to znak Boży, iż nie trzeba powrozu... Może przeciwnie, szczególnie to będzie łaska; w nagrodę za wierne, mocne dzierżenie powrozu, łaska dla ręki: dosyć trzymałaś, niech już inny weźmie... Bom wszak już rzekł: pali rękę powróż, pali...

A trzymać go trzeba, musi ktoś trzymać... Kto go po mnie weźmie?

Czy dość mocną weźmie ręką? Czy nie będzie się bał wejść między najstraszliwsze ostępy leśne? Czy potrafi chłostać węże i szakale, wilki i lwy? Czy nie za prędko ścierpnie mu dłoń? Czy nie odrzuci precz parzącego powrozu? Oto co mię trapi, Nilusie, nie przekleństwo Jana Filigata. Ani nawet twoje przekleństwo, czcigodny, świątobliwy starcze. Idź swoją drogą usłaną wonnym kwieciem, a gdy dojdiesz do jej kresu, zapytaj Piotra, czy zaiste ma we mnie tak niewiernego i niegodnego włodarza, jakieś rzekł. Bywaj zdrów, wracaj do swej pustelni. Rozmyślaj.

Noc jeszcze była w pełni, gdy Aron i Bolesław Lambert wydostali się chyłkiem z kościoła Świętej Sabiny. Od Tybru jednak już wiało przenikliwym chłodem ostatniej przedrannej godziny. Obaj młodzieńcy trzęśli się — czy tylko z zimna? Aron wprawdzie z poczuciem wyższości spozierał na zupełnie oszołomione tym, co widziało, książątko słowiańskie, ale przed sobą nie mógł się nie przyznać, że i sam tak jest wstrząśnięty jak nigdy. Bolesław Lambert zdawał się niewiele rozumieć z tego, co w kościele się przed nim działo; powiedział Aronowi, że żegnając się nieustannie szeptał: „Nie wódź nas na pokuszenie”. A przecież się czuło, że tych kilka godzin zapłodni myśl jego na długie, długie lata, może na życie całe. Arona zapłodni na pewno:

Grzegorz, Nilus i najbardziej, jak mu się zdawało, tajemniczy Gerbert w wiele lat jeszcze po swym odejściu w zaświaty będą stawiali jego myśli i sercu pełne głębi niepokojącej pytania, te same, które sobie nawzajem stawiali w ową noc straszliwego sądu.

Aron rozglądał się za Tymoteuszem, zapytał o niego pełniących straż przy karecie kopijników.

Owszem, ci widzieli go; okazało się nawet, że Tymoteusz miał z nimi zwadę: żądał, by go zaprowadzono do margrabiego Ekkeharda, a gdy kopijnicy wzbraniali się twierdząc, że nieodpowiednia to pora do odwiedzin, zasypał ich gradem przekleństw zarówno rzymskich jak saksońskich. Groził im też gniewnie a zjadliwie i byłby pewnie oberwał drzewcem włóczni po grzbiecie, a to i po głowie, gdyby nie nadszedł przypadkiem biskup wormacki, Hillibald, który w świetle pochodni od

razu rozpoznał znanego mu jeszcze z Pawii papieskiego ulubieńca. Kopijnicy poczęli się usprawiedliwiać: nie znali go, nie widzieli nawet, jak wchodził do kościoła; od północy bowiem dopiero pełnili służbę. Zniecierpliwionym ruchem ręki dał im Tymoteusz poznać, że przebacza, ba, temu właśnie, kto nań zamachnął się drzewcem, łaskawie pozwala odprowadzić się do margrabiego. Odchodząc polecał powiedzieć swym towarzyszom, gdy wyjdą z kościoła, aby udali się jego śladami. Ten sam kopijnik miał i ich również zaprowadzić pod wykończone już lewe skrzydło wznoszonego naprędce pałacu. Tymoteusz prosił, by poczekali na niego przed wejściem.

Aron zawahał się. Iść czy czekać na Gerberta? Przecież po powrocie do siebie może zapytać o niego. Aron wprawdzie był przekonany, że o tak późnej porze Gerbert nie zechce z nim rozmawiać, odeśle do klasztoru i każe przyjść nazajutrz. Ale musi zaczekać, zabiec Gerbertowi drogę, zapytać. Niecierpliwiło go, iż tak długo nie wychodzą z kościoła; niecierpliwiło i męczyło: oto nigdy nie dowie się, o czym tam teraz mówią. Może przecież uda się Nilusowi wyblagać nie tylko życie, ale i całość członków Filigata. Co prawda Aron nie był już w tej chwili zupełnie pewny, czy skazanemu Grekowi należy okazać łaskę; targała nim straszliwa rozterka, nieomal bezmyślnie szeptał: — Wojna wojnie. — Chłód przedświt trząsał nim nieporównanie silniej niż kopijnikami, a przecież o wiele cieplej był od nich odziany.

Na szczęście dla niego Gerbert wyszedł z kościoła pierwszy. Aron jeszcze silniej się trzęsąc przystąpił i nazwał swe imię. Jakże był zdumiony, gdy Gerbert polecił mu natychmiast iść z sobą, dodając, że noc najlepsza to pora do wszelkich uczonych rozmów.

Nie czekali, aż Otto wyjdzie z kościoła. Mimo wszystko, czego był świadkiem, Aron nie mógł się nie zdumiewać swobodzie, z jaką Gerbert uniezależniał się od ceremoniału. Kopijnicy zamarli w bezruchu, pochylili włącznie ostrzami ku ziemi, biskup Hillibald przykląkł, a Gerbert nawet się nie obejrzał oddalając się szybkimi krokami człowieka zajętego wyłącznie własnymi sprawami. Aron

podążał za nim raz po raz spoglądając poza siebie. W blasku pochodni mignęła twarz Teodory Stefanii i znów utonęła w ciemności. I oto zrobiło się Aronowi żal, że czekał, że doczekał się Gerberta: uświadomił sobie, iż przecież najważniejszą dla niego w tej chwili sprawą jest treść rozmowy Tymoteusza, z margrabią Ekkehardem. Tylko margrabia może opisać dokładnie przedziwną drogę Teodory Stefanii od Kapitelu aż na Awentyn. Tylko od niego można się dowiedzieć, jak to się stało, że małżonka Krescencjusza, małżonka jedyne go z wrogów cesarza i papieża, co im się jeszcze opiera — dostąpiła nie tylko zaszczytu tulenia się do stopy cesarskiej, ale i prawa niepojętego — mówić kapryśnie do Świętej Wieczności: „Chce mi się spać” — i majestat cesarski liczy się z jej kaprysem, nieomal przeprasza!

Z ciemności nagle wypląnął przed oczy Arona obraz rąk Tymoteusza, gwałtownie ślizgających się po marmurze kolumny: w górę, w dół... w dół, w górę... i znów w górę, w dół... w górę... i znowu w górę, w dół...

I jak gdyby błyskawica prześwieciła nagle myśl Arona aż do najtajniejszych zakamarków: Atalanta jego snów już nie pędzi po rozmokłej ziemi naprzeciw rozwścieczonemu dzikowi, znużona usiadła u obutych w złoto królewskich stóp, przytuliła do nich policzek... Aż dech mu zaparło nagłym przyplływem fali przyjaźni do Tymoteusza... fali tak wezbranej, tak spienionej jak nigdy dotychczas. Biedny, oszukany, skrzywdzony okrutnie Tymoteusz! Czyż papież nie obiecał mu Teodory Stefanii? Czyż nie przyrzekł, iż zostanie jego ślubną żoną natychmiast, gdy owdowieje? Czy cesarz nie poparł uroczystą swą zgodą papieskiej obietnicy? A oto choć żyje jeszcze Krescencjusz, choć cudzą jeszcze jest żoną Teodora Stefania, choć przyrzeczona jest uroczyście innemu — sobie ją zabrał Otto... i władczą, zaiste bezlitosną ręką — ręką zbrojną w tysiące saksońskich dzid i frankońskich toporów — zabrał bezbronnemu, zawsze wiernemu Tymoteuszowi. Zabrał z drogi, co prowadzi z Kapitelu, sześć mijając szubienic. Z drogi, na której dla Tymoteusza pozostał tylko jeden zdarty z nogi czy też zrzucony trzewik.

6

Teodorę Stefanię wyrwał z rąk sześciu napastników osobiście margrabia Ekkehard. Właśnie obsadzał swoimi ludźmi stary potężny gmach teatru Marcellusa, gdy nagle doszedł go od portyku Oktawii rozzwierający kobiecy krzyk. Posłał trzech żołnierzy, by zobaczyli, co się dzieje. Nie wrócili, krzyk kobiecy wzrastał się, towarzyszył mu coraz głośniejszy, coraz weselszy, coraz dzikszy zbiorowy męski śmiech. Ekkehard poszedł sam: choć tak bardzo już niemłody, w okamgnieniu przemierzył iście młodzieńczym biegiem owe kilkadziesiąt stóp, które dzieliły portyk Oktawii od teatru. Zobaczył posłanych przez siebie żołnierzy, jak oparli o kolumny rechocząc radośnie wzięwszy się pod boki — w głębi zaś portyku ujrzał młodą kobietę w zielonej szacie, szamoczącą się zaciekle, choć wyraźnie ostatkiem już sił, z sześciu Sasami w ciemnych kaftanach i lśniących płaskodennych hełmach.

Na groźny krzyk margrabiego żołnierze wypuścili ofiarę z rąk, cofnęli się, ale wrzeszczeli i śmiali się nadal, ba, szarpali ją raz po raz za włosy i suknię jeszcze wtedy, gdy już klęczała przed Ekkehardem obejmując kurczowo jego nogi kształtnym, pełnym, drażniącym białym ramieniem, ledwie okrytym strzępami rękawa.

Widać było, że napastników nie przeraził zbyt okrzyk margrabiego: wszak owa kobieta, to ich zdobycz wojenna, zdobycz dnia zwycięstwa; wiedzieli zaś, że Ekkehard nigdy nie miał zwyczaju zaprzeczać swym żołnierzom prawa do żywego łupu, ba, niejednokrotnie już dawał dowody, głównie w czasie wojen ze Słowianami, iż na to właśnie prawo wojny patrzy nie tylko pobłażliwie, ale nieraz wręcz zachęcająco.

Zaczynało natomiast niepokoić napastników wyraźne zaniepokojenie, z jakim siwowłosey margrabia przyglądał się obejmującej jego nogi kobiecie. Wiedzieli bowiem także, iż prawo do żywego łupu przyznawał nie tylko swoim podwładnym, ale i sobie. Nie rechotali więc już, owszem, śmiali się coraz nie pewniej, a to w miarę jak wzrastała wciąż szybkość ruchów ręki głaszczącej potargane,

rozrzucone, wspaniałe rudawe włosy.

Kobieta nie słabnącym ani na chwilę przenikliwym głosem wołała, by ją natychmiast zaprowadzono przed oblicze Imperatora. Błaga o to, żąda tego, chce, musi, ma prawo poskarżyć się Jego Cesarskiej Wieczności osobiście. Osrebrzona głowa margrabiego coraz szybciej, coraz, przyjaźniej kiwała potakująco w takt tym krzykom: oczywiście, zaprowadzi ją przed oblicze Imperatora. Zaraz zaprowadzi.

Zaprowadził do teatru Marcellusa, ścigany pełnymi zawodu i wściekłości spojrzzeniami nie śmiejących się już oczu. Posadził ją w wygodnym, rzeźbionym krześle, w przytulnym kąciku obszernej komnaty, gdzie tyle, tyle wieków temu aktorzy przed rozpoczęciem tragedii wkładali maski i koturny, teraz zaś mieściła się tu główna siedziba naczelnego dowództwa odzyskujących Rzym dla papieża wojsk cesarskich.

Ekkehard był zadowolony z siebie. Udał mu się dzień. Cieszył się przede wszystkim z szybkiego a łatwego opanowania teatru. Przez cały ranek bał się nieco o siebie. Wprawiony w zdobywaniu drewnianych grodów słowiańskich, których ostrokoły zapalały się jak słomiana strzecha przy pierwszym spadnięciu gradu niosących ogień pocisków, uczul się nieswojo stanąwszy przed potężnym ceglany murem, z trzech pięter, z którego sypały się na jego ludzi przez łukowe arkadowe otwory tysiące strzał i lały się straszniejsze ponad wszystko potoki wrzącej oliwy. Drewniane maszyny oblężnicze w drzazgi się rozbijały o niezłomną cegłę, jak gdyby dla dziecięcej sklecone były zabawy. A przecież przy drugim już natarciu teatr poddał się. Ekkehard przypisywał zwycięstwo przede wszystkim grozie, jaką powinny były budzić w lękliwych duszach Rzymian jego ciężko zbrojne oddziały, osobiście przez niego szkolone, nacierające grzmącym, połyskliwym, zwartym wałem żelaza, który spokojnie, odważnie, sprawnie zwierzał się jeszcze ciaśniej, jeszcze groźniej, nad każdą poczynioną przez straty w zabitych i rannych wyrwą, choćby wyrw tych było bez liku.

Dopiero po wielu miesiącach dopadło go niemiłe rozczarowanie; okazało się, że łatwe zwycięstwo wygrane zostało w zupełnie innej

stronie Miasta: przy bramie Flamińskiej. Zaraz po ucałowaniu nogi Ottona Jan Teofilaktos, uzyskawszy przebaczenie, a nawet natychmiast wywyższony, pospiesznie wysłał gońca do teatru z tajnym zleceniem dla drużyny tuskulańskiej, by bezzwłocznie poniechała oporu wojskom cesarskim, ba, więcej, by niespodzianie obskoczyła swoich towarzyszy broni, drużynę rodu hrabiów Niedźwiedziów, rozbijając ją i oddając odebraną broń cesarskim ludziom. Tuskulańczycy podporządkowali się tym chętniej, iż przymus braterstwa broni z ludźmi Niedźwiedzi od razu powitali objawami przemożnego wstrętu: od dawna już był Rzym widownią nieustannych utarczek między zbrojnymi z podobizną niedźwiedzia na piersi, a tymi, co nosili znak kolumny. Zaledwie goniec szepnął kilka słów dowódcy Tuskulańczyków, w okamgnieniu przestały sypać się strzały i lać oliwa: pełnym oburzenia i przestachu krzykiem rozbrajanych Niedźwiedzi towarzyszyły radosne wołania, z jakimi Tuskulańczycy witali wkraczającego pod arkady teatru Ekkeharda.

On zaś przypisywał wówczas zwycięstwo wyłącznie sobie. Naprzód już zabawiał się zawiedzioną, zawistną miną, jaką ujrzy niebawem na twarzy księcia Dediego: oto raz jeszcze popisał się przed wieloletnim współzawodnikiem niewątpliwą swoją przewagą. Tuż przed bramami Rzymu Imperator mianował Dediego Patrycjuszem Imperium, kazał nosić przed nim srebrne orły. Najwyższe to wyróżnienie, zaiste, a przecież nie Dediemu, tylko Ekkehardowi powierzył Otto rzeczywiste dowodzenie wojskami. Dedi z srebrnymi orłami, ale bez wojska — Ekkehard z wojskiem, lecz bez orłów: margrabia aż się w ciemię drapał ze zdumienia, ile sprytu iście greckiego tai się w osiemnastoletniej główce Imperatora: jak zgrabnie wszystko zawsze przeprowadzi, by nie skupiło się w jednym ręku za dużo na raz siły i zaszczytów! Co prawda on, Ekkehard, wdzięczny jest cesarzowi: srebrne orły to dobra rzecz, ale woli już wojsko bez orłów niż odwrotnie. Najzabawniejsze zaś, że Dedi jeszcze namawiał cesarza, by tak właśnie postąpił: zapatrzył się widać nieprzytomnie w orły, blask srebra go oślepił — nie inaczej.

A może przemyślał chytrze nad tym, żeby rywala w pole

wywieść: spodziewał się zapewne, że Ekkehard sobie zęby wyszczerbi o cegłę teatru — zawiedzie się stary lis!

Zadowolenie z siebie wzrosło jeszcze bardziej, gdy przyprowadził z sobą do zdobytego teatru młodą ładną kobietę. Zaczął się rozglądać, czym by przykryć jej ramiona: szczerze chciało mu się okazać, że troszczy się o nią, zanim ona z kolei zacznie się troszczyć o to, by jemu było z nią dobrze. Zmartwił się, że w teatrze pomiędzy obrońcami żadna nie pętała się kobieta: kazałby jej zdjąć trzewik, jako że ta, którą przyprowadził miała jedną nogę bosą.

Ale radosny nastrój jego szybko zaczął się psuć. Młoda kobieta nie łudziła się długo, iż zamierza ją istotnie zaprowadzić do cesarza. Więc znowu zaczęła domagać się podnieconym głosem, by zaraz, natychmiast tam ją zaprowadził. Mówiła coraz gniewniej, coraz głośniejsz; gniewne żądanie przechodziło to w szloch prośby, to w krzyk rozkazu nieomal. Wołała, krzyczała, tłukła głową i nagimi ramionami najpierw o poręcz krzesła, potem o ścianę. Za drzwiami wszczął się ruch, gwar, tłok. Czyjeś ręce raz po raz zuchwale uchylały drzwi, zaglądały zaciekawione twarze. Ekkeharda poczynała ogarniać wściekłość. Zamiast spodziewanej przyjemności, miał kłopot. Starał się ją uciszyć — daremnie. Nie wierzyła już jego zapewnieniom, że zaraz powiezie ją przed cesarskie oblicze. Targała na sobie włosy, tupiała nogami. Rozgwar za drzwiami rósł. W pewnej chwili pomyślał, że trzeba się od niej odczepić, najlepiej kazać ją udusić i wrzucić wraz z trupami zabitych żołnierzy do przepływającego opodal Tybru — powie się, że godziła na jego życie, ledwie zdołał się ocalić. Otworzył szeroko drzwi, by wyszukać w ciżbie kogoś najlepiej nadającego się do wypełnienia takiego rozkazu, ale w tejże chwili kilka na raz głosów spoza drzwi zawołało: „Toż to Krescencjuszowa żona!”

Oślupiał. Więc dlatego krzyczała, że ma prawo domagać się, by ją postawiono dla skargi przed cesarskie oblicze! Ekkehard nie wiedział dobrze, czy Krescencjusz poddał się już, czy też będzie się bronił, ale i w jednym, i w drugim wypadku byłoby rzeczą nierozsądną jakieś dotkliwe skrzywdzenie jego żony; być może postąpi, jak już inni zrobili wodzowie buntu: poprosi o łaskę, dostąpi przebaczenia, krzywda więc

żonie wyrządzona może go tylko znowu rozjątrzyć: a może, przeciwnie, cesarz będzie chciał jakoś szczególnie srogo ukarać Krescencjusza? Może zechce go stracić z całą rodziną lub tylko polecisz mu odciąć nos i język, każe patrzeć na mękę i śmierć żony i dzieci?

Tak czy owak zniknięcie żony Krescencjusza byłoby dla Ottona czymś bardzo niedogodnym, a przy tym tłoku nie da się już ukryć, iż miał ją w swym ręku Ekkehard; do margrabiego więc będzie cesarz żywił urazę, w razie czego, urazę, którą nie wiedzieć do jakich rozmiarów rozdmuchać mogą Dedi i przebiegły Hugo z Tuscji, zyskujący z dnia na dzień coraz więcej posłuchu u cesarza.

Przecież cesarz może na przykład zechcieć mieć w żonie Krescencjusza zakładniczkę jego wierności. I nagle Ekkehard doznał jakby olśnienia: komu jak komu, ale właśnie jemu przede wszystkim powinno zależeć na tej kobiecie jako na zakładniczce. Wszak jeżeli prawdą jest, że Krescencjusz jakoby zamknął się w wieży Teodoryka, to jeżeli dojdzie do oblegania wieży, kto ją będzie zdobywać, jak nie on, Ekkehard? A twierdza to podobno nieporównanie potężniejsza niż teatr Marcellusa! O kamień jej murów istotnie można sobie zęby wyszczerbić, nadwerężyć sławę niezwycięzonego wodza! Mając zaś w ręku Krescencjuszową żonę, zawsze łatwiej będzie wymusić poddanie się twierdzy. Zagrozi się na przykład, że tę kobietę się zabije albo obetnie się jej uszy i postawi już bez uszu pod wieżę grożąc, że jeśli Krescencjusz nie podda się, to nazajutrz utnie się jej całą głowę. Albo się jej zetnie głowę i podsunie na wólczeni pod szczyt wieży zapowiadając, że jeśli Krescencjusz będzie się dalej opierał, podsunie mu się tak samo głowy dzieci... A jeśli okaże się, że los żony nie obchodzi Krescencjusza o tyle, by dla uratowania jej poddał twierdzę — wówczas nie będzie już na niej zależało ani Ottonowi, ani nikomu — przestaną się nią zajmować — wtedy Ekkehard po swojemu zapłaci jej za widowisko, jakie tu teraz dała w teatrze Marcellusa.

Zaczęło go jednak niepokoić, iż im cenniejsza okaże się zakładniczka, tym uważniej może Otto wsłuchiwać się w jej skargi na napaść żołnierzy Ekkehardowych. A może na samego Ekkeharda

nawet? Gniewnie zawołał, że nie ośmieli się znieważać świętych oczu cesarskich tak nędznym jej widokiem: nie, ona nie może stanąć przed majestatem z potarganymi włosami, w jednym tylko trzewiku, z nieprzystojnie nagimi ramionami. Niech najpierw uda się do domu, a stamtąd...

— Nie mam już domu — zawołała. — Powieziesz mnie zaraz, i to taką, jak tu stoję... Niech Wieczność Cesarska zobaczy tę bosą nogę, z której trzewik zdarły pożądlive, bezwstydne ręce cesarskich wojowników... niech zobaczy te włosy potargane aż sześciu parami drapieźnych rąk, co się uwzięły na cześć i wstydlivość jednej kobiety... W sześciu na jedną! W sześciu na jedną! — wołała gniewnie i drwiąco zarazem, tupiąc głośno nogami. — A nagość ramion przykryję, by nie zgorszyć przypadkiem nieumyślnie dziecięcej czystości majestatu — dodała po chwili spokojnie, w zamyśleniu i z powagą. Koło drzwi leżał jakiś męski kaftan z długimi rękawami. Zapewne ktoś zdarł go z trupa lub rannego, a w tłoku koło drzwi zgubił, odcisnięty przez tłoczącą się ciżbę w tył. Podniosła, strzepnęła kurz, włożyła na siebie; na piersi jej błysnął białymi nićmi wyhaftowany znak kolumny. Poprawiła nieco włosy.

— Jedźmy — rzekła. — Zapytam Pana Cesarza, czy prawdą jest, że wolno jego żołnierzom bezkarnie napastować najdostojniejsze niewiasty Wiecznego Miasta.

— Jeżeli tylko o to chodzi, nie masz po co jechać — pospiesznie odparł Ekkehard. — Pan Cesarz może ci odpowiedzieć moimi ustami: nie, nie wolno... Owych sześciu spotka surowa kara... bardzo surowa.

Skinął na stojącego w drzwiach setnika. Nazwał mu imiona trzech żołnierzy, których posłał dowiedzieć się, co to za krzyk donosi się z portyku Oktawii, po czym rzekł:

— Każ ich wychłostać należycie za to, iż nie przyszli z pomocą napadniętej dostojnej pani, którą dopiero ja sam uratowałem... Potem niech tobie wskażą owych sześciu, co na dostojną panią napadli... Tamtych powieszisz... A jak owi trzej nie zechcą wskazać, to ich też masz powiesić...

Teodora Stefania nisko pochyliła głowę. Szybko, gwałtownie.

Pocałunek w rękę, jakim zaskoczyła Ekkeharda, tchnął szczerą, żarliwą serdecznością.

Szczerym też, żarliwym wzruszeniem drgał jej głos, gdy mając oczy pełne łez mówiła, jak gorąco dziękować będzie Cesarskiej Wieczności za roztropny wybór tak sprawiedliwych, tak cnotliwych wodzów, tak gorliwie ujmujących się za czią i wstydlivością niewieścią.

Opowiadając Tymoteuszowi dzieje ocalenia Teodory Stefanii, musiał Ekkehard być już poważnie upity. — Inaczej chyba, mówił Tymoteusz Aronowi, aniby się nie przyznał, iż sam miał ochotę potraktować ją jako żywy łup, aniby nie zdradził się z obawami, że bez zakładników może nie zdobyć wieży Teodoryka. Na stole zresztą stały przed Ekkehardem całe stosy dzbanów i butli. Siwe włosy rozwichrzyły się, twarz była purpurowa, oczy stały się malutkie, wilgotne, suknię na piersi miał rozchełstana.

Tymoteusza Ekkehard powitał zrazu niezyczliwie. Długą chwilę oglądał go milcząco, pogwizdując coś pod długim, cienkim, coraz to silniej czerwieniącym się nosem. Potem obrócił głowę ku współtowarzyszom biesiady i powiedział coś krótko a dobitnie po saksońsku — coś, z czego Tymoteusz zrozumiał tylko jedno słowo: „Rzymianin”, a co u wszystkich uczujących wywołało wybuch hucznej wesołości, choć Ekkehard powiedział to coś tonem nadzwyczaj poważnym.

Tymoteusz uczył, że blednie, i wyszedłby natychmiast, gdyby nie zależało mu tak bardzo na wy pytaniu się o Teodorę Stefanię. Zresztą po chwili już margrabia patrzył na niego zupełnie innym spojrzeniem.

— Spójrzcie, wszak to ulubieniec Pana Papieża — zawołał nagle radośnie. — Siadajże z nami. Cóż tam w kościele Świętej Sabiny? Wypłacze Nilus głowę Filigata, co? Chyba nie, prawda? Pan Papież twardą ma rękę, to po pradziadku, Pierwszym Ottonie...

Tymoteusz usiadł. Obrzucił wzrokiem uczujących. Siedzieli ciasnym wieńcem wokół podłużnego, zawalonego jadłem i czaszami stołu.

— Napij się z nami, szlachetny młodzieńcze — rzekł Ekkehard

z powagą podsuwając Tymoteuszowi dzban i czaszę, ale gdy nalewał, znów śmiały mu się oczy.

— Pij, nie żałuj sobie, nam nie szkoda. Poklepał Tymoteusza po ramieniu, mrugając znacząco jednym okiem.

— Jacyście dziwni a śmieszni, wy, Rzymianie. Po kolana byście mogli brodzić w tym cudownym napoju, a żałujecie sobie. Przypatrzyłem się już, jak pijecie: łyżek malusieńki wieczorem, a w południe pół łyżka. A i te pół łyżka oderwalibyście sobie od gęby, byle gościom niemieckim jak najwięcej sprzedać. Jak najwięcej a jak najdrożej. Pij, pij, takiegoś pewnie jeszcze nie pił, może nawet i przy stole Pana Papieża takiego się nie pija. Przecudowne wino. Najlepsze, jakie macie.

Tymoteusz wypił. Mimo całej urazy i niechęci do stryja Jana Teofilakta, nie mógł nie pomyśleć o nim teraz jak najżyczliwiej. A jednocześnie z podziwem: cóż za zuchwały spryciarz z tego stryjaszka! Głowa senatu sprzedaje cesarskim wodzom fałszywe wina! Taka lura!

Poprosił o dolanie. Sam dolał Ekkehardowi. Wypił zdrowie jego synów i córek. I wszystkich wojsk niemieckich, co tak dzielnie walcząc odzyskały Rzym dla Pana Papieża. Wypytywał Ekkeharda, jako męża potężnego, jednego z najbliższych cesarzowi, co sądzi o sprawie Jana Filigata. Margrabia zaczął huśtać się na krześle. Rzekł, że on sobie tą sprawą głowy nie suszy. Od tego są Pan Cesarz i Pan Papież. Każe mu Pan Cesarz uciąć Filigatowi głowę, utnie. Każe w klatce zawieźć aż do samej ojczyzny Filigatowej, miasta Rossano — zawiezie. Choć w mieście tym stoją wojska greckie. I niechby spróbowali wojownicy greccy i wszyscy Rossańczycy, ilu ich tam jest, wydrzeć mu skazańca, wywlec z klatki! Nie wydrą, nie wywloką, ni w biały dzień, ni w nocy, czy na rynku, czy w kościele! Nie odda! Gdy nie przestając ani na chwilę huśtać się w krześle, wyrzucał z siebie te krótkie, ostre, proste słowa — nie zdawało się już, że jest pijany.

Tymoteusz niby od niechcenia rzucił uwagę, iż oto przywidziało mu się, że w kościele u stóp Pana Cesarza siedzi kobieta. Wydało mu się nawet, że ją poznaje: czyżby naprawdę miała to być żona

Krescencjusza, Teodora Stefania? Ekkehard z żywością potwierdził. Tymoteusz zna ją? Ależ oczywiście, musi przecież wszystkich dostojnych Rzymian i ich żony znać — niechże więc o niej coś opowie.

Opowiedział to i owo. W pewnej chwili pochylił się nad uchem Ekkeharda i bardzo poufnym a poufałym szeptem, w którym trwoga brzmiała i święte oburzenie, podzielił się tajemnicą usłyszanych przez siebie w kościele słów Teodory Stefanii „Chce mi się spać”. Ekkehard zaśmiał się głośno, odpił znowu wina, znacząco chrząknął. Z kolei on nachylił się nad uchem Tymoteusza i równie poufnie a poufale szepnął, iż wcale a wcale się nie dziwi temu, że Tymoteusz właśnie takie słowa usłyszał. Pan Cesarz dzierży w garści okrąg ziemski, a Teodora Stefania Pana Cesarza. I niech się ulubieniec Pana Papieża nie gorszy, ale to nie jest złe: gdy trzeba będzie, ukręci się jej łeb, ale teraz ona to istotne błogosławieństwo Boże dla Cesarzkiej Wieczności. I pomyśleć, że to on, Ekkehard, przyprowadził ją Panu Cesarzowi. Myślał, że przyprowadza łup, zakładniczkę, a oto co wyszło! Opowiedział dokładnie, jak ją znalazł, jak zawiózł na Awentyn. Gdy wysiedli z łodzi i zaczęli piąć się w górę, niewygodnie jej było w jednym trzewiku — zrzuciła go i boso przyszła przed oblicze cesarskie. Ledwie jej co prawda wystawały palce spod sukni zielonej i rzadko bardzo pięta też łysnęła — a przecież nie uwierzy chyba Tymoteusz, skoro tego sam nie widział — jakimi oczyma patrzył Pan Cesarz na te bose stopy! I nie dziw, że nie uwierzy, bo zaiste nie do wiary. Ale on, Ekkehard, stary, doświadczony, od razu spostrzegł. A właściwie, na te jej palce aż niemiło patrzeć — takie pokręcone, od razu widać, że od dziecka za ciasne, spiczaste trzewiki zawsze nosi... A Pan Cesarz patrząc na nie aż przybladł, a zaraz potem w ognjach mu twarz stanęła i oczy mgłą zaszyły... Taki mały skrawek nagości, a tak go wzięło! To chyba po matce — wszyscy Grecy pono, jak wysuszone drzewo od iskiereki od byle skrawka nagości żądzą niepomiarłą się zapalają... A było od czego Teofanii się zapalać, było: piękne miał ciało Otto Czerwony — ileż to razy kąpał się z nim Ekkehard i w Łabie, i w Sprewie, i w Sali... Ale Trzeci Otto, to chyba

łatwiej zapalny niż wszyscy Grecy, ilu ich jest... I na włosy jej rude potargane jak patrzył — gdybyż to Tymoteusz mógł widzieć, jak patrzył... Dobrze więc, że zostawił ją przy sobie. Ochłonie przy niej, ozdowieje. Za dużo w samotności dotąd przebywał — pewnie samotnie obrazami ciał niewieścich bardzo siebie rozogniał, a w jego wieku tego nie wolno... Powiadają też, że mnichem, pustelnikiem pragnie zostać... Już Teodora Stefania postara się, by mu marzeń o pustelni się odechciało... Dziwny jest nasz Pan Cesarz, bardzo dziwny... Najlepiej by go ożenić, ale cóż, prócz Bazyliss greckich, nie masz dlań godnej małżonki... Pojechali przecież Bernward, biskup z Wuerzburga i ten Jan Filigat nieszczęsny do Konstantynopola, prosili Bazyleusów o siostrę dla naszego pana — odmówili im... Pomyśleć tylko. Czerwonemu dali, a temu — na wpół swojej krwi przecież — odmówili... My im jeszcze tę odmowę wypomnimy... zobaczysz, jak wypomnimy... dobrze zapłacimy... Ale na razie to szczęście, że Teodora Stefania jest... Ani samotność już panu naszemu szkodzić nie będzie, ani o klasztorach ni pustelniach nie pomyśli...

Starając się mówić jak najobojętniej, możliwie jak najrozwięźlejszy, zapytał z uśmiechem Tymoteusz, co Ekkehard myśli — on taki doświadczony, choć wcale jeszcze nie stary — czy Teodora Stefania chce być przy Ottonie.

— Czy chce? — wrzasnął margrabia na całą salę, omalże nie upadłszy wraz z krzesłem. — Czy chce, powiadasz? A któż jej się, głupcze, dzieciuchu, będzie o to pytał? Jak nie będzie chciała, głowę jej się ukręci! Czy chce? Bogu i wszystkim świętym sto razy na dzień chyba dziękuje! Przypomnij sobie, kim ona jest! Żona Krescencjusza! Przecież gdyby nasz Pan tak na te jej pokręcone palce nie patrzył, może by już dawno rudą tę głowę przez mur Krescencjuszowi podrzuciono...

— Nie wrzeszcz tak, Ekkehardzie! — krzyknął z drugiego końca stołu Dedi. — Słyszać aż za Tybrem. A bodaj aż za murem Leonowym. Obudzisz jeszcze Jana Filigata w lochu. A szkoda by było, niech się wyśpi ostatni raz.

Cała sala znów rozbrzmiała potężnym wybuchem śmiechu.

— Ej, on chyba nie śpi, tylko... Dalsze słowa księcia Hermana szwabskiego zagłuszył nowy grzmot śmiechu.

— Zaczepiasz, Dedi, znów zaczepiasz? — krzyknął przez stół Ekkehard. Huknął pięścią, aż dzbany i czasze podskoczyły, tu i ówdzie wylało się wino. — Myślałeś, żeś mnie okpił, Patrycjuszu błazeński? Rzymianin taki, patrzcie! Już się sobie nalepił wyżebrane orły? Nie wyszczerbiłem sobie wówczas zębów o cegłę, nie, nadal będziesz samotnie świecił szczerbą w gębie... Zamiast z daleka krakać, chodź no tu bliżej, spróbujmy się o czaszę... A ulubieniec Pana Papieża niech się pouczy trochę, niech zobaczy, jak my się bawimy nad Łabą... To nie taniec sprośny w kościele...

Dedi podniósł się, wolno ruszył ku Ekkehardowi, stanął tuż naprzeciw wzięwszy się pod boki.

— Uważaj, byś się nie dokrzyczał kiedy pchnięcia nożem w bok — powiedział spokojnie cedząc wolno każde słowo. — Kłują cię w oczy moje orły, przyznaj się. Rad byś sobie je nalepić, ale cóż, król nasz, choć młodziutki, tyle ma światłości w pomyśleniu, iż wcale jak mąż najdojrzałszy rozumuje, że aby być Patrycjuszem, trzeba mieć siłę w głowie, nie tylko w gębie. A czy masz ją w ręku, zaraz zobaczymy. Dawajcie czaszę.

Usiedli naprzeciw siebie. Chwycili się prawą ręką za krótką szyjkę szerokiej czaszy. Poczuli ciągnąć czaszę — każdy ku sobie. I za Ekkehardem, i za Dedi stanął rycerz ze sztyletem w ręku. Klingi błysnęły tuż przed czołami zapaśników. Walcząc o czaszę nie mogli pochylać ni ciał, ni głów nawet — czoło natrafiłoby na ostrze.

Wszedł Bolesław Lambert. Szepnął Tymoteuszowi, że Aron poszedł z Gerbertem.

— Bywaj zdrów, siostrzeńcze — zawołał Dedi — patrz, walczymy o twoje dziedzictwo.

— Ojciec Najświętszy nie wywalczył, wuj też nie wywalczy — mruknął ponuro Bolesław Lambert.

— Któż to może wiedzieć — zawołał Ekkehard, nagłym szarpnięciem przesuwając czaszę nieco ku sobie — nie w Rzymie, nie

w Rzymie, chłopaczku, nad Łabą rozstrzygają się losy księstw słowiańskich.

Znów zwrócił się do Tymoteusza w pospolitej mowie, w języku codziennym rzymskiej ulicy, którym mówił wcale biegle.

— Uważasz, młodzieńcze — rzekł głosem, w którym ani śladu już znać nie było upicia się — spójrz na tę czasę. Siedzimy tu, ja i Dedi, zabawiamy się, próbujemy, co warte są jeszcze nasze stare ręce. Zechciejmy tylko, a zaraz przy tylu szlachetnie urodzonych świadkach przysięgniemy, że sprawę dziedzictwa po Niedźwiedziu, książęciu słowiańskim, będzie należało załatwić po myśli tego, który przyciągnie do siebie czasę. I byłaby tak załatwiona. Nie inaczej. Starszy syn Niedźwiedzia wygnał swych przyrodnich, Dediego siostrzeńców. Dobrze, że wygnał, bo wszelką krainą, której lud chce dostatni być i szczęśliwy, rządzić musi jeden mąż silny a mądry, nie gromada dzieciuchów.

— niesprawiedliwie wygnał — powiedział Dedi. Naprężył się i przesunął nieco czasę ku sobie.

— Nie przerywaj mi. Zresztą, coś chciał rzec powiadając: „Niesprawiedliwie”? Dla kogo niesprawiedliwie? Ale nie o tym teraz mowa. Chcę pouczyć rzymskiego młodzieńca, iż owi Słowianie wszyscy są dzieciakami nierozumnymi. Widziałeś, jak chłopcy siadają na patyki i pędzą po łące mniemając, że na koniach jeżdżą? Otóż ci Słowianie tak samo dziecinnie się bawią w księstwo. Brat kłóci się z bratem o to, kto ma rządzić. Brat brata wypędza. Został sam i myśli, że dlatego, bo chciał, bo miał siłę. A to ja chciałem, ja miałem siłę. Jak chłopakowi patyk, tak samo mogę odebrać Bolesławowi Pierworodnemu księstwo, z którego braci wypędził. Nie odbieram, bo mnie, Ekkehardowi, wygodnie, by on bez braci rządził. Bo mi pomaga, dla mnie gnębi swych pobratymców, innych Słowian. A te dzieciuchy nie potrafiłyby. Ale niech jeno upiję się, niech dam przy świadkach słowo szlachetnie urodzonego, że jeśli Dedi przeciągnie czasę, będzie Słowianami rządził ten, kto Dediemu miły — tak by też się stało. Widziałeś, jak wichur gniazda zdmuchuje? Tak by zdmuchnął Dedi Bolesławowi Pierworodnemu księstwo, gdybym ja go już nie

wspierał. Odebrałby patyk starszemu chłopakowi, by dać mniejszemu. Nie odbierze, bo ja nie chcę, bo pijany nie jestem i w zmaganiu o czaszę nie poświęcę Bolesława Pierworodnego, jako że jest mi przydatny. I niech sobie myśli, że swoją wolą i swoją mocą rządzi — niech ujeżdża patyk. Chce czy nie chce go ujeżdżać, konia i tak nie dostanie. Bo na koniach, czy wzdłuż Łaby, czy na wschód od niej, jeździmy tylko my — Sasi.

— A to może stryj mój, Jan Teofilaktos, także na patyku tylko jeździ, myśli zaś, że na koniu? — zapytał Tymoteusz.

Ekkehard odwrócił twarz od czaszy. Oczy jego nie były już malutkie ani łzawe. Trzeźwe, zimne, bardzo jasne, szeroko rozwarte, patrzyły na Tymoteusza badawczo i z zaciekawieniem.

— Cóż to za mądry junak — zawołał ze szczerym podziwem w głosie. — Nalać mu jeszcze wina. I przyciągnął do siebie czaszę.

— Szkoda jednak, że nie mocowałem się z tobą o władzę na Słowiańszczyźnie — rzekł wstając i wymachując ścierpniętą ręką. — Byłby raz na zawsze koniec, temu mniszeczkowi z braciszkami ukręciłoby się głowy i Bolesław Pierworodny do końca dni swoich ujeżdżałby spokojnie patyk i jeszcze by synowi przekazał.

— Nie zamartwiaj się, chłopcze — skinął Dedi do Bolesława Lamberta, także wstając. — Tego osiłka nie jutro, to pojutrze pchnie ktoś w bok nożem, wówczas...

— Pojedziesz na patyku — przerwał mu Tymoteusz. Skierował się ku wyjściu, Bolesław Lambert za nim.

— A jednak on był aż do końca pijany — powiedział Tymoteusz biorąc pod ramię Arona, który już godzinę temu wyszedł od Gerberta, ale nie chciał wchodzić do sali biesiadnej i czekał u wejścia.

Odprowadzili Bolesława Lamberta do furty klasztoru Świętych Bonifacego i Aleksego. Stojący przy furcie brat Bruno Bonifacy zaczął obsypywać wchodzącego wyrzutami, iż włóczy się po nocach, grożąc skargą do samego opata Leona — ale poznawszy papieskiego ulubieńca umilkł, otworzył furtę i potem mruczał tylko mu w ślad, że przepisy klasztorne powinny obowiązywać wszystkich jednakowo.

— Czy wiesz, że ów Bruno Bonifacy to bliski krewniak Pana

Cesarza? Był znaczną osobą w kapeli królestwa niemieckiego — zaczął opowiadać Aronowi Tymoteusz i nagle przystanąwszy wyrzucił z siebie bardzo syczącym i świszczącym głosem: — Jesteś mi jakby bratem, nieprawdaż? Gdy Gerbert polubi ciebie, a wiem, że polubi, zapytaj go, czy także sądzi, że nasz Pan Cesarz chciałby zostać mnichem? I jeśli tak, czy pochwała ów zamiar?

Wschodziło słońce. Świergotały ptaki. Gdzieś daleko w dole na Tybrze rozlegał się plusk wiosła. W blasku budzącego się dnia wcale nie wyglądał niesamowicie kościół Świętej Sabiny. Ani nawet wodotrysk w kształcie okrągłej płaskiej twarzy.

— A oni pewnie śpią — rzekł nagle, znów przystając Tymoteusz. — Nie, nie śpią! — krzyknął po chwili i łzy zaczęły mu spływać po twarzy. Pierwsze łzy, jakie w tych oczach zobaczył Aron. Ale nie ostatnie. Miał jeszcze dwukrotnie zobaczyć płaczącego Tymoteusza.

Posłaniec Gerberta czekał na zejściu ze wzgórza, by odwieźć ich do klasztoru Świętego Pawła. Nie mogli więc do syta nagadać się tego ranka. Tymoteusz przyjechał do klasztoru nazajutrz. Poprosił przeora, by pozwolił Aronowi przejść się z nim w stronę Gaju Trzech Strumieni.

— Niedługo już będę mu pozwalał i zakazywał — uśmiechnął się przeor. — Opuści nas.

Wolno szli w stronę gaju tą samą drogą, co przed półtora rokiem. Gdy zaszli na miejsce, usiedli na progu kapliczki, gdzie bosy, ledwie okryty Grzegorz Piąty rzucał spod kaptura dumne spojrzenia zapowiadając swój powrót i drwiąc z Owidiusza, który nie wrócił nigdy.

Tymoteusz możliwie najdokładniej opowiedział przebieg rozmowy z Ekkehardem. Zakończył opowieść pełnym bólu pytaniem:

— Gdy Otto dostanie w swe ręce Krescencjusza, gdy utnie mu głowę, czy odda mi Teodorę Stefanię?

Aron nie rzekł nic. Nie rozumiał nic. Z przeczytanych ksiąg wiedział, że mężowie i oblubieńcy zabijają lub przynajmniej odtrącają ze wstrętem od siebie nie tylko niewierne, ale nawet gwałtem porwane żony i oblubienice. A Tymoteusz? Byłżeby istotnie gotów wprost z łoża Ottona wziąć sobie Teodorę Stefanię? Nie do wiary!

— Wyjadę chyba — rzekł po dłuższej chwili milczenia Tymoteusz.

— Dokąd?

— Daleko, bardzo daleko. Czy tylko ty masz dalekie odbywać podróże, pływać pod żaglami? Pojadę pomagać Bolesławowi Lambertowi odzyskiwać wydarte dziedzictwo.

Ani się spostrzegł Aron, kiedy myślą i wyobraźnią przyjaciela nowa zawładnęła sprawa: daleka ojczyzna Bolesława Lamberta. Z dnia na dzień stawała się ona przedmiotem coraz poważniejszych rozmyślań i coraz gorętszych marzeń Tymoteusza. Nie jechało się tam wprawdzie morzem pod żaglami, ale bodaj większymi jeszcze nęciła dziwami. Półtoraroczne wspólne przebywanie u boku papieża obfitowało w moc przygód i przeżyć; nie najmniejszym z nich były dla Tymoteusza opowieści Bolesława Lamberta, który zwykle milkliwy lub mrukliwy, przeobrażał się zupełnie, gdy zaczynał mówić o swojej ojczyźnie. W opowiadaniach tych najbardziej podniecały i oszołamiały Tymoteusza legiony niezliczonych demonów, od których roją się krainy słowiańskie. Pełno ich w rzekach, lasach i bagnach; przyjmują ofiary w świątyniach drewnianych; panoszą się w grodach wojennych i na dziedzińcach nielicznych kościołów. Najbardziej zaś w duszach ludzkich, nie tkniętych łaską zbawienia i wszelkimi siłami łasce tej stawiających opór. Tymoteusz nieraz sobie myślał, że nie masz chyba na świecie rzeczy równie strasznej, ale i równie nęcącej jak życie w tym świecie opętanym przez demony. Nie bał się ich, gotów był podjąć walkę z nimi; przez ów okres, gdy przychodził do klasztoru Świętego Pawła i siadywał w bibliotece, dużo się nauczył: a nauka, powiadają, największym jest postrachem demonów. Niczego podobno tak się nie boją jak skandowanej prozy czy strof poetyckich. Tymoteusz wyobrażał już sobie, jak staje w zimie nad rzeką, mówi wiersze i oto rysuje się, trzeszczy, pęka i znika twarda powłoka skuwająca jeziora i rzeki. Albo wejdzie do lasu, wyskanduje raz, drugi i trzeci całą Salomonową „Pieśń nad pieśniami” — wnet zielenią okryją się nagie, zbiedzone drzewa. Wyrecytuje z pamięci czwartą eklogę Marona o przyjsciu Dziewicy z Dzieciątkiem i już otaczają go gromady kobiet z dziećmi wołając:

„Ochrzcij w imię Ojca, Syna i Ducha”. Prócz nauki, inną jeszcze

czuł w sobie moc, tę, co się rodziła z wypełnienia nakazu Teodory Stefanii. Zrazu cierpiał bardzo, aż zębami zgrzytał i skręcał się cały; ale mijały miesiące i coraz lżej mu było; aż wreszcie zaczął odczuwać w sobie przyływ siły tak przedziwnej, że czegokolwiek zapragnął, wszystko osiągał, wszystko się udawało. Z winnicami co prawda się nie udało, ale którejs nocy olśniła go myśl: może to wielki grzech chcieć na raz i Teodory Stefanii, i winnic? Może godnym tego, ażeby dała mu siebie, stanie się dopiero wówczas, gdy się wszystkiego innego wyrzeknie? Niewidzialna więc, ale potężna, żąda dumnie a słusznie od jego duszy, by o nic, co nią nie jest, nie troszczyła się. Zazdrosna, jakże słusznie zazdrosna o to, iż dzieli swe serce między nią a winnice, cofnęła moc, która z niej i przez nią płynęła, i oto przegrał walkę ze stryjem Janem Teofilaktem! Niechże więc stanie się wedle jej woli! Uspokoił się — aż w zdumienie wprawiał Grzegorza Piątego, iż oto go już nie nęka wyrzutami, których co prawda groźny pan miecza i sądu wysłuchiwał zawsze z zadziwiającą zaiste wyrozumiałością.

Ale spokój ów nie trwał długo. Bo oto innej znów nocy zaczęła go nękać myśl, że skoro taka jest potężna, ona, źródło mocy wspaniałej, to czymże on zasłuży sobie na to, by być godnym, ażeby dała mu siebie? Czym jej odwdzięczy się za siłę, którą z niej i przez nią czerpie? I choć do rana oka nie zmrużył, nie znalazł godniejszego daru niż rzucenie pod jej stopy wszystkich demonów tajemniczej krainy słowiańskiej. Zasnął uszczęśliwiony, że dobrze wymyślił, dobrze znalazł — ale gdy się obudził, znowu się zmartwił: przypomniał sobie, że czytał w bibliotece klasztoru Świętego Pawła, iż bez pomazania walka z demonami niepomierne jest trudna, prawie beznadziejna. Wprawdzie ma w sobie siłę od Teodory Stefanii płynącą — skoro jednak dar jej chce złożyć, nie godzi mu się ją o pomoc prosić — bodaj to być pomazańcem, królem lub kapłanem! Zaczął nawet się zastanawiać, jakby pomazania dostąpić: królestwo trudna to rzecz do osiągnięcia; oczywiście, moc, co doń od Teodory Stefanii płynie, wystarczyłaby pewnie, by królestwo zdobyć; ale nuż pomyśli, że znów dzieli swe marzenie między nią a bogactwa i zaszczyty — nie

zgadnie, że to dla niej — i znów cofnie swą moc, i znów nie uda mu się, tak jak z winnicami. Kapłaństwo? Cóż, uczoneści nasiąknęło w niego już sporo, od niejednego biskupa jest uczeńszy — zapytał nawet kiedyś Bolesława Lamberta: — Gdybym zjechał do królestwa twojego z Teodorą Stefanią, zrobiłbyś mnie biskupem, powiedz? Ale Bolesław Lambert za długo już w klasztorze Świętych Aleksego i Bonifacego przebywał; nie swoimi, opata Leona oczyma na obyczaje Kościoła patrzył. — Nie — rzekł z uśmiechem — miłuję clę, bracie, ale żonatyh biskupów w moim księstwie mieć nie chcę.

Taki z niego nowinkarz się zrobił — skarżył się Tymoteusz Aronowi na Bolesława Lamberta. Skarżył się z przyzwyczajenia i właściwie odruchowo, bo musiał wiedzieć, że w klasztorze Świętego Pawła na sprawę małżeństw pomazańców bodaj jeszcze surowiej patrzono niż na Awentynie: twierdzono, że nie tylko na biskupstwo, ale i na kapłaństwo zwyczajne nie godzi się żonatego pomazać. A przecież zdawało się, że właśnie na Arona zrozumienie mógł liczyć bardziej niż na czyjekolwiek: oto przyjaciel od dziecka przyzwyczał się w Brytanii do widoku biskupów żonatyh i w potomstwo liczne obfitujących.

Przypomniał sobie to Aron w Gaju Trzech Strumieni nazajutrz po nocnym sądzie zaocznym nad Janem Filigatem. Powiedział przyjacielowi, że Gerbert jest najmądrzejszy i najuczeńszy, zapytał więc Gerberta, czy istotnie słuszność ma Bolesław Lambert zapowiadając, że w księstwie swoim nie zniesie żonatyh biskupów.

Ale Tymoteusz machnął ręką. Oto nie myśli już nawet o pomazaniu; byleby Bolesław Lambert odzyskał swoje księstwo, pojedzie tam do niego, zaraz pojedzie, choćby nic innego nie miał tam robić, jak tylko pastuchów nadzorować z ramienia książęcego! Zaczął szeroko rozwódzić się nad tym, jak ucieknie: Aron znów widział przed sobą dawnego Tymoteusza — odważnego, chętnie podejmującego najbardziej niebezpieczne chociażby przedsięwzięcia, ale rozsądnego, ważącego spokojnie i trzeźwo każdy krok, z góry obliczającego, co osiągnie, jeśli tak postąpi, a co, jeśli owak... Tymoteusz dokładnie już znał drogę do ziemi ojczystej Bolesława Lamberta — ziemi, którą imieniem krainy polskiej zowią; wiedział, ile

dni trzeba jechać konno, a ile na wozie w woły zaprzężonym; jakie będzie się mijało kraje, rzeki i miasta; jakie na drodze mogą czyhać niebezpieczeństwa. Mówił długo a szczegółowo. Im dłużej mówił, tym lepiej zaczynał rozumieć Aron, że jego przyjaciel przemyśliwa nad zuchwałym porwaniem Ottonowi Teodory Stefanii. Było to jasne, choć imię jej w związku z podróżą ani razu nie padło z ust Tymoteusza. Aron był pełen podziwu dla przyjaciela, ale zaczynał obawiać się o niego. Zadrzeć z samą Cesarską Wiecznością! Aron aż oczy przymknął: wyobraził sobie taką urodziwą, tak bardzo jemu miłą twarz Tymoteusza w chwili, gdy pastwić się nad nią będą cesarscy siepacze; rozżarzonymi prętami wypalać oczy, obcęgami wrywać język i nos, tłuc szczękę ciężkimi młotami! Drżącym głosem przyznał się Tymoteuszowi, o czym myśli. Nie widząc zaś w oczach przyjaciela zgrozy ani trwogi nawet, rozżłościł się: tak, on, Aron, wie, wszystko wie, wszystkiego się domyśla — chce Tymoteusz narazić zdrowie, a może nawet życie? Dobrze, niech tak się stanie, jeśli chce... Chce, szalenie, spróbować porwania Teodory Stefanii? Dobrze, niech próbuje, jeśli chce; ale skądże wiadomo mu, że ona zechce mu towarzyszyć? Że zechce siebie narazić na okrutną zemstę Pana Cesarza... ba, skąd mu wiadomo, że ona w ogóle pragnie, by ją porwano Ottonowi? A może jej właśnie dobrze jest przy cesarzu? Czy o tym Tymoteusz pomyślał choć przez chwilę?

Tymoteusz osłupiał. Nigdy nie widział Arona tak zaperzonego. Oszłomiło go również ostatnie pytanie. Czy ona chce? Milczał dłuższą chwilę jak gromem rażony, szybko jednak ochłonął i sam z kolei wybuchnął. Czy ona chce? Aron jest nadętym głupcem, jeśli myśli, że to on dopiero pierwszy postawił to pytanie. Przecież Tymoteusz opowiedział mu, że o to samo, dosłownie o to samo zapytał margrabiego Ekkeharda: czy Teodora Stefania chce być przy Ottonie? Przecież powtórzył, dokładnie powtórzył Aronowi odpowiedź Ekkeharda: głowę jej się ukręci, jeśli by ośmieliła się nie chcieć! A więc jasne jest, że nie chce być przy Ottonie — o głowę się tylko boi... o głowę, którą wraz z całą resztą siebie dla niego, Tymoteusza, chce zachować... Aron taki niby mądry, taki uczony, a tego nie rozumie!

Aron zwiesił głowę. „Zawstydzil się” — pomyślał z nagłym rozczuleniem Tymoteusz. Nie mógł wiedzieć, że Aron pochylił się, by ukryć przed przyjacielem ciężkie westchnienie, jakie wyrwało mu się z piersi. Nie miał odwagi podzielić się z przyjacielem słowami, jakie usłyszał od Gerberta w odpowiedzi na swe nagłe, gwałtowne, zuchwałe, jak mu się samemu zdało — pytanie: co mistrz cesarski sądzi o krzywdzie, jaką Pan Imperator wyrządził Tymoteuszowi zabierając mu kobietę, którą Pan Papież wiernemu słudze uroczyście przyrzekł, uzyskując w dodatku od Cesarskiej Wieczności potwierdzenie tej obietnicy?

Pytanie to zadał Gerbertowi już przy rozstaniu. Spędził u niego całą resztę nocy. Wychodził od niego oczarowany i szczęśliwy. Przede wszystkim okazało się wbrew oczekiwaniu, że Gerbert doskonale przypomina sobie Arona ze swojej szkoły w Reims. Od razu powiedział, w jakiej ławce zajmował miejsce i obok kogo. Pochwalił jego ówczesne znakomite postępy w gramatyce i retoryce, i dialektyce; wypomniał zaniedbanie w logice, opieszałość w geometrii; ubolewał nad brakiem zdolności do astronomii. Podziwiał wyniesiony ze szkoły glastonberyjskiej sposób recytowania heksametrów, wytknął jednak właściwe wszystkim brytyjskim szkołom klasztorным niedocenywanie rzymskich komediopisarzy i satyryków; ostrzegał przed niebezpieczeństwem rozczytywania się zbytniego w rodzimej prozie angielskiej króla Alfreda: niejednokrotnie ujemnie już się odbiło na czystości prozy piśmiennych ćwiczeń łacińskich Arona.

W pewnej chwili Gerbert wydołał spomiędzy stosu rękopisów trzy tabliczki. Dwie z nich podał Aronowi — jedną czystą, drugą greckimi zapisaną słowami. Poprosił, by usiadł i przetłumaczył na łacinę. Sam tymczasem pograżył się w czytaniu jednego z nielicznych rękopisów, które, choć tyle ich było na stole, poukładane były w nadzwyczajnym porządku.

Tekst grecki nie wydał się Aronowi za trudny. W jednym tylko zdaniu nie umiał od razu poradzić sobie ze składnią, skupił więc na nim całą uwagę. Był już bliski uporania się i z tym przecież zdaniem,

gdy nagle Gerbert przerwał mu zapytując raptownie:

— Byłeś wzywany do Jana Filigata, nieprawdaż?

Zdawało się, że orzechowe oczy, pięknymi ocienione brwiami, na wskroś przenikają nie tylko twarz, ale i duszę Arona.

Aron zarumienił się. Wiedział, że Gerbert dobrze widzi, iż się czerwieni — i poczerwieniał jeszcze silniej.

Zaniepokoił się. Czyż może wiedzieć, co nieżyczliwi, zazdrośni ludzie nagadali o jego bytności u nieprawego papieża?

Któregoś dnia przyszli jacyś dwaj do klasztoru Świętego Pawła i groźnie wypytywali o przybysza z Brytanii, Arona. Zażądali od przeora, by go wywołał z biblioteki. Gdy wszedł blady i pełen niepokoju, kazali mu iść z nimi. Na pytanie przeora, kiedy ma oczekiwać powrotu młodziutkiego braciszka, odpowiedzieli ze złowrogim uśmiechem: — Może nigdy. — Aron wrócił za dwie godziny. Miał długą rozmowę z przeorem. Ale nagabywany przez ojców i braci milczał. Nie pozostawiali go w spokoju przez długie tygodnie. Często szeptali coś znacząco za jego plecami. Niektórzy zaczęli go unikać; większość jednak darzyła gorętszą przyjaźnią niż zwykle, a nawet przymilała się. Ale kiedy Grzegorz Piąty powrócił do Miasta, zaczęli się do Arona odnosić wrogo właśnie ci, co się najbardziej przymilali. A jeden z ojców, ten sam, który w dniu wybuchu buntu przetrząsał kaptur z żywnością przeznaczoną dla uciekającego Grzegorza Piątego, głośno krzyknął kiedyś przy wieczornym posiłku: — Mamy wśród siebie sprzedawczyka, najmitę świętokupcy.

— Niepotrzebnie się rumienisz — powiedział z serdecznością w głosie Gerbert. — Wiem wszystko. Wiem, iżś oświadczył Filigatowi, że nie umiesz czytać ni pisać po grecku.

Aron uczuł, że w oczach stają mu łzy. Czy były to łzy ulgi, czy raczej wzruszenia i wdzięczności dla przeora? Spełniło się, co powiedział całując go przeor wysłuchawszy jego opowieści: — Kościół oceni twoją wierność synu.

— Myślisz zapewne, że od twojego przeora wiem. Nie, nie od niego.

Aron drgnął. Z lękiem spojrział na Gerberta. — Wiem od samego Filigata. Wiem, że cię nęcił możliwością pięknych podróży do Konstantynopola. Że obiecywał ci godności i zaszczyty. Że ci pochlebiał. Gdyś się upierał, że do niczego się nie nadajesz, bo nie znasz greki, zaczął grozić ci karą Bożą wołając, że on sam jedynie — on, Jan Szesnasty — prawym jest papieżem. Wiem, że przy drzwiach stali dwaj z kijami.

Urwał. Badawczo przyglądał się Aronowi. Czyżby wypytywał go spojrzeniem, dlaczego właśnie on, Aron, taki słaby, taki lękliwy, dochował wierności w godzinie próby? Ale właśnie on, Aron, sam dobrze nie wiedział, dlaczego. Czy kierowała nim głęboka, żarliwa, zdolna do ofiar wiara, iż oto tu przed nim siedzi świętokupca, a prawy papież, to ów ledwie okryty, bosy wygnaniec z Gaju Trzech Strumieni? Czy marzył o tym, że owego wygnańca, gdy wróci w potęgde i chwale, zaskoczą i wzruszą opowieści o wierności młodzika, z którym tak wzgardliwie obszedł się słuchając, jak recytuje Owidiusza? Czy wprost chciał tylko być godny przyjaźni Tymoteusza? I jeszcze jedno zadręczało go pytanie: czy gdy tak niezłomnie odpierał pokusy Filigata, zdawał sobie w pełni sprawę z tego, co oznaczają te dwie nieruchome, stojące przy drzwiach postacie?

— Przeor też opowiadał o tobie. Nie mnie, ale Ojcu Najświętszemu. Spisałeś się. Pozostałeś wierny. Ale nie po tom cię wzywał, by obsypywać pochwałami. Przypomnij, proszę, czyś wchodząc do Filigata lub odeń wychodząc nie spostrzegł jakichś znajomych sobie twarzy?

Aron zawahał się. Miękkie, życzliwości pełne orzechowe oczy natychmiast zmieniły swój wyraz — stały się chłodne, obce, surowe, prawie bezlitosne.

— Widziałem... raczej może widziałem... zdawało mi się...

— Co ci się zdawało? Kogoś widział?

— Zdawało mi się, że widziałem, jak wprowadzano książątko słowiańskie, Bolesława Lamberta — z trudem wyjąkał Aron.

— To mi nowina! — zawołał Gerbert wesoło. — Jużem cztery razy z nim rozmawiał... Lepiej niż on sam wiem, czego Filigat od niego

chciał... Ale słuchaj, nie powinieneś mówić „książątko słowiańskie”. Czy mówiąc o Ekkehardzie, Kunonie i Hermanie, każdego z nich nazywasz niemieckim księciem? Przecież nie. O jednym powiadasz: księżę saksoński, o drugim — frankoński, o trzecim — szwabski... A Słowianie, tak samo jak Niemcy, na wiele dzielą się szczepów i księstw. O tym więc Bolesławie Lambercie masz mówić: książątko polskie. Słyszysz, polskie! Zapamiętaj sobie. A czy poza nim nikogoś sobie wówczas znanego tam nie widział?

— Nie, nikogo.

— A czemużeś zbladł?

Aron istotnie zbladł. Jeszcze bowiem usta jego wypowiadały słowo „nikogo”, a już z pamięci nowy wynurzył się obraz. Obraz zapomniany, zepchnięty daleko w zakamarki pamięci jako nieistotny, nieciekawy — obraz, który aż do tej nocy nic mu nie mówił: obraz młodej kobiety, która czekała wówczas za drzwiami, aż Arona wyprowadzą. Czekala z wyraźnym zniecierpliwieniem — tupala bowiem nogą, i to w owej jeszcze chwili, gdy drzwi się otwierały i dwaj z kijami pchali przed sobą Arona przez próg. Nie znał jej — przyjrzał się przecież dość uważnie, choć nadto pospiesznie, nie mając w sobie miejsca, na żadne inne wrażenia poza radością, iż rozmowę z Filigatem ma już za sobą. Ale teraz wie, dobrze wie, kto to był, wie, choć nie uświadamiał sobie jeszcze tego, w chwili gdy mówił — Gerbertowi: — Nie, nikogo! — Czy właśnie owo nagłe odkrycie, iż wie, na pewno wie, dobrze wie, sprawiło, że zbladł?

— Widziałem Teodorę Stefanię — rzekł wyraźnie, spokojnie, twardo.

Gerbert zdziwił się. Aron zna Teodorę Stefanię? Skąd ją zna? Aron znów zarumienił się. Czy ma powiedzieć, że zna ją dopiero od chwili, gdy w kościele Świętej Sabiny Tymoteusz wskazał mu pełnym zdumienia i rozpaczy okrzykiem na siedzącą u nóg Ottona kobietę? Nie, nie powie. Bał się przyznać do tego, iż był świadkiem sądu nad Janem Filigatem. Skłamał. Wyjaśnił, że bywała na nabożeństwach w bazylice Świętego Pawła i ktoś z braci wskazał mu ją.

Ale tym razem Gerbert nie zwrócił uwagi na to, iż Aron się rumieni;

do tego stopnia przejęło go to, co Aron powiedział.

— Czy jesteś pewien, że to ona była? — zapytywał go kilkakrotnie, z wciąż rosnącym podnieceniem. Czy tobie się nie przywidziało?

Aron uporczywie obstawał przy tym, co rzekł. To na pewno była ona. Pewność wzrastała z każdą chwilą. Nie, nie myli się, nie mógł się omylić.

— Jutro przyjedziesz do mnie znowu i pokażę ci z bliska, w pełnym świetle Teodorę Stefanię. Radzę ci dobrze się przyjrzeć i rozważyć, co powiesz. To bowiem, co mówisz, zadaje kłam jej słowom albo słowom kogoś znacznie...

Urwał.

— Czy znasz Krescencjusza? — zapytał.

— Owszem. — Aron widywał go kilkakrotnie. Poznałby go zawsze i wszędzie.

— Czy nie był on wówczas gdzieś w pobliżu Teodory Stefanii?

— Nie, na pewno nie był. Była sama, gdy tupiąc nogą, niecierpliwie wyczekiwała, kiedy będzie mogła wejść do Filigata. Na pewno sama. I na pewno ona to była.

— Dobrze, kończ swój przekład. Ale nie zdołał Aron napisać trzech nowych słów, gdy głos Gerberta już znowu go oderwał od greckiego tekstu.

— Czy przyjrzałeś się wówczas jej twarzy? Powiadasz, że niecierpliwie tupała nogą. Czy rzekłbyś, iż radosna to była niecierpliwłość? Czy raczej — pełna trwogi?

Aron nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Nie, nie pamięta. Nie zdaje mu się przecież, by w taki sposób można było tupać nogą inaczej, niż tylko przykrości oczekując.

— Nie mówisz słusznie — w zamyśleniu potrząsnął głową Gerbert. — Oczekując przykrości, marzy się, by je odwlec. Gniewne tupanie nogą może oznaczać żal, iż się tyle traci czasu, gdy być może pilne i ważne przynosi się nowiny.

Po raz pierwszy Aron w duchu nie zgodził się z Gerbertem: ilekroć w życiu miało go spotkać coś przykrego, nigdy nie marzył, by to odwlec. Przeciwnie, wołał przyspieszyć, niech się stanie, byle prędzej,

byle już, byle za długo o tym nie myśleć...

Gerbert nie pytał go już więcej o Teodorę Stefanię. Nie znaczyło to, by Aron mógł już całkowicie skupić swoją myśl na greckim tekście. Raz po raz odrywały go pytania, coraz to inne. Aron zaczynał sądzić, że Gerbert już tylko zabawia się dla rozrywki, by rozproszyć senność, jaka najwidoczniej poczęła go ogarniać. Wypytywał o istne drobiazgi, o sprawy odległe, nawet nie mające związku z Filigatem czy Grzegorzem Piątym, czy samym Aronem. Kazał na przykład dwukrotnie powtórzyć sobie pytanie Filigata, dotyczące pobytu w Anglii króla norweskiego Olafa. Zapisał je nawet.

— Uważaj — rzekł — czym tak zapisał, jak powiedziałaś. „Jan Filigat zapytał mnie, czym był w Londynie, gdy przebywał tam król Olaf. Odrzekłem, że tak. Wówczas zapytał, czym słyszał, aby król Olaf miał się przechwalać, iż taka go wiąże przyjaźń z księciem krainy Rusią zwanej, iż z kimkolwiek wojnę zacznie, tamten zawsze go poprze. Odrzekłem, że tego nie słyszał ani bezpośrednio, ani w żadnych innych ust przekazie. Istotnie nie słyszałem”.

Aron potwierdził:

— Tak zapisane jest, jakem powiedział.

Ale zdumiewał się, po co to Gerbert zapisuje? Co go obchodzi przyjaźń króla tak dalekiej Norwegii z władcą równie dalekiej Rusi? Co prawda, tak samo się zdumiewał i wówczas, gdy Jan Filigat zadał mu to pytanie, z niczym przecież istotnym żadnego nie mające związku!

Wreszcie Gerbert zostawił go w spokoju i Aron mógł ukończyć przekład. Gdy drżącą dłonią wręczył obie tabliczki Gerbertowi, zobaczył, że tamten sięga jeszcze po trzecią, uprzednio odłożoną oddzielnie. Orzechowe oczy ze skupieniem długo wpatrywały się w sporządzony przez Arona tekst, przebiegając raz po raz na ową trzecią, oddzielnie odłożoną tabliczkę.

Aronowi serce zamarło, gdy Gerbert przeniósł wzrok z tabliczek na jego twarz, na mniszy strój, na drobne ręce. W skroniach szumiało, czoło płonęło. Ale niedługo. Słowa Gerberta spłynęły rozkosznie chłodzącym, kojącym wieńcem na skroń i na czoło:

— Dobrześ przełożył, wiernie, ładnie. Ładniej nawet niż ten,

z czyim przekładem porównywałem twój...

Podniósł się Gerbert. Podszedł do Arona. Położył na drżącym ramieniu przyjazną rękę. Rzekł, że cieszy się, iż oto znalazł wśród swoich dawnych uczniów kogoś znającego grekę. Co prawda niedługo uczył Arona, nie zdołał go nawet poznać, tak przeniknąć jak chociażby Rykiera, Ingona czy Fulberta. Ale sądzi, że nie popełnia błędu, nie pożałuje swego kroku, nie zawiedzie się na Aronie. Pragnie odtąd korzystać ze stałej jego pomocy, powierzy mu wszelkie potrzebne jemu, Gerbertowi, przekłady z greckiego, będzie zabierał go ze sobą wszędzie, gdzie przy rozmowie niezbędny jest grecki tłumacz. Choćby najpoufniejsza to była rozmowa. Bo ufa mu. Bo otrzymał dowody, że można mu ufać.

Aron pozwolił sobie nieśmiało zapytać, czemu Gerbert, największy mędrzec między żyjącymi, mistrz niezrównany w tylu, tylu naukach, nie opanował wspaniałej mowy Greków. Czyżby nie chciał? W tym ostatnim pytaniu zawierało się oczywiste świadome pochlebstwo i Aron naprawdę szczerze się zdziwił, gdy Gerbert skinął potakująco głową i powiedział:

— Tak, nie chciałem.

Bo oto, choć ceni wielce mądrość i uczoność Wschodu greckiego, nie może on, dziecię Akwitanii, nie miłować nade wszystko, całym swym sercem, wszystkimi siłami swej duszy, łacińskiego, rzymskiego Zachodu i wszystkiego tego, co ów Zachód z rzymskiej myśli, z łacińskiej wykrzesał mowy. Całe życie pracował niezmordowanie nad tym, aby dowieść pyszałkowatym Grekom, iż nie masz takiej nauki ani sztuki, której by zachodnia nie zdołała zgłębić myśl, której by prawd łaciński nie wyraził język. A oto na progu starości przekonał się, że popełnił błąd, że niezbędny dlań jest grecki język: co prawda, nie tyle dla głębszego w nauki i sztuki wnikania, ile dla innych, dość dalekich od nauki spraw. Jakich spraw — o tym Aron niezadługo się dowie. Za stary już jest dziś Gerbert, by nowego a trudnego uczyć się języka, i za mało wolnego ma czasu. Niechże Aron będzie jego uchem, okiem i językiem.

W Wielki Czwartek, przy obchodzie pamiątki Wieczery Pańskiej,

przedstawi go Cesarskiej Wieczności, poprosi o względy dla swojego pomocnika i powiernika.

— Czy wiesz, Aronie, z czym przekładem porównywałem twój? Oto pana naszego, Ottona. Ale, synku, niech cię nie odurzają słowa moje, iż twój przekład był lepszy. Niech nie wzbiją w dumę. Nasz pan mógłby nie tylko po grecku, ale i po łacinie żadnego nie umieć napisać słowa — i byłby cesarzem. Ty zaś, choćbyś wszystkie światła całego posiadł języki — cesarzem nigdy nie będziesz. Ani cieniem cienia majestatu cesarskiego. Dla niego to jeszcze jedna ozdóbka, kamyczek mały w diademie — dla ciebie powietrze, bez którego byś nie żył. Lecz czemuś znowu tak przybladł?

Istotnie Aron znowu przybladł. Szybko, gwałtownie, boleśnie przeżywał na nowo cały sąd nad Janem Filigatem. Nie, jemu by język chyba przywarł na wieki do podniebienia, gdyby musiał na śmierć lub mękę wydać kogoś z owych białobrodych pustelników, co w szalasach nad strumykami i jeziorami Irlandii otwierali przed nim tajniki pisma greckiego i mowy. A oto jego rówieśnik, który dzięki komu? — dzięki Filigatowi posiadł wiedzę, niedostępną mistrzowi nad mistrzami, Gerbertowi —ziewając wydaje wyrok na tego, któremu ową przedziwną wiedzę zawdzięcza! Ziewając i spiesząc się z zamknięciem sądu, bo oto kobieta, do stopy jego przytulona zuchwale, bezmyślnie powiada:

„Chce mi się spać”.

Ogarnęła go nagle fala istnej nienawiści do Ottona. Targnął nim gwałtowny wicher żalu i urazy za Tymoteusza, za siebie, za zmarłą Teofanię. Bładość jego to bładość rzadkiego przyływu odwagi, ba, zuchwalstwa. Tak samo był blady, gdy na wszystkie kuszenia i groźby Filigata odpowiadał z uporem: „Nie znam greki”.

— Czy ulubiony twój uczeń, mistrzu, pan okręgu ziemskiego, Wieczny Imperator sprawiedliwie uczynił zabierając sobie kobietę, komu innemu przyrzeczoną? — wyrzucił z siebie jednym tchem, boleśnie zaciskając zęby, aby nie szczękały ze strachu.

Bał się ogromnie. Bał się, że oto zaraz z własnej swej woli utraci łaskę Gerberta, co tak nagle a cudownie nań spada. Istotnie, omal nie

stracił. Nie dowiedział się, aż po wielu latach, jak bliski był niełaski. Z innych co prawda zupełnie przyczyn, niż sobie wyobrażał. Gerberta zdziwił jego gwałtowny okrzyk, ale nie rozgniewał. Szybciej tylko może niż przedtem uderzał o stół końcami palców pytając spokojnie Arona, co mu wiadomo o Teodorze Stefanii. Najbardziej go, zdaje się, obeszła wiadomość o przyjaźni między Aronem a Tymoteuszem. O Tymoteusza wypytywał bardzo dokładnie, długo. Wreszcie oświadczył Aronowi, że może odejść. Powtórzył, by zjawił się nazajutrz. Powtórzył też swą obietnicę przedstawienia go Cesarskiej Wieczności w Wielki Czwartek.

Gdy Aron był już przy drzwiach, zatrzymał go znów niespodzianie.

— Duch Święty oświecił cię łaską wiedzy i mądrości stokroć szcudrzej niż wielu — rzekł przyjaźnie, cicho, ale zarazem dobitnie i prawie surowo. — Komu zaś wiele dano, od tego wiele się wymaga. Tyleś oto opowiadał o Tymoteuszu i Teodorze Stefanii, ale ani na chwilę nie powstało w twej głowie pytanie takie: wiem, że Tymoteusz chce Teodory Stefanii, ale kogo ona chce? Tymoteusza czy Ottona? Może właśnie wcale nie chce Tymoteusza...

Aron osłupiał. Aż usta otworzył. Przyrósł do podłogi. Milczał. Wreszcie z trudem wykrztusił z siebie, że przecież papież i cesarz przyrzekli Tymoteuszowi Teodorę Stefanię, jako ślubną żonę, niech jeno owdowieje. Nie rozumie więc, o czym mówi Gerbert. Rozstrzyga tylko Pan Cesarz.

— Jak to rozumiesz?

— A tak to rozumiem, że gdy daje się komuś kobietę za żonę, to się nigdy, przenigdy jej nie pyta, chce tego czy nie chce. Czyż nie taki jest prastary, błogosławieństwem Ducha Świętego umocniony zwyczaj?

— Prastary zwyczaj? Tak powiadasz, uczony młodzieńcze? I jeszcze mówisz o błogosławieństwie Bożym?! Więc wybierać ma zawsze tylko mężczyzna, nie kobieta? Głupcem jesteś z całą swoją greką, oto co ci powiem. Baśnie o Helenie i Aleksandrze nocami czytywał, aleś do świętego Jana Złotoustego pism nigdy nie zajrzał, nieprawdaż? Nic nie wiesz, co ów święty mędrzec pisał o jedynym

prawie dla mężów i żon, oblubieńców i oblubienic? Więc wedle ciebie Bóg nie dał niewieście duszy nieśmiertelnej, iskry z ognia istoty swojej? I mężczyzn tylko zbawiła męka Chrystusowa? Głupcze, po stokroć głupcze. Idź już, idź. Nie chcę ciebie widzieć. Takiś ciemny jak wszyscy.

Ale gdy Aron oszołomiony, wstrząśnięty, nieszczęśliwy, był już za progiem, dopędziło go wołanie Gerberta:

— A jutro przyjdź!

Nie, Aron nie powtórzy Tymoteuszowi słów Gerberta. Oto nie obeschły jeszcze łzy na policzkach przyjaciela, któremu dodało otuchy wspomnienie słów Ekkeharda: „Jak nie będzie chciała, głowę jej się ukręci...” Ale Tymoteusz spostrzegł już jego zamyślenie, zmieszanie, westchnienie. Patrzy już nań z niepokojem. Cóż to, czy Aron nie podziela jego wiary, iż wszystko skończy się dobrze? Czy myśli, że Teodora Stefania nie zechce może uciec z nim od Ottona daleko, aż do księstwa dziedzicznego Bolesława Lamberta? Na pewno zechce, na pewno uciekną... Jedno tylko niepokoi Tymoteusza: to, co Ekkehard mówił, iż Słowianie myślą, że sami u siebie rządzą, a naprawdę tam rządzą oni, Sasi... Więc jeśli Otto każe Ekkehardowi, by Słowianie wydali Teodorę Stefanię i Tymoteusza... wówczas... Cóż za ciemni głupcy ci Słowianie! Czemu nikt ich nie pouczy, że patyk ujeżdżają myśląc, że to koń? I czemu nikt im nie pomoże, by się z patyka na konia przesiedli? Ale przecież Bolesław Lambert, przyjaciel oddany, znajdzie chyba w swym niezmiernym księstwie leśnym taki zakątek, gdzie nie odszukają zbiegów nawet Sasi...

Wzmianka o Bolesławie Lambercie, jako przyjacielu oddanym, rozgniewała Arona. Zalała go fala zazdrości. Rzekł rozdrażnionym, nawet złośliwym tonem:

— Tak, ale najpierw niech Bolesław Lambert odzyska to swoje polskie księstwo. Łatwo mu nie pójdzie.

Tymoteusz westchnął, ale zaraz potem uśmiechnął się. Owszem, łatwo to nie pójdzie, ale przecież łatwiej, niż Aron mniema.

— Czemu to? Wszyscy powiadają, że ów Bolesław Pierworodny, co braci i macochę z księstwa wypędził, potężnym jest wojownikiem

i wodzem. A skoro wspiera go nadto Ekkehard...

— Są potężniejsi od Bolesława Pierworodnego i od Ekkeharda, choć nie wojownicy i nie wodzowie.

— Któryż to?

— Twój mistrz Gerbert.

Aron wzruszył ramionami. Cóż może wiązać Geberta z dalekim księstwem słowiańskim, gdzie podobno nie ma ani jednej szkoły? Zaczynało go drażnić, że Tymoteusz nie umie już inaczej na nic i na nikogo spoglądać, jak tylko w związku z Teodorą Stefanią i Bolesławem Lambertem.

Opryskliwie, prawie nieżyczliwie brzmiał jego głos, gdy zapytał, czemużby to, wedle Tymoteusza, Gerbert miał popierać Bolesława Lamberta przeciw Bolesławowi Pierworodnemu? Raczej przeciwnie, o uszy Arona nieraz się obijały opowiadania o podziwie, jaki i Pan Cesarz, i jego mistrz ulubiony mają żywić dla owego Pierworodnego Bolesława. Jeszcze onegdaj przeor opowiadał, że słyszał w bazylice Piotrowej piękne a pouczające kazanie Gerberta, pełne pochwał dla księcia słowiańskiego, za którego sprawą i pomocą udał się między pogan nad morze scytyjskie przyjaciel Pana Cesarza, biskup Adalbert. A gdy śmierć męczeńską tam znalazł, ów książę słowiański nie pożalował swych skarbów, by zwłoki święte wykupić i w którymś ze swych grodów piękny wznieść dla nich grobowiec. Ze słów zaś przeora wynikało, iż ów chwalony przez Gerberta książę słowiański, to właśnie Bolesław Pierworodny.

Tymoteusz zaśmiał się.

— Mądrze mówisz, ale tym razem jam mądrzejszy od ciebie. Wiem to, czego nie wiesz. Czego może nawet mistrz nad mistrzami, Gerbert, nie wie. Śmieję się, śmieję, ile chcesz... A ja ci powiadam, że może Gerbert sam o tym nie wie nawet wcale, że Bolesława Lamberta przeciw bratu pierworodnemu popiera. Przysuń się bliżej, to ci opowiem.

Aron słuchając znów uczuł, jak ogarnia go fala rozdrażnienia. Co się z tym Tymoteuszem dzieje?! Ciągłe myślenie o Teodorze Stefanii odbiera mu chyba rozum — na pewno odbiera pamięć. Przecież już

mu opowiadał, jak w Pawii zażądał Grzegorz Piąty od Ottona, by zwrócił Bolesławowi Lambertowi wydarte ojcowskie dziedzictwo, i jak cesarz stanowczo odpowiedział — nie. — Jedynie obawa, iż mógłby zbyt jawnie urazić przyjaciela, każe mu wykrzesać z siebie cierpliwość, dużo cierpliwości, by słuchać tej opowieści po raz drugi.

Ale w miarę jak płynęły słowa Tymoteusza, fala zniecierpliwienia i rozdrażnienia poczęła opadać, zaostrzała się uwaga, przemieniała się w ciekawość, nawet w olśnienie.

Nie, Tymoteusz się nie powtarzał! Po wstępie już znanym wyłaniać się poczęło z opowieści jego tyle rzeczy nowych, nieznanych, nieprzeczuwanych. Okazało się, że owe półtora roku nieobecności papieża w Rzymie, które Aronowi dłużyły się niby lata całe — dla Krescencjusza i jego stronników zdały się być okamgnieniem, tak zdumiał ich i zaskoczył nieoczekiwany, szybki dla nich powrót Grzegorza Piątego wraz z wojskiem Ottona! Byli pewni, że nie będzie mógł wrócić wcześniej niż czwartej dopiero wiosny, bo przecież bez Ottona by nie powrócił, a Krescencjusz miał niezawodnie pewne, zdawało się, wiadomości, iż wojsko cesarskie na trzy co najmniej lata przykute jest do krain nadłabskich, gdzie Słowianie wszczęli groźne, powszechne powstanie przeciw Sasom. I oto zawiedli niezawodni wywiadowcy: już drugiej zimy cesarz stanął wraz z całym swym wojskiem w Pawii, wczesną wiosną zaś pod Rzymem. Jakże się to mogło stać? Czyżby wywiadowcy Krescencjusza przecenili moc i groźbę powstania słowiańskiego? Nie, nie przecenili. Ale cesarz mógł odejść spokojnie znad Łaby, bo na powstanie spadł groźny miecz od tyłu, zaiste śmiertelny cios w plecy! Cios z ręki pobratymca — ręki potężnej i strasznej. Brat pierworodny Bolesława Lamberta wykonał za Sasów ich dzieło: poniósł ogień i żelazo między zbuntowanych Słowian, wsparł drużyną swą załogi grodów saskich, ramię w ramię z biskupem Ramwardem krwią słowiańską okrasił wody Łaby. Zatknał orły cesarskie w świętych pogańskich gajach. — Jakże możesz pragnąć, ojcze i bracie — wołał w Pawii Otto do papieża — bym obrócił swój miecz przeciw temu mężowi szlachetnemu i wiernemu, który sam jeden sprawił, iż oto mogłem już się nie troszczyć o bunt

Słowian, ale pospieszyć co prędzej tobie ku pomocy...

Na nic się nie przydały wywody papieża, iż cesarz niepotrzebnie się rozczuła nad wiernością Bolesława Pierworodnego, bo to był zwykły obowiązek lennika: spieszyć cesarzowi z pomocą choćby nawet przeciw rodzonemu bratu; popełniłby zresztą grzech śmiertelny, gdyby zawahał się, czy ma obrócić miecz przeciw poganom; pan krainy w pogaństwie tonącej, syn nowochrzczeńca, zaiste złe by dał świadectwo swojej żarliwości w wierze, wahając się choćby przez chwilę. Na wszystkie te wywody cesarz odpowiadał: nie i nie. A odpowiadał tak gorąco, że od razu czuło się, iż nie tylko zwyczajne zadowolenie z dochowanej wierności lenniczej przezeń przemawia, ale podziw i życzliwość ogromna dla owego Bolesława Pierworodnego. Papież jednakże nie ustępował: wszak Aron dobrze go już zna, jego twardość i nieustępliwość. Oświadczył, że w sprawie owego księstwa, polskim zwanego, rozstrzygający głos mieć winien święty Piotr, nie zaś majestat cesarski. Bo oto ojciec obu Bolesławów, graf i margrabia Niedźwiedź, wydzieliwszy swemu pierworodnemu skrawek księstwa z grodami Poznań i Kraków — resztę ziemi, którą władał, złożył w darze świętemu Piotrowi, prosząc klucznika niebios, by nad jego dziećmi z drugiego małżeństwa troskliwą roztoczył opiekę. I święty Piotr ustami namiestnika swego, Jana Piętnastego, przyjął dar, podziękował i przyrzekł opiekę nad dziećmi młodszymi, o którą go prosił książę nowochrzczeniec. Wyzuwając więc braci z ojcowskiego dziedzictwa, ów Bolesław Pierworodny samego Piotra świętego z włości wyzuwał! Klątwa więc mu się należy, nie przyjaźń cesarska! On, Grzegorz, następca Jana Piętnastego na stolcu Piotrowym, nie dopuści, by spełnienie obowiązku lenniczego i chrześcijańskiego miało stać się usprawiedliwieniem krzywdy samego świętego Piotra! — Już dopuściłeś, ojcze i bracie — zaśmiał się Otto — dopuściłeś pozwalając, bym przyszedł ci z pomocą. Niepotrzebnie zresztą się unosisz. Powinieneś rozumieć przecież, że nie masz słuszności: darowizna ziemi polskiej świętemu Piotrowi przez margrafa Niedźwiedzia jest nieprawna i nieważna, jedynym bowiem dzierżycielem i rozdawcą ziem na całym okręgu świata jest

z łaski Bożej majestat cesarski, nikt inny. Księstwem polskim ten będzie władał, kto miły jest cesarzowi; święty Piotr ma dane sobie bezpośrednio od Boga klucze niebios i nakaz dbania o czystość wiary; żadnych nie dostał od Boga ziem.

— Dostał Rzym — gniewnie zawołał papież.

— Rzym dostałeś ode mnie — zimno wycedził przez zęby Otto. — A zresztą nie masz go teraz. Będziesz miał z mojej nowej łaski... a raczej, mówmy szczerze, z łaski Bolesława Pierworodnego, którego wierność i moc pozwoliły majestatowi cesarskiemu pospieszyć z pomocą. Zresztą, o cóż chodzi, ojciec i bracie? Pan Papież chce dochować wierności Bolesławowi Lambertowi, bo ów jemu wierności dochował? Słuszna to rzecz, ale Pan Cesarz również chce dochować wierności Bolesławowi Pierworodnemu, bo ów majestatowi cesarskiemu dochował jej, i to tak, jak nikt inny by nie zdołał. I Pan Cesarz dochowa wierności. Bo Pan Cesarz na ziemi silniejszy jest od Pana Papieża, a jesteśmy na ziemi, nieprawdaż?

— I Ojciec Najświętszy dał się przekonać? — w zdumieniu zawołał Aron. — On, groźny pan sądu i miecza?

Tak, Grzegorz Piąty, okazało się, dał się przekonać. Ustąpił. Powiedział co prawda, że niedaleki już czas, gdy i na ziemi Pan Papież będzie silniejszy od Pana Cesarza. Na co Otto z przerażeniem szczerym w oczach krzyknął, że papież bluźni. Bo czyż nie jest bluźnierstwem wynoszenie świętego Piotra nad tego, z czyich rąk wziął klucze niebios? A dawca kluczy, Chrystus, syn Boży i Bóg, rządzi okręgiem ziemskim poprzez cesarskie dostojeństwo, na które przelał wraz z pomazaniem sporą część własnego, Boskiego majestatu! Zresztą cesarz szybko się uspokoił: zbliżył się do papieża, pogłaskał go po jasnych włosach, ucałował w rękę i prosił po prostu, po ziemsku rozważyć, co by było, gdyby Otto dał się mu przekonać. Bolesław Pierworodny jest teraz potężniejszy niż kiedy bądź: by wydrzeć mu dziedzictwo zagarnięte braciom przyrodnym, należy zgromadzić całe wojsko saksońskie, a może nawet i Bawarów ściągnąć. Ale to równałoby się prawie całkowitemu ogołoceniu Rzymu z wojsk niemieckich i znów by wybuchł bunt Miasta przeciw

Papieżowi, a wówczas kto by mu przyszedł z pomocą? Nad Łabą znów by powstał pogaństwo, nie mając przeciw sobie już Bolesława, ba, rozgniewany na cesarza, stanąłby może przy ich boku, na ich czele... — On, syn nowochrzczeńca? Nigdy! — Nie należy za często przypominać mu, bracie i ojcie, że jest synem nowochrzczeńca. Gotów jeszcze uwierzyć, że zły z niego chrześcijanin, że nigdy dobrym nie będzie, że nie dostąpi zbawienia, a wówczas co? Oto wróci do pogaństwa, zjednoczy wokół siebie wszystkich Słowian pałających nienawiścią do Sasów i do wiary świętej, a wtedy... zaprawdę lepiej nie myśleć, ojcie i bracie, jakie by wtedy okropne nastąpiły czasy...

— Czyś się do tego wszystkiego sam przebił myślą, Ottonie? — ze zdumieniem zawołał papież, pełnymi podziwu oczyma przyglądając się osiemnastoletniemu cesarzowi.

— Nie, to są myśli Gerberta — z prostotą odrzekł Otto.

— Widzisz więc — przerwał Aron opowieść Tymoteusza — Gerbert stanowczo jest za tym, by nie popierać młodszych braci przeciw Bolesławowi Pierworodnemu.

— Przecież już ci powiedział, że Gerbert może ani się nawet nie domyśla, iż wspiera Bolesława Lamberta — zawołał z uśmiechem Tymoteusz. — Nasz Pan Imperator czci i wielbi myśli Gerberta, ale stokroć więcej czci i wielbi Gerberta samego. Zadręczą go wspomnienie poniżeń, jakich doznał mistrz Gerbert utraciwszy arcybiskupstwo w Reims. Za wszelką więc cenę chce odzyskać dlań na nowo to arcybiskupstwo. Za wszelką cenę, słyszysz? Nawet za cenę przyjaźni i wierności Bolesława Pierworodnego, za cenę możliwości wojny z całym odrodzonym i zjednoczonym pogaństwem słowiańskim!

Choć zdumiony i oszołomiony ponad wszelką miarę, musiał przecież przyznać Aron w duchu po chwili zastanowienia, że to, o czym Tymoteusz mówi, mogłoby być prawdą. Odkąd Otto zbliżył do siebie Gerberta i po krótkim czasie przywiązał się do uwielbianego mistrza ponad najwyższą ludzką miarę, trapił się nieustannie o krzywdę, jaką Gerbertowi wyrządzono odbierając mu

arcybiskupstwo. Wprawdzie papież z gniewem wołał, że Otto grzeszy i bluźni nazywając krzywdą sprawiedliwy wyrok Kościoła, usuwający ze stolicy arcybiskupiej wybrańca królewskiego, co się ośmielił sięgnąć po arcybiskupstwo, wcale nie opróżnione jeszcze. Król Franków Zachodnich, Hugo, uwięził arcybiskupa Arnulfa i skłonił biskupów swego królestwa, by obrali Gerberta.

— Ależ sąd biskupów orzekł, że Arnulf zdradził swojego króla! — wołał Otto.

— Biskupi wydali wyrok pod naciskiem blasku włóczni drużyny królewskiej — odpowiadał Grzegorz. — Zresztą wyrok ich był nieważny. Arcybiskupa mógł sądzić tylko święty Piotr. I Piotr osądził, ale nie Arnulfa, tylko Gerberta.

Tymoteusz dobrze pamiętał, jak chichotano po całej Pawii, iż wygnany papież, z łaski cudzy jedzący chleb, w cudzej chodzący odzieży, pod cudzym mieszkający dachem, dumnie rzuca klątwę na cały synod biskupów Frankonii Zachodniej za osądzenie Arnulfa i wyniesienie Gerberta. Sam ledwie z życiem uszedł, a grozi innym! Ale szybko poczęły milknąć chichotania: moc samotnego wygnańca wyrwała Gerbertowi spod nóg stolec arcybiskupi! W potężną wspólnotę kluniacką zjednoczone klasztory Zachodniej Frankonii przemogły siłę synodu biskupów: poparły klątwę papieską i ulubieniec a wybraniec królewski ledwie uszedł na dwór Ottona, którego od dawna już czarował mądrością swoją i wiedzą. Cała jednak potęga majestatu cesarskiego, zbrojnego w moc miecza wszystkich królestw niemieckich, nie mogła wymusić na Grzegorzu Piątym zwrócenia Gerbertowi arcybiskupstwa. — A czyż ty sam — z wściekłością rzucił kiedyś Otto papieżowi — nie z mojej wszedłeś łaski na stolicę Piotrową? Jak śmiesz wytykać znakomitemu mistrzowi, że z łaski królewskiej wziął arcybiskupstwo? — Papież przeczekał spokojnie wybuch, po czym rzekł tonem dobrodusznym, choć nie nazbyt tajoną brzmiałym złościwością: — Po pierwsze nie wszedłem na stolicę Piotrową za życia poprzedniego papieża. Po drugie król Frankonii Zachodniej nie jest właściwie królem, bo nie dostał dotąd pomazania. Po trzecie, choćby był pomazany, dziwię się, że to Otto, sam Otto

porównuje majestat królewski jakiejś Frankonii z majestatem Imperium. Po czwarte z łaski twojej czy nie twojej jestem już namiestnikiem świętego Piotra i moimi ustami Piotr kazał Gerbertowi zejść ze stolca w Reims. I zszedł. I nie wróci. Bo ja nie chcę, a ja — to Piotr. Więcej o tym nie mówmy. Nigdy. Szkoda czasu.

I nie mówili, aż do owej nocy styczniowej w Pawii. Nie mówili, bo Otto wiedział, że choćby broniąc Gerberta odmówił papieżowi wszelkiej pomocy, choćby oświadczył:

„Dasz Reims. dostaniesz Rzym, inaczej nie” — Grzegorz by nie ustąpił. Do końca dni swoich wiódłby życie wygnańca. nie ujrzałby nigdy Rzymu, ale nie ustąpiłby. Ale w Pawii Otto powiedział: — Wielką jesteś winien wdzięczność Bolesławowi Lambertowi, to prawda. Musisz dochować mu wierności — koniecznie. Wprowadź więc Gerberta z powrotem do Reims, a ja wprowadzę Bolesława Lamberta z matką i braćmi z powrotem na księstwo polskie.

Zdawał się już nie bać grozy powstania słowiańskiego, choćby pod wodzą Bolesława Pierworodnego. Łamał, jak włócznię o kolano, swoją dla Bolesława przyjaźń i wierność. Gotów był poświęcić niepewnemu Dediemu wiernego, niezłomnie oddanego, potężnego Ekkeharda. Za niepewnym Henrykiem zatwierdzić Bawarię nie w dożywocie nawet, w dziedzictwo. Wyrzeknie się przyjaźni książąt lotaryńskich. by ich kosztem jak najwięcej frankońskich pozyskać toporów. Wszystko po to, by wprowadzić na księstwo polskie Bolesława Lamberta. A jeśli całej zjednoczonej niemieckiej potęgi nie wystarczy, by pokonać Bolesława, którego niewierność cesarska do słusznej doprowadzi wściekłości i rzuci w objęcia demonów pogańskich całej Słowiańszczyzny — wówczas... wówczas Otto odda Bazyleusom greckim Salerno, Neapol, Benewent, Kapuę, byle tylko skłonili swego szwagra, księcia Rusi, aby od tyłu uderzył na Bolesława... byle tylko papież dochował wierności Bolesławowi Lambertowi, w zamian za co Gerbert wróci do Reims. Nie masz bowiem ceny, której by cesarz nie zapłacił za Reims dla Gerberta!

— A cóż na to Ojciec Najświętszy? — zapytał Aron Tymoteusza.

— Nie zwykł radzić się ze mną w takich sprawach — odparł

Tymoteusz opryskliwie. — Ale jedno wiem — dodał uderzając się pięścią po kolanie — że Pan Papież gorąco pragnie dochować wierności Bolesławowi Lambertowi i dochowa.

— Czy tak jak tobie?

Cichym, cichutkim głosem zadane pytanie rozpętało burzę. Syk i świst gniewnego oddechu zagłuszyły szmer świętych strumieni. Czy w tej jakiejś Irlandii rodzą się sami głupcy? Czy nic ich nie oświeca lata ślęczenia nad książkami? Czy Aron nie rozumie, że dobrze się stało, iż Tymoteusz nie dostał winnicy? Że grzechem jest dzielenie serca między winnicę a Teodorę Stefanię? Że to sam święty Piotr natchnął papieża, by nie upierał się przy dopomaganiu Tymoteuszowi do popełnienia tego grzechu? Że posiadanie Teodory Stefanii — to szczęście, którego nie wolno kalać ni mącić troską o posiadanie czegokolwiek innego poza tym?!

— Tymczasem posiada ją Pan Imperator.

Wzbiły się w górę zaciśnięte pięści. Głośno zgrzytnęły zęby. Gniewnie tupwały obute w czerwień nogi.

Ale nie gniewnie zabrzmiał głos, który powiedział:

— To próba. Próba mojej wierności.

— Nie będzie cię mierzić kobieta z cudzego pochodząca łoża?

— A czy mierzyła mnie, gdy przyjść miała z łoża Krescencjusza?

— Nie miłuje Krescencjusza. Nikt jej nie pytał, czy zechce zostać jego żoną.

— Nie miłuje Ottona. Nikt jej nic pytał, czy chce zostać... przy nim. Ukręciliby jej głowę, gdyby wiedzieli, co o Ottonie myśli.

— Ciebie miłuje?

— Mnie. A ja ją. Błędzisz mówiąc, że papież nie dochował mi wierności. Wszak obiecał mi ją jako ślubną żonę. Gdy owdowieje. A dziś nie jest jeszcze wdową. Dziś jest, jak powiedział Ekkehard. lekiem na pożądlivość oczu, myśli i ciała majestatu. Ale zobaczysz, oddadzą mi ją, gdy owdowieje. Pan Papież zmusi Ottona, zmusi, by mi ją oddał, w dniu, gdy padną bramy wieży Teodoryka — w dniu, gdy głowa Krescencjusza w cesarskim już będzie ręku.

I dzień ów nadszedł. Dwudziestego ósmego kwietnia margrabia

Ekkehard wtoczył oblężnicze maszyny na potężny kamienny most Tybrowy. Uderzył taranami w żelazną bramę. Nie poddawała się łatwo. Ale niełatwo też już rozbijały się w drzazgi maszyny Ekkeharda. Dwa miesiące bezsennych nocy wykrzesaly z myśli margrabiego nowe pomysły belkowań, wiązań, ochrony kół. Pod gradem strzał oceniał wartość wysiłku swej myśli. Pod hukiem kamieni, co młóciły jego pancerz, stwierdzał ze spokojem zadowolenia, że stał się silniejszy. Gdzieś, za Tybrem, dobrze schowany Dedi napina wzrok, by dojrzeć, jak łamią się o kamień zęby Ekkeharda. Oczy sobie wypatrzy — nic nie zobaczy. Aż dopiero walącą się bramę.

Na murze Leonowym stoją trzy pary. Otto z Teodorą Stefanią, papież z Tymoteuszem, Gerbert z Aronem. Za daleko, by trafiały najcelniej, z najtęższych nawet łuków puszczane strzały. Jedna tylko doleciała, otarła się o policzek Teodory Stefanii, bezsilna padła do nóg Ottona. Strzała może nawet własną ręką Krescencjusza puszczona.

Aron po raz pierwszy ogląda z tak bliska wojnę. Ale się nie boi. Jakoś nie straszno mu, gdy obok stoją i cesarz, i papież, i Gerbert, i Tymoteusz. Pomyślał, że gdyby sam stał na murze, bałby się. A nawet nie sam — nawet gdyby otaczali go inni, nie ci właśnie.

Oglądane z daleka oblężenie wygląda jak piękna, zajmująca zabawa. Widzi się chmary lecących pocisków, słyszy się wrzawę bitwy, ale nie słyhać jęku rannych, nie widać padających ciał — i to dobrze: zupełnie nie strasznie. Aron zaczyna obmyślać poemat — w heksametrach oczywiście — coś na wzór Eneidy. Albo raczej na wzór Daresowej opowieści trojańskiej — bo przecież miłość autora musi być z oblegającymi, nie oblężonymi. Czy już w pierwszej pieśni opisać, jak pocisk otarł się o policzek szlachetnej niewiasty towarzyszącej chrześcijańskiemu Agamemnonowi? Ale urywa nagle wątek myśli — zaczyna niespokojnie kręcić się na miejscu: czy gdyby to o jego policzek otarła się tak strzała — czy tak samo stałby nieruchomo jak Teodora Stefania? Nie cofnąłby się? Nie pochylił? Nie krzyknął?

Gerbert dostrzega jego niepokój. Myśli chyba, że to strach, i by oderwać jego uwagę od bitwy zaczyna snuć opowieść o oblężeniu tej

samej twierdzy przed blisko półtysiącleciem. Barbarzyńscy Goci oblegali rzymskiego wodza Belizariusza.

Ale wówczas nie tylko grotami i kamieniami zasypywano oblegających; zrzucano im na głowy całe cyprysy, ciskano z wściekłością wspaniałe marmurowe posągi, które obalając i miażdżąc ciała barbarzyńców same roztrzaskiwały się w kawałki, wypełniając pobojowisko szczątkami cudownych głów i członków, co w krwi i prochu bratały się z o ileż mniej cudnymi głowami i członkami pozabijanych ludzi!

Arona zdziwiło niepomierne, że w wieży Teodoryka mogło być kiedyś tyle pięknych posągów. I jak znalazły się tam cyprysy? Gerbert osiągnął, co zamierzał: myśl Arona istotnie poczęła się odrywać od toczącej się bitwy; z coraz to rosnącym, pełnym podziwu zaciekawieniem słuchał brzmiącej jak baśń opowieści o wspaniałym, olbrzymim grobowcu, który wzniósł dla siebie Imperator Hadrian, najpiękniejszymi wykładając go marmurami, ozdabiając posagami, wysadzając cyprysami. Ciemna, ponura, nagim granitem groźnie połyskująca dziś wieża nęciła niegdyś oko precudną harmonią kształtów, blasków i barw. Gdzieś w otchłannych mrokach wnętrza gnoły się członki, próchniały kości Imperatora Hadriana, ale ze szczytu grobowca przez wieki całe uśmiechała się do Miasta i świata w marmurze unieśmiertelniona twarz cesarza, co w marmurowej stojąc kwadrydze marmurowe wspina rumaki.

Margrabia Ekkehard nigdy nic nie czytał, nie umiał czytać. Rzadko też się przysłuchiwał w ciągu długiego swojego życia opowieściom o dziejach wieków minionych. Nic więc nie wiedział o tym, że groźna twierdza była niegdyś pięknym grobowcem — mało by go to zresztą obeszło, gdyby się dowiedział. Ale wyobrażał sobie, że wnętrza wieży kryć muszą sporo bogactwa, i to nie tyle w złocie i srebrze, ile w pięknych, kosztownych przedmiotach, stołach, stołkach, łóżach, naczyniach, może szatach. Gdy więc pod ciosami taranów, pod naporem maszyn zaczęła się chwiać i poddawać żelazna brama — margrabia zawahał się. Należałoby w szczerbę powstałą między skrzydłami bramy natychmiast sypnąć setkami grotów owiniętych

przepojonymi smołą, zapalonymi pakułami. Sypnąć raz, drugi i trzeci. Dobrze wiedział, że obrońcy już od kilku dni nie mają wody do picia nawet, nie tylko do gaszenia pożaru. A jeśli nie ciśnie ognia? Pożałuje nagromadzonych wewnątrz skarbów? Wówczas może się zdarzyć, że obrońcy wykorzystają chwilę jego wahania, zdołają podeprzeć bramę, a nawet odepchnąć drewnianą ruchomą wieżę, odrzucić ponownie poza mur. Nie, nie czuł się dobrze w obliczu tej skały z granitu, sztukowanej żelazem, bluzgającej potężnymi głazami i wrzącą oliwą. Dedi już dawno doradzał cesarzowi, by poniechać natarć, zaoszczędzić ludzi i pocisków, przeczekać, aż brak wody zmusi Krescencjusza do poddania się. Ale właśnie dlatego Ekkehard uparł się, że będzie nacierał zwałami drewna, żelazem i ogniem. I oto gdy przyszła kolej na ogień, zawahał się. Z rozczuleniem i żalem pomyślał o dawno minionych dniach, gdy mógł liczyć na tak potężną broń oblężniczą jak uszy lub ręka Teodory Stefanii! Daremne żale! Ale pozostawało słowo Teodory Stefanii, przemienione w słowo Ottona — słowo, które, oczywiście, musiałyby długo, długo przełamywać opór wojowniczości Ekkeharda! — zdobyłoby zamek i ocaliło nagromadzone wewnątrz skarby. Po najdłuższym bowiem oporze musiałyby przecież Ekkehard usłuchać rozkazu cesarskiego mrując pod nosem: „A szkoda, jużem wywalił bramę”.

Obok Ottona i Teodory Stefanii wyrasta nowa postać. Okryty żelazem Herman, książę szwabski, skłonił się przed majestatem mając oczy pełne radości i dumy. Zawiadamia, że zamek tak jakby zdobyty; ze względu przecież na zaciętość oblężonych użycie ognia jest niezbędne. Ekkehard prosi o rozkazy: należy liczyć się ze zniszczeniem całego wnętrza oraz z tym, że nikogo z obrońców nie da się ująć żywcem.

— Nikogo! — z przejęciem zawołał Otto i obrócił wzrok ku Teodorze Stefanii. Wówczas Aron zobaczył, że kobieca twarz zaczyna się z wolna przysuwać do okrytego kolczugą kanciastego, chudego ramienia. Zielony czepiec prawie otarł się o rozpostarte skrzydła złotego orła zdobiącego zapadniętą pierś Ottona. Szybko poruszały się niezmiennie ponętne, bardzo czerwone zazwyczaj, teraz

przybladłe nieco wargi. Otto zmarszczył brwi, zmrużył oczy, zacisnął zęby. Skinął głową na papieża, potem na Gerberta. Zbliżyli się. Dłuższą chwilę naradzali się cicho. Teodora Stefania odsunęła się od nich. Nieruchomo utkwiała spojrzenie, jak gdyby wszelkiego wyrazu pozbawione, w z dala nawet dobrze widzianej skrzydlatej postaci, zdobiącej szczyt wieży Teodoryka.

Długo nie odrywała od niej oczu. Wreszcie przesunęła wzrok na prawo, gdzie stał Aron, potem na lewo. Zielone oczy wydawały się być oczami ślepeca, gdy nic nie mówiącym spojrzeniem prześliznęły się po płonącej twarzy Tymoteusza, po całej jego postaci wstrząsanej dreszczem najwyższego wzruszenia. Ożywiły się, gdy Otto począł zbliżać się do niej promieniejąc życzliwym, nawet przymilnym uśmiechem. Na twarzach Grzegorza Piątego i Gerberta malowało się bezgraniczne zdumienie, ale zarazem jak gdyby ulga i radość. Szczególnie zmieniona wydawała się Aronowi twarz papieża, której dotąd nigdy nie widział, jak tylko groźną lub drwiącą. Herman oddalił się, zszedł z muru. Aron zaczął domyślać się, co się stało. Baczenie przypatrywał się Tymoteuszowi. Wiedział, że ów też się domyśla. Ale na twarzy jego ni w spojrzeniu żadnej nie znać było niepokojącej przemiany; przeciwnie, zdawało się, że o wiele jest spokojniejszy i swobodniejszy niż wówczas, gdy prześliznęło się po nim spojrzenie Teodory Stefanii.

Od strony wieży powiało nagłą ciszą. Zaskoczyła, zdumiała, oszołomiła. Dopiero teraz uświadomił sobie Aron, jak donośna była wrzawa bitewna, mimo iż z tak sporej docierała odległości.

Znów pojawiła się na murze postać księcia Hermana. Zadyszany, zziębnięty, szybkim krokiem podążał ku Ottonowi głośno pobrzękując żelazem zbroi. Nie szeptał już, wołał. Krescencjusz żąda słowa cesarskiego, iż łaska udzielona zostanie nie tylko jemu samemu, ale wszystkim obrońcom twierdzy; zgadza się stanąć przed obliczem Ottona boso, ale bez powroza na szyi; jeśli cesarz na to nie przystaje, niech wówczas Ekkehard wywala bramę, niech podpała wnętrze zamku wraz z wszystkim, co tam jest nagromadzone — nie pójdzie mu to zresztą łatwo, jak się spodziewa lub raczej udaje, że się

spodziewa. Krescencjusz zaś ze swoimi towarzyszami przeniesie się na szczyt wieży i tam pozostaną, aż ogień lub pragnienie wydrą im z ręki miecz, ale miecz z życiem — nie inaczej.

O co zapytały Teodorę Stefanię oczy Ottona? Jaką dostały odpowiedź? Chyba taką, jakiej pragnęły, jakiej się spodziewały, bo cesarz nagle uśmiechnął się jeszcze promienniejszym niż uprzednio i położywszy rękę na ramieniu Hermana, rzucił krótki, a stanowczy rozkaz.

Ręka księcia szwabskiego sięgnęła po zakrzywiony róg przytroczony do pasa długimi czerwonymi rzemykami. Trzykrotnie uderzyło w ciszę głośnie, ostre wołanie rogu. I natychmiast odtrąbiono mu od podnóża wieży takim samym trzykrotnym wołaniem. Aron ujrzał, jak skądś spod muru wynurzył się jeździec i pomknął w kierunku kamiennego mostu. Aron przeniósł spojrzenie i zobaczył, że szczyt wieży roi się od ludzi. Za daleko było, by rozróżnić oddzielne postacie — zlewały się w ciemną, ruchomą masę — ale oko raz po raz oślepiała wielka, jaskrawie błyszcząca na ciemnym tle plama — srebrny orzeł pozwalał rozpoznać Krescencjusza.

Od strony mostu doleciał słaby, trzykrotny dźwięk rogu: Ekkehard zawiadamiał, że już wie — że zrozumiał — że przyjął niechętnie, ale oczywiście posłusznie wykona. Obrońcy wieży zwartą zbitą masą tłoczyli się na ostrym występie szczytu, skąd najlepiej widziało się mur Leonowy: widać chcieli po raz ostatni z bronią w ręku przyjrzeć się dobrze tym, od których przyjmowali łaskę.

Nagle zwarta ciasno gromada drgnęła, cofnęła się, odpłynęła. odsłoniła, osamotniła wyniosłą postać z błyszczącą piersią. Ale oto blask zgasł — mignął raz jeszcze, lecz już w powietrzu, srebrzył mętną wodę rzeki i znikł. Krescencjusz zerwał z piersi patrycjańskiego orła i cisnął do Tybru. Stał tuż obok skrzydlatego posągu, potrząsnął raz jeszcze mieczem i dokładnie naśladowując ruch anioła, uwieczniony w kamieniu, wolno włożył lśniąca broń do pochwy.

Wówczas Otto obrócił się do Teodory Stefanii, potem ku papieżowi; czarne oczy pełne były łez. Drżącą rękę położył na ramieniu Grzegorza Piątego, ucałował go w czoło, w policzek, w usta.

— Teraz Rzym cały jest twój — powiedział szybko i wnet się poprawił: — Cały jest nasz...

— Niech Bóg i święty Piotr błogosławią Twoją Cesarską Wieczność — wyrzekł papież.

Nie odejmując ręki od ramienia Grzegorza, przenikliwie patrząc mu w oczy, Otto ciągnął:

— Widzisz, dochowałem ci wierności. Dochowajże jej i ty.

Papież przygryzł wargi, opuścił oczy i przez zaciśnięte zęby powiedział:

— Dochowam, stanie się, jak chciałeś. Otto zwrócił ku reszcie towarzyszy rozradowaną, roześmianą twarz.

— A teraz na grób świętego Klucznika! — zawołał. — I na grób naszego ojca. Imperatora Ottona — dodał. — Idźmy podziękować Chrystusowi za zwycięstwo oraz za to, że natchnął nasz majestat łaską wspaniałomyślności i przebaczenia. A potem... potem odprawimy inną uroczystą ceremonię... najradośniejszą zaiste ceremonię... Chodźmy, mistrzu Gerbercie umiłowany, paliusz już od wczoraj nasiąka łaską płynącą z grobu Apostoła...

Aron codziennie widywał się z Gerbertem. Pracy co prawda miał nadspodziewanie mało: rzadko kiedy podsuwał mu mistrz jakiś grecki tekst do przełożenia. Jeden z tekstów był dość zajmujący: przegląd biskupów i kapłanów greckich wysyłanych z Konstantynopola na dwór ochrzczonego niedawno władcy Rusi. Arona zajęły przede wszystkim obszerne, dokładne opisy obyczajów, nawyków, wykształcenia i uzdolnień do każdego dodane imienia. Nużył go za to i nudził olbrzymi wykaz hełmów, pancerzy, tarcz, mieczów, srebrnych i złotych łańcuchów, również z Konstantynopola na Ruś wysyłanych w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Rozmawiał za to z nim Gerbert często i dużo, wypytywał o dzieciństwo w Irlandii, o szkolne i klasztorne zwyczaje Anglii, żądał dokładnych opowieści o najazdach morskich Mężów Północy, szczególnie często powracał do osoby Olafa, króla Norwegii. Ogromnie zajęły go dzieje nieudanych zabiegów Olafa o siostrę Bolesława Pierworodnego. Jak obiecał, przedstawił Arona w Wielki

Czwartek Ottonowi. W obecności całego dworu młodzieńcy zamienili z sobą kilka zdań po grecku: jeden mówił z wysokości tronu, drugi klęcząc. Imperator zaszczylił nawet Arona szczególną łaską: polecił mu wziąć od kanclerza Heryberta wielką księgę, zawierającą wykaz wszystkich dostojęństw i urzędów Imperium Wschodniego, wypisać w niej wielkimi, wyraźnymi, greckimi literami wszystkie tytuły, a tuż obok dokładne brzmienie tychże tytułów odtworzyć literami łacińskimi. Należało także posługując się treścią greckiej księgi zaopatrzyć wypisek każdego tytułu w obszerny łaciński komentarz, omawiający, jakie ceremonie, prawa i obowiązki, wydatki, nagrody połączone są z dostojęstwem lub urzędem przez dany tytuł oznaczonym. Sporządzony przez siebie tekst Aron musi przepisać czterokrotnie: dla samego cesarza, dla Hillibalda, kanclerza królestwa Niemiec, dla Heryberta, kanclerza królestwa Italii, i dla Jana Teofilakta, głowy senatu Miasta.

A przecież choć tak bardzo obdarzony przyjaźnią i zaufaniem Gerberta, był Aron zupełnie zaskoczony słowami Ottona o uroczystej i radosnej ceremonii wręczenia mistrzowi paliusza poświęconego na grobie świętego Piotra. Zaskoczony i oszołomiony. Czyżby Grzegorz Piąty miał ugiąć się, ustąpić, wyrazić zgodę na powrót Gerberta do Reims? I czy należy tu szukać związku z Bolesławem Lambertem? Więc cesarz jednak postanowił odtrącić przyjaźń i wierność potężnego Bolesława Pierworodnego? Więc chęć dochowania wierności towarzysowi wygnania przeważała w papieżu nad stanowczością przekonania o niekanoniczności obioru Gerberta? Ale jeżeli tak dalece dba o dochowanie wierności jednemu ze swych towarzyszy, czy równie wierny będzie drugiemu? Czy zdoła zmusić Ottona, by oddał Teodorę Stefanię Tymoteuszowi? Ale jakże to może się stać, skoro Krescencjusz dostał łaski? Bo albo Otto zwróci jemu Teodorę Stefanię, albo wprost oświadczy Krescencjuszowi, że zatrzymuje ją sobie jako zapłatę za łaskę — tak czy inaczej ślubną żoną Tymoteusza zostać nie może. Chyba że Otto, mając jej dosyć, odstąpi ją papieskiemu ulubieńcowi, by była przy nim nie jako żona, ale tak jak przedtem była przy Cesarskiej Wieczności. Czy Tymoteusz zgodziłby

się na to? Aron pomyślał chwilę i doszedł do wniosku, że chyba się zgodzi. Ale co powie wówczas papież?

Okazało się jednak, że wszystkie te rozważania Arona były tylko stratą czasu i na żadnych nie opierały się podstawach. Oto przy wejściu do bazyliki Piotrowej Gerbert odszukał oczyma w tłumie Arona i skinał, by się zbliżył.

— Gotuj się do drogi — rzekł. — Za dziesięć dni wyjeżdżasz ze mną do Rawenny.

Na kamiennym tronie siedzi kamienny święty Piotr. Prawą rękę wzniosł wysoko błogosławiąc — w lewej trzyma klucze Królestwa Niebios. Na złotym tronie siedzi Otto — w ręku dzierży oprawną w srebro białą laskę ze słoniowej kości, dar Bazyleusa Jana Zemiskena dla Ottona Czerwonego.

Obok stoi Grzegorz Piąty. Aron po raz pierwszy widzi postać papieża osnutą całym przepychem uroczystego kościelnego stroju. Z rycerza w kolczudze pozostały tylko bardzo jasne, wypukłe nieco oczy. I dopiero teraz, na tle innych postaci, równie w sakralne przystrojonych szaty dostrzega się młodość Grzegorza Piątego: dopiero teraz można wierzyć, że nie doszedł jeszcze trzydziestu lat.

Dziwnie wygląda w sakralnych szatach mistrz Gerbert: trudno uwierzyć, że to naprawdę on. A przecież Aronowi się wydaje, że bardziej mu w nich do twarzy niż Brunonowi Grzegorzowi. Prawa ręka Gerberta wyciągnęła się ku Ewangelii, którą trzyma w daleko przed siebie wyciągniętych dłoniach arcybiskup mediolański, Arnulf. Gerbert składa wyznanie wiary. Głośno, wyraźnie, dźwięcznie zapewnia. iż wierzy, że nikt nie może dostąpić zbawienia poza Kościołem Powszechnym; iż uznaje i czci prawdy zatwierdzone przez cztery wielkie sobory: że chrzest zmywa wszystkie grzechy, że skruszonego na spowiedzi grzesznika bezwzględnie należy dopuścić do łaski obcowania z Ciałem i Krwią Pańską.

Nagle całym zgromadzeniem dostojników Kościoła wstrząsa dreszcz pełnej napięcia uwagi, dreszcz podniecenia i oczekiwania. Gerbert wciąż jest spokojny i skupiony.

— Nie potępiam małżeństw — głośnym echem odbijają się o mury

i kolumny bazyliki spokojne, dobrze zważone słowa. W oczach Leona, opata awentyńskiego, Aron dostrzega niepokój i nieomal gniew. Toż samo w oczach wszystkich nielicznych zresztą opatów i przeorów należących do kluniackiej wspólnoty.

— Racz, czcigodny, dostojny bracie — wrywa się w pełną napięcia ciszę głos arcybiskupa Arnulfa — dokładniej określić, co rozumiesz przez słowa: „Nie potępiam małżeństw”.

Aron wyraźnie słyszy głośnie bicie serc dookoła. Ale nie słychać, jak bije serce Gerberta. Tak samo chyba jak zawsze; bo żadnego też nie wyczuwa się niepokoju w jego głosie, gdy powiada:

— Rozumiem to tak, iż zgodne jest z Pismem świętym, świętymi kanonami i przekazem ojców, ażeby każdemu, kto nie składał ślubu zakonnego czystości, wolno było wstępować w uświęcony przez Ducha Świętego związek małżeński.

— Jeszcze się niezupełnie jasno wypowiedział, czcigodny bracie — głos Arnulfa natarczywością rozbrzmiewa i jak gdyby wyzwaniem.

— Racz wyjaśnić, czy uznajesz za zgodne z Pismem, świętymi kanonami i przekazem ojców prawo przelewania godności kapłańskiej na żonaty?

— Uznaję.

„A więc Tymoteusz mógłby poślubić Teodorę Stefanię i dostąpić łaski pomazania” — z ulgą i radością myśli Aron.

— Wiara twoja jest dobra — tryumfująco mówi arcybiskup Arnulf. Twarz jego promienieje radością. Tak samo twarze większości biskupów. Tylko wśród zjednoczonych w kluniackiej wspólnotie ledwie słyszalny rozlega się szmer oburzenia.

— Rzekłeś: godności kapłańskiej — odzywa się Grzegorz Piąty — ale nie biskupiej?

— Ale nie biskupiej.

Szmer kluniaczyków nie milknie, ale łagodnieje. ..Nie, nie uda się Tymoteuszowi — myśli ze smutkiem Aron — przecież marzył o pomazaniu biskupim”.

— Wiara twoja jest dobra — szepce Grzegorz Piąty. Na czoło jego występuje perlisty pot, zaciskają się wargi, ściągają brwi. Aron

wyraźnie czyta, co napisane się zdaje niewidzialnymi literami na zmarszczonym, spoconym czole; oto przecież on, papież, toż samo musiał składać wyznanie wiary, ale poczekajcie: niech pożyje ze dwadzieścia lat, a inaczej będziecie wyznawali, dostojni arcybiskupi i biskupi!

Arcybiskup Arnulf odchodzi uśmiechnięty, wciąż trzymając księgę Ewangelii na daleko przed siebie wyciągniętych dłoniach.

Papież nachyla się nad klęczącym Gerbertem, narzuca mu na ramiona wytkany z białej owczej wełny palusz.

Zbliża się diakon w złoto tkanej dalmatyce, trzymający w rękach, również daleko przed siebie wyciągniętych, wielką srebrną tacę. Na tacy połyskuje pierścień. Dwie ręce naraz wyciągają się ku pierścieniowi.

— Nie, ojcze i bracie — mówi Otto papieżowi. — Chrystus przed Piotrem, majestat cesarski przed papieskim. — I wkłada pierścień na palec Gerberta. Aron wyraźnie słyszy szept opata Leona:

— Dożyjemy, zobaczycie, dożyjemy, iż nie będzie zuchwała ręka panów tego świata między święte się wtrącać obrzędy.

Gerbert wkłada swe ręce między dłonie Ottona. Przysięga wierność niezachwianą majestatowi cesarskiemu. Cesarz białą, oprawną w srebro laską dotyka ramienia Gerberta.

— Wieczny Pan Imperator, włodarz i rozdawca wszystkich dóbr świata tego, zatwierdza za tobą w dożywocie wszystkie ziemie i całą majątność arcybiskupstwa raweńskiego. Służ wiernie. Pokój z tobą.

Słońce jeszcze nie zaszło, gdy Aron wrócił do klasztoru Świętego Pawła. Choć bardzo znużony, ani przez chwilę nie siedział na miejscu. Obiegał wszystkie zakątki, wszędzie zajrzał po dziesięć razy. Wszak rozstać się miał z tym wszystkim! Miłe mu się nagle wydały wszystkie twarze — żal ścisnął serce na myśl, że nie będzie już więcej siadywał w zacisznej, wiecznie słońcem zalanej bibliotece. Krótco był w Rawennie, wydała mu się ponura i mglista. Oczywiście, nie może się nie cieszyć, że będzie tam z Gerbertem. I nie może się też nie cieszyć tryumfem swojego mistrza. Skończony spór, ustaną zjadliwe poszepty. Trudno by było wyobrazić sobie wspanialsze rozwiązanie

sprawy, zdawać by się mogło, nie do rozwikłania. Papież nie ustąpił, nie zezwolił na powrót Gerberta do Reims, a przecież Gerbert uzyskał arcybiskupstwo! I to jedno z najdosłojniejszych w całym chrześcijaństwie! Otto obronił cześć ulubionego mistrza, nawet jeszcze wspanialszym osnuł ją blaskiem. Traci tylko... Bolesław Lambert.

Ale z nim razem traci Tymoteusz. Dokąd będzie uciekał z Teodora Stefanią?... A uciekać nadal chce — bardziej niż kiedykolwiek. Gdy orszaki, papieski i cesarski, wyszły z bazyliki, ujrzeli wszyscy klęczącego na stopniach Krescencjusza. Przy boku miał miecz, ale klęczał boso i to go napawało tak dręczącym, tak straszliwym uczuciem poniżenia, że aż brzydka wydawała się twarz, powszechnie przecież uznawana za najpiękniejszą w Rzymie — tak ją przeobraził grymas bólu i z trudem hamowanego gniewu. Otto podał mu rękę do ucałowania, kazał włożyć trzewiki i towarzyszyć majestatowi na Awentyn. Aron daremnie szukał oczyma Teodory Stefanii — dawno gdzieś znikła. Za to ujrzął Tymoteusza, który przeciskał się do niego przez tłum. Twarz przyjaciela zdumiała Arona — uśmiechała się, promieniała. Nachylając się nad jego uchem Tymoteusz szepnął: — Rozumiesz teraz? Święta jej dusza nie mogła nie ulitować się nad głową, którą przez tyle lat tuliła do swojej piersi i nadal by tuliła, gdyby nie była mnie poznała. Za głowę tę zapłaciła sobą, ona przecież wszystko wie, wiedziała więc, że jej za złe tego nie poczytam... A teraz nic już nie jest winna żadnemu z nich. Uciekniemy.

Dokąd uciekną? Bolesław Pierworodny mocniej niż kiedykolwiek siedzi... na czym siedzi? Na patyku wystruganym przez Ekkeharda? Niewielki to zaszczyt! Ale Bolesław Lambert na patyku nawet żadnym nie siedzi... Może by odebrał bratu starszemu patyk, gdyby... gdyby nie kto? Oczywiście, gdyby nie on, Aron! Bo Aron opowiedział Gerbertowi wszystko. Wszystko, co usłyszał od Tymoteusza w Gaju Trzech Strumieni. A więc o nadziejach, jakie obaj towarzysze wygnania Grzegorzowego łączą z pragnieniem Ottona, by Gerbert wrócił do Reims! Także o tym, co słyszał o gotowości Ottona do zerwania z Bolesławem Pierworodnym, do poświęcenia Ekkeharda

Dediemu, do oddania Bawarii niepewnemu Henrykowi, do wyrzeczenia się na rzecz Bazyleusów Neapolu i Kapui, i Salerna, Benewentu, byle tylko skłonili księcia Rusi do uderzenia od tyłu na Bolesława Pierworodnego... Nic nie utaił. Gdy opowiadał, łzy zazdrości trysnęły mu z oczu, iż oto rówieśnikiem jest Ottona, lepiej niż Otto zna grekę... na pewno nie mniej niż Otto miłuje mistrza Gerberta, a oto nie dał mu Bóg niczego, czym by mógł dowieść swojej wielkiej do mistrza miłości... Natomiast Otto ma czym dowieść... wyrzeczeniem się księstw... zerwaniem z potężnym lennikiem... poświęceniem wszystkich wygod... — Jużes mi dowiódł swoimi łzami — rzekł Gerbert tonem życzliwym, przyjaznym, ale nieco roztargnionym i jak gdyby zniecierpliwionym: — Idź już, idź, pracuj nad wykazem tytułów...

Oczywista więc rzecz, iż to opowieść Arona skłoniła Gerberta do zastanowienia się. Zrozumiał, nie mógł nie zrozumieć, że powrót do Reims mógł być jedynie osiągnięty za cenę odpadnięcia Bolesława Pierworodnego od chrześcijaństwa, za cenę straszliwej wojny cesarstwa z pogańską Słowiańszczyzną. Szlachetny, nie chciał płacić takiej ceny! Zrzekł się Reims, wziął Rawennę! I choć Aron nieco skrzywdził przyjaciela odbierając mu możliwość ucieczki z Teodorą Stefanią do księstwa polskiego — czuł, że go tym skrzywdził — ale przecież, jeśli się porówna ową krzywdę z zasługą Arona wobec Gerberta, papieża, cesarza, chrześcijaństwa całego i Słowiańszczyzny, przed spoganiem ponownym lub zagładą ocalonej — czyż można wątpić, co przeważy? Żadnych więc nie powinien mieć wyrzutów ni obaw! Przeciwnie, cieszyć się i dziękować Duchowi Świętemu za natchnienie! Uczuł przyływ radości i dumy. Zaiste, więcej zdziałał, niż gdyby był wówczas, we wrześniu, w dniu buntu poszedł wraz z papieżem na wygnanie!

Pogrążony w radosnych, pełnych dumy rozmyślaniach, nie spostrzegł nawet, jak zapadł zmierzch. W klasztorze zapalono światła. Nagle ciszę zapadającego wieczora rozdarł przeraźliwy krzyk, gdzieś niedaleko klasztoru. Aron zerwał się z miejsca, pobiegł w stronę furty.

Biegając wołał o pomoc, wołał tak rozpaczliwie, jakby to jego

samego tknęło nieszczęście. A tamtego krzyku nie było już słycać — utonął w ogłuszającym turkocie kół, wściekłym tętnie, trzasku bicia i głośnych, coraz to bliższych przekleństwach. W szaleńczym pędzie zajężdżała przed klasztor kwadryga. Tuż przed furtą omal jej nie wywaliły osadzone gwałtownie, jak gdyby oszalałe konie.

— To Tymoteusz! — krzyknął Aron do furtiana. — Otwieraj! Przejechałeś kogoś? — zapytał stroskany, zmartwiony, rozgniewany.

Ale zaświeciwszy przyjacielowi w oczy latarnią wyrwaną furtianowi, od razu zapomniał o przejechanym. Takim nie widział go nigdy: oczy wybałuszone, włosy zmierzwione, twarz cała rozedrgana, zmieniona nie do poznania, suknia rozdarta na piersiach... Musiało się stać coś strasznego.

— Co się stało, Tymoteuszu?!

— Wsiadaj, jedź ze mną, zaraz zobaczysz — niesamowicie - syczał, świstał, charczał Tymoteusz. — Zobaczysz! To nic, że już noc, zobaczysz... Wszak pochodnie tam płoną, nie, całe beczki z oliwą...

— Gdzie płoną? Dlaczego płoną? Co ty mówisz? Co ci jest?

— Dlaczego płoną? Pytasz, głupcze, dlaczego? Dlatego, aby lepiej jaśniał blask cesarskiego majestatu... aby świat cały dobrze się przyjrzał ich twarzom... ich twarzom... i aniołowie z ciemnego nieba, i demony z mrocznej otchłani... i sama Trójca Boża...

Aron uczył, że sam zaczyna się trząść. Wypuścił z ręki lampę. Upadła z brzękiem, zgasła. Nic nie wiedział, nic nie rozumiał — ale trzął się, bał się.

— O czyich twarzach mówisz, Tymoteuszu? O czyich twarzach, na świętego Bedę!

— O twarzach Ottona i Teodory Stefanii — odkrzyknęła ciemność.

Aron dawno spostrzegł, że Tymoteusz, gdy opowiadał, to jak gdyby obraz najwyrazistszy od razu przed oczyma stawiał. Od razu więc zobaczył płonące beczki oliwy. Wieńcem okalały plac, porosły nagle drzewami szubienic. Dwanaście jednakowych szubienic a w środku trzynasta, inna niż wszystkie: kołysze się pod nią duże ciało Krescencjusza nie na jednym powrozie, na dwu: dwie przecież nogi ma człowiek!

— Głową ku ziemi powieszony? — wyrywa się z piersi Arona głuchy jęk.

— Głową ku ziemi, powiadasz? Ależ nie: głowa na ziemi... głowa na ziemi... źle rzekłem, nie na ziemi, na kłocyku pięknie ociosanym... Sam zobaczysz... koniecznie musisz zobaczyć... zdązysz zobaczyć... Trzy dni będzie tak tkwiła na kłocyku... Rozumiesz? Na kłocyku jak na tacy, którą z rannym posiłkiem chciał nam Pan Imperator przysłać do łoża ślubnego... przysłać w nagrodę za wierność...

Tymoteusz osuwa się do kolan Arona. Wtula w mniszą suknię oczy. Suche oczy.

— Ze dwie godziny gościł u siebie Wieczny Pan Imperator Otto wspaniałomyślnie ułaskawionego wroga. Szlachetnie podejmował — wspaniałą zastawą dla trojga, najlepszymi tuskulańskimi winami. Nagle z trzaskiem rozwarły się podwoje. Otto wyszedł, nie, wybiegł: krzyknął, by sprowadzono Ekkeharda. Zanim margrabia nadszedł, cesarz zdążył spokojnym, zimnym głosem powiadomić swój dwór, że zdrajca Krescencjusz zostanie stracony. On i dwunastu najdostojniejszych jego towarzyszy. „A cesarskie słowo?” — wyrwało się Hugonowi z Tuscji. „Margrabio Hugonie — odpowiedział Otto — daruję ci twoją głowę. Rzekł Pan na krzyżu: »Odpuść im. Ojczy, bo nie wiedzą co czynią«. Ale nie tym, którzy wiedzą...” Zaklinał go papież, błagał Gerbert. Grzegorzowi Piątemu odpowiedział Imperator: „Nie broniłem ci zrobić z moim mistrzem Filigatem, coś chciał... nie waż się mnie przeszkadzać”. Na Gerberta patrzył zaiste nieprzytomnymi oczyma. „Włożyłeś dziś swoje ręce w moje, ślubowałeś służyć wiernie. Służ wiernie: nie wadź mi”.

— Cóż na to Gerbert? — ledwie wyjąkał Aron poprzez szczękające zęby.

— Gerbert milcząc oddalił się trzasnąwszy drzwiami. Przyszedł Ekkehard. Poblądziłem — spokojnie zwrócił się do niego Otto — ale Duch Święty nie pozwolił, by błądził długo święty majestat cesarski”. Wydał szczegółowe rozkazy. Ekkehard brzęknął ostrogami i pospiesznie wyszedł. Wychodząc mruknął do margrabiego Hugona: „Grecka wierność”.

Aron długo nie odważał się zadać najważniejszego pytania. Ale Tymoteusz zdawał się odgadywać jego myśli. Aron błogosławił ciemność, która pozwalała mu nie widzieć twarzy przyjaciela, gdy ów zaczął mówić o Teodorze Stefaniu.

Kiedy owych trzynastu tracono, stała obok Ottona na tarasie. Rękę wsunęła pod jego ramię. Głowę oparła o jego policzek. Gdy Krescencjusz, chwycony przez kata za włosy, krzyknął: „Ej! czy wy tam z nieba dobrze widzicie?” Otto zachwiał się i zbladł. Wówczas Teodora Stefania obróciła ku niemu twarz, krzepiła go uśmiechem.

— Tak, krzepiła, na pewno krzepiła! — krzyczał u kolan Arona Tymoteusz. — Wszyscy widzieli ów uśmiech. I Krescencjusz też! Słyszysz? On też! I ja! Uśmiech ów miał głos, słyszysz? Miał głos... mówił... Niebu i ziemi, i piekłu mówił, że ona przy nim, przy tamtym, nie przy owym traconym... i nie przy mnie...

Aron boleśnie przeszukiwał wszystkie zakamarki zamroczonej swej myśli... Czym by pocieszyć przyjaciela? Wstrząśnięty tym, co usłyszał, przede wszystkim jednak myślał o Tymoteuszu. Co mu powiedzieć? Jak podeprzeć walącą się z łoskotem w gruzy wiarę, iż oto dlatego tylko dała siebie Teodora Stefania Ottonowi, by za tę cenę wykupić Krescencjusza, a potem — gdy nic już nie będzie winna mężowi — połączyć się z Tymoteuszem... Długo szukał, aż znalazł. Starając się swemu głosowi nadać siłę jak najgorętszego przekonania powiedział:

— A może dla ciebie to zrobiła? Może tak cię miłuje, iż rzekła Ottonowi: „Podarowałaś mi głowę Krescencjusza, ale to twój wróg, zwracam ci więc dar, a ty w zamian zwróć mnie Tymoteuszowi...”

Wtulona w mniszą suknię głowa potarła kolana Arona gwałtownym, przeczącym ruchem.

— Do mnie święta jej dusza nie mogłaby iść drogą zdrady.

— A czy dla świętej duszy, jak poucza Kościół, nie jest zdradą porzucenie żyjącego męża, by z innym się połączyć?

Tymoteusz usiadł na ziemi. Całym ciałem zawisł na wciśniętych w żwir dłoniach.

— Nie wiem — szepnął. — Nie wiem... nie rozumiem... Gdy

tamtych tracono, słyszałem, jak ktoś mówił, że Krescencjusz i Teodora Stefania spokrewnieni są z sobą w czwartym stopniu. Kościół podobno nie godzi się na takie małżeństwa. Wszak zmusił Pan Papież króla Roberta, że odprawił od siebie królowę Bertę, właśnie w czwartym stopniu z mężem spokrewnioną... Mógłby więc też i Krescencjusza zmusić do rozwodu... Nie wiem... nic już nie wiem...

Zerwał się na równe nogi.

— To tylko wiem — krzyknął — że uśmiechem krzepiła słabą Ottonową duszę! Tam na tarasie... i później...

Gdy wieczór zapadł i zapłonęły beczki z oliwą, Imperator zszedł na plac stracenia. Dał chłodny wiatr, rozwiewał włosy Ottona, zmuszał go, by trząsł się, jeżył i tulił w opończę. Aby rozwiać nastrój zgrozy, jaki ogarniał spędzone na plac tłumy, Otto nachylił się nad oblepionym zapiekłą krwią kłocykiem, wziął głowę Krescencjusza za włosy, uniośł ją nieco i śmiejąc się pokazał martwej twarzy język. W tłumie ktoś się zaśmiał, ale wnet znowu straszliwa zapadła cisza.

— On by się na to nie odważył, nigdy by się nie odważył, gdyby ona nie krzepiła go uśmiechem! — krzyczał Tymoteusz. — Tak, uśmiechała się obok stojąc. Sama zaraz po nim uniosła głowę z kłocyka, palcem drugiej ręki dotknęła policzka i zakrzepłej krwi na szyi... Potem palcem tym po swoim prześliznęła się policzku. I wciąż uśmiechała się, wciąż... A czy wiesz, Aronie, co miała na sobie? Zimno było, więc włożyła znów kaftan żołnierski... ten sam, co wówczas podniosła z podłogi w teatrze Marcella, by nagie okryć ramiona... Na kaftanie tym biała połyskiwała podobizna kolumny... znak naszej drużyny, naszego rodu... Miałaby go na lektykach i rydwanach, gdyby moją została ślubną żoną... Ale już chyba nie zostanie nią, jak myślisz, Aronie?

7

Tymoteusz płakał. Płakał głośnym, dziecinnym szlochem, dziecinnymi potokami łez. Wstydził się swego płaczu — przed Aronem, przed sobą. Raz po raz usiłował zdławić szloch śmiechem, słowem zjadliwym lub wręcz przekleństwem; raz po raz ocierał łzy rękawem lub wprost dłonią, nie nazbyt czystą, szorstką, pełną odcisków, zgrubień i innych śladów ciężkiej pracy, do której niedawno właśnie był powrócił i z trudem nawykał na nowo po czterech blisko latach przerwy. Bo wprawdzie Jan Teofilaktos powierzył bratankowi zaszczytny, naczelny nadzór nad całym gospodarstwem tuskulańskim — coraz częściej brać się musiał Tymoteusz osobiście do najcięższej nawet pracy w polu i tłoczni, taki był brak rąk roboczych w winnicach. Wszystkich bowiem zdrowych mężczyzn ze swych włości wcielił Jan Teofilaktos do zbrojnej drużyny, którą złożył w darze Imperatorowi, by przy boku Cesarskiej Wieczności powędrowała za Pad, za Alpy, hen, aż do dalekich słowiańskich krain, radując czarne oko Ottona widokiem małych, okrągłych tarcz i czerwonych starorzymskich, grzebieniastych kit, falujących ponad żółtymi, mosiężnymi hełmami.

Płacząc Tymoteusz przeklinał siebie, że nie opuścił Miasta wraz z drużyną: byłby z nią zawędrował aż do wymarzonego księstwa polskiego. Wprawdzie nie znalazłby tam Bolesława Lamberta, ale to nic, chętnie by stanął też i przed Bolesławem Pierworodnym. Stanąłby wzięwszy się pod boki i cisnąłby mu w twarz, ale tak, by zabolalo: „Cóż, długo jeszcze będziesz hasać na patyku przez Sasów wystruganym? Czy to już nie czas przełożyć patyk do ręki i zdzielić nim Sasa przez łeb, a mocno, choćby Sasem tym był sam Cezar Imperator Rzymski?! Taki bo z niego Cezar i Rzymianin, jaki z twego patyka koń! A pamiętaj: gdy zechcesz użyć patyka tak, jak patykowi przystało, licz na mnie, stanę przy tobie... I jeśli złamiesz go o żelazo saskie, nadal licz na mnie: wiernie stać będę...”

Ale nie zobaczy Bolesława Pierworodnego — nie opuścił Miasta wraz z drużyną... nie chciał go opuścić... nie mógł opuścić bez Teodory Stefanii... Przez cztery lata wypatrywał chwili spotkania z nią;

śnił o długiej, swobodnej rozmowie. Wyśnił, doczekał się, spotkał, rozmawiał długo i swobodnie — chyba ze dwie godziny byli z sobą. Dopiero się oddaliła — dopiero znikła w ciemnościach za rogiem kościoła Maryi w Ozdobach cesarskimi orłami przystrojona lektyka. — Dzięki ci, bracie Aronie! Gdyby nie ty, ileż bym jeszcze czekał? I to na co bym czekał?!

Spotkanie Tymoteusza z Teodorą Stefanią było dziełem Arona. Włożył w nie nadszpiewanie dużo uporu, przedsiębiorczości, sprytu i odwagi. Pierwszy to raz zdobył się na podjęcie dzieła nie uzgodnionego uprzednio z mistrzem Gerbertem, noszącym od niedawna imię papieskie Sylwestra Drugiego. Dokładnie wykonał, co zamierzył, choć nocami nie sypiał, trapiiony lękiem, że oto papież dowie się o wszystkim i srodze się na niego pogniewa. Nie sypiał, drżał, nawet płakał ze strachu, ale robił swoje. I zrobił.

Patrząc przecież na płaczącego jak dziecko Tymoteusza, słuchając jego szlochów, pełnych cierpienia i gorzkości, zaczynał Aron żałować, iż tak dobrze mu się wszystko udało. Zaczynał żałować swojej odwagi, przedsiębiorczości, uporu a nade wszystko samego pomysłu. Przeklinał siebie. Z odrazą myślał o sobie słowami Pisma: „Po owocach ich poznacie je.

Toteż granic nie miało jego zdziwienie, gdy padłszy w miesiąc później do nóg Gerberta Sylwestra i wyznawszy mu z płaczem wszystko — usłyszał od papieża te same słowa. „Po owocach ich poznacie je”, ale jakże odmiennej pełne treści! W ustach Sylwestra Drugiego były to słowa nie tylko przebaczenia, ale i uznania.

— To, coś zamierzył, synu, tak jakeś zamierzył, nie było dobre ani nawet godziwe; wynikło zaś z twego zamierzenia coś nadzwyczaj dobrego. Otoś miał przed sobą ślepcę, który nagle odzyskał wzrok i zobaczył, że w ręku trzyma nie berło królewskie, lecz kij żebraczy. Z widzących oczu trysnęły łzy: rozumiem, dobrze rozumiem jego zawód, żal, ból. Ale zapewniam cię, iż lepiej być widzącym żebrakiem niż ślepym królem! Czy wiesz, że Jan Teofilaktos prosił mnie o zgodę na to samo spotkanie? Jakiż on mądry jest, Aronie, jaki mądry! Wprost mi powiedział: „Chcę, by bratanek przejrzał. Nie może

ślepiec zarządzać winnicami tuskulańskimi”. Ubiegłeś Jana Teofilakta. Udało ci się, nadzwyczajnie się udało. Ale zechciej uważać, synu, byś nie zasmakował zbyt w takich samowolnych poczynaniach, bo rozstaniemy się.

Spotkanie Teodory Stefanii z Tymoteuszem wydało się Aronowi nagłą koniecznością, zaraz już przy pierwszej rozmowie, jaką odbyli przyjaciele po ponownej półtorarocznej przerwie. Tymoteusz zjawił się w Lateranie dopiero około Bożego Narodzenia, choć nie mógł nie wiedzieć, że jeszcze wiosną zjechał do Miasta wraz z nowym papieżem także i jego ulubieniec, o którym krążyły po Rzymie złośliwe gadki, że wszystkich Niemców ma pono chrzczyć po raz drugi, greckie im nadając imiona. Tymoteusz tłumaczył się nawet pracą w winnicach przez całe lato i jesień; istotnie, zdawał się być bardzo pochłonięty sprawami gospodarstwa tuskulańskiego: wypytywał o ceny win w Rawennie, martwił się zalewem Rawenny przez wina bonońskie, z ożywieniem mówił o wywozie do krain niemieckich, a nawet słowiańskich — dowiadywał się, jakie gatunki najbardziej smakują nowemu papieżowi. Ale nie zatracał się bynajmniej cały w sprawach swej gospodarki: żywo i ciekawie, jak zawsze, przekazywał Aronowi rozmaite nowiny rzymskie. Ze wzruszeniem opisywał przedwczesny, a przecież nie niespodziany zgon Grzegorza Piątego, który tak ciężko chorował w tak młodym wieku. Z wzdrgnięciem wzruszeniem ramion, choć bardzo dokładnie i ochotliwie, powtarzał pogłoski, jakie obiegały Rzym w chwili śmierci papieża. Oto jedni dostrzegali w niej karę Bożą za okrutny wyrok na Jana Filigata; inni, a tych było najwięcej, tłumaczyli ją gniewem świętego Piotra, który nie chce mieć na rzymskiej stolicy biskupiej cudzoziemca. Tym samym też gniewem świętego Piotra odgrażano się po cichu nowemu papieżowi, powszechnie zresztą uważanemu za czarownika. Zachodni bowiem Frank czy wschodni — jednaka to obraza majestatu Piotrowego, którego przecież godni są jedynie rdzenni Rzymianie! Sporo więc było w Mieście takich, co twierdzili, iż jeżeli Sylwester Drugi nie podąży niezadługo w ślady swego poprzednika — najlepszy to będzie dowód, iż wspomagają go przeciw

świętemu Piotrowi potęgi piekielne, które zmusza do służenia sobie zaklęciami magicznymi, spisany w księgach przywiezionych z Rawenny do Lateranu. Tymoteusz zniżył głos do pełnego drżenia szeptu i podzielił się z Aronem wiadomością, iż nawet bardzo pobożni a uczeni opaci i biskupi wierzą pono w zażyłość papieża z jakimś potężnym demonem, którego imię zaczyna się na literę „R”; tej bowiem zażyłości jedynie przypisuje wielu osiągnięcie przez mistrza Gerberta w oszołamiająco krótkim czasie trzech zawrotnie wysokich szczytów w Kościele, a imię każdego osiągniętego szczytu na literę „R” się zaczyna: Reims, Rawenna, Roma! Pewien biskup nawet tłumaczył, że literą „R” w piśmie szatańskim oznacza się dziewiątkę: trzy zaś dziewiątki to akurat rok zgonu Grzegorza Piątego; niechybny to znak, że przedwczesny zgon poprzedniego papieża był dziełem nie świętego Piotra, ale owego zaprzyjaźnionego z Gerbertem demona, który chciał utorować drogę na stolec papieski swemu przyjacielowi. — Ale ów biskup to Frank — wyjaśniał Tymoteusz — nie dziw więc, że niemiła dlań myśl, iż to gniew świętego Piotra zabija cudzoziemców sięgających po klucze Królestwa Niebieskiego.

Aron swoim zwyczajem powtórzył po jakimś czasie papieżowi, co słyszał od Tymoteusza. Pierwszy raz wówczas widział, jak Gerbert Sylwester klaskał w dłonie i śmiał się do łez; długo nie mógł zdławić śmiechu, aż wreszcie rzekł: — Każ swemu przyjacielowi odszukać owego biskupa i pouczyć go w moim imieniu, że w mowie szatańskiej dziewiątkę nie litera „R”, ale „S” oznacza, trzy więc dziewiątki to: stultus! stultus! stultus!

Oczywiście, Aron nie był przekonany, czy jego przyjaciel podziela wiarę w moc magiczną papieża; w każdym jednak razie podzielał Tymoteusz przekonanie, iż Sylwester Drugi posiada moc wiedzy o rzeczach nikomu innemu nie znanych. Gorąco bowiem prosił Arona, by zapytał papieża, co ów sądzi o coraz uporczywiej krążących pogłoskach, iż rok nadchodzący, tysięczny od narodzenia Chrystusa, ma być rokiem ponownego przyjścia na ziemię Syna Bożego. Ino patrzeć, a zagrzmia trąby archanielskie i Pan Niebios zstąpi z sądem i mieczem!

— Wówczas chyba ujrzymy po prawicy Pańskiej naszego zmarłego papieża — w zamyśleniu powiedział Aron i dodał: — Oczywiście, chętnie zapytam Ojca Najświętszego, co o tym sądzi.

— To zarazem zapytaj go, miły, ale tak półgębkiem, niby od siebie, ile prawdy jest w tym, co powiadają, że nasz Imperator chce złożyć ze swej skroni diadem i zamknąć się w klasztorze czy bodaj nawet w pustelni.

W ciągu całej owej rozmowy ani razu nie padło z ust Tymoteusza imię Teodory Stefanii. A przecież Aron bez trudu dostrzegł, że tak jak dawniej wciąż krąży dookoła Jej postaci niezmiennie podniecona myśl przyjaciela. Zgon Grzegorza Piątego, gniew świętego Piotra na cudzoziemców sięgających po złote klucze, trzy „R” i trzy dziewiątki, nawet możliwość rychłego nadejścia dnia Sądu Bożego, nawet ceny win w Rawennie — wszystko to są drobne, nieważne sprawy w porównaniu z pogłoskami o pobożnych uniesieniach Ottona Trzeciego. Dokładniej niż ktokolwiek wiedział Tymoteusz, kiedy, komu i w jakich okolicznościach zwierzył się Otto ze swych marzeń o życiu pustelniczym. Z głębokim przekonaniem twierdził, że fala pobożności, ogarniająca duszę cesarza, takie przybrała rozmiary, iż póty nie znajdzie Otto spokoju, póki nie wyrzeknie się wszystkiego, wszystkiego, co ziemskie. Słowo „wszystkiego” Tymoteusz powtarzał wielokrotnie z takim naciskiem, z takim zapalem i z taką nadzieją w oczach, iż Aronowi serce zamierało ze współczucia dla nieukozonego bólu przyjaciela i z podziwu dla mocy jego miłości. Teodora Stefania zdawała się wracać ku Tymoteuszowi drogą prościutką wiodącą poprzez wszystkie kościoły, jakie wznosiła pełna hojności pobożność Ottona, poprzez wszystkie klasztory, których surowa reguła słodką tajemnicą nowości nęciła młodzieńczą wolę, znudzoną wyszukiwaniem nakazów i zakazów dla wszystkich i wszystkiego poza sobą, poprzez wszystkie pustelnie, do których pokornej ciszy Ignęła targana wiecznym krzykiem dumy niesytej, nieukozonej, wiecznie zmęczona dusza syna Teofanii.

Tymoteusz w podnieceniu opowiadał o bytności Ottona w pustelni Nilusa. Drżącym głosem przytaczał słowa cesarza: „Oto namioty

Izraela w pustyni; ludzie owi żyją w tym świecie jak wędrowcy — wiedzą, że nie tu miejsce ich stałego pobytu”. Słowa te były dla Tymoteusza zapowiedzią oddania mu Teodory Stefanii. Jeszcze bardziej drżał mu głos, gdy przytoczył odpowiedź Nilusa na prośbę Ottona, by zażądał od cesarza, czego tylko zapragnie. Aronowi zdało się, że to groźne echo sądu nad Janem Filigatem rozbrzmiewało w słowach stuletniego pustelnika, gdy mówił:

„O nic ciebie nie proszę, bo i ty także umrzesz i zdasz sprawę ze swych uczynków”. — Tymoteusz zaś słyszał w nich ostrzeżenie, by cesarz zwrócił zabraną przez siebie cudzą kobietę.

I gdy Otto skruszony i wylękniony padł ze łzami w oczach na kolana przed Nilusem, składając u jego stóp swój diadem — czyż nie złożył z siebie wówczas wraz z diademem wszystkich, wszystkich przywiązań ziemskich i namiętności?!

Nawet wyprawa Ottona do dalekich krain słowiańskich niczym innym zdawała się nie być, jak tylko jeszcze jednym krokiem ku wyrzeczeniu się Teodory Stefanii.

— On zapewne już nie wróci stamtąd — szeptał Tymoteusz. — Przyjaciel jego, biskup Adalbert, dawno go przecież namawiał, by wspólnie świata się wyrzekli poświęcając się nawracaniu pogan. W księstwie polskim, u grobu Adalberta, złożył Otto ślubowanie, że pójdzie śladami męczennika; przerażony zbliżaniem się godziny Sądu Straszliwego, nie odejdzie już od grobu, co stał się świątynią — głos trąb archanielskich nie odszuka już uszu Ottona cesarza — obije się o uszy Ottona pokutnika, któremu błogosławieństwo przyjaciela, świętego męczennika, ułatwi w obliczu strasznej godziny wyrzeczenie się wszystkiego, wszystkiego, co ziemskie!

Aron miał wielką ochotę zapytać przyjaciela: „A ty sam, bracie? Czyż nie sądzisz, że i tobie też nakaże straszna godzina wyrzeczenie się wszystkiego, wszystkiego, co ziemskie?” — Ale przyjrawszy się dobrze Tymoteuszowi poniechał pytania. Jasne było, że niech jeno stanie Teodora Stefania w straszną godzinę obok Tymoteusza, niech mu tylko pozwoli przytulić policzek do swej stopy, jak swój przytuła do stopy Ottona — bez trwogi będzie słuchał Tymoteusz głosu trąb

archanielskich, bez dreszczu spojrzę w Boskie oczy Tego, co na chmurach spłynie niosąc sąd i miecz!

Żegnając się z Aronem wspomniął jeszcze Tymoteusz o chwalebnej pobożności nowego biskupa wormackiego, Franka, następcy zmarłego kanclerza Hillibalda. Franko to bowiem namówił cesarza, by spędzili wspólnie w pieczarze pod bazyliką Świętego Klemensa czterdzieści dni i nocy — spędzili je na postach i umartwieniach tak surowych, że aż zakazanych przez przepisy klasztorne, nawet kluniackie.

A czterdziestego pierwszego dnia rano oświadczył Otto całemu dworowi, wraz z senatem Miasta zgromadzonemu, że nieodwołalnie złoży diadem i uda się na zawsze do pustelni, niech jeno znajdzie godnego dziedzica, na którego by mógł przelać dostojeństwo cesarskie. Ciepło, serdecznie, ze wzruszeniem mówił Tymoteusz o Ottonie.

Aron odprowadzał przyjaciela pełnym czułości spojrzeniem. Biedny Tymoteusz! Wie, co było czterdziestego pierwszego dnia, ale nie słyszał widocznie nic o tym, co stało się czterdziestego drugiego. Oto wczesnym rankiem przycwałował Otto z Awentynu do Lateranu. Choć wyraźnie niewyspany, nie zdawał się być po nocy na twardym, pokutniczym łożu spędzonej. Zażądał od papieża, by zaczął udzielać Teodorze Stefanii nauki gry na organach. Babka jego, cesarzowa Adelajda, grała na cymbałach — siostra Zofia na harfie — Teodora Stefania zaś będzie grała na organach. Będzie, bo cesarz sobie życzy. Będzie!

— Sądzę, że nie będzie — spokojnie odrzekł Sylwester Drugi wyrażając pełnym czci, ale nie wolnym od złośliwości tonem bezgraniczne zdumienie, że Cesarska Wieczność, która wczoraj jeszcze postanowiła porzucić diadem dla pustelni i w ogóle wyrzec się wszystkich spraw tego świata — tyle dziś okazuje zadziwiającego zrozumienia dla spraw tak dalece światowych, jak kształcenie w muzyce kobiety, którą majestat zaszczycił spędzeniem z nią nocy, pierwszej po wyjściu z pokutniczej pieczary. Wówczas Otto zaczął tupać nogami, potargał sobie włosy, zerwał z szyi łańcuch, rozdarł

szatę na piersiach i z pianą na ustach upadł na podłogę wołając poprzez głośny szloch, iż wszyscy, wszyscy go zdradzają... wszyscy nienawidzą... wszyscy nim gardzą, ona jedna tylko jest wierna... ona jedna go miłuje... — miłuje jego samego, jego ciało i duszę, nie zaś potęgę i władzę — jedna życzy mu dobrze, gdy nawet papież — taką miłością i tylu łaskami obsypany papież — pragnąłby go zamknąć w klasztorze lub pustelni, by samemu sięgnąć jeszcze i po diadem cesarski... złote klucze i złote orły w jednym skupić ręką!...

Długo musiał koić papież zboląłą, nieufną duszę Ottona. Koił ją roztaczając wspaniałe obrazy świetności i potęgi Ottonowego majestatu. Przepowiadał mu panowanie nie tylko nad całym Zachodem chrześcijańskim, ale nad greckim Wschodem, nad krainami Półksiężycą, nad przedziwnymi Indiami i straszliwą Lemurią — nad wiecznie ośnieżoną ziemią hiperborejską i nad morzami, które śliczna zorza północna tysiącem blasków barwi na podobieństwo koronacyjnej szaty Ottonowej. Wstęga oceanu straszliwego okoliła krąg ziemski — w czarnych jego wodach poić będzie konie drużyna Ottonowa! Czarni królowie pustyni będą podnóżkiem stóp Ottonowych. Homer i Plato, Owidiusz i Wergili wzdychają w zaświatach, iż nie mogą wrócić na ziemię, podyskutować z Ottonem o filozofii, o retoryce, o sztuce poetyckiej. Frank nad Renem już nie jest Frankiem, Sas nie jest już Sasem nad Łabą, nie jest Scyta Scytą ani Weneta Wenetą — wszyscy stracili imię, co jednych od drugich różniło — wszystkich zrównała, zjednoczyła nędzna małość przed obliczem majestatu Ottonowego — małość prochu przed obliczem słońca, małość wróblego świergotu przed obliczem lotów podniebnych złotoskrzydłego orła — małość barbarzyńców przed obliczem światowładnego Rzymu — małość chwili przed obliczem wieczności.

Nocą miłosną zmożony, niedawnym wyczerpany wybuchem, miódopłynną mową Sylwestra rozkosznie ukołyszany — Otto zasnął. Zasnął twardym, beztroskim snem dziecka, z nogami wyciągniętymi na lamparcich skórkach, z głową opartą o kolana papieża. Uśmiechał się przez sen dumnie i radośnie. Spał około godziny. Gdy otworzył oczy, zarumienił się, zawstydził: sam namiestnik Piotrowy, mędrzec

nad mędrkami, Gerbert, przez całą się nie poruszył godzinę, by nie płoszyć snu dziewiętnastolatka! Ale nie wykrzesał z siebie Otto słów przeproszenia, jedynie chłodne słowa wyniosłej pochwały:

— Sprawiedliwieś wkładał swe ręce między moje dłonie. Wiernie służysz. Godnie włodarzysz dziedzictwem Piotrowym. Jak klucznik Niebios o Boży troszczy się majestat, tak ty się troszczysz o nasz. Błogosławieństwo Boże nad tobą. Przecież nie należał już, aby papież udzielał Teodorze Stefanii nauki gry na organach. Ledwie wyprosił, by mogła co wtorku przyjeżdżać do Lateranu przysłuchiwać się grze Sylwestra Drugiego.

Przyjeżdżała dwukonnym rydwanem — niekiedy przynoszono ją w ulubionej Ottonowej lektyce. W drodze powrotnej zawsze towarzyszył jej ktoś z dworu papieskiego — zajmując przy niej miejsce w rydwanie lub krocząc obok lektyki. Aron przeczekał, aż Otto opuścił Rzym, po czym natychmiast przystąpił do wykonania powziętego zamiaru. Spokojnie rozważał każdy krok. Pierwszego wtorku po wyjeździe Ottona uprosił dworzanina, który miał tego wieczoru towarzyszyć Teodorze Stefanii, aby odstąpił jemu swoje przy niej miejsce: prośbę poparł cennym podarkiem, maścią na oparzenia. Dostał ją w szkole w Reims od Rykiera: przez pięć lat starannie przechowywał pamiątkę wspólnego przesiadywania w jednej ławie — teraz rozstawał się z nią bez żalu. Wprawdzie zimnym oblewał się potem na myśl, że dworzanin może okazać się gadułą, wszystko wyjdzie na jaw i dojdzie do papieża, który srodze się pogniewa, ba, może oddali go od siebie; przecież pocił się, trząśł się, nawet płakał, ale zaciskał zęby i robił, co zamierzył. Z przyjaźni do Tymoteusza tak daleko posunął się w swym zuchwalstwie, że po raz pierwszy, odkąd opuścił Anglię, zrzucił z siebie mniszy strój i włożył coś nieprzystojnie, jak mniemał, barwnego.

Teodora Stefania powoziła sama. Podziwiał siłę i sprawność, z jakimi jej ręce panowały nad parą olbrzymich, ognistych, krwistych rumaków. Znakomicie prześlizgiwała się w ciemności poprzez najwęższe nawet uliczki, umiejętnie wymijała rzadkich przechodniów i jeszcze radsze wozy. Uczuł, że ogarnia go wzruszenie, wstrząśnął

nim dreszcz niepokoju. Zapytywał siebie, czy jest to wyłącznie niepokój o sprawę przyjaciela, troska o to, by udał się zuchwały zamiar. Wzmożone bicie serca, gwałtowne tętnienie w skroniach stawały się szeptem ujawniającym mu własne najskrytsze tajemnice. Nagle ścierpnięte stopy tysiącami igieł wymuszały przyznanie się, że dla siebie, nie dla Tymoteusza, zamienił mnisze sandały na ciasne, spiczaste trzewiki. Cóż bowiem przedsięwziął? Co osiągnął? Czyż nie snów chłopięcych radosne urzeczywistnienie? Czyż to nie Pentesilea, królowa Amazonek, stoi obok niego na wozie bojowym? Ręka jej nie drga końmi kierując — nie drgnie, gdy ciśnie śmiercionośny grot w Antylocha, Nestorowego syna! On, Aron, wie, on to czuje, gdy o jego otrze się rękę, po nowe sięgając groty!

— Widziałam już ciebie kiedyś.

Po raz pierwszy z tak bliska słyszy jej głos. Głos, którego nie umiał sobie wyobrazić, jak tylko mówiący: „Chce mi się spać”. Pragnąłby jej odpowiedzieć: „Widziałem ciebie tyle, tyle razy, marząc na jawie i śniąc”. Odpowiada:

— Widziałś mnie, dostojna pani, na murze Leonowym w dniu zdobycia wieży Teodoryka przez przesławne wojska cesarskie. Stałem obok obecnego naszego Ojca Najświętszego, na lewo od ciebie. A po prawej twój rękę stał Tymoteusz.

Cieszył się. Niezmiernie się cieszył, iż oto kłamały stopy ścierpnięte i skronie tętniące, i serca gwałtowne kołatanie. Dla Tymoteusza tu jest, nie dla siebie. Przyjaźń czysta młodzieńczego wieku postawiła go na tym rydwanie, nie chłopięce sny. I cieszył się, że tak zręcznie mu się udało skierować rozmowę na to, co najważniejsze. Zaiste, najważniejsze — nieprawdaż, Aronie? Martwiło go tylko, iż ból musiał jej zadać przypomnieniem straszliwego dnia. Niepokoił się, czy ta niezręczność nie zrazi jej do niego, nie przetnie rozmowy, nie zmarnuje udanego początku.

— W dniu stracenia zdrajcy Krescencjusza, powiadasz? Tak, przypominam sobie, stał wówczas ktoś obok mistrza Gerberta. Ale twarzy owej nie zapamiętałam dobrze. Zresztą za ciemno jest teraz, bym cię od razu poznała.

Prawdę mówi: za ciemno jest teraz. Za ciemno, by Aron mógł dostrzec, co tało się w jej oczach, gdy wspomniała o straceniu zdrajcy Krescencjusza! Doznał przecież uczucia ulgi niewysłowionej, choć nie mogła nie wstrząsnąć nim zgroza. Kanclerz Herybert mówił kiedyś papieżowi w obecności Arona, iż wedle Jana Teofilakta Teodora Stefania miała gorąco miłować swego urodziwego małżonka. Jakże błędzą Herybert i Jan Teofilaktos! Oczywiście ona miłuje tylko Tymoteusza. Ale czyżby doprawdy nie dosłyszała, jak Aron wymienił imię Tymoteusza? Powtórzył więc z naciskiem:

— A po lewej twej ręce, dostojna pani, stał Tymoteusz. Tymoteusz Tuskulańczyk.

— Któryż to Tymoteusz? — rzuciła niedbale, ściągając lejce, by wyminąć ciągniony przez woły, naładowany beczkami wóz.

Nie ufa mu. Nie chce się zdradzić. Ani się domyśla, że on wie wszystko. Wszystko! Jak doskonale kieruje sobą — zaprawdę nie gorzej niż końmi.

— Który Tymoteusz, pytasz, dostojna pani? Ależ ten, tak dobrze ci znany, bratanek Jana Teofilakta, wierny towarzysz wygnania Ojca Najświętszego, Grzegorza.

— Czekaj! — zawołała — wysoki, złotowłosy, taki urodziwy, takie piękne miał zęby? Więc to on stał wówczas na murze, powiadasz?

Zaśmiała się.

Aron kurczowo chwycił się za poręcz na przedzie rydwanu. Byłby wypadł, gdyby się nie chwycił, tak nieostrożnie się poderwał na dźwięk jej śmiechu. Nie, tak dalej być nie powinno. Musi mu zaufać — niepotrzebnie się wysila, by pokryć śmiechem wzruszenie swej duszy. Wie przecież wszystko — przysięga jej, że wie wszystko.

— Co wszystko? Co ty wiesz? O czym mówisz, dziwaczny człowieku? — pytała zdziwiona nie przestając się śmiać. A przecież poprzez śmiech prześlizgiwał się wyraźny niepokój, wyraźne zmieszanie. Ów niepokój i owo zmieszanie ośmielały Arona, mówił coraz pewniejszym głosem coraz bardziej się zapalając:

— Wszystko wiem, powiadam. Wiem, że Tymoteusz miłuje ciebie, a ty jego, dostojna pani. Wiem, że od pięciu blisko lat tęskni za tobą

i czeka na ciebie, żeś mu obiecała siebie w noc straszliwej zabawy w kościele Świętego Wawrzyńca, żeś mu dała w dniu wygnania zieloną chustkę, że z myślą o tobie walcząc stracił piękne zęby, o których raczyłaś wspomnieć, że Ojciec Najświętszy, Grzegorz, w nagrodę za wierność obiecał mu ciebie jako ślubną żonę i Pan Cesarz potwierdził tę obietnicę, zanim... zanim... zanim...

Głośny szloch zdławił dalsze słowa. Z oczu trysnęły mu łzy. Teodora Stefania tak gwałtownie szarpnęła lejce, że konie omal nie wyróciły rydwanu. Jeszcze okamgnienie, a byłaby kwadryga wpadła na ciągnące wóz z winem woły.

Czuł jej oddech tuż przy swojej twarzy. Czuł zapach jej skóry. Wysuwające się spod czepca włosy muskały jego policzek. I choć nie było jaśniej niż przedtem — dobrze widział jej szeroko rozwarte oczy, dokładnie czytał w jej spojrzeniu. Patrzyła na niego jak na szaleńca.

Słuchała go też jak szaleńca. Raz po raz przerywała mu to śmiechem, to krzykiem gniewnym, nieomal wzgardliwym, ale częściej zdumionym i rozbawionym. Ale pozwoliła mu wypowiedzieć wszystko. Wysłuchała uważnie. Więcej, dała mu się przekonać. Dobrze, spotka się z Tymoteuszem.

— Cóż to za dzieci! — wołała co chwila, trzaskając biczem. — Obaj dziwacy, obaj szaleńcy! Stracił zęby, powiadasz?

— W następny wtorek zaraz po modłach u Maryi w Ozdobach przyjdź do świątyni Fortuny — powiedział nazajutrz Aron Tymoteuszowi. — Koniecznie przyjdź. Nie przyjdiesz, pożałujesz ogromnie.

W następny wtorek znowu należało coś dać dworzaninowi za ustąpienie miejsca przy Teodorze Stefanii. Aron nie bez westchnienia wy dostał srebrny łańcuszek, dar króla Etelreda dla najlepszych uczniów glastonberyjskiej szkoły. Inny to był już dworzanin, a przecież uśmiechał się znacząco: widocznie tamten już zdążył nagadać coś złośliwego o Aronie — nie inaczej.

Zapadający wieczór zastał Arona w kolumnowej galerii starego laterańskiego pałacu, który Konstantyn Wielki odebrał swej żonie Fauście i podarował Sylwestrowi Pierwszemu. Przez na wpół

uchylone drzwi lało się na galerię silne żółte światło oliwnych lamp: lały się też miękkie, słodkie, choć raczej smutne tony organów. Aron raz po raz zaglądał w zniecierpliwieniu poprzez szparę w drzwiach: kiedyż to się wreszcie skończy? Światło czterech czy nawet sześciu lamp padało wprost na Teodorę Stefanię przedziwnie złocąc bujne jej włosy i włosie lamparcich skór, na których leżała uniósłszy wysoko wspartą na dłoniach głowę. Obok lewego jej łokcia leżały długie, złoto tkane rękawice, silniejszym blaskiem odbijające od lamparczej skóry. Po prawej jej ręce, w miękkim, niskim krześle siedział Hugo, margrabia Tuscji. Opodal stał Jan Teofilaktos. Z krótko ostrzyżonej głowy raz po raz zsuwał mu się laurowy wieniec. Pozbawiony wspaniałych rudych kudłów stryj Tymoteusza wydawał się Aronowi śmieszny, aż żałośnie śmieszny. Natomiast wyciągnięta na skórach Teodora Stefania, dziwnie jakoś większa niż zawsze, wydawała się niepokojąca, niesamowita, prawie straszna.

Nareszcie skończyło się! Sylwester Drugi podniósł się sponad organów. Teodora Stefania zręcznie uniosła się na łokciach, potem na dłoniach, wstała, zbliżyła się do papieża, uklękła przed nim, ucałowała w rękę. Potem poprawiła włosy. Długo naciągała aż po łokieć sięgające rękawice. Wreszcie nie spiesząc się ruszyła ku drzwiom.

Wieczór był znacznie mniej ciemny niż poprzedniego wtorku. Skądś od strony bazyliki Świętego Wawrzyńca wynurzał się bliski już pełni księżyc. Teodorę Stefanię niesiono w lektyce — Aron z trudem nadążał za krokiem czterech olbrzymów, którym towarzyszyli jeszcze dwaj, widocznie dla zmiany, gdy któryś z tamtych czterech nazbyt się zmęczy.

Jeden z owych dwu niósł latarnię. Aron podziwiał zapobiegliwość Teodory Stefanii: gdyby przyjechała rydwanem, mógłby być kłopot z końmi. Aron nie umiałby sobie z nimi poradzić: brykałyby, może rżały, zwróciłyby na siebie uwagę przechodniów. Nie mógłby przy tym odejść od nich ani na chwilę, a przecież trzeba było zaprowadzić Teodorę Stefanię aż do miejsca, gdzie czekał Tymoteusz. Ale nagle ogarnął go niepokój: przecież owych sześciu, to straszliwe niebezpieczeństwo dla tajności spotkania! Od nich cały dwór

awentyński dowie się, gdzie zboczyła Teodora Stefania wracając z Lateranu. Jak mogła o tym nie pomyśleć! Nachylił się nad lektyką i szeptem podzielił się z nią swoimi obawami.

— A cóżeś ty myślał? — zawołała zdziwiona. — Mniemasz, że ja sama nie powiem Panu Cesarzowi o tym zabawnym spotkaniu z miłym chłopcem Tymoteuszem?!

Zaśmiała się. Ale wnet potem dodała z przyjaznym, choć nieco złośliwym uśmiechem:

— Widzę, żeś bojaźliwy. Ale nic się nie bój. Przecież oni są niemi. Nie od razu zrozumiał.

— Mają ucięte języki. Pan Cesarz nigdy i nigdzie nie używa innych do noszenia lektyki. Gdzieżeś się chował, że o tym nie wiesz? Wszak to jeńcy z wojen słowiańskich. Pięciu. A szósty, ów, co niesie latarnię, to miejscowy, żeby tamtym drogę wskazywał. Pewnie syn jakiegoś dzierżawcy, co obroku na czas nie wniósł.

I znowu się zaśmiała.

Najważniejsza sprawa przestała nagle być najważniejsza. Z taką niecierpliwością, w takim podnieceniu oczekiwał Aron chwili, gdy nareszcie spotkają się Tymoteusz i Teodora Stefania. Tyle w to dzieło włożył serca. Osiągnął: spotkali się. A przecież przez całe dwie godziny, gdy mówili z sobą, nie o nich myślał. Daleko był od nich. Był przy tamtych sześciu — i przy wszystkich jeńcach wojennych wszystkich czasów i na całym okręgu ziemskim. Był przy synach dzierżawców, którzy na czas nie wnieśli obroku. Przy wszystkich, którym tak łatwo odjąć języki, by nie mówili — przetknąć uszy, by nie słyszeli — wyłupić oczy, by nie widzieli.

Gdzieś daleko szczekało żelazo. Widocznie jakiś wojownik otarł się kolczugą o kamienny słup przy wejściu do kościoła Maryi w Ozdobach. Ale Aronowi zdało się, że słyszy szczęk napierśnych puklerzyków kolczugi, o które uderzał ongiś dłonią Grzegorz Piąty wołając poprzez łyż: „Wojna wojnie!”

Dopiero gdy Teodora Stefania wyszła z wnętrza świątyni Fortuny, przypomniał sobie o niej i o Tymoteuszu. W ręku trzymała latarnię, którą wychodząc z lektyki wzięła z rąk niemowy. W słabym świetle

latarni ujrzał Aron łyzy połyskujące na zarumienionych policzkach.

— Owe łyzy to większa obelga niż śmiech — płacząc skarżył się przyjacielowi Tymoteusz. Bo to nic, że wychodziła ze łzami, choć przyszła ze śmiechem. Owszem, łyzy już żadnej nie zostawiały nadziei, gdy zaś śmiała się, łudził się jeszcze.

Śmiała się, kiedy jej powiedział:

— Witaj, nareszcie przyszłaś.

Śmiała się, gdy odpowiedziała mu:

— Witaj, ten dziwak powiada, że pięć lat na mnie czekasz.

— Czekam. Kazałaś czekać rok. A ja wiernie czekam pięć.

— Na co czekasz, dzieciaku cudaczny? Skłamał, skłamał, wcaleś nie stracił zębów... Takie piękne jak dawniej... A może wszystko skłamał?

Nie, szybko przekonała się, że Aron nie kłamał. Oplótszy skronie dłońmi, uważnie słuchała potoku gorączkowych, żarliwych słów. Jak Aronowi w rydwanie, raz po raz przerywała to śmiechem, to okrzykiem nierzadko gniewnym i nieomal wzgardliwym, ale częściej szczerego pełnym zdumienia, a nawet szczerzej, choć rozbawionej tkliwości. Zrazu wyrywała mu swą rękę, potem sama ścisnęła jego dłoń, nawet głaskała go po włosach. Dzieciuch, taki dzieciuch! Wierc papież i cesarz obiecali mu ją za ślubną żonę? A czy on nie pomyślał, że ona może by wolała skoczyć ze Skały Awentyńskiej lub Tarpejskiej, niż pójść z nim do ślubnego łoża? Nigdy o tym nie pomyślał, nieprawdaż? Oczywiście, ona żartuje teraz, wcale by nie miała powodu, by skakać ze skały, przecież z niego taki miły, taki urodziwy chłopak — ale jakże doszło do tego, iż sobie ubrdał, że go miłuje, że pragnie być jego małżonką? Dała mu zieloną chustkę — uchyliła zielonej sukni i dała podbicie do pocałowania? Bo bawiły ją i radowały jego oczy płonące, takie śliczne oczy — doskonale je sobie zapamiętała, jak pożerały rozognionym wzrokiem podbicie sąsiadki w łańcuchu tanecznym — wówczas u Świętego Wawrzyńca, pamiętasz? Ona wszystko pamięta, wszystko — pamięta, że mu śmiejąc się wesoło obiecała siebie, jeśli przez rok jej dochowa wierności... I gdy dawała mu chustkę, wierzyła, że dochował... wiedziała, że dochował... I nie tylko bawiło ją to, ale

wzruszało, rozczulało, napawało dumą — i nieraz, gdy był na wygnaniu, wspominała go i po jego powrocie dotrzymałaby obietnicy, gdyby... gdyby nie...

— Gdyby nie zabrał mi ciebie Pan Cesarz — ponuro, głucho powiedział Tymoteusz.

Zabrał ją Tymoteuszowi? Zaśmiała się znowu — tym razem wyraźnie wzgardliwie, umyślnie wzgardliwie. Nie wie, co przyrzekali papież i cesarz Tymoteuszowi — z nią nikt o tym nigdy nie mówił. Ale czemuż to nie łaskaw Tymoteusz zastanowić się, że to nie ją zabrano, ale może ona zabrała Pana Cesarza wszystkim księżniczkom, wszystkim królownom okręgu ziemskiego? Czyż jeno miłowania wyrostków tuskulańskich jest warta? Tak to ją, niby wysoko, ceni Tymoteusz! Chciał z nią w świat szeroki uciekać? Zaszyć się z nią w dzikie puszcze słowiańskie?

— Dzieciaku miły, Pan Cesarz Rzym opuszczając palce rąk i nóg moich całował, bym z nim w świat szeroki pojechała — zostałam! Córa Rzymu miałyby po germańskich pętać się puszczach? Oddychać cuchnącym powietrzem zadymionych, drewnianych bud, które Niemcy zamkami zowią? Mdłości dostawać z piwa i mięs na wstrętnym łoju bydlęcym smażonych? Nie widzieć słońca, co złoci cyprysy i kolumny? Nie widzieć synka?

— Synka wzięlibyśmy ze sobą.

Odkąd usłyszała te słowa, już się nie śmiała. Przyjaźnie głaskała go po włosach, po policzku, po ustach. Nie, dla niej świat szeroki zobaczyć — to gnać czwórka przeciw wichrowi jesiennemu po drodze Appijskiej, zanurzyć stopy w Jeziorze Albańskim i wracać, powoli wracać do Miasta, swojego Miasta — Miasta, z którym nic się nie zrówna na całym okręgu ziemskim. Nie nadaremnie barbarzyńcy tak ciągną i ciągną ku jej Miastu — końca im nie masz!

— Chłopaku miły, toś całe pięć lat był wierny myśli miłosnej o mnie? Czemużeś mnie wcześniej nie odszukał? Dawno bym cię z przyrzeczenia wierności zwolniła. Taki piękny, tyle kobiet po nocach za nim wzdycha, a on jak mnich marnuje swoją młodość... Chcesz, bym cię w oczy zaraz pocałowała? W usta wierne? Czemu się

odsuwasz? Cóż z ciebie za dzieciak?!

Przysunęła się do niego. Wcisnęła mu swą dłoń pod ramię. Uśmiechając się przyjaźnie mówić zaczęła o siostrze ciotecznej Krescencjusza, która wciąż i wciąż ją nudzi westchnieniami, że tak bardzo by chciała pójść do łoża z pewnym młodym hrabią tuskulańskim, bratankiem Jana Teofilakta... Nigdy nie pomyślała, że to o nim, o Tymoteuszu, tamta wciąż mówi — ależ oczywiście o nim, nie o Grzegorzku przecież, ponurym i szpetnym! A jaka śliczna to dziewczyna — spała kiedyś z Teodorą Stefanią...

— Uwierzysz, Tymoteuszu? Napatrzeć się dość nie mogłam jej ciała — ja, kobieta... Czemu się odsuwasz, dziwaku?

Długo mówiła z nim, a im dłużej, tym serdeczniej, tym szczerzej — jak gdyby bratem jej był, powiernikiem zaufanym. Od lat dziecięcych, nie zaś kimś, prawie obcym zupełnie, z kim dwa razy tylko mówiła, a ostatnio przed czterema laty. Martwiła się przyszłością swego synka. Gdy podrośnie, Pan Cesarz chce dać mu urząd dostojny, ale daleko, w jakiejś Pawii — a on przecież wnuk i prawnuk Patrycjuszów Miasta. Za nic, za nic nie pozwoli go zabrać z Rzymu! Gdybyż cesarz słuchał jej we wszystkim — ale on, on słucha i papieża, i Heryberta, i Dediego, i Hugona... A nikt takiej wiernej jak ona nie da mu rady... nikt tak o nim nie myśli...

— Nawet by Krescencjusza nie tracił, nie umiałaś mu doradzić — rzekł Tymoteusz opryskliwie.

Drgnęła wsunięta pod jego ramię ręka. Drgnęła oparta o jego stopę stopa. Ale szybko się opanowała. Z głębokim westchnieniem szepnęła, że chciała ocalić Krescencjusza, ale Pan Cesarz wytropił zdradę i w gniew wpadł ogromny. Cierpiała bardzo, dziś jeszcze płacze nieraz, wspominając małżonka, ale nie może nie przyznać, że Pan Cesarz ma prawo, nawet obowiązek, tropić i karać zdradę. Znowu westchnęła.

— Wiem dobrze, jakaś mu wierna... Widziałem, jakieś krzepiła go uśmiechem, gdy tamtych... tracono...

Chciał powiedzieć — mordowano, ale nie zdobył się, żal mu się jej zrobiło.

Z czułością patrzyła w jego wierne oczy. W bolejące oczy. Nie, niech nie myśli o niej źle, niech nie mniema, że śmiesz ją swoim miłowaniem. Bolesna to sprawa miłowanie, trudna! Gdybyż Tymoteusz wiedział, jak trudno czasem Ottona miłować... On też taki dziwny. Inaczej dziwny, ale dziwny! W łóżu nieraz aż straszno przy nim — to śmieje się dziko jak szaleniec, a kiedy indziej znowu płacze. Albo krzyczy, pianę ma na ustach. Przez sen też krzyczy i płacze. Nierzadko bije ją, odpycha, powiada, że mu łaskę zbawienia wiecznego wydziera... Albo pada do nóg i stopy jej całuje — ze łzami woła, że tak bardzo jest szczęśliwy. Całe miłowanie jego takie dziwaczne; słusznie, jakże słusznie ktoś Jej powiedział, że myślą miłuje Otto tak, jak gdyby czternaście miał lat, nie dziewiętnaście — a ciałem, jakby miał siedemdziesiąt.

— Któż to powiedział?

— Nie pamiętam. Może Krescencjusz.

Znów drgnęła oparta o jego stopę stopa. Ale on też drgnął. Takie dziwne utkwiała w nim spojrzenie. W oczach jej błysnęły łzy. Zmieniła się cała na twarzy. Nagle opuściła oczy. Rozchyliła pełne, wilgotne wargi, ale zęby miała mocno zaciśnięte. Głucho wycedziła, że lubi go ogromnie... że bliski jest jej duszy bardzo... bliski przez tę swoją wierność... Nie chce, by zdręczał się miłością do niej. Że jeżeli jej przysięgnie, przysięgnie na świętego Tymoteusza, na pamięć swojej matki, iż nikt nigdy od niego się nie dowie... i nadto przysięgnie, że nigdy, nigdy więcej tego samego od niej nie zażąda, to ona...

Urwała, odsunęła się od niego i nadal nie patrząc mu w oczy, wyrzuciła z siebie wszystko, że dobrze rozumie, na co siebie naraża, jeśli on nie dochowa tajemnicy, ale ona ufa mu i chce za wierność odwdzięczyć się wiernością. Wiernością słowu, jakie dała mu wówczas o świcie koło kościoła Świętego Wawrzyńca.

Tymoteusz także nie patrzył na nią. Tak jak ona miał zaciśnięte zęby, gdy ucałował ją w rękę i wycedził, że niech się niczego nie boi, on jej nie zdradzi. Nigdy nie zdradzi. I istotnie, gdy płacząc, gdy waląc się pięściami po twarzy, powtarzał swoją z nią rozmowę Aronowi, nie wcześniej dokończył opowiadania, aż uzyskał od przyjaciela

straszliwą przysięgę na zbawienie duszy rodziców, iż nigdy, nigdy nikomu nie opowie, co teraz usłyszał. Bo jemu, Aronowi, nie mógł nie powiedzieć — nie mógł. Tym więcej, że Aron dodał z drzeniem w głosie i łzami w oczach: — A nadto ci przysięgam na zbawienie duszy mistrza Gerberta.

Ale poza zapewnieniem, że może mu zaufać, nic nie odpowiedział Tymoteusz Teodorze Stefanii. W świątyni było tak cicho, że rozgłosne się wydawało szczęknięcie zębów i syk oddechu. Jej zębów, jej oddechu — jego zębów, jego oddechu. Podniosła się. Głuchym, niskim głosem powiedziała, że słowa danego dotrzyma, kiedy on tylko zechce, każdej chwili dotrzyma. Kiedy tylko zażąda, zjawi się na spotkanie z nim. Ale na jedno jedyne spotkanie. Tak, jak przyrzekła. Bo o jednym, jedynym myślała spotkaniu — wówczas o świcie koło kościoła Świętego Wawrzyńca.

Ale on nigdy nie zażąda. Nigdy. — Słyszysz, bracie Aronie? Nigdy! — Dziwakiem jest, dzieciuchem, głupcem, tak, może głupcem w oczach Miasta całego i świata, gdyby wiedziały, ale nigdy, nigdy nie będzie trwonił dla zachcianki rozpustnej kobiety owej mocy cudownej, jaka poprzez wysiłek i ból lat całych nagromadziła się w nim, przedziwnie przemieniając jego duszę, takim potężnym go czyniąc i swobodnym, tak niepojęcie bogacząc i kształcąc jego myśli! Nigdy, przenigdy.

I istotnie nigdy nie zwrócił się Tymoteusz do Arona, by mu dopomógł ponownie spotkać się z Teodorą Stefanią. I nigdy już więcej Teodora Stefania, z którą coraz częściej widywał się Aron w Lateranie, nie zapytała go o Tymoteusza.

Przyjaciele znów nie widzieli się z sobą blisko pół roku. Kiedy zaś spotkali się, Tymoteusz mówił już tylko o sprawach gospodarstwa tuskulańskiego. Nawet się nie zająknął o Ottonie, o jego uniesieniach pobożnych, o zamiarach zamknięcia się w klasztorze lub pustelni. Aron zaś koniecznie chciał wszcząć rozmowę o Teodorze Stefanii. Od miesięcy całych nie dawała mu spokoju myśl, że może jednak ci dwoje spotykają się ze sobą, ale umyślnie tak, by on, Aron, nic o tym nie wiedział. Długo kołował, wreszcie rzucił uwagę, że podobno Pan

Cesarz odwiedził Bolesława Pierworodnego i długo, żarliwie modlił się u grobu swego przyjaciela, świętego męczennika Adalberta. Dorzucił też pytanie, czy Tymoteusz jak dawniej sądzi, że Otto właśnie przy grobie przyjaciela chce doczekać się głosu trąb archanielskich. Mówił o tym swobodnie i lekko, Sylwester Drugi bowiem go zapewnił, że bezpodstawne, ba, wręcz bzdurne są pogłoski, iż właśnie w dochodzącym połowy już swej roku spłynąć ma na chmurach na ziemię Syn Boży z sądem i mieczem. — Oczywiście, każdej chwili zstąpić może Syn Boży — tłumaczył Aronowi papież. — „Nie wiecie dnia ani godziny”. Ale żadnego nie masz powodu, by spodziewać się dnia sądu w tym roku raczej niż w jakim bądź innym. Przeciwnie, dalej może dziś jesteśmy niż kiedy bądź od zjednoczenia się całego okręgu ziemskiego w jedną owczarnię i pod jednym pasterzem. — Ileż bo to pasterzy jest dzisiaj — uśmiechał się Sylwester Drugi. — Nasz Wieczny Cesarz, który siebie za część majestatu Bożego uważa. I Pantokrator Wschodu. I tylu królów chrześcijańskich, co ani jednego ani drugiego cesarza za władcę swego nie uznają. A iluż pogańskich jest królów; i iluż biskupów zwierzchności świętego Piotra uznać nie chce! Nie, nie masz jedności ni owczarni, ni pasterzowania, a jedność owa to konieczny warunek powtórnego zejścia Syna Bożego. Mówisz, że tysiąc lat minęło. Ale cóż to jest owa tysiączka, synu? Że trzy znaki jednakowe obok siebie się pisze? Ale przecież to ludzie sami wymyślili sobie znaki, jakimi liczby różne oznaczają! Dla Mądrości Bożej żadnego te cyfry nie mają znaczenia. Wszak dla niej tysiąc lat to tyleż, co trzecia część czy piąta jednej lub drugiej godziny! I zechciej pojąć, synu mój — z powagą ciągnął Gerbert — że choć Bóg duchem jest czystym, o tyle duch ten potężniejszy jest od wszystkiego, co stworzył, że niech jeno pomyśleć zechce o jakiej wielkiej przemianie w losach okręgu ziemskiego, na długo by już przed tą przemianą w całej naturze ruch niezwyčajny się wszczął — gwiazdy by innymi poszły drogami i słońce by zgasło, i księżyc począł biegać po niebie jak rumak oszalały, i wichry by inaczej dęły — a nic takiego się nie dzieje. Ja już od roku blisko, odkąd pierwsze takie doszły mych uszu pogłoski, noc w noc przesiaduję przy swej rurze w niebo utkwionej,

zurze, co lepiej widzi niż wzrok wszystkich mieszkańców ziemi na raz — i żadnych nie widzę na niebie zmian. Ale to nic nie szkodzi, że na ludziska niemądre strach padł, mniej grzeszyć będą — zakończył papież z uśmiechem.

Aron zawiódł się bardzo, nacierając na przyjaciela pytaniem o Ottona. Tymoteusza zupełnie, zdawało się, nie obchodziły nadzieje cesarza, iż przy grobie męczennika Adalberta lżej mu będzie powitać dzień Sądu Straszliwego. Zauważył tylko, że pobyt Ottona w księstwie polskim osłabi ogromnie nadzieje Bolesława Lamberta na powrót do ojcowskiego dziedzictwa.

— Żałujesz tego, nieprawdaż? — skwapliwie zapytał Aron. W głosie jego drgało rozdrażnienie, odczuł przyływ nowej fali zazdrości o przyjaźń Tymoteusza z księciem polskim.

— I żałuję, i nie — odpowiedział Tymoteusz zakładając nogę na nogę. — Jesteś gaduła — uśmiechnął się — ale lubię ciebie, więc ci powiem, co myślę, tym bardziej, że się nie boję niczyjego gniewu. Jestem Rzymianinem i jak wszystkim Rzymianom zbrzydli mi Sasi. Cieszę się więc, gdy gdziekolwiek ktokolwiek wali Sasów w łeb. Mówiłem ci już kiedyś, że ów patyk, który Sasi dla Słowian wystrugali, należałoby w rękę wziąć, a nie jeździć na nim. Tymczasem Pan Cesarz dziś Bolesławowi Pierworodnemu jeszcze ostrogi lśniące do nóg przywiązuje, by mocniej uwierzył, iż na koniu jeździ, nie na patyku. Nierychło więc się doczekam, by Bolesław Pierworodny do ręki patyk przełożył. Dlatego żałuję, że oddała się od Bolesława Lamberta dziedzictwo ojcowskie, bo tyle się już w nim goryczy nazbierało, że łatwiej takiego niż kogoś świeżo obdarowywanego przekonać, iż oszukują go Sasi. Ale że Bolesław Lambert tak czy inaczej tylko dzięki Sasom może wrócić na dziedzictwo ojcowskie, ostatecznie obojętne mi, kto będzie na owym patyku hasał. Bywaj zdrów!

Aron długo nie mógł wyjść z podziwu myśląc o przyjacielu. Tymoteusz zdawał się rósć, krzepnąć, kwitnąć nie tylko dojrzewającą wspaniałą młodością, ale też bystrością i powagą myśli. Każda kolejna rozmowa coraz bardziej utwierdzała go w tym przekonaniu.

Zaczynał czuć się niedorostkiem wobec Tymoteusza — niedorostkiem, który mało co rozumie poza tym, co wyjaśnił mu nauczyciel lub co przeczytał w książce starannie przez nauczyciela wybranej

Ale zarazem zaczynał niepokoić się o Tymoteusza. Takie słowa, takie myśli o Sasach mogą zrodzić przeciw czyny, które najłatwiej, najprędzej zgubią samego Tymoteusza. Że niezupełnie płonne były te obawy, Aron przekonał się w bardzo niedługim czasie. Kiedyś papież swoim zwyczajem zaskoczył go pytaniem:

— Czy nadal przyjaźnisz się z Tymoteuszem?

Aron zarumienił się i wymamrotał, że Tuskulańczyk odwiedza go bardzo rzadko, coraz rzadziej.

— Lepiej by może dla ciebie było, by wcale nie odwiedzał — rzekł Sylwester Drugi — ale skoro go lubisz, gdy przyjdzie znowu, doradź mu, by pomyślał o swojej szyi.

Aron już otworzył usta, by opowiedzieć papieżowi, co Tymoteusz mówił o Sasach, ale nagle wyraziście nadzwyczaj stanął mu przed oczyma uśmiech, z jakim przyjaciel powiedział: „Gaduła jesteś”. Więc choć z wysiłkiem wielkim, powstrzymał się i zapytał tylko, czy Tymoteuszowi grozi jakieś niebezpieczeństwo.

— Czy grozi? — zawołał papież. — Sam go szuka. Pamiętasz, mówiłem ci o żebraku, który przejrzał. Powiedziałem wówczas, że lepiej dla niego, iż widzi, choć nie może już roić, jakoby był królem. Ale skoro ów żebrak zaczyna wymachiwać swym kosturem, szukając pomsty za swój zawód i ból na tych, co naprawdę berło dźwierzą w rękę, należy się obawiać, że straci nie tylko wzrok. Tak mu też powiedz. Możesz powiedzieć, że to ode mnie przestroga.

Aron dokładnie powtórzył Tymoteuszowi słowa papieża. Odpowiedź przyjaciela wprawiła go w takie zdumienie, że długo nie mógł przyjść do siebie. Wszystkiego by się spodziewał, ale nie tego, by Tymoteusz zaczął mówić o Teodorze Stefanii. Nie zaczepiony, nie proszony. Mówił swobodnie, spokojnie, tylko z większym, jak gdyby niż o czymkolwiek innym, natężeniem myśli.

— Pan Papież powiada, że żebrak przejrzał i że to dobrze? Chyba

dobrze. Ale czy naprawdę przejrzał? Czy widzi dobrze? Czy kiedykolwiek wszystko będzie dobrze widział? Oto uwierzyłem, że ona miłuje Ottona. Sama o tym przekonywała, mówiłem ci. A onegdaj powiada mi stryj Jan Teofilaktos: „Jeżeli sprawi ci to, durniu, jakąś pociechę, to wiedz, że ona wcale nie miłuje cesarza. Jednego tylko miłowała, swojego małżonka. I dziwić się jej trudno, bo taki mężczyzna, jakim był zdrajca Krescencjusz, to dla najurodziwszej kobiety skarb nad skarbami”. Nie rozumiem, co mię tknęło, alem powtórzył stryjowi ów czyjs sąd o Ottonie, że myślą miłuje, jakby czternaście miał lat, a ciałem jak starzec. Stryj aż z krzesła się zerwał. Groźnymi oczyma na mnie patrzył — groźnymi, a jak gdyby też i wystraszonymi: „Kto ci to powiedział?” Odrzekłem, że na mieście tak gadają. Przeszedł się kilka razy po komnacie spoglądając na mnie przenikliwie spod oka. Wreszcie mruknął: „Co tam, nic mnie to nie obchodzi, kto ci powiedział”. Potem usiadł znów na krześle, pomyślał chwilę i kiwając głową, rzekł:

„Tak, właśnie tak. A Krescencjusz, jak piętnaście miał lat, i myślą, i ciałem tak miłował, jakby miał trzydziestkę. A gdyby siedemdziesięciu dożył, nie inaczej by miłował”.

Powtarzając Aronowi rozmowę ze stryjem, Tymoteusz tak się przechadzał po komnacie, jakby był Janem Teofilaktem. Chodząc, wciąż mówił o Teodorze Stefanii. Zastanawiał się na głos, czy stryj mógł powiedzieć prawdę. Bo jeżeli miłowała nade wszystko męża — co wiązało ją z Ottonem? Strach, iż głowę jej ukręcą, jak mówił Ekkehard? Nie, nie wygląda na bojaźliwą — czyż sama nie napomknęła mu, iż stać ją, by rzucić się ze Skały Awentyńskiej lub Tarpejskiej, gdyby zmuszono ją, aby poszła do łoża z kimś niemiłym sobie? Chciała sobą zapłacić za życie Krescencjusza? Ale męża nazywa zdrajcą i powiada, że Otto miał prawo, a nawet obowiązek stracić go.

— Byłaby zresztą odeszła po straceniu Krescencjusza, gdyby tak miało być — wtrącił Aron.

— Słusznie powiadasz. Odeszłaby lub ze Skały Tarpejskiej się rzuciła. Nie bałaby się. Ani Ottona na ziemi, ani demonów w piekle.

A przecież pozostała przy Ottonie.

— Może o synka się troszczyła. Tymoteusz przystanął.

— O synka, powiadasz?

Podszedł do Arona prawie tak blisko, że wyhaftowaną na szacie podobizną kolumny prawie dotykał jego piersi.

— Widzisz, bracie — rzekł wolno z trudem wyraźnym każde wypowiadając słowo. — Gdyby nie była kobietą rozpustną, to choć z Rzymu nogą nie chce nigdy ruszyć, uciekłyby ratując synka aż w puszcze słowiańskie, a do łoża by Ottona, niemilego sobie, nie weszła. Przecież zna mnie, mogłaby tak ze mną w puszczy rok na bezludziu mieszkać, i dwa, i dziesięć, a gdyby rzekła: „Nie tknij mnie”, nie tknąłbym.

Zmienił przedmiot rozmowy. Z uśmiechem powiedział Aronowi, by podziękował za ostrzeżenie.

— Twój mistrz, nasz Ojciec Najświętszy, to zaiste wielki mędrzec. Bo któż jest mędrce? Ów, co najwięcej wie. A on nie tylko wie, kto gdzie kijem wymachuje, ale myślę, ba, wierzę, że wie nawet to o sobie, czego Bolesław Pierworodny nigdy o sobie nie będzie wiedział, póki mu ktoś mądry nie powie: oto wie, że sam także na patyku jeździ.

— Jak śmiesz tak mówić o Ojcu Najświętszym?

— Przecież ja go tylko chwale. I więcej jeszcze powiem: mniemam, że Ojciec Najświętszy jest jedynym człowiekiem na całym okręgu ziemskim, którego może stać będzie na to, że nie tylko z patyka zsiądzie, ale jeszcze Sasa na patyk posadzi, sam zaś na jego konia wskoczy. Więcej jeszcze, przekona Sasa, że nic się nie zmieniło: że papież nadal na patyku, Sas nadal na koniu.

Arona głęboko oburzało, że Tymoteusz tak po prostaku mówi o mistrzu Gerbercie, o namiestniku Piotrowym. Ale przypomniał sobie jego słowa niezadługo po powrocie Ottona do Rzymu. Miasto szykowało się do dnia święta Romulusa, które miało być obchodzone tak okazale, jak nigdy, odkąd Konstantyn Wielki stolicę cesarską nad Bosfor przeniósł. Z Lotaryngii zjechał sam Poppo, mnich stabłoński, wsławiony mistrz sztuki budowniczej — kierować miał wszystkimi

pracami nad przystrajaniem Miasta. Radosny nastrój potęgowało zbliżanie się ku końcowi tysięcznego roku — roku, który tyle budził trwogi wśród milionów, radosne zaś gorączkowe nadzieje wśród bardzo nielicznych. Otto prawie nie pokazywał się na Awentynie, dnie i noce spędzał u papieża. Lateran roił się od biskupów i opatów przybyłych z Saksonii, Frankonii Wschodniej, obu Lotaryngii. Gościem przecież najwspanialej podejmowanym przez dwór papieski był Arnulf Karoling, szczęśliwy współzawodnik Gerberta w walce o arcybiskupstwo w Reims. Z drżeniem przekraczał próg pałacu papieskiego: spodziewał się jak najgorszego przyjęcia od tyloletniego rywala, który tak niedawno jeszcze prześladowany, szczuty, ścigany przez klątwy, dzierży dziś złote klucze Piotrowe. Ale nim zdążył upaść papieżowi do nóg, ów już obejmował i całował najdroższego syna w czoło, w policzek, w usta. „Gdybyś mnie nie pokonał wówczas, nie uciekłbym do Ottona, nie rozmyślałbym go w sobie, nie byłbym dziś papieżem” — śmiały się przyjaźnie do Arnulfa oczy Sylwestra Drugiego. Ukląkł nawet przed dawnym rywalem i z nieudanym wzruszeniem prosił o przebaczenie, iż oto przez tyle, tyle lat poniewierał się Arnulf w więzieniu, wtrącony tam przez przyjaznego Gerbertowi króla Franków Zachodnich, Hugona.

Na ostatni dzień roku wyznaczono uroczystość wręczenia przez papieża Arnulfowi paliusza, poświęconego na grobie świętego Piotra. Przez na wpół uchylone drzwi Aron usłyszał, jak papież uzgadniał z cesarzem porządek uroczystości.

— Ale ja nigdy, nigdy nie zdobędę się na to — wołał Otto podnieconym, prawie gniewnym głosem — by włożyć pierścień na palec człowieka, który o tyle cierpień, o tyle poniżeń przyprawił mojego drogiego mistrza!

— Już mu wszystko zostało przebaczone — odpowiedział Sylwester Drugi.

— Bóg mu przebaczył, tyś mu przebaczył, ale ja nie, ja tak łatwo nie przebaczam! — coraz to bardziej unosił się Otto. Papież starał się go przekonywać łagodnym, spokojnym tonem. Aron usłyszał, jak Otto tupnął nogą. — Nie pozwolę, nigdy nie pozwolę ośmieszać świętego

majestatu cesarskiego! — krzyczał coraz to bardziej naderwanym, z szlochom wściekłości zmieszonym już głosem. — Nikomu nie pozwolę, nawet tobie! Wiem, wiem, wszystko wiem... Chcesz ośmieszyć mój majestat, by go poniżyć... by tym pięknie jaśniał majestat stolicy Piotrowej... Nie znasz mnie jeszcze, nie znasz... Nie włożę Arnulfowi pierścienia na palec. Rzekłem: nie włożę. Ani laską go nie dotknę. Rzekłem. Skończone. Jeśli chcesz, sam wkładaj mu pierścień na palec, obniż powagę ceremonii, majestat cesarski w niej udziału nie weźmie.

Zapadła chwila ciszy. Aron pomyślał, że cesarz niepotrzebnie się unosi, bo przecież ziemie arcybiskupstwa w Reims dostaje zwykle tameczny metropolita nie od cesarza, ale od innego pomazańca, króla Franków Zachodnich: w królewskie, nie w cesarskie dłonie wkłada swe ręce arcybiskup, królowi ślubuje wierność, król dotyka jego ramienia laską.

Po dłuższej przerwie rozległ się głos Sylwestra Drugiego.

Jak zawsze równy był i spokojny, a przecież Aron już tak dobrze znał swojego mistrza, że nawet z sąsiedniego pokoju nie mógł nie pochwycić uchem w tym głosie lekkiego, bardzo lekkiego, a jednak dużym wysiłkiem hamowanego wzruszenia.

— Twoja Cesarska wieczność każe mi włożyć Arnulfowi pierścień na palec? — Otto znowu tupnął nogą: — Wcale nie każę, tylko powiedziałem, że ja go nie włożę, jeśli więc nie ty, nikt go nie włoży i nie stanie się zadość kanonom. — Jako sługa wierny i pokorny Cesarskiej Wieczności — odrzekł z powagą Sylwester Drugi — nie będę mógł tego uczynić, dopóki Twoja Cesarska Wieczność nie oświadczy niedwuznacznie, iż uważa za rzecz słuszną, aby to namiestnik świętego Piotra wkładał pierścień na palec nowo mianowanego arcybiskupa. — Nie dręcz już mnie! — rozdzierającym głosem krzyknął Otto. — Taka to twoja wierna, pokorna służba? Oświadczam, co chcesz, oświadczam niedwuznacznie, oświadczam uroczyście, oświadczam przed obliczem całego świata... Chcesz może świadków? „Herbercie, Hugonie, Ademarze, Popponie, chodźcie tutaj, chodźcie prędzej, słuchajcie, com oświadczył niedwuznacznie,

oświadczył uroczyście temu oto miłemu, ale przebiegłemu mężowi, który chytrze myślał, że uda mu się poniżyć majestat cesarski, ale nie udało mu się... nigdy się nie uda...

Wówczas to przemknęły przez myśl Arona ostatnie słowa Tymoteusza o Sasie i papieżu, o koniu i patyku. Jeszcze większego nabrał podziwu dla kwitnącej mądrości przyjaciela. Podziw zaś ów wszelkie przekroczył granice, gdy okazało się, że wieść o oświadczeniu cesarza wstrząsnęła wszystkimi kościołami i klasztorami Rzymu tak potężnie, jak dawno już żadna wieść. Kluniacczycy wysypali się na miasto śpiewając radosne hymny i wznosząc gorące modły dziękczynne, przywołując błogosławieństwo Boże na papieża, na którego dotąd krzywym spoglądali okiem. Opowiadano później, że Otto miał żałować postanowienia, powziętego w uniesieniu, ale nie mógł się już cofnąć i pierścień włożył na palec Arnulfowi Sylwester Drugi. W klasztorze Świętych Aleksego i Bonifacego na Awentynie ścisk zrobił się niebywały: z całego Miasta i z okolic ściągali mnisi, by wyrazić podziw dla opata Leona, który przed trzema niespełna laty powiedział: „Dożyjemy, zobaczymy, iż nie będzie zuchwała ręka panów tego świata wtrącać się między święte obrzędy”. — Aleś się nie spodziewał, ojciec Leonie — rzekł z uśmiechem przeor od Świętego Pawła za Murami — iż przepowiednię twoją ziści ten sam właśnie mąż, na którego palec wówczas pan tego świata zuchwałym ruchem włożył pierścień arcybiskupów Rawenny!

Obchód święta Romulusa miał trwać około dziesięciu dni. Pogoda zrazu nie sprzyjała, wciąż powracały wichry zimowe przynosząc z sobą deszcz, a dwukrotnie nawet śnieg. Mistrzowie ceremonii chmurnymi oczyma spoglądali w chmurne niebo: każdy kończący się dzień coraz mniej pozostawiał im nadziei na uniknięcie gniewu cesarskiego. Zbierali się co kilka godzin, głowili się, jakby zaradzić nieszczęściu. Jan Teofilaktos zażądał od Tymoteusza czterystu beczek najlepszego wina: obdarowywał wszystkie klasztory domagając się w zamian jak najżarliwszych modłów o pogodę. Okazało się jednak, że modłów przeważnie nie odprawiano: niektóre

zaś klasztory wprost odsyłały wino. Zaniepokojony Jan Teofilaktos gorliwie dochodził przyczyn oporu; bez wielkiego trudu udało mu się ustalić, że większość opatów i przeorów szła tylko za wzorem klasztoru Świętych Aleksego i Bonifacego: tak wielki miał wpływ opat Leon, który stanowczo oświadczył, że święto Romulusa to święto pogańskie i najlepszym dowodem, jak mierzi Trójcę Bożą ów obchód, jest właśnie nagły nawrót zimowej pogody. Daremnie wykrzykiwał Jan Teofilaktos: — *Salus Rei Publicae suprema lex* — daremnie przedkładał łagodnie kanclerz Herybert: — Oddajcie, co cesarskiego, cesarzowi... — opat Leon spokojnie odpowiadał, że wszelkie imperia i republiki to zaledwie cień cienia majestatu Bożego i że jedynie Ojciec Najświętszy mógłby zmusić jego klasztor do zmiany postanowienia, wówczas jednak, on, Leon, pokornie, lecz stanowczo poprosi papieża o mianowanie nowego opata, sam zaś uda się do pustelni świętego starca Nilusa pod Gaetą. Oczywiście, dodawał Leon, jego wola jest nakazem wyłącznie dla klasztoru Świętych Aleksego i Bonifacego; nie obchodzi go, co postanowią inni opaci i przeorzy: nie podlegają mu i rozkazów ani nawet rad od niego nie otrzymują. Jan Teofilaktos przecież dobrze wiedział, że choć klasztor Świętych Aleksego i Bonifacego nie należy formalnie do kluniackiej wspólnoty, wszystkie należące lub ciężące do wspólnoty owej klasztory rzymskie widzą w Leonie najwspanialsze wcielenie ducha kluniackiego i więcej mu dają posłuchu niż samemu papieżowi. A choć Sylwester Drugi jak najzyczliwiej odniósł się do pomysłu Ottona, by wskrzesić obchód dni Romulusa — na pewno nie zechce dopuścić do wzburzenia, jakie by ogarnęło niewątpliwie klasztory Rzymu, gdyby Leon istotnie oddalił się do pustelni. Herybert doradzał wprawdzie, by skorzystać z oświadczenia Leona i zrezygnowawszy z modłów u Świętych Aleksego i Bonifacego prosić papieża, by wywarł nacisk na pozostałe klasztory; okazało się jednakże, iż nawet ten pomysł groził ostrym zatargiem. Po raz pierwszy wszystkie klasztory Miasta wystąpiły jednolicie: nawet te, które nienawidziły wspólnoty kluniackiej jako przeciwnego obyczajom ojców i dziadów nowinkarstwa, popierały tym razem kluniacczyków, ciesząc się, iż oto nadarzyła się okazja

dokuczenia Janowi Teofilaktowi i tym wszystkim dostojnikom Miasta, którzy poszli w służbę niemieckiego cesarza i uważanego za narzędzie cesarskie papieża. Opaci i przeorzy, którzy całą noc spijając dostarczone przez Tymoteusza wino kpili z cesarza i papieża, zjawiali się przed Janem Teofilaktem z bladymi twarzami i trzęsącymi się dłońmi, by głosem mocno przepitym oświadczyć, iż nie popełnią grzechu przeciw Duchowi Świętemu, modląc się o łaskę pogody na dni pogańskich uroczystości. Kluniacczycy zaś nie dotykali wina, odsyłali je, przychodzili trzeźwi, a jeśli niewyspani, to z modłów całonocnych, ale oświadczali to samo; kanclerzowi Herybertowi zaś dali do zrozumienia, że nawet rozkaz papieski nie zmieni ich postanowienia. Wedle bowiem przepisów ich wspólnoty słuchają rozkazu tylko opata klasztoru w Cluny. Niechże więc Ojciec Święty wyśle gońca do Burgundii, do opata opatów Odylona: oczywiście, opat kluniacki nie ośmieli się przeciwstawić woli namiestnika Piotrowego, ale do nich wola ta powinna dotrzeć nie bezpośrednio, tylko poprzez nakaz opata opatów. Nic ich nie obchodzi życzenie czy gniew władców świata tego; każdej chwili gotowi są męczeństwem dowieść, że słuchają jedynie rozkazów Świętego Piotra, ale stojąc na tak niskim szczeblu wiodących w niebo schodów mają sobie nakazane uznawanie za wolę Piotrową takiej tylko woli, która poprzez wszystkie kolejno schodzi do nich stopnie, żadnego nie omijając, a więc: święty Piotr — papież — opat w Cluny — oni. Rozgniewany Herybert zauważył, że wspólnota kluniacka wcale nie zawsze tak dokładnie przestrzega kolejności stopni, po których zstępuje wola Piotrowa, że opaci w Cluny częstokroć wydają podwładnym sobie klasztorom rozkazy bynajmniej nie uzgodnione poprzednio z Ojcem Najświętszym. Odpowiedzieli mu, że na tak niskim stojąc szczeblu wiodących w niebo schodów, poczytaliby sobie za grzech śmiertelny pychy szatańskiej przyglądanie się temu, co się dzieje na wyższych stopniach: nie godzi się im wprost o tym mówić, nawet myśleć. Nie grożą bynajmniej, że w razie otrzymania rozkazu modlenia się o pogodę oburzą się, opuszczą swe klasztory i oddalą się do pustelni; przeciwnie, modlić się będą z całą żarliwością, ale rozkaz, by się

o pogodę modlili, przyjść musi od opata Odylona. Tylko od niego.

Pierwsze dni uroczystości były tak zimne, wietrzne i dżdżyste, że nie udał się żaden pochód, żadne widowisko. Trzeba było ubierać się jak najcieplej i Jan Teofilaktos z rozpaczą spoglądał na stosy lekkich odświętnych szat, których przepychem zamierzał olśnić cesarza, Miasto i wszystkich cudzoziemskich przybyszów. Toteż nikogo z kierujących ceremoniami obchodu nie zdziwił okrzyk, jakim trzeciego dnia uroczystości Hugo, margrabia Tuscji, powitał wchodzącego do komnaty narad Arona:

— Poproś, ojcze wielebny, Pana Papieża, by nie kładł się spać tej nocy. Niech zasiądzie nad swymi księgami i wymyśli taką machinę, która odgania wiatry i rozpędza chmury!

Aron zarumienił się. Od kilku zaledwie dni zwracano się do niego „ojcze wielebny” — nie przyzwyczajony do nowej godności, rumienił się stale. Przed kilku zaledwie dniami papież osobiście namaścił ulubieńca świętymi olejami nadając mu godność kapłańską. — Właściwie powinien byś jeszcze czekać dwa lata — rzekł Sylwester Drugi całując w głowę świeżo wyświęconego prezbitera — ale myślę, że święty Piotr daruje mi to małe uchybienie kanonom. Żąda się skończonych dwudziestu pięciu lat dla prezbitera, żeby lepiej dojrzała i oświeciła się jego mądrość. Lecz zaprawdę więcej w tobie dojrzałości i oświecenia niż w biskupie niejednym, stulecia bliskim. Nedomagam zaś coraz częściej, a jeśli umrę, kto wyświęci przybłędę nie mającego ani przodków dostojnych, ani włości dziedzicznych? Tacy, którzy modlitwę Pańską ledwie sylabizują, będą dumnie wołali, żeś niegodny kapłaństwa.

W Rzymie często wyświęcano nowych kapłanów, ale o namaszczeniu Arona mówiono więcej i żywiej niż o jakimkolwiek ostatnimi laty. Bo nieczęsto się zdarzało, by sam papież nie tylko osobiście wyświęcał mnicha przybłędę, ale nadto zaszczycił swoją obecnością pierwsze odprawianie przezeń Ofiary Świętej. Po nabożeństwie zaś Ojciec Najświętszy, choć niezdrów i zachrypnięty, głośno powiedział, tak by w najodleglejszych było słychać zakątkach bazyliki: — Zaprawdę godny i wierny oto sługa majestatu Bożego;

nikomu dawno już nie zbladła tak twarz, nie trzęsły się tak ręce i wargi, gdy chleb w Ciało Pańskie, wino w Krew Pańską przemieniał... Błogosławieństwo Boże nad tobą, wielebny ojciec Aronie.

Aron brał udział we wszystkich zebraniach mistrzów ceremonii. Dokładnie sprawdzał, czy wszyscy dostojnicy i dworzanie zapamiętali, jak teraz brzmią ich tytuły. Nie bez powodu żartowano w Mieście, że ten oto młody przybłęda chrzci na nowo Niemców greckie im nadając imiona. Zgodnie z wolą cesarską Aron dwukrotnie upominał arcybiskupa Heryberta, aby nie mówił o sobie „kanclerz”, tylko „archilogoteta”. Z uporem wbijał w głowy saksońskim i frankońskim wodzom, że oto ów spośród nich zowie się dziś „protosebasta”, a tamten „protospatarios”. Wypadło mu nawet ubolewać nad niemożnością odzyskania jakiegoś godnego zaufania eunucha: wedle obyczajów bowiem dworu konstantynopolskiego strażnikiem sypialni cesarskiej winien być rzezaniec. Otto nawet bardzo sobie życzył, aby i w tej sprawie dwór jego nie różnił się od greckiego. Oczy mu aż się zaświeciły, gdy margrabia Hugo wyraził przekonanie, że przecież nic łatwiejszego nad odpowiednie okaleczenie któregoś z dworzan, ale wystraszony Aron natychmiast zawiadomił o tym zamiarze papieża. Sylwester Drugi zaś stanowczo oświadczył cesarzowi, że choć miłuje go nade wszystko, do końca dni swoich nie przestąpi progów pałacu cesarskiego, o ile dokona się tam takiego ohydnych gwałtu na rozumnym stworzeniu Bożym. Otto z żalem musiał odrzucić propozycję margrabiego Hugona, ale powiedział, że Arona dotknie srogi gniew cesarski, jeżeli strażnik świętej sypialni kiedykolwiek, choćby przez zapomnienie nawet, powie o sobie inaczej niż „protowestiaros” lub w drobiazgu jakimkolwiek uchybi przepisom przyjętym przez ceremoniał służby w sypialni Bazyleusów.

Miał więc Aron pełno kłopotów, tym więcej, że Jan Teofilaktos starał się dla jak największej liczby dostojników i urzędów zachowywać tytuły starorzymskie, i to nawet z okresu republiki. Dochodziło do starć, które rozstrzygały się zazwyczaj w dni wtorkowe, gdy Sylwester Drugi kończył swą grę na organach. Leżąca na

lamparcich skórach Teodora Stefania wypowiadała się przeważnie za tytułem greckim: wówczas Otto klepał przyjaźnie Arona po ramieniu i zwracał się do Jana Teofilakta podnieconym głosem; z promiennym spojrzeniem czarnych, greckich oczu: — Słyszysz? Słyszysz? Skoro Rzymianka najrodowitsza z rodowitych powiada, że grecki ma być tytuł, jak możesz się opierać? Wszak nikt nigdy nie pysznił się wszystkim, co z Miastem jest związane, jak ona właśnie! I właśnie ona wzywa cię: ustąp!

Jan Teofilaktos wzruszał ramionami i ustępował. Mruczał tylko, że każda kobieta miłuje się w pstrokaciznie, choćby śmiesznej, a szczególnie w możliwie nowym, możliwie obcym kroju szaty. Wszyscy się śmiali, Teodora Stefania najwięcej; Aron przecież nieraz zastanawiał się, że istotnie aż śmieszna tworzy się pstrokacizna z owego pomieszania tytułów greckich, rzymskich z okresu zarówno cesarstwa jak i republiki, a nadto niemieckich, których przecież się nie udało wyplenić bez reszty, mimo życzenia Ottona — zbyt silny był opór wodzów, szczególnie saskich, by zmusić ich, aby przestali nazywać siebie hercogami, margrafami i grafami.

Pod kierownictwem Arona pracowało kilku malarzy. Wciąż musiały sprawdzać wedle tekstu greckiej księgi, czy dokładnie odtwarzają krój i barwy szat, w jakie na wzór konstantynopolskiego dworu miał się przestroić dwór Ottonowy. Po raz pierwszy szaty owe miały olśnić oko Rzymu właśnie w dniach święta Romulusa. Aron więc z nie mniejszym niż Jan Teofilaktos niepokojem spoglądał w chmurne niebo. Jemu samemu wprawdzie nie zależało zbyt na owym przebraniu dworu wzorem greckim, z pewnych bowiem napomknięć papieża wnosił, że Sylwester Drugi nie nadto chętnym okiem patrzył na całe to upodobnienie się do ceremoniału konstantynopolskiego; na równi przecież z innymi mistrzami ceremonii oczekiwać mógł wielce niemiłych skutków gniewu Ottonowego na wypadek nieudania się uroczystości. Toteż gdy margrabia Hugo powitał go okrzykiem, by prosił papieża o wymyślenie maszyny do rozpędzania chmur i odganiania wiatrów — Aron aż na miejscu zamarł ze wzruszenia, że oto przecież byłby to najlepszy sposób, aby uniknąć gniewu

cesarskiego. Ani na okamgnienie nie targnęły nim wątpliwości, czy Sylwester Drugi zdoła taką machinę wymyślić; zastanawiał się nad tym jedynie, czy istotnie wystarczy Ojcu Najświętszemu jedna noc, aby tak trudnego dzieła dokonać. Tą swoją wątpliwością podzielił się z całym zgromadzeniem i był naprawdę zdziwiony, ba, zgorszony, gdy Bernward, biskup hildesheimski, powiedział z uśmiechem pobłażliwej wyższości, że nikt nigdy takiej maszyny nie wymyśli, przedsięwzięcie takie bowiem przerasta wszelkie granice pomysłowości ludzkiej, choćby największej z największych. Natomiast on, Bernward, wpadł na inny pomysł, który dobra wola Ojca Najświętszego zdołałaby urzeczywistnić doprawdy bez wielkiego trudu. Przecież kto jak kto, ale Sylwester, ów Gerbert, mistrz znakomity w sztukach wszelakich, na pewno zna, a jeżeli nie zna, to potrafi odszukać w swych księgach uczonych magiczne zaklęcie, które by zmusiło demona wiatrów Eola do wycofania podwładnych sobie duchów gdzieś daleko sponad Rzymu. Gdyby zaś Ojciec Najświętszy zechciał bardziej jeszcze wysilić swą umiejętność, to by mógł nawet i znacznie potężniejszego niż Eol demona, Apollina, zmusić do posłuchu: mógłby mu kazać przetoczyć dysk słoneczny nieco bliżej Miasta. Przecież biskup Bernward, jak zresztą wszyscy obecni, dobrze wie, że Ojciec Najświętszy nieporównanym jest mistrzem w tajemniczej nauce matematyki, nauce o liczbach; nie ma zaś demona, najpotężniejszego chociażby, z najmocniej nawet wrosłego pazurami w skaliste fundamenty piekła, którego by nie dało się wywabić z otchłani odpowiednio ułożoną kombinacją liczb. Niechże więc Aron uprosi Ojca Najświętszego, aby poświęcił nie noc nawet jedną, ale godzinę chociażby na ułożenie odpowiedniej kombinacji liczb; nie potrzebuje nawet sam się trudzić zaklinaniem demona — niech tylko przyśle karteczkę z wypisanymi na niej liczbami, a już on, Bernward, czy też archilogoteta, metropolita Herybert, swą mocą z pomazania biskupiego płynącą, potrafią wywołać potrzebne demony z piekieł i zmusić je do posłuchu tym samym sposobem, jakim Zbawiciel nakazał złym duchom, by w ciała wieprzów weszły. Aron słuchał słów Bernwarda z coraz to rosnącym przerażeniem, ale czuł na sobie

błagalne spojrzenia nie jednego tylko biskupa Hildesheimu. Czuł, że teraz, tak jak nigdy w życiu, ma prawo powiedzieć sobie, iż oto spełniają się najzuchwalsze marzenia jego chłopięcych lat o potędze, o władzy nad możnymi: najznakomitsi dostojnicy Imperium ścielili do jego stóp — do stóp ulubieńca Gerbertowego — nieme błagania o ratunek: Hugo, margrabia Tuscji, pełnomocnik wszechwładzy cesarskiej na czas, ilekroć Ottona nie masz w Italii; Herybert, arcybiskup metropolita koloński, kanclerz naczelny Imperium; Henryk, książę bawarski; Herrenfryd lotaryński, szwagier cesarza; Kuno, książę frankoński; Herman, książę szwabski; Arnulf, arcybiskup mediolański — na twarzach ich czytał lęk, na niejednej nawet grozę, ale wszystkich jednolite łączyło przekonanie, że to, o czym mówi biskup Bernward, jest chyba jedynie skutecznym sposobem, aby zaradzić nieszczęściu, jakie wszystkim im wespół z Aronem zagraża, jeśli dłużej trwać będzie niepogoda. Nawet Jan Teofilaktos, choć uśmiechał się przez cały czas niby pogardliwie, z wyraźną odetchnął ulgą i jak gdyby nawet nadzieją, gdy Aron drżącym głosem oświadczył, że powtórzy życzenie dostojnych mężów Ojcu Najświętszemu. Tak się wszyscy ucieszyli, że zdawali się nie słyszeć, czy też nie chcieli słyszeć dalszych słów Arona, który wyraził przekonanie, nawet pewność, że Ojciec Najświętszy dowiedziawszy się czego od niego owi dostojni mężowie oczekują, będzie się bardzo gniewał albo raczej bardzo będzie się śmiał.

Aron nie omylił się. Sylwester Drugi gniewał się, ale przede wszystkim się śmiał.

— Co prawda, synu — rzekł poprzez kaskadę śmiechu — Bernward o tyle ma słuszność, że gdyby można było zaklinać demony za pomocą kombinacji liczb, łatwiej by jemu przyszło zapewne zmusić piekło całe do posłuchu niż siebie do zapamiętania, iż dziewięć pomnożone przez dziewięć daje osiemdziesiąt jeden.

W drugi wtorek po rozpoczęciu uroczystości mistrzowie ceremonii i wszyscy najznakomitsi dostojnicy Imperium zgromadzili się przed wieczorem, aby naradzić się, czy nie należy prosić cesarza o przedłużenie obchodu o dalsze dziesięć dni. Aron opuścił naradę na

długo przed zakończeniem, chciał bowiem koniecznie przysłuchiwać się grze papieża na organach. Poza nim przysłuchiwała się tylko Teodora Stefania, jak zwykle rozciągnięta na lamparcich skórach. Papież właśnie zaczynał na nowo przełożoną przez siebie na muzykę organową pieśń zasłyszaną przed wielu laty w Hiszpanii — gdy nagle bez opowiedzenia się wpadli Jan Teofilaktos, margrabia Hugo i biskup Bernward.

— Wypogodza się, naprawdę wypogadza się! — krzyczał stryj Tymoteusza przenikliwym, nieprzytomnym z radości głosem. Potrząsał głową, wymachiwał rękoma lub klaskał, on, zawsze taki powolny i uroczysty w ruchach, taki napuszony! Biskup Bernward klęknął przed papieżem i ucałował spoczywającą na klawiszach dłoń. Nie rzekł nic, ale spojrzenie jego było tak wymowne, że Aron się zaniepokoił: pomyślał, że tamci wszyscy mogą naprawdę przypuszczać, iż pogoda wraca na skutek kombinacji liczb, którymi zakłęto się demona Eola czy demona Apollina.

Jan Teofilaktos głośno wołał, że cesarz musi natychmiast wyjechać z Miasta, aby nad ranem wrócić w uroczystym tryumfalnym pochodzie.

— Nie, Wieczny Pan Imperator nie wyjedzie przed północą — rzekł papież. — Zamierza bowiem wieczorem wyspowiadać się.

Jan Teofilaktos podrapał się w krótko ostrzyżoną głowę.

— Czy nie dałoby się świętej spowiedzi przełożyć na inny dzień? — zapytał niecierpliwym, choć zarazem błagalnym prawie tonem.

— Nie — odrzekł papież. — Wieczny Pan Imperator wyraził życzenie wyspowiadania się dzisiaj. A czy to nie jest najważniejsze, czcigodny senatorze? Ważniejsze niż całe święto Romulusa?

Jan Teofilaktos nie przeczył, ale oddalił się pełen zniecierpliwienia i niepokoju. Niepokój ów rósł z godziny na godzinę: dawno minęła północ, a cesarz wciąż nie schodził do rydwanu, który nań czekał przed pałacem laterańskim. Zszedł dopiero o świcie. Wnet otoczyła go gromada jeźdźców, co sił pomknęli przez budzące się już Miasto ku drodze Flamińskiej. — Nic się nie uda, nic się nie uda — załamywał ręce Jan Teofilaktos. — Za późno, o wiele za późno! Któż kiedy

słyszał, aby cesarze spowiadali się tak długo? Nie uda się, nie uda!

Ale wszystko udało się znakomicie. Przede wszystkim pogoda. Dysk słoneczny, istotnie jak gdyby umyślnie bliżej Miasta przetoczony, wznosił się spoza bazyliki Świętego Wawrzyńca po czystym, wesołym błękitnie, obramowanym od dołu różowością i milionami jak gdyby skórek pomarańczowych. Z zachodu od morza i z południa od Kampanii wiało świeżością i leciutkim ciepłem wczesnej wiosny. Miasto w jednej chwili rozkwitło tysiącami barwnych szat. Olbrzymi ruchomy ogród płynął ku mostowi Mylwijskiemu, zalewając miejski odcinek drogi Flamińskiej, pozostawiając za sobą mieniące się jeziora na wszystkich wielkich placach. Złote orły błysnęły obok postaci anioła na szczycie wieży Teodoryka, na Awentynie, na Kapitelu, na kolumnie Marka Aureliusza i kolumnie Trajana Najlepszego. Ujrzano je też niebawem, jak wlatują nad mostem Mylwijskim. Orszak cesarza tryumfatora przechodził Tyber w miejscu, gdzie przed siedmiuset blisko laty Konstantyn, zwyciężając Maksencjusza, osiągnął zwycięstwo Krzyża. Jak gdyby dla upamiętnienia owego radosnego dla chrześcijaństwa czynu zbrojnego, Otto wjeżdżał na most Mylwijski w pełni zbroi bojowej na bojowym, kolczugą okrytym rumaku. Młodzieńcza twarz Imperatora całkowicie tonęła w cieniu wysokiego szczerozłotego hełmu, ozdobionego na przedzie znakiem krzyża, a u góry groźnie kołyszącą się grzebieniastą czerwoną kitą. W rękę trzymał obnażony długi miecz, lewe ramię osłaniała olbrzymia trójkątna frankońska tarcza, w środku której orzeł dwugłowy szeroko rozpościerał światowładne złote skrzydła... Z chrzęstem i tętentem sunął za Imperatorem srebrem i stalą połyskujący orszak biskupów, książąt, margrabiów, hrabiów — barwne proporce trzepotały wesoło, ale zarazem groźnie na lekkim, porannym wietrze. — Raduj się, Miasto światowładne, oto wstępuje w twe święte granice Imperator, potężny w tryumfie i chwale! — wołali donośnie lekkozbrojni przodownicy, a odpowiadało im tysiąckroć donioślejsze wołanie radosne trąb, rogów, fletów i piszczałek.

Przekroczywszy rzekę zbrojny orszak zawrócił na prawo i brzegiem podążał w stronę dzielnicy Leonowej. Kamiennym mostem,

ozdobionym posągami, przeszedł ponownie na prawy brzeg Tybru; gdy mijał wieżę Teodoryka, ze szczytu, spod stóp anioła dwanaście srebrnych trąb uderzyło w niebo hymnem powitalnym, ułożonym osobiście przez papieża. Przed bazyliką Piotrową margrabia Hugo pospiesznie a zręcznie zeskoczył z konia, by podstawić swą rękę pod stopę zsiadającego cesarza. Otto zdjął hełm i pancerz, miecz poniósł przed nim do kościoła Henryk bawarski, tarczę Kuno frankoński. Jasnowłosa głowa cesarza nisko pochyliła się przed tym samym ołtarzem, gdzie niegdyś pochylił swą głowę Konstantyn. Tam gdzie pierwszy czczący Chrystusa cesarz rzymski przyjął chrzest z rąk Sylwestra Pierwszego — najpotężniejszy z chrześcijańskich cesarzy rzymskich przyjmie Ciało i Krew Zbawiciela z rąk Sylwestra Drugiego. Stojący obok papieża, w odświętne, uroczyste kapłańskie szaty sakralne przybrany Aron z trudem się hamował, by nie kręcić się niespokojnie na miejscu: przypomniał sobie, jak przed wielu, wielu laty nad strumykiem irlandzkim czytał głośno długobrody pustelnik wyjątki z kronik greckich Euzebiusza, biskupa Cezarei, doradcy i przyjaciela cesarza Konstantyna. Stało tam przecież wyraźnie, że nie w Rzymie, ale w Akyranie, przedmieściu Nikomedii, przyjął chrzest Imperator Konstantyn, i to nie z rąk papieża Sylwestra, tylko Euzebiusza, innego Euzebiusza, biskupa nikomedyjskiego. I to na łożu choroby ostatniej dopiero, tuż przed śmiercią. Czyżby nie tylko Otto, ale nawet Sylwester Drugi miał nic nie wiedzieć o tym przekazie Euzebiuszowym? “Wprawdzie papież nie czyta po grecku, ale Aron dobrze sobie przecież przypomina, jak w dniu buntu i ucieczki wspomniał Grzegorz Piąty w Gaju Trzech Strumyków o świętego Hieronima przekładzie kronik Euzebiuszowych! Więc mógł Sylwester Drugi przeczytać, na pewno mógł, na pewno przeczytał.

Aron przyglądał się twarzy klęczącego Ottona. Drugi to już raz w ciągu tak krótkiego czasu widzi go z tak bliska, i to drugi raz klęczącego. Otto ma twarz znużoną, wyraźnie niewyspaną. Trudno mu się dziwić; równie znużone i niewyspane twarze muszą mieć i papież, i sam Aron.

Z twarzy cesarza Aron przenosi wzrok na twarz opata Leona,

stojącego tuż za papieżem. Oblicze surowe zazwyczaj i jak gdyby skamieniałe w jakiejś zaciętej nieufności tym razem nie tylko rozpogodziło się, ale nawet uśmiecha się słabo — nieomal przeprasza się uśmiecha. Bo i jakże? Czyż przystąpienie cesarza do Komunii Najświętszej w najuroczystszy dzień obchodu święta Romulusa nie dowodzi najdobitniej, najwymowniej, jak bardzo błędzi opat Leon dopatrując się w tej uroczystości ściśle świeckiej jakichś grzesznych związków z dziedzictwem wierzeń pogańskiego Rzymu?! I czyż nie za daleko posunął się w swej gorliwości, odmawiając odprawiania modłów o pogodę na dzień owej miłej sercu cesarskiemu, dla niczyich dusz nieszkodliwej, nikogo nie gorszącej uroczystości, z którą, okazuje się, znakomicie można połączyć tak świętą, a tak rzadką ostatnio, niestety, uroczystość, jak przystąpienie pana tego świata do stołu Pana Niebios?!

Po spożyciu Eucharystii Otto modlił się długo, modlił się żarliwie, aż na policzkach błysnęły mu łzy. Gdy zakończył modlitwę, skierował się do jednej z kaplic, by zrzucić z siebie resztę wojennego stroju i w inne przyoblec się szaty. Z bazyliki wychodził połyskując nasuniętym na skronie, wysadzonym rubinami diademem; sześć chłopiąt dźwigało za nim końce olbrzymiej szaty, w której tonął cały, sam wyglądając jak chłopię. Aron z dumą przyglądał się strojowi Ottona: jego to słuchając wskazówek pokryli na wzór grecki tę szatę malarze mnóstwem w promienne koła wrysowanych obrazów, przedstawiających dokładnie treść wszystkich kolejno rozdziałów Apokalipsy. Oczywiście Aron nie zdawał sobie dokładnie sprawy, o ile wymalowane na szacie obrazy osiągają ów cel, jakiego od malarzy zażądał Otto; cesarzowi bowiem zależało na tym, by w chwili gdy wychodzić będzie z kościoła, zgromadzonym dokoła bazyliki tłumem możliwie najsilniejszy targnął dreszcz grozy, jaką majestat cesarski winien budzić, Bożego stanowiąc część majestatu.

Przed bazyliką stał już długi łańcuch rydwanów. Nie konno, ale w kwadrydze wyruszy Imperator w drogę poprzez całe Miasto ku Kapitelowi. Koło siebie będzie miał tylko papieża. Tylko ich dwu powiezie czwórka czarnych, lśniących rumaków, okrytych czerwienią,

groźnych, jak gdyby były to konie z Apokalipsy. Dwory cesarskie i papieskie podążą za kwadrygą rydwanami, przez dwójkę już tylko koni ciągnionymi. Aron pomieścił się w rydwanie z arcybiskupem Arnulfem Karolingiem i notariuszem papieskim, Piotrem.

Długo sunął przez Miasto uroczysty pochód pojazdów. Zdążając ku Kapitelowi odwiedził Otto całą szóstkę mniej dostojnych wzgórz: na Celijskim wstąpił między ruiny Łaźni Trajana, na Eskwilinie modlił się gorąco w Bazylice Liberańskiej, na Kwirynale dokonał przeglądu pachołków ze straży miejskiej, na Wiminale spożył pod gołym niebem posiłek, na Awentynie przyjął hołd mnichów greckich i zapłakał, gdy wspomnieli jego matkę — z Palatynu długo przyglądał się starożytnym grobowcom na drodze Appiiskiej. U stóp Palatynu przebrał się znowu: na głowę włożył wieniec z liści dębowych, ciało otulił nieskalanie białą togą. Znowu przesiadł się na konia, tym razem białego. Z daleka zdawać by się mogło, że nagła śnieżyca padła na wszystkie Fora, na stoki Palatynu, na cały Kapitol. Padła, w okamgnieniu ścinając kwiecie w olbrzymim, ruchomym ogrodzie. W okamgnieniu biel tysiąca tog okryła mieniące się wszystkimi barwami szaty. Na święte bowiem Wzgórze Kapitolińskie, na schody, którymi Romulus szedł ku obłokom, nie wolno inaczej wstąpić niż w nieskalanej bieli starorzymskiej togi.

— Jak wspaniale rzymskie jest to wszystko! — zawołał z zachwytem margrabia Ademar.

— Tak, tak, bardziej nawet rzymskie niż za Rzymian prawdziwych — mruknął czarnobrody, wesołooki prezbiter grecki, który wraz z margrabią przybył na święto Romulusa z Kapui.

Przed koniem Ottona niosą złote orły — kilkadziesiąt kroków za nim niosą orły srebrne. Tuż za nimi powinien by jechać Dedi, Patrycjusz Imperium. Ale Dediego niczyje nie dojrzą oczy — nie masz go wcale w pochodzie cesarskim. Za srebrnymi orłami prowadzą konia bez jeźdźca. Wielkiego, silnego, gniadego konia, takiego, co udźwignie bardzo ciężkie, bardzo potężne ciało. A za koniem bez jeźdźca zwartymi szeregami kroczą wojownicy, dziesiątka za dziesiątką. Dziwnie wyglądają owi wojownicy — takich hełmów

kolczastych, takich maczug kamieniami i żelazem nabijanych, takich łańcuchów z kulek żółtych a prawie przezrzystych, takich wąsów obwisłych, a bodaj że i twarzy takich nigdy dotąd nie widział Rzym, choć dużo już widział przez mnogie stulecia.

— Cóż to za wojsko takie? — pytają Rzymianie, pełni zdumienia.

— Wojsko Imperium Rzymskiego, takie jak i wszelkie inne wojsko Wieczności Cesarskiej podwładne — odpowiadają przodownicy pochodu.

— Cóż to za wojsko? — pyta arcybiskup Arnulf Karoling Arona.

— Słowianie — szepnął Aron. — Wyborowi druzynnicy naszego nowego Patrycjusza. Dar jego wierności i przyjaźni dla Cesarskiej Wieczności.

Westchnął. W myśli dopowiedział sobie: „Mogliby być drużyną wyborową Bolesława Lamberta. Biedny Bolesław Lambert!” Od kilku dni dopiero ze współczuciem i żalem serdecznym myślał o płowłosym książątku, do którego dawniej zazdrość jeno żywił, iż oto kradnie Aronowi przyjaźń Tymoteusza. Ale teraz sam Bolesław Lambert był okradziony: doszczętnie okradziony z wszelkich nadziei. I nie mógł Aron oprzeć się uczuciu goryczy i żalu, iż oto jego pan i mistrz umiłowany, Ojciec Najświętszy, współdziałał z Wiecznością Cesarską i z dalekim Bolesławem Pierworodnym w bezlitosnym dziele ostatecznego pozbawienia Bolesława Lamberta resztek nadziei na odzyskanie dziedzictwa ojcowskiego. Więcej jeszcze, przyzwolił na osadzenie książątka polskiego w najsurowszej pustelni podraweńskiej mistrza bezlitosnego pokuty i umartwień, Romualda z Emmeranu. Kto raz wszedł do grona pokutników wokół Romualda stowarzyszonych, nie wychodzi stamtąd już nigdy.

Jedyny to raz wydarzyło się Aronowi, że uczuł, iż oto nie przy papieżu sercem swym i myślą stoi, ale przeciw niemu, przy opacie Leonie, na którego prośby błagalne o litość dla Bolesława Lamberta Sylwester odpowiadał zimnym i nieprzejednanym „Nie”.

— Czy godzi się młodzieńca niedojrzałego zamykać wbrew jego woli w pustelni surowej niby w lochu więziennym? — pytał opat Leon.

— Zali ciebie pytano, ojczy Leonie, czy chcesz zostać mnichem?

— wzruszył ramionami papież. — Bo gdy mnie chłopięciem oddawano do klasztoru Świętego Geralda, nikt się o zgodę moją nie troszczył. A czyż żałuję dziś, że zostałem mnichem?! Zresztą spójrzmy na tu oto stojącego Bolesława Lamberta: czyż nie od dawna już nosi suknię zakonną, którą teraz na nim widzimy? Czyżbyś sądził, przewielebny opacie, że to w twoim jedynie klasztorze godne znalazło się miejsce dla krzepienia uniesień pobożnych najmłodszego z synów księcia nowochrzczeńca? Czyż sam nasz Wieczny Imperator nie marzył o zamknięciu się w pustelni Romualdowej? Czyż umiesz zgadywać, ojcze Leonie, niezbadane wyroki Boże? Toś mądrzejszy ode mnie. Ja nie mogę rzec o sobie zuchwale, iż na pewno wiem, na pewno zgaduję, że to, co nazywasz więzieniem, nie okaże się bramą wiodącą ciemne ksiąŜątko polskie ku stolicom, nad wszystkie księstwa świata tego dostojniejszym, może ku samej Piotrowej stolicy...

Stali w galerii kolumnowej pałacu laterańskiego. Zimno było — na Źwirze dziedzińca białeły płaty śniegu, który upadł tuż w przeddzień rozpoczęcia uroczystości Romulusowych. Dedi gniewnym tupaniem i ciosami ostróg w ziemię mieszał śnieg z błotem.

Złościł się na opata Leona — on, Dedi, nie przyszedł tu błagać, ale Źądać, grozić. Przyprowadził ze sobą opata awentyńskiego, aby głosem jego, trwogi ni wahania nie znającym, upomniał się Kościół u włodarza Piotrowego o swoją — nie Bolesława Lamberta — krzywdę. Aby przypomniał, że margraf Niedźwiedź, nowochrzczeniec, świętemu Piotrowi w darze złożył prawie całą krainę polską.

— Odgrzebujesz, Dedi, to, co już mój poprzednik dawno w grobie niepamięci pochował — ostro powiedział Sylwester Drugi. — Czyż myślisz, starcze niemądry, że nie zgaduję, iż nie o krzywdę świętego Piotra, nie o krzywdę krewniaka nawet, ale o swoją krzywdę zabiegasz?... Nie możesz przeboleć, że Cesarska Wieczność odebrała ci srebrne orły i polskiemu wręczyła je księciu... Któż jednak dał ci prawo wątpienia o słuszności wyroków cesarskich?

— Kto mi dał, pytasz? — wrzasnął Dedi dziko. — Kto? Krew moja szlachetna dała mi to prawo, krew rodowa, krew szczepowa, krew plemienna! Hańba Imperium takiemu, co podcina słupy potężne, na

których cała moc, nie, cała istność jego się wspiera! Hańba doradcom, co skłonili młodzieńczą, niedojrzałą myśl Imperatora, aby odjął szlachetnemu plemieniu niemieckiemu srebrne orły i złożył je w ręce barbarzyńców, których samo imię szczepowe niewolnika oznacza... Hańba, po trzykroć hańba!

— Nie, słyszałem, Dedi, jakieś krzyknął: hańba! Dobrze uważaj, bym nie usłyszał.

— Możesz słyszeć. Chcę, byś słyszał. Samemu Ottonowi rzucić mogę w twarz dziecięcą, w twarz niewieścią: hańba! Nie boję się, nikogo nie boję się. Słyszysz? Nie boję się.

— Sama odwaga nie rodzi mądrości, Dedi, a tylko mądrość rządzi ludami. Jesteś chrześcijaninem, Dedi?

— Nie do mnie, do swoich uczniów nieletnich kieruj treści wszelkiej wyzbyte pytania, mistrzu retoryki wsławiony! Przecież dobrze wiesz, że nawet o ojcu pradziada mojego nikt by nie śmiał rzec: nowochrzczeniec.

— Skoroś chrześcijaninem z dziadów pradziadów, czemu nie raczysz pamiętać słów Apostoła, księżę dostojny? Słów, iż nie masz już Greka ni Żyda, Scyty ni barbarzyńcy. Czyż nie wszystkich jednako równa woda chrztu i ogień wiary? Zali nie wiesz, że łaska odkupienia i łaska mądrości — łaska Syna i łaska Ducha — narody niewolników w narody panów przemienia?

Dedi zaśmiał się wzgardliwie. — Gdzież mi się mierzyć w retoryce z tym, co samego Otryka pokonał? Gadaj pięknie, gadaj kwieście — posłucham: lubię retorów. Ale stokroć goręcej kocham cześć swoją rycerską, miłuję krew swego rodu i swego szczepu, szlachetną krew, Panie Papieżu. Możesz kazać w więzieniu mnie zamknąć za bluźnierstwo, nie boję się, nie poniecham, by krzyknąć ci w oczy: nim woda chrztu na głowę moją spłynęła, płynęła już w żyłach moich krew rodu szlachetnego. Bywaj zdrów! Pytasz, czym chrześcijaninem? Tak, Panie Papieżu, dobrym jestem chrześcijaninem — takim, co dobrze sobie zapamiętał słowa Zbawiciela: strząśnijcie ze stóp swoich proch domu, gdzie waszą cześć zhańbiono... Już mnie nie ujrzycie w Mieście, co pokalało majestat swój tysiącletni oddaniem srebrnych

orłów w ręce syna nowochrzeńca, w ręce syna plemienia niewolników... A już tam, daleko od was, nad Łabą, dobrze dopilnuję, by Rzym nigdy nie zobaczył w swych świętych granicach błazeńskiego Patrycjusza. Jedno tylko dobrze sobie zapamiętajcie, retorzy kwieści, wskrzesiciele trupów, co w proch się dawno obróciły: mnie i krew moją szlachetną hańbiąc, cały szczerp saski hańbicie; szczerp saski hańbiąc, wszystkie narody niemieckie hańbicie; a czymże bez mocy Niemców wasze jest Imperium? Płąsem opętańca pod dźwięk piszczałki greckiej!

Oddalił się zamaszystym krokiem gniewnie pobrzękując żelazem. Papież gonił go uśmiechem, wcale nie zagniewany.

— Mógłby zostać niezłym uczniem w szkole retoryki moich uczniów. Został tylko nadętym pęcherzem, ciśnieniem krwi szlachetnej rozsadzany.

A zwracając się do opartych o potężną kolumnę Arona i arcybiskupa Arnulfa Karolinga dodał, jeszcze weselej się uśmiechając:

— Gdyby Grecy tak byli butnie gadatliwi jak Niemcy, za rok, za dwa zasiadłby nasz Wieczny Imperator na tronie Bazyleusów.

Wnet jednak przestał się uśmiechać. Twarz pełną powagi i zatroskania obrócił ku opatowi Leonowi.

— Miłowałeś jak brata rodzonego biskupa Adalberta Wojciecha?

— Miłowałem, Ojcie Najświętszy, ale...

— Wielbisz Pana Niebios za to, iż zaszczycił Adalberta wieńcem wspaniałym męczeństwa?

— Wielbię...

— Czy nie żywisz wdzięczności dla namiestnika Piotrowego, który poznawszy z natchnienia Ducha Świętego, iż Majestat Boży do grona świętych męczennika powołał — kazał czcić jego świętość we wszystkich kościołach okręgu ziemskiego?

— Korne ci za to dzięki składa Kościół cały, Ojcie Najświętszy.

— A któż umożliwił Adalbertowi dostąpienie łaski męczeństwa? Zali nie Bolesław, książę polski, wiary świętej szerzyciel gorliwy i obrońca niezłomny, biskupstw i świątyń założyciel najhojniejszy,

przyjaciel potężny i sługa oddany Wieczności Cesarskiej? I ty chcesz, Leonie, żebym takiemu mężowi moc dobroczynną wydzieriał, w słabe ręce wyrostków oddając?

— Ale sprawiedliwość, Ojczy Najświętszy?

— O jakiej mówisz sprawiedliwości, ojczy Leonie? Czy o sprawiedliwości podziału włości dziedzicznych? Do cesarskiego sądu należą te sprawy, nie do papieskiego.

— Wszystkie sprawy okręgu ziemskiego podlegają sądowi papieskiemu.

Gerbert uśmiechnął się. — Kiedyś może będą podlegały, ojczy Leonie. Nie za naszego już chyba życia. Czyż ci zaprawdę nie jest wiadome, najprzewielebniejszy opacy, że nasz Wieczny Pan Imperator, który majestat swój za częśćkę Bożego uważa majestatu, nie przyznaje nawet stolicy Piotrowej prawa do rządzenia tymi włościami, które Imperator Karol, przodek potężny mojego drogiego gościa, arcybiskupa Arnulfa — podarował świętemu Piotrowi? Gdym brał w dłonie klucz złoty królestwa niebieskiego, ośmiu tylko hrabstwami raczyła obdarować stolicę Piotrową Wieczność Cesarska...

— I stolica Piotrowa nie walczy o swoje prawa?

Głos opata Leona rozbrzmiewał lekceważeniem, niemal wzgardą.

Gerbert znów uśmiechnął się. Wziął Leona pod rękę.

— Kiedyś przed wielu laty — rzekł wesoło, prawie lekko — ten oto tu stojący arcybiskup Arnulf, dziś syn mój wierny i przyjaciel, a wówczas wróg, wraz z bratem swym księciem Karolem pochwylił mnie w swe ręce i zmusił do służb, na jakie wcalem nie miał ochoty. Gryzłem się wówczas, rozpacziałem, w pismach mędrców starożytnych szukałem pociechy. Nikt z nich mi wówczas nie dopomógł, jeno Terencjusz, komediopisarz; on to mi podszeptnął:

„Gdy nie możesz osiągnąć, czego pragniesz, pragnij tego, co możesz osiągnąć”.

„Grzegorz Piąty inaczej by powiedział — przemknęło nagle przez myśl Arona — on by krzyknął: »Wojna wojnie!”

— Nie pragnę więc odebrać Cesarskiej Wieczności mocy sądu nad

księstwami świata tego — ciągnął dalej Sylwester Drugi. — A zresztą — dodał innym zupełnie tonem, prawie surowym, bliskim gniewu — jeżeli powiadacie, że ziemią polską, przez Niedźwiedzia nowochrzczeńca Piotrowi Świętemu ofiarowaną, rozrządzać ma namiestnik Piotrowy, jużem rozrządził: nie masz godniejszego tej ziemi włodarza niż Bolesław Pierworodny. Chwała Panu Cesarzowi, że męża takiego Patrycjuszem Imperium mianował! Męża, co ludy liczne z krain niezmiernych, dotąd w mrokach pogaństwa i barbarzyństwa tonących, dwoma na raz prowadzi świetlistymi szlakami: ku niebiosom, by tam wedle słów Pana miejsce godne zajęły obok Abrahama, Izaaka i Jakuba — na ziemi zaś ku wspólnocie dostojnej w łonie błogosławionym świętego, wiecznego Imperium Rzymskiego, o którym pyszni Sasi i Frankowie myślą zuchwale, że niczym innym nie jest, jak tylko pięknie brzmiącym imieniem dodatkowym królestwa niemieckiego.

I więcej już nie pozwolił papież opatowi Leonowi powracać do sprawy Bolesława Lamberta. Ani nikomu innemu. Lecz sprawa ta raz po raz powracała do myśli Arona, rodziła w nim gorycz i żal do papieża, którego tak bardzo przecież miłował, któremu tyle zawdzięczał. I w przeciągu kilku zaledwie dni tyle w nim się tej goryczy nazbierało, że patrząc na podążających ku Kapitolowi wojowników polskich, na żadną inną nie mógł zdobyć się myśl, jak tylko: „Mogliby być drużyną Bolesława Lamberta...” Dopiero nagłe wołanie arcybiskupa Arnulfa Karolinga skierowało myśl jego na inne tory.

— Patrz, patrz... jak pięknie, jak mądrze wyłożył to wówczas nasz Ojciec Najświętszy — wołał w zapale tyloletni zacięty wróg Gerberta — patrz, oto idą... idą szlakiem, o którym wtedy mówił, szlakiem ku wspólnocie dostojnej wszystkich ludów w tonie błogosławionym Imperium Rzymskiego... Idą ku miejscu, gdzie bije serce Imperium... ku Kapitolowi...

Aron ze zdziwieniem spostrzegł, że arcybiskupa Arnulfa zaczyna ogarniać niezwykle wzruszenie. Nie rozumiał, z czego ono się rodzi, ale mimo całego współczucia dla skrzywdzonego, zesłanego do

pustelni Bolesława Lamberta, nie mógł nie przyznać w duchu słuszności uwagom arcybiskupa. Znów czuł w sobie falę podziwu dla mądrości subtelnej a przejrzystej Sylwestra Drugiego: wiernie odtwarzały istotę rzeczy słowa jego o Bolesławie Pierworodnym, wiodącym liczne ludy dwoma na raz szlakami. Jeden szlak Aron ma oto tu, przed sobą: trzystu wojowników polskich podąża za srebrnymi orłami ku Kapitelowi. Ale dzierżyciel srebrnych orłów na drugim pozostał szlaku: zakłada biskupstwa, wznosi kościoły, sprowadza kapłanów, wyplenia pogaństwo — wszystko po to, by lżej było licznym ludom podążać ku miejscu, gdzie mają zasiąść obok Abrahama, Izaaka i Jakuba. Może więc istotnie nie tylko niewdzięcznością, ale, ba, głupotą czy wręcz nawet grzechem jest ów żal do papieża o krzywdę Bolesława Lamberta? Może by istotnie nie potrafiło młodziutkie ksiąźątko rządzonych przez siebie ludów nie tylko dwoma, ale jednym nawet prowadzić szlakiem? Lecz czemu tak poruszony jest arcybiskup Arnulf? Czemu załamuje mu się głos? Czemu lśnią w oczach Izy? Co obchodzi potomka królów Frankonii Zachodniej taka obca, taka odległa sprawa, jak udział Słowian w imperialnej wspólnotcie rzymskiej? Przecież Frankowie Zachodni nawet odcięli się grzesznie od owej wspólnoty; królowie ich uważają się pono za niezależnych od Imperium namiestników majestatu Bożego, nie uznają nad sobą zwierzchniego majestatu cesarskiego.

Orszak Ottona zatrzymuje się u stóp Kapitulu. Tylko nieliczni wybrańcy wstąpią wraz z cesarzem na święte stopnie. Aron, jako jeden z mistrzów ceremonii, otrzymuje miejsce, z którego widać znakomicie wszystko, co się dzieje na schodach. Wzdłuż dolnych stopni umieściły się mniszki lotaryńskie z cymbałami; nieco wyżej — mniszki saksońskie ze złożonymi harfami. Wszystkie przyodziane są w biel, równie jak małe złotowłose dziewczątka sypiące pod stopy majestatu liście palmowe i kwiecie, o które tak trudno o tej porze roku. W połowie schodów stoi gromada najdostojniejsza dwunastu senatorów: sześciu z nich nosi brody, pozostałych sześciu ma gładko wygolone twarze. Aron w żadnej księdze nie mógł znaleźć wytłumaczenia, co znaczy ów podział na brodatych i golonych; Jan

Teofilaktos wzruszając ramionami zbywał krótkim: — Tak od niepamiętnych czasów bywało. — Sam Jan Teofilaktos wysunął się przed innych senatorów. Wstępującego po stopniach Cezara Imperatora Augusta wita przemową gęsto przeplataną cytatami z poetów.

Otto wydaje się być bardzo znudzony — raz po raz zamykają mu się oczy. Ożywił się na chwilę wówczas dopiero, gdy Jan Teofilaktos znakomicie wyuczonym ruchem, godnym najznakomitszych mówców starożytności, ciska daleko poza siebie zwitek z tekstem mowy — klęka — całuje brzeg togi cesarskiej i wyrzucając gwałtownie przed siebie otwarte dłonie, woła słowami Wergilego, że niech inni zdobywają sobie sławę rzeźbami w brązie, ty zaś, Rzymianinie, pamiętaj, byś rządził narodami, przebaczał pokornym, zwalczał pysznych.

W oczach Ottona błysnęły łzy. Łzy upojenia, tryumfu, dumy bez granic. Mój Kapitol, mój Rzym, mój świat — mówiły Aronowi duże, czarne, pełne łez oczy.

I nagle Aron zrozumiał, dlaczego takie wzruszenie ogarnęło arcybiskupa Arnulfa. Wystarczyło pójść za jego chciwym, pełnym goryczy i niemal zawstydzenia wzrokiem: arcybiskup Arnulf, od chwili gdy Otto na pierwszy wszedł stopień schodów, nie odrywał już oczu od szyi i piersi cesarza. Gdyby Aron nie należał do grona mistrzów ceremonii, może by nie wiedział, co to za krzyż, nieco zardzewiały i lekko pogięty, zwiesza się z zardzewiałego również łańcucha na pierś Ottona. I nie rozumiałyby wówczas, dlaczego spływają łzy po policzku Arnulfa Karolinga, ostatniego potomka cesarza Karola Wielkiego — owego Karola, którego kości próchniejące przez dwa blisko stulecia w spokoju niewzruszonym spoczywały w podziemiach katedry akwizgrańskiej, aż nagle wdarł się do grobowca wraz ze strumieniem światła czarnooki, jasnowłosa dwudziestolatek zuchwale wołając: „Jam jedyny dziedzic prawy ducha Karolowego! Moją pierś niech Karolowy zdobi krzyż!”

Dziedzic! Czy tylko dziedzic? Gdybyż tylko dziedzic i nic nadto, nie odczuwałby tak gorzkiego bólu ostatni Karoling. Ale czarnooki

dwudziestolatek przesunął granice Imperium tak daleko na wschód, że wielkiemu Karolowi nawet sen o pochodach w krainy tak odległe wydałby się świadomym swego celu czarcim, złowrogim podszeptem. I nie tylko granice przesuwają zuchwały młodzieniaszek; zdaje się też naprawdę urzeczywistniać myśl o wskrzeszeniu Imperium Rzymskiego jako wspólnoty wszystkich ludów okręgu ziemskiego. Czyż nie zaszczycił dostojnością Patrycjusza władcy Słowian? Czy nie prowadzi za sobą aż do stóp Kapitolu dziwnych synów tajemniczego Wschodu? Zaprawdę, nie tylko dziedzic, ale i zwycięzca pogrobowy Karola, ongiś słusznie Wielkim zwanego.

Od połowy schodów nikt już nie towarzyszy cesarzowi. Samotnie wkracza majestat na szczyt Kapitolu. U stóp wilczycy kamiennej, Romulusa i Remusa karmicielki, złoży z synowską pokorą diadem złoty, rubinami wysadzany. Aron uśmiecha się na wspomnienie, że diadem ów składał już przecież Otto u stóp pustelnika Nilusa. Ale w uśmiechu tym nie masz drwiny ni goryczy; jeśliby przełożyło się go na słowa, brzmiałyby one: „Biedny Otto! Ile w ciągu jednej nocy dowiedzieć się można o duszy ludzkiej, a dowiedziawszy się przebaczyć!”

Wysoko nad tłoczącym się u stóp Kapitolu tłumem, wysoko nad Rzymem, wysoko nad Imperium całym, nad Italią, Germanią i Słowiańszczyzną — w przeświadczeniu milionów wysoko ponad całym okręgiem ziemskim — bieleje samotna postać Pana Wiecznego, Imperatora Cezara, zawsze Augusta. I arcybiskup Arnulf, i prezbiter Aron widzą, jak osnuwa Ottona mgła. Czy uderzą zaraz gromy? Czy miałyby to ta sama być mgła, która osnuła Romulusa, założyciela Miasta, gdy wszedł samotnie na szczyt Kapitolu? Wszedł, by już nie zejść stamtąd nigdy? Nie, to mgła łez ćmiących także już oczy Arona, równie jak oczy arcybiskupa Arnulfa.

— Może wznieść się tak wysoko ponad wszystkich, bo tak bardzo jest silny — z goryczą zazdrości szepcze ostatni potomek Karola Wielkiego.

— Musi wznieść się tak wysoko ponad wszystkich, bo tak bardzo jest słaby — ze słodyczą współczucia szepcze młody prezbiter, który

poprzedniego wieczoru słucał spowiedzi Imperatora Ottona.

8

W przeddzień uroczystego pochodu cesarskiego na Kapitel Sylwester Drugi grał na organach znacznie dłużej niż zwykle. Jeszcze nie zamarły długo donoszące się od strony galerii kolumnowej radosne okrzyki oddalającego się Jana Teofilakta, w kółko wołającego: — Wypogadza się, wypogadza się! — a już gasnąc poczęły jedna po drugiej oświetlające komnatę, gdzie papież grał, lampy: wypalała się oliwa, spopielały się knoty. Teodora Stefania sama dołała oliwy, sama zmieniła knoty, sama roznieciła ogień, potem na palcach, bezszelestnie wróciła na lamparcią skórę. Aron odruchowo spojrzał na jej stopy: z dziedzińca przyniosła na podszewkach błoto i aby nie zabrukać lamparciej skóry, zdjęła tym razem nie tylko złoto tkane rękawiczki, ale i złoto tkane trzewiki.

Istotnie od razu znać było, że od wczesnych lat niezmiennie nosi bardzo ciasne, spiczaste obuwie, ale któraż dostojna Rzymianka nosi inne? Aron stanowczo nie podzielał zdania Ekkeharda, wypowiedzianego kiedyś do Tymoteusza, jakoby Teodora Stefania miała stopy tak brzydko zniekształcone, palce tak powykręcane, że aż niemiło na nie patrzeć. „Widocznie w Saksonii — pomyślał Aron — kobiety z najdostojniejszych nawet rodów, nosząc szerokie, swobodne obuwie i chodząc, gdy tylko mogą, boso, mają inny kształt stóp o bardzo szeroko zapewne rozstawionych palcach i stąd Ekkehardowi stopy Teodory Stefanii wydały się tak zniekształcone, że aż niemiło mu było patrzeć!” Dla Arona zaś były to stopy takie jak wszelkie inne — i jeżeli nieco dłużej zatrzymał się na nich spojrzeniem i uwagą, to tylko z powodu podniecenia, jakie — także wedle słów Ekkeharda — ogarnąć miało Ottona wówczas, kiedy wzrok jego prześliznął się po bosych nogach Teodory Stefanii, gdy stanęła przed nim po raz pierwszy. Zaiste, najlepszy to dowód, jakich niezwykłych, jakich dziwacznych, jakich okrężnych dróg gotowi są szukać czarci, by tylko móc łatwiej natrzeć na duszę bardziej niż wszystkie inne uodpornioną na grzech dzięki świętemu pomazaniu cesarskiemu! Aronowi wprost trudno było uwierzyć, że taka podatna jest Cesarska Wieczność na

podszepty pożądliwości wzroku i myśli: taki skrawek nagości rzucił Ottona w bladość i żar — nagości tak nieciekawej, tak nieponętnej! O ileż ponętniejsza, o ileż bardziej niepokojąca wydaje mu się być nagość białych, pełnych rąk Teodory Stefanii! Oczywiście, jego, Arona, i stąd nie dosięgnie pokusa: czuje, że dobrze go chroni puklerz pomazania kapłańskiego. Znakomicie chroni nawet przed natarciem jej oczu, większych, bardziej rozszerzonych niż kiedykolwiek, a tak przenikliwie w niego utkwionych, tak wyzywających, że doprawdy nie wie, jak ma ów wzrok zrozumieć. Czyżby było to nieme pytanie o Tymoteusza? Czy też może nie o Tymoteusza mówi do niego oczyma, ale o nim samym? Drgnął. Zarumienił się. Pomyślał nagle o jej synku. Wyobraził go sobie jako pucołowatego, figlarnie uśmiechniętego malutkiego łucznika, co kradnie skrzydełka śpiącemu aniołkowi.

„Uprzedzam cię, głupiutki — mówi Aron bezgłośnie do synka Teodory Stefanii — potężnie zaprawdę broni mię tarcza kapłańskiego pomazania; potrzaskasz o nią wszystkie swe strzały i będziesz płakał. A nie chcę, byś płakał, nie życzę ci źle”.

— Jak dziwnie, ba, jak dziwacznie przywiązują się serca ludzkie do wszystkiego, co przekazem jest naddziadów — powiedział nagle Sylwester Drugi nie odrywając rąk od klawiszy.

Teodora Stefania oderwała wzrok od oczu Arona i przeniosła go na papieża. Aron również utkwiał w papieżu pytające, pełne podniecone ciekawości spojrzenie.

— Arabską tu próbuję przełożyć na muzykę pieśń — zaczął tłumaczyć przestawszy grać Sylwester Drugi. — Śpiewają ją w Kordobie, pod niebem wesołym, nad brzegami pełnej wód rzeki, w cieniu portyków i gajów pomarańczowych, przy wtórze szemrzących wodotrysków — śpiewają, wylegując się beztrosko na tkaninach miękkich lub na ziemi obficie rodzącej. A jakież ton słyszycie w tej pleśni? Ton smutny, jękliwy, jednostajny, pełen skargi lub pokornego poddania się brzemieniu trudnego żywota. I czy wiecie, z jakimi słowami śpiewają tę pieśń? Śpiewają o wędrownicy na wynędzniałym wielbłądzie po niezmiernych piaskach jałowej pustyni... skarżą się

gorzko, że tygodniami szukają beznadziejnie kropli wody lub jednej figi wysuszonej... Bo do wesołej, kwitnącej Hiszpanii naddziadowie ich z jałowej przybyli pustyni...

— Cokolwiek zechcesz rzec, Ojczy Najświętszy, pełne jest zawsze głębokiej mądrości! — zawołała Teodora Stefania i w głosie jej nieudany brzmiał zachwyt. — Racz więc oświecić ciemną niewiastę: czy istotnie, jak powiadają, można we śnie dowiadywać się prawdy o sprawach zakrytych dla czuwających oczu i uszu?

— Nie wiem, Teodoro Stefanio.

Aron zerwał się z miejsca. Teodora Stefania wysoko uniosła się na dłoniach. Oboje jednakowo zdawali się być zaskoczeni, zdziwieni, oszołomieni, że oto Sylwester Drugi, mistrz nad mistrzami, Gerbert, o czymkolwiek może powiedzieć: „Nie wiem”.

— Na kuli, którą z drewna i prętów żelaznych sporządziłem — rzekł papież obracając się ku Teodorze Stefanii całą swą postacią — mogę wam dokładnie wskazać drogi którymi gwiazdy po niebie wędrują. Ale nie wiem, jak to się dzieje, że one wędrują, i to tymi właśnie drogami. Wiem, że Mądrość Boża zapragnęła, iżby tymi właśnie wędrowały drogami, ale jakiej to maszyny niewidzialnej Mądrość Przedwieczna użyła, aby się poruszały, i to tak właśnie, jak się poruszają, nie wiem... Wiem też, że Mądrość Przedwieczna zapragnęła, aby w przedziwny sposób przychodziły na świat ciała ludzkie i zwierzęce; ale jak to się dzieje, że oto na przykład Teodora Stefania ogarnia męża miłosnym objęciem, a w jakiś czas potem wychodzi z jej łona istotka, co kiedyś będzie mądrze myśleć o gwiazdach, tego także nie wiem. Nie wiem więc też, co oznaczają nasze sny. Może ktoś kiedyś będzie wiedział. Może, gdyby dane ci było pożyć dwieście czy trzysta lat, doczekałabyś się, że ktoś odpowie na twoje pytanie: wiem.

Teodora Stefania zaśmiała się.

Śmiała się zuchwale, wyzywająco, nieomal szyderczo.

— Czy czytanie w myślach, innego człowieka jest cechą wielkiego mędrca, Ojczy Najświętszy? — zapytała głosem, w którym rozbrzmiały tony tryumfu. — Jeżeli tak, dorównuję mądrością samemu

mistrzowi Gerbertowi. Wiem, Ojcie Najświętszy, dobrze wiem, że ty wiesz, iż sny mówią prawdy zakryte dla oczu i uszu czuwających. Ale twoja mądrość czuwająca przejrzała, co mi się śniło, i pragnie teraz wmówić we mnie, że sny nie mówią całej prawdy. Tak bowiem, jak ty w moich, ja w twoich czytam myślach, Ojcie Najświętszy...

— Cóżes w nich przeczytała? — zaśmiał się Sylwester Drugi.

— Nic innego, jak to, iż Panu Papieżowi niemiło było się dowiedzieć, że sen, jaki miałam tej nocy, dokładnie mi opowiedział, jakieś zabrał, Ojcie Najświętszy, z tym oto — wskazała ręką na Arona — skarby przebogate z owej jaskini, ku której drogę pokazał posąg z napisem: „Uderz tutaj”.

I znowu wymownie, znacząco jak poprzednio, spojrzała przenikliwie na Arona. Ów zaś opuścił oczy, pełen zawodu, a bardziej jeszcze trwożnego zdumienia: przecież nawet Otto chyba tylko w gniewie nieprzytomnym odważał się mówić do papieża tak zuchwałym, tak tryumfującym tonem.

Potarłszy policzki dłońmi Teodora Stefania zaczęła opowiadać swój sen. Nie umiała dobrze opowiadać: do Tymoteusza anibyś jej nie przyrównał. Ale opowieść ta, ciężka, nawet nudna chwilami, często urywana, nieskładna, natychmiast przekształcała się przed oczyma duszy Arona w pełne wyrazistości i barwności, ciekawe, żywe, niepokojące obrazy. Oto chmurną, czarną, bezksiężycową nocą zbliżają się chyłkiem papież i Aron do olbrzymiego dołu wykopanego opodal posągu, co wskazuje w dal przed siebie palcem. Aron dźwiga łopatę i inne narzędzia. Ale wszystkie narzędzia są zbyteczne: Sylwester Drugi wyszeptał zakłęcie i oto zapada się dno dołu, ukazując oczom Arona olbrzymie, nie kończące się schody, połyskujące niesamowicie w krwawym świetle długiego szeregu niezliczonych lampionów. Poczynają schodzić: papież i... Teodora Stefania. Tak, to nie Aron, to ona towarzyszy potężnemu mistrzowi zakłęcz wszelakich. I rzecz przedziwna: choć wyraźnie przecież widzieli, jak olbrzymie, jak długie mają pod sobą schody, już zostawili je za sobą, już stoją przed połyskującą płytą, stalową czy srebrną; papież nowe wypowiada zakłęcie i płyta zapada się z trzaskiem: stoją

na progu obszernej, choć niewysokiej sali o zwierciadlanej posadzce, w której odbijają się tysiącami blasków i barw kolumny wzniesione z rubinów, topazów, szmaragdów. — Czyś nie zostawił narzędzi na górze? — pyta papież — będziemy żelazem odłupywać szlachetne kamienie od kolumn. Mówi „czyś nie zostawił”, nie „czyś nie zostawiła”, a przecież Teodora Stefania stoi przy nim, nie Aron. Zaczyna ogarniać ją strach potworny — istotnie zostawiła narzędzia na górze — papież się pogiewa, odejście i znów zatrząśnie się lśniąca płyta odcinając jej drogę do wyjścia stąd na zawsze... na zawsze... Na cóż jej przydadzą się wówczas te szmaragdy? Pozostawiona samotnie, zginie tu z głodu i nagie kości odbijać się będą przez wieki straszliwym obrazem w zwierciadlanej posadzce. Ależ nie samotnie, wcale nie samotnie — przecież tu są inni jeszcze ludzie! Na złotym tronie siedzi para królewska, otoczona wieńcem śmiejących się dworzan w przepyszne, barwne odzianych szaty. Na prawo od tronu stoi malutkie chłopię, w ręku trzyma napięty łuk z założoną na cięciwę szczerozłotą strzałą. Papież robi krok naprzód i wnet nie dziecię już trzyma łuk, ale wyrostek — jeszcze krok, i nie wyrostek już, ale mąż dojrzały — groźny wojownik. — Nic się nie bój — mówi Sylwester Drugi — przecież to nie są żywi ludzie, tylko postacie w złocie wykute: i król, i królowa, i dworzanie, i łucznik... Przygotuj narzędzia, porąbamy ich w kawałki, złoto zabierzemy w workach do Lateranu... — Teodora Stefania wzdycha z ulgą, podwójnie z ulgą, bo przecież narzędzia ma pod pachą. Papież odważnie idzie naprzód — wymawiając zaklęcie dotyka zielonej kolumny i ta spływa w swe własne odbicie: na jej miejscu niski postument, a na nim misa olbrzymia, pełna szmaragdów. Jak to dobrze, że Teodora Stefania ma na sobie mniszą szatę Aronową — wypcha cały kaptur szmaragdami... Robi krok naprzód i krzyczy: — Ależ nie, to wcale nie w złocie ciosane postacie... to żywi ludzie... Ojciec Najświętszy, przecież na tronie siedzi Otto, a obok niego Teodora Stefania! Sylwester Drugi nie zważa, idzie naprzód, chciwie zaciera ręce. — Uderz w głowę królowej — woła — szmaragdy, co są zamiast oczu, możesz zabrać sobie... — Teodora Stefania na tronie

kurczy się cała z okropnego strachu, chwyta Ottona za rękę. Ach, dlaczegoż Aron nie pozostawił narzędzi na górze? Wtedy byśmy ocaleli, a tak... zaraz uderzy... już uderzy... Kto uderzy? Przecież to Teodora Stefania trzyma w ręku młot. — Chroń się! — krzyczy do papieża. — Chroń się za kolumny! Łucznik w ciebie celuje!

Omyliła się, wojownik nie łuk w ręku trzyma, tylko kuszę, z której zaraz wypuści za pomocą przemysłnej maszyny, nie strzałę, lecz pochodnię płonąca. Ma na sobie czerwoną dalmatykę, taką samą, w jaką na uroczystość świętego Piotra przyodziewa się asystujący papieżowi diakon... — To chyba grecki kusznik — przerywa Aron — dokładnieś go opisała, jakbyś z mojej książki o strojach dworu Bazyleusów czytała... I kolumny z rubinów i szmaragdów, takie same, o jakich opowiadasz, także podobno pałac Bazyleusa Teofila zdobiły przed półtora stuleciem, potłuczono je potem i zrabowano drogie kamienie...

Powiedziawszy to, aż się zdziwił, jak się zmieszala Teodora Stefania,

— Naprawdę, grecki to strój? — z trudem wymawiając każde słowo zapytała po dłuższej chwili milczenia.

— Naprawdę, Aronie, grecki to strój? — jak echo powtórzył papież. Przyglądał się Teodorze Stefanii bardzo uważnie. Nagle dotknął klawiszy: wypuścił długą, wysoką, ostrą nutę. Jak gdyby głos trąbki pobudkę grającej. — Zresztą to nieważne, taki czy inny strój — rzekł niedbale i zaraz dodał pospiesznie a wesoło, wyraźnie podniecony: — Więc rabowaliśmy, powiadasz? rabowaliśmy? Jakież to ciekawe! Mów dalej... mów dalej...

Dalej było coraz więcej i więcej trwogi w Teodorze Stefanii, coraz więcej i więcej chciwości w papieżu. Nie było już kolumn, za którymi można się ukryć... ani jednej kolumny! Zakłęcie papieża obalało je jedną po drugiej, miażdżyło, waliło w gruzy, zmieniało w misy pełne niezliczonych drobnych, iskrzących kamyków. — Bierz rubiny, bierz ametysty — woła Sylwester Drugi — zgarniaj, uciekaj, nieś do Lateranu. — Nie boi się zupełnie kusznika. Nie potrzebuje zresztą już się go bać. Nie mierzy już w ich stronę. Powoli obraca się na pięcie,

prześlizguje się wzrokiem po złotolitej szacie siedzącej na tronie królowej i celuje... celuje w króla. — W Ottona celuje! — woła Teodora Stefania. Papież śmieje się. Zakłębem zamienia jedną z mis w worek i pospiesznie, gwałtownie wypycha go rubinami. — Mówię ci, że to są posągi ze złota, przyjrzyj się... Ale takie ładne, że szkoda je rozbijać... Zgarniaj, zgarniaj, szybko zgarniaj, co tylko masz pod ręką... — Aron zgarnia, Teodora Stefania na tronie pełna obawy, że o nią zawadzić może pocisk ognisty kusznika, pospiesznie zamyka oczy... gdy otwiera je, do sypialni wślizguje się już dzień. Otto śpi obok niej boleśnie wzdychając przez sen. — Przywiozłam z sobą worek, Ojcie Najświętszy — kończy swą opowieść Teodora Stefania — jeśli chcesz, bym dochowała tajemnicy, napełnij go przynajmniej szmaragdami.

— A jeślibym rzekł, że widział we śnie, jak ci ścinają głowę, czy mam prosić Cesarską Wieczność, aby uczyniła to istotnie? — zapytał papież tonem drwiącym, wcale się jednak nie uśmiechając.

Teodora Stefania wstała. Znów bosko zeszła z lamparciej skóry.

— Sen odkrył mi tajemnicę chciwości czarodzieja Gerberta, co się nazwał Sylwestrem Drugim — powiedziała poprawiając włosy. — Tak przecież chciwy nie jest na pewno Ojciec Najświętszy, by nie miał zrozumieć, że warto oddać trochę kamieni, ażeby Rzym nie wiedział, jak to namiestnik Piotrowy po nocach wraz z mnichem przybędą rabuje podziemne królestwa.

— Ładne masz włosy, Teodoro Stefanio, ładną okalają głowę. Gdybyś tak, jak mnie znieważasz, znieważyla Cesarską Wieczność, ładna ta głowa, sztuką przedziwną Indii w kamień zamieniona, zdołałaby może już od jutra któryś ze stolików w pałacu cesarskim...

Podniósł się papież, odszedł od organów, zbliżył się do Teodory Stefanii. Prawie dotknął jej ramieniem.

— Miałem cię za mądrą kobietę — rzekł głosem nieco świszczącym i przez to przypominającym Aronowi głos Tymoteusza. — Dlatego, acz niechętnie, przecie się zgodziłem, byś przyjeżdżała tu słuchać muzyki... Ale widzę, że muszę prosić Cesarską Wieczność, byś tu więcej nie przyjeżdżała... Do kogo ty tak przemawiasz, biedne,

głupie zwierzę dwunogie?!... Czy doprawdy tylko łamaniem kości, wrywaniem języków, wytapianiem oczu musi przemawiać do takich, jak ty, majestat? Jakie bzdury napłócił twój język, Teodoro Stefanio! Czyś pomyślała, że z twojej niemądrej, obelżywej opowieści wynika, żeś to przecież ty sama wespół ze mną rabowała podziemne królestwo?!

Teodora Stefania wsunęła nogi w trzewiki. Zaczęła wciągać rękawiczki.

— Dobrze już znam magiczne sztuki Gerberta — zaśmiała się tak samo zuchwale i tryumfująco, jak tuż przed rozpoczęciem opowieści. — Gdym śniła, tyś wiedział, o czym śnię. I żeby zamieszać mnie w sprawę rabunku, zakląłeś postać tego oto — wskazała oczyma na Arona — by na chwilę stał się mną. Tak samoś postąpił ze złotą postacią króla, która wówczas, owej nocy, gdy wyście tam byli naprawdę, naprawdę tylko złotym była posągami. Chciałeś również Pana Cesarza zamieszać zaklęciami w sprawę rabunku. Bo nie uwierzę, żebyś chciał rozbić żelazem głowę prawdziwemu cesarzowi, któremu tyle przecież zawdzięczasz... Czy dostanę szmaragdy?

Tym razem papież się zaśmiał.

— Każdy pojmuje swój sen tak, jak jemu jest najwygodniej — powiedział siadając znów przy organach. — I nie życzę ci, Teodoro Stefanio, bym ja go zechciał pojąć inaczej, może dokładniej, wierniej niż ty sama... Nie nadużywaj mojej miłości do twojego i mojego Pana Cesarza... Odejdź w pokoju, ale powtarzam: niemiło mi będzie zobaczyć cię tu znowu. A szmaragdów, oczywiście, nie dam bo ich nie mam. Ale nie dałbym, choćbym nawet miał: gotowa byś pomyśleć, że naprawdę ukrywam jakąś tajemnicę nieprzystojną i płacę za nierozgłaszanie jej.

Teodora Stefania obróciła się w drzwiach. — Gdy dotknie cię gniew Cesarskiej Wieczności, starcze, na kolanach będziesz błagać, bym zechciała tu ponownie przyjechać. Nie mnie wypędzasz, Pana Cesarza wypędzasz. Nie mnie, Cesarski znieważasz Majestat.

Długo czekała na odpowiedź, wyniosła, wyzywająca, do dalszej gotowa walki. Nie doczekała się. Papież znów grał, jak gdyby jej już

nie zauważał, jak gdyby pustym była miejscem.

Kiedy odeszła, Aron przypadł papieżowi do kolan. Opowieść o śnie napełniła go niepokojem. Boi się, że wśród ciemnej gawiedzi rozejdzie się szeroko gadka o nocnej wyprawie papieża po skarby. Że stanie się bronią potężną w rękę tych, co nienawidzą mądrości Sylwestra Drugiego i zazdroszczą mu miłości, jaką go darzy Cesarska Wieczność.

Papież wyśmiewał się pobłaźliwie z jego niepokojem. Zresztą słuchając Arona zdawał się myśleć o czymś zupełnie innym. Zapytał go, czy istotnie nie mylił się mówiąc, że kusznik we śnie Teodory Stefanii wyglądał tak, jak gdyby greckim był kusznikiem. Aron potwierdził z głębokim przekonaniem: strój kusznika, jego pocisk ognisty, kolumny z kamieni drogocennych, a także i złotolity strój królowej, o czym nie rzekł poprzednio — wszystko to, jak gdyby z greckiej wyjęto księgi opisującej pałac i stroje dworu Bazyleusów.

Sylwester Drugi potarł ręką czoło.

— Przedziwny jest mroczny, tajemniczy świat snów — szepnął. — Może istotnie wart jest takich samych badań umysłu, w uczoneści wprawionego, jak świat dźwięków, świat gwiazd, świat liczb. Czyś zauważył, synu — rzekł z powagą, nawet z lekkim niepokojem — ona, co zielone ma oczy i w zielonych najbardziej lubuje się strojach, w całym swym śnie zielonymi przede wszystkim przejmowała się kamieniami... szmaragdami...

— Bardziej chyba przejmowała się tym, czy nie trafi Jej pocisk kusznika celującego do Cesarskiej Wieczności — nieśmiało wtrącił Aron i od razu przeląkł się swojej zuchwałości.

— Słusznie mówisz: bardziej przejęła się kusznikiem! — z żywością zawołał papież. — Greckim kusznikiem, co mierzy w Pana Cesarza, siedzącego na tronie obok przybranej w grecki strój królowej... Ciemności, Aronie, same ciemności! Czemu jej się śni, że królowa, małżonka Cesarskiej Wieczności, która raz jest nią samą, a nawet potem nie jest już nią — grecki, cesarski, jak powiadasz, nosi strój? Przecież Teodora Stefania wie, że Bazyleusowie stanowczo odmówili Panu Cesarzowi swojej siostry...

Aron zerwał się na równe nogi.

— Ojcie Najświętszy — zawołał blednąc straszliwie — daruj opieszalemu słudze! Zapomniałem rzec, że w południe ukończył przekład tekstu, któryś mi wręczył po powrocie z wyprawy na Cezenę...

Wybiegł wymachując rękoma jak opętany. Wrócił biegnąc, ciężko dysząc, przyciskając do piersi dwa zwitki, z których jeden potargany był, pokłuty, w jednym miejscu powalany krwią.

Zwitek ten wręczył mu papież przed dwoma tygodniami. Aron dobrze sobie zapamiętał ów wieczór: przed pałacem laterańskim rozległ się tętent licznych koni. Sylwester Drugi wszedł znużony, blady, z wyrazem niesmaku, nawet obrzydzenia na twarzy. — Każ, by mi podano wody — rzekł do Arona głuchym głosem. — Muszę obmyć ręce: wciąż mi się; wydaje, jakbym sam krew ludzką przelał...

Nazajutrz Aron dowiedział się, że papież osobiście dowodził wyprawą przeciw zbuntowanym mieszkańcom Cezeny. Przed natarciem, aż do prośby pokornej się zniżając, zaklinał przedstawicieli zbuntowanego miasteczka, by poddali się bez przelewu krwi. Niech nie myślą, że skoro Pana Cesarza ani margrabiego Hugona nie masz w Rzymie, brakuje w stolicy Piotrowej sił, by stłumić bunt. Przed trzema miesiącami zbuntowany Tybur usłuchał zaklinań papieża i pełne uzyskał przebaczenie. Ale Cezena nie poszła w ślady tyburtyńczyków. Z grymasem obrzydzenia i bólu na postarzałej nagle ogromnie twarzy Sylwester Drugi wydał rozkaz uderzenia. Bez hełmu i kolczugi wyjechał na czele zbrojnego oddziału między zasypywane strzałami i kamieniami wąskie uliczki. Powstrzymywał swoich, by nie dopuszczali się okrucieństw, ale surowo dopilnowywał, aby wszystkie jego bojowe wykonano rozkazy. Został lekko ranny, przed nikim jednak po powrocie z tym się nie zdradził, nawet przed Aronem. Wracał do Miasta w mrokach wieczoru, bez dźwięków trąb, bez rozwianych proporców. Zdawał się brzydzić odniesionym zwycięstwem. Aron słuchając opowieści uczestników pochodu żywo przypomniał sobie, co w noc sądu nad Janem Filigatem mówił Gerbert o ciężącym na rodzaju ludzkim kainowym przekleństwie,

nakładającym obowiązek haniebnym wojowania aż dotąd, póki nie zabrzmią trąby archanielskie, póki nie przyjdzie po raz drugi na ziemię w majestacie i chwale Syn Boży.

Ktoś z wojowników papieskich zabrał komuś z obrońców Cezeny wraz z krwią, a może i z życiem, zapisany greckim pismem zwitek. Aron w najwyższym podnieceniu odczytał papieżowi sporządzony przez siebie przekład greckiego tekstu. Nieznany autor listu kogoś nieznanego zapytywał, ile prawdy jest w docierających do Konstantynopola wieściach, że Imperator Otto z dnia na dzień coraz bardziej czuje się osamotniony, że coraz pogłębia się przepaść pomiędzy nim a potężnymi jego lennikami niemieckimi, którzy nie mogą darować cesarzowi, iż coraz bardziej czując się Grekiem, coraz bardziej oddala się od niemieckości swych ojców, coraz silniej jej się wstydy. Autor listu zapewniał tego, do kogo pisał, o swym niezachwianym doń zaufaniu; polecał mu też rozpocząć wiadomymi drogami oddziaływanie na cesarza Ottona, aby ponownie wszczął starania o małżeństwo z Bazyliisą, nie wcześniej jednak, aż niemieccy wielmoże zaczną zupełnie jawnie odpadać od swego władcy.

Sylwester Drugi wziął z rąk Arona przeczytany tekst — sam go odczytał po raz drugi, trzeci i czwarty.

— Píše ktoś sprytny i wiele wiedzący — rzekł drżącym lekko głosem — ale choć wiele wie, wiele też bałamuci.

Jeśli Pan nasz istotnie wstydy się swej niemieckości, to nie dlatego, by Grekiem się czuł, ale Rzymianinem... Pyszni Grecy wciąż wyobrażają sobie, że oni tylko są Rzymianami! I że Cesarska Wieczność, pragnąc być Rzymianinem, stać się musi koniecznie Grekiem! Ale gdyby nie ta królowa ze snu Teodory Stefanii, to ty byś wcale nie wspomniał, że masz już gotowy tekst? — zwrócił się do Arona z wyraźnym niezadowoleniem.

Aron urywanymi słowami zaczął się tłumaczyć, że tak pochłonęły go przygotowania do uroczystego pochodu cesarskiego... i zła pogoda... i radość z nagłego wypogodzenia się... z miłości do prawdy dodał przecież skromnie, że nawet nie sen Teodory Stefanii, ale

dopiero napomknięcie papieża, iż Bazyleusowie odmówili Panu Cesarzowi siostry — jak błyskawicą rozświetliło przyćmioną jego pamięć.

— Rozpocząć wiadomymi drogami oddziaływanie — mruknął papież zaglądając ponownie do tekstu — wiadomymi drogami...

Położył ręce na klawiszach, wygrał znów kilka taktów arabskiej pieśni. Aron nie wątpił już, że muzyka to dla papieża potężny sprzymierzeniec w trudnej walce, gdzie mieczem i tarczą jest myśl. Im dłużej grał, tym bardziej rozjaśniała mu się twarz.

— Przedziwny, przedziwny jest świat snów — powtórzył. — Więc jesteś pewien, że to był grecki kusznik?

— Przysięgam, Ojcie Najświętszy.

— Powiedziałem, by poszła sobie precz z mego domu — wyszeptał Sylwester Drugi do siebie raczej niż do Arona. — Powinna by czym prędzej pójść precz i z cesarskiego też domu...

I nagle oderwawszy ręce od klawiszy, obracając się ku Aronowi całą postacią zawołał nieomal surowo:

— Wraz z namaszczeniem kapłańskim udzieliłem ci prawa, a nawet obowiązku spowiadania. Spełniasz ten obowiązek? Spowiadałeś już kogoś?

— Raz jeden spowiadałem, Ojcie Najświętszy.

— Kogo?

— Przyjaciela mego, Tymoteusza.

Papież z uśmiechem położył rękę na ustach młodego prezbitera. W ruchu tym i w uśmiechu tyle było prawdziwie ojcowskiej serdeczności, że Aron nie mógł powstrzymać cisnących się do oczu łez. Dobrze rozumiał i ruch ów, i uśmiech. Sylwester Drugi chronił ulubieńca przed narażeniem się na grzech gadatliwości. Od razu spostrzegł, że Aron pragnie opowiedzieć mu, co usłyszał w czasie spowiedzi od Tymoteusza; wszak od dawna przyzwyczał się dzielić ze swym mistrzem wszystkim, cokolwiek od kogokolwiek usłyszy. Tego jednak, co mu wyznano na spowiedzi, nie powinien opowiadać nikomu, nawet papieżowi. Dość się już namnożyło niegodnych kapłanów, którzy dla uciechy nieprzystojnej, a przede wszystkim dla

przypochlebiania się królom i książętom zdradzają świętokradczo tajemnice wyznań pokutnych. Niech więc Aron bacznie się wystrzeżga, by nie pójść śladami tych świętokradców. Nie przyjdzie mu to zresztą tak trudno, jak sam sądzi: Sylwester Drugi wie przecież, że do wynurzeń nieustannych popycha Arona nie tyle skłonność przyrodzona do gadulstwa, ile właściwa duszom słabym chęć do przerwania na silniejsze ramiona nieznośnego nieraz ciężaru cudzej tajemnicy. Ze słabością tą jednak swej duszy musi walczyć — walczyć właśnie teraz tym bezwzględniej, im większy wziął na siebie obowiązek wraz z pomazaniem kapłańskim.

Ale choć nie chciał Sylwester Drugi ani słowa słyszeć z tego, co wyznał na spowiedzi Tymoteusz — samo wydarzenie owej spowiedzi zaciekało go bardzo. Badał sposoby, których używał Aron jako spowiednik, skwapliwie dowiadywał się, czy zadawał Tymoteuszowi pytania, czy też ograniczał się tylko do słuchania wyznań. Przede wszystkim zaś dawał wyraz swemu zdumieniu, że oto ktoś przyszedł spowiadać się akurat do swego przyjaciela serdecznego, nadzwyczaj rzadko to się zdarza. — Ja bym niechętnie spowiadał się przed kapłanem, z którym by tak wielka mnie łączyła od lat zażyłość jak Tymoteusza z tobą. A i nasz Wieczny Pan, choć tyle mi zazwyczaj mówi o sobie, nigdy by nie ukląkł przede mną jako przed spowiednikiem... nigdy...

Aron sam zdumiewał się bardzo, gdy Tymoteusz przyszedł do niego prosząc o wysłuchanie spowiedzi i rozgrzeszenie. Co prawda, dwugodzinne wynurzenia Tymoteusza jak najmniej przypominały obrzęd pokutny, taki, jakiego wymagały szczegółowe a ściśle przepisy: Aron nawet niepokoił się, czy nie wykroczył przeciw kanonom udzielając przyjacielowi rozgrzeszenia po tych dwu godzinach wyznań, które niczym właściwie nie różniły się od owych tak częstych dawniej opowieści swobodnych Tymoteusza o przeżyciach związanych z miłością do Teodory Stefanii — opowieści, których słuchał czy to przechadzając się po dziedzińcu klasztoru Świętego Pawła, czy siedząc na ziemi w Gaju Trzech Świętych Strumieni. Sylwester Drugi jednak uspokoił go

zapewnieniem, że jeżeli Tymoteusz klęczał i bił się w piersi w chwili wypowiedzenia słów absolucji, wymaganiom kanonów w pełni stało się zadość. — Przeor od Świętego Pawła mówił inaczej — nieśmiało bąknął Aron. — Kto rządzi Kościołem Chrystusowym, twój przeor, czy ja? — ostro uciął Sylwester Drugi.

Aron zmieszał się, umilkł, ale po chwili znów się rozgadał. Wprawdzie wynurzenia Tymoteusza pełne były szczerzej skruchy, szczerego żalu, nawet wyraźnego wstrętu do siebie w związku z głównym przedmiotem spowiedzi, ale on, Aron, nie jest pewien, nie wie... — Uważaj — zawołał papież — wygadasz się, popełnisz świętokradztwo... Nie jesteś pewien, nie wiesz?! Musisz sam wiedzieć, skoroś został pomazańcem... Chyba żeś nie dorósł... nie dojrzał, by pełnić obowiązki kapłańskie... Czy naprawdę mam żałować, iżem się z tobą pospieszył?!

Nie, Aron nie sądził, że papież ma żałować, iż pospieszył się z pomazaniem go na kapłana. Nie, na pewno nie popełnił świętokradztwa ani nawet lekkomyślności rozgrzeszając Tymoteusza. Szczerota skruchy bowiem nie ulegała wątpliwości ani też moc postanowienia poprawy. Niepokoiła Arona jedynie postawa Tymoteusza wobec własnej duszy: domagał się nie oczyszczenia jej, ale sprawienia, by była taka jak uprzednio, przed zmazaniem się. Po to, tylko po to — jak mówił — przyszedł do Arona. Ów zaś nie był pewien, czy można o duszy, z której zdjęto brzemię grzechu przez absolucję, rzec, że jest właśnie taka, jak gdyby wcale nie tknęła jej grzech. Jak gdyby nie było wcale tego, co było. Głowił się, jakby to wyjaśnić papieżowi, co go niepokoi, nie wdając się w szczegóły wyznań Tymoteusza. Nie mógł jednak dobrać słów, które by odtwarzały wiernie jego myśl — nie mógł przeobrazić wydarzeń w oderwane od przykładów zagadnienia — a Sylwester Drugi zabronił mu przytaczania przykładów. Po raz pierwszy uświadomił sobie Aron, że język jego, choć tak znakomicie ukształcony na wzorach starożytności, wcale nie każdą zdoła wiernie wyrazić myśl.

Tymoteusz przyszedł w dwie godziny po odprawieniu przez Arona pierwszej Świętej Ofiary. Przyszedł z błaganem o pomoc, z pełną

rozdzierającego żalu bolesną skargą, iż oto opuściła go owa przedziwna moc, którą czuł w sobie od dnia grzesznej zabawy w kościele Świętego Wawrzyńca — moc, która tak cudownie przeobraziła, ukształtowała, uszlachetniła, ziarnami mądrości przesyłała prostaczą jego myśl. Czytał, że absolucja udzielona przez pomazańca zmywa wszelkie zmazy na duszy, zaciera wszelkie skazy — niechże więc mu Aron udzieli absolucji, niech go ratuje, niech mu przywróci utraconą moc. Umyślnie czekał tak długo, blisko pół roku — czekał aż do dnia, kiedy Aron dostąpi mocy kapłańskiej obmywania dusz ludzkich owym cudownym sposobem, który sprawia, że nie było tego, co było. Choć bowiem Tymoteusz zdręczał się bardzo od pierwszej chwili, gdy uświadomił sobie, że splamił siebie, że opuściła go przedziwna jego moc, czuł, że nie stać go, by się przed jakimś innym kapłanem zwierzyć z tego, co go dręczy — nie, tylko Aronowi, jednemu Aronowi opowie to tak, jak dotąd tylko jemu jednemu wszystko o sobie jak najszczerzej opowiadał. Aron promieniał dumą: podwójnie czuł się szczęśliwy — dopomoże przyjacielowi i zarazem będzie już miał za sobą pierwszą wysłuchaną spowiedź, pierwsze udzielone rozgrzeszenie. Ale od lat przyzwyczajony bezwzględną szczerością myśli i słowa odpłacać się Tymoteuszowi za szczerść jego wynurzeń, nie mógł nie powiedzieć przyjacielowi, co przyszło mu nagle na myśl, a czym omal że nie odwiódł go od zamiaru spowiadania się.

— Przecieżeś sam tylokrotnie opowiadał, że to od Teodory Stefanii spływała rozpierająca ciebie moc, nieprawdaż? Mniemałeś, że rodzi się z miłości, jaką Teodora Stefania żywi do ciebie. Ale oto okazało się, że jest inaczej, niżes mniemał, że ona ciebie nie miłuje, więc może moc, jako prawnie tobie się nie należąca, wróciła do swojego źródła.

Tymoteusz przybladł. Zagryzł wargi, zacisnął pięści. Rozpacz i ból malowały się w silnie zmrużonych oczach, gdy jednostajnym, długo powtarzającym się ruchem wcierał lewy policzek w wysoko podniesione ramię.

— Więc nawet moc twoja kapłańska nie zdoła mi dopomóc? —

wyszeptał z sykiem i świstem. Aron bezradnie rozłożył ręce.

— Mogę odpuścić każdy grzech, którego źródłem twoja wola lub omamienie szatańskie, ale...

— Nie masz słuszności, nie masz słuszności! — gwałtownie, radośnie przerwał mu Tymoteusz. Policzek oderwał się od ramienia, w oczach zapłonęły iskry zadowolenia, ba, szczęśliwości — przeciągnął się nawet, wyraźnie się rozkoszując, upajając ciepłem i blaskiem nowej myśli, która go nagle olśniła.

— Niedouczony jeszcze z ciebie lekarz dusz, wielbny ojciec Aronie — zawołał tryumfująco. — Obmacujesz chorego nie tam, gdzie go boli... Zważ, proszę: powiadasz, że moc moja musiała wrócić do swojego źródła, gdy okazało się, iż inaczej jest, niż mniemałem... gdy odkryłem, że mnie nie miłuje... Ale przecież ona mnie nigdy nie miłowała; nawet wówczas, gdy mniemałem, że miłuje, więc już wówczas owa moc, jak powiadasz, nie należała mi się prawnie, jeśliby istotnie od niej miała spływać... A więc nie od niej spływała, nie od niej...

— A może spływała z twojej wiary w jej ku tobie miłość? — niepewnie, nieśmiało zapytał Aron.

Tymoteusz zaśmiał się. Uderzył lekko Arona po ramieniu, wcale zdając się nie pamiętać o kapłańskiej godności przyjaciela. Przecież rok już minął od rozmowy z Teodorą Stefanią w świątyni Fortuny, poczucie zaś utraty przedziwnej mocy nawiedzać poczęło Tymoteusza dopiero w późnych miesiącach letnich, dopiero po zabawie chłopców i dziewcząt z możnych rodów rzymskich nad stawem opodal drogi Appijskiej.

Ojcowie i starsi bracia poszli z Ottonem poza Alpy albo radzili pod przewodnictwem Jana Teofilakta nad przywróceniem dawnych zwyczajów, tak miłych sercu Cesarskiej Wieczności. Matki pokrzykiwały na młodsze rodzeństwo w kamiennych i ceglanych zameczkach w Mieście, a przeważnie poza Miastem — zameczkach rozrzuconych po wzgórzach, dolinach i wąwozach od morza do Spoleta, od Tusculum i Tybru aż po Benewent nieomal i Kapuę, spod których także zjechało na zabawę kilkoro hrabianek i hrabiów

longobardzkich, spokrewnionych z Krescencjuszami, Tuskulańczykami i rzymskimi Niedźwiedziami. Tymoteusz był najstarszy z całego grona. Szczerze wyznał Aronowi nie domagając się nawet przestrzegania tajemnicy spowiedzi, że zmieszał się z tą wesołą gromadą dziewcząt i wyrostków nie tyle gwoli zabawie, ile dla przekonania się, czy można na nich liczyć poważnie w razie jakiejś ruchawki przeciw Sasom. Na moc dziewcząt liczył nie mniej niż na silne ręce chłopców: w łóżu Hugona, Hermana, Kunona, Henryka, Dediego nie gorzej można było przysłużyć się sprawie nienawiści i pogardy do Sasów niż udziałem w poważnym nawet rozlewie niemieckiej krwi. Papież nie bezpodstawnie doradzał Aronowi, aby przestrzegł przyjaciela, iż łatwo może stracić głowę; Sylwester Drugi nie był Grzegorzem Piątym: nieskory do miecza i sądu, nie dałby się przecież zaskoczyć. Aron zrazu nie mógł dociec, o co właściwie Tymoteuszowi chodziło: czyżby jednak zamierzał korzystając z nieobecności Ottona w Rzymie pokusić się o odzyskanie Teodory Stefanii?! Mylił się: z całej sprawy miłowania pozostała Tymoteuszowi tylko uraza do cesarza, która rychło zlała się w jedno z pogardą i nienawiścią Rzymian do niemieckich barbarzyńców. Cóż stąd, że ongiś Grzegorz Piąty, powołując się na księgi opata Widukinda, usiłował przekonać Tymoteusza, że wszystkie owe rody — Tuskulańczycy, Niedźwiedzie, Krescencjusze — nie są żadnymi Rzymianami, tylko Longobardami, takimi samymi wnukami nienawistnych Rzymowi barbarzyńców jak Sasi: szlachetnie urodzona młodzież longobardzka uważała siebie za Rzymian, tym samym mówiła językiem, co całe Miasto — nie rozumiała mowy Franków i Sasów, których nienawidziła i wyśmiewała; przede wszystkim zaś wyśmiewała Ottona, a po trosze i papieża Sylwestra: wyśmiewała ową cześć nabożną, zaiste barbarzyńską cześć, z jaką obaj władcy Rzymu odnosili się do wszystkiego, co przypominało starożytność. Owych niepiśmiennych chłopców i nie umiejące nawet „Ojcze nasz” dokładnie powtórzyć dziewczęta radosną napawało dumą poczucie, iż oto swobodnie, beztrosko depcą jak kamienie przydrożne złomy kolumn i szczątki posągów, które barbarzyńscy przybysze z Północy czczą

jako świętość. Byli u siebie w domu w owym Rzymie, w którego granice nigdy nie wjeżdżał Otto bez drzenia! Z taką samą obojętną twarzą, jak po oborze lub stajni ojcowskiej, włączyli się po wszystkich zakątkach Pałatynu, Eskwilinu i Pola Marsowego, Forum Trajana i Forum Romanum: tam, gdzie papieżowi wraz z wierszem starożytnym pełne czci wyrywało się westchnienie, im się tylko pożądania lub zmęczenia miłosnego wyrywały westchnienia. Szesnastolatki upajały się swą mocą — mocą prawdziwie nieodrodnym panów tej ziemi; nigdy zaś i nigdzie tak silnie, jak w gromadzie wesołej, która otoczyła staw opodal drogi Appijskiej. Byli między sobą: a między sobą wolno im wszystko. Wobec barbarzyńców Północy, równie jak wobec gminu rzymskiego, podle urodzonego, uważać musieli na każdy nieomal swój krok, każde słowo — od rana do nocy należało się pilnować, by nie uchybić w niczym rodowemu dostojeniu. Jakże upokarzała ich konieczność przejścia na oczach pospólstwa kilkudziesięciu kroków boso w czasie pokutnej procesji wielkopiątkowej; nic bowiem tak nie poniża jak nogi z obuwia wyzute — bo czyż może być dobitniejsze znamię biedoty, a przeto i przynależności do stanu podłego, niż brak obuwia, choćby chwilowy nawet? Ale nad stawem opodal drogi Appijskiej wszyscy radośnie pozrzucali z siebie trzewiki, chłopcy i dziewczęta; upajali się, iż mogą swobodną nogą dotykać chłodnawego łona ziemi, nurzać stopy w piasku, a zaraz potem w wodzie; cieszyli się, gdy w palce i pięty wżerał się żwir, kłuły ostre krzewy, parzyła pokrzywa. Zrzucali zresztą nie tylko obuwie: wesoło przechwalali się przed sobą wzajem okrągłością łydek i ramion, bujnością dziewczęcych i siłą chłopięcych piersi, nadstawiali plecy strumieniom blasku słonecznego, co szybko je różowił, a potem złościł. Cioteczna siostra Krescencjusza zrazu słowami, uśmiechami, potem własnym przykładem skłaniała Tymoteusza, by między swoimi nareszcie się znalazłszy takim zechciał być jak oni wszyscy. Trzęsącą się nieco ręką i zamglonymi oczyma wskazywała mu na szczęśliwie śmiejące się pary, jedna po drugiej znikające między gęstymi krzewami lub we wnętrzach prastarych grobowców.

Dziewczęta, które ze wstrętem myślały o czekających je łóżach panów saskich i frankońskich — ślubnych nawet łóżach — ochoczo, beztrosko, pospiesznie oddawały siebie braciom stryjecznym lub ciotecznym, nagłym skurczem palców wymowniej przyświadczając potędze uroków życia, niż ryte w kamieniach lub marmurze żałobne napisy, z których nagie plecy ścierały proch wieków. Proch ów zmywały z siebie dziewczęta pluskając się w stawie, opryskując się wesoło wodą i śmiechem zwierzeń o zgłębionych przed chwilą tajnikach radosnej miłości.

Zmierzch już zapadł, gdy Tymoteusz wchodził do stawu. Nie było przecież jeszcze aż tak ciemno, by nie miał możliwości przyznać, że Teodora Stefania mówiła prawdę o urokach ciała ciotecznej siostry Krescencjusza. Po raz pierwszy od zabawy w kościele Świętego Wawrzyńca doznał uczucia, że oto toczy się ze stromego górskiego zbocza. Wyciągnął ponad wodą ramiona, innych szukając ramion. Cioteczna siostra Krescencjusza tuliła się doń z radosnym mruzeniem, po szyję stojąc w wodzie. Gdy wychodzili ze stawu, grobowce już srebrzyła poświata księżycowa — ale oni nie czuli wieczornego chłodu. Zanim woda na nich obeschła, oddała mu siebie, a raczej wzięła go sama, głucho pomrukując, że tak jak teraz nigdy z nią jeszcze nie było i nigdy chyba już nie będzie.

— A wraz z miłością wzięła mi moją moc przedziwną, czy możesz mi ją zwrócić, ojcie Aronie? Czy możesz sprawić, by tego, co było, nie było?

Aron polecił Tymoteuszowi uklęknąć. Zapytał drżącym, rwącym się głosem, czy kajając się obiecuje poprawę — czy ma szczerą wolę niepowracania do grzechu, o którego odpuszczenie prosi? Tymoteusz niespodziewanym śmiechem zakłócił powagę obrzędu. Czy ma szczerą wolę?! Ależ nie tylko wolę najszczerszą, ma pewność niezachwianą, niezbitą, że nigdy ponownie nie przydarzy mu się nic, co by mogło przyprawić o zmazę pozbawiającą mocy przedziwnej. Niechże więc Aron będzie spokojny: nie udziela rozgrzeszenia lekkomyślnie. Jeżeli będzie jeszcze kiedykolwiek spowiadał Tymoteusza, nie usłyszy z ust jego — nigdy, przenigdy nie usłyszy —

wyznań, podobnych do tego, jakie teraz usłyszał. Nigdy nie pozwoli sobie Tymoteusz na to, aby zbliżyła się do niego jakaś kobieta. Nie pozwoli ponownie wydrzeć sobie mocy przedziwnej. Nikomu nie pozwoli.

Aron jednak znów był pełen niepokoju. Przecież Tymoteusz nowy popełnia grzech — grzech zbytniego zadufania w siły własnej duszy. Powiada, że nigdy nie pozwoli, nikomu nic pozwoli... Czy także i Teodorze Stefanii?

Tymoteusz nie od razu odpowiedział. Bez wzruszenia, ale z powagą, w skupieniu rozważał ostatnie pytanie. Badał swą duszę, wsłuchiwał się w siebie. Bez wzruszenia też, ale również z powagą i w skupieniu, powiedział wreszcie, że choć istotnie Teodora Stefania ponętną jest kobietą, ponętniejszą niż siostra cioteczna Krescencjusza, niż wszystkie inne znane mu kobiety — przecież i ona nie zdołałaby już go skłonić, by zbliżył się do niej, by naraził się na utratę ponowną wróconej mu przez kapłaństwo Arona mocy. Zresztą nie sądzi, aby mu kiedyś zagroziła możliwość takiej pokusy: od czasu rozmowy w świątynce Fortuny dobrze wie, co ma sądzić o stosunku Teodory Stefanii do niego. Nie wyklucza wprawdzie, że demony zazdrosne o rozpierającą go moc będą próbowały kusić jego duszę obrazem Teodory Stefanii w snach i rojeniach, ale od tego przecież ma przyjaciela, dostojnością kapłańskim namaszczonego, by ów go wspierał potęgą swych modłów w walce zaciętej z demonami.

— Muszę ci jeszcze jedno zadać pytanie — rzekł Aron spuszczać oczy. — Czyś w objęciach tej kobiety nie myślał o Teodorze Stefanii?

— Nie myślałem. Na pewno nie myślałem. O niczym chyba wówczas nie myślałem. W objęciach kobiety o niczym się nigdy nie myśli, ojcze świątobliwy.

Z trudem tłumił Tymoteusz cisnący się na wargi uśmiech. W twarzy jednak Arona taka malowała się powaga, taka czujność, że to go zastanowiło. Pełnym zdumienia głosem począł dochodzić, czemu go o to Aron pyta: czyżby dopatrzeć się mógł w tym jakiegoś grzechu nowego, gdyby Tymoteusz istotnie marzył o Teodorze Stefanii inną

obejmując kobietę?

Aron potakująco skinął głową. Tak, mniema, że byłby to grzech — grzech krzywdy myślą popełnionej, grzech oszustwa... Nie umiał jednak dobrać słów, które by poważnie, jak przystało na obrzęd spowiedzi, wyraziły jego myśl o tym, że przecież ta kobieta, oddając siebie wówczas Tymoteuszowi, właśnie siebie, tylko siebie chciała mu oddać... Udało mu się natomiast inną przełożyć na poważne słowa myśl: oto Tymoteusz wciąż myśli i mówi o mocy utraconej, ale czemu nie pomyślał ani przez chwilę że jeszcze poza tym przecież czymś się zmazał: nie uchronił od popełnienia grzechu innej duszy, nie tylko swojej — duszy, o ileż mniej oświeconej niż jego własna...

Tymoteusz przyglądał mu się ze zdziwieniem, prawie takim, jak przed pięcioma laty, gdy w bazylice Świętego Pawła usłyszał od nieznanego wyrostka w mniszej szacie, że z Irlandii przybywał, że pod żaglami pływał.

— Dziwne, dziwaczne masz myśli, ojcze Aronie — szepnął — albo ja ciebie nie rozumiem, albo ty mnie. Przecieżem rzekł, że to ona mnie wzięła; jam zrazu wcale nie miał zbytniej na miłość ochoty.

— Tak, to ty mnie nie rozumiesz — ze smutkiem odparł Aron — widocznie nie umiem dobrze wyrażać swych myśli. Czymeś jeszcze obraził majestat Boży, bracie Tymoteuszu?

Otrzymawszy rozgrzeszenie Tymoteusz cały promieniejąc począł zapalczywie całować Aronowi ręce.

— Czuję ją, swoją moc przedziwną, znowu czuję ją w sobie — wołał radośnie, prawie nieprzytomnie. — Oto we mnie wchodzi, przepływa, wzbiera. A tego, co było, nie było — nie było — nie było!

Aron długo po jego odejściu nie ruszał się z miejsca. Wciąż myślał o siostrze ciotecznej Krescencjusza, o krzywdzie, jaką wyrządził jej Tymoteusz nie przeciwstawiając się popełnieniu wespół z nią grzechu nieczystości. Zaczynało mu się wydawać, że ją widzi, słyszy jej głos, jej mruczenie, przymilne, tkliwe w wodzie — głuche, nieprzytomne na trawie... Nie tylko ją zresztą widział i słyszał — zdało mu się nagle, że oto tu, tuż obok rozlega się szum wesoły beztroskiej zabawy. Wyraźnie słyszał koło siebie szelest bosych nóg po żwirze lub trawie

sunących. Słyszał plusk wesoły wody, okrzyki radosne i śmiechy. Widział gromadę rozbawioną, rozpoznał postacie chłopaków i dziewcząt mocujących się ze sobą, kąpiących się w stawie, spieszących parami ku pokrytym pleśnią i prochem grobowcom. W świetle księżycy dojrzał oddalającego się samotnie Tymoteusza. Oczy miał pełne radości nieprzytomnej, jak w owej chwili, gdy usłyszał słowa rozgrzeszenia. Im większym szmatem drogi przebytej odgradzał się od gromady krewniaków, tym większa zdawała się go przepęłniać szczęśliwość. Ale istotnie, odgrodenie się to radowało go już wtedy, gdy zgodną gromadą bili go nielitościwie stryjowie i bracia stryjeczni. Aron nagle głośno powiedział: — Głupcem jest Tymoteusz. — Zdziwił się swojemu głosowi, ale wnet powtórzył w myśli: „Tak, głupiec”. Nie dlatego, iż oddała się od siostry ciotecznej Krescencjusza, nie. Ale czyż to nie radość, nie szczęście być w gromadzie? W gromadzie swoich? W gromadzie dumnej ze swej pańskości, z prawowitości jedynej, niespornej zadomowienia się w Mieście światowładnym? W gromadzie, która — gdy chmurą czarną nadciągną Sasi, wnet się w zbrojną zamieni drużynę, witającą zbiorowym śmiechem męskim i dziewczęcym grozę śmierci i niewoli. Nie, tylko śmierci, niewoli nie będzie. Grobowce schodzą z miejsc, zbijają się w mur potężny — roześmiani chłopcy spoza muru sypią z łuków i proc gradem strzał i kamieni, które im podają roześmiane, półnogie, bose dziewczęta. A gdy zabraknie strzał, zostaną dwa miecze — to wystarczy, by pozabijać nie przestające się uśmiechać dziewczęta, a potem siebie... Ciała chłopców będą padać na trupy dziewcząt — zlewać się z sobą będzie ich krew szlachetna, jak przedtem zlewały się ciała w miłosnym uścisku... Jakże to się dzieje, że chłopaki niepiśmienne i dziewczęta „Ojciec nasz” do końca nie umiejące wypowiedzieć, zdołali sięgnąć do ksiąg filozofów i wyczytać „Nie boimy się śmierci: póki my jesteśmy, jej nie ma; gdy ona jest, nas nie ma”... A Tymoteusz odszedł — nie rozumie, niemądry, rozkoszy, jaką daje możliwość zlania się z gromadą, której wszystko wolno, gdy jest się między swymi, i która za prawo to, by wszystko im między sobą wolno było, zapłacić gotowa ochoczo krwią, beztróska gromadnie przelaną.

Aron zerwał się. Czy śnił? Nie, nie zasypiał, na pewno nie zasypiał — to były rojenia na jawie. Przeraziły go. Pamięć o nich zadręczała go przez wszystkie dni przygotowań do święta Romulusa — grzeszne to były rojenia, wiedział to, ale czuł zarazem, że były rozkoszne, tak rozkoszne, jak chyba żadne dotąd. Słuchając opowieści Teodory Stefanii o śnie, jaki miała, pomyślał w pewnej chwili, że wraz z całą ową gromadą roześmianych chłopców i dziewcząt chętnie by odbył wyprawę w podziemne królestwo — odważnie by uderzył na kusznika greckiego, sięgając po miecz, który by mu podała jakaś rozczochrana, złotowłosa, zielonooka, półnaga, bosa, szlachetnie urodzona dziewczyna. Podawałaby mu broń śmiejąc się i szepcząc: „Tyś nasz. Nie bój się, uderz, wszyscy zgodną gromadą przy tobie stoimy...”

Ale potem znów ogarnął go lęk — znów czuł, że grzeszy. I gdy papież zabraniał mu opowiadać o spowiedzi Tymoteusza, nie mógł Aron opędzić się myśli, że przecież to najlepsza okazja, aby opowiedzieć o swoich rojeniach: wszak jego samego dotyczą, nie Tymoteusza — nie będzie więc to już zdradzanie tajemnic na spowiedzi usłyszanych, ale własna jak gdyby spowiedź. Sylwester Drugi zrazu i o tym też nie pozwalał mu mówić — myślał, że słowa Tymoteusza powtarza. Ale gdy dostrzegł, o co Aronowi chodzi, zaczął słuchać z wielkim skupieniem. Szczególnie uważnie przyjrzał się ulubieńcowi, gdy ów rozedrganym głosem wyrzucił z siebie słowa: — Póki my jesteśmy, nie ma śmierci; gdy ona jest, nas nie ma... — Położył mu rękę na głowie i znowu z serdecznością prawdziwie ojcowską rzekł:

— Ogromnie boisz się śmierci, nieprawdaż? — Ale potem mu już nie przerywał aż do końca opowieści. Kiedy zaś Aron skończył, Sylwester Drugi zapowiedział mu bardzo poważną rozmowę o tych rojeniach. Nie teraz jednakże, gdyż obecnie chciałby z nim pomówić o czymś innym.

Podniósł się. Zaczął się przechadzać. Zatrzymał się przy jednej z lamp, by poprawić knot. Pokryte jednak guzami starcze palce okazały się za mało zręczne — lampa zgasła. Aron skoczył pomagać, ale papież go powstrzymał. — Głowa twoja mi teraz potrzebniejsza niż

ręce — rzekł. — Czy nie zawiodę się na niej, Aronie, jakem dotąd się na tobie nigdy nie zawiódł? Chcę ci powierzyć coś bardzo poważnego, chcę, byś wypowiedział dzisiaj Cesarską Wieczność.

Aron oniemiał. On miałby spowiadać Ottona? Przed nim miałby zgiąć kolana Cezar Augustus, pan świata, uważający swój majestat za Bożego cząstkę majestatu?!

Papież należycie zrozumiał niemą wymowę wylęknionych oczu ulubieńca. Z naciskiem powiedział, że właśnie przed nim, tylko przed nim, mnichem przybłądą, prezbiterkiem dopiero wyświęconym, zgiąć może zechce kolano potężny Imperator. Przed nikim innym.

Otto dawno się nie spowiadał. Twierdził, że gdy uwolni się nieco od obowiązków, jakie nakłada na majestat cesarski odnawianie Rzeczypospolitej Rzymskiej, uda się do pustelni na moczarach podraweńskich i otworzy swą duszę przed świętym pustelnikiem Romualdem. Nikt inny bowiem w chrześcijaństwie całym nie jest godzien, by ukorzył się przed nim w kajaniu majestat Ottonowy, który Bożego jest cząstką majestatu. Na próżno przedkładał papież, iż powszechne nastąpiłoby zgorszenie, gdyby cesarz zaniedbał spożycia Ciała i Krwi Pańskiej w okresie świąt Bożego Narodzenia — Otto twierdził, że jako najdostojniejszy z pomazańców Bożych na całym okręgu ziemskim może dostąpić łaski Eucharystii bez uprzedniego odbycia spowiedzi, o czym z kolei papież nie chciał słyszeć, poważnie przestrzegając Cesarską Wieczność, że bliska jest herezji. Otto swoim zwykłym trybem wpadł w nieprzytomny gniew: krzyczał, że namiestnik Chrystusowy na ziemi, Imperator, ma prawo do bezpośredniej łączności z majestatem Bożym... że nie popuści uroszczeniom niższych odeń dostojęństwem namiestników apostoelskich... Tym razem jednak Sylwester Drugi przejawiał nieustępliwość, przypominającą Grzegorza Piątego. — Jeżeli Twoja Cesarska Wieczność twierdzi, że ma prawo do bezpośredniej łączności z majestatem Bożym, to niech uprosi Trójcę Najświętszą, by aniołowie bezpośrednio znieśli twemu majestatowi z niebios Ciało i Krew Pańską. Z moich rąk bez spowiedzi Eucharystii nie otrzymasz. — Otto na przemian błagał i groził, tupał nogami i tarzał się po lamparciej

skórze — wreszcie oświadczył, że wypowiada się, że natychmiast wyśle kanclerza-arcybiskupa Heryberta do Rawenny, by sprowadził pustelnika Romualda. Papież z uśmiechem wzruszył ramionami. Wyraził przypuszczenie, że nawet głos trąb archanielskich nie skłoniłby prawdopodobnie Romualda do opuszczenia pustelni. — Więc nie będę się spowiadać — ze łzami gniewu w oczach powiedział Otto. — Więc nie dostaniesz Komunii Najświętszej — sucho odparł papież.

Przez kilka dni nie rozmawiali z sobą. Nie widywali się wcale. Otto nie przyjeżdżał do Lateranu dzieląc swój czas między Teodorę Stefanię a Jana Teofilakta, który szczegółowo powiadamiał cesarza o przebiegu przygotowań do uroczystości Romulusowych. Ale gdy spadł śnieg, Otto wysłał kanclerza Heryberta do Lateranu z żądaniem, by Sylwester Drugi natychmiast stawił się w pałacu cesarskim. — Nie czuję się zdrów, nie opuszczę domu w taką pogodę — oświadczył papież Herybertowi. Nie upłynęła godzina, a witał już Ottona u siebie. Z wyraźnym niepokojem w szeroko rozwartych oczach cesarz zapytywał Sylwestra Drugiego, czy to możliwe, aby opaci i przeorzy rzymscy ośmielili się uchylać od modłów o pogodę. — Wiem na pewno, że tak jest — powiedział papież. Otto zaczął miotać się po komnacie, drąc w strzępy srebrno tkane frędzle, które ozdabiały błękitną jego szatę. — Wezwij dzisiaj ich wszystkich do siebie, nakaż surowo modły, a uchylającym się zagroź klątwą — zawołał rozkazująco. Papież wzruszył ramionami, odrzekł, że nie zagrozi nikomu klątwą, bo nie chce narażać na ośmieszenie powagi majestatu Piotrowego: jest bowiem głęboko przekonany, że rozkazu jego klasztory nie usłuchają. — Nie usłuchają? — krzyknął Otto uderzając pięścią o pięść — ośmielą się nie usłuchać? Ośmielą się obrazić papieża? Mojego papieża?! — Zaśmiał się. Zatarł ręce z ożywieniem i prawie radośnie. Oświadczył, że gdyby tak się stało, jak papież powiada, majestat cesarski urozmaici uroczystości Romulusowe takim widowiskiem, wobec którego stracenie Krescencjusza wydawać się będzie lekką rodzicielską chłostą: Rzym ujrzy wieńce szubienic wokół kolumny Trajana i kolumny Marka Aureliusza, szubienic, na których

chwiać się będą w szatach sakralnych wszyscy oporni opaci i przeorzy. Niech Miasto i świat zadrzą ze zgrozy błogosławionej na widok kary straszliwej, jaką majestat Boży rękoma namiestnika swego, Imperatora, wymierzy niegodnym, niewiernym włodarzom: Grzegorz Piąty słusznie chłostał ich świętym powrozem, z ręki Zbawiciela przejętym, ale chłosta nie wystarcza: on, Otto, okręci powróż dokoła ich szyi.

— Wówczas powiesz także i mnie z kluczami złotymi w ręku — spokojnie powiedział papież — bo ja się wcale nie dziwię ich oporowi. Słusznie nie chcą prosić Boga o sprzyjanie obchodowi, o którym myślą, że pogańską jest uroczystością.

Otto spojrział na niego ze zdumieniem, z niepokojem, prawie już z lękiem. Jakże to? Przecież właśnie papież go namawiał — goręcej niż ktokolwiek namawiał na wskreszenie święta Romulusa! Czyż nie on sam zapalczywie przekonywał, iż będzie to wspaniała okazja do przypomnienia Miastu i światu o niezmiennej, nieśmiertelnej żywotności majestatu Romy, ucieleśnionego w majestacie błogosławionym Cezara Augusta Ottona?

— Rzekłeś: „W majestacie błogosławionym”. Słusznieś rzekł. Ale przez kogo błogosławionym? Czy przez bogów, co bogami byli Romulusa, założyciela Miasta? Nie, nie przez nich, ale przez Boga w Trójcy Jedynego, tego, którego Romulus nie znał. A jakże zdołasz przekonać nieufnych mnichów, nienawidzących wszystkiego, co starożytność przypomina, iż oto nie bogowie Romulusa, ale Trójjedyny zlewa błogosławieństwo na twój majestat? Powiedz mi, panie mój i synu najmilszy, jak ich przekonasz?

Otto zaśmiał się, ale niepewny był to śmiech, niespokojny.

— Czyż nie wiedzą, że jestem pobożnym chrześcijaninem? Żem umartwiał się i pokutował żarliwie czterdzieści dni i tyleż nocy w pieczarze? Żem swój diadem cesarski złożył do stóp świętego pustelnika, najkorniej błagając go o błogosławieństwo? Żem sam chciał oddalić się do pustelni?

— Wiedzą, żeś w okresie najdostojniejszych świąt Narodzenia Zbawiciela nie chciał pokrzepić duszy swojej Ciałem i Krwią Pańską...

Ottonie, Ottonie, zaiste ty i ja razem to jak gdyby Penelopa, szatę godową tkająca i potem prująca... Ilem się namordowałem, synu, walcząc z mniemaniami, że Imperium Rzymskie i wszystko mądre, piękne a potężne, co ono stworzyło, to demonów dzieło obmierzłe; ilem trudu myśli i słowa włożyłem w to, by oświecać ciemnych, że na dziedzictwo majestatu starej Romy — dziedzictwo, w twojej, w twojej przeciwieństwie, synu, osobie najgodniej ucieleśnione — nie przekleństwo, ale błogosławieństwo Trójjedynego spływa; ty zaś mi tylko przeszkadzasz, synu — niemądrym, pysznym, dziecinny uporem prujesz to, co z trudem takim utkały z dnia na dzień, z nocy na noc coraz to słabsze, coraz to mniej wprawne, starcze moje ręce... Przecież gdy składać będziesz diadem swój u stóp wilczycy, co Romulusa wykarmiła, nikt nie zechce pamiętać, żeś go już składał pobożnie u stóp pustelnika świętego... Nikt, słyszysz? Nikt, jeżeli nie zechcesz wszystkim przypomnieć o swojej pobożności, z żarliwością Ciało i Krew Pańską spożywając...

Otto słuchał ze spuszczonej oczyma, z trzęsącymi się wargami, splatając i rozplatając w podnieceniu długie, chude ręce. Drżącym, prawie łkającym głosem odparł, że jeżeli papież, jak sam powiada, tak czci potęgę majestatu Romy i wierzy, iż szczególne na nią spływa błogosławieństwo Boże — czemuż nie zechce Imperatorowi, wcieleniu tak wielkiej potęgi przez Boga błogosławionej, przyznać prawa spowiadania się przed samym Bogiem, nie zaś przed pośrednikiem, niezdolnym może nawet zrozumieć, jaką potęgę — błogosławioną potęgę — ucieleśnia w sobie ten, komu rozgrzeszenia udzielić może ów pośrednik, który, choćby opatem był czy arcybiskupem, nędznym przeciwieństwie jedynie jest cieniem przed obliczem światłości oślepiającej majestatu cesarskiego, cząstki Bożego majestatu? Czyż otwierając swą duszę przed poddanymi, nie poniży siebie majestat? Jeżeli królom żydowskim nie pozwalał Zakon spoglądać poprzez drzwi komnaty, co się „Święte Świętych” nazywała — jakże może namiestnik Piotrowy pozwolić byle komu zaglądać do duszy namiestnika Chrystusowego, Cezara Augusta?!

— Wcale nie byle komu — odpowiedział papież — niech cię

wyspowiada arcybiskup Herybert albo Arnulf, albo sam opat Leon.

Otto wzgardliwie wydał wargi. Rzekł, że wymienieni przez papieża — jak wszyscy inni zresztą w chrześcijaństwie całym — to proch przed majestatem cesarskim. Nie przed Ottonem, synem Ottona i Teofanii — nie, cesarz czci święty stan kapłański i nie pyszni się sobą, duszą swoją — ale proch przed Ottonem, Panem Imperatorem, Cezarem Augustem, najdostojniejszym pomazańcem Bożym spośród wszystkich, jacy istnieją na okręgu ziemskim. Jeżeli w obecności pierwszych panów Imperium nie zdejmie cesarz rękawiczki nie mając pewności, czy zupełnie czystą kryje ona dłoń — bo nie wolno oczom zwykłych śmiertelników, choćby najdostojniejszych, ujrzeć, że coś kala ciało Pomazańca — jakżeż może ktoś zuchwałymi oczyma wpatrywać się w grzech, co kala duszę Pomazańca?! A jeżeli papież sądzi, że pomazanie chroni duszę przed skalaniem się grzechem, czemuż wymaga od niego, by spowiadał się? Czemu nie udzieli mu Komunii Najświętszej bez spowiedzi?

— Zbawiciel, Syn Boży — szepnął papież — żadnym nie był skalany grzechem, nawet pierworodnym, a jednak poprosił Jana o chrzest, wszedł w wody Jordanu... Zresztą, mój synu — powiedział z drwiącym uśmiechem — gdybym nawet wpadł w obłądną herezję i uwierzył w bezgrzeszność twojej duszy lub w twe prawo do spowiadania się przed Bogiem bezpośrednio — wyobraź sobie, jakie bym wywołał wzburzenie udzielając ci Komunii Najświętszej bez spowiedzi... wzburzenie przeciw sobie, którego i bez tego wielu ma za czarownika z demonami zaprzyjaźnionego — i przeciw tobie, o którym wszak szepcą tu i ówdzie, żeś tak się w dziedzictwie starej Romy rozmiłował, iż chyba bogom jej po kryjomu służysz...

Otto ukrył twarz w dłoniach. Chude, kanciaste ramiona poruszały się gwałtownie. Lśniącym śniegiem spadały na posadzkę srebrne nici wyszarpywane z frędzli. Pod cieniutką skórą obuwia kurczyły się boleśnie długie, cienkie palce.

— Jakżeż mogę otwierać swą duszę przed tymi, co od lat nie inaczej mi patrzą co dzień w oczy, jak z pokorą i prośbą o łaskę rozkazu? — jęknął głucho.

— Wcale nie musisz się spowiadać przed kimś z tych, którzy ciebie co dzień od lat otaczają. Możesz pokajać się przed kapłanem, który w najgęstszym stoi cieniu, jak najdalej od blasków światłości twego majestatu. Przed byle kim.

Otto zerwał się z miejsca.

— Słusznie mówisz, mądrze mówisz — ożywił się, przeobraził cały. — Wynajdź jakiegoś nędznego mnicha, takiego, którego samo ukłęknięcie moje przed nim tak olśni i oszołomi, jak gdyby słońce do stóp jego przypadło... Im mniej będzie znaczył, tym lepiej: zrozumie, że nie przed jego nicością się skłaniam, ale przed majestatem Bożym, który nie jego nędznej osobie, ale kapłaństwu jego udzielił mocy odpuszczania grzechów, nawet grzechów samego cesarza... I nie tylko on sam, wszyscy rozumieją, że dlatego kaja się cesarz przed najlichszym, najpodlejszym spośród sług Bożych, bo nie masz w Kościele takiej osoby, co by sama przez siebie godna była łaski, aby ukorzył się przed nią święty majestat cesarski... Kiedy mam się spowiadać? Dzisiaj? Zaraz? Jestem gotów: Idź, odzyskaj jakiegoś nędznego mnicha...

— Nie zaraz i nie dzisiaj — odrzekł papież z trudem tłumiąc wzruszenie — ale gdy nadejdzie pogoda, gdy dokonać będziesz mógł tryumfalnego wjazdu do Miasta, co padnie na kolana przed twym majestatem. W dniu bowiem uroczystego pochodu na Kapitel przyjmiesz z rąk moich w bazylice Piotrowej Eucharystię — wieczorem więc przed tym dniem wyspowiadasz się. Ale musisz mi przysiąc na świętego męczennika Wojciecha Adalberta, że nigdy, przenigdy gniewem swym ścigać nie będziesz kapłana, przed którym otworzysz swą duszę... Bo czytam w twych myślach, synu, jak w księdze otwartej; wiem, żeś się cieszył przed chwilą pomysłem, że oto przecież masz zawsze moc sprawienia, by wraz z życiem odeszła nagle z tej ziemi pamięć, co przechowa tajemnice twej duszy... Przysięgnij, Ottonie, ukłęknij i przysięgnij!

Otto ukląkł i przysiągł.

— O tobie już myślał, synu, wówczas, gdy Cesarską Wieczność do tej zmuszał przysięgi — powiedział Sylwester Drugi do

Arona, ukończywszy opowieść o trudnej walce z zaciętym oporem dumnej duszy Ottona. — Tyś jest tym najmniej znaczącym, najnędniejszym mnichem, którego olśnić i oszołomić ma słońce majestatu cesarskiego, do stóp kapłańskich przypadające. Do ostatniej jednak -wahałem się chwili, teraz się już nie waham; później ci powiem, dlaczego.

Aron skłonił głowę aż do kolan papieża.

— Czy podołam, Ojczy Najświętszy? — wyszeptał trzęsącymi się wargami.

— Jeśli ty nie podołasz, to nikt nie podoła — znów z prawdziwie ojcowską serdecznością w głosie odrzekł Sylwester Drugi. — Już to samo, że zapytujesz, czy podołasz, potwierdza, że dobrze wybrał. Bo mało, jakże mało, niestety, w Kościele Chrystusowym pasterzy takich, co by zastanawiali się nad tym, jaką trudną, jaką ważną sprawą jest spowiadanie. Zaiste, żadna z czynności kapłańskich nie wymaga tyle, co spowiedź, mocy z mądrości płynącej. Papież podniósł się. Wziął Arona pod rękę.

— Posłałem już do Cesarskiej Wieczności pismo wzywając, by zaraz przybył dla dotrzymania obietnicy. Wypogadza się, jutro udzielę mu Komunii Najświętszej.

Aron zwrócił ku papieżowi pytające, pełne rozterki i niepokoju spojrzenie.

— Rozumiem ciebie — szepnął z bladym uśmiechem Sylwester Drugi — oczywiście, nie możesz nie udzielić Cesarskiej Wieczności rozgrzeszenia. Ale możesz — dodał prowadząc Arona w stronę kolumnowej galerii — postarać się, by Cesarska Wieczność jak najszczerzej żałowała swych grzechów, by przyrzekła ci wyzwolić się ze wszystkich błędów, jakie wedle twego rozeznania okażą się zmazami, wstrętnie kalającymi tę biedną duszę.

— Biedną, Ojczy Najświętszy? — w zdumieniu szepnął Aron.

— Za dwie, trzy godziny sam się przekonasz, jak bardzo jest biedna, jak dalece godna litości...

Długo przechadzali się po kolumnowej galerii. Na ciemnym niebie, jak zbroja na wojowniku dotkliwie ugodzonym, pękały srebrzyste

chmury. Jak kropelki krwi migotały już tu i tam czerwone gwiazdy — gdzie indziej jak lży lśniły gwiazdy diamentowe. Silny poryw wichru szarpał gwałtownie cieniutkim, wysokim drzewkiem, pod którym przed kilku dniami stał Bolesław Lambert przysłuchując się z zamartłym sercem rozmowie papieża z Dedim i opatem Leonem — rozmowie, która wydawała mu się szczękiem bezlitosnym zasuw żelaznych, na zawsze zamykających drzwi powrotu do ojczystej Polski.

— Spójrz na to drzewko — rzeki papież do Arona — przyjrzyj się, jakie jest wyniosłe, jaką dumną; przepyszną ma koronę. Widzisz: przed chwilą wiatr targnął nim i uderzył o ten potężny konar sąsiedni... A oto teraz — patrz, patrz — w inną już gnie się stronę, już łamie swe gałązki o kamień kolumny... Z taką niebawem będziesz rozmawiał duszą. O ile oczywiście zdołasz mądrze nakłonić ją, by pozwoliła ci rozmawiać z sobą. O ile nie zatnie się, nie zagnieździ głęboko jak ślimak w skorupie, ograniczając całą spowiedź do pospiesznego, zwięzłego wymieniania grzechów. Ale musisz, musisz, Aronie, nakazać tej duszy, by nie recytowała, ale rozmawiała z tobą. Najważniejsze, synku, byś zdołał puścić, jak łowca wprawny wyźła, kajającą się duszę na trop spraw, co jak zwierz wielki w najniebezpieczniejszej się zaszywają gęstwinie. Takich spraw, których może nigdy dotąd nie tknął głos sumienia, nie przeczuł nawet w sobie, nie uwierzyłby, że są, że tam w gąszczu się zaszyły. Pamiętaj: to jest najważniejsze. To, co on sam będzie dzięki tobie wiedział o sobie, ważniejsze jest niż to, czego ty się dowiesz od niego. Widzisz, jak gwiazdy rozdzierają mrok, powoli rozświetlają niebo? Ty będziesz taką gwiazdą, Aronie. Te na niebie powinny zazdrościć tobie. Żaden mrok bowiem takich nie kryje tajemnic, co mrok duszy ludzkiej. Takich ciekawych tajemnic, synku. Gwiazda zobaczy Rzym i Tybr, góry i morze, pałace i kościoły, ciała zwierząt i ciała ludzi. Ty zaś zobaczysz to, czego żadna nie ujrzy gwiazda — to, co człowiek ma w sobie, to, czego nie wie o sobie. Polubiłem cię, bom zobaczył, że oto miłujesz mądrość wspaniałą starożytności prawie tak, jak ja ją miłuję. Ale czy wiesz, co jest najmądrszego w dziedzictwie całym owej mądrości starożytnej? Nie nauka budowania gmachów pięknych ani

nauka rządzenia królestwami, ani prowadzenia wojen, ni badania gwiazd i liczb, ni pisania wierszy, ni prawdziwa nauka muzyki nawet. Ale króciutka nauka: „Poznaj samego siebie”. Oni, co w grzechu pierwotnym żyli i umarli, przeczuli to, co nam, chrześcijanom raczyła wprost objawić Mądrość Przedwieczna; najważniejsze jest to, co nie dookoła nas, lecz w nas. Myśl twoja ważniejszą jest sprawą, Aronie, niż sprawy wszystkich królestw świata. Pamiętasz słowa Zbawiciela: „Uczono was: nie będziecie cudzołóżyć; a ja wam powiadam: ktokolwiek patrzy na niewiastę, iżby jej pożądał, już ją scudzołóżył w sercu swoim”. Stary Zakon żydowski jak i pogański troszczył się o czyn w społeczności szkodzący; nasz troszczy się o myśl, co nigdy może nie będzie wypowiedziana — o myśl, co duszy myślącego jedynie szkodzi — bo szkoda na duszy największą jest szkoda; bo przecież naprawdę nie masz ważniejszej sprawy niż doskonalenie duszy własnej, a jakimi drogami...

Urwał. Dziedzinięc bowiem zaroił się od postaci ludzkich.

— Pan Cesarz nadjeżdża! Już jest przed bramą! — rozległy się okrzyki.

— Otworzyć i oświetlić bazylikę! — rozkazał Sylwester Drugi. — Wszyscy ojcowie, jacy są w Lateranie, udadzą się przed główny ołtarz śpiewając psalmy pokutne!

Zwracając się zaś do Arona dorzucił pospiesznie półgłosem:

— Nie wolno ci będzie zwierzyć się przede mną z tego, co usłyszysz od Pana Cesarza. Pamiętaj o tym! Uważaj! A teraz idź, przygotuj się, wyostrz swoją myśl, jak wojownik miecz ostrzy przed bitwą... Będę się modlił, aby natchnęła cię jak najobficiej swymi łaskami Mądrość Przedwieczna... Chcę ci jeszcze dać kilka rad. Nacieraj śmiało pytaniami, choćby najzuchwalej godzącymi w dumę spowiadającego się. Im będziesz śmielszy, tym lepiej. Jeśli zaczniesz mówić o sprawach Imperium, doradzaj, by nie zwlekał już dłużej ze swą zgodą na wysłanie korony królewskiej Patrycjuszowi Bolesławowi, księciu polskiemu. Surowo żądaj, by Pan Cesarz jak najrychlej wziął sobie małżonkę. Najlepiej którąś z księżniczek z rodu Karolingów. Wyjaśnij, że nie poniża majestatu wzięcie sobie żony z rodu

podupadłego — poprzez małżeństwo blask cesarski spadnie na wybrankę i wywyższy ją ponad wszystkie królowe okręgu ziemskiego. Postaraj się sprawić, by Pan Cesarz oddalił od siebie Teodorę Stefanię. Jeśli nie zdołasz, przynajmniej osiągnij, by myśl cesarska często musiała wracać, i to w długi czas po spowiedzi, do sprawy oddalenia Teodory Stefanii. To ważne. To bardzo ważne. Pamiętaj: bardzo ważne.

Otto wchodził do bazyliki Jana Chrzciciela, otoczony licznym zastępem prezbiterów i mnichów — wraz z nimi śpiewał „Miserere mei, Deus, secundum magnam misericordiam Tuam”. Miał na sobie ciemną, bez żadnych ozdób, szatę — na głowie wieniec laurowy. Przed głównym ołtarzem ukląkł, zdjął wieniec, położył go na tacy, dotknął liści płonącym łuczywem. Wieniec długo się palił — przez cały czas śpiewania siedmiu psalmów. Gdy chór umilkł, cesarz wyciągnął rękę ku tacy, wziął garść świeżego, jeszcze niezupełnie wystygłego popiołu, posypał nim sobie głowę. Tłum rozstąpił się — Otto samotnie skierował się ku kaplicy, gdzie czekał Aron. Poprzez bazylikę przeleciał głuchy wieloustny szept: zgromadzeni rozpoznali spowiednika, dziwili się nieoczekiwanemu wyróżnieniu, zazdrościli, nie pochwalali. Otto też go poznał. Poznawszy ucieszył się. Nade wszystko cieszył go szmer zdumienia i zgorszenia za jego plecami: stało się, jak sobie życzył, papież wyznaczył do spowiedzi kapłana istotnie najmniej chyba znaczącego spośród wszystkich, jacy go otaczali — młodego mnicha-przybłędę, dopiero niedawno wyświęconego. Otto nawet przypomniał sobie, że ów mnich dokonał przekładów z greckiej księgi opisującej zwyczaje dworu Bazyleusów. To go również ucieszyło. Miał przed sobą raczej dworzanina papieskiego niż poważnego przedstawiciela stanu kapłańskiego. Owa spowiedź przed byle kim najlepiej chyba dowodzi, że papież podziela mniemanie cesarza, iż naprawdę godzien jest wysłuchiwać jego grzechów tylko sam Bóg.

Otto ukląkł i bijąc się w piersi długo recytował formułę pokutną. Potem pospiesznie, ale wyraźnie i z dużą dokładnością począł wyliczać dni, kiedy zaniedbywał modłów i postów. Nie było ich dużo.

Cesarz nie usprawiedliwiał owych zaniedbań wojnami, podróżami, chorobami. Bił się w piersi i szybko szeptał:

— Zgrzeszyłem, żałuję, poprawię się. Szczerą skruchą rozbrzmiewał jego głos, gdy przyznawał się do zbytniej — wbrew złożonym ślubom — powolności w dziele wznoszenia kościołów ku czci świętego męczennika Wojciecha Adalberta. Przecież ślubował wznieść je we wszystkich znaczniejszych miastach Imperium, a oto nawet kościół na wyspie Tybrowej nie jest jeszcze ukończony: bił się więc w piersi, kajał się, przyrzekał poprawę.

Z kolei poprosił o odpuszczenie grzechu skąpstwa: za mało złota rozdał pomiędzy klasztory, którym nakazywał modły za duszę niedawno zmarłej babki, cesarzowej Adelajdy. Bił się w piersi, kajał się, przyrzekał poprawę.

Wyznał, że niesprawiedliwymi podejrzeniami krzywdził margrabiego Hugona. Nie powiedział jednak, o co go posądzał. Aron nie pytał.

Wyznał, że zbyt opieszale bada sprawę arcybiskupa magdeburckiego, Gizylera, który wbrew kanonom zagarnął ziemię byłego biskupstwa merseburckiego. Szczególnie mocno bił się w piersi wspomniawszy obelgi, jakimi obsypał arcybiskupa mogunckiego, Willigiza. Nie dodał, za co rozgniewał się na arcybiskupa.

Zaskoczył i oszołomił Arona uwagą, że nie spełnia należycie swych obowiązków wobec Imperium, bo oto zwleka wciąż z wyrażeniem swej zgody na wysłanie korony królewskiej najwierniejszemu swemu słudze, Patrycjuszowi Bolesławowi, księciu polskiemu. Oświadczył, że w lecie po raz drugi odwiedzi grób świętego męczennika Wojciecha Adalberta w mieście słowiańskim Gnieźnie i wówczas osobiście włoży koronę na skronie Patrycjusza Imperium.

Przyznał się też do grzechu zbytniej pobłażliwości. W związku z uroczystościami ku czci Romulusa polecił zwolnić z więzień rzymskich nie tylko złodziejów, ale nawet morderców. Ten grzech starał się usprawiedliwić: zależy mu bardzo, by w owych dniach

uroczystych nie było w Rzymie ani jednego domu, w którym by nie panowała radość.

— Kiedyś się ostatnio spowiadał, synu? — przerwał mu Aron.

Nagle pytanie oszołomiło Ottona. Uniósł wysoko w górę przepyszne brwi, rozchyliły się piękne wargi, bijąca się w piersi ręka zawisała w powietrzu. Aron uczył gwałtowne tętnienie w skroniach, szum w uszach, chłód w końcach palców: stawał do boju. Nie był pewien, czy Ottona bardziej zdumiewało samo postawienie pytania, czy też słowo „synu”, którym młodociany spowiednik wyraźnie zaznaczył, że w tym, który przed nim teraz klęczy, widzi tylko kornego pokutnika, sobie podległego, nie cesarski majestat.

Otto długo nie odpowiadał. Mierzył spowiednika gniewnym spojrzeniem, co rzucało Arona na przemian w zimno i żar. Wreszcie wycedził przez mocno zaciśnięte zęby datę poprzedniej swojej spowiedzi.

— To grzech, synu, ciężki grzech, taka długa przerwa — powiedział Aron robiąc olbrzymi wysiłek, by nadać swojemu głosowi brzmienie jak najspokojniejsze.

Zastanawiał się, czy nie zażądać wyjaśnień, dlaczego cesarz tak długo unikał spowiedzi; znając przecież treść rozmów Ottona z papieżem w tej sprawie, nie był pewien, czy zdoła wybrnąć szczęśliwie z dysputy o roszczeniach cesarskich do otwierania swej duszy bezpośrednio przed majestatem Bożym; musiałyby te roszczenia nazwać herezją — Otto zaś, spokojnie wysłuchujący tego rodzaju zarzuty, gdy z ust papieża wychodziły, mógłby nie ścierpieć, aby mu je czynił przypadkowy spowiednik, mnich-przybłęda: gotów dać się ponieść gniewowi, odejść i oświadczyć Sylwestrowi Drugiemu, że przed takim zuchwalcem spowiadać się nie będzie; a przecież on, Aron, dobrze wie, jak bardzo papieżowi zależy na szczęśliwym przeprowadzeniu tej spowiedzi do końca.

Po namyśle więc poniechał mogących wywołać spór pytań, nakazując z powagą, nawet ostro, władczo — by cesarz nie zaniedbywał ponownego wyspowiadania się w okresie świąt Wielkie j nocy.

— By przebłagać Trójcę Najświętszą — dodał — wstrzymasz się, synu, od wszelkich uciech ciała, od wszystkich rozkoszy stołu i łoża aż po dzień Oczyszczenia Maryi Panny Błogosławionej. Z wszystkich grzechów bowiem, jakieś dotąd wymienił, to był najcięższy, a otoś nie wspomniał o nim wcale. Jakiegoś nadto nie wyznał grzechu, synu?

Nim ostatnie wypowiedział słowa, znowu uczuł, że tętni mu w skroniach, szumi w uszach, stygną końce palców, zamiera serce. Oto ujrzał twarz Ottona na wysokości swojej głowy. Nie mógł mieć wątpliwości: cesarz podnosił się z klęczek, zamierzał przerwać spowiedź. W oczach jego nietrudno było wyczytać wzburzenie: jak to, mnich-przybłęda, dzieciuch nic nie znaczący, umyślnie wybrany, by od nicości jego wspaniale odbijała cała świetność majestatu cesarskiego, ośmiela się nie tylko zuchwale zadawać pytania, ale nakazywać umartwienia, i to takie, których by nie odważył się zlecić Ottonowi nawet sam papież?! Chwilę mierzyli się w milczeniu oczyma: bliski omdlenia Aron przywoływał na pomoc ostatkiem sił resztki wyczerpanej w nierównym boju pomysłowości. Bezgłośnie wzywał ratunku u Ducha Świętego i Zofii, Mądrości Bożej — udało mu się zmusić gniewny wzrok cesarza, by za jego podążył spojrzeniem: oczy Arona wskazywały na wciąż jeszcze przepelniający bazylikę tłum prezbiterów i mnichów, na z dala widną w blasku świec niezliczonych ciemną postać papieża, który klęcząc przed głównym ołtarzem powtórnie intonował „Miserere mei, Deus...” Co pomyślą, powiedzą oni wszyscy, wspierający teraz żarliwą modlitwą wysiłek pokutny cesarza — gdy zobaczą, że odchodzi gniewny od spowiednika, gdy zrozumieją, że świętokradczo przerwał błogosławiony obrzęd kajania się?! Aron czuł, że Otto rozumie wymowę jego spojrzenia, że zaczyna uspokajać się, wahać, niepokoić — przyspieszył więc końcowe natarcie mające rozstrzygnąć bitwę.

— Spiesz się, synu — rzekł rozkazująco. — Spiesz się wyznać resztę swych grzechów, bym ci udzielić mógł co prędzej rozgrzeszenia, po czym przejdiesz przed główny ołtarz, by w gronie sług Bożych modlitwą żarliwą przysposabiać się do przyjęcia Ciała i Krwi Pańskiej, których ci jutro udzieli Ojciec Najświętszy, pokazując

tym Miastu i światu, że pobożność twoja — wbrew mniemaniu głupców — nie mniejsza jest od wspaniałej twej rzymskości.

Powiedziawszy to Aron już nie dojrzał na wysokości swej głowy oczu Ottonowych. Cesarz znów klęczał, jeszcze korniej zgięty niż uprzednio.

— Zgrzeszyłem lekkomyślnością — wyszeptał drżącym głosem, bijąc się w piersi znacznie żarliwiej niż uprzednio. — Pragnąc uczcić świętego męczennika Wojciecha Adalberta, umieściłem w ołtarzu wznoszonej ku jego czci świątyni rękę cudotwórczą, o której myślałem, że ręką jest Bartłomieja apostoła, okazała się zaś być ręką świętego Paulina: lekkomyślnie zaniedbałem uprzedniego zbadania, czyja to naprawdę jest ręka.

Aron ocenił wagę swego zwycięstwa; Otto przestawał już traktować spowiedź jako nic nie znaczącą ceremonię: dużo wysiłku musiało go kosztować wyznanie, iż oto jego wspaniały majestat, nieomylność swą wedle niego bezpośrednio z Bożego czerpiący majestatu, dał się oszukać kilku przewrotnym mnichom w Benewencie.

— Czyżeś nie zgrzeszył, synu, przeciw miłosierdziu? Nie dopuszczałeś się okrucieństw? Nie byłeś niesprawiedliwie surowy?

Otto pospiesznie a z głębokim przekonaniem odparł, że do żadnego się nie poczuwa grzechu przeciw miłosierdziu.

— Przypomnij sobie, synu, dobrze przypomnij — naciska! Aron — wgrzyź się w swą duszę, jak pies gończy się wgrzyza w dopadniętą zwierzynę.

— Nie, nie pamiętam, bym w czymkolwiek dopuścił się niesprawiedliwości, bym jakiegokolwiek popełnił okrucieństwo.

Aron westchnął.

— Pozwól, że pospieszę z pomocą twojej pamięci, synu. Powiadają w Mieście, żeś okrutnie poranił w gniewie jednego z najdzielniejszych i najwierniejszych wojowników swej frankońskiej drużyny, setnika, który prowadził oddział swój do kąpieli w Jeziorze Albańskim.

Cesarz uniósł wysoko głowę. W czarnych oczach znów dostrzegł

Aron błyskawice gniewu. — Wtrącasz się w sprawy, które nie powinny ciebie obchodzić, sługo Boży — syknął szczerząc cienkie, długie zęby. — Cezar Imperator wodzem jest wojennym nie tylko setników, ale królów i książąt: wedle swojej woli karze swych wojowników prawem wodza naczelnego.

— Przed obliczem Wodza Zastępów Niebieskich nie więcej znaczysz niż setnik frankoński przed twoim obliczem; prawo wodza naczelnego niczym jest przed obliczem prawa miłosierdzia Bożego. Błądzisz przy tym, synu: nie masz takich spraw na całym okręgu ziemskim, z których by nie mógł żądać porachunku majestat Boży, dziś przez moje najniegodniejsze przemawiający usta.

I znowu oczy Ottona znalazły się na wysokości głowy spowiednika. Ale Aron już nie czuł tętnienia w skroniach, szumu w uszach, zimna w końcach palców: był spokojny — wiedział, że Otto nie przerwie spowiedzi.

— Nie masz tu na mnie winy, żadnej winy — szeptał cesarz gorączkowo — przeciwnie, żarliwość pobożna, miła Bogu żarliwość, by do grzechu, do zgorzenia nie dopuścić!

Znowu opadł na kolana. Ale szept jego namiętny wzmagął się, rósł, przechodził w głośne wołanie, aż Aron zaniepokoił się, czy nie pochwyca go uszy kogoś z modlących się przed głównym ołtarzem. Wezwał Ottona do ściszenia głosu. Cesarz jednak zdawał się nie panować nad sobą.

— Nie rozumiesz, nic nie rozumiesz, nigdy nie zrozumiesz! — krzyczał nieomal, cały pełen jakiegoś istotnie niezrozumiałego dla Arona podniecenia. — Za głupiś, za ciemnyś, byś mógł to zrozumieć. Ale majestat Boży, który nakazał surowo strzec się zgorzenia, zrozumie, zrozumie i pochwali to, co ty w głupocie swej i ciemności ośmielasz się ganić... Setnik ów, jakieś słusznie rzekł, do kąpieli wiódł wojowników; byliby więc obnażali się bezwstydnie w gromadzie, łamaliby święty nakaz czystości kalając swe oczy i dusze widokiem nagości, co zwierzętom bezrozumnym jedynie przystoi, nie istotom na podobieństwo Ojca najczystszej stworzonym, krwią Syna najwstydlivszego odkupionym.

Umilkł oddychając ciężko, porywiście. Aron nie wiedział, co ma odrzec. Po raz pierwszy od początku spowiedzi zmieszał się, zawstydził. Przecież i o jego uszy też obito się niejednokrotnie, że obnażanie się pospólnie, nawet gdy o mężczyzn samych chodzi, niemiłe jest Bogu, jako obraza wstydlivosti chrześcijańskiej, jako źródło zgorszenia i droga do grzechu. Przecież sam był kiedyś pod Londynem świadkiem groźnej zwady między potężnym Etelmerem a młodziutkim przeorem Lifingiem. Gdy dokonywano zaciągu nowych wojowników do drużyny królewskiej, Etelmer dla zbadania sprawności ich ciał kazał im pozrzucać całe odzienie, jakie mieli na sobie. Rozkaz ten wywołał rozruch ogromny na dworze królewskim: Lifing, przez innych mnichów potężnie poparty, oskarżył Etelmera o bezbożne pogańskie obyczaje, o grzech ciężki przeciw nakazom świętym wstydlivosti i czystości. Przypomniał też sobie Aron, że przepisy kluniackiej wspólnoty doradzały unikanie mycia się połączonego z całkowitym obnażaniem ciała; tym zaś, którzy za radą ową nie szli, surowo nakazywały kąpanie się w bezwzględnej samotności. Żądały także owe przepisy, aby zdejmowanie i wdziewanie szat odbywało się wyłącznie w ciemności albo również w samotności zupełnej; surowo przestrzegano, aby w sypialniach mniszych nie stawiano beczki lub wiadra z wodą, w której by obnażający się mogli zobaczyć swoje odbicie. Arona przecież ogarnęło nie tylko zawstydzenie, ale przede wszystkim zdumienie: od rzymskości Ottonowej jak najmniej oczekiwał tak surowego przestrzegania wstydlivosti. Wszak jeszcze ojciec cesarza, Otto Czerwony, zamierzał podobno odbudować łaźnię Trajana, by wskrzesić starorzymski obyczaj kąpieli i ćwiczeń cielesnych — poniechał owego zamiaru jedynie pod silnym naciskiem klasztorów, ku wspólnocie kluniackiej ciężących. A przecież Otto Trzeci stokroć bardziej niż jego ojciec rozmiłowany jest we wszystkim, co przypomina obyczaje starego Rzymu!

Zawstydzony i zmieszany, pragnął Aron co prędzej zadać cesarzowi nowe pytanie: już się zrodziło w jego myśli, już się kształtowało, przetwarzało w słowa. Ale nagle przypomniał sobie zlecenie papieża, by przy żadnej okazji nie zaniedbał puszczenia

duszy kajającej się tropem spraw utajonych, dotąd głosowi sumienia nie dostępnych, nie przeczuwanych nawet. A że dziwił się niezmiernie owej mniszej zaiste wstydlivosti Ottona, tak bardzo odbijającej od rozmiłowania się cesarza we wszystkim, co rzymskie — uznał ową okazję za najodpowiedniejszą, aby nakazać Ottonowi zagłębienie się w tajnikach najskrytszych własnej duszy. Powiedział, że choć nie pochwała poranienia setnika, nie może odmówić duszy cesarskiej, iż czyste istotnie i chwalebne kierowały nią pobudki.

— Skoroś jednak stanął już, synu, na tym tropie, jak wyżeł na tropie zwierzyny głęboko w gąszczu leśnym zaszytej, pomknij myślą pokutną tym śladem świeżym: zbadaj siebie, czy poza odrazą do pogańskiego obyczaju obnażania się nie kryją się inne jeszcze pobudki, tak utajone, że nawet ich nie przeczuwasz. Śmiało zapuść się w mroczną gęstwinę, a sługa Boży będzie ci towarzyszył z latarnią modlitwy, błagając Mądrość Przedwieczną, by latarnię tę zapalił Duch Święty błyskawicą rozumienia spraw utajonych.

Powiedziawszy to przymknął oczy i istotnie pogrążył się w modlitwie. Krótco jednak się modlił. Ale oczu długo nie otwierał: lżej mu było nie patrząc na Ottona przygotowywać się do następnego pytania. Cieszył się, że je zada, a jednocześnie serce mu zamierało na myśl, iż oto za chwilę stanie w obliczu tajemnicy, która przez tyle lat zadrezczała i jego, i Tymoteusza, i Jana Teofilakta, i Rzym cały. Targały nim na przemian i lęk przed postawieniem pytania, i groza sprawy samej, i upojenie się radosne własną mocą, która władna jest zmusić cesarza do mówienia szczerego o tym, co przed całym dotąd utajone było światem. Przez okamgnienie zdawało mu się, że nie, nie odważy się ani na zapytanie, ani tym bardziej na wysłuchanie odpowiedzi — pomyślał nawet, że jeśli choć ułamek najmniejszy prawdy tkwi w twierdzeniu, że majestat cesarski częstką jest Bożego majestatu — popełni świętokradztwo i bluźnierstwo wdzierając się w najstraszliwszą tajemnicę majestatu Ottonowego. Miał głębokie przeświadczenie, że oto panuje już nad duszą cesarską, kieruje nią wedle swej woli, do każdego zmusi ją wyznania — powiedziały mu o tym oczy Ottona, powiedziało podniecenie, z jakim cesarz

usprawiedliwiał się z poranienia frankońskiego setnika; nie był przecież pewien, czy wolno mu użyć swej potęgi do wtargnięcia w najstraszliwszą z tajemnic, tę, która wstrząsnęła Miastem i światem, ale do której prawo przyznały majestatowi Ottonowemu i Miasto, i świat, jak gdyby istotnie Bożego stanowił cząstkę majestatu.

Otworzył oczy, spojrzał na Ottona. Przeraził się. Twarz cesarza przeobraziła się nie do poznania. Zdawało się, że to twarz konającego — tyle w niej było bólu, a równocześnie bezruchu, bezwładu. Oczywiście, żółtość przedśmiertną powodować mógł nikły blask lampy, która słabo rozświetlała mroczną kaplicę; jednakże zanim Aron zamknął oczy, nie była ta żółtość tak straszna jak teraz. Bezwiednie rozchylone wargi odsłaniały język daremnie usiłujący oderwać się od dolnych zębów — pot zlepił kosmyki jasnych włosów, pod na wpół opuszczonymi powiekami połyskiwały niesamowicie sinawe białka oczu — i tylko ręce, pospiesznie, gwałtownie splatane i rozplatane, aż słychać było chrzęst stawów, pozwalały domyślać się, że to raczej dusza Ottona cierpi niż jego ciało. Policzki mokre były od łez, z bezwładnego języka spływał wraz z pianą jęklivy bełkot, w którym ucho Arona zdołało pochwycić tylko: „Ja, ojcie... dla mnie, miły ojcie...” Im dłużej, im niespokojniej, im troskliwiej i serdeczniej patrzył Aron na przeobrażoną twarz cesarza, tym szerzej rozwierały się powieki Ottona, źrenice zaczynały powracać na zwykłe swe miejsce, spojrzenie ich nabierało na nowo życia, upodabniając się do dziecinnego spojrzenia: tyle w nim było ufności i błagającej o pomoc słabości. Ale właśnie ta słabość spowodowała, iż myśl Arona nie puściła się biegiem łowcy zbrojnego w owym kierunku, gdzie ją przywoływało na wpół nieme błaganie, istne skomlenie wyżła, zranionego boleśnie przez bestię rozjuszoną, za którą w gąszcz mroczny się zapuścił.

Przez myśl Arona przemknęło: „Teraz albo nigdy”. Postanowił; teraz.

— Nie wymienięś, synu, najcięższego ze swych grzechów. Nie rzekłeś nic o złamaniu uroczystego słowa cesarskiego, nie wyznałeś, kając się, iżeś okrutnie stracił Jana Krescencjusza, który oddał się

w twe ręce uzyskawszy obietnicę laski.

I znowu tętnienie w skroniach, szum w uszach, chłód w palcach. Tym silniejsze, im bardziej przybiera twarz Ottona wyraz opanowania i gotowości do oporu.

— Nie powinienes mnie o to pytać — szepczą przemagające bezwład usta. — Nie pierwszy to raz spowiadam się od dnia stracenia Krescencjusza; sprawę tę dusza moja dawno zostawiła daleko poza sobą.

Aron pochyla głowę. Drżącą dłonią dotyka swej szczęki, tak silnie napiętej, że aż tętniącej gwałtownie pod cienką, suchą skórą. Czy cofnąć się? Dać za wygraną?

— Cóż ci powiedzieli, synu, poprzedni spowiednicy, gdyż im wyznawał ów grzech? — zapytał cichym, zamierającym głosem.

— Nie spowiadałem się ze stracenia Krescencjusza przed nikim, nie uważam tego za grzech.

— Ale to był grzech, synu, i ciężki. Skoroś go żadnemu dotąd nie wyznał spowiednikowi, nie został ci odpuszczony, nie masz więc prawa rzec, że dusza twoja dawno pozostawiła tę sprawę poza sobą. Ale oni — owi spowiednicy — czyż nie pytali ciebie o ten grzech?

— Żaden się nie ośmielił. Tyś pierwszy.

Powiedział to głosem głuchym, pełnym zdziwienia, urazy, prawie gniewu, a przecież równocześnie uznania. I ta fala uznania przełamała uprzednio już podkopaną tamę oporu; runęła na dumę, na przekonanie o boskości Ottonowego majestatu, na wiarę w nieomylność cesarskich wyroków. Runęła tym potężniej, iż gnała ją inna fala — ta, co przeszła niedawno i teraz znowu wracała, silniej jeszcze wezbrana niż poprzednio: fala dziecięcej ufności i błagalnej prośby o pomoc. Rwący potok słów, którymi wdarła się nagle dusza Ottonowa w słuch i myśl Arona, nie przypominał już wcale tych dumnych wyjaśnień, co miały odłonić przed spowiednikiem, za ciemnym, za głupim, by wszystko zrozumieć — chwalebne pobudki poranienia frankońskiego setnika. Mówiąc o straceniu Krescencjusza Otto wydawał się dzieckiem, co prosi dorosłego, by jemu samemu dopomógł zrozumieć niezupełnie jasną, ogromnie zawikłaną sprawę.

Istotnie przyrzekł Krescencjuszowi łaskę — przyrzekł szczerze, żadnego nie knując podstęp. Chciał mu darować nie tylko życie, ale i wolność — posłałby go na wygnanie, wywyższyłby go nawet zaszczycając jakimś dostojenstwem na wschodnich czy północnych rubieżach Imperium. Nędznym kłamstwem są gadki rozpuszczane przez wrogów cesarza, że udawał tylko przebaczenie, że pragnął wywabić podstępnie Krescencjusza z potężnej twierdzy, gdzieby długo jeszcze mógł się bronić. Wszak podejmował go po poddaniu się jak gościa dostojnego, nie jak jeńca. Ale w czasie uczty spłynęło nań nagle natchnienie Ducha Świętego, otworzyło mu oczy, odkryło, że Krescencjusz nie przestaje knuć spisków przeciw majestatowi cesarskiemu, że przeciągnąć chce ku sobie nawet najmilszą Ottonowi duszę, chce jej użyć za narzędzie...

— Skądże, synu, owa pewność, że było to natchnienie Ducha Świętego? — surowo przerwał cesarzowi Aron. — Czy nie był to raczej podszept demonów?

Na policzki Ottona kapać poczęły świeże łzy. Nie wie, doprawdy nie wie — nie może powiedzieć, czy istotnie nie był to podszept szatański. Ale chyba raczej natchnienie Boże. Bo niech tylko wmyśli się ojciec czcigodny: Jest w Rzymie kobieta, która zowie się Teodora Stefania. Kobieta ta gorąco miłuje cesarza, tak jak chyba żadna kobieta nigdy nie miłowała żadnego mężczyzny. Kobieta owa była żoną Krescencjusza, poślubiła go, spała z nim, rodziła mu dzieci, bo takie było żądanie rodziny, rzecz to zwyczajna. On, Otto, wie, dobrze wie, na pewno wie, że cieszyła się, że była szczęśliwa, iż cesarz zabrał ją Krescencjuszowi. Ale on, Otto, nie jest okrutny, jak to o nim opowiadają niektórzy — nie jest nawet złośliwcem, łagodną ma duszę: choć więc Krescencjusz ciężko zawinił przeciw majestatowi, ponieważ jednak był ojcem dzieci Teodory Stefanii, cesarza ucieszyło, iż może mu przebaczyć, że nie straci go, nie uwięzi, wygna tylko z Miasta, byle dalej od Teodory Stefanii... Ale w czasie uczty na trzy osoby zastawionej spostrzegł nagle cesarz, że oto Krescencjusz porozumiewa się z Teodorą Stefanią podstępny spojrzaniem... i żebyż tylko spojrzaniem — śmiechem się porozumiewał... Tak, Otto

dobrze zauważył, choć bokiem siedział — śmiali się: zrazu Krescencjusz, potem oboje — z niego się śmiali, z majestatu cesarskiego... Śmiali się myśląc radośnie a złośliwie o spiskach, jakie Krescencjusz knuć będzie przeciw Ottonowi, do jakich nakłaniać będzie słabą kobiecą duszę byłej swej żony... Niechże więc powie ojciec czcigodny, czy nie słusznie, nie roztropnie postąpiła Wieczność Cesarska, podcinając w gniewie szlachetnym korzeń zdrady ohydnej, zanim zdążył wyrósć z łodygi kwiat trującej zbrodni świętokradczej?!

— A czy nie mniemasz, synu, że może oni nie z ciebie się wcale śmiali? Że może zdrada żadna w śmiechu się owym nie tała? Może wprost do siebie się śmiali, cieszyli się, że są znów z sobą...

Oczy Ottona poczęły szybko mrugać.

— Co chcesz rzec? Jak to rozumiesz? Powiadasz, że cieszyli się, iż znów są ze sobą?

— Tak właśnie powiadam, synu. Czyś nigdy nie pomyślał, że może oni miłowali się bardzo? Otto zaśmiał się.

— Synu, odprawiasz pokutę — surowo upomniał go Aron.

— Nie, nie... to niemożliwe, co powiadasz... głupcem jesteś... nic nie rozumiesz... Gdybyś wiedział... gdybyś słyszał, co ona mi mówi wtedy, gdy pośród nocy budzi mnie i prosi... nie, nie... mnie ona miłuje — tylko mnie — tak, jakem rzekł: tak, jak żadna kobieta nigdy nie miłowała mężczyzny...

— A dlaczegoś w takim razie powiedział, że przebacząc Krescencjuszowi chciałeś go wygnać, byle dalej od Teodory Stefanii?... Co znaczą słowa „byle dalej od niej”?

Otto drgnął, nisko pochylił głowę.

— Nie, nie — powtórzył z uporem — nie, nie to znaczą, coś pomyślał... Wcale nie... Och, jakież głupi, jakiś ciemny... A były chwile, żem miał cię za mędrca, prawie takiego jak Pan Papież... Mówiąc „byle dalej od niej” miałem na myśli troskę, by ją uchronić od pokusy, by słaba dusza kobieca nie dała się wciągnąć w sidła spisku podstępного... Bo widzisz, ona jest taka dumna z tego, że urodziła się Rzymianką, że jej ciotki i babki władały Miastem, wynosiły i zrzucały wedle swej woli papieży... Zacząłem rozsnuwać przed nimi

obojgiem — Rzymianinami z dziadów pradziadów — obraz wspaniały Imperium, które dzięki mojej odradza się potędzie... Mówiłem, a on się śmiał; śmiał się zuchwale, szyderczo... Słyszysz? Ośmielił się, nędzny, wyśmiewać się z mojej rzymskości pyszniąc się przede mną swoim tu w Mieście z dziadów pradziadów zadomowieniem... O, jam go dobrze rozumiał: za Sasa mnie ma, za przybłędę, za barbarzyńcę — mnie! — mnie, o którym Pan Papież i Jan Teofilaktos powiadają, że rzymskość wspaniała majestatu mojego zaćmiewa pamięć Konstantyna i Trajana, i Augusta... A on się śmiał — i ona z nim, ona z nim... ze mnie... nie, nie ze mnie... ona nie ze mnie — nie... Z rzymskości mojej śmiała się, przez niego podjudzona — musiał więc zginać...

Urwał na chwilę, by nieoczekiwanie wyrzucić z siebie szeptem lęklwym, zawstydzonym, zaiste żalonym:

— Ojczy, ojczy czcigodny, co ty naprawdę mniemasz o mojej rzymskości?

Aron zmieszał się. Struchlał. Nie wiedział, co odrzec. Nie mógł zresztą skupić się należycie: słowa cesarza przywołały nagle na nowo obraz gromady wesołej chłopców i dziewcząt kąpiących się w stawie, mknących parami ku starym grobowcom, dumnie mówiących o sobie: — Prawdziwi Rzymianie to my, tylko my!...

Ale na szczęście dla siebie nie potrzebował odpowiadać. Myśl Ottona gorączkowo kręciła się dookoła owego „Byle dalej od Teodory Stefanii”.

— Bo gdyby, mnichu — rzekł głucho, a z taką zaciętością, że Aron aż drgnął — gdyby tak miało być, jak powiadasz, gdyby ona go kiedykolwiek, choćby nawet wówczas jeszcze, kiedym jej nie znalazł — miała miłować... miłować nie tak nawet gorąco, jak mnie dziś miłuje — za mało by dlań było tej kary, na jaką go skazałem... Gdybym choć raz przez chwilę myślał, tak jak ty myślisz, biedny głupcze — miesiące by upłynęły, miesiące całe, nimby ścięto mu głowę. Tak by go torturowano z mego rozkazu, że Węgrom, poganom najdzikszym, włosy z samego słuchania opowieści o tych torturach posiwiałyby.

— Tak by było, gdybyś pomyślał przez chwilę, że ona go miłuje?

— drżącym głosem zapytał Aron. Otto w milczeniu skinął głową.

— Ale dlaczego Krescencjusza tak straszliwie byś męczył, a nie Teodorę Stefanię? Przecież o jej mówisz miłowaniu.

Chwila ciszy, długa chwila ciszy. A potem łkanie. Ciche, ledwie słyszalne, pełne zawstydzienia łkanie.

— Bo... bo ja nie mogę być bez niej.

I znowu cisza. Tym razem za sprawą Arona. Bo oto nie wie, co ma rzec. Nie wie, jak powinien postąpić spowiednik po takim wyznaniu. Właściwie spełniając wolę papieża, powinien by spróbować nakazać Ottonowi, aby oddalił od siebie Teodorę Stefanię. Ale czuje, że nie stać go teraz na to. Teraz, gdy cesarz łkając powiedział: „Nie mogę być bez niej”, Aron dziwi się sobie: przecież owo łkanie powinno go napawać dumą, nic bowiem nie świadczy lepiej o zwycięstwie, jakie odniósł nad duszą Ottona. Czyż mógł kiedykolwiek marzyć, śnić nawet, iż Wieczny Pan, Cezar Imperator, wódz naczelny królów i książąt, i drużyn potężnych, władca okręgu ziemskiego, będzie we łzach obnażał swą duszę przed nim, mnichem-przybłądą, ojca nie znającym, matki nie pamiętającym? Przed nim będzie się tłumaczył z najtajniejszych, najwstydlivszych swoich uczuć? Do niego będzie wołał błagalnie o pomoc, o radę, o zrozumienie?! Osiągnął więcej, niż pragnął — więcej, niż Sylwester Drugi mógłby oczekiwać od stokroć bardziej doświadczonego spowiednika. Zarazem jednak osiągnął to, czego ani się spodziewał, ani pragnął: oto żywi już do Ottona jedynie współczucie przyjazne, które rozbiera go z surowości, z poczucia przewagi, z wnikliwości i czujności. Milczy, bo nie może się zdobyć na dalszą walkę, nie chce już walczyć. Myśl jego już nie może się zdobyć na dalszy wysiłek nazywania Ottona synem, a nie Cesarską Wiecznością. Tak bardzo pragnąłby uroczystym tytułem przywrócić łkającemu młodzieniaszkowi poczucie mocy i dumy. Ale rozumie, że nie wolno mu — więc milczy.

Otto zaś pojął jego milczenie jako zapowiedź ukończenia spowiedzi. Westchnął z wyraźną ulgą.

— Ścierpły mi kolana — wyszeptał uśmiechając się poprzez łyzy. W szepcie tym, pełnym zawstydzienia i przeproszenia, tyle było

dziecięcej pokory i zarazem żalącej się ufności, że Aron nie mógł powstrzymać łez. Najchętniej by wznosił rękę, by udzielić Ottonowi rozgrzeszenia, ale pamiętając zlecenia papieża, z żalem zmusił się do powiedzenia sobie: jeszcze nie czas.

— Synowi Bożemu w Ogrójcu i na Golgocie nie tylko kolana cierpły — powiedział robiąc olbrzymi wysiłek, by głosowi swemu nadać jak najwięcej surowości — a przecież On nie za swoje cierpiał grzechy, ale za nasze, także i za twoje, synu...

Urwał, by po chwili wyrzucić z siebie jednym tchem:

— Uczono ciebie, że grzechem jest obcowanie z kobietą choćby najmilszą, ale nie połączoną z tobą wedle nakazu prawa Bożego. Musisz sobie wziąć małżonkę, synu.

Przelał się własnych słów. Cóż uczynił? Zaprawdę współczucie przyjazne dla Ottona wszelkiej go pozbawiło wnikliwości i czujności. Pospieszył się, by wykonać zlecenie papieża, ale zaiste trudno chyba o chwilę mniej odpowiednią, by właśnie to wykonywać zlecenie! Przecież dopiero przed chwilą Otto łkał, z zawstydzieniem się przyznając, że nie może być bez Teodory Stefanii. Na cóż się przydały Aronowi długie lata nauki logiki, jeżeli nie stać go było na uświadomienie sobie, że z dwu przesłanek: „Nie mogę być bez niej” i „Weź sobie małżonkę” — najśluszniejszym, jedynie słusznym wnioskiem powinno być: „Poślubię Teodorę Stefanię”.

A przecież wniosek ów jak najbardziej się kłóci z życzeniami Sylwestra Drugiego: wystarczyło Aronowi przypomnieć sobie to wszystko, co papież mówił do Teodory Stefanii i do niego zaraz po jej wyjściu, by ze zgrozą uświadomić sobie, jak straszliwy popełnił błąd. Pomyślał z rozpaczą, że jednak papież niezasłużonym go obdarzył zaufaniem: nie, nie powinien był podejmować się zadania, któremu nie podołał. Brak mu nie tylko doświadczenia, ale wnikliwości i umiejętności rozumowania. Mniemając, że czyni dobrze, popełnia błędy nie do naprawienia.

— Nie, ojcze, nie wezmę sobie małżonki. Nigdy nie wezmę.

Takiej odpowiedzi Aron nie przewidywał, nie przeczuwał. Niosła mu ulgę, ale zarazem niepokój. Z niekłamaną surowością zażądał

wyjaśnień. Ale zapytując — dlaczego? — mało miał nadziei, iż odpowiedź cesarza będzie się wiązała z dumnym poczuciem, iż odkąd Bazyleusowie greccy odmówili mu siostry, nie masz na całym okręgu ziemskim księżniczki godnej diademu cesarskiego. Z taką bowiem odpowiedzią można było walczyć i Aron, pouczony przez papieża, wiedział, jak walczyć. Był przecież pewien, że, niestety, odpowiedź cesarska nie będzie niczym innym, jak ponownym oświadczeniem: „Nie mogę być bez Teodory Stefanii...” Tu zaś Aron czuł się zupełnie bezbronny.

Spostrzegł, że pytanie jego podrażniło ogromnie Ottona.

— Mógłby jednak Pan Papież przygotować nieco wybranego przez siebie spowiednika do rozmowy z duszą Cesarskiej Wieczności — rzekł prawie gniewnie. — Mógłby ciebie oświecić, mnichu, o czym marzy, za czym tęskni, ku czemu dąży nasz święty majestat... Czy doprawdy nic nie wiadomo ci o naszej woli wyrzeczenia się spraw wszystkich tego świata i oddalenia się do pustelni, by Bogu samemu w pełni duszę poświęcić?

Teraz Aron już naprawdę szczerze żałował, że nie położył uprzednio kresu spowiedzi. Oto zapuścił się wraz z Ottonem w taką gęstwinę tajników jego duszy, że żadnej już nie widzi możliwości wybrnięcia. Nie tylko jednak siebie oskarżał w myśli, ale i papieża. I nie tylko o to, że jemu, takiemu niedoświadczonemu, takiemu bezradnemu, powierzył tak trudne zadanie. Miał nadto żal do Sylwestra Drugiego, że ów go zupełnie nie pouczył, jak ma się ustosunkować do marzeń cesarza o porzuceniu świata, o oddaleniu się do pustelni. Przecież jako spowiednik, jako kapłan Chrystusowy, nie może nie wyrazić pochwały dla takich Świątobliwych zamierzeń. Powinien by gorąco namawiać Ottona, aby poszedł za owym głosem swej duszy. Ale co stanie się z Imperium? Zachęcając cesarza, on, Aron, rozstrzygałby o losach tylu królestw, o losach całego chrześcijaństwa! Jakież on ma do tego prawo? Skąd może wiedzieć, korzystne czy zgubne następstwa dla cesarstwa pociągnie za sobą wyrzeczenie się przez Ottona władzy? Mąciło mu się w głowie. Z polecenia papieża, aby w czasie spowiedzi namawiał cesarza do

wzięcia sobie małżonki, niedwuznacznie wynikało, że Sylwester Drugi zupełnie nie bierze pod uwagę marzeń Ottona o wyrzeczeniu się władzy, o przeobrażeniu się w mnicha czy pustelnika. Jak gdyby papież nic o tych marzeniach nie wiedział! Z tego wynikałoby, że Aron powinien odradzać cesarzowi wyrzeczenie się świata i władzy. Ale czy wolno mu? Czy postąpiwszy tak, nie zgrzeszy ciężko? Nie będzie mógł nawet się dziwić, jeśli Otto podniesie się z kolan już ostatecznie i odejdzie powiedziawszy na pożegnanie: Nie jesteś godzien, by mnie spowiadać... nie jesteś godzien, by nazywać cię sługą Tego, który rzekł możnemu młodzieńcowi: „Rozdaj wszystko, co masz, i pójdz za mną”.

Opanował przecież zamęt myśli. W natężeniu szukał dróg wybrnięcia i wydało mu się, że znalazł. Pogodzi tęsknoty cesarza z zaleceniami papieża jednym zdaniem i położy kres spowiedzi. Tak jest wyczerpany, jak nigdy dotąd.

Więcej nie wytrzyma.

— Chwalebne są twe zamiary, synu. Ale powinieneś iść za wzorami budującymi, jakie nam przekazują przykłady wieków minionych, a i niedawne Bazyleusów greckich dzieje. Musisz wziąć sobie małżonkę, która ci urodzi dziedzica. Wychowasz go, przekażesz mu mądrość swoją i potęgę, poddasz jego władzy wszystkich tych, którzy tobie służą — wówczas dopiero, spokojny o losy Imperium — troskę o które majestat Boży w twoje włożył ręce — rozłączysz się z małżonką, zdejmiesz z siebie diadem i purpurę, poświęcisz w pełni duszę swą Bogu. Mniemam, że możemy zakończyć święty obrzęd pokutny. Wszystkieś już wyznał grzechy, nieprawdaż?

Kiedyś w Reims Aron wszedł na wieżę obok kościoła Świętego Krzyża. Z zaciekawieniem i podziwem przyglądał się dzwonowi wielkiemu, którym nie bez słusności chlubili się arcybiskupi w Reims przed całą Frankonią Zachodnią, a nawet przed całym chrześcijaństwem — w Anglii takich dzwonów Aron nie widział. Z obawą pociągnął za sznur — daremnie, dzwon żadnego nie wydał głosu. Opór ów podniecił Arona: tak długo ciągnął za sznur, wszystkie swe wyęszczając siły i całą zręczność, aż rozległo się wreszcie

uderzenie, potem drugie, trzecie, czwarte i oto doniosłe dzwonięcie popłynęło nad miastem, budząc powszechne zdziwienie i niepokój, iż w kościele dzwonią o tak niezwyklej, nieprzepisanej porze... Zawstydzony, zalękniony Aron usiłował przywrócić ciszę; daremnie, na nic siły i zręczność, rozkołysany dzwon był mocniejszy od niego, wyrwał mu nawet gwałtownie sznur z dłoni martwiejącej.

Rozkołysana dusza Ottona wyrwała mu się jak ów dzwon w Reims. Natarła nań szumiącą doniosłą falą wyznań, których szczerość nieprzeczuwana przeraziła Arona. Była chwila, że chciał nawet zatkać uszy: wydało mu się, iż popełnia świętokradztwo słuchając takich rzeczy o majestacie Ottonowym. To zaś, że słyszy je z ust Ottona samego, potęgowało tylko grozę, tym bardziej że cesarz raz po raz przerywał sobie namiętym gorączkowym łkaniem. Wołał, że nie, nie chce, nigdy nie zechce, by mu jakakolwiek, najdostojniejsza choćby małżonka zrodziła dziedzica: nieszczęsne bowiem byłoby to dziecię, o tyleż słabsze i biedniejsze od swego ojca, o ile on, Otto, słabszy i nieszczęśliwszy jest od Ottona Czerwonego, a jeszcze bardziej od swego potężnego dziada, Ottona Pierwszego... Majestat zaś wspaniały i groźny Imperium światowładnego złączyć się powinien z mocą pełną szczęścia, nie ze słabością nieudolną... Myśl wspaniała Ottona Trzeciego potrafiła ogarnąć dziedzictwo Romy przedziwnej, Romy potężnej i pojąć wszystkie tego dziedzictwa nakazy — zdołała wysnuć z siebie zamierzenia dumne, odrodzić Imperium Rzymskie mające — ale dokonanie owych zamierzeń za wielkie to brzemię dla biednej duszy Ottonowej... Aron drgnął przypomniawszy sobie słowa papieża: „Niebawem zrozumiesz, jak biedna jest ta dusza, z którą będziesz rozmawiać, o ile zdołasz sprawić, by ci rozmawiać z sobą pozwoliła”. Owszem, zdołał sprawić. Otto rozmawia z nim, ba, mówi mu takie rzeczy, których nie chce słuchać, boi się słuchać — przerażają go, przyprawiają o dreszcz, o zamęt straszliwy... Mówi mu o tym, że majestat Boży zlitowawszy się nad słabością Ottona, a sprzyjając jego zamierzeniom, szlachetnym, świętym, pełnym dumy — wskazał mu drogę — drogę daleką, trudną, dotąd imieniu rzymskiemu obcą, ale jedynie

prawidłową drogę — taką, która go zaprowadziła w objęcia braterskie męża najpotężniejszego z potężnych — jedyne, który godzien jest imienia Cezara Imperium, Augusta — jedyne, którego barki nie zachwieją się, nie drgną nawet pod ciężarem dziedzictwa Romy... Mężem tym — Patrycjusz Imperium, Bolesław, ksiązę polski... Teraz srebrne przed nim noszą orły, ale poniosą złote... Poniosą... Otto tego pragnie. Otto tego dokona... a gdy dokona, ze spokojnym sercem uda się do pustelni, by błagać majestat Boży o zmiłowanie nad jego biedną duszą, taką słabą, taką grzeszną... Nie, nawet nie będzie czekać tak długo: moc szczęśliwa Bolesława, przez mądrość wspaniałą papieża Sylwestra Drugiego wsparta, sama wywalczy dla siebie złote orły i diadem, i purpurę, i władzę nad całym okręgiem ziemskim... Niedaleki już dzień, gdy świat ujrzy nagle odejście Ottona do pustelni... Pójdzie na moczary podraweńskie do Romualda, pokutnika najsurowszego z surowych, albo jeszcze dalej... daleko, daleko... wzniesie sobie szałas pustelniczy na ziemi słowiańskiej, gdzieś najbliżej grobu, w którym spoczywa przyjaciel Ottonowy, święty męczennik Wojciech Adalbert... „Odpuść, odpuść, Panie, służę twego w pokoju, bo utrudzon bardzo...”

Aron znowu czuł silne tętnienie w skroniach, silny szum w uszach. Barbarzyńca słowiański nosicielem majestatu Romy? Syn nowochrześcijański władcą chrześcijańskim? Przecież dobrze pamiętał, jak Dedi oburzał się i wygrażał, gdy ów Bolesław Patrycjuszem mianowany został... Patrycjuszem tylko, nie Cezarem Augustem! Krzyczał, że zhańbione są srebrne orły, gdy taką pierś zdobią. Srebrne nawet, nie złote! A cóż Ojciec Najświętszy myśli o tym? Nigdy nawet nie zająknął się o takiej możliwości! Przecież Bolesława nikt nigdy nie widział w Rzymie: przecież jutro w pochodzie uroczystym na Kapitol poniosą srebrne orły przed koniem bez jeźdźca na siodle! Ogarnia Arona rozpacz bez granic na myśl, że nie będzie mógł z papieżem mówić o zamierzeniach Ottona, Bolesława dotyczących — bo na spowiedzi się o tych zamierzeniach dowiedział! Przerywanym głosem zapytał cesarza, czy nie uważa, że robi krzywdę plemieniu i rodowi swemu, odbierając im purpurę i diadem,

a obcemu je przekazując.

— Przed obliczem majestatu Romy, światem całym rządzić powołanej — odrzekł Otto — nie masz różnicy między plemionami... A zresztą, ojcze, czyż Pan Niebieski nie odebrał dziedzictwa Izraelowi, by przekazać je poganom? Tak samo Roma odebrać władną dziedzictwo swe Niemcom i Słowianom je przekazać... — Westchnął ciężko. — Moje plemię, powiadasz — syknął boleśnie — jakież jest moje plemię, ojcze?... Powiedz, jakie, jakie?

Znowu łkał prawie. Znów musiał go upomnieć Aron, by ściszył głos. Gorączkowo, namiętnie wołał, krzyczał nieomal: Niemcy go mają za Greka, Grecy za Niemca... Jest Rzymianinem, a Rzymianie widzą w nim barbarzyńcę... — Jakie plemię jest moje? Jakie? Jakie? A mój ród? Tam, tam w niebiosach na prawicy Bożej zzymają się może i boleją potężny Otto Pierwszy i Otto Czerwony, że diadem i purpura z ich rodu do obcego przejdzie... Ale czemuż to oni — owi dwaj wspaniali Ottonowie — nie wyślą u majestatu Bożego, by silniejszego im dał wnuka i syna? A zresztą, co jest ważniejsze: ród czy potęga Imperium? W starym Rzymie cesarze, mądrością i potęgą najznakomitsi, nie w synach krwi swojej bynajmniej dziedziców upatrywali, ale odwrotnie, tych, których za godnych dziedzictwa uważali, synami swymi czynili... I on, Otto, także Bolesława polskiego synem swym uczyni, choć wedle lat i mądrości, i potęgi, ojca ma w nim raczej. Oczywiście, mógł Otto postarać się, by od rodu jego nie odeszły purpura i diadem... mógłby, gdyby go wcześniej oświeciło natchnienie Ducha Świętego... Mógłby Matyldę, siostrę swoją, zamiast Herrenfrydowi, Bolesławowi dać za żonę... Ale wówczas ciemny jeszcze był, pycha go zaślepiła plemienna: po społu z innymi głupcami wierzył, że nie godzi się oddawać córki cesarskiej synowi nowochrzczeńca i Słowianinowi... Ukarął go Bóg za ciemnotę i pychę... Przyjechawszy do Gniezna pojął, że nikt nie jest tak godzien siostry jego jak Bolesław, ale za późno było... Mógłby Adelhejdę lub Zofię skłonić, by klasztor opuściły — gniewałby się o to ten i ów opat czy biskup, ale nie zważałby na to, zmusiłby którąś z sióstr, by wyszła z klasztoru — na nic jednak i to. bo Bolesław już wziął sobie

tymczasem nową żonę, jakąś zupełnie niegodną jego wspaniałości i potęgi księżniczkę słowiańską... A może by skłonić go, by oddalił tamtą żonę, by wziął Zofię, tak jak ojciec jego Odę z klasztoru sobie wziął?

— Cały byś Kościół święty przeciw sobie i przeciw Bolesławowi, synu, podniósł — surowo rzekł Aron. — Podwójnie byście ciężki popełnili grzech...

— Może słusznie mówisz. Kościół święty musimy mieć z sobą, nie przeciw sobie, my obaj: ja i Bolesław... Ale przecież coś niecoś z majestatu cesarskiego dla krwi swojej uratuję. Najstarszą córkę Matyldy i Herrenfryda weźmie syn Bolesława, niemowlę Ryczeza będzie kiedyś Augusta, będzie — tak mi dopomóż Bóg!

Aron nie nazbyt uważnie słuchał ostatnich jego słów. Cały był w mocy nowej myśli, która przepelniła go radosną nadzieją na wykonanie najważniejszego ze zleceń papieskich.

— Synu — rzekł, z trudem tłumiąc w swym głosie radość — skoro gotujesz się do wstąpienia na drogę ciasną a uciążliwą, dokąd wzywa cię głos Syna Bożego słowami Pisma: „Rozdaj wszystko, co masz, i pójdź za mną” — winienesz już teraz pierwszy zrobić krok. Chcesz odsunąć od siebie purpurę i diadem, czyż nie pierwej winienesz odsunąć od siebie kobietę, z którą obcuje nie wedle prawa Bożego?

Otto wzniósł ku niemu pełne zdumienia i wyrzutu oczy.

— Czyżby Ojciec Niebieski, który ci ustami Pana Papieża nie odmówił przyjęcia do grona sług swoich — miał ci odmówić daru pamięci, ojczy? Przeciżem niedawno ci rzekł odsłaniając, jakieś żądał, najskrytsze tajniki swej duszy, że nie mogę być bez Teodory Stefanii.

Aron znowu poczuł się bezradnym, bezsilnym łowcą, niedoświadczonym, co zabłądził w gęstwinie mrocznej tropiąc wraz z wyłłem zaszytego gdzieś głęboko zwierza.

— Nie rozumiem ciebie, synu — rzekł głosem pełnym najwyższego znużenia, ale wciąż jeszcze zaciekawionym i natarczywym. — Zaczynam się obawiać, że i ty sam nie rozumiesz, po jak ciemnych, jakimi niebezpieczeństwach najeżonych drogach błąka się twoja

dusza.

— Może masz słuszość, ojcie — cicho, pokornie odpowiedział Otto — ale czyż nie po to tu jesteś, by mi dopomóc w wydostaniu się na światło z owych ciemnych dróg? Dopomóc w zgłębieniu tego, co sam w sobie nie nadto dobrze rozumiem?

Jeżeli Aron, pouczony przez Sylwestra Drugiego, przyrównywał siebie przez cały czas spowiedzi do łowcy zbrojnego, myśl Ottona do wyżła, a jego duszę do gęstwiny mrocznej, w której zaszyła się tropiona zwierzyna — musiał teraz ze smutkiem, prawie z rozpaczą powiedzieć sobie, że łowy zamieniły się w beznadziejne błądzenie po ostępach bez wyjścia, przy czym zwierzyna ucieka coraz dalej, coraz głębiej w gąszcz leśny — wyżeł, zrazu oporny i leniwy, ściga ją węchem coraz to lepiej wyostrzonym i zaciekłością niezmordowaną — łowca natomiast chwieje się na nogach z wyczerpania, zgubiwszy gdzieś w krzewach całą swą broń myśliwską. On miałby oświecać Ottona, wskazywać mu drogę, pouczać? Cóż mógł powiedzieć cesarzowi, gdy ów gorączkowym szeptem zaczął przed nim ujawniać najgłębsze tajemnice stosunku swego ciała i swojej duszy do Teodory Stefanii? Sam się uczył, słuchając z zasłoniętą obu dłońmi twarzą przedziwnego — bluźnierczego, jak mu się wydawało — wyznania, że cesarz dopiero wówczas porzuci świat, gdy poczuje, że jest już mężem dojrzałym, nie dzieckiem. Stanie się zaś to wówczas, gdy będzie miał za sobą pełnię dumy, jaką daje poczucie osiągnięcia najwyższej rozkoszy rodzącej się z obcowania z umiłowaną kobietą. Wobec tych wynurzeń Aron stawał bardziej bezradny i bezsilny niż wobec czegokolwiek innego. O sprawach ciała i miłości wiedział przecież zawsze tylko tyle, co mu powiedziały książki, własne sny i wyznania Tymoteusza, ale te ostatnie jak najmniej były teraz przydatne. Tymoteusz kiedyś wierzył, że moc przedziwna, którą w sobie czuje, płynie z Teodory Stefanii; ostatnio zaś wszystko przemawiało za tym, iż źródło owej mocy dostrzega w stronieniu od miłości kobiecej: wszak zbliżenie się do siostry ciotecznej Krescencjusza potraktował jako utratę swojej mocy. Otto także mówił o jakiejś mocy przedziwnej, którą czuje utajoną w sobie. Ale

z urywanych, nieporadnych, często mętnych i ciemnych wyznań jego wynikało, że właśnie w obcowaniu miłosnym z kobietą ta jego moc kształtuje się, rozkwita, potężnieje — jednak Teodora Stefania bynajmniej nie jest źródłem owej mocy, tylko narzędziem pomocnym do wydobywania jej i potęgowania: narzędziem, bez którego Otto, jak powiada, nie może żyć, jak wojownik żyć nie może bez miecza. Dopiero zdobywszy królestwo odrzucić może wojownik miecz; dopiero zdobywszy poczucie pełni mocy odsunie od siebie Teodorę Stefanię; poświęci się wówczas w pełni Bogu, a ona niech zajmie się swymi dziećmi albo niech też idzie do klasztoru! Otto oszołamiał Arona wyznaniem, że oto grzeszna samotność długich lat młodzieńczych — samotność, która skończyła się dopiero wówczas, gdy otworzyła mu swe ramiona Teodora Stefania — tak silnie zahamowała rozkwit owej jego mocy przedziwnej, że chyba długie jeszcze upłyną lata, nim osiągnie pełnię rozkoszy miłosnej, a wraz z nią pełnię swej mocy. I rzecz najdziwniejsza: gdy Tymoteusza poczucie rozrostu mocy napawało coraz dumniejszymi marzeniami o potędze, coraz silniejszą wiarą, że zdobędzie wszystko, co zechce, dzięki owej mocy — Otto, przeciwnie, żadnego jak gdyby nie pragnął mieć ze swej mocy użytku. Wbrew temu wszystkiemu, co Aron dotąd o nim wiedział, gorąco zapewniał swego spowiednika, że naprawdę nie tylko nie snuje nowych marzeń o potędze, ale stanowczo zamierza wyrzec się wszystkiego, co dotychczas miał — wyrzec się natychmiast potem, jak uczuje, iż wraz z pełnią rozkoszy miłosnej osiągnął pełnię mocy. W pewnej chwili Aron pomyślał, że może cesarz pragnie zużyć osiągniętą moc na walkę z własną duszą w trudnej drodze pokutnej ku świętości najdoskonalszej; nic jednak w słowach Ottona nie potwierdzało takiego mniemania, a przy tym Aron aż przeraził się tej swojej przelotnej myśli jak bluźnierstwa: czyż bowiem godzi się duszy chrześcijańskiej czerpać pomoc na drodze ku świętości z sił zdobytych w grzesznym obcowaniu miłosnym z ciałem kobiecym?! Otto zdawał się już nie czuć, że mu ścierpły kolana: z ust jego lal się niewyczerpany strumień urywanych, powikłanych, coraz to bardziej mętnych zdań: istotnie wiele z tego, co czuł, nie rozumiał, a jeszcze

więcej chyba nie umiał przełożyć na jasne słowa. Aron postanowił wstrzymać ów potok, wznosząc bezlitosnymi, miażdżącymi słowami twardą i potężną, jak mniemał, tamę — czuł bowiem, że dłużej nie wytrzyma.

— Wszystko, co mówisz, synu, dowodzi tylko, jak bardzo skłonny jesteś do grzechu pożądliwości ciała. A nie tylko grzeszysz, siejesz nadto zgorszenie. Mężowie rozumni, dostojni, choć i niegodni tego, by wolno im było zuchwałym wścibstwem wtrącać się między tajniki duszy cesarskiej, zdołali spostrzec niezwyčajny nadmiar pożądliwości nawet w spojrzeniach twoich; choćby oto na przykład w owym spojrzeniu, jakim wpiłeś się w bosc stopy Teodory Stefanii, gdy pierwszy raz stanęła przed obliczem Twojej Cesarskiej Wieczności.

Umyślnie powiedział „Twojej Cesarskiej Wieczności”, nie zaś „synu”. Wzywał Ottona, by opamiętał się, by powstrzymał swe wynurzenia, by zawstydził się przed obliczem swego majestatu. Ale wymienienie tytułu więcej zdawało się oddziaływać na Arona samego niż na cesarza. Oto wymówiwszy te trzy słowa zmieszał się, struchlał, czuł, że traci całą przewagę, jaką z takim trudem uzyskał nad Ottonem: poczuł się nędznym, nic nie znaczącym mnichem-przybłądą, bluźnierczo ośmielającym się przemawiać zuchwale do świętego majestatu.

Ze strachu aż oczy zmrużył na myśl, że Otto zaraz władczy, groźnym, nie dopuszczającym sprzeciwu głosem zażąda, by Aron wymienił zuchwalców, którzy odważyli się bezwstydnie omawiać spojrzenie, jakim święty, cesarski majestat raczył ongiś obrzucić bosc stopy Teodory Stefanii. Ale omylił się: w odpowiedzi cesarza nie było groźby ni władczości, tylko smutek i gorycz. Gorzko skarżył się na nieociosane przez Ducha Świętego dusze ludzkie, dopatrujące się złośliwie i prostaczo pożądliwości wszędzie tam, gdzie niczego innego na skutek swej ciemnoty i prostactwa dopatrzeć się nie potrafią. Nie oskarża ich, bo sam, choć wiele rozumie, nie potrafi należycie tego, co rozumie, na słowa przełożyć — ale pragnąłby, by ojciec czcigodny nie podzielał mniemania ciemnych prostaków. Więc choć trudno mu

będzie, spróbuje wyjaśnić spowiednikowi, czemu istotnie w taki żar nadzwyczajny rzucił go widok bosych nóg przyprowadzonej przed jego oblicze wspaniałej, urodziwej kobiety. Nie przesadził w skromności: istotnie z trudem wielkim i niezbyt szczęśliwie udało mu się wyjaśnić Aronowi sprawę owego rzekomo pożądliwego spojrzenia.

Jako dziecko Otto rósł w przeświadczeniu, że nic tak nie poniża dostojności wszelkiej, jak ukazanie się oczom ludzkim bez obuwia. Aron stwierdził, że pod tym względem Otto nie różnił się niczym od owej młodzieży, co się bawiła wesoło nad stawem opodal drogi Appijskiej. Zupełnie tak samo jak owe chłopaki i dziewczęta uważał, że stopy swe obnażyć mu wolno, nie narażając się na poniżenie, jedynie wśród równych sobie — wśród swoich. Ale któż jest równy Cezarowi Augustowi? Odkąd wyszedł z najwcześniejszego niemowlęstwa, nawet w obecności sióstr nie pozwolił sobie nigdy na zdjęcie obuwia. Dobrze pamięta, że gdy w Pawii dotknięto jego skroni żelazną koroną i w wózku uroczyście zawieziono do pałacu, gdzie w otoczeniu dworzan czekała nań matka — zaczął żalić się na ból w pięcie. Wówczas cesarzowa Teofania poleciła nawet hrabiemu Hoikowi, który króla na ręku zwykle nosił — by zechciał opuścić komnatę. Nikomu bowiem, twierdziła, nie wolno patrzeć, jak czteroletniemu królowi Niemców i Włochów, dziedzicowi rzymskiej korony cesarskiej, zdejmie się z nóg obuwie: nikomu prócz matki i oczywiście pokojowców, którzy przecież się nie liczą, bo właściwie tym samym są co psy i koty. Toteż postanowienie powzięte przez Ottona — przy wjeździe do miasta słowiańskiego, Gniezna — iż boso przejdzie siedem mil aż do kościoła samego, gdzie spoczęły zwłoki świętego męczennika, Wojciecha Adalberta — zaiste najcenniejszym było dowodem czci najwyższej dla pamięci umiłowanego przyjaciela i łaski szczególnej dla owej ziemi polskiej, którą świętość Wojciecha Adalberta pod swoją możliwą zechciała wziąć opiekę. Gdybyż ojciec czcigodny zdołał pojąć, jak ogromna to ze strony cesarza była ofiara z własnej dumy: ile poniżenia doznał w myśli swojej, krocząc boso po czerwonych tkaninach, jakimi usłał drogę do Gniezna Bolesław, wówczas lennik najwierniejszy, dziś przyjaciel i dziedzic umiłowany.

Gdy więc Otto przed sobą zobaczył bosą Teodorę Stefanię, dwie nim na raz gwałtownie targnęły myśli: przede wszystkim przypomniała mu się matka, która też tylko przed nim, przed synem i cesarzem, nie wstydziła się obnażać swoich nóg — wydało mu się nagle, że żadna kobieta, nawet żadna z sióstr, nie jest mu tak bliska, jak ta oto, wspaniałości i uroku pełna nieznajoma. Jeżeli Aron, choć z trudem, podążał dotąd za biegiem myśli Ottona, następne wyznanie cesarza wywołało w jego duszy już tylko zamęt bezgraniczny. — Nie boję się mieczów ni ognia, ni spisków zdradliwych — szeptał gorączkowo Otto — ale zawsze bałem się kobiet: bałem się dziwności ich piersi, bioder, włosów, oczu, uśmiechów, samego głosu kobiecego nawet... Zanim poznałem Teodorę Stefanię, dwukrotniem tylko zbliżył się do ciała kobiecego, zbliżałem się ze strachem — odchodziłem ze strachem jeszcze większym...

Zamąciła się nagle krótko trwająca jasność słów cesarskich: jękał się i plątał usiłując wytłumaczyć, że od obu kobiet odchodził nie tylko ze strachem, ale z okropnie męczącym poczuciem, że mimo całej wspaniałości i potęgi jego majestatu obie one wywyższały się nad niego, drwiły z niego, gardziły nim, i to gdy odchodził, bardziej, niż gdy się do nich zbliżał... Może dlatego unikał później zbliżania się do ciał kobiecych, choć istotnie stale do nich wracał myślą pożądliwą... może dlatego tak lubował się w grzesznej samotności... I to, że najprzedziwniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek znał, stanęła przed nim boso — to ją poniżało w jego myśli, a poniżając pozwalało wierzyć, że skoro tak jest poniżona, nie może czuć do niego pogardy... nie może drwiąco wywyższać się ponad niego, jak wywyższały się tamte dwie, do których zbliżył się ciałem, i wszystkie inne, do których w myśli się zbliżał. Oto co go rzuciło w żar, oto co kazało prostakom ciemnym w spojrzeniu jego pożądlivości się dopatrywać. A naprawdę w spojrzeniu tym zdumienie tylko radosne było — oto kobieta, która mu jest tak bliska, jak żadna nie była, prócz matki zmarłej, i której nie potrzebuje się bać, bo nie czuje wobec niej poniżenia... A jemu tak potrzebna była bliska, bardzo bliska kobieta! Przecież naprawdę nikt go szczerze nie miłuje, nikomu nie ufa. W nikim nie czuje bliskości

prawdziwej, nawet w Panu Papieżu, mistrzu ulubionym... Grek dla Niemców, Niemiec dla Greków, barbarzyńca dla Rzymian, słabe dziecię przemądrzale dla wojowników o duszach nieociosanych, prostak dla mędrców — tak bardzo jest samotny... tak straszliwie samotny... Wszyscy niby służą mu, czczą go, a naprawdę albo nienawidzą, albo gardzą, o tym jedynie myśląc, by ze słabych ramion ciężką zedrzeć purpurę... I tylko ona szczerze mu jest oddana, ona — jedynie wierna, żarliwie go miłująca... Z jaką on trwogą błąka się zawsze po mrocznych, pustych komnatach swego pałacu, płacząc się w szatach wspaniałych, potykając się raz po raz i lękliwie obmacując każdy ciemny kąt, każdą ścianę, czy nie czai się gdzie zdrada lub stokroć straszliwsza od zdrady — drwina... Krzepi go tylko światło, jakie pada przez szparę w drzwiach wiodących do sypialni, gdzie wiernie nań czeka Teodora Stefania: oto zaraz otworzy drzwi, oto zobaczy blask przedziwny jej oczu i włosów, i stokroć przedziwniejszy blask jej ciała, na jego przyjęcie miłośnie obnażonego... Dopóki nie poczuje w sobie siły męża prawdziwie dojrzałego — siły, co sama sobie wystarczy, co nie potrzebuje pomocy objęć kobiecych — nie oddali Teodory Stefanii, nie schroni się do pustelni... Musi wpiery nauczyć się nie bać samotności — „Gdybyś wiedział, ojcze czcigodny, jak straszna to rzecz jest być samotnym!”

Aron z trudem się powstrzymał, by nie krzyknąć: wiem... dobrze wiem. Cesarska Wieczności... Nie masz to, jak być w gromadzie, być wśród swoich, tak, jak nad stawem opodal drogi Appijskiej...

Znowu żywił do Ottona już tylko przyjaźń współczująca. Gdy udawał się do kaplicy, żywo wyobrażał sobie, aż wypieków na twarzy dostając — ową chwilę, kiedy wzniesie nad kornie pochylonym cesarzem rękę zbrojną w potężną moc rozgrzeszania. Przysięgłby, że rozpierać go będzie duma bezgraniczna, iż oto majestat kapłański wyniósł go tak wysoko ponad tego, co nad całym przecież wznosi się okręgiem ziemskim. Nic się nie sprawdziło. Gdy podniósłszy rękę wzywać począł miłosierdzia Bożego, by przebaczenia, rozgrzeszenia, odpuszczenia udzieliło skruszonej duszy Ottonowej — gdy przypomniał majestatowi Bożemu obietnicę daną kapłanom

wszystkim, a więc i jemu, Aronowi, że „Czyje grzechy odpuscicie, będą odpuszczone” — doznawał jedynie uczucia radości, iż oto oddaje przysługę przyjacielską komuś bardzo tej usługi potrzebującemu. I naprawdę szczerą radość zabrzmiała w jego głosie, gdy uczyniwszy znak krzyża nad posypaną popiołem jasną głową, donośnie zawołał:

— Odejdź w pokoju.

Na to jego wołanie dawno już z niecierpliwością czekał przepelniający bazylikę tłum. Gdy opuszczał kaplicę, dostrzegł, że na wszystkich twarzach maluje się znużenie, a na niektórych znudzenie i gniew. Z dziesięć chyba razy odśpiewano siedem psalmów pokutnych, większość świec bliska była wypalenia się, niektóre już zgasły. Na twarzy jednak Sylwestra Drugiego, który ani na chwilę nie podnosił się z klęczek, nie znać było znużenia: przyjrzał się wychodzącemu z kaplicy Ottonowi wzrokiem pełnym najwyższego zaciekawienia, na Arona zaś rzucił spojrzenie życzliwe, przyjazne, dziękujące.

Cesarzowi istotnie musiały dotkliwie ścierpnąć kolana — ledwie włókł nogi, ślaniał się. Aron sam odczuwał bezgraniczne znużenie: chciało mu się spać, z trudem tłumił ziewanie. Przed bramą bazyliki czekał rydwan cesarski otoczony ciasnym wieńcem jeźdźców. Jan Teofilaktos szedł naprzeciw Ottonowi z wyrazem ogromnego zniecierpliwienia na również bardzo znużonej twarzy. Zniecierpliwienie przeszło w rozpacz, gdy Otto odsunął go ręką i rzekł rwącym się, jak gdyby hamującym łkanie głosem:

— Musicie jeszcze poczekać. Chcę porozmawiać z Panem Papieżem.

Sylwester Drugi zdążył Aronowi tylko szepnąć:

— Idź do mojej sypialni. Czekaj, aż przyjdę. Wziął ślaniającego się Ottona pod rękę, zaprowadził do komnaty, gdzie stały organy — doradził, by położył się na lamparcich skórach.

Aron zgodnie z życzeniem papieża udał się do jego sypialni. Bezwładnie opadł na miękkie, wygodne krzesło, w którym Sylwester Drugi siadywał, by rozmyślać o sprawach Imperium i Kościoła,

o drogach gwiazd i tajemnicach liczb. Aron także usiłował rozmyślać: o zawitych, niepojętych drogach duszy Ottonowej, o popełnionych przez siebie w czasie spowiedzi błędach. Ale okazało się, że trudniej jest walczyć z sennością niż z duszą Cesarskiej Wieczności — raz po raz opadały mu ciężko powieki, oddech co chwila przechodził w chrapanie. Zrywał się więc z krzesła i chodził po pokoju, ale klejące się oczy osnuwała mgła, poprzez którą ledwie widział wypełniające sypialnię stosy ksiąg, matematyczne tablice, astronomiczne przyrządy, wyciosane z drzewa geometryczne figury. Im mętniejszym patrzył wzrokiem na wszystkie te przedmioty, tym dziwniejsze przybierały one kształty: na czarnych tablicach widział już nie liczby, tylko skaczące znaki magiczne — trójkąty, koła, stożki, walce i piramidy wirowały w czarodziejskim tańcu, żelazne gwiazdy obiegały drewniane sklepienie niebieskie, biała marmurowa głowa przekrzywiła w szyderczym uśmiechu piękną, zamyśloną twarz — nie był już w sypialni papieża, ale w jaskini czarownika. Wyraźnie usłyszał stukanie, naprzód w powalę, potem w posadzkę. Ktoś niewidzialny usiłował zdmuchnąć ogień w jedynej palącej się lampie. Dmuchał głośno, ciężko sapiąc. Sapanie to było tak niewypowiedzianie straszne, że Aron nieprzytomnym głosem krzyknął:

— Ratunku! Czary!

— Na lewej półce stoi butla z żółtawym płynem — rozległ się poprzez nie domknięte drzwi głos papieża — zmieszaj z wodą, napij się, zaraz odechce ci się spać. Niezadługo przyjdę do ciebie.

Istotnie, dwa łyki zmieszanego z wodą żółtawego płynu wystarczyły Aronowi, by uświadomił sobie, że własnego przeraził się spania. Zupełnie pewną już ręką odsunął znaczoną złotem tkanymi kluczami zasłonę, by zamknąć okno, przez które wdzierał się do sypialni gwałtowny wiatr grożący zdmuchnięciem ognia w lampce. Marmurowa głowa, jak zawsze, pełna była zamyślenia o przedziwnych, niedostępnych rozumowi człowieczemu sprawach. Główki żelaznych gwoździ mające wyobrażać gwiazdy nieruchomo tkwiły w drewnianych obręczach.

„Przecież sypialnia przylega bezpośrednio do sali, gdzie stoją

organy — przemknęło Aronowi przez zupełnie już wytrzeźwioną głowę — więc Otto jest tu obok. Co też oni tam robią?”

Na palcach zbliżył się do nie domkniętych drzwi — wpił się wzrokiem w szparę, poprzez którą lalo się do sypialni światło trzech czy czterech lamp znacznie większych niż ta, co jarzyła się w sypialni. Ujrzał Ottona klęczącego na lamparcich skórach, z głową wtuloną w kolana papieża. Kanciastymi ramionami cesarza wstrząsał dreszcz, a może łkanie. Szeptał coś, ale sala, gdzie stały organy, była bardzo obszerna, lamparcie skory leżały daleko od drzwi sypialni i ucho Arona żadnego nie mogło pochwycić słowa.

Ogarnęło go nagle uczucie ogromnej niechęci do Ottona. Nic już nie pozostało z przyjaznego współczucia, jakie towarzyszyło końcowym chwilom spowiedzi. Wystarczyło króciutkie skupienie myśli, by Aron uświadomił sobie, że niechęć ową budzi przede wszystkim wspomnienie wyznań cesarza o jego stosunku do Teodory Stefanii. Więc on nie dlatego nie chce, nie może rozstać się z nią, bo ją miłuje, ale ponieważ potrzebna mu jest jako narzędzie?! Gdy uczuje, że już jej nie potrzebuje, odepchnie: niech też idzie do klasztoru albo wraca do dzieci! Aron porównywał stosunek cesarza do Teodory Stefanii ze stosunkiem Tymoteusza do niej i w miarę snucia tych porównań niechęć do Ottona przekształcała się w gniew i w pogardę. Zaczynał też odczuwać pogardę i gniew do siebie: nie, cała spowiedź — jeśli o niego chodzi — była wielkim, niewybaczalnym błędem: uzyskawszy z trudem przewagę nad duszą Ottona, powinien był gromić, gromić i tylko gromić! Na nic innego ta dusza nie zasługuje. Szybko przebiegał pamięcią od początku poszczególne części spowiedzi i wszystkie umacniały go tylko w uczuciach gniewu i pogardy. To ma być pan świata, władca okręgu ziemskiego, wskrzesiciel potęgi rzymskiej? W taką duszę miałyby wstąpić najdrobniejsza choćby cząstka majestatu Bożego?! Niechęć Arona poczynała także powoli ogarniać i osobę papieża. Jak mógł taki mędrzec nie poznać się na Ottonie, na tym, co warta jego dusza? Papież zabronił Aronowi zwierzać się z tego, co usłyszy na spowiedzi — dobrze: Aron nie naruszy zakazu. Ale nie może mu papież zabronić mówienia o tym, co

sam mu zalecał przed spowiedzią. Natychmiast więc. gdy wejdzie do sypialni, Aron go poprosi o wyjaśnienie sprawy wielkiej wagi: Sylwester polecił mu bezwzględnie udzielić rozgrzeszenia cesarzowi. Wykonał polecenie, ale pragnie wiedzieć, musi wiedzieć, w jakich to kanonach kościelnych stoi napisane, że kapłanowi wolno udzielać rozgrzeszenia temu, kto niedwuznacznie oświadcza, że zatwardziałość trwać będzie w grzesznym związku miłosnym?!

Niechęć Arona przerzuciła się też na Teodorę Stefanię. Czyż naprawdę taka jest głupia, że nie stać jej na przeniknięcie, czym właściwie jest ona dla Ottona? I pomyśleć, że odrzuciła miłość Tymoteusza, by miłować Ottona! Po spowiedzi cesarza bowiem Aron nie miał już wątpliwości, że Teodora Stefania miłuje tylko Ottona: gorąco go miłuje, szczerze — mylił się Jan Teofilaktos powiadając, że naprawdę miłowała tylko męża... Dopiero teraz zrozumiałe w pełni staje się znaczenie owych uśmiechów, którymi krzepiła Teodora Stefania cesarza w chwili tracenia Krescencjusza — dopiero teraz pojmuję Aron to, co i jego, i Tymoteusza taką napawało zgrozą: martwa głowa Krescencjusza podniesiona z kłocyka ręką Krescencjuszowej żony! Nie drgnęła wówczas ręka Teodory Stefanii, nie drgnęło też jej serce: wiernie stała przy tym, kogo miłuje — potężnie wspierała swym miłowaniem słabą — nie biedną — nędzną duszę Ottona! I choć na samo wspomnienie owego straszliwego dnia znów wstrząsnął Aronem dreszcz zgrozy, uczuł nagle, że nie, że żywi do Teodory Stefanii podziw, nie pogardę, nie wstręt; a jeśli do podziwu tego domieszało się trochę niechęci to dlatego jedynie, że nie pojmuje, nie może pojąć, nigdy nie zdoła pojąć, jakże to się dzieje, że ona właśnie tę nędzną miłuje duszę, a nie wspaniałą duszę Tymoteusza. Przecież takiej kobiety jak ona nie mógł oślepić blask diademu, przypadkowo zdobiącego tak niegodne czoło!

Spoza nie domkniętych drzwi doleciały dźwięki organów. Papież znów grał. Spod niewidzialnych palców płynęły ku Aronowi miękkie, kojące tony. Było w nich coś z kołysanki. Może to przekład na muzykę piosnki, którą nuciła dwiema koronami uwieńczonemu synkowi Greczynka Teofania? Nieroztropnie postępuje Sylwester Drugi:

w muzyce jego więcej jest mocy niż w żółtawym płynie. Aron znowu opadł na miękkie, wygodne krzesło. Zamknął powieki. — Na chwilę, na małą chwileczkę — mruknął do siebie — żeby lepiej wsłuchiwać się w przecudne tony. Nie będę przecież spać, nie chce mi się spać.

Tak, tak, to na pewno grecka kołysanka. Aronowi nawet wydaje się, że widzi kołyskę. Widzi też Teofanię. Nie przerywając śpiewu cesarzowa wyciąga dłonie, wyjmuje dziecię z kołyski, tuli do piersi. Stoi bosa, w nocnej, odsłaniającej szyję i ramiona szacie, włosy w nieładzie spływają aż na twarzyczkę Ottona — jemu, synowi swemu i królowi, dziedzicowi korony cesarskiej, może w takim pokazać się stroju — to nie poniży jej majestatu. Stawia synka gołymi nóżkami na okrywającej posadzkę tkaninie: ale nie, to nie dziecię stoi, ale wyrostek prześliczny, prawie zupełnie nagi. — Chodźmy nad staw, opodal drogi Appijskiej — mówi mu Aron. — Zabawimy się swobodnie z dziewczętami i chłopcami... To nic, żeś bosy i prawie nagi... Będziesz tam wśród swoich. To cię nie poniży... — Otto uśmiecha się wzgardliwie: — Nie mam czasu — powiada opryskliwie — wyruszam w pochód na zdobycie wszystkich królestw świata... — Ty? ty? — równie wzgardliwie woła Aron. — Tak, ja, zobaczysz. — To chyba czary — mruczy Aron. — Tylko sztuki magiczne mogą sprawić, że w małej sypialni papieskiej tyłu zdoła pomieścić się ludzi... Hugo toskański, Henryk bawarski. Kuno frankoński, Herrenfryd lotaryński, arcybiskupi Herybert i Arnulf... A ilu jeszcze wali poprzez na oścież otwarte drzwi: istne tłumy... Lśnią dzidy i topory, szczękają miecze, brzęczą kolczugi i ostrogi — istotnie potężna gotuje się wyprawa... I konia wiodą — do sypialni konia... Arcybiskup Herybert z czcią podsuwa dłoń pod obutą w żelazo stopę Ottona — cesarz lekko, zręcznie wskakuje, brzęcząc zbroją, w siodło złotymi orłami zdobione. Pieśń bojową śpiewają flety — dziesiątki fletów... Groźnie wołają rogi — setki rogów... Hymnem tryumfu grzmią trąby — tysiące trąb... Aron otwiera oczy. Ale nie przestają śpiewać flety, wołać rogi, grzmieć trąby — one go właśnie zbudziły. Aron pobiegł ku drzwiom. Papież siedział pochylony nad organami. To on wyczarował słabym naciskiem na klawisze śpiew dziesiątków fletów, wołanie setek rogów, grzmot

tysiąca tręb. Hymn potęgi i tryumfu niewidzialną purpurą przewspaniałą spadał na ramiona Ottona, który stał opodal organów z dumnie skrzyżowanymi na piersiach rękoma, z wysoko podniesioną głową, z radośnie błyszczącymi oczyma, przepelnionymi poczuciem władczości i bezgranicznej mocy.

9

Sylwester Drugi wysoce cenił wnikliwość sądów Jana Teofilakta. Ale wbrew oczekiwaniu całego senatu nie odpowiedział potakującym uśmiechem na kwiecistą przemowę, w której Jan Teofilaktos z zachwytem i czcią wywodził szczęśliwe zakończenie krótkotrwałego starcia między Miastem a wracającym z Tyburu cesarzem, przede wszystkim z bezmiaru uczoneści i mądrości mistrza nad mistrzami, Gerberta. Wedle papieża bowiem, nie pełna skargi bolesnej i gorzkich wyrzutów, piękna mowa, wygłoszona z wieży przez Ottona, ale strach przed frankońskimi toporami i ostrzami saksońskich włóczni otworzył zatrzaśnięte zuchwale przed majestatem bramy. Toporów tych jednak i włóczni było w Rzymie, jak papież twierdził, stanowczo za mało — należy tylko się dziwić, jak tego nie zdołali spostrzec zuchwali buntownicy, którzy odważyli się w kilka zaledwie tygodni po uroczystym pochodzie cesarskim na Kapitel wystąpić świętokradczo przeciw włodarzowi Romulusowego dziedzictwa. „Udało mi się nauczyć Cesarską Wieczność mistrzowskiego posługiwania się mową łacińską, ale niestety nie uda mi się z pięćdziesięciu toporów zrobić trzystu, a ze stu włóczni tysiąca”. Gdy zaś skończyło się zgromadzenie senatu i Jan Teofilaktos został sam na sam z papieżem, ów zapytał go wprost, czy naprawdę wierzy, że zarzewie buntu ostatecznie zostało zdławione. Stryj Tymoteusza z żarem odrzekł, że nie tylko wierzy, ale na pewno wie, iż wraz z bratankiem jego, Grzegorzem, którego wyparł się i wydał w mściwe ręce cesarza, wdeptana została w ziemię wszelka myśl o buntach i zamachach.

Mylił się. Myśl Grzegorza przeżyła jego ciało. Poczęty w myśli tej spisek dopadł Ottona w głębi awentyńskiego pałacu, wypłoszył z łoża, wyrwał z objęć Teodory Stefanii, zmusił do straszliwego poniżenia się — do ucieczki boso w stronę nędznych pokoików zamieszkałych przez służbę. Trzy dni huczącym groźnie mrowiem oblegał Rzym włodarza Romulusowego dziedzictwa — czwartego dnia rozstał się w głuchym, nie mniej groźnym niż wrzawa milczeniu, by przepuścić do pałacu zbrojny oddział saksoński, dowodzony przez okrytego żelazem

biskupa Bernwarda. Otto rzucił się biskupowi na szyję, łapczywie wyrwał mu z dłoni kawał chleba grubo posmarowany miodem — jedząc pospiesznie i chciwie, łzami radości srebrzył napierśne puklerzyki. Dopiero gdy najadł się do syta — pierwszy raz od czterech dni — sięgnął po swoją włócznię, święty znak cesarski z narażeniem życia odbity przez biskupa buntownikom. Znowu błyszczały dumą czarne oczy — spomiędzy mocno zaciśniętych zębów sypać się poczęły niezliczone okrutne wyroki. — Niestety, Wieczny Panie — mruknął z westchnieniem Bernward — jest nas akurat tylu, by osłonić twe wyjście z Miasta, ale nie tylu, by choć jeden wykonać twój wyrok.

Otto tupnął nogą. — Nie zhańbię się uciezką! — zawołał gniewnie. — Rzymianin najdostojniejszy, spadkobierca Romulusa, nie pozwoli sobie wydrzeć dziedzictwa, nie da się żywy wygnać z Miasta. Nie opuszczę pałacu.

Opuścił pałac i Miasto. Wraz z nim Teodora Stefania i papież, któremu towarzyszył Aron. Orszak cesarski skierował się ku Spoleto; Spoleto zatrzasnęło przed nosem Ottona wszystkie swe bramy. Otto rzucił się ku Jezioru Bolszańskiemu, by w starym zameczku królowej Gotów, Amalasanty, przeczekać, aż przywiedzie świeże posiłki Hugo, margrabia Tuscji; jezioro przywitało go chmurą pocisków, z łodzi i tratw przez setki łuków i proc wyrzucanych. Miotał się między morzem a górami nie ośmielając się zbliżyć do Rzymu. Gdy nadszedł margrabia Hugo, a z nim Henryk, książę bawarski, Otto z tryumfującym, mściwym uśmiechem powiodł ich drużyny przeciw Miastu. Drogę jego w dzień znaczyły uginające się pod ciężarem wisielców drzewa, w nocy olbrzymie pożary. Nie zdobył Miasta. Zbolały ruszył ku północy: bunt szedł za nim w trop, nawet wyprzedzał, zatrzaskiwał bramy wszystkich zamków i miast Romanii. Rawenna pozostała wierna. Ale pod Rawenną oczekiwał Romuald, pustelnik surowy. Groźnie przypomniawszy cesarzowi dawno uczynione ślubowanie, że złoży z siebie purpurę, zdejmie ze skroni diadem, oddali się do pustelni, po kres dni swoich czynić będzie pokutę. — Czyż we wrzawie zuchwałej buntu — wołał — nie słyszysz, niewierny sługo Chrystusowy, Ottonie, grzmiącego głosu Boga zagniewanego?

Opamiętaj się, nie zwlekaj, jeszcze czas, jeszcze możesz powstrzymać karzącą prawicę Sędziego.

Otto z łkaniem padł Romualdowi do nóg, całował brzeg jego nędznej szaty, żarliwie przyrzekał, iż uczyni rozbrat ze sprawami tego świata w ciągu najbliższych tygodni. Ale mijały miesiące, a cesarzowi nie spieszo było zamknąć się w pustelni. Rozsyłał gońców, gromadził wojsko, skupował broń. Znikał nieraz z Rawenny na tygodnie całe — nawet papież nie zawsze wiedział, dokąd.

Któregoś jesiennego ranka dworzanie stwierdzili nieobecność nie tylko cesarza, ale i Teodory Stefanii. Okazało się też, że znikli z Rawenny — najwidoczniej wraz z Ottonem — Herrenfryd, szwagier cesarski, biskup komeński Piotr, kapelan Rakko i młodziutkie książątko Pandolf, syn margrabiego Salerna, który dopiero przed dwoma dniami przywiózł cesarzowi od ojca jakieś tajne listy, po grecku podobno pisane. Nazajutrz zaś znikli równie tajemniczo jeszcze dwaj: hrabia Benedykt, powinowaty Teodory Stefanii, i arcybiskup mediolański Arnulf.

Aron spostrzegł, że tajemnicze te wyjazdy ogromnie zaniepokoiły papieża. Zamyślony i chmurny przechadzał się po krużgankach zdobiących wnętrze kościoła Świętego Witaliego. Rzadko odzywał się do ulubieńca — przeważnie spędzał czas na naradach z Hugonem, margrabią Tuscji, i świeżo przybyłym do Rawenny wysłannikiem Patrycjusza Bolesława, opatem Astrykiem Anastazym.

Astryk Anastazy przybył nie sam. Ale, jak udało się Aronowi stwierdzić, żaden z wysłanników księcia polskiego nie był Słowianinem; sami Niemcy: Sasi albo Bawarzy. O jednym z posłów powiadano wprawdzie, że pochodzi ze słowiańskiego szczepu Boemów, czyli Czechów, ale gdy kiedyś w obecności Arona zagadnęli go słowiańską mową wojownicy polscy z podarowanej Ottonowi przez Bolesława drużyny — odpowiadał im tylko po niemiecku.

Aron niejednokrotnie miał możliwość przysłuchiwać się rozmowom papieża z posłami Bolesława. Poza jednym Astrykiem Anastazym, wydali mu się wszyscy nieukształconymi zupełnie prostakami: choć prezbiterami byli, zdania jednego nie umieli skleić po łacinie — papież

porozumiewał się z nimi nie inaczej, jak z pomocą tłumacza.

Przeważnie rozmowy toczyły się wokół sprawy zakładania w księstwie polskim kościołów i klasztorów. Sylwester Drugi zapowiadał rychły wyjazd trzech braci uczonych z otoczenia pustelnika Romualda: Benedykta, Jana i Antoniego. Zaznaczał jednak, że pragnie, aby w samej Polsce przebywali możliwie krótko: zależało mu raczej na tym, aby Bolesław wysłał ich do krain, do jakich wcale jeszcze nie docierało słowo Boże. Szczegółowo wypytywał o arcybiskupa Gaudentego, brata świętego męczennika Wojciecha Adalberta; o biskupie zaś poznańskim, Ungerze, nie mówił nigdy inaczej, jak z grymasem niesmaku: raz nawet rzekł o nim „ów rzeźnik”. Tych jednak słów Astryk Anastazy swym towarzyszom nie przetłumaczył.

Posłowie polscy nierzadko zasypywali papieża żalami i skargami. Skarżyli się głównie na panów saskich, i to nie tyle nawet na margrabiów, ile na biskupów i opatów: szczególną niechęcią pałali ku Gizylerowi, arcybiskupowi magdeburskiemu. Opowiadali, że raz po raz urządza wyprawy wojenne na grody i osiedla, władzy księcia polskiego lub jego przyjaciół podległe. Zbrojni druzynnicy arcybiskupa raz po raz uprowadzają ludzi Bolesławowych, przeważnie, jak twierdzą, dla nawracania ich na wiarę świętą lub umacniania w wierze — ale czy takie postępowanie arcybiskupa Gizylera zgodne jest ze świętymi kanonami? Czy wolno mu rozciągać swą władzę na krainy, wołą Ojca Najświętszego pieczy arcybiskupa Gaudentego poddane? Nie umiając wysłować się po łacinie, posłowie polscy okazywali się przecież wcale nie takimi prostakami, za jakich początkowo miał ich Aron. Umieli zręcznie nawiązać do starej sprawy zagarnięcia przez metropolitę Gizylera ziem biskupstwa magdeburskiego; wielokrotnie dawali wyraz swemu świętemu oburzeniu, iż oto majestat namiestnika Piotrowego cierpi krzywdy niesłychane, jako że Gizyler nie chce uznać prawa papieża do rozstrzygania jego sporu z biskupem Bernwardem. Umieli bardzo dokładnie przytoczyć dobitne, plugawe wyrazy, jakimi arcybiskup Gizyler odgrażał się Bernwardowi, którego przecież tak gorąco miłuje sam Pan Cesarz. Potrafili nawet powtórzyć treść

modlitwy, którą mniszki w klasztorze handersheimskim odmawiają co dzień rano i wieczór, błagając świętego Piotra, aby natchnął namiestnika swego surową wolą odebrania Gizylerowi nieprawnie zagarniętej władzy nad ich klaszturem, siedzibą prastarą uczoneści i mistrzostwa w sztukach wszelakich.

Arona w podziw wprawiło owo oddanie szczere prezbiterów niemieckich sprawie słowiańskiego władcy. Zdumiewał się, że Sasi tak zażarcie występują przeciw saskiemu arcybiskupowi. Jeszcze bardziej zdumiewał się, gdy kiedyś towarzysze Astryka Anastazego, wyraźnie korzystając z chwilowej nieobecności opata, z tajemniczymi minami pospiesznie powiadomili Ojca Najświętszego, że księżę Bolesław boleje ogromnie nad nieżyczliwością, jaką mu okazują zaufani ludzie obecnego tu w Rawennie księcia Henryka bawarskiego, buntując przeciw Patrycjuszowi pobratymczy szczerp Czechów. Prosili, by Ojciec Najświętszy chciał rozważyć, czy ziemia czeska nie powinna podlegać władzy metropolity Gaudentego raczej niż arcybiskupa mogunckiego. Pan ich, Bolesław, mniema bowiem, że arcybiskupowi Gaudentemu powierzył święty Piotr władzę nawracania i umacniania w wierze wszystkich tych, którzy słowiańskiej używają mowy, a czyż Czesi nie w tej właśnie mowie się wysławiają?!

Papież odpowiedział z uśmiechem, że Bolesław, zdaje się, niezbyt dokładnie zrozumiał wolę stolicy Piotrowej. Przecież pismo papieskie, doręczone księciu polskiemu przez najczcigodniejszego ojca i pana Gaudentego, wyraźnie orzekło, że władzy nowej metropolii, którą spodobało się świętemu Piotrowi założyć w mieście słowiańskim, Gnieźnie, podlegać mają krainy rozciągające się na wschód od ziem podległych władzy arcybiskupa magdeburckiego i mogunckiego. Wcale w piśmie namiestnika Piotrowego nie było mowy o tym, aby metropolii gnieźnieńskiej podlegać mieli wszyscy ci, co mowy słowiańskiej używają. Ale Ojciec Najświętszy weźmie pod rozwagę mniemanie Patrycjusza Bolesława i zasięgnąwszy rady Ducha Świętego udzieli posłom polskim odpowiedzi, o którą błagają. Metropolitę zaś Gizylera, włodarza niegodnego, tak czy owak dosięgnie pomsta sprawiedliwości Bożej. Ten, który Alfą jest i Omegą.

początkiem i końcem wszech rzeczy, wymierzy mu srogą karę na tamtym świecie, równie jak na tym: wszak już go ciężką poraził niemocą.

Po tych słowach Sylwester Drugi zmienił przedmiot rozmowy. „Czy nie dlatego, że wchodzi właśnie Astryk Anastazy” — pomyślał Aron. Papież począł wypytywać posłów o drużynę Bolesława, o liczbę wojowników, o ich sprawność i uzbrojenie. Zapytał nawet, ile koni bojowych zwykł wysyłać Bolesław na wyprawy wojenne. Rozgoryczenie brzmiało w głosie papieża, gdy oświadczył, że dziwi go niepomierna opieszałość Patrycjusza, który wbrew obietnicom zwleka wciąż z przybyciem do Rzymu. Jeden z posłów rzekł mu na to z prostotą, a raczej — jak Aronowi się wydało — prostacko, że przecież to obecnie rzecz niemożliwa, bo Rzym nawet przed Panem Cesarzem zamknął swe bramy. Sylwester Drugi z trudem zatamował wzbierającą falę wzgardliwego gniewu. Sucho odpowiedział, że Rzym jest tam, gdzie przebywa majestat cesarski, a zresztą pierwszym obowiązkiem Patrycjusza Imperium jest właśnie dopomożenie Cesarzowej Wieczności w zbożnym dziele odzyskania zbuntowanego świętokradczo Miasta. Dawniej przekonywająco brzmiały oświadczenia Bolesława, że nie może podjąć tak dalekiej wyprawy, bo trudno mu się oderwać od najświętszego dzieła szerzenia i umacniania wiary Chrystusowej — ale dziś przy boku jego stanęli arcybiskupi i aż czterej biskupi, zamiast jednego, jak było aż do ubiegłego roku — nie godzi mu się więc dalej usprawiedliwiać w ten sposób swojej nieobecności. Ojciec Najświętszy stanowczo żąda od opata Astryka Anastazego i jego towarzyszy, by szczerze się wypowiedzieli, czy Wieczność Cesarzowa może liczyć na przybycie Bolesława wraz z całą drużyną w ciągu najbliższego półrocza. Na świętego męczennika Wojciecha Adalberta, który z wysokości niebios szczególną opieką otacza krainę polską, zaklina ich, by rzekli prawdę, tylko prawdę.

Jeden z posłów zaczął mówić po niemiecku — wnet Astryk Anastazy uważnie mu się przyjrawszy przemówił po łacinie — tłumaczył. Ale Aronowi, który rozumiał niektóre niemieckie słowa, bo

przypominały mowę Saksonów brytyjskich — wydało się, że opat niezupełnie wiernie przekłada. Po niemiecku bowiem zostało powiedziane, że przybycie Bolesława w ciągu półrocza jest bardzo możliwe; po łacinie zaś, że zupełnie wykluczone.

— Czemuż to? — zapytał papież rozdrażnionym głosem. Astryk Anastazy wyjaśnił, że Bolesław z całą drużyną pociągnął daleko na północ, ku ujściu rzeki Odry: oczekuje bowiem rychłego najazdu niezliczonych łodzi wiozących potężną drużynę pogańskich mężów Północy, którym przewodzi groźny książę Sweno.

— Uspokójcie Bolesława — uśmiechnął się pobłaźliwie Sylwester Drugi. — Mam dokładne wiadomości, że Sweno gotuje się do najazdu na Anglię, a może nawet już ją najechał.

Astryk Anastazy na uśmiech odpowiedział uśmiechem. Nie pobłaźliwym, tryumfującym.

— Racz wybaczyć zuchwałość, Ojczy Najświętszy, ale my posiadamy dokładniejsze wiadomości. Najazdu na Anglię nie będzie. Król Etelred okupił się Swenowi: wypłacił mężom Północy szesnaście tysięcy funtów srebra.

Słowa Astryka Anastazego wyraźnie zaskoczyły i oszołomiły papieża.

— Czy aby to pewna wiadomość? — zapytał prawie szeptem.

— Najpewniejsza. Przesławny pan Bolesław wysyłał do Anglii posłów doradzając Etelredowi wspólną przeciw Swenowi walkę. Teraz będzie musiał walczyć bez sprzymierzeńca.

— Po raz trzeci już okupuje się Etelred — westchnął Sylwester Drugi. — Czyż Anglicy nie mają już przeciw poganom mieczów, tylko srebro? Ale srebro niebezpieczna to broń, przeciw temu obraca się, który nią walczy.

Aron uczył, jak ścisła mu się serce. Przecież Anglia była jego drugą ojczyzną — tam poznał słodycz nauki, tam wyróżniono go zaszczytem szczególnym wysłania do Rzymu. Oczywiście król Etelred nie jest odważnym wojownikiem, ale Aronowi przykrość niewymowną sprawiała nieukrywana pogarda, z jaką i poseł polski, i papież mówili o władcy Anglii. Zresztą czyż on sam nie przeżył wielokrotnie owej

grozy straszliwej, jaką wzbudzał okrzyk ze strażnicy nadmorskiej: „Widzę żagle pogan!” — Czyż nie należały do najokropniejszych chwil jego życia owe wlokące się nieskończenie godziny oczekiwania w strachu śmiertelnym — co dalej: zbliżają się żagle, czy znikają? Ileż razy dostawał mdłości czy wręcz wymiotował na myśl, że zbliżają się, że stanie się... że nic nie ocali: ni młodość, ni uczoneść, ni modlitwa! Z goryczą mówił do siebie, że łatwo jest szydzić, gdy samemu się nie przeżywało owej ciszy złowieszczej, owej pustki cmentarnej zamarłych w grozie wyczekiwania nadbrzeżnych miast angielskich, rojnych zwykle i gwarnych. Nie, on nie mógł wykrzesać z siebie potępienia dla radości szaleńczej, jaka porywała mężczyzn i kobiety, starców i dzieci, mędrców i nieuków, mnichów i wojowników — gdy ze strażnicy niosło się pełne upojenia wołanie: „Odpływają, odpływają, znikają!”

Przypomniał też sobie, jak potężni dostojnicy Brytnot i Etelmer krzyczeli nieprzytomnie do króla po pierwszym złożonym Swenowi okupie: — Zhańbiła się cześć Angłów i Sasów! Po wsze czasy się zhańbiła! — To nie ja... nie ja... to on — bełkotał zbielełymi wargami król Etelred wskazując trzęsącą się dłonią na arcybiskupa Segeryka. — Tak, to ja — twardo powiedział arcybiskup. — Gdy stanę przed obliczem Miłosierdzia Bożego, odważnie zapytam, co jest ważniejsze: cześć rycerska czy krew dzieciątek chrześcijańskich? — Brytnot umilkł patrząc nienawistnie spode łba; Etelmer zaś mruknął wówczas to samo, co przed chwilą rzekł Sylwester Drugi: — Srebro przeciw temu się obraca, kto nim walczy... — I dodał: — Gdybym to ja był Miłosierdziem Bożym, panie arcybiskupie, tobym tak ci odrzekł:

„Słusznieś postąpił, jeżeli oni nigdy już potem nie mieli wrócić”.
Czy nie wrócą, panie arcybiskupie?

— A cóż się dzieje z Olafem, królem Norwegów, wspólnym Etelreda i Bolesława sprzymierzeńcem? — zapytał Sylwester Drugi.

— Zginął pokonany przez Swena w bitwie morskiej — odrzekł Astryk Anastazy — zresztą ostatnio był wrogiem raczej przesławnego pana Bolesława niż sprzymierzeńcem. Pogniewał się o siostrę Bolesławową, którą dostał Sweno, nie on.

Aronowi znowu ścisnęło się boleśnie serce. Piękny, szlachetny, wesoły król Olaf, ulubieniec całej Anglii, nie żyje! Nie zostało mu nawet oszczędzone poniżenie klęski i śmierci z rąk tego, co mu zabrał umiłowaną kobietę!

Papież podniósł się. Znużyła go długa, tak długa, jak nigdy dotąd, rozmowa z posłami polskimi.

— A kiedyż dostaniemy koronę królewską dla naszego pana przesławnego? — zapytali posłowie. Widać było, że doznali zawodu, że są zaskoczeni, że właśnie zamierzali przejść do najważniejszej dla siebie sprawy.

— O tym będziemy mówili po powrocie Cesarskiej Wieczności — sucho odrzekł Sylwester Drugi i pożegnał posłów.

Otto powrócił w kilka tygodni później, ale Aron nie był obecny przy powitaniu. Wyziwy trujące moczarów podraweńskich rzuciły go na długo do łoża. Trzęsły nim na przemian żar i ziąb — majaczył, spadał ze stromych skał, wspinał się w ślad za Teodorą Stefanią po kruchych schodkach wiodących na szczyt okrągłej wieży świętego Apolinarego. Gdy dopędził ją, odwróciła się nagle i porwawszy go w ramiona odniosła jak niemowlę z powrotem do łoża. Przykryła go ciepłą, wzorzystą tkaniną, usiadła obok niego.

Już go nie ziębiło, nie rzucało w żar, a ona wciąż siedziała koło niego. Spojrzał na tkaninę, którą był okryty: wcale nie wzorzysta. Zamknął oczy, znów otworzył. Teodora Stefania siedziała przy jego łożu.

— Przyniosłam ci lek cudowny na febrę — powiedziała z przyjaznym uśmiechem — dzieło niezrównane greckiej sztuki lekarskiej. Dopiero przed tygodniem przywiezione z Konstantynopola.

Odeszła, ale lek pozostał. Nie, nie była zjawą.

Nazajutrz Aron spróbował podnieść się. Udało się. Przechadzał się po komnacie, wyglądał oknem. Zaraz po zachodzie słońca zasnął i bez żadnych zjaw spał, ale obudziły go potężne dźwięki trąb i głośne okrzyki. Żwawo podbiegł do okna: ulicą sunęły niezliczone szeregi ciężkozbrojnych wojowników. Na czele ich jechał archilogoteta Herybert, kanclerz Imperium, arcybiskup metropolita koloński. Na

zakręcie ulicy, w otoczeniu dostojników i dworzan, stał na kwadrydze Otto. Z oczu spływały mu łzy szczęścia. Gdy Herybert przed rydwanem cesarskim zsiadł z konia, Otto wziął go w objęcia, ucałował w czoło, w policzek, w usta.

Przed wieczorem odwiedził Arona papież. Nie pozwolił paść sobie do nóg. Promieniał szczerą uciechą na widok ozdrowiałego ulubieńca. — Najdalej za dwa miesiące będziemy w Rzymie — rzekł wesoło. — Z takim wojskiem pół świata chyba można podbić. Margrabia Hugo już pojutrze wyrusza.

Opowiedział Aronowi o wyprawie cesarza. Okazało się, że był u Wenetów, na wyspie Rialto. Ogromnie niebezpieczną miał podróż — omal nie zatonął, i to już wówczas, gdy złociła się przed nim kopuła Świętego Marka. Wrócili z nim szczęśliwie i Herrenfryd, i biskup Piotr, i Teodora Stefania, i Rakko. Wszyscy, prócz arcybiskupa mediolańskiego i hrabiego Benedykta. Papież gryzł się nieobecnością arcybiskupa Arnulfa. Z Mediolanu nadeszły wieści o buncie — okrzyknięto tam podobno margrabiego Iwrii, Harduina, królem Italii. Cesarz chce osobiście stanąć na czele wyprawy, która stłumi bunt. Ale papież doradza mu iść na Rzym — Harduinem niech się zajmie Henryk bawarski. Oczywiście też i arcybiskup Arnulf, gdy wróci od Wenetów.

— Ktoś tu przebąkiwał — powiedział papież na pożegnanie — że w Pawii i Weronie także się buntują. Ale to nie jest groźne. Dziś, gdy Cesarska Wieczność ma tyle wojska... Bywaj zdrów. Jedz więcej.

Następnego dnia ulubieńca papieskiego odwiedził Piotr, biskup komeński. Wspólnie przypominali sobie Marona recytując na przemian rozmaite ustępy „Eneidy”. Trochę rozmawiali z sobą po grecku: Aronowi szło lepiej niż biskupowi. Potem Piotr zaczął opowiadać o swej podróży z cesarzem. — Dziwnie jest u tych Wenetów — rzekł — mowę mają prawie taką jak nasza — modlą się po łacinie — kapłani ogoleni. Ducha Świętego wywodzą od Syna, jak i od Ojca — ale poza tym wszystko jak u Greków. Zresztą od prawdziwych Greków aż się tam roi. A ile okrętów greckich stoi pod żaglami wspaniałymi, nie zliczyłbyś... Cesarskiej Wieczności wszystko tam matkę zmarłą

przypominało.

Szczegółowo opowiadał o uczcie wspaniałej, jaką podejmował Ottona Piotr Orseoli, przewodniczący senatu weneckiego, czyli doża, jak tytułują go swoi. Obok cesarza siedziała synowa doży, piękna Greczynka Maria, córka Romana, ulubienca Bazyleusów. W pewnej chwili Otto ze łzami w oczach pocałował ją w czoło. — Tak bardzo przypominasz mi matkę — rzekł drżącym głosem. A ona na to: — Powinnaś, Cesarska Wieczności, zawsze mieć jak najbliżej koło siebie kobietę, która i miłością, i majestatem jak najbardziej by ci matkę przypominała.

Opowiedział też biskup Piotr o przebiegu podróży morskiej, któraomalże o utopienie ich wszystkich nie przyprawiła Ściszonym głosem wyjawiał, że cesarza strach porwał ogromny, w chwili gdy fale poczęły zalewać ich łódź żaglową. Ale Teodora Stefania wzięła go pod rękę, przytuliła głowę do jego policzka, stopę do jego stopy i uspokoił się. Wszyscy w łodzi ją podziwiali: bo choć cesarz najwięcej się bał, ale przecież i innym także serce ze strachu zamierało, na wszystkich wyczytałbyś to twarzach, a na jej — nic.

Mówił to z poufałością, z jaką zwykle się przemawia do człowieka ze swojej gromady. Najwidoczniej będąc z Aronem biskup Piotr uważał, że „jesteśmy między sobą”. Wszak rozmawiał z kapłanem, choć młodym, ale wielce uczonym, może za lat kilka biskupem. Aron wyczuł istotę owej poufałości. Zrobiło mu się błogo na duszy.

— A po cóż właściwie Cesarska Wieczność jeździła do Wenetów? — zapytał, zręcznie wpadając w ten sam ton.

Biskup Piotr jeszcze bardziej zniżył głos. Powiedział, że Pan Cesarz, nie spodziewając się tak rychłego przybycia Heryberta z wojskiem, zamierzał ominąć w drodze na Rzym buntującą się między Padem a Tybrem krainę, uderzając niespodzianie od Ankony. Ale żeby morzem się dostać do Ankony, trzeba mieć okręty, a skąd je wziąć, jak nie od Wenetów?

— Ale obawiam się — zakończył ledwie słyszalnym szeptem — że Cesarska Wieczność nie dogadała się z senatem weneckim. Podobno doża Piotr w cztery oczy stawiał Panu Cesarzowi jakieś niezwykle

warunki. Lecz dziś, kiedy Cesarska Wieczność ma tyle wojska...
Bywaj zdrów. Pij czerwone wino padewskie, najlepszy lek dla
powracających do zdrowia.

Odprowadziwszy biskupa Piotra do drzwi Aron skierował się ku
oknu, nie temu jednak, które wychodziło na ulicę. Oczywiście pragnęły
napawać się pięknym widokiem olbrzymiego ogrodu na tyłach pałacu
metropolitalnego. Rozmawiał się w tym ogrodzie już wtedy, gdy
przebywał tam przed trzema laty jako ulubieniec nie papieża
Sylwestra jeszcze, ale Gerberta, arcybiskupa Rawenny.

Stanąwszy przy oknie omal nie krzyknął. Po ogrodzie przechadzał
się opat Astryk Anastazy trzymając poufale i przyjaźnie pod rękę
barczystego młodzieńca w mniszej szacie. Aron od razu poznał tego
młodzieńca. Wszak nie widział go zaledwie przez rok. Ale co może
łączyć Bolesława Lamberta z posłem zaufanym brata przyrodniego,
do którego nienawiść jeno żywi za wygnanie, za wyrzucenie
z ojcowskiego dziedzictwa, za zamknięcie dożywotnie w pustelni
surowej? I jak się stało, że ktoś z otoczenia Romualda znalazł się
w Rawennie, w pałacu arcybiskupim? Przecież Aron dobrze wie, że
surowy pustelnik, sam układający przepisy dla swego otoczenia, nie
liczący się ani z przekazem ojców, ani nawet z praktykami kluniackiej
wspólnoty — raz na zawsze zabronił pokazywać się w świecie tym
wszystkim, którzy dobrowolnie lub pod przymusem przyłączyli się doń,
tworząc osiedle pustelnicze: erem. Może Bolesław Lambert usiłuje
przebłagać brata przyrodniego za pośrednictwem posła? Ale czyż tak
się przemawia do kogoś, kogo się o coś kornie prosi? Przecież to
raczej rozmowa przyjaciół wielce ze sobą spoufalconych!

W kilka dni potem papież przysłał pokojowca z zapytaniem, czy
Aron na tyle się już czuje zdrów, by wziąć udział w uroczystym
nabożeństwie świątecznym, po którym nastąpi ceremonia wręczenia
korony królewskiej władcy Węgrów, Stefanowi.

— Jakież to święto? — zapytał Aron zdziwiony. Pokojowiec
spojrzał nań jak na szaleńca.

— Jak to, jakie święto? Najuroczystszy dzień Narodzenia
Pańskiego.

Aron nie wierzył własnym uszom. Więc tyle czasu przechorował? Był pewien, że dopiero okres postu się zbliża. Jakże jednak papież mógł pozwolić na to, że jeszcze onegdaj kucharz przysłał mu kurę? I czemu nikt z odwiedzających nie pouczył go, że post już dawno się zaczął?

Nic mu też nikt nie powiedział o przybyciu władcy Węgrów i o mającej nastąpić koronacji. O Węgrach wiedział tylko tyle, że są najdzikszyimi barbarzyńcami pochodzącymi od Hunów, co pod strasliwym Attyłą najeżdżali niegdyś Imperium Rzymskie. Nie był nawet dotychczas pewien, że władcy Hunów są chrześcijanami. Chyba od niedawna.

„Tylu na raz nowych królów będzie — dziwił się — polski, węgierski...”

Powiedział pokojowcowi, że dziękuje Ojcu Najświętszemu, że oczywiście weźmie udział i w nabożeństwie, i w ceremonii koronacyjnej. Lecz nazajutrz nagły nawrót choroby znów przykuł go do łoża. Znów dopadły go ziąb i żar. Ale lekarstwo Teodory Stefanii chroniło przed zjawami strasliwymi. A i w ogóle tym razem lżej znosił chorobę. W dniu Jana Ewangelisty tak już dobrze się czuł, że zszedł do kaplicy, by odprawić Ofiarę Świętą. Papież jednak znowu zaszczylił go odwiedzinami, jak gdyby Aron nadal był ciężko chory. Oświadczył, że cesarz lada dzień wyruszy na Rzym. Drużyna margrabiego Hugona już podobno pod mury Miasta się zbliża.

— .Jadę wraz z Cesarską Wiecznością. Nie wiem doprawdy, czy zostawić ciebie tutaj, czy zabrać z sobą. Słabyś jeszcze, alem tak się do ciebie przyzwyczaił...

Aron począł gorąco prosić papieża, by nie zostawiał go w Rawennie. Sylwester Drugi troskliwie obejrzał go ze wszystkich stron.

— Może istotnie lepiej, byś wyruszył z nami — mruknął — to powietrze tutejsze tak cię truje. Nigdy nie zamianuję ciebie arcybiskupem Rawenny — dodał przyjaźnie się uśmiechając.

Nazajutrz Aron wybrał się do Teodory Stefanii. Szedł, by podziękować za lekarstwo. Powitała go z wielką życzliwością. Prosiła,

by usiadł, by pozostał dłużej. Szczegółowo opisała przebieg uroczystości koronacyjnej.

— Żałuj, żeś nie widział tego nowego pomazańca Bożego — rzekła ze śmiechem — warto było zobaczyć. Opowiedziała, że król Stefan ma szeroki, prawie zupełnie płaski nos, potwornie grube wargi, rzadkim, szczeciniastym okolone zarostem. Największe przecież dziwo, to jego oczy: malutkie, skośne szparki, tak czarne jak najciemniejsze oliwki.

— Ale mądre oczy, bardzo mądre — dodała w zamyśleniu.

Z ożywieniem mówiła o wyprawie na Rzym.

— Syna zobaczę, rozumiesz, syna... I słońce staczające się za Wzgórze Janikulskie...

Aron niepewnym głosem zapytał, czym sobie zasłużył na jej troskliwość.

Zaśmiała się.

— Lubię cię przecież! — zawołała — choć okradłeś królestwo podziemne, bardzo lubię... Lubię cię od czasu, gdyś mię tak oszołomił na rydwanie dziwną mową o Tymoteuszu. Pamiętasz?

Gdy zaś Aron już ją zegnał, powiedziała:

— Owo lekarstwo to dar wdzięczności.

Zdumiał się. Przyjrzał się jej. Wcale się nie śmiała.

— Wdzięczności? Dla mnie od ciebie? Za co, dostojna pani?

Uśmiechnęła się.

— Bywaj zdrów. A pozdrów też ode mnie Tymoteusza, gdy go w Rzymie zobaczysz.

Aron podążył ku pałacowi arcybiskupiemu, pełen dręczącej rozterki. Czuł zamęt w głowie. Ten sam, co wówczas, gdy spowiadał Ottona. Co ona chciała powiedzieć? Co miała na myśli? Dar wdzięczności?! Za co? Czyżby za to, że przyczynił się do wyjaśnienia Tymoteuszowi, iż ona go nie miłuje?

Kierując się do komnat papieskich posłyszał głosy, między innymi głos Sylwestra Drugiego. Przystanął. Zaczął się wsłuchiwać. Najwidoczniej papież rozmawiał z jakimś poselstwem, gdyż słowa jego czyjś głos natychmiast tłumaczył na mowę niemiecką —

i odwrotnie, ten sam głos niemieckie słowa przekładał na łacinę. Wszystkie głosy, nie wyłączając przekładającego, pełne były najwyższego podniecenia. Aron na całe życie dobrze zapamiętał sobie ową namiętą, nieomal gwałtowną wymianę zdań.

— Przyszedł książę Węgrów i ukradł błogosławieństwo przeznaczone dla władcy polskiego.

Aron zrozumiał, że trafił na koniec rozmowy. Ale zdumiał go niepomiarne zwrot użyty przez papieża. Tak się przemawia zaprawdę tylko do prostaków nieociosanych, do ciemnych, najciemniejszych barbarzyńców.

— Ale przecież Ojciec Najświętszy nie jednym tylko rozporządza błogosławieństwem.

Aronowi przemknęło przez myśl, że ten, który te słowa wymówił, wcale nie jest ciemnym prostakiem.

Głos Sylwestra Drugiego odpowiedział krótko:

— Módlcie się za grzechy wasze. Po czym rozległy się kroki. Papież najwidoczniej opuszczał komnatę,

— Ale gdzie jest opat Astryk Anastazy? Co on powiada? — gonił Sylwestra Drugiego coraz to gwałtowniejszy głos, natychmiast powtórzony przez echo łaciny.

— Astryka Anastazego nie masz już w Rawennie.

— A gdzie jest? Gdzie jest? Co z nim jest? Co mu się przydarzyło? Co uczynił Pan Papież z posłem przesławnego księcia polskiego?

— Nic mu się nie przydarzyło złego. Odjechał z królem Węgier. Święty Piotr powierzył mu pogłębianie wiary Chrystusowej w krainie węgierskiej.

Krzyku, który był odpowiedzią na te słowa, nie przełożył już tłumacz na łacinę. Ale Aron go zrozumiał, tak jak gdyby to w mowie Anglów krzyczano.

— Zdrajca Astryk! Podle zdradził swego pana! — wołał nieprzytomnie poseł polski.

Odgłos kroków papieża oddalał się coraz bardziej, aż zamarł zupełnie. Aron twarzą w twarz zderzył się z wychodzącymi posłami

Bolesława, którzy wcale nie hamowali wzburzenia w słowach ani w ruchach. Z tego, co mówili mijając go, pochwycił tylko jedno zdanie — za szybko, za gwałtownie mówili, by mógł więcej zrozumieć. Ale to jedno zdanie powiedziało mu bardzo wiele. Pozwoliło pojąć rzecz niepojętą. Jeden z posłów Bolesława, zdaje się ów Czech, który kiedyś po niemiecku odpowiadał zagadującym go w mowie słowiańskiej wojownikom polskim — rzekł, że widziano, jak Astryk porozumiewał się z wrogami pana Bolesława.

Oczywiście porozumiewał się. Aron to wie. Widział przecież na własne oczy. Teraz jest mu jasne, co znaczyła przechadzka przyjazna Astryka z Bolesławem Lambertem. Tak, posłowie mieli słuszość. Astryk Anastazy zdradził Patrycjusza Bolesława. Przyłączył się do jego wrogów.

Nie wytrzymał, by tegoż jeszcze wieczoru nie powiedzieć o tej przechadzce papieżowi. Sylwester Drugi spojrzał na niego z wyraźnym zniecierpliwieniem.

.— Musisz dobrze wbić sobie w głowę, synu — rzekł — że droga Imperium Rzymskiego ku odrodzeniu wspaniałemu nie samymi jest usłana różami. Idź już. Prześpij się.

Ale Aron nie mógł spać. Aż do rana przewracał się z boku na bok. Znow miał zamęt niesamowity w głowie. Wielkie, ważne sprawy działały się, gdy dręczyły go żar i ziąb. Ale choć choroba nie pozwoliła śledzić mu przebiegu owych spraw, jedno zrozumiał dobrze: Bolesław nie dostał przyrzeczonej korony królewskiej. Dostał ją Stefan Węgierski. Przy tym ze słów papieża wyraźnie wynikało, że dostał koronę przeznaczoną dla Bolesława, i to było dla Arona najbardziej niezrozumiałe. Czemuż jedna koronacja koniecznie musi wykluczać drugą? Słusznie, zupełnie słusznie mówił poseł polski, że przecież Ojciec Najświętszy rozporządza nie jednym tylko błogosławieństwem. I jak się mogło stać, że władca barbarzyńców najdzikszych zdołał ubiec Patrycjusza Imperium, umiłowanego przyjaciela Ottonowego? Wyraźnie działali tu wrogowie Bolesława — przechadzka, której Aron był świadkiem, najlepiej tego dowodzi. Widocznie wrogowie ci rozporządzają potęgą znacznie większą, niż Aron sądził — nawet ów

Bolesław Lambert, nad którym się tak bardzo litował rok temu. Lecz cóż mogło połączyć papieża z wrogami Bolesława Pierworodnego? Czyż to nie papież właśnie rozstrzygnął ostatecznie o zamknięciu Bolesława Lamberta w pustelni podraweńskiej, odbierając mu resztki nadziei na odzyskanie dziedzictwa ojcowskiego? Rozstrzygając zaś tak, wyraźnie działał na korzyść Bolesława Patrycjusza. Świadomie pragnął mu dogodzić. A oto teraz wyraźnie działa odwrotnie, działa na korzyść Bolesława Lamberta i jego braci, bo póki pomazanie królewskie nie uświęciło osoby Patrycjusza, przewaga jego nad braćmi przyrodnymi na sile tylko się opiera, nie na prawie. Ale cóż mogło sprawić, że papież odwraca swą łaskawość od osoby Patrycjusza, którego zawsze tak sławił? Czemu odmawia mu względów szczególnych prawa Bożego, dawno przyobiecanych? Czemu roznieca płomień niezgody między nim a sobą i Ottonem w chwili dla siebie i cesarza wcale niełatwej? Bo przecież w porozumieniu z Ottonem niewątpliwie działa. Jakże oni mogli nie zrozumieć tego, co dla Arona takie jest jasne: oto zyskują sobie nowego wroga. Potężnego wroga — jeżeli prawdą jest to, co sami dotąd zawsze o Bolesławie twierdzili. Bolesnie urazili jego dumę i tego chyba nigdy im nie daruje. Koniec z przyjaźnią między Bolesławem a Ottonem...

Aron aż podskoczył na łożu. A może o to właśnie papieżowi chodzi? Dowiedziawszy się w noc poprzedzającą pochód cesarski na Kapitel, że Otto pragnie przekazać diadem i purpurę Bolesławowi, świadomie poszukał sposobów, by uniemożliwić ziszczenie tych pragnień? Przecież sam powiedział w ową noc Aronowi, że póki żyć będzie, nie dopuści, by Otto komukolwiek bądź przekazał diadem i purpurę. Działa więc, jak powiedział: odjęcie Bolesławowi korony — to pierwszy krok do przekształcenia dawnej przyjaźni we wrogość, która oczywiście uniemożliwi przekazanie Patrycjuszowi władzy cesarskiej. Tylko tak chyba wyjaśnić można postanowienie papieża. Ale czy rozsądne to było postanowienie? Co się zyskuje tracąc przyjaźń Bolesława? Co dać może wdzięczność Stefana? Obietnicę powstrzymania Węgrów od najazdu na ziemie cesarskie? Dawno

przestały być groźne te najazdy — dla samej Bawarii nawet, nie tylko dla zjednoczonych wojsk cesarskich. O ileż groźniejsze byłoby powstanie przeciw Imperium całej zjednoczonej Słowiańszczyzny z rozwścieczonym Bolesławem na czele!

Następny jednak dzień pozwolił Aronowi zapoznać się z innymi wyjaśnieniami sprawy odmówienia Bolesławowi korony królewskiej. Oto papież wezwał go do siebie i bez żadnych wstępów powiedział:

Na pewnoś nie spał całą noc rozmyślając nad krzywdą, jaką Cesarska Wieczność i ja wyrządziliśmy Bolesławowi Patrycjuszowi.

Twarz Arona oblała się purpurą.

— Zgadłem — uśmiechnął się papież. — A raczej nie zgadywałem wcale. Znam cię lepiej niż ty sam siebie. Siadaj i słuchaj. Chcę, byś tyle wiedział, synu, o tej sprawie, co sam pan Cesarz.

Sylwester Drugi nie ukrywał, że to od niego, nie od Ottona, wyszła myśl uwieńczenia Stefana koroną królewską. Myśl ta powstała w jego głowie wówczas, gdy dowiedział się, że nie można liczyć na przybycie Bolesława nawet w ciągu półrocza, a to ze względu na spodziewany najazd mężów Północy na ziemię polskie. Oczywiście papież nie ma wcale za złe Bolesławowi, że przede wszystkim troszczy się o obronę swojego własnego kraju — ale z tych samych przyczyn nikt nie może brać za złe papieżowi, że bardziej niż o Bolesława troszczy się o dobro Imperium Rzymskiego, które to dobro jest dlań dzisiaj równoznaczne prawie z dobrem Kościoła Chrystusowego. Może kiedyś będzie inaczej, ale dzisiaj jest właśnie tak. — Zauważ, synu, że więcej nawet ci mówię niż Cesarskiej Wieczności, wobec której nigdy dotąd nie wyraziłem mniemania, że może kiedyś dobro Kościoła nie będzie równoznaczne z dobrem Imperium.

Aron znowu się zarumienił.

— Czym sobie zasłużyłem na taką łaskę Ojca Najświętszego? — ledwie wymamrotał mając oczy pełne łez.

— Tym, że jesteś taki, jaki jesteś — z powagą odrzekł papież i powrócił do sprawy Bolesława.

Po oświadczeniu posłów polskich Sylwester Drugi długo zastanawiał się, jak ma postąpić. Imperium w tak groźnej dla siebie

chwili — Aron przecież wie, jaka jest groźna — musi mieć potężnego sprzymierzeńca — takiego, na którego zbrojną pomoc może liczyć natychmiast. Stefan zgłosił gotowość być takim sprzymierzeńcem. Za pośrednictwem księcia Henryka bawarskiego zawiadomił papieża i Ottona, że w zamian za koronę zobowiązuje się każdej chwili oddać wszystkie straszliwe swe zastępy konne w służbę cesarzowi. Powiedzie je w każdym kierunku, jaki Cesarska Wieczność raczy mu wskazać. Daje więc cesarstwu więcej, niż w danej chwili może dać Bolesław, którego, jak się okazało, przez długi czas niebezpieczeństwo najazdu od morza wiązać będzie daleko na Północy. Oczywiście, nie znaczy to wcale, by papież i cesarz z upragnieniem wypatrywali przybycia zastępów węgierskich na ziemię włoską. Żal by było pięknej tej krainy, a nawet jej mieszkańców, dziś niestety, zbuntowanych przeciw majestatowi, gdyby zważyć się na nich miała straszliwa nawała węgierska. Przed stuleciem król niemiecki Arnulf gorzko żałował poniewczasie, gdy wezwał pomocy Węgrów przeciw Słowianom. Otto nie powtórzy błędu Arnulfa. Węgrzy mogą mu się okazać bardzo przydatni także i poza Italią — odradzające się bowiem Imperium bez liku ma wrogów na całym okręgu ziemskim. Ściągając wojska niemieckie do Italii, ogołocić musi cesarz z drużyn zbrojnych niejedną granicę: dobrze jest więc wiedzieć, że żadnej z tych granic nie zagrożą nie tylko Węgrzy, ale i wszelki inny wróg, którego powstrzymywać będzie przed napaścią obawa przed tymiż właśnie Węgrami, obecnie sprzymierzeńcami cesarskimi.

Pragnąc mówić z Aronem zupełnie szczerze, papież nie chce ukrywać, że możliwy ów wróg zdolny jest zagrozić Imperium niekoniecznie od zewnątrz: przykładem są bunty w Romanii, w Tuscji, w królestwie Italii. Po cóż łądzić się, że bunty nie mogą wybuchnąć także i w innych częściach Imperium. Sam zaś strach przed Węgrami niejednym bunt stłumi w zarodku. Cóż dopiero pojawienie się ich na ziemi zbuntowanej. Wprawdzie to ostatnie nie byłoby wcale miłe sercu papieża i wciąż błaga Boga, by wystarczył strach.

Oczywiście najlepiej byłoby dać koronę obu książętom. Nie

uraziłoby się wówczas Bolesława, którego przyjaźń cesarz zawsze jednako będzie sobie cenić, bez względu na to czy może mieć z niej w danej chwili jakąś istotniejszą korzyść. Ale to niestety było niemożliwe. Potężni lennicy cesarscy w Bawarii i Saksonii w ogóle byli przeciwni wszelkiej koronacji książąt nie-niemieckich, a z nimi należy teraz liczyć się bardziej niż kiedykolwiek. Z trudem wydarło im się zgodę na jedną koronację, przy czym zaznaczali, że chętniej zobaczą koronę królewską na skroniach Stefana niż Bolesława.

— Nie spałeś, Aronie, boś myślał o krzywdzie, jaką wyrządza się Bolesławowi. Istotnie będzie się czuł pokrzywdzony. Ale słuchaj, synu, uważnie. Pomijając wszystko, com ci dotąd powiedział, inne jeszcze ważne powody skłoniły mię do odmówienia Bolesławowi korony. Wyraźnie oświadczyłem Cesarskiej Wieczności, że nie jestem za tym, aby Patrycjusz, pierwszy po Cezarze Auguście dostojnik Imperium, otrzymywał pomazanie królewskie. Moc Imperium tkwi w jego jedności i zwartości, a korona królewska osłabia w tym, co ją nosi, poczucie związku z całością Cesarstwa. Czy król Frankonii Zachodniej lub Etelred angielski mają to poczucie? Przeciwnie, nie uznają wcale zwierzchności majestatu cesarskiego nad sobą, choć Kościół po dzień dzisiejszy poucza, że również w sprawach świata tego jedna ma być owczarnia i jeden pasterz. Gdyby więc Bolesław otrzymał koronę, również by i on mógł szybko stracić poczucie związku nierozzerwalnego swej mocy z mocą Imperium. A Cesarska Wieczność wcale sobie tego nie życzy. Zresztą ja także mniemam, że większy pożytek i większy to zaszczyt dla Bolesława być Patrycjuszem Rzymskim niż królem barbarzyńców. Srebrne orły więcej są warte niż korona królestwa polskiego. Wysłannikom jego, barbarzyńcom nieokrzesanym, inną musiałem dać odpowiedź, bo tego, co ci tu mówię, nie zrozumieliby i w zgorszenie by wpadli, ale Bolesław zrozumie.

— Czy wolno mi zadać jedno pytanie, Ojczy Najświętszy? — znów rumieniąc się zapytał Aron.

— Pytaj, o co tylko zechcesz.

— Nie racz się na mnie pogniewać. Ojczy Najświętszy, ale

przypominam sobie jakieś rzekł kiedyś, że Bolesławowi koniecznie należy dać koronę, bo to większy przynosi zaszczyt dla Imperium, gdy Patrycjuszem jego jest pomazaniec Boży. Raczyłeś wówczas dodać, że byłby to pouczający wzór dla innych królów — tych, którzy nie chcą uznawać nad sobą zwierzchności Pana Cesarza.

Papież spojrzął na Arona z uśmiechem szczerego podziwu.

— Będiesz kiedyś archilogotetą, kanclerzem Imperium, przepowiadam ci to. Czy wiesz, że to samo, akurat to samo pytanie zadał mi Pan Cesarz? Odrzekłem, że istotnie tak powiedział, bo wówczas tak myślałem. A dziś myślę inaczej. I tak powinno być. Żle by było, gdyby bieg naszej myśli nie podążał za biegiem czasu. Byłoby się wówczas kamieniem, nie człowiekiem. — Pan Cesarz — podjął Sylwester Drugi po krótkiej przerwie — nie od razu przystał. Przez wiele tygodni pełen był gniewu, żalu i prawie rozpacz. Mniemał, że odmawiając Bolesławowi korony, nie tylko przyjaciela, ale majestat Boży obraża, ciężki popełniając grzech. Teraz już tak nie mniema. Uspokoił go Romuald, eremita, w czasie spowiedzi wczorajszej.

Aron omal z ławy się nie zerwał. Więc cesarz jednak udał się do pustelnika Romualda? I wrócił? Aron był pewien, że kto jak kto, ale Romuald, gdy zacznie spowiadać cesarza, zdoła zrobić z jego duszą wszystko, co zechce. Czemuż go więc nie zatrzymał w eremie? Przecież tak niedawno jeszcze groził mu straszliwym gniewem Bożym za niedotrzymanie ślubowań.

Pomyślał też Aron, że najwidoczniej tak samo jak po poprzedniej spowiedzi, rok temu, w Lateranie, Otto i teraz odbył z papieżem długą rozmowę. Bo skądżeby inaczej mógł papież wiedzieć, co Romuald mówił cesarzowi?

— Romuald rzekł — ciągnął dalej papież — że Bolesław Patrycjusz nie zasłużył na koronę królewską, jako że nie jest mężem sprawiedliwym, wyzuł bowiem braci z dziedzictwa ojcowskiego.

Aron nie wierzył swoim uszom. Ze zdumieniem przekonał się, że Bolesław Lambert nawet w pustelni najsurowszej nie poniechał zabiegów o odzyskanie utraconego dziedzictwa. I pomyśleć tylko, że

nawet Romualda, którego, odkąd zamknął się w pustelni, nic nigdy nie obchodziły żadne sprawy tego świata — zdołał Bolesław Lambert zaciekać sprawą swego dziedzictwa. Kto by się spodziewał takiego sprytu po tym spode łba patrzącym mroku!

Aron nieśmiało zapytał papieża, czy Otto nie powrócił do myśli zamknięcia się w pustelni.

— Ależ tak — uśmiechnął się papież. — Uroczyście przyrzekł Romualdowi, że zaraz po wejściu do Rzymu zdejmie z siebie diadem i purpurę. Powtórzył mi te słowa ze łzami. Dodał też, że nie uda mi się poróżnić go z Bolesławem. Że właśnie Patrycjuszowi, tak jak uprzednio zamierzał, przekaze władzę cesarską i w ten sposób przebłaga go za odmówienie korony królewskiej.

Aron też się uśmiechnął. Wiedział już równie dobrze jak papież, że Otto nigdy nie zrzeknie się władzy, nigdy nie oddali się do pustelni. Teraz był tego pewien. Dopiero teraz, choć papież usiłował go o tym przekonać jeszcze rok temu, owej nocy, co poprzedzała pochód cesarski na Kapitol.

Powiedział mu to wówczas nieomal od progu. Jeszcze zanim zamarły kroki Ottona, które nareszcie oznajmiły czekającemu w kolumnowej galerii Janowi Teofilaktowi, że zaraz wyruszą. Aron dobrze to zapamiętał. Jak też i to, że słowom Sylwestra Drugiego towarzyszył uśmiech.

— Nie dziw się — rzekł — że mówię z tobą o tym, coś posłyszał przed dwiema godzinami na spowiedzi. Pan Cesarz powtórzył mi wszystko to, co tobie wyznał. Okazało się, żeśmy wspólnie go wyspowiadali. Tylko dokończyć spowiedzi musiałem ja sam.

W głosie papieża, gdy to mówił, brzmiało coś więcej niż ojcowska prawdziwa serdeczność. Brzmiało szczere wzruszenie.

— Nie sprawiłeś mi zawodu, synu. Przeciwnie, zadziwiłeś mnie. Zdołałeś dać z siebie więcej, niżem od ciebie oczekiwał.

Usiadł na miękkim krześle. Aron umieścił się u jego nóg. Ręka papieża ruchem pełnym tkliwości najwyższej głaskała rudą głowę młodego prezbitera.

— A ja myślałem, Ojczy Najświętszy — szepnął Aron — żem

okazał się niegodny twego zaufania. Wydałem się sobie łowcą nieudolnym, co zabłąkał się w gęstwinie i zgubił broń.

— Nie, Aronie, znakomicieś tropił upatrzoną zwierzynę. Ale powiem ci szczerze: nie nadażalesz za wyżłem, któregoś na ślad puścił. Z tego, co mi wyznał Pan Cesarz, zrozumiałem, żeś właściwie przeskoczył pospiesznie nad sprawą, która całej spowiedzi dalszy nadała bieg.

Aron wzniósł ku papieżowi zdziwione, nawet wylężnione oczy. Cóż by to mogła być za sprawa, ponad którą pospiesznie przeskoczył?

Była to sprawa poranienia setnika frankońskiego. Gdyby Arona nie nęciła wówczas tak bardzo tajemnica stracenia Krescencjusza, na własne by uszy usłyszał o wszystkim, co wytropił Otto w tajnikach swej duszy, zagłębiając się w sprawę owego poranienia. Zrozumiałby od razu, co przeobraziło tak straszliwie twarz Ottonową, śmiertelną ją okrywając żółtością.

Łkając gwałtownie, z głową wtuloną w kolana papieża, Otto kajał się, że wprowadził, choć nieświadomie, spowiednika w błąd. Nie, wcale nie chwalebne, miłe Bogu pobudki kierowały cesarzem, gdy rzucił się z mieczem na setnika wiodącego swój oddział do kąpieli w Jeziorze Albańskim. Nie dlatego nienawidzi Otto pospólnego obnażania się ciał męskich, ponieważ rodzi zgorszenie, obraża czystość chrześcijańską. Strach, nie pobożność jest źródłem owej nienawiści. Strach przed powtórzeniem się owego okropnego poniżenia, jakiego doznał w Arneburgu jeszcze wiele lat temu.

W upalny letni dzień wielmoże sascy zaprosili cesarza do wspólnej kąpieli. Powieźli go nad Łabę w miejsce, gdzie lubił się z nimi kąpać Otto Czerwony. Cesarz zrazu opierał się. Wszak tylokrotnie pouczała go matka, że nie godzi się świętemu majestatowi obnażać się prostacko przed oczyma poddanych. Ale słońce tak bardzo prażyło, tak bardzo nęcił chłód wody. Przy tym Dedi, któremu się zwierzył z pobudek swego oporu, rzekł surowo i prawie wzgardliwie: — Gdy między nami przebywasz, panie Ottonie, nie jesteś Cesarzem Augustem wśród nędznych poddanych, ale wodzem drużyny wśród szlachetnie urodzonych towarzyszy. Siedemnastoletni Otto zmieszał

się. „Jeśli ojciec kąpał się z nimi, to chyba i mnie także wolno” — pomyślał z westchnieniem. Rozebrał się, wszedł do wody.

Istotnie, rozkoszna to była kąpiel. Ale nagle, wychodzący na chwilę z wody cesarz spostrzegł, że hrabia Zygfryd jakoś dziwnie przygląda się jego nagiemu ciału. I margrabia Lotar. I biskup Hildeward. I opat Erkambald. I Ekkehard nawet. Otto, zmieszany, odwrócił od ich twarzy wzrok. Wnet usłyszał za sobą szmer wieloustny. Szyderczy to był szmer. Znów spojrzał kolejno na nich wszystkich, potem na siebie. Zrozumiał. Boleśnie ścisnęło mu się serce. Gardzili nim, wyśmiewali go. Wyśmiewali ciemność oliwkową jego ciała — spojrzeniami i szmerem wypierali się go. — Tyś nie nasz, tyś Grek, ojciec rodzony wstydziłby się twego ciała. Dobrze, że zmarł, że nie widzi ciebie, nie rumieni się przed nami za ciebie.

Nigdy chyba w życiu, ani przedtem, ani potem, nie czuł się Otto tak nieszczęśliwy, tak straszliwie samotny jak wówczas, gdy wracał znad Łaby do arneburskiej twierdzy. Nie śmiał oczu podnieść na swych towarzyszy, starał się nie słyszeć ich głosów. Pewien był, że wciąż go wyśmiewają ich szepty.

Boleśnie łkał opowiadając papieżowi o tym straszliwym swym poniżeniu. Daremnie przedkładał mu Sylwester Drugi, że nie powinien być wcale odczuwać poniżenia, że żadnego poniżenia nie było — przecież Otto zawsze chlubił się swym pochodzeniem od Bazyleusów greckich, przecież wcale nie poczytywał sobie nigdy za zaszczyt być tylko wodzem drużyny saskiej: ileż razy w rozmowach swych i listach podkreślał z dumą, że Rzymianinem jest, nie Niemcem! A przy tym papież jest pewien, że Ottonowi wówczas to wszystko przywidziało się tylko: i wzdarda w spojrzeniach, i w ogóle dziwność tych spojrzeń, a tym bardziej ów szmer szyderczy, jakżeby mogły odważyć się jakieś tam książątka saskie na wyśmiewanie Wieczności Cesarskiej? Bo jeśliby nawet gminnych, nieokrzesanych ich dusz nie napełniała święta cześć dla ucieleśnionego w Ottonie majestatu Romy — przecież i wówczas jeszcze pozostawałaby w ich sercach miłość dla krwi królewskiej Ludolfingów. Nie, stanowczo nie. Nie mogli drwić, nie gardzili, nie wypierali się. Przywidziało się Ottonowi. Ale gdzie tkwi

źródło tych przywidzeń?

Niedługo szukali papież i cesarz źródeł. Rozkołysana jak dzwon myśl Ottonowa szybko wpadła na właściwy ślad. Wyżeł wytropił zwierzynę w najgłębszej jej kryjówce. Dwoma poraził ją ciosami. Choć śmiertelny był dopiero drugi, w pierwszym więcej było siły. Najpierw bowiem wyznał Otto papieżowi, że gdy mając lat piętnaście, pierwszy raz zbliżył się do ciała kobiecego, nie czuł zrazu wcale strachu, o którym mówił Aronowi — tylko ciekawość. Strachem go napęlił dopiero szept dziewczyny: — Zlituj się nade mną, panie królu... boję się ciebie. Takie ciemne masz ciało jak sam demon Tor chyba... Spójrz tylko, jakam ja różowa, a jaki ty jesteś... — Nie oddalił się od niej, przeciwnie, przytulił się mocno, ale nie zdołał wykrzesać z siebie miłości dla niej. Wciąż mu huczały w głowie słowa: „takiś ciemny”. Przez cały czas, gdy był przy niej, czuł do siebie pogardę. Gdy zaś odchodził od niej, spostrzegł, że dziewczyna z trudem hamuje śmiech... A więc ona nim gardzi, nie tylko się go boi. A raczej tylko gardzi, wcale się nie boi. Zbliżając się po trzech latach do drugiej kobiety, nie spojrzał jej w oczy, nie mógł spojrzeć: nie chciał widzieć, jak się śmieje. Na pewno śmiała się, jest pewien, że się śmiała. Dopiero Teodora Stefania nie śmiała się, choć biała jest, bielsza niż obie tamte dziewczyny. Nie tylko nie śmiała się, ale nieraz mu mówiła, że oliwkowe ciało jest piękne, piękniejsze niż różowe. Gdy tak mówiła, przypominała mu się matka. Ona też zawsze twierdziła, że oliwkowe ciało piękniejsze jest od niemieckich, różowych ciał.

Wyznanie to wyjaśniło papieżowi dużo, więcej może niż to wszystko, co Aron usłyszał od Ottona, ale jedno przecież pozostało zrazu niejasne: gdy cesarz pierwszy raz zbliżył się do kobiety, miał piętnaście lat; gdy umarła Teofania — jedenaście. Czemuż więc znacznie później posłyszane słowa dziewczyny, przypadkowo spotkanej, głębiej wżarły się w duszę Ottona i w myśl jego o ciele własnym niż to, co wielokrotnie twierdziła matka umiłowana? Dlaczego, kąpiąc się z wielmożami saskimi, nie pomyślał raczej, że to on powinien nimi gardzić, bo różowe mają ciała?

Ale i na to pytanie znalazł w sobie Otto odpowiedź. Z najgłębiej

zaszytych tajników pamięci wynurzył się obraz innej wspólnej kąpieli. Miał wówczas dziewięć lat. Kąpał się wśród gromady rówieśników. Różowi chłopcy otwarcie wyśmiewali jego oliwkową skórę. Ze wzdurliwymi wyzwiskami ciskali w niego nie tylko bryzgami wody, ale i nadbrzeżnymi kamykami. Otto gorzko płakał, skarżył się stojącemu na brzegu biskupowi Bernwardowi, że go krzywdzą. Ale biskup śmiał się tylko: — Nie daj im się, panie królu, nie daj się... Wal w nich tak samo: wodą, kamykami... — Lecz Otto się nie bronił, płakał.

Papież pomyślał, że wówczas musiało być istotnie tak, jak Otto opowiada. Dzieci to nie wielmoże sascy, świadomi dostojności krwi królewskiej: naprawdę wyśmiewały się z oliwkowości jego ciała, która tak bardzo odbijała od całej kąpiącej się gromady. I za tę inność dzieci obrzucały Ottona nie tylko śmiechem, ale wyzwiskami i kamykami. Obrzucały go gromadną wzdurą, wypierały się wszelkiej z nim łączności, odepchnęły go od siebie, skrzywdziły, osamotniły, poniżyły. To jest jasne. Łowy dobiegły końca.

— Za ciebie je skończyłem, Aronie, i to zupełnie inaczej, niżbyś przypuścił. Ale tym, który wpadł na trop i puścił nim wyżła, byłeś ty. Dzięki ci. Dopomogłeś cesarzowi dotrzeć do źródła najtajniejszego wszystkich myśli jego i postępów. Stał się on, dzięki tobie, godny pochwały tych wszystkich, którzy rozumieją, że najwyższa mądrość, ludziom dostępna, kryje się w słowach: „Poznaj samego siebie”. Poznał nie tylko, dlaczego cudzołoży czynem, ale dlaczego pożąda, czyli — jak rzekł Zbawiciel — cudzołoży w sercu swoim. Zrozumiał także i inne jeszcze tajemnice swej duszy.

Ale w tym, co Panu Cesarzowi, a może także tobie, synu, wydało się źródłem poniżenia i słabości — ja widzę źródło wzlotów i mocy. Długom mu o tym mówił. Mówiłem słowami i muzyką. Niemcy gardzą nim, że jest Grekiem? Przestaną gardzić, gdy zobaczą i odczują, że ów Grek potężniejszy jest od wszystkich Niemców. Toż samo, co z Niemcami, stać się winno z Grekami, którzy Niemca w nim widzą. I jeszcze mu rzekł, bardziej może muzyką niż słowami, że będąc Niemcem i Grekiem, a zarazem ani Niemcem, ani Grekiem, winien być czymś więcej niż Grekiem i Niemcem: Rzymianinem. Winien być

i będzie.

Podniecenie niezwykle malowało się na twarzy papieża, przebijało w całej jego postaci, we wszystkich ruchach. Radosne to było podniecenie, pełne poczucia mocy.

— Do pustelni nie oddali się, władzy się nie wyrzeknie, nikomu nie przekaze purpury i diademu. Póki żyję, nie dopuszczę do tego. A po mojej śmierci? Któż wie? Może ty, Aronie, będziesz tym, który pokieruje dalej duszą Ottona...

Aron zbladł. Łomotanie serca rozsadzało mu pierś, tętnienie w skroniach roztrzaskiwało głowę.

— A jednak Otto nie w pełni jeszcze poznał siebie, Aronie. Zdumiało cię, co bełkotał o dążeniu do mocy, której natychmiast się wyrzeknie, gdy pełnię osiągnie — nieprawdaż? Istotnie, zdumiewającą okazał Pan Cesarz wnikliwość. A przecież na wskroś siebie nie przeniknął. Nie wie, nie przeczuwa, że właśnie w chwili gdy poczucie pełni mocy osiągnie, natychmiast poniecha myśli o wyrzeczeniu się tej swej mocy. Na zawsze poniecha. Nie będzie chciał oddalić się do pustelni, nie odda nikomu ni diademem, ni purpury.

— Czy nie oddali wówczas również i Teodory Stefanii? zapytał Aron.

— Jej przede wszystkim. Gdy tylko odczuje pełnię rozkoszy, zapragnie jej aż po kres dni swoich. Nigdy nie zechce się jej wyrzec. Zgodzi się raczej duszę własną rzucić na żer mocom piekielnym. Ale nie mniemam, aby rychło miało to nastąpić, że Otto powie sobie: osiągnąłem pełnię rozkoszy. Silniejsza w nim od pożądliwości ciała jest pożądliwość marzenia. Ona to sprawia, że nie odczuł dotąd pełni rozkoszy, jaką daje miłość. Może nigdy tej pełni nie odczuje. Nigdy bliskością prawdziwą ciało nie dopędzi obrazów, jakie o bliskości owej z marzenia swego wysnuwa. Zawsze będzie czuł niedosyt. Zawsze będzie się przed sobą, przede mną, przed każdym spowiednikiem skarżył, że jest nieszczęśliwy. Ale w tym, synu, tkwi główne źródło nadziei na wyrwanie tej duszy z sideł grzechu, nadziei na oddalenie Teodory Stefanii. Dzisiaj jej tylko pełne są obrazy, które rozsnuwa przed oczyma Ottona pożądliwość marzenia. Ale przecież

niespodzianie ogarnąć ono może obraz jakiejś innej kobiety. Gdy to się stanie, Teodora Stefania będzie musiała odejść. Może jej to nawet nie zmartwi. Oczywiście tę nową kobietę marzenie Ottonowe tak samo przykuje do jego ciała i duszy, jak dziś przykuwa Teodorę Stefanię. Tak samo będzie zapewniał, że oddali ją, gdy tylko osiągnie pełnię rozkoszy — i tak samo trudno będzie go od niej oderwać. Ale o to chodzi, by była to już kobieta, której by wcale nie trzeba było od niego odrywać. Kobieta, którą mógłby poślubić.

I im większy będzie przedział między rozkoszą doznaną a wymarzoną, tym więcej pewności, iż Pan Cesarz nie popełni grzechu cudzołóstwa, nawet cudzołóstwa w sercu swoim. Błogosławiona to będzie chwila! Tyle o Cesarskiej Wieczności. Teraz pomówmy o tobie, synu.

Aron znów przybladł. Znów serce rozsadzało mu pierś. Papież zaczął od pytania, czy Aron pamięta jego słowa przed spowiedzią Ottona wypowiedziane, iż długo się wahał, czy powierzyć mu wyznawanie cesarza, ale teraz już się nie waha. A czy Aron wie, w której chwili papież przestał się wahać? Oto wówczas, gdy usłyszał wyznanie młodego prezbitera o tym, jak go ogarnęły nęcące obrazy zabawy wesołej chłopców i dziewcząt nad stawem opodal drogi Appijskiej. Za chwilę Aron łatwo zrozumie, dlaczego właśnie to wyznanie rozstrzygnęło o postanowieniu papieża, który teraz pragnąłby rozważyć z Aronem kolejno to wszystko, co go mogło w tych zabawach nęcić.

Niewątpliwie nęciła radość przebywania w gromadzie. Wszak Aron dziwił się, a nawet współczuł Tymoteuszowi, że gromadę opuszcza. Papież dokładnie wniknął w tajemnicę tej radości i tego współczucia. Dusza Arona podobna być się nieco zdaje do duszy Pana Cesarza. Może i jego też kiedyś w dzieciństwie, w Anglii lub w Irlandii jeszcze, uraziła dotkliwie gromada, wyśmiała, odsunęła od siebie. Czuje się samotny i dręczy go ta samotność, budzi zazdrość względem tych, którzy są w gromadzie, zazdrość zaś przechodzi w podziw przypisujący tym, co do gromady należą, wszystkie te cnoty, jakich sam nie posiada lub jeszcze w sobie nie dostrzegł, cnotę odwagi na

przykład. Myli się jednak: nie brak mu odwagi, dowiódł tego swym zachowaniem się przed obliczem Jana Filigata, papieża samozwańczego. Podwójnie się myli: nie jest samotny, jest w gromadzie. Ale nie w gromadzie młodych zwierząt dwunogich, znających jedynie radość obcowania z sobą i z przyrodą otaczającą, ale żadnej radości obcowania z mądrością. Jest w gromadzie, której na imię Kościół. W gromadzie licznej, a zbrojnej potężnie, nie w łuki jednak i miecze, ale w dary Ducha Świętego, w przyjaźń Zofii, Mądrości Przedwiecznej. W gromadzie, której natarciom bitewnym ulegają nie kruche ciała, ale dusze najdumniejsze — czyż nie przekonał się o tym sam dopiero co, spowiadając nosiciela największej potęgi, najdostojniejszego na okręgu ziemskim majestatu?

— Tamta gromada obejmowała przybyszów spod Kapui i Benewentu nawet, jakieś zaznaczył z naciskiem w swej opowieści. Aż z Kapui i Benewentu?! A twoja gromada, Aronie? Czyż nie ogarnia ona dziś już krajów niezliczonych? Gdy zaś zbliży się chwila odgłosu trąb archanielskich, cały ogarnie okręg ziemski. Po iluż lądach, po ilu wyspach rozsypane są kościoły i klasztory niezliczone. We wszystkich krainach, niegdyś przez orły rzymskie w jedną całość spojonych, w każdym mieście, w każdym osiedlu znajdziesz tych, którzy ci rzekną: jesteś wśród swoich. Ale i w Słowiańszczyźnie dalekiej, i wśród Węgrów dzikich, i wśród straszliwych żeglarzy Północy, nawet w krainach władzy Półksiężycy poddanych, pełno jest zakątków, gdzie będziesz między swoimi, w swojej gromadzie, synu. Z ludźmi o skórze stokroć ciemniejszej niż Ottonowa — ze skośnookimi równie jak z jasnocyngami olbrzymami do łodzi przyrosłymi — rozmówisz się świętym językiem swojej gromady: mową Marona i Hieronima. Jakże możesz mówić, żeś samotny?

Sądzi też papież, że gromada, co się nad stawem opodal drogi Appijskiej zabawiła, nęciła Arona szlachetnością urodzenia. Jakże wiele mówiły słowa o prawie do chodzenia boso tylko wśród swoich. Istotnie, pochodzenie od hrabiów lub książąt wiele znaczy, nawet w Kościele. Wszak i jemu, wówczas mistrzowi Gerbertowi, odmówiono

zrazu arcybiskupstwa w Reims, bo nie był szlachetnie urodzony. Ale dziś stoi wysoko ponad wszystkimi arcybiskupami, najszlachetniej urodzonymi. Co go nad nich wyniosło? Oto potęga uczoneści, której nie oprze się potęga urodzenia. — A czyż nie jest to twoja potęga, młody mój przyjacielu? Czy ktokolwiek z synów książęcych lub królewskich nawet stoi bliżej namiestnika Piotrowego niż ty? Od dziś zaś, synu, stoisz jeszcze bliżej niego niż dotąd. Boleję, iżem stary i słaby na zdrowiu: jeśli pragnę żyć dłużej, to także i dlatego, bym cię mógł wesprzeć — zobaczyć, jak z ucznia najpojętniejszego mistrzem się stajesz — zobaczyć, jak wznosi cię mądrość twoja i uczoneść wysoko ponad tych, których łatwa droga przywiodła z zamków hrabiowskich i książęcych na opactwa i biskupstwa. I jeszcze jedno ci powiem: jakiemu hrabiemu, jakiemu księciu, jakiemu królowi da krew rodowa to prawo, które tobie zostało dane, Aronie, a z którego dzisiaj właśnie skorzystałeś: prawo powiedzenia temu, co nad wszystkimi stoi królami: „Oto odpuszczam twe grzechy. Odejdź w spokoju”.

Na samym zaś końcu powiedział papież, że zgaduje, iż obraz zabawy przynęcił Arona ową beztroską, pospieszną miłością, jakiej oddawały się ładne dziewczęta ze swymi braćmi ciotecznymi.

— Nie byłem nigdy twym spowiednikiem, ale myślę, że znam cię na tyle, by móc powiedzieć, iż jeśli grzeszysz przeciw czystości, to marzeniem tylko, nie ciałem. Niezmierzona jest potęga uroku niewieściego, Aronie, podobało się Mądrości Przedwiecznej, by zstąpiła owa potęga na świat, i nie mniemam, by grzechem było sławienie jej wierszem, rzeźbą czy dźwiękami. Ale przypomnij sobie, synu, jakieś mi się żalił zaraz, gdym cię poznał, że nie możesz chodzić na wykłady do szkoły saksońskiej, bo drogo tam trzeba płacić gramatykom i retorom. Ale płacić trzeba za wszystko, synu. Tak już jest, że za jeden skarb oddać musisz drugi. Za skarb mądrości winienesz zapłacić skarbami, jakie by młodości twojej mogła dać miłość kobiety. I za skarb mocy odpuszczania grzechów także. Pamiętasz, przed trzema laty, gdym w bazylice Piotrowej dostawał paliusz arcybiskupi z rąk Ojca Najświętszego, Grzegorza — zapytywano

mnie, co myślę o małżeństwach kapłańskich. Zgodnie z przekazem ojców, odrzekłem, że uznaję małżeństwa prezbiterów, ale nie biskupów. Ostatnio przecież zaczynam mniemać, że może puch Święty odkrył Grzegorzowi Piątemu i opatom kluniackim prawdę przed ojcami nie ujawnioną: może istotnie nie tylko biskupi, ale i prezbiterzy wyrzekać się powinni miłości kobiecej, w małżeństwach nawet. Właśnie dlatego, ponieważ trzeba płacić: płacić za prawo należenia do gromady, której na imię Kościół, której moc z mądrości płynie. A za taką moc warto zapłacić wyrzeczeniem się najboleśniejszym nawet.

— Czy mędrzy starożytni. Ojciec Najświętszy, płacili wyrzeczeniem się miłości za skarb wiedzy? — wyszeptał Aron ze spuszczonej oczyma.

— Cieszę się, iż eś o to zapytał odważnie, zamiast pozwolić się zadręczać sprawą tą po nocach bezsennych. Niektórzy płacili, ale większość nie. Lecz komuż z nich, synu, dana była moc odpuszczania grzechów? A po wtóre, wierzaj mi, choć nie udaje się dotąd Kościołowi Piotrowemu dorównać im w umiejętnościach pisania wierszy, badania gwiazd i liczb, w budownictwie i muzyce — mniemam, że przecież owi mędrzy, których Kościół Piotrowy hoduje jako swe kwiaty najpiękniejsze — lepiej od mędrców starożytnych zgłębili najdostojniejszą umiejętność: badania wnętrza dusz ludzkich. Jużem ci to napomykał przed rozpoczęciem spowiedzi. Spójrz oto na przykład na tę twarz prześliczną, w marmurze wyrzeźbioną. Maluje się na niej zaduma o sprawach zaiste chyba przedziwnych. Ale gdy tyle przeżyjesz i przemyślisz, co ja, synu, nie będziesz miał wątpliwości, że owa twarz urocza zadumana jest nad sprawami, choć przedziwnymi, ale takimi, co się dzieją z zewnątrz duszy ludzkiej, nie w jej głębiach utajonych. Pojedź zaś do Kolonii lub do Trewiru: zobaczysz tam rzeźby, co z rąk mnichów uczonych wyszły. Nieurodzone są te twarze, z ową tutaj ani się porównają — niezręcznie rzeźbione ręką — ale ledwie w twarz taką spojrzysz, nie masz wątpliwości: ku wnętrzu swej duszy zwrócił zadumę bolesną człowiek, którego rzeźba ta wyobraża... Wysłuchana zaś dzisiaj spowiedź pouczyła cię chyba, synu, który świat jest ciekawszy: ten, co

z zewnątrz człowieka otacza, czy też ów inny, w człowieku samym tkwiący? I ty, Aronie, ty, któryś otrzymał moc zagładania w każdy taki świat tajemniczy, moc obnażania dusz i kierowania nimi, zazdrościsz ciemnym dziewczętom i chłopakom kalającym się grzeszną miłością?

— Pan Cesarz także grzeszną kalał się miłością. — Wysoko uniósł Aron głowę. Utkwił w oczach papieża natarczywe niemal spojrzenie.

— Rzekłeś, Ojczy Najświętszy: moc kierowania duszami. A przecieżem nie władny był tak pokierować duszą Pana Cesarza, by grzeszną nie kalał się miłością.

— Władnyś, Aronie. Jużem ci powiedział, że należy marzeniu jego podsunąć obraz kobiety, którą będzie mógł poślubić.

— A jeżeli niczyj obraz nie zdoła wyrugować Teodory Stefanii z jego marzenia?

Ledwie wypowiedział ostatnie słowa, ogarnął go strach. Pomyślał, że znowu zdrzemnął się stojąc i śni. Tak dalece nie do wiary było to, co ujrział.

W oczach Sylwestra Drugiego lśniły łzy.

— Niedaleki już jest ów czas — syknął przez mocno zaciśnięte zęby — gdy Kościół Piotrowy władny będzie wichrem swej mocy, z Mądrości płynącej, każdą pokusę do grzechu odrzucać precz od dusz i ciał najpotężniejszych choćby władców tego świata.

— Każdą, Ojczy Najświętszy?

— Każdą, synu.

— A jeśli zbrojne ramiona władcy zechcą się oprzeć?

— To ów wichur zerwie ze zbrojnych ramion purpurę. Ja już tych czasów chyba nie dożyję, synu. Ale ty się ich doczekasz. Na pewno.

Okazało się przecież, że na oddalenie Teodory Stefanii przez Ottona wcale nie trzeba czekać, aż nadejdą zapowiedziane przez Sylwestra Drugiego czasy.

W kilkanaście dni po koronacji Stefana węgierskiego Otto oświadczył papieżowi, że postanowił wziąć sobie małżonkę. Niedobrowolnie co prawda oświadczył — z wielkim trudem wymusił na nim Sylwester Drugi ujawnienie nieznanych sobie postanowień powziętych w Wenecji, a tak starannie przez Cesarza ukrywanych, że

spośród osób, które z nim wróciły do Rawenny, tylko Teodora Stefania i Pandolf, książętko salerneńskie, wiedzieli o wyprawionym po małżonkę poselstwie.

Zdążający w kierunku Rzymu orszak cesarski spędzał noc w małym osiedlu między Arecją a Orwieto, bliżej Arecji. Daleko w tyle pozostawił Otto za sobą oddziały konnicy dowodzonej przez księcia Henryka bawarskiego i biskupa Bernwarda — spieszno mu było do połączenia się z margrabią Hugonem, który, wedle nadeszłych wiadomości, oblegał Rzym. Co prawda Piotr, biskup komeński, inaczej wyjaśniał pobudki skłaniające Ottona do tak pospiesznego oddalania się od konnych drużyn Bernwarda i Henryka: szeptem powiedział Aronowi, że wokół Arecji panuje zaraza, a raczej dwie zarazy — bo padają i konie, i ludzie; onegdaj sześćdziesięciu Bawarów zległo, trzecia część z nich wyzionęła ducha. Nie dziw więc, że cesarz tak bardzo pragnie wraz z wszystkimi, co są mu najbliżsi, znaleźć się jak najdalej od Arecji. Aron ogromnie się przejął słowami biskupa Piotra: Sylwester Drugi ostatnio skarżył się na rozmaite niedomagania. Męczył go kaszel nieustanny, dotkliwie bolało gardło: mówił głosem ściszym, ledwie słyszalnym, z dnia na dzień coraz to bardziej zachrypniętym. — Wolałbym stracić prawą rękę i oczy niż mowę — szepnął kiedyś do Arona ze smutnym uśmiechem. — Czyżby dopaść miała Ojca Najświętszego zaraza, o której mówił biskup Piotr? — z przerażeniem zapytywał siebie Aron przewracając się z boku na bok na twardej, niewygodnej, za wąskiej i za krótkiej ławie. Zapłakał na myśl o możliwości rychłej śmierci papieża. Płakał nie tylko nad Sylwestrem Drugim, ale i nad sobą. Nagłe szarpnięcie drzwiami poderwało go z ławy.

Na progu stanął papież. Lampa oliwna, którą trzymał w gwałtownie trzęsącej się ręce, oświetlała twarz tak straszliwie wzburzoną i zarazem tak zbiedzoną, że Aron krzyknął:

— Ojciec Najświętszy kona! — Nie, nie konam, alem bliski konania z gniewu, nie z choroby. Ubierz się szybko i biegnij do Pana Cesarza, obudź go, powiedz, że chcę, że żądam, by natychmiast do mnie przyszedł... natychmiast... Gdzie masz czarną skrzynkę? Otwórz ją.

W czarnej skrzynce Aron przechowywał pisma, które papież polecał jego szczególnej trosce jako najcenniejsze i najpoufniejsze. Skrzynkę tę musiał mieć zawsze przy sobie. Papież postawił lampę na nędznie skleconym, chybocącym się stoliku i drżącymi rękoma począł przebierać zwitki i tabliczki wypełniające pospiesznie otworzoną przez Arona skrzynkę.

W całym osiedlu były tylko trzy domki nadające się jako tako, by mogli w nich przenocować dostojni przybysze. W jednym pomieścił się Otto wraz z Teodorą Stefanią, polecając hrabiemu Bertelowi, by położył się u progu cesarskiej sypialni; w drugim — papież, Aron i biskup Piotr; w trzecim — kanclerz Herybert, Herrenfryd lotaryński, Pandolf salerneński i kapelan Rakko. Kilkadziesiąt kroków dzieliło domek zajęty przez cesarza od tamtych dwu, bezpośrednio z sobą sąsiadujących. Aron przemierzył tę przestrzeń szybkim biegiem, budząc zdziwienie saskich kopijników czuwających wokół rozrzuconych po całym osiedlu palenisk. Choć dopiero północ minęła, zdawać by się mogło, że dzieje; aż tu docierał blask łuny, którą pomsta Ottonowa rozpostarła nad okolicami Arecji. Płonęły tam nie tylko zagrody hrabiów zbuntowanych i ich kolonów, ale niezliczone beczki z oliwą oświetlające las szubienic i stosy ściętych głów. Ognisty ów ślad znaczył drogę majestatu aż spod samej prawie Rawenny.

Przed domkiem zajęтым przez cesarza stało kilkunastu wojowników Bolesławowych dowodzonych przez saskiego setnika. Ów od razu poznał papieskiego ulubieńca i nie bronił mu wstępu do wnętrza domku. Wchodząc Aron kilkakrotnie zawołał głośno;

— Hrabio Bertelu, zbudź się! — Odpowiedziało mu potężne chrapanie. Zrobił więc krok naprzód ponad wyciągniętym na opończy ciałem i prawą ręką pchnął dwuskrzydłowe drzwi, lewą sięgając po stojącą na półeczce lampę.

— Drzwi... drzwi... Kto otworzył drzwi?!

Straszliwy ów okrzyk, pełen grozy i rozpaczony nie do opisania, omal Aronowi nie wytrącił z ręki lampy. W nikłym jej świetle ujrzał oczy Ottona, rozszerzone niesamowicie w tak okropnym lęku, że sam struchlał i przyrósł do miejsca, gdzie stał. Przez okamgnienie słyszał

głośne szczęknięcie własnych zębów. Cesarz leżał skurczony do rozmiarów dziecka, pod gwałtownie nasuniętym aż po same oczy wzorzystym okryciem rysowały się ostrym kątem długie, chude kolana podciągnięte prawie aż pod brodę.

Ziewając i przeciągając pełne, białe ramiona, wolno budziła się Teodora Stefania. Aron pospiesznie odwrócił oczy od prawie całkowicie obnażonego jej ciała. Za sobą usłyszał szcęk miecza. Przeraźliwy okrzyk Ottona obudził nawet hrabiego Bertela.

Sporo upłynęło czasu, nim cesarz odzyskał spokój. Na hrabiego Bertela posypały się wyzwiska tak plugawe, że Aron nigdy by nie przypuszczał, że majestat może aż takich używać słów. Ale i jego samego nie oszczędził gniew Ottona — więcej, otarł się nawet o osobę Sylwestra Drugiego. Cesarz oświadczył, że nie pójdzie, że nie pozwoli nawet papieżowi znieważać majestatu, że skoro namiestnik Piotrowy pragnie mówić z namiestnikiem Chrystusowym, niech sam tu przyjdzie, ale z czcią Wieczności Cesarskiej należną, nie chyłkiem jak morderca. Dopiero wyjaśnienia Arona, że Ojciec Najświętszy nie może przyjść, bo przecież, jak to wiadomo Świętej Cesarskiej Wieczności, poważnie niedomaga, wyciągnęło Ottona spod wzorzystego okrycia.

Niejedna jeszcze dalsza niespodzianka czekała Arona tej nocy. Pierwszą był wyraz twarzy papieża, w chwili gdy Otto wszedł do jego komnaty: tyle w tej twarzy było gniewu wzgardliwego, poprzez który najmniejszy nawet nie przebłyskiwał promyk cechującej zazwyczaj spojrzenie papieża życzliwej wyrozumiałości. Gwałtownie trzęsły się ręce, w których Sylwester Drugi trzymał zmięty, poplamiony w dwu miejscach krwią, dobrze znany Aronowi zwitek.

— Przeczytaj Cesarskiej Wieczności po grecku to, co tu jest napisane — zwrócił się do Arona. Gdy ów przeczytał, otrzymał rozkaz powtórzenia. Drugi raz i trzeci.

— Zrozumiałeś? — zwrócił się papież do Ottona głosem wyzbytym jakichkolwiek oznak czci. — Postanowili dać ci Bazylisę dopiero wówczas, gdy będziesz niczym. To przecież jasne. Skoro teraz ci ją dają, widocznie jesteś już niczym. To także jasne. Jeżeli tego nie

rozumiesz, istotnie nie jesteś godzien być tym, czym chcielibyśmy cię mieć, ja i ty.

Po czym zwracając się do Arona powiedział:

— Wyjdź.

A gdy ów już był przy drzwiach, papież dopędził go biczącym boleśnie syknięciem:

— A nie odważ się podsłuchiwać.

Aron nie odważył się. Ale nazajutrz papież sam mu powiedział, że Otto wysłał z Wenecji arcybiskupa Arnulfa i hrabiego Benedykta do Konstantynopola, by prosili dla niego o którąkolwiek córkę Bazyleusa Konstantyna Ósmego, nieudolnego współrządcy potężnego Bazylego.

— Słyszysz? O którąkolwiek! Każdą weźmie z wdzięcznością... — Dodał nadto papież, że to się tylko tak mówi: „by prosili”. Naprawdę nie pojechali, by prosić, ale by przywieźć. Doża Piotr Orseolo w wielkiej tajemnicy powiadomił Ottona, że Bazyleusowie z radością i dumą powitaliby możliwość spowinowacenia się z tak znakomitym, tak potężnym władcą, istnym cudem świata. — Słyszysz, Aronie? Z dumą i radością! Wówczas gdy naprawdę był potężny, odmówili mu wzgardliwie Bazylissy, by dać z dumą i radością, gdy będzie niczym...

Doża powiadomił też Ottona, że wraz z córką i bratanicą bazyleusowie gotowi są ofiarować mu przymierze przeciw tak licznyemu dziś, niestety, jego wrogom. Przymierze nie tylko swoje, ale i Rzeczypospolitej Weneckiej. Doża z czcią głęboką, ale i ze stanowczością rozwiał wszelkie nadzieje Ottona na otrzymanie okrętów weneckich, o ile ów nie zechce oprzeć całej swej walki przeciw z dnia na dzień coraz to liczniejszym nieprzyjaciółom o potężną przyjaźń Bazyleusów. — I pomyśleć, synu, że gdyby książętko salerneńskie po pijanemu nie wygadało się przed Herrenfrydem, dowiedziałbym się o wszystkim dopiero w sam dzień przybycia Bazylissy. Pan Cesarz szczerze mi to wyznał: powiedział, że obawiał się z mojej strony sprzeciwu i postanowił wszystko zataić przede mną. Odkąd go znam, pierwszy to raz coś przede mną zataił. Ale jak już zataił, to taką rzecz, której skutków chyba nigdy już się nie odrobi...

Aron nie bardzo rozumiał, dlaczego papież uważa postanowienie Ottona za błąd. I to błąd aż taki, że skutków już nigdy się nie odrobi. Pomyślał, że gdyby minionej nocy odważył się podsłuchiwać, więcej by zrozumiał. Domyślał się wprawdzie jakiegoś tajemniczego związku między rosnącymi z dnia na dzień kłopotami Ottonowymi a zamiarami małżeńskimi dworu greckiego — wydało mu się przecież, że to powinno raczej cieszyć przyjaciół cesarskich: oto przybywa Ottonowi nowy, tak bardzo potężny sprzymierzeniec.

Nie śmiał prosić papieża o wyjaśnienie. Odważył się przecież napomknąć o treści swojej z Ojcem Najświętszym rozmowy zaraz po spowiedzi Ottonowej w przeddzień uroczystego pochodu na Kapitel. Pozwolił sobie nawet na postawienie pytania: — Czyż Ojca Najświętszego nie cieszy, że oto nowy obraz wyprze Teodorę Stefanię z marzenia Ottona? — Miałem na myśli nowy obraz, przez przyjaciół jego potęgi podsunięty, nie przez jej grabarzy — ponuro odpowiedział Sylwester Drugi. I w zniecierpliwieniu dodał: — Idź już, idź.

Co przecież najbardziej zdumiało Arona, to wiadomość, że Teodora Stefania od początku wiedziała o zamierzeniach cesarza, że go nawet wraz z Marią Argyrą, synową doży, gorąco do zaślubin z Bazyliisą namawiała. Twierdzili tak Pandolf i Herrenfryd zaklinając się, że prawdę powiadają. A przecież jeszcze minionej nocy Aron widział ją w łóżu obok Ottona! Zamęt miał w głowie nieopisany.

W dwa dni po pełnej niespodzianek nocy orszak Ottona stanął w Orwieto. Czekali tam na cesarza: wysłany przez margrabiego Hugona hrabia Olbert oraz Ademar, księżę Kapui. Z bardzo złymi czekali nowinami. Hugo donosił, że większość wojowników longobardzkich opuściła go wznosząc okrzyki: „Harduin prawym królem Italii, nie Sas Otto!” Wraz z nimi odeszli wszyscy drużynnicy tuskulańscy, których wysłał na pomoc cesarzowi Jan Teofilaktos — z całej owej drużyny wierny pozostał tylko jej dowódca: młody hrabia Tymoteusz.

Ademara wygnali mieszkańcy Kapui, wspierani przez potężny, zbrojny oddział grecki. Równocześnie otworzył przed Grekami bramy Salerna ojciec Pandolfa. Wódz Greków, noszący tytuł Katapana,

oświadczył, że oba miasta przechodzą pod opiekę Bazyleusów. Wojska greckie pozostaną w nich tak czy inaczej: albo jako sprzymierzeńcy Ottona, jeżeli ów poślubi Bazylisę — albo jako jego wrogowie, o ile odrzuci ofiarowaną sobie przyjaźń Bazyleusów. Arcybiskup Herybert radził uwięzić Pandolfa salerneńskiego. Papież wzruszył ramionami: — Na co to się teraz zda? — powiedział prawie wzgardliwie.

Otto przez dwa dni nie opuszczał łoża. Mniemano, że rozchorował się na skutek tak niemiłych wieści. O świcie trzeciego dnia nakazał wyjazd. — Dokąd? — chórem zapytali tłoczący się u drzwi jego sypialni dostojnicy. — Do Rzymu — odparł gniewnie.

Ale nim opuścili Orwieto, przybył z północy Henryk bawarski. I on też ze złymi przybywał nowinami. Werona otworzyła swe bramy margrabiemu Harduinowi witając w nim prawego króla Italii. Wprawdzie Henrykowi udało się po kilku dniach wyprzeć Harduina z miasta, ale siły obu są tak nierówne, że Sasi przy następnym natarciu buntowników musieliby ulec, gdyby nie otrzymali posiłków. Właśnie po to Henryk przybywa, by prosić cesarza o posiłki i natychmiast wrócić z nimi do Werony. Spodziewa się, że część wojsk Rzym oblegających będzie mógł wziąć z sobą na północ.

Dowiedziawszy się o opuszczeniu Hugona przez większość hrabiów longobardzkich Henryk z posępnym wyrazem twarzy szepnął do ucha papieżowi, że pragnąłby z nim rozmówić się na osobności.

Sylwester Drugi przystał.

— Ale pozwoli twoja dostojność — powiedział badawczo, prawie wyzywająco patrząc Henrykowi w twarz — że rozmowa nasza zostanie zapisana.

Silny rumieniec okrył chudą, suchą, noszącą wyraźne ślady pobożnych umartwień, twarz księcia bawarskiego.

— Dostrzegam, że Ojciec Najświętszy wprowadza greckie zwyczaje nawet do rozmów z najszlachetniej urodzonymi. Pan Papież dawno mi nie ufa, wiem o tym. Ale niesłusznie nie ufa.

Czy istotnie niesłusznie? Aron nie był tego pewien zapisując treść poufnej rozmowy. Zrazu wprawdzie i on też pomyślał, że papież

stanowczo wyrządza krzywdę księciu Henrykowi. Tyle bowiem szczerości było w głosie i słowach Henryka, gdy przekazał Sylwestrowi Drugiemu straszliwą wieść o sprzysiężeniu arcybiskupa Willigiza! Oczywiście nie łatwo było dociec, czy w tajnikach swej duszy podziela, czy też raczej potępia stanowisko Willigiza, że szczepami niemieckimi nie powinien rządzić ten, kto się wstydzi swojej niemieckości. Ale nie krzywoprzysięgał chyba Henryk, gdy splótnął rękę na krzyżu, wzruszonym głosem oznajmił papieżowi, że nigdy, przenigdy nie złamie wiary Ottonowi. Nie ukrył, że arcybiskup metropolita moguncki zwrócił się do niego, Henryka, z wezwaniem, by nie zhańbił się opieszałością w chwili, gdy wszyscy prawi Niemcy zrywają się do obrony czci narodowej, przez odstępcę od tyłu lat już znieważanej. Więcej nawet, książę Henryk me zataił, że arcybiskup Willigiz pragnie właśnie w nim widzieć następcę Ottona.

Sylwester Drugi nisko pochylił głowę.

— Willigiz — szepnął złamanym głosem — ów Willigiz, który ongiś największą był podporą niemowlęcia Ottona. Który z taką zaciętością walczył o koronę dla niego...

— Przeciw memu ojcu — szorstko wdarł się między jego słowa Henryk — ale dziś arcybiskup Willigiz powiada, że ciężko wówczas pobłądził...

— Twoja dostojność bluźni majestatowi, choćby tylko powtarzając takie słowa — równie szorstko odparł papież. — A że majestat ów dziś ciężko jest ugodzony i niemal bezbronny, nie tylko bluźnisz, ale plamisz nadto swoją cześć rycerską...

— Nie, Ojcie Najświętszy. Racysz błądzić. Na mojej czci, czci ostatniego z rodu Ludolfingów, żadnej nie wykryjesz skazy.

— Twoja dostojność pospieszyła się zbyt, zowiąc siebie ostatnim Ludolfingiem. Miejmy w Panu Niebios nadzieję, że nie ostatnim. Pan Cesarz bierze sobie właśnie małżonkę, może mieć syna...

Podniósł się Sylwester Drugi. Podeszedł do Henryka tak blisko, że prawie dotykał go twarzą. Wziął za rękę.

— Przysiągłeś przed chwilą na znak Męki Najświętszej, że

cesarzowi nigdy nie złamiesz wiary. Czy mam rozumieć, żeś przysiągł, iż nigdy nie będziesz godził w całość Imperium Rzymskiego, nigdy nie sięgniesz po koronę niemiecką?

Henryk zbladł.

— Imperium Rzymskie a królestwo niemieckie to różne...

Teraz papież wdarł się szorstko w jego słowa:

— Nie, książę. To jest to samo. Królestwo niemieckie to tylko część Imperium Rzymskiego, taka sama, jak królestwo Italii, Romania, Słowiańszczyzna... a niezadługo Galia, Anglia, Grecja...

Henryk zaśmiał się posępnie.

— Galia, Anglia, Grecja... marzenia jednookiego, który i drugie już traci oko...

— Nie ciesz się zawczasu. To, co ślepotą zowiesz, chwilową jest tylko chorobą oczu, najbystrzejszych z bystrych... Aleś mi nie odpowiedział na pytanie.

— Niepotrzebnie nie ufa mi znów Ojciec Najświętszy. Przysięgam, że póki Otto żyje, nie sięgnę po koronę niemiecką. Ale jeżeli Bóg zechce powołać go do siebie, któż jest godniejszy tej korony od ostatniego Ludolfinga?

Odchodzącego Henryka gonił papież uważnym, przenikliwym spojrzeniem. Gdy był już przy drzwiach, dopadło go pełne chłodu czujnego pytanie:

— A czy nie zechcesz dopomóc Bogu, by powołał Ottona do siebie?

Henryk obrócił się na pięcie. Jeszcze bledszy był niż poprzednio.

— Przysięgam! — zawołał wznosząc oczy ku niebu — przysięgam, że o to tylko proszę Boga, by jak najdłużej zachował Ottonowi życie. I o to jeszcze, by ponownie obrócił serca Niemców ku temu, co swojej się wyparł niemieckości... Dziecię nierozumne! Zapomniało, że tylko o niemieckie może się wesprzeć ramiona...

— Nie tylko, książę — zakończył rozmowę papież.

Otto nie od razu dowiedział się o sprzysiężeniu Willigiza. Dowiedział się od papieża, nie od Henryka, który odjechał do Werony znikome uzyskawszy posiłki. Dowiedział się w czasie ponownego

burzliwego starcia o grecką oblubienicę.

Stało się to na stokach Sorakte, przed bramą Paterna. Biskup Bernward doradził cesarzowi, by zamek ów obrał sobie za siedzibę na cały okres oblężenia Rzymu. Wszędzie indziej mogłaby czyhać zdrada: każdy hrabia longobardzki może w swoim zamku dopaść cesarza mieczem, trucizną lub więzami. Ale załogą w Paternie dowodzi brat biskupa Tammo. Trudno o bezpieczniejsze schronienie.

Przed Paternem przyłączył się do cesarza margrabia Hugo z kilkunastu jeźdźcami, wśród których oko Arona od razu rozpoznało Tymoteusza. Otto skarżył się na bóle głowy i mdłości — spieszno mu było do łoża. Koń jego wysunął się daleko przed resztę orszaku, tylko Sylwester Drugi nadażał za cesarzem. Aron wiedział od papieża, że ów chce raz jeszcze spróbować odradzenia Ottonowi zaślubin z Bazylissą. Spieszył się, bo Otto zamierzał natychmiast po przyjeździe do Paterna zgromadzić całą resztę skarbów, jakimi rozporządzał, i wysłać je z Pandolfem salerneńskim do Bari, gdzie wylądować ma oblubienica.

— Ależ, Ojcie Najświętszy, przecież odmowa Cesarskiej Wieczności będzie straszliwą obrazą dla Bazylissy, która już jest w drodze. Bazyleusowie nigdy nie darują tego Cesarzowi. Staną się jego śmiertelnymi wrogami.

Sylwester Drugi obrzucił Arona zdumionym spojrzeniem.

— Nie nowi to będą wrogowie. Aleś się rozgadał, synu.

Aron zarumienił się, drgnął:

— Daruj, Ojcie Najświętszy — rzekł prawie z płaczem — nie pozwolę już sobie więcej. Ale czy wolno mi zadać pytanie?

Papież uśmiechnął się:

— Poznaję dawnego Arona. Pytaj.

— Raczył mię kiedyś oświecić Ojciec Najświętszy, że Pana Cesarza nikt nie zdoła oddalić od Teodory Stefanii przekonywaniem, tylko obrazem jego marzeniu podsuniętym. A przecież oczy Pana Cesarza nigdy dotąd nie widziały przybywającej Bazylissy. Jakże więc nie widząc obrazu...

— Nie widząc obrazu, powiadasz? Błędzisz, synu. On widzi

obraz...

Urwał papież. Po dłuższej dopiero chwili dokończył szeptem pełnym wzruszenia:

— ...obraz swej matki.

Aron za daleko pozostał w tyle, by słyszeć choć urywki rozmowy cesarza z papieżem. Tak długo jednak mówili ze sobą, jeszcze nawet w bramie zamkowej, zsiadłszy już z koni — że Aronowi, gdy zbliżał się do bramy, udało się usłyszeć głos Ottona wołający z beztroską uciechą:

— A to co innego, Ojcie Najświętszy. Wówczas bym rzucił na Greków całą potęgę drużyn niemieckich. Ale dopiero wówczas.

— Nie powinienes tak beztrosko liczyć na drużyny niemieckie — ze smutkiem rzekł papież.

I opowiedział o przysiężeniu Willigiza.

Otto bezwładnie osunął się na brudny śnieg. Zakrył twarz rękoma.

Reszta orszaku nadeszła, okoliła cesarza ciasnym wieńcem.

— Byłem władcą najpotężniejszym z potężnych — powiedział głuchym głosem, nie odejmując rąk od twarzy — Cezarem Augustem Rzymskim, wodzem drużyn niezliczonych, królem podwójnym... A dziś... kim jestem?

— Panem wszechwładnym tego zamku — z prostotą żarliwą krzyknął Tammo, brat biskupa Bernwarda.

— Szczęśliwym oblubieńcem Bazylissy, umiłowanym sprzymierzeńcem najpotężniejszego z Imperiów — zawołała Teodora Stefania.

Otto odjął ręce od twarzy. Utkwił w Teodorze Stefanii zmęczone, prawie nieprzytomne oczy.

— Bazylissa przybywa, by poślubić potężnego Cezara Augusta, nie nędzara opuszczonego — jęknął chrapliwie.

Podniósł się. Długo wodził oczyma po twarzach, które go otoczyły. Szukał, wybierał. Zatrzymał wzrok na Tymoteuszu.

— Młodzieńcze — zawołał głosem pełnym podniecenia radosnego i nadziei — Jan Teofilaktos, chluba i ozdoba Romy, zaprzysiągł mi, dziękując ongiś za życie darowane, wierne służby w imieniu swoim

i całego rodu tuskulańskiego. Żądam więc: usłuż mi wiernie. Rozkazuję ci, byś niezwłocznie wyruszył w drogę daleką a trudną, do Polski, krainy słowiańskiej. Odnajdź Bolesława, Patrycjusza Imperium. Rzeknij mu: Cesarska Wieczność cię wzywa, przybywaj natychmiast.

Krzyżowały się chwilę w milczeniu zielone oczy i czarne. Oczy płonące i zimne.

— Pójdę, chętnie pójdę. Z dawna już marzę o tajemniczej krainie słowiańskiej. Odnajdę Bolesława. Rzeknę mu: przyjdź. Ale myślę, panie Ottonie, że z Polski do Rzymu trudno zajechać na patyku, nawet posrebrzonym. I nadto jeszcze myślę, że nie będzie się zbyt do ciebie spieszył Bolesław, któremuś odebrał koronę przyrzeczoną, tak jakżeś mnie odebrał przyrzeczoną kobietę...

— Jak śmiesz, szczeniaku! — krzyknął margrabia Hugo.

Otto przeniósł wzrok na Teodorę Stefanię.

— Patrzcie... patrzcie na nich — wybełkotał trzęsącymi się wargami — na tych dwoje patrzcie... na ich oczy, na ich usta... Śmieją się... śmieją się tak samo, jak wówczas... ona z Krescencjuszem... Ze mnie się śmieją... i Rzym się ze mnie śmieje... Całe Miasto dwie już tylko ma pary oczu zielonych i śmieje się...

— Pójdź, Tymoteuszu, chcę z tobą rozmówić się na osobności — powiedział Sylwester Drugi.

Aron do późnego wieczoru przechadzał się po dziedzińcu zamkowym. Myślał o Ottonie, o Teodorze Stefanii, o Tymoteuszu. Posępne to były myśli. W uszach mu wciąż rozbrzmiewał nieprzytomny bełkot Ottona, wciąż budziło dreszcz zgrozy wspomnienie słów: „Rzym się śmieje...” A przecież Tymoteusz wcale się nie śmiał. Ani Teodora Stefania. Dopiero przy słowach „całe Miasto ma dwie pary oczu...” uśmiechnęły się lekko jej piękne, zielone oczy. Nie do Tymoteusza jednak się uśmiechały, do Sylwestra Drugiego.

Gdy wyniesiono pochodnie, w krwawym ich blasku zobaczył Aron Tymoteusza. Siedział na dużym kamieniu w jednym z rogów dziedzińca. Oczy miał zasłonięte rękoma. Aron zbliżył się cicho do

starego przyjaciela. Odjął mu dłoń od oczu. Była mokra. Po raz trzeci to, odkąd się przyjaźnili, zobaczył Aron, że Tymoteusz płacze.

10

Niespokojna myśl Arona wyolbrzymiała niebezpieczeństwo zagrażające zdrowiu papieża. Wprawdzie Sylwester Drugi wciąż skarżył się na silne bóle w gardle, wciąż gryzł się myślami o możliwości utraty mowy, wciąż go dręczyły chrypka i kaszel, ale zaraza papieża nie dopadła. Dopadła Ottona.

Nie uratowało cesarza pospieszne oddalenie się od tkniętych morem okolic Arecji. „Mors et fugacem persequitur virum” — przemknęło Aronowi przez myśl posępne ostrzeżenie Horacego.

Ale im mniej nadziei na ozdrowienie Ottona pozostawiał jego otoczeniu każdy kończący się dzień, tym częściej wstrząsał Aronem dreszcz pełnych zgrozy wątpliwości. Czy aby to na pewno zaraza powaliła Ottona? Dlaczego tylko Ottona, właśnie Ottona, nikogo zaś z tych, co mu towarzyszyli? Raz po raz natrętnie powracało zadane przez papieża Henrykowi bawarskiemu w Orwieto pytanie: „Czy nie dopomożesz Bożemu majestatowi, aby zabrał do siebie Pana Cesarza?”

Oczywiście lekarz, który nie odstępował ani na chwilę Ottona od piątego dnia choroby, na pewno dociekał, czy to Boży tylko palec poraził cesarza. Ale lekarz ów nie rozmawiał z nikim, poza papieżem, a Sylwester Drugi nie zwierzał się nikomu z tego, co posłyszał. Aron pochwycił kiedyś uchem mały strzęp ich rozmowy, nic przecież nie rozumiał. Mówili ze sobą nieznanym mu zupełnie językiem: lekarz biegle, papież bardzo powoli i z wyraźnym trudem. Aron domyślał się, że chyba mówią po arabsku.

Lekarz był młodym jeszcze, nadzwyczaj pięknym mężczyzną. Lśniącą, czarna broda czyniła go jednak znacznie starszym, niż był w istocie. Lśniącą, czarną też nosił szatę, obramowaną żółtym futrem tu i ówdzie przetykaną złotymi nićmi. Ilekroć przechodził przez komnatę natłoczoną Ottonowymi towarzyszami, Aronem wstrząsał zimny, kłujący dreszcz. Przecież człowiek ten nie był chrzczony, był Żydem. Naznaczony był niewidzialnym piętnem grzechu pierworodnego, czekały go wieczne pośmiertne męki. Czemu Ojciec

Najświętszy nie dopomoże tej duszy, nie uchroni jej przed potępieniem, nie skłoni lekarza do uleczenia siebie samego, do obmycia się wodą zbawienia?

I jak papież nie obawia się tak poufale przestawać dzień w dzień ze skazańcem? Nie boi się oddychać zatrutym wyziewami grzechu Adamowego powietrzem? Przecież i arcybiskup Herybert, i Piotr komeński, i Bernward, i nawet margrabia Hugo, znany z ogromnych długów zaciągniętych u pewnego pizańskiego Żyda — odsuwali się, jak mogli najdalej, gdy lekarz szedł ku zasłonom odgradzającym łożo cesarza od spojrzeń otoczenia.

Po raz drugi dopiero w życiu ocierał się Aron tak blisko o nieochrzczonego. Pierwszym był olbrzymi, płowowłosy Duńczyk, śmiertelnie ranny w nalocie morskich mężów Północy na wybrzeże Anglii. Ale jeńca duńskiego zdążyli ochrzcić, nim skonał, angielscy mnisi: uratowali jego duszę przed zagładą; a przecież, o ile mniej zasługiwała na wdzięczność chrześcijan dusza morskiego rabusia, niż dusza tego, co z narażeniem życia przedarł się z oblężonego Rzymu, by ratować nosiciela najdosłowniejszego w chrześcijaństwie majestatu!

Wieczorem tego dnia, gdy lekarz niespodzianie pojawił się w Paternie, biskup Piotr opowiedział Aronowi o ciasnych związkach wzajemnych wdzięczności, łączących rodzinę cesarską z rodziną Żyda Kalonyma. Lekarz był właśnie synem Kalonyma. Rodzinie tej Otto Czerwony nieomal tuż w przeddzień swej śmierci podarował olbrzymie włości opodal Rzymu, w samym zaś Mieście wspaniałą willę na wybrzeżu Tybrowym.

W piętnastym dniu po święcie Trzech Króli Sylwester Drugi oznajmił wszystkim w Paternie, że Cesarska Wieczność lada dzień przejdzie na łono Boskiej Wieczności. Oznajmił spokojnie, tylko bardziej zachrypniętym niż kiedykolwiek głosem. W żadne szczegóły się nie wdawał. Jedynie biskupowi Piotrowi polecił, by zatroszczył się o opłatek na Hostię Najświętszą, którą Pan Cesarz spożyje przed udaniem się w ostatnią podróż.

Wszyscy obecni płakali, z wyjątkiem arcybiskupa Heryberta, Teodory Stefanii i Tymoteusza. Ale gdy na twarzy Heryberta żaden

nie drgnął muskuł, jak gdyby z brązu była ulana lub w kamieniu rzeźbiona — oblicze Tymoteusza przeobraziło się nie do poznania. Aron nie wierzył własnym oczom: zdawać się mogło, że nikt tak boleśnie nie rozpacza nad zbliżającym się zgonem cesarza jak Tymoteusz. Nogi się pod nim ugięły, ręce poczęły się trząść, wargi zbieleły, suche oczy powlokła mgła obłędu,

— Kona?! — krzyknął dziko, chwytając Arona za rękę. — Kona, a jam jeszcze się przed nim nie oczyścił... Gdy umrze, już się nie oczyszczę... nigdy... słyszysz? Nigdy!

Zachowanie się Tymoteusza od kilku już dni wprawiało Arona w zdumienie. Nikt nie krążył tak niespokojnie, tak natarczywie wokół zasłony jak on. Z nikim prawie nie rozmawiał. Nieustannie ścigał papieża przymilnym, przepraszającym spojrzeniem, natomiast Pandolfa salerneńskiego spojrzeniem nienawistnym. Na Teodorę Stefanię zaś z taką spoglądał odrazą, że Arona to aż w gniew wprawiało. Kiedyś spostrzegł, jak pod jednym z takich spojrzeń Tymoteuszowych drgnęła i bladością śmiertelną okryła się zawsze spokojna jej twarz. Aron zrozumiał, że ogromnie zabolęła ją to spojrzenie; uczuł, że boleje z nią razem. Przecież zgon Ottona dla nikogo nie będzie taką bolesną stratą jak dla niej; nikt go tak gorąco nie miłował, może nawet Ojciec Najświętszy.

Dwunastego dnia po święcie Trzech Króli, a więc nieomal w przeddzień papieskiego oznajmienia, że cesarz umrze — Otto zapragnął spojrzeć na Rzym. Sylwester Drugi długo naradzał się na osobności z lekarzem. Potem obaj weszli poza zasłonę. Bawili tam około godziny, wreszcie zasłona się rozsunęła i wszyscy zobaczyli Ottona prowadzonego pod rękę przez papieża i Żyda. Hugo, Aron i biskup Bernward, przewyciężając strach przed zbliżaniem się do nieochrzczonego rzucili się, by zastąpić Sylwestra Drugiego.

— Nie dotykać! — szorstko odepchnął ich papież. Oczy wszystkich obecnych z lękiem, czcią, a i nie mniejszym od czci zaciekawieniem gorączkowym skierowały się ku twarzy Ottona. Daremnie! Całą postać cesarza wraz z głową okrywała ciemna tkanina, cienka i przejrzysta, ale przejrzysta dla oczu Ottona tylko, nie zaś dla tych, którzy na niego

patrzyli. W komnacie zapanowała niesamowita cisza; taką wionęło grozą, że najodważniejszym wojownikom ścisnęły się okrutne serca. Ku drzwiom wolno sunęło bezkształtne, szare widmo, podtrzymywane z jednej strony przez wcielenie grzechu pierworodnego, z drugiej — przez mistrza tajemniczych sztuk matematyki, muzyki i astronomii.

Biskup Bernward i młodziutki Pandolf salerneński nie wytrzymali — dłońmi zasłonili twarze. Nawet Teodora Stefania opuściła powieki. Jedynie z brązu jak gdyby wylana lub w kamieniu rzeźbiona twarz arcybiskupa Heryberta i tym też razem najmniejszym nie drgnęła wzruszeniem.

Przed bramą zamku czekano już z lektyką. Zaniesiono Ottona w miejsce, skąd wspaniały roztaczał się widok na całe prawie Miasto. Promienie słoneczne, jak gdyby sztuką magiczną na tę właśnie chwilę zaklęte, rozdarły szary pułap styczniowych chmur i morzem blasku zalały dumną stolicę świata, złotym cesarskim diademem wieńcząc szczyty kościołów i zamków. Oto Święty Piotr — oto Maryja w Ozdobach, a tuż obok Święty Jerzy — oto teatr Marcellusa, kolumna Marka Aureliusza i kolumna Trajana — Palatyn, Awentyn, Kapitel... Na szczycie wieży Teodoryka kamienny anioł wkłada do pochwy miecz gniewu oznajmiając Rzymowi wielką radość: zaraza minie, nie zabije już nikogo...

— Ale Cezara Augusta Ottona dopadnie po pięciu wiekach — płynie spod szarej zasłony głuchy, żałobny szept.

I znowu cisza. A potem łkanie głucho i westchnienie: — O, Jeruzalem, Jeruzalem, które zabijasz i kamieniujesz proroki swoje...

Stojący o jakieś dziesięć kroków w tyle za cesarzem Aron usłyszał nagle gniewny głos papieża: — Nie dotykaj! — Ale było już za późno. Tymoteusz padł na kolana u stóp szarego widma, zuchwałą ręką odszukał pod zasłoną dłoń i poprzez przejrzystą tkaninę przywarł ustami do gorących palców. — Za Rzym mnie przepraszasz? — rozległ się głuchy głos. — Nie, za siebie. Rzym niewart, byś mu przebaczał — łkając odpowiedział Tymoteusz.

Za co przepraszał Tymoteusz Ottona? Czy za obraźliwe słowa o odebraniu Bolesławowi przyrzeczonej korony, a jemu,

Tymoteuszowi, kobiety przyrzeczonej? Aron nie spodziewał się, że Tymoteusza stać będzie na takie zuchwalstwo, ale jeszcze mniej spodziewał się po nim takiej skruchy i rozpaczy. Nie miał jednak odwagi przystąpić do przyjaciela i dawnym zwyczajem poprosić o wyjaśnienie. Wówczas gdy zastał Tymoteusza płaczącego na kamieniu, żadnego nie wykrzesał z niego wyznania, prócz niezrozumiałego bełkotu o Janie Teofilakcie, który przecież także bratankowi powiedział: „To nie Otto ci ją zabrał”. Aron daremnie dociekał, co by miały znaczyć te dziwne słowa. Domyślał się, że chodziło o Teodorę Stefanię. Ale przecież Tymoteuszowi ją zabrał właśnie Otto, nikt inny!

Dwudziestego trzeciego stycznia wieczorem spoza zasłony poczęły dolatywać jęki tak głośne, jak nigdy dotąd. Papież i lekarz, jak zawsze, znajdowali się przy łożu; pozostali skupili się tuż przy zasłonie. Około północy jęki ustały, ale niebawem Otto zaczął bredzić. W bredzeniach tych najczęściej powtarzanym wyrazem było imię zmarłej cesarzowej. Aron zdumiewał się, iż Otto ani razu nie powiedział „matka”, tylko stale „Teofania”. W pewnej chwili wyraźnie dał się słyszeć głos papieża:

— Coś rzekł, najdroższy?

— Otto odpowiedział głosem zupełnie, zdawać by się mogło, przytomnym: — Jak ktoś ma różową skórę, niech nie płodzi dzieci z oliwkową kobietą. Muła kopie osioł i koń.

— A na to Sylwester Drugi w ten sam wpadając ton: — Każda ludzka istota z dwu się składa natur: ze zwierzęcia i ducha czystego. Ale żadna z tych dwu z osobna nie dostała tej łaski, by Boska przelała się za nią krew. A dwoista dostała. synku.

Tuż przed świtem bredzenia znów przeszły w jęki. Słuchanie ich przechodziło siły Arona. Ale nie miał odwagi ruszyć się z miejsca. Starał się odwlec swą uwagę od jęków, przerzucając jej ciężar ze słuchu na wzrok. Wpatrywał się w zdobiące zasłonę obrazy. Zasłona została zszyta z najuroczystszych szat cesarskich, z którymi Otto nie rozstawał się nigdy każąc je wozić w wielkiej skrzyni, nawet wówczas gdy już żadnych innych nie wieziono za nim rzeczy. Rozpoznał Aron

i złoto tkane postacie archaniołów zdobiące ulubioną szatę cesarza, i różnobarwne obrazy bestii apokaliptycznych, które w dniu uroczystego pochodu na Kapitol budzić miały w gawiedzi rzymskiej świętą grozę, jaka przystoi oczom poddanych, gdy w całej swej wspaniałości ukazuje się im majestat. A oto kwiecista szata, którą Otto miał na sobie, gdy ukryty za kolumną Aron ujrzał go po raz pierwszy w noc sądu nad Janem Filigatem. Tu zaś, obok, najdosłojniejszy ze wszystkich strojów, święta purpura koronacyjna. Już drugiego dnia choroby papież polecił wyдостаć wszystkie te szaty ze skrzyni i uszyć zastonę. Otto sprzeciwiał się, wyrzucał z siebie gniewne okrzyki, ale Sylwester Drugi pozostał w tej sprawie nieubłagany.

— Nie wolno oczom zwyczajnych śmiertelników przyglądać się cierpieniom majestatu świętego.

Odchodząca w wieczność noc przekazywała brzaskowi wicher, chmury i deszcz zmieszany ze śniegiem. Posępna szarość poranka przeglądała się w zwierciadle zboląłych, niewyspanych twarzy. Ale byli też tacy, co drzemali. Wszystkich poderwał z miejsca przeraźliwy krzyk: — Żyd i Słowianin...! Tylko Żyd i Słowianin! — Niepojęty zaiste krzyk! Bo jeśli cesarz bredził obrazami tych, którzy przy nim czuwali, dlaczego nazywał papieża Słowianinem? Spoza zastony doleciał drżący szept Sylwestra Drugiego: — Patrzy na mnie, a myśli, że to Bolesław... — Równie drżącym szepem odrzekł lekarz: — Nie. On nawet mnie nie widzi. O ojcu myśli...

Wszyscy, którzy posłyszeli szept lekarza, zrozumieli, co chciał powiedzieć. Otto mającąc szukał łączności z ojcem. Już poprzednio szepnął z bolesnym westchnieniem: — I ksiązę Udo także i margrabia Bertold, i biskup Henryk... — Były to imiona wodzów, którzy padli walcząc przy boku jego ojca w straszliwej bitwie, co stała się grobem potęgi i chwały oręża niemieckiego w Italii. Potem wyliczał chrapliwie, kto z wodzów ile przyprowadził z sobą żołnierza. — Biskup Wormacji czterdziestu — na nic się nie zdało... Opat z Marbach dwudziestu — na nic się nie zdało... Biskup Henryk strasburski stu — też na nic... Tylu, tylu naszych padło...

Widocznie majączyło mu się, że komuś opowiada o tej bitwie. Po

raz pierwszy od lat powiedział o Niemcach „nasi”. W obliczu zgonu zjednoczył się duchem z plemieniem ojcowskim, ale tylko wspólnotą klęsk i poniżenia. Lecz nawet i w tej bolesnej wspólnocie nie przestawał doszukiwać się rozdźwięku wiecznego między plemieniem swoim a duchem powszechności rzymskiej, którego wcielenie najdoskonalsze odnajdywał radośnie i utwierdzał w sobie, mniej zaś doskonale w swym ojcu. Gorzkie czynił wyrzuty plemieniu niemieckiemu, którym przecież gardził, którego się wstydził, iż ono obu im nie dochowało do końca wierności: jemu w dziele budowy Imperium Powszechnego, ojcu na polu klęski. Krzycząc przeraźliwie: „Żyd i Słowianin! Tylko Żyd i Słowianin!” przeciwstawiał niewierności współplemieńców nieoczekiwaną wierność obcych.

Bo istotnie tylko wierność obcych ocaliła Ottona Czerwonego w straszliwą godzinę klęski. Gdy w pochodzie triumfalnym całą przeszedł Italię, aż do morza południowego docierając — Grecy, unikając bezpośrednio z nim walki, zręcznie nań naszczuli czczących Mahometa Saracenów. Cesarz, zrazu zwycięski, zniecka wpadł w zasadzkę tak groźną, że chwilowy triumf przeobraził się w pogrom najkrwawszy z krwawych. Jak drzewa potężne wichrem obalone padali trupem wokół swego wodza niemieccy biskupi, książęta, margrabiowie, hrabiowie. Byłby też padł sam Czerwony, pod którym konia zabito, ale nie noszący broni dworzanin oddał mu swojego, prosząc tylko, by Pan Otto zatroszczył się o jego dzieci. Dworzaninem tym był — Kalonymos.

Aron żywo wyobraził sobie postać bezbronno Żyda wsłuchującego się w tętent uciekającego konia. Stoi między zwałami trupów, blady, nie, szary raczej, trzęsący się, mdlejący. Zakrył twarz dłońmi — nie, nie spojrz w oczy śmierci. Już go dopadają, rąbią... Aron drgnął: czy Żyd wiedział, gdzie się znajdzie za chwilę? Jedno tylko wiedział na pewno: jak on dochował wierności cesarzowi, tak i jemu dochowa jej Czerwony: zatroszczy się o jego dzieci.

Koń Żyda wskakuje do morza, pruje fale, ostatkiem sił dopływa do okrętu. Czyj to okręt? Chyba cesarski: oczy Ottona Drugiego taka osnuwa mgła, taki zamęt ma w myślach, że nie zdoła rozpoznać

okrętu. Wciągają go na pokład, już usta otworzył, by wydać rozkaz wyruszenia ku miastu Rossano, gdzie czeka Teofania... I nagle olśnienie: przecież to grecki okręt! Czarne brody, oliwkowe twarze, powłóczysty strój dowodzącego okrętem nauarchy... Już go otaczają ciasnym wieńcem, odbierają miecz, śpiewnymi gardłowymi głosami pytają, kim jest...

— Wojownikiem z drużyny Ottona Czerwonego — odpowiada.

— A cóż z waszym królem?

— Chyba padł, jak tyłu padło dostojnych rycerzy...

— Podejrzliwie oglądają strojną szatę, bogatą zbroję.

— Zawiniemy do portu większego, dowiemy się kim jesteś... —

Nauarcha zaprasza niemieckiego rycerza do stołu, częstuje daniami wymyślnymi i winem cypryjskim, obficie zaprawiając ucztę drwinami zjadliwymi z książątka barbarzyńskiego, co ośmieliło się saski łeb świętym, rzymskim ozdobić diademem. — Puszyli się Sasi, puszyli, żelazem chętnie pobrzękiwali, a oto jeden cios i już po całej chętności niemieckiej! Piwo wam chyba łby zamroczyło, żeście tak ładnie, grzecznie w zasadzkę dali się zwabić... Ryczeliście, że Roma na wieki już wasza, po całą Italię chciwie wyciągnęliście łapy, a dziś gryziecie wraz z cesarzem samozwańczym ziemię italską, z tymi zaś, co zostali, sami się już bez saraceńskiej uporamy pomocy, na zawsze za Alpy precz wypędzimy...

Wieczorem Otto Czerwony wyszedł na pokład. Pełną piersią łykał słonawe powietrze, patrzył na gwiazdy, na ognie nadbrzeżne, cieszył się, że żyje. Nagle ujrzał koło siebie jakąś postać. Uklękała, pocałowała go w rękę.

— Poznałem cię, panie, królu niemiecki.

— Otto Czerwony oderwał gwałtownie dłoń od ust klęczącego.

— Jeśliś poznał, to zabij, ale nie zapominaj, że do majestatu mojego mówi się „Święta Cesarska Wieczności”.

— Nie jesteś Cesarską Wiecznością, cesarz w Konstantynopolu.

— Zdumiał się Otto Czerwony. — Jeśli mnie nie czcisz, czemu klękasz, czemu w dłoń całujesz?

— Nie przed majestatem klękam, ale przed nieszczęściem twoim,

przed cierpieniem dumy boleśnie ugodzonej. Żał mi ciebie, aż serce się rozdziera. Słuchaj: gdy dopłyniemy do portu, rozpoznają cię. Wówczas płacz, Teofanio: nigdy nie ujrzysz małżonka, zgnijesz, królu Ottonie, w ośmiograniastej wieży Hebdomonu. Uważaj: za godzinę przybijemy do brzegu, wodę będziemy brali, pomogę ci uciec.

— Otto Czerwony wyciągnął ramiona, podniósł klęczącego, ucałował w usta.

— Kim jesteś, dziwny człowieku? — szepnął pełen wzruszenia. Tamten wzruszył ramionami:

— Cóż ci po moim imieniu?

— To rzeknij przynajmniej, jaki szczep rodzi takich ludzi? — Słowianinem jestem.

Uciekł Otto Czerwony z okrętu. Dotarł do Rossano, całował ręce Teofanii, mówił uśmiechając się gorzko: — Cieszysz się z mojej klęski, Greczynko?

— Cieszę się z twojego ocalenia, małżonku.

Żyd i Słowianin go ocalili. Ale ni Żyd, ni Słowianin nie ocala jego syna. Żyd lekarz go nie ocali, choć na czas przyszedł. Słowianin Bolesław nie ocali, bo nie przyszedł na czas. — Bolesławie, czemuś nie przyszedł? — donosi się spoza zasłony rozdzierający serca krzyk. A zaraz po nim inny krzyk. Okropniejszy niż wszystko, cokolwiek dotąd słyszeli osiwiali w okrutnych rzeziach wojownicy. Krzyk, tak dobrze już znany uchu Arona: — Drzwi... drzwi... kto otworzył drzwi?

Ale teraz Aron już wie, co oznacza ów krzyk — z czego, gdzie i kiedy się zrodził. Po przybyciu do Orwieto opowiedział papieżowi o niesamowitym przerażeniu, jakie ogarnęło Ottona, gdy Aron robiąc krok ponad chrapiącym hrabią Bertelem, pchnął dwuskrzydłowe drzwi. — To moja wina — ze smutkiem powiedział Sylwester Drugi. — Zapomniałem cię przestrzec. Pana Cesarza nigdy nie powinno się gwałtownie budzić. Ów strach przeraźliwy przy budzeniu zniecka ma po matce. Nieraz zastanawiałem się, Aronie, czy w noc, gdy Teofania poczęła syna, nie skrzyknęły zniecka drzwi cesarskiej sypialni. Gdyby tak się stało naprawdę, może pewniejsze posiadałbym wiadomości o dziwności duszy Ottonowej niż kpiny różowych

dzieciaków z oliwkowej skóry.

Pięcioletni król Niemiec i Italii wesoło obchodził święto Zmartwychwstania Pańskiego w saskim grodzie, Kwedlinburgu. Dumnie rozpierał się na wysokim krzeselku przy świątecznym stole biesiadnym. Najpotężniejsi dostojnicy królestwa gorliwie usługiwali synowi i wnukowi Ottonów. Henryk, książę bawarski, własnoręcznie krajał słodkie ciasta i podsuwał w drobnych plasterkach pod same usteczka królewskie; palatyn Hecyl, napełniający winem czasy biesiadników, w królewski też pucharek nalał odrobinkę, czym ogromnie rozgniewał babkę króla, Adelajdę. Po uczcie książę Bernard saksoński, pełniąc obowiązki koniucha królewskiego, kilkakrotnie oprowadził po dziedzińcu źrebaka, na którego grzbiecie z dumną miną kołysał się król. Jeszcze przyjemniej niż na źrebaku siedziało się wysoko, wysoko między dwoma garbami brzydkiego konia ze śmiesznie długą szyją. Był to dar Mieszka, księcia słowiańskiego. Gdy króla zdejmowano z wielbłąda, babka Adelajda szepnęła: — Podziękuj mu, pocałuj w czoło, on wiernie ci służy: obmierzłych pogan słowiańskich setkami na pale wsadza...

Z okazji święta królowi pozwolono później udać się na spoczynek niż zwykle. Ale nawet i o późniejszej porze nie chciało się Ottonowi spać: marzyły mu się długie, dalekie wędrówki na grzbiecie wielbłąda, dźwięczały mu jeszcze w uszach słowa opowieści Mieszkowej o takich przedziwnych krainach, gdzie lasów nie ma ni łąk zielonych, ni krzaków samotnych nawet, ale piasek, piasek, piasek... Zmrużywszy oczy wyobrażał sobie, jak jedzie, kołysząc się między garbami, po takiej piaszczystej krainie, a Mieszko kroczy przed nim prowadząc dziwaczego konia za uzdę...

Nagle usłyszał mały Otto głosy w sąsiedniej komnacie. Poznał je: matka coś opowiadała, babka zaś raz po raz przerywała jej okrzykami, których ton zaniepokoił króla. Na paluszkach zbliżył się do drzwi — zajrzał przez szparę. Jeszcze bardziej się zaniepokoił: obydwie miały twarze jak gdyby wylęknione — matka, która opowiadała, bardziej nawet niż babka. Chętnie by otworzył drzwi, skoczyłby matce na kolana. Ale bał się babki: dostałby tęgiego klapsa — surowo zakazała

mu wychodzić z sypialni po nastaniu godziny spoczynku. Zaczął się więc wsłuchiwać w opowieść matki. Im dłużej słuchał, tym większy ogarniał go niepokój, potem strach — chciało mu się płakać, krzyżeć — ale nie zapłakał, nie krzyknął: pociągał tylko nosem, piąstką wycierał oczy, starając się zachowywać jak najciszej: babka dotkliwie go biła za płacz i krzyki. Niewiele rozumiał z matczynej opowieści, ale to, co zrozumiał, tak wyraziście utkwilo w jego pamięci, jak może nic innego z całego wczesnego dzieciństwa. To zaś, co zapamiętał, raz na zawsze takie mu się wydało straszne, że ilekroć sobie przypominał — a przeważnie przypominał sobie tuż przed zaśnięciem — dygocąc czołwał się wraz z głową pod okrycie, zwijając się w silnie wstrząsany dreszczem kłębek. Najstraszniejsze ze wszystkiego to był ów jakiś Nikefor, wołający: „Drzwi... drzwi... kto otworzył drzwi...” Zawołał to na chwilę przedtem, zanim wpadli, zrzucili go z łoża na jakąś skórę, kopali, wybijali zęby, kłuli mieczami... Mając dziesięć lat Otto poprosił matkę, by mu opowiedziała dzieje owej nocy, gdy mordowano Nikefora. Spojrzała na niego zdumiona, zaskoczona, rozgniewana, ale zarazem też jak gdyby czymś przerażona. Szorstko odrzekła, że jest za mały, by słuchać takich opowieści. Otto jednak nastawał, płakał, tarzał się po podłodze z dzikim krzykiem. Teofania, która nigdy go nie biła za płacz ani w ogóle za nic — przelękała się, podniosła go, przytuliła do piersi, uciszała, obiecywała, że opowie. Istotnie opowiedziała. Z wyraźną niechęcią, pospiesznie, krótko i sucho — blade jednak obrazy tej opowieści zlewały się Ottonowi w jedną całość z żywymi, wyrazistymi wspomnieniami tego, co podsłuchał jako pięciolatek w Kwedlinburgu — i oto powstawał obraz jednolity, barwny a tak straszny, że zaciążył, jak mniemał Sylwester Drugi, na całym dalszym życiu Ottona.

To, o czym opowiadała Teofania, działo się, gdy miała czternaście lat. Działo się w Konstantynopolu, w Pałacu Bukoleońskim. Wietrzna, burzliwa była noc na jedenasty grudnia. Za oknami, w ciemnościach nieprzeniknionych, huczało morze. Cesarzowa Teofania starsza czesała piękne, lśniące włosy. Grzebień trząsał się w jej ręce. Raz po raz zagryzała pulchne, zawsze wilgotne wargi. Przerwała czesanie

się, przebrała się z pomocą służebnic w nocną szatę, po czym kazała dziewczętom odejść. Teofania młodsza siedziała na niskim stołeczku, oglądała świeżo ukończone przez siebie hafty na atlasowej poduszeczce. — Zdejmij trzewiki — szepnęła Teofania starsza. Potem głośno trzaskając podszwami poszła ku pomalowanym czerwono drzwiom ozdobionym pozłacanymi płaskorzeźbami w kształcie zwierząt i ryb.

— Otwórz, Nikeforze — powiedziała głośno, prawie rozkazująco, opryskliwie.

— Śpij dzisiaj sama, dziecinko — rozległ się spoza drzwi znużony męski głos. — Słabym bardzo.

— Tyś już od dwu lat słaby, ilekroć chcę do ciebie przyjść — drwiąco odrzekła Teofania starsza. — Nie bój się, nie przyjdę do łóża, chcę ci tylko coś rzec. Otwórz drzwi.

Teofania młodsza usłyszała szcęk zamku.

— Poczekaj, zaraz przychodzę — rzuciła w stronę drzwi cesarzowa, po czym wróciła na środek komnaty. Przenikliwie spojrzała na czternastoletnią Bazylisę. Zaczęła jej wydawać rozkazy, nie słowami, oczyma.

— Co mam zrobić, mateczko? — Cesarzowa położyła palec na ustach. Innym palcem przywołała do siebie młodzieńką Bazylisę. Wyciągnęła ku niej stopę, spojrzeniem, pełnym napiętej czujności, kazała zdjąć z niej trzewik. Potem z drugiej nogi. Znakami wytłumaczyła Teofanii młodszej, aby włożyła jej trzewiki i chodziła po komnacie, głośno trzaskając podszwami. Sama bosą, na palcach poczęła się skradać ku drugim drzwicom, białym, wykładanym różnobarwnymi trójkącikami. Teofania młodsza goniła ją zdumionym, nie rozumiejącym, z każdą chwilą coraz to bardziej wylęknionym spojrzeniem. Jak urzeczona, patrzyła w profil twarzy naznaczonej piętnem nie tylko czujności aż do bólu napiętej, ale także jakiejś niepojętej zupełnie żądzy, w której czternastoletnia Bazylissa dopatrzyła się czegoś podobnego do żarłocznej chciwości głodnego kota. Ale oto już jest przy drzwiach, błądzi dłonią po barwnych trójkącikach, dotyka zasuw, szarpie ją, ciągnie do siebie drzwi. —

Drzwi... drzwi... kto otworzył drzwi? — donosi się niezmiernie znużony, ale zarazem już i wyraźnie wylękniony głos z sąsiedniej komnaty.

Wpadli — jak burza przelecieli od jednych drzwi do drugich — potrącili Teofanię młodszą... Zachwiała się, omal nie upadła, dygocąc zaszyła się w kąt — w oczach jej mignęła piękna, śniada twarz Armeńczyka Jana Zemiskena, ulubieńca cesarskiego — biegł z rozwianym włosom, ściskając miecz, dziko, chrapliwie coś krzycząc. W sąsiednim pokoju rozległy się odgłosy walki, krótki przenikliwy krzyk, potem jęki i charczenie. Teofania starsza, poprawiając włosy, trąc piętę o piętę, spokojnie powiedziała: — Oddaj mi moje trzewiki.

Pamięć Ottona poplątała, poprzekręcała szczegóły zasłyszanego w Kwedlinburgu opowiadania. Cesarza Nikefora Fokasa nie zrzuciono wcale z łoża na jakąś skórę — od początku bowiem leżał na tygrysiej skórze. Dziesięcioletni Otto nie wiedział, co to jest tygrys. Matka wytłumaczyła, że to to samo, co lampart, tylko większy i na skórze zamiast cętek ma pręgi. Ottonowi trzęsły się wargi, opadała szczęka, ale łkającym krzykiem wymusił na matce, by trzykrotnie powtórzyła, jak Nikeforowi Fokasowi związano nogi, jak Jan Zemisken — odsunawszy na bok towarzyszy — własną ręką wyrywał mu włosy z brody, własną stopą kopał konającego w brzuch i w twarz. Nie przejęło Ottona natomiast wcale, że matka jego bez zmysłów runęła na podłogę, gdy Teofania starsza dźwięcznym, radosnym głosem zawołała do nadbiegających w popłochu dworzan: — Pantokrator Bazyleus Nikefor Fokas, małżonek mój, życie zakończył! Wysławiajcie Pantokratora Bazyleusa Jana Zemiskena, mojego nowego małżonka.

— Rozumiesz teraz, czemum rzekł, zem zawinił zapomniawszy cię ostrzec, byś nie budził znieńacka Pana Cesarza — zakończył Sylwester Drugi swoją opowieść.

Tak, Aron zrozumiał, w Paternie jednak miał możliwość przekonać się, że wniknięcie w istotę czegoś strasznego wcale nie czyni tego czegoś mniej strasznym tylko dlatego, że się je rozumie. Przeciwnie, znając źródło, z którego rodził się krzyk Ottona, doznał silniejszego nawet wstrząsu niż wszyscy inni, nic nie wiedzący, nic nie rozumiejący

— gdy silny poryw wichru, wdarłszy się przez pchnięte nagle drzwi, utopił krzyk Ottona w wyciu, świcie i rechocie niewidzialnych duchów. W rozwartych na oścież drzwiach stała Teodora Stefania.

— To ja otworzyłam drzwi — powiedziała spokojnie, ale bardzo głośno.

— To ty? — wionęło spoza zasłony rozdzierająco bolesnym zdumieniem.

Teodora Stefania wolnym, ale pewnym krokiem przeszła przez komnatę, uchyliła zasłony, długo patrzyła na to, co jeszcze nazywano majestatem. — Tak, to ja — rzekła.

— Tak, to ty — odpowiedziało jej bolesne zdumienie, tym razem kładąc nacisk na „to”, nie na „ty”. I zaraz dodało łkając: — Jak mogłaś?

Owo „jak mogłaś?” lata całe rozbrzmiewało w uszach Arona, budząc niezliczone, coraz to inne, ale zawsze pełne grozy domysły.

— A jak ty mogłaś? — powiedziała Teodora Stefania opuszczając zasłonę.

Odchodziła spokojnie. Nikt z obecnych nie gonił jej nienawistnym lub chociażby zgorszonym tylko spojrzeniem. Aron dowiedział się w kilka tygodni później od papieża, że pod spojrzeniem Teodory Stefanii odzyskały na chwilę pełną przytomność zmętniało już oczy — trysnęły strumieniem dziecięcych łez. Chwilę ową uznał Sylwester Drugi za najodpowiedniejszą do udzielenia konającemu ostatniej Komunii Najświętszej. Skinął na biskupa Piotra, wziął z jego rąk Hostię. Ale niebawem zasłona znów się podniosła, Hostia wróciła do rąk biskupa komeńskiego.

— Znów bluzga pianą pełną krwi — szepnął Piotr do Arona — widocznie wnętrzności mu pękają. Nie będzie mógł przyjąć Ciała i Krwi Pańskiej.

— Tymoteusz...

Było to już charczenie, nie krzyk, nie jęk nawet.

Tymoteusz zerwał się z miejsca. Pobiegł ku zasłonie. Ale w połowie drogi przykuły go do posadzki słowa niewidzialnego papieża:

— Przecież Tymoteusz już dawno wyruszył wedle rozkazu Cesarskiej Wieczności do Polski, krainy słowiańskiej. Szybko się uwinie. Nim opuścisz łożo ozdowieńcem, najdroższy, przywiezie z sobą Bolesława Patrycjusza. A z nim liczną, potężną drużynę. Orły złote i srebrne razem wejdą do Rzymu.

Wówczas Otto krzyknął:

— Bolesławie, przybywaj... przybywaj... ratuj... To były ostatnie jego słowa.

— Uśnij, synku, spokojnie uśnij... musisz wypocząć... Nie bój się, nic się nie bój, wcale nie umierasz, zasypiasz tylko... Przecież, gdybyś umierał, czyżbym taki był beztroski, wesoły? Pomyśl tylko: czy byłoby to możliwe? Nie bój się, śpij, pokrzep się...

Arcybiskup Herybert podniósł się z ławy. Ciężkim, szerokim krokiem przemierzył komnatę, szarpnął zasłonę, chwycił papieża za łokieć, pociągnął za sobą w oddalony kąt.

Twarz jego wciąż przypominała oblicze posągu z kamienia lub brązu. Lekko mrużąc siwe oczy utkwił je w papieżu i spokojnie rzekł:

— Proszę cię, uratuj go.

Sylwester Drugi odpowiedział mu bratnim współczującym spojrzeniem. Słowami nie mógł odpowiedzieć.

— Nie trzeba zwlekać, aż przyjdzie Bolesław. Niech zaraz ozdrowieje.

Jeszcze więcej ciepła bratniego, jeszcze więcej współczucia odmalowało się w oczach papieża. Przycisnął Heryberta do piersi, ucałował w usta: — Nic go już nie uratuje — wyszeptał chrapliwie, z widocznym wysiłkiem olbrzymim wydobywając z siebie każde słowo.

— Ty uratujesz.

Sylwester Drugi zamknął oczy. Rozchylił wargi: — Bóg jest silniejszy nade mnie, bracie — wycedził przez zaciśnięte zęby.

— Nie Boga prosź.

Papież otworzył oczy. Nadal patrzył na Heryberta współczująco, ale było to już tylko współczucie, jakie się żywi dla stworzeń nierozumnych.

— Nie Boga prosź — twardo powtórzył arcybiskup koloński. — Proś

moce, które ci służą.

Wzrok papieża współczuł już nawet nie stworzeniu nierozumnemu. współczuł obłąkańcowi.

— Zaraz wybiorę najtęższego siłacza z załogi całej — pospiesznie, porywiście ciągnął Herybert — zanieś cię na grzbiecie aż na sam szczyt Sorakte. Przecież wiem, dobrze wiem, masz tam swoją grootę, tam przenosił cię z Rzymu powietrzem król nietoperzy, tam zwoływałeś wszystkich, kogoś potrzebował: Beliala i Matematyka, Plutona i Astronoma... Przecież jesteś namiestnikiem Piotrowym, każdemu każdy możesz odpuścić grzech, więc i sobie odpuścisz...

— Tobie nie odpuszczę, Herybercie — gwałtownie, groźnie przerwał mu papież ciskając oczyma iskry nieubłaganego gniewu.

Ale nie zmieszał Heryberta. nie zmusił do milczenia. Spoza zasłony coraz to straszliwsze donosiło się rżężenie, a metropolita-arcybiskup koloński, kanclerz Imperium Rzymskiego, natarczywie, namiętnie błagał o wezwanie czarnych mocy. On wie, on rozumie, że obmierzły, okropny popełnia grzech i do grzechu okropnego namawia, ale wierzy, wie, że Bóg im obydwu ten grzech przebaczy, bo czyż nie rzekł Zbawiciel, iż się temu daruje, kto wiele umiłował? A gdzież na okręgu ziemskim jest miłość potężniejsza niż miłość ich obu do Ottona? Niechże więc nie opiera się mistrz Gerbert. niech nie zwleka — niech spieszy na szczyt Sorakte — niech zwołuje, niech rozkazuje... Najlepiej będzie, jeśli zaklnie Astronoma — przeleci między gwiazdami, siądzie na Saturnie, ułamie kawałeczek pierścienia — powiadają, że niebieski kamień, który z Saturna spadł, setki konających kiedyś w Trewirze uleczył...

— Nie, ty nie miłujesz Ottona, udawałeś tylko miłość, by papieżem zostać... Czemu zapierasz się? Wszystko wiem. Wiem, jakieś w Kordobie rozkochał w sobie córkę maga: wydała ci płacąc za miłość książki czarodziejskie — a gdy gonił cię ojciec — zawisłeś kryjąc się pod mostem, przez ocean straszliwy przerzuconym. Jakiż człowiek mógł tak długo na rękach pod mostem wisieć? Ale ciebie oni podtrzymywali... A potem Matematyk wziął cię na skrzydła i przeniósł przez morze...

— Słuchając wówczas Heryberta pomyślałem, Aronie, że jeśli rzuci się na jedną szalę sądów Bożych wszystkie skarby cnoty i wszystkie skarby świętości, a na drugą grzech ciemnoty w sobie zadufanej, nie zmiłuje się chyba Bóg nad tą duszą — powiedział Sylwester Drugi w kilka dni po śmierci Ottona. — Jużem to chciał rzec Panu Arcybiskupowi, ale właśnie wtedy lekarz uchylił zasłony i skinął ręką, bym szedł do łoża Pana Cesarza.

Sylwester Drugi tak był wstrząśnięty słowami Heryberta, że nawet nie spostrzegł, iż lekarz nie ręką na niego skinął, tylko głową. Oczyma dawał do poznania, że koniec nastąpi lada chwila.

Ale lekarz się omylił. Otto na pół godziny jeszcze utknął między życiem a śmiercią. Papież, pouczony jeszcze w Reims przez Rykiera, gdzie należy w przegubie łowić tętno istnienia ziemskiego, lewą ręką sprzął się miłośnicie z tętniącym jeszcze życiem, prawą zaś wzniosł ku górze, by przekazać to życie dostojniejszej, niż Sylwestrowa, miłości. — Zgodnie z zezwoleniem Twoim, Przedwieczna Mądrości Boża — rzekł donośnym, przywołującym głosem — wzywam miłosierdzia Twojego: niech zleje na duszę, co pokajać się już słowami nie może, łaskę przebaczenia i odpuszczenia. W imię Ojca i Syna, i Ducha od obu pochodzącego, rozgrzeszam cię, sługo Boży, Ottonie. Odejdź w spokoju. Rzekłeś, Panie: „Przyjdźcie do mnie wszyscy utrudzeni”, a on zaiste utrudził się bardzo. Rzekłeś, Panie: „Błogosławieni, którzy cierpią”, a on zaiste cierpiał wiele. Który jesteś początkiem i końcem, Alfą i Omegą, przemień jego koniec bolesny w początek radosny. Amen.

Gdy lekarz wyszedł spoza zasłony, wszyscy obecni w komnacie padli na kolana. Rozległy się łkania. Najgłośniej płakał Herybert — w twarzy jego nic już nie przypominało ni brązu, ni kamienia.

Tammo zgromadził na dziedzińcu wszystkich wojowników, jacy bądź stanowili załogę Paterna, bądź przybyli z cesarzem.

Przed zbrojny szereg wyszedł margrabia Hugo. Tuż za nim Pandolf salerneński, biskup Bernard i Teodora Stefania.

— Wieczny Pan Imperator Cezar zawsze Augustus nie żyje. Słyszycie? — zawołał donośnie margrabia Hugo.

— Słyszycie, Niemcy, król wasz nie żyje! — Tak samo donośnie zawołała Teodora Stefania.

Margrabia Hugo obrzucił ją zdumionym spojrzeniem. Nie opuściła oczu. Mierzyły go wyniośle, władczo.

Odwrócił wzrok. Ponownie skierował go ku zbrojnemu szeregowi.

— Mężowie szlachetni — rzekł — i wy, wojownicy pospolici, choć wódz wasz naczelny odszedł na łono Boga, dochowajcie wierności jego pamięci w walce nieustraszonej przeciw zbuntowanym Rzymianom...

— Nie jestem Niemcem — odezwał się z szeregu czyjś głos. — Jestem Rzymianinem. Nie będę walczył przeciw Miastu.

Twarz margrabiego Hugona oblała się czerwienią. Oczy błysnęły wściekłością. Chwycił za miecz.

— Ja także nie jestem Niemcem — zaczął, ale słowa Jego przecięło kilka na raz głosów, wołających, że są Rzymianami. że nie będą walczyć przeciw Miastu.

W szeregu powstał rozruch. Niemcy, którzy jednak stanowili większość, porwali za broń.

— Ucisz ich — zwróciła się Teodora Stefania do wychodzącego na dziedziniec z komnat papieża. — Niech rozlew krwi i wrzawa nie mącą spokoju drogiego waszym sercom zmarłego.

Sylwester Drugi przemówił do wojowników. Zawisły w powietrzu podniesione do ciosu miecze, opadły ku ziemi najeżone już do wypadu włócznie. Rzymianie jeden po drugim poczęli wychodzić z szeregu. Niemcy jednak nie chowali mieczów do pochew — jak jeden mąż, utkwili pytające spojrzenie w twarzy margrabiego Hugona.

Ów zaś bezradnym wzrokiem zapytywał papieża, co dalej robić.

— Każ mu, by pozwolił Rzymianom iść za mną — powiedziała do Sylwestra Drugiego Teodora Stefania.

— Za tobą? Dokąd, szalona?

— Tam, gdzie ich miejsce. Do Rzymu. Oddam ich w służbę wierną temu, kto jedynym ich prawym jest wodzem. Patrycjuszowi.

Papież spojrzał na nią błędnymi oczyma. Wszyscy dostrzegli, że lada chwila pękną obręcze woli, jakimi skuł swoją boleść

bezgraniczną.

— Patrycjuszowi? Któż nim jest?

— Patrycjusz z dziada pradziada. Mój syn.

A zwracając się do margrabiego Hugona, dodała:

— Poniechajcie zwady. Wiem, was więcej, pomordujecie nas bez wielkiego trudu, ale przysięgam, nim nas pozabijacie, werwiemy się do komnat i pohańbimy ciało waszego króla, porąbiemy je w kawałki.

Sylwester Drugi chwiejącym się krokiem podszedł do Teodory Stefanii. Oddychał ciężko, chrapliwie.

— Idźcie — rzekł — i utorujcie drogę zwłokom Cezara Augusta. Spoczną obok Ottona Czerwonego w podziemiach Świętego Piotra. Niech Klucznik Niebios jednakowoż czuwa nad prochami i ojca, i syna.

Wzrok Teodory Stefanii prześliznął się po twarzach wojowników rzymskich. Stali zbitą gromadą, śląc pełne podziwu i wierności spojrzenia władczych oczom urodziwej kobiety.

— Błądzisz, namiestniku Piotrowy — rzekła. — Miasto nie wpuści w swoje święte progi zwłok niemieckiego króla. Jego miejsce między swoimi, tam, na Północy dalekiej. Niech więc na Północ go niosą niemieccy rycerze.

Zrobiła w stronę papieża krok, potem drugi, trzeci.

— Ale ty, starcze — powiedziała pobłaźliwie, ba, ciepło, prawie serdecznie — chodź z nami. Miejsce namiestnika Piotrowego w Piotrowej stolicy. Chodź, w spokoju dożyjesz dni swoich, nikt nie przeszkodzi ci w czytaniu ksiąg, w patrzeniu na gwiazdy, w grze na organach. Będziesz odprawiał modły za Rzymian, których biskupem jesteś; będziesz strzegł czystości wiary, a o rządy nad Imperium inni niech się troszczą...

Z trzaskiem pękły obręcze woli potężnej. Sylwester Drugi osunął się na kamień, ten sam, na którym siedząc płakał w wieczór przybycia do Paterna Tymoteusz. Papież teraz też płakał. Bezgłośnie. Tak jak płaczą skrzywdzone, dumne, mądre dzieci.

Aron z bólem pomyślał, że zwałone wichrem cienkie, wysmukłe drzewko może, padając, dotkliwie porysować potężny konar.

Teodora Stefania znów postąpiła kilka kroków. Zbliżyła się ku

drzwiom, w których rysowała się postać Tymoteusza.

— A ty, dziedzicu tuskulański? — zapytała głosem dziwnie zmienionym, nieoczekiwanie niskim, wibrującym. — Twoje miejsce także w Rzymie.

Odpowiedział jej spojrzeniem pełnym nieopisanej wzdargy.

Aż drgnęła, zbladła.

— Nie chcesz być blisko Patrycjusza?

— Będę blisko Patrycjusza. Właśnie po niego się wybieram. Wrócę z nim.

Chwila ciszy. Nie czarne z zielonymi — dwie pary zielonych skrzyżowało się oczu. Ale tylko o jednej z nich mógł Aron powiedzieć do siebie: zimne, zielone oczy.

— Więcej mi nic nie powiesz? — w głosie Teodory Stefanii brzmiały tony jeszcze niższe niż przed chwilą.

Aronowi wydawało się przez okamgnienie, że przez twarz Tymoteusza przebiegł cień wzruszenia, które tak często na tej twarzy dostrzegał w dawnych latach. Ale chyba przywidziało mu się.

Nic bowiem, poza spokojną, zimną wzdargą nie brzmiało w jego głosie, gdy wykrzywając usta i odsłaniając szczerbę w zębach odpowiedział Teodorze Stefanii, że, owszem, powie jej coś więcej, ale dopiero, gdy wróci.

Co rzekłszy podążył ku bramie zamkowej.

Aron pobiegł za nim.

— Dokąd idziesz? — zawołał zdumiony chwytając przyjaciela za rękę.

— Przecieżem rzekł. Do Polski, krainy słowiańskiej.

11

Cztery miesiące wędrował Tymoteusz, aż zaszedł do Polski. Aron, nim osiadł na górze tynieckiej, wędrował lat jedenaście. Przedziwna to była wędrówka! Zygzakami wiodła dziecię Irlandii poprzez Prowancję, Burgundię, obie Lotaryngie, Francję królewską, Akwitanię, hrabstwo katalońskie i najprzedziwniejszą nade wszystko Andaluzję, władzy Półksiężycą poddaną. Podróże swe rozpoczął Aron w dwa miesiące po zgonie Ottona: Sylwester Drugi zlecił mu pełnienie dzieła miłosierdzia poza granicami chrześcijaństwa. W dalekiej, niewiernej Kordobie wysłannik namiestnika Piotrowego miał wykupić eunuchów chrześcijańskiego pochodzenia. Opuszczając Rzym Aron przewidywał, że wróci tu po niespełna roku — nie wrócił już nigdy.

Przerażeniem napawała go myśl o trudach i niebezpieczeństwach niezwyklej podróży. Czas jakiś nawet usiłował przeciwstawiać się woli papieża, wymawiał się błagalnie, rozpaczał, płakał. Daremnie. Sylwester Drugi był tym razem nieczuły, surowy, nieubłagany. Nie dał się przekonać zapewnieniem, że wybór nie jest trafny — że znana mu dobrze niezaradność Arona nie podoła tak trudnemu, tak niebezpiecznemu zadaniu.

— Nie jedziesz sam — opryskliwie oświadczył Sylwester Drugi. — Wcale nie wymagam od ciebie zaradności, zaradni będą inni. Ale musi jechać z nimi, przewodzić im ktoś taki, komu bezwzględnie ufam, a kto potrafi mówić i czytać po grecku. — Po czym łagodniejszym już tonem dodał, że przecież komu wiele dano, od tego wiele się wymaga, czyż Aron nie pamięta, że tak właśnie powiedział Zbawiciel? — Trudną i niebezpieczną podróżą musisz, synu, płacić za prawo należenia do wspaniałej gromady, moc swą z mądrości czerpiącej: Kościoła Piotrowego.

— Czyżem nie zapłacił już wiele wyrzeczeniami bez liku? — z goryczą odrzekł młody mnich.

Odpowiedzią swą nie rozgniewał papieża. Przeciwnie, po raz pierwszy od śmierci Ottona zaigrał w orzechowych oczach uśmiech, uroczy uśmiech, pełen prawdziwej ojcowskiej serdeczności.

— Tyleśmy ze sobą mówili, synu, o mądrości, która jest źródłem mocy Kościoła Piotrowego. Aleśmy się nigdy dotąd z tobą nie zastanawiali jeszcze nad tym, czemu właściwie ma służyć owa przedziwna moc. W bibliotekach Kordoby, dokąd i tobie też radzę zajrzeć, sporo jest ksiąg greckich, poświęconych dziejom imperiów pogańskich, Egiptu i Babilonu. Opowiadano mi treść tych ksiąg: wiele tam jest ciekawego, najciekawsze zaś to chyba ta wiadomość, że w imperiach owych także istniały wspaniałe gromady kapłanów rozporządzające mocą potężną z mądrości czerpaną. Zastanawiałem się więc nieraz, czy w godzinę ostatniego sądu Bożego owi mędracy egipscy i babilońscy nie zaczną wołać wskazując na naszą gromadę, Kościół Piotrowy: dlaczego tych oto postawiłaś, Mądrości Przedwieczna, po prawicy swojej, a nas po lewicy? Przecieżemy jednacy! Głowiłem się, Aronie, czy istotnie wyższość nasza nad nimi w tym jedynie tkwi, żeśmy przyszli na świat po Ofierze Krzyżowej, oni zaś na długi czas przed zstąpieniem Zbawiciela w proch się zamienili? Alem doszedł, że nie, że nie jedyna to różnica: że wedle ksiąg owych greckich czerpali z mądrości moc swą kapłani Egiptu i Babilonu po to, by samej sobie służyła: moc dla mocy. Naszej zaś gromadzie przykładem własnym zleciło Miłosierdzie Boże inną służbę: po to z mądrości czerpiemy moc, by nie samej sobie, ale miłości i dobroci służyła. Czy pamiętasz mój wykład o mechanice w Reims? Mówiłem wówczas, że każda istota i każdy przedmiot, który się porusza, przebywa drogę skądś dokądś: drogę między dwoma punktami — punktem wyjścia i punktem docelowym. Moc potężna Kościoła Piotrowego, to także istota w ruchu nieustannym przebywająca: jej punktem wyjścia — mądrość, punktem docelowym — dobroć i miłość. Nie chciejże więc, synu, wbrew nakazom mechaniki zawisnąć, gwałcąc naturę rzeczy, w połowie drogi: niech nie służy moc twoja, z mądrości czerpana, sobie samej tylko — upodobnisz się do skorpiona szkaradnego, który w krąg się zwijając, ogon własny pożera: pamiętaj żeś się zaciągnął w służbę dobroci i miłości. Czyż nie rzekł Zbawiciel: „Coście jednemu z tych najmniejszych uczynili, mnieście uczynili”? A oto cię posyłam, Aronie, byś wiele uczynił dla

tych, co zaiste najmniejsi są, najbiedniejsi...

Aron rzewnie płakał żegnając się z papieżem. Sylwester Drugi też miał łzy w oczach.

— Stolica Piotrowa z utęsknieniem i niecierpliwością będzie wypatrywać twego powrotu, synu — rzekł drżącym, urywanym głosem. — Nim wrócisz, bogate nagotuje dary dla mądrości twojej. Bylebyś nie zwątpił w moc gromady swojej, Kościoła Piotrowego. Niech cię nie zwiedzie poníženie, jakie znosi dziś Stolica Piotrowa od gromady prostaków, których ciemnota objęta po Ottonie rządy nad Miastem światowładnym. Źródło mocy Piotrowej nie wysycha. Oto znów raczyła je zasilić Mądrość Przedwieczna przyływem świeżej strugi. Mówię o Janie Teofilakcie, synu. Jan Teofilaktos przyszedł do papieża w nocy. — Jak Nikodem do Syna Bożego — szepnął Sylwester Drugi do Arona. Okazało się jednak, że nie jak Nikodem.

Stało się to w niespełna miesiąc po śmierci Ottona. Papież grał na organach, gdy mu zapowiedziano niespodziewanego gościa. Zdziwił się. Nikt go nie odwiedzał, odkąd wrócił do Rzymu. Nikt się nie kwapił z okazywaniem czci i przyjaźni mistrzowi cudacznego Sasa Ottona, którego pamięć lżyli Rzymianie z modlitewną niemal żarliwością. Pałac laterański stał się właściwie więzieniem, które nowi władcy Miasta pozwalali papieżowi opuszczać jedynie dla odprawiania świętych obrzędów. Ten i ów z nich przemyśliwał może nawet niekiedy nad sposobami, jakie by ułatwiły mistrzowi udanie się śladem ucznia, ale ostatecznie postanowiono odczekać cierpliwie, aż wyręczą ich późne lata Sylwestra Drugiego. Wprawdzie gdy wybuchały w Rzymie spory dotyczące spraw wiary, wzywano papieża, by wydał ostateczne rozstrzygnięcie — przysłuchujący się przecież zawsze tym sporom młodzieńcy syn Teodory Stefanii surowo dopilnowywał, by Sylwester Drugi nie mówił do nikogo o niczym innym, jak tylko o sprawach czystości wiary i zgodności obrzędów z kanonami. Nawet opaci i przeorzy klasztorów, należących lub ciężących do wspólnoty kluniackiej, nie stykali się prawie z papieżem, poza godzinami nabożeństw. Także i cudzoziemskich przybyszów dopuszczali do niego nowi władcy Rzymu niechętnie i z wielkimi ostrożnościami.

Obsadzali swoimi ludźmi dwór papieski. Wypytywali, o czym się mówi przy stole papieskim. Gdyby mogli, zapisywaliby chętnie sny papieskie. Ale przecież nie zdołali uniemożliwić Janowi Teofilaktowi skłonienia się do stóp papieskich.

Stryj Tymoteusza oświadczył Sylwestrowi Drugiemu, że pragnie ofiarować swe służby świętemu Piotrowi. Powiedział, że jest już za stary, by rozsmakować się w urokach zagrody prostaczej, w jaką przeobraziło się Miasto światowładne po śmierci Ottona. Dla niego Rzym to potężna wspólnota wszechświatowa ludów różnojęzycznych — o wspólnocie tej marzył Otto: marzy o niej też od wieków Kościół Piotrowy. Otto przeminął, ale Piotr nie przeminie: Jan Teofilaktos wierny był Ottonowi — chce być wierny Piotrowi.

— Piotr dzisiaj, dostojny senatorze — ze smutkiem i goryczą rzekł Sylwester Drugi — niczego nie może ofiarować tym, co mu są wierni, poza wspólnotą w poniżeniu.

— Wolę być z poniżoną mądrością niż z tryumfującą ciemnotą — spokojnie odpowiedział Jan Teofilaktos.

Sylwester Drugi milcząco ucałował go w czoło, w policzek, w usta.

— Gdy wniknie w tajemnice nauki świętej o prawdach wiary, zamianuję go biskupem — rzekł nazajutrz do Arona.

Tak też uczynił. Kiedy Aron opuszczał po trzymiesięcznym pobycie Lotaryngię, gdzie gromadził wiadomości o licznie wywożonych stamtąd do Hiszpanii niewolnikach, nieomal w przeddzień wyjazdu usłyszał od opata słynnego klasztoru werdeńskiego, że wedle nadeszłych z Rzymu wieści biskupstwo Portu objął hrabia tuskulański, Jan Teofilaktos. Opata gorszyła ta wiadomość, Arona cieszyła.

Nie tylko to zresztą go cieszyło. Cała podróż, wbrew oczekiwaniom, więcej dawała powodów do uciechy niż do zmartwień. Okazało się, że Sylwester Drugi wcale nie tylko po to, by pocieszyć wystraszonego Arona, mówił, że wyprawiając ulubieńca w drogę, nie wymaga ani się spodziewa od niego zaradności, jako że zaradni będą inni. Istotnie, przez całą podróż Aron ani na chwilę nie mógł wyjść z podziwu nad tym, jak znakomicie obmyślane zostały wszystkie szczegóły wyprawy, jak przewidująco wyzyskał papież wszystkie swe

związki z dawnymi uczniami i z innymi znanymi sobie w różnych krajach osobami, by z ich pomocą kruszyć wszystkie piętrzące się na drodze Arona przeszkody. Gdziekolwiek bowiem pojawił się wysłannik papieski, wszędzie już wszystko było przygotowane i na jego przyjazd, i na wyprawienie w dalszą drogę. We Francji królewskiej, w Burgundii, w obu Lotaryngiach co znamienitsi biskupi, opaci, książęta i hrabiowie prześcigali się wzajemnie w świadczeniu Aronowi usług, nieraz bardzo dla siebie kłopotliwych. Młody prezbiter bez trudu zgadywał, że robią to wszystko nie dla niego, ale dla tego, który go wysłał; trudniej natomiast było mu dostrzec, iż nie tyle robią to dla Sylwestra Drugiego, ile dla mistrza Gerberta.

Sporo upłynęło czasu, nim zrozumiał, że w oczach większości tych, co się nim gorliwie opiekowali, powaga dostojeństwa papieskiego mniej może jeszcze znaczy niż w oczach ciemnych prostaków, którzy skazali ostatnio Sylwestra Drugiego na osamotnienie w Lateranie. Nie tylko książęta i hrabiowie, ale nawet liczni, pełni wysokiej uczoneści biskupi i opaci, z którymi się stykał i którym wiele miał do zawdzięczenia, zżymali się na samo wspomnienie majestatu papieskiego. Ludzie, którzy nie wymawiali imienia Gerberta inaczej, jak tylko szeptem nabrzmiałym czią głęboką, nie taili się wcale z niechęcią, ba, nawet wrogością względem szerzonych przez wspólnotę kluniacką twierdzeń, że jedynym dziedzicem świętego Piotra jest biskup miasta Rzymu, papież, którego zwierzchności bezwarunkowo podlegać winni wszyscy biskupi i wszystkie klasztory w całym chrześcijaństwie. Jeżeli Otto Trzeci sam o sobie mówił, że Cezar Augustus jest namiestnikiem Chrystusowym i że majestat cesarski góruje nad majestatem namiestnika Piotrowego — to o królu Frankonii Zachodniej, czyli Francji, to samo twierdzili tamtejsi arcybiskupi i biskupi, zaznaczając nadto z naciskiem, że święty Piotr zwykł jest przemawiać przez usta synodów, czyli powszechnych zgromadzeń wszystkich biskupów bądź całego chrześcijaństwa. bądź też nawet każdego z osobna królestwa.

Dla Arona, choć słuchając takich oświadczeń gorszył się i przerażał, nie były to jednak rzeczy zupełnie nowe: w Anglii również

o podobne ocierał się uchem mniemania. Zupełnie natomiast niezrozumiałe wydawało mu się to, iż kilku cieszących się ogromną powagą, słynnych z uczoności i świętości życia opatów i biskupów jawnie nie pochwalają podjętej na zlecenie papieża wyprawy do Hiszpanii. Mówili, że Sylwester Drugi naraża młodego, niedoświadczonego mnicha na zgorszenie — że nie przystoi kapłanowi chrześcijańskiemu, wysłannikowi samego Ojca Najświętszego, udawać się między niewiernych w jakimkolwiek innym celu niż dla nawracania dusz potępionych na wiarę Chrystusową. Arona oburzało zuchwałe przeciwstawienie się woli Ojca Najświętszego, ale były chwile, kiedy w myśli przyznawał tym uwagom słuszność, wpadał w niepokój, zwątpienie, rozpacz. Po latach dopiero miał uświadomić sobie, o co właściwie tym gorszącym się chodziło — co ich w podjętej przez papieża wyprawie najdotkliwiej bolało.

A przecież nawet ci najbardziej niechętni, najbardziej oporni, najgoręcej przeciwstawiający się twierdzeniom o zwierzchności rzymskiej stolicy biskupiej nad wszystkimi biskupami — robili, co tylko się dało, by spieszyć z pomocą temu, co był wysłannikiem biskupa rzymskiego. Bo wszyscy oni albo sami przeszli kiedyś przez słynną szkołę mistrza Gerberta w Reims, albo byli przyjaciółmi tych, którzy przez szkołę tę przeszli. Bo jeżeli otoczeni byli powszechną czcią, jeśli sławiono ich jako mędrców pełnych uczoności — pamiętali, że mistrzowi Gerbertowi jedynie ową cześć zawdzięczają. Do końca dni swoich nie przestawali się chlubić, że mieli szczęście słuchać jego wykładów z gramatyki, retoryki, logiki, matematyki, astronomii, mechaniki — za prawo chlubienia się tym szczęściem płacili Gerbertowi opieką troskliwą nad jego wysłannikiem — nawet ci z nich, którym śniło się rozkosznie po nocach, iż oto ów wysłannik papieski poniechał wyprawy i zawraca do Rzymu.

Przekazywali sobie Arona z rąk do rąk, zaopatrując go we wszystko, czegokolwiek tylko w mniemaniu ich mógł potrzebować. Naradzali się też gorliwie z Żydami, zapraszając ich na biesiady wystawne do zamków lub klasztorów — wiedzieli bowiem, że bez pomocy Żydów podróżować nie sposób.

Żydzi zdumiewali, a niekiedy nawet przerażali Arona. Wydawało mu się, że jest coś niesamowitego, coś aż czarami tracącego w sprawności, z jaką okazywali mu w czasie podróży pomoc nieustanną, co prawda drogo każąc sobie za nią płacić. Gdzieś nad Mozą, któryś z nich dostawał od biskupa czy opata kawał ziemi, kilka owiec i krów lub kilku robotników niewolnych, a daleko od Mozy, nad Garonną, inny Żyd wypłacał Aronowi srebrne monety i przyprowadzał konie. Kartka z kilku dziwacznymi znakami, napisana w Reims, otwierała przed Aronem bezpłatny wstęp do gospody w Barcelonie. Hrabowie katalońscy prowadzili wojnę z Arabami, biskup w Vicho zapewniał Arona, że zając się nie prześliźnie między szeroko rozrzuconymi nad granicą obozami walczących, a Żydzi przeprowadzali przez granicę tak łatwo i tak sprawnie, że Aron, który zasnął w lektyce, ledwo oddalwszy się od zamku hrabiego chrześcijańskiego, spokojnie się zbudził nazajutrz w cudnie woniejącym gaju, nad którym wznosiła się strzelista wieżyczka ozdobiona półksiężycem. W nowym, początkowo straszliwym świecie czcicieli Mahometa Aron nie potrzebował zmieniać prawie żadnego ze swych dawnych nawyków: w Kordobie, w Zarze, w Sewilli, dzięki zapobiegliwości Żydów, mieszkał i jadł prawie tak samo jak w Reims, jak w Orleanie, jak w Barcelonie, może tylko bogaciej i wykwintniej. Strój tylko musiał nieco zmienić. Jak w Rzymie, odprawiał w niewiernej Kordobie czy Zarze Ofiarę Najświętszą i inne kapłańskie obrzędy: żydowski chłopak prowadził go powikłanymi uliczkami na dalekie przedmieście, gdzie za wysokimi, grubymi murami kryły się piękne kościoły: prezbiterzy, nawet biskupi o smagłych, surowych twarzach witali go łaciną, nie uboższą wcale w słowa od tej, jaką w katalońskich, a nawet lotaryńskich słyszał klasztorach i zamkach biskupich.

W ciągu dziesięciu lat Aron trzykrotnie przyjeżdżał do Hiszpanii, władzy Półksiężycza poddanej. Wiele dziwów zobaczył, wiele nowego usłyszał, wiele przeżył i przemyślał — ale nie mógł o sobie rzec: otom dokonał złeconego mi dzieła miłosierdzia. Na miejscu bowiem okazało się, że było to dzieło prawie niewykonalne.

W kilka dni po przyjeździe do Kordoby, Aron — znowuż dzięki zapobiegliwości Żydów — zapoznał się z wysokim dostojnikiem dworskim, któremu podlegały wszelkie sprawy wiążące się ze sprzedażą i wykupem niewolników. Po trzech tygodniach znajomość przerodziła się w zażyłość, nieomal w przyjaźń. Dostojnik ów, noszący tytuł muchtasiba, był mężem wielkiej uczoneści: zaciekawiał go młody kapłan chrześcijański mówiący i piszący po grecku, doskonale obeznany z zasadami gramatyki, logiki, a nawet filozofii. — Wśród greckich mnichów bywają mężowie wielce uczeni — rzekł do Arona — ale chrześcijanina, łacinnika, co by nie był ciemnym prostakiem, nigdy dotąd jeszcze nie spotkał. — Zapoznał Arona z innymi uczonymi Arabami. Chlubił się przed nimi dokonany przez siebie odkryciem: mnich łaciński, a tyle umie — czyż to nie dziw nad dziwy?! Podejmował liczne grono osób wystawnymi obiadami, by przeplatać je sporami z uczonym chrześcijańskim o istocie dobra i piękna, o podziałach filozofii, o budowie strofy, o współzależności pojęć: istota rozumna i istota śmiertelna.

Aron zrazu czuł się onieśmielony, nawet wylękniony. Dużo upłynęło czasu, nim oswoił się z myślą, iż oto wypada mu tak swobodnie, tak blisko obcować z nieochrzczonymi. Przygniatało go nadto poczucie niewątpliwej ich wyższości nad nim we wszystkich dziedzinach nauki. Żadnemu też z współbiesiadników nie dorównywał swobodą we władaniu mową Greków. Czuł się raczej uczniem, słuchaczem niż bratem w umiejętności, jak oni go uprzejmie nazywali.

Jeden ze stryjów muchtasiba pamiętał Gerberta. Spotykał go przed czterdziestu laty w szkole gramatyki, którą wówczas wykładał w Kordobie nieporównany mistrz Ibn-al-Kutiya. Dowiedziawszy się, że Aron był ulubieńcem Gerberta, zaprosił go do siebie. Dokładnie wypytywał o swego szkolnego towarzysza sprzed tylu lat. Zdumiewał się, iż właśnie Gerbert został najwyższym kapłanem chrześcijan łacińskich. Zapytany przez Arona o powód zdumienia, mruknął, że bliższe są sobie ogień i woda niż uczoneść i kapłaństwo. Dodał z żalem, że niestety Gerbert nie mógł odnieść z wykładów znakomitego gramatyka takiego pożytku jak jego miejscowi

towarzysze szkolni: za słabo władał mową arabską.

Wypytywał Arona o cel przyjazdu do Kordoby. Z pobłażliwym uśmiechem wysłuchał długiej opowieści o mocy, która rodząc się z mądrości służyć ma miłości i dobroci. Wyraził wątpliwość, czy Aronowi uda się z zamiar wykupna kilkuset eunuchów. Ale przyrzekł poparcie. Zapewnił Arona, że gorąco poprosi muchtasiba, swego bratanka, aby zechciał ułatwić odkrytemu przez siebie chrześcijańskiemu bratu w umiejętnościach możliwie najpełniejsze osiągnięcie celu dalekiej podróży.

Istotnie muchtasib pospieszył Aronowi z wydatną pomocą. Chętnie brał od niego obszerne greckie spisy, przeglądał wypisane w nich imiona, kazał swym podwładnym sporządzać przekłady spisów na język arabski. Po jakimś czasie nosiciele imion, w spisach wyszczególnionych, zjawiali się u Arona — ale daremnie usiłował dopatrzeć się w nich owych najbiedniejszych, najmniejszych, o których mówił mu Sylwester Drugi. Jasnoocy synowie Lotaryngii nie pozdrawiali wysłannika papieskiego imieniem Chrystusowym: nie znali Boga Trójjedynego, tylko tego, której prorokiem największym, najdoskonalszym był Mahomet. Nie chcieli rozstawać się z krainą Półksiężycą. Z prostotą oświadczyli, że nie zdołają być szczęśliwi gdziekolwiek indziej. Choć wedle prawa należeli wszyscy nieomal do stanu niewolników, rozrządzali przecież bogactwami, takimi nieraz, że całe dziedzictwo tuskulańskie byłoby w ich oczach dziedzictwem nędzarza. Zarządcy winnic, gajów pomarańczowych. stawów rybnych, pól bawełnianych, warsztatów brązowniczych i tkackich — wzgardliwym wzruszeniem ramion odrzucali wszelką myśl o powrocie pod ubogie strzechy chrześcijańskich rodziców. Kierownicy przedsiębiorstw sprowadzających spoza mórz trzcinę cukrową, papier, jedwab i ryż zapytywali drwiąco, czy skóra ich grzbietów niezbędna jest uczonym opatom do wystukiwania na niej kijami rytmu łacińskich wierszy. Opaśli rzezańcy, ledwie zdolni do wgramolenia się na lektyki, odkrywali przed Aronem tajemnice potęgi, jaką daje rządzenie królestwami z przedpokojów sypialni.

— Więc nie chcesz przestać być niewolnikiem? — ze smutkiem

zapytał Aron jednego z nich.

— Niewolnikami każdej zachcianki mojej są potężni książęta — odparł zapytany — drżą przede mną, bo wiedzą, że mam władny sprawić, by synami ich nie byli synowie ich krwi. Za kawałek jedwabiu lub indyjską błyskotkę mogę każdą godzinę nocną ich rozkoszy przeczarować w godzinę śmierci.

Inny zaś rzekł ze smutkiem, świdrując twarz Arona zapłniętymi tłuszczem oczyma: — Czy ten, który cię przysłał, władny jest przywrócić mi moc miłowania ciał kobiecych? Jeżeli nie, nic mi nie może dać, czego bym nie miał. Pozostawże mnie w spokoju.

Znalazło się przecież za pierwszej bytności Arona w Kordobie ośmiu takich, co jednak zapragnęli wrócić do krainy ojców. Uszczęśliwiony, powiódł ich ku chrześcijańskim hrabstwom rozrzuconym poza prawym brzegiem Duera. Ale za ledwie stanął na ziemi, gdzie nie rozlegało się już z wieżyczek wołanie przeciągłe muezzinów, zagarnął go oddział zbrojny pana zamku w Karrionie. Przewodnicy żydowscy zostali pozabijani, a wykupieni przez Arona, uprowadzeni do robót w polu. Daremnie Aron, postawiony przed obliczem hrabiego Karrionu, groził mu gniewem Ojca Najświętszego. — Papież niech rozkazuje w Rzymie — odrzekł ze śmiechem hrabia — tu zaś o tym, co zgodne jest z nauką Chrystusową, rozstrzyga biskup miejscowy. Możesz jemu się pożalić. Ale wątpię, czy ośmieli się przypomnieć sobie taki kanon, który by pozwolił zabrać mi choćby jednego niewolnika. Ciesz się, że cię nie każę wtrącić do lochu albo rzucić psom, zawsze głodnym. Krążek, jaki masz wystrzyżony na głowie, ocalił cię. Milcz więc i siadaj ze mną do stołu, spodziewam się rychło syna od siostrzenicy: pomódl się, by nie urodziła szczeniaków. Powiadają, że zabijany Żyd może rzucić takie zaklęcie, by miast dzieci szczenięta z łona kobiecego wychodziły. Jeśli oszczeni się siostrzenica, każę ją spalić na ogniu wolnym.

Pełen wstydu, rozpacz i bólu przekroczył Aron straszliwe Pireneje udając się przez Akwitanię do Francji królewskiej. Zboczył nieco z drogi, by odwiedzić Aureliak, gdzie w klasztorze Świętego Gerolda pierwsze pobierał nauki ubogi chłopak Gerbert. Gdy wszedł ze

wzruszeniem ogromnym między mury nieśmiertelną sławą okrytego klasztoru — znalazł wszystkich ojców i braci w smutku i łzach ciężkiej żałoby. Po pierwszych słowach opata Aron zachwiał się, z łkaniem upadł na ziemię. Sylwester Drugi nie żył. Na stolicę Piotrową wstąpił jeden z ulubieńców młodziutkiego syna Teodory Stefanii.

Aron nie miał po co wracać do Rzymu. Była wprawdzie chwila, gdy zastanawiał się, czy miejsce jego nie jest przy biskupie Janie Teofilakcie, w którym tyle nadziei pokładał zmarły papież. Wspólnymi siłami chroniliby Kościół Piotrowy przed zalewem prostactwa i ciemnoty. Ale strach przemógł w Aronie głosy na jawie i w snach wołające: „Wracaj!” Ulubieniec Sylwestra Drugiego nie mógł spodziewać się od Rzymu Krescencjuszów niczego, poza poniżeniem i prześladowaniami. Gdyby przyśnił mu się sam Sylwester Drugi, z uroczym uśmiechem w orzechowych oczach wzywający, by cierpieniem zapłacił za jego miłość ojcowską — może by Aron usłuchał tego wezwania i ruszył targany strachem do Rzymu: ale takie sny go nie nawiedzały, więc powędrował tam, gdzie przed niespełna rokiem tak gościnnie i przyjaźnie go podejmowano: między uczniów mistrza Gerberta.

Nie zawiódł się w swych oczekiwaniach. Nad Sekwaną, Marną, Mozela, Mozą i Renem witały go przyjaźnie rozpostarte ramiona. Znowu świadczono mu usług bez liku, znowu prześcigano się w wyręczaniu z największych kłopotów. Zmarły mistrz Gerbert był przedmiotem większej jeszcze czci niż żyjący. A co już zupełnie zadziwiało Arona i zaskakiwało, to owa cześć żarliwa, prawie modlitewna, z jaką najzaciętsi nawet przeciwnicy nauki o zwierzchności bezwzględnej biskupa rzymskiego otaczali pamięć Sylwestra Drugiego, właśnie jako biskupa Rzymu, jako namiestnika Piotrowego.

— Tak, to był jedyny mąż, przez którego usta Duch Święty i Klucznik Niebios przemówiliby może chętniej nawet niż wieloustną mową synodu — wołali z żarem Gerardus, biskup kambryjski, Bruno langryjski i krewniak króla Roberta, Ingon, opat klasztoru Świętego Germana. — Ale skoro Mądrość Przedwieczna — dodawali zaraz —

zapraǳnęła zawołać do siebie najdosłójniejszego ze swoich ulubieńców, niech nikt się nie dziwi i nie gorszy, że żaden z prawych pasterzy owiec Chrystusowych nie poniży się wsłuchiowaniem się w bełkot, jakim poczyna teraz wydawać chrześcijaństwu rozkazy panosząca się na rzymskiej stolicy biskupiej prostacka ciemnota.

Jedynie klasztory wspólnoty kluniackiej nie przestawały twierdzić, że Duch Święty i Klucznik Niebios niezmiennie przemawiają przez usta biskupa Rzymu, bez względu na to, kto jest owym biskupem. Ale i kluniacczycy nie ukrywali zgorszenia i zgrozy, jakimi ich napawało przeobrazenie się dziedzictwa Grzegorza Piątego i Sylwestra Drugiego w igraszkę Krescencjusów. Coraz częstsze padały wśród nich glosy, że stolica Piotrowa wówczas dopiero otrząśnie się całkowicie z poniżenia, gdy zasiądzie na niej taki mąż, którego świętość, mądrość i nieustraszoność kształtowały surowe reguły kluniackiej wspólnoty. Nie wcześniej.

Upływały lata. Aron wędrował od jednej stolicy biskupiej do drugiej, od klasztoru do klasztoru. Wszędzie okazywał się przydatny ze swą uczonością, proszono go o wykłady z gramatyki, o czytanie i objaśnianie poetów starożytnych. Fulbert, biskup chartryjski, o którego szkole zaczynało mówić, że dorównuje szkole w Reims kierowanej ongiś przez Gerberta — wezwał Arona do siebie na dłuższy pobyt. Podzielił się z nim swoim zamiarem, na razie jeszcze tajnym: pragnął wznowić we Frankonii Zachodniej, po dwu blisko stuleciach przerwy, studium czytania i objaśniania greckich pisarzy starożytnych. Zapytywał Arona, czy nie pozostałby na stałe w Chartres jako pierwszy gramatyk grecki tutejszej szkoły.

Aronowi schlebiało ogromnie zaproszenie Fulberta, ale oświadczył, że musi czas jakiś zastanowić się nad odpowiedzią. Badał siebie długo i surowo — ostatecznie doszedł do przeświadczenia, że zbyt mało jeszcze umie, by przyjąć tak zaszczytne zaproszenie biskupa. Gdybyż mógł się jeszcze poduczyć gramatyki greckiej, posłuchać wykładów jakiegoś znakomitego mistrza, wprawić się w mowie i czytaniu — wówczas nie zawahałby się ani na chwilę. Nie mógł odżalować, że w Kordobie zaniedbał okazji wzbogacenia swej wiedzy

w dziedzinie języka i czytania autorów greckich.

Z Chartres udał się do Sens, gdzie miał spisać dla arcybiskupa Leuteryka dzieje pobytu Gerberta w Rawennie i w Rzymie. Ale zaraz pierwszej nocy po jego przybyciu na miejsce zjawił mu się we śnie Sylwester Drugi; spojrzał na ulubieńca groźnymi oczyma i gniewnie zawołał: Posłałem cię między niewiernych, byś pełnił dzieło miłosierdzia. A tyś się jak wywiązał z nałożonego przeze mnie zadania? — Aron zbudził się łkając i drżąc z zawstydzienia i strachu. Opowiedział swój sen arcybiskupowi Leuterykowi. Ów wysłuchał bardzo uważnie i życzliwie, dał Aronowi pismo do króla Roberta. — Tylko musisz mi przyrzec uroczyście — rzekł na pożegnanie arcybiskup — że tych, których wyzwolisz, oddasz mnie na wyżywienie. Chciałbym zasłużyć się jakimś czynem chlubnym przed majestatem Miłosierdzia Bożego.

Król Robert także był niegdyś uczniem Gerberta. Przyjaźnie powitał młodego mnicha, o którym arcybiskup Leuteryk pisał, że przez wiele lat przebywał najbliżej osoby Ojca Najświętszego. O królu mówiono, że samo jego dotknięcie uzdrawia najciężej chorych — Aron jednak, choć w zamku paryskim spędził blisko pół roku, nigdy nie miał okazji osobiście przekonać się, by to, co powiadali dworzanie, było prawdą. Przekonał się natomiast, że nigdy dotąd nie udało mu się spotkać człowieka, który by wokół siebie tyle rozsiewał dobroci, co król Robert. Z żalem pomyślał, że owo wcielenie miłości chrześcijańskiej otrzymało królewskie pomazanie, nie kapłańskie. Co prawda Aron ze zdziwieniem spostrzegł, że we Francji królewskiej, a i w sąsiedniej Burgundii, bardzo uczeni nawet biskupi i opaci nie odróżniali zbyt wyraźnie godności królewskiej od kapłańskiej. Spotkał nawet uczonego mnicha, który wywodził, że pomazanie królewskie daje moc odpuszczania grzechów. Oczywiście, twierdzeniom takim przeczyli gorąco kluniacczycy, ale, potężni w Burgundii, mało znaczyli we Francji królewskiej.

Król Robert naradzał się ze swoim spowiednikiem, ze skarbnikiem, potem z Żydami — narady ciągnęły się miesiącami, aż wreszcie Aronowi oświadczone, że może ruszyć w drogę. Cieszył się ogromnie,

że nie ściągnie już na siebie gniewu zmarłego papieża. Niemniej cieszył się, że będzie mógł w Kordobie pogłębić swą wiedzę o autorach greckich.

Znowu na skutek szalejącej na granicach katalońskich wojny musiał wybrać drogę na hrabstwo Karrisonu. Wzdragał się na samą myśl o ponownym spotkaniu się z hrabią.

Ale nie okazało się straszne ani nawet przykre. Z ulgą dowiedział się Aron, że siostrzenica hrabiego porodziła mu dwu chłopców, nie zaś szczenięta, nie została więc spalona na wolnym ogniu. Bliźnięta chowały się razem z dziećmi, które hrabia miał od ślubnej żony, najpiękniejszej kobiety, jaką Aron kiedykolwiek w życiu zobaczył. Rozmawiając z nią któregoś dnia, zapytał ze spuszczonej oczyma, czy jej nie gorszy i nie boli, że małżonek nie dochowuje jej wierności. Nie mogła pojąć, o co Aronowi chodzi.

Karrison owych dni przypominał Aronowi zamek Paterno sprzed siedmiu lat. Przebywał tu dostojny wygnaniec, najwyższy władca Arabów hiszpańskich, kalif Abd-er-Rahman, czwarty tego imienia, nazywany przez chrześcijan Sanczolem. Istniało nawet więcej powodów, by porównywać Sanczola z opuszczonym i zdradzonym przez poddanych Ottonem. Kobieta, która kalifa zrodziła, była córką chrześcijańskiego władcy z krwi Gotów. Jak Otto, Grekiem będąc i Niemcem zarazem, nie był ani Niemcem, ani Grekiem — również i Abd-er-Rahman Czwarty i przez Arabów, i przez chrześcijan gockiego pochodzenia uważany był za obcego. Bunt, który go wygnał z Kordoby, nigdy by nie odniósł tak szybko tryumfu, gdyby dziadem kalifa nie był władca chrześcijański. Aronowi wydawało się nawet, że Sanczol również i obliczem, i całym swym zachowaniem się przypomina bardzo Ottona Trzeciego. Miał czarne oczy przodków arabskich i jasne włosy gockich. I tak samo jak Otto roił o tryumfach wspaniałych i pomście straszliwej w chwili klęski i poniżenia. Hrabia Karrisonu doradzał kalifowi pozostanie w jego zamku. — Mój dom, domem pana mojego — mówił klęcząc przed Sanczolem. Ale wygnańcowi spieszno było do powrotu: wierzył, że niech tylko stanie wśród swoich dawnych poddanych, wszyscy buntownicy padną kornie

na brzuchy przed majestatem. — Idziesz, by zginąć — przez zaciśnięte zęby syknął pan Karrisonu — ale skoro idziesz, podążam za swoim panem. — Arona zdumiewała owa wierność chrześcijańskiego hrabiego wobec władcy niewiernych. Nie sądził, by prawo lenne mogło wiązać chrześcijanina z nieochrzczonym: skoro zaś nie zagrozi hrabiemu gniew Boży za naruszenie prawa lennego, dlaczego idzie naprzeciw śmierci nieuniknionej? A może i naprzeciw potępieniu wiecznemu: Aronowi służenie władcy niewiernych wydawało się bardzo ciężkim grzechem.

Żydzi, jak zawsze niezawodni, zaprowadzili Arona do Kordoby tak, że nawet nie dostrzegł, by w kalifacie miało się dzieć cokolwiek niezwykłego. Odnowił dawne znajomości i przyjaźnie — wszyscy dostojnicy arabscy, których kiedyś poznał, nadal zażywali zaszczytów i spokoju; podejmując miłego im cudzoziemca biesiadą wystawną i beztroską rozmową o greckich poetach i filozofach ani słowem nie napomykali o jakichś buntach czy wicherzeniach.

Ale w sobotę, szóstego marca, bogaty Żyd, u którego mieszkał Aron, wpadł pełen wzburzenia do komnaty gościa, niepomyślnie obowiązujących go nakazów spoczynku świątecznego. Przerywanym głosem opowiedział, że Sanczol i hrabia Karrisonu nie żyją — że byłego kalifa zmuszono, by całował kornie kopyto konia jednego z przywódców buntu, a potem okrutnie wraz z hrabią zamordowano.

W nocy żydowski chłopak zaprowadził Arona przed bramę pałacu królewskiego. W słabym świetle nowiu kapłan chrześcijański rozpoznał olbrzymie kształty najświętszego znaku swojej wiary. Przyjrzał się i zatrzęsł ze zgrozy. Zamknął pospiesznie oczy: świętokradztwem straszliwym wydało mu się patrzenie na ukrzyżowanego, którym nie był Syn Boży. Ale nie mógł się przemóc. Znowu otworzył oczy, postarał się przecieżyć natychmiast odwrócić je od włóczni, na której tkwiła odcięta głowa rozpiętego obok na krzyżu Abd-er-Rahmana Sanczola: martwa twarz i znieruchomiłe, szeroko rozwarte oczy tak bardzo przypominały Ottona, że Aron zapłakał.

Rządy nad Arabami hiszpańskimi objął nowy kalif, Mohammed al Mahdi, lecz Aron nie mógł spostrzec, by cokolwiek się w życiu

Kordoby zmieniło w porównaniu z okresem poprzedniej jego tu bytności. Po dawnemu czytano w bibliotekach Arystotelesa, po dawnemu rozprawiano pod portykami czy wszechświat jest ograniczony, czy też raczej nieskończony. Zaprzyjaźniony z Aronem wielce uczony dostojnik Abdallah Ibn al Faradi oszołamił i gorszył chrześcijańskiego kapłana wywodami, iż wszechświat ani w czasie, ani w przestrzeni nie ma końca ani początku. — Jak to, czyż Bóg nie stworzył świata w przeciągu sześciu dni? — zawołał Aron wzburzony.

— Są mędrcy, młodzieńcze, którzy powiadają, że Bóg i wszechświat, to jedno — odpowiedział Ibn al Faradi.

— To są głupcy, prostacy, nie mędrcy — potrząsnął głową Aron — i ty sam chyba w to nie wierzysz. Czy uwierzysz, jeśli kto powie, że wiersz i poeta to jedno? I nie możesz też wierzyć w to, by wszechświat nie miał granic. Czyż sklepienie niebios nie wznosi się łukami ku górze właśnie od granic zakreślonych oceanem straszliwym okrąg ziemski okalającym?

Ibn al Faradi wzniosł oczy ku górze. — Błędzisz, młodzieńcze — rzekł pociągnawszy przez słomkową rurkę spory łyk soku pomarańczowego — nazywasz oceanem morze, które zaczynając się za skałą Taryka, przez Greków słupem Herkulesa nazywaną — przeraża wzrok i myśl burzliwością i tym, że nikt nigdy kresu jego nie widział. Są zresztą żeglarze, co twierdzą uporczywie, że daleko, daleko na zachodzie rozciąga się drugi morza tego brzeg. Ale ocean — to co innego. Zaiste jest straszliwy, bo nie ma początku ni końca. W obliczu jego ogromu ziemia, którą uważasz za ośrodek wszechświata, nędznym jedynie jest pyłkiem. Jest taka tajna nauka, co powiada, że nad falami oceanu wznoszą się aniołowie — gwiazdy, na które patrzysz co noc, to nic innego, jak połysk paznokci na palcach stóp anielskich. Na szyi jednego z aniołów owych niezliczonych wznosi się skała — na skale stoi byk — na róg byka nadziana jest ryba, na grzbiecie zaś ryby umieściła się nasza ziemia. Jakiż więc z ziemi ośrodek wszechświata? Niech jeno wyprostuje się anioł, potrząśnie głową byk, drgnie ryba, a oto ziemia nasza stacza się z wysokości straszliwej w otchłanie oceanu niezmiernego!

Wówczas to nastąpi zagłada ostateczna rodzaju ludzkiego, którą i wasi przeczuwają kapłani powiadając o strasliwym dniu Sądu Ostatniego.

— Czy tak poucza wasza wiara? — ledwo wyszeptał Aron.

Abdallah Ibn al Faradi wzruszył ramionami.

— Rzekłem ci już — odparł — że tajna to nauka. Wprowadzam cię w nią, boś uczony, a wszyscy uczeni są braćmi bez względu na to, jakiego proroka ustami czczą. Ale nie powtarzaj prostakom tego, coś usłyszał. Po cóż przerażać ciemnych odsłanianiem prawdy, co nie przynosi radości?

Aron często się zastanawiał nad słowami Ibn al Faradiego o braterstwie wszystkich uczonych bez względu na to, jaką wiarę wyznają. Były chwile, kiedy pociągało go to mniemanie, nawet upajało — częściej jednak oburzało i napawało trwogą. Kiedyś Ibn al Faradi zaprowadził go do olbrzymiej biblioteki kalifów. Aronowi aż w głowie się zakręciło na widok tylu ksiąg.

— Dawniej jeszcze więcej było — rzekł Arab — ale skarbnicy kalifa mieli wielkie kłopoty i sporo ksiąg sprzedano: sędzia Ibn Fotais kupił znaczną część, ale i on wpadł w wielkie długi: skazano go na sprzedaż biblioteki — dostał za nią czterdzieści tysięcy denarów. Czy ty rozumiesz, młodzieńcze, ile to jest czterdzieści tysięcy denarów? Ile wojska potężnego wystawić można za te pieniądze? Ile czasu wojnę prowadzić?

Aron zapytał, czy dużo w bibliotece kalifów znajduje się książek łacińskich.

Ibn al Faradi wydał pogardliwie piękne, wąskie wargi. Odrzekł, że są, ale mało, żadna to jednak strata, bo łacina to język barbarzyńców, i nigdy prawdziwa mądrość nie przemówiła tym językiem. Nie mogłaby zresztą nawet przemówić: język łaciński nie potrafi wyrazić żadnej głębszej myśli filozoficznej.

Aron aż zachnął się. Ibn al Faradi wydał mu się nagle nie tylko bluźniercą, ale nieukiem. On, Aron, dobrze wie, że właśnie łacina, tylko łacina zdolna jest przełożyć dokładnie na słowa myśl każdą, najtrudniejszą chociażby, najbardziej złożoną, najsubtelniejszą.

Przecież powiedział mu kiedyś Sylwester Drugi, że gdyby Aron i Otto nie umieli tak doskonale władać mową łacińską, nie byłoby wcale możliwe takie wgłębienie się w najtajniejsze zakątki duszy Ottonowej, jak to było wówczas, gdy Aron spowiadał cesarza! I czyż właśnie przedziwna umiejętność Sylwestra Drugiego — umiejętność wyrażania jasnymi słowami takich myśli, jakich nikt poza nim nie zdołałby wyrazić w chrześcijaństwie całym — nie stąd właśnie płynęła, że zgłębił wszystkie tajniki mowy łacińskiej tysiącokrotnie wspanialej jeszcze niż Aron i Otto?!

Podzielił się tą swoją myślą z Ibn al Faradim. Arab oddalił się, by za chwilę wrócić z niedużym, skromnie oprawionym tomem.

— Oto jest „Etyka” Arystotelesa — przeczytaj, proszę, z pół strony i przełoż na łacinę.

Grecki tekst nie wydał się Aronowi trudny: zrozumiał dokładnie treść przeczytanego ustępu. Ale zaledwie zaczął w myśli przekładać tekst na łacinę, co chwila brakowało mu słów, a nawet całych zwrotów. Uparł się jednak — powiedział, że zasiądzie do pisania. Podano mu nie tabliczkę ni pergamin, ale cieniutką, bielusińką, łatwo drącą się kartkę. Porał się z Arystotelesem około godziny, ale się nie uporał. Szczerze powiedział:

— Nie potrafię. — Dodał jednak, choć w czytaniu cały tekst doskonale rozumiał: — Widocznie nie znam dobrze greki.

— Nie, to nie dlatego — odparł Ibn al Faradi — to nie ty nie potrafisz, łacina nie potrafi. A teraz uważaj.

I gładko przełożył cały ustęp na język arabski.

„Nie mam możliwości sprawdzić, czy nie kłamie — pomyślał Aron — ale chyba nie kłamie”.

Zawstydził się, zmartwił. Nie za siebie — za świat, skąd przychodził. Wydało mu się nagle, że znajduje się we wrogim obozie, przed którego wodzami bronić ma czci tych, co go przysłali. Czuł się zaufanym wysłannikiem Tulusza Cyserona i Liwiusza, Horacego i Marona, Komodiana i Propercjusza, Hieronima i Augustyna, Boecjusza i Salviana.

— Nie — powiedział do siebie z głuchym uporem — błędzi Arab.

To nie oni nie potrafią, ale ja. Ojciec Najświętszy Sylwester na pewno by przetłumaczył dokładnie i gładko.

Raz po raz powracał w Kordobie myślą do Gerberta Sylwestra. Starał się go sobie wyobrazić jako młodziutkiego mnicha, w skupieniu wsłuchującego się w arabską mowę wykładu tutejszych mistrzów. Zastanawiał się z zaniepokojeniem, czy niewierni zdołali należycie ocenić, kogo to przypadło im wówczas w udziale mieć za słuchacza. Z jeszcze większym zaniepokojeniem musiał godzić się z myślą ogromnie niemiłą, że wśród arabskich uczonych wielu było takich, którzy dorównywali Gerbertowi wiedzą, a nawet nad nim górowali. I znowu wstydził się, zamartwiał: znowuż za świat, skąd przybywał. Okazywało się, że człowiek, który w całym chrześcijaństwie łacińskim taki budził swą uczonością podziw, iż za czarownika go miano — tutaj byłby tylko jednym z wielu. Tam nikt nie mógł dorównać jego mistrzostwu ani w gramatyce, ani w retoryce, logice, matematyce, muzyce, mechanice, astronomii — tutaj każda z tych nauk mogłaby się pochlubić mistrzem co najmniej równym Gerbertowi, a w logice i matematyce na pewno go przewyższającym. Co przecież pocieszało bardzo Arona, to daremne rozglądanie się w Kordobie za uczonym, który by był równocześnie mistrzem w tylu na raz a tak różnych umiejętnościach: pod tym względem istotnie Gerbert Sylwester nie miał sobie równych.

Aron niejedną noc przeplakał bolejąc, że oto o tylu by sprawach mógł pomówić ze swym mistrzem, gdyby ów żył jeszcze. Najbardziej zaś dręczyło go to, iż oto nigdy już, przenigdy nie będzie mógł się dowiedzieć, co mniemał Gerbert Sylwester o twierdzeniu, że wszystkich uczonych, mimo iż rozmaite wyznają wiary, łączyć winien tajny związek braterski. Nie wiedział, co ma odpowiadać Ibn al Faradiemu. Wiedział natomiast, że długie lata będzie niepokój zwątpienia trapić jego duszę, ilekroć powróci wspomnieniem do dnia bytności z Ibn al Faradim w bibliotece kalifów. Przez długie lata będzie wracał do obrazu dwu ksiąg wspaniale oprawionych: greckiej i arabskiej. Pokazując mu je Ibn al Faradi rzekł:

— Oto pomniki nieśmiertelne braterstwa, co wiąże ze sobą

uczonych ponad głowami nienawidzących wszystkiego, co obce, prostaków. Owe dwie księgi to „Farmakopea” Dioskoridasa. Władca grecki przysłał ją ongiś w darze kalifowi Abd-er-Rahmanowi Trzeciemu. Widzisz, oto tekst grecki. A tu obok — arabski, dzieło wspaniałe wysiłku bratniego trzech umysłów: Araba Ibn Dżuldżula, Żyda Ibn Szaprutiego i chrześcijanina uczonego, mnicha Mikołaja.

— A czy wasza wiara nie zakazuje wam braterstwa z tymi, co wierzą inaczej? — drżącym głosem zapytał Aron. Ibn al Faradi zmarszczył czoło i nos.

— Znów mówisz o wierze. Oczywiście, kapłani nasi przeklinają wszelkie związki z innowiercami i powodują nieraz prześladowania tych, co inaczej myślą niż oni. Ale czyż ma to odstraszyć mędrca od bratania się tajnego z innym mędrcom?

Arona zdumiewała niechęć, z jaką Ibn al Faradi mówił o kapłanach swojej wiary. Nie tylko on zresztą: każdy uczonego arabski, z którym zdołał się bliżej zapoznać, szeptem wzgardliwym nazywał kapłanów wrogami uczonego i mądrości. Jakież to było niepodobne do świata, skąd Aron przybywał: wszak tam nosicielami uczonego i mądrości byli właśnie kapłani, tylko kapłani.

„Widocznie — pomyślał — Mądrość Przedwieczna odmawia swoich łask kapłanom wiary fałszywej”.

Wspominając słowa Gerberta Sylwestra o Kościele Piotrowym, jako gromadzie moc swą z mądrości czerpiącej, ubolewał Aron, iż tylu mędrców poza gromadą Piotrową się znajduje, co więcej: wieczne ich wszystkich czeka potępienie. Nieraz kładąc się do łóża roił rozkosznie przez długie godziny, iż oto udaje się jemu, właśnie jemu, tylu, tylu uczonego arabskich nawrócić na wiarę Chrystusową! Gdyby żył jeszcze Sylwester Drugi, poobsadzałby na pewno owymi nowochrześcianceami dziesiątki biskupstw i opactw dziesiątki — dopiero by wówczas zakwitła wspaniale uczonego w świecie chrześcijańskim! Dopieroż by spotężniała moc Kościoła Piotrowego z mądrości czerpana!

Usiłował niekiedy rojenia swe w czyn przeistoczyć. Zaczynał z przyjaciółmi arabskimi mówić o Chrystusie. Najczęściej z Ibn al

Faradim. Potem żałował zwykle tych rozmów — wyrzucał sobie, że dawał powód do bluźnierstwa.

Ibn al Faradi nie lżył wcale Ukrzyżowanego, przeciwnie, nigdy nie wymawiał imienia Jezus inaczej, jak z dodaniem słów „Wielki prorok Boga” — ale Arona zgrozą i rozpaczą napawały wielogodzinne wywody Araba, iż w narodzenie z dziewicy i zmartwychwstanie żaden oświecony nie powinien wierzyć umysł.

— Baśń to taka sama — mówił łykając sok pomarańczowy — jak ta, którą opowiedzieli Filostrates i Hierokles o zmartwychwstaniu Apoloniusza z Tiany: a i ta więcej jest warta od waszych opowieści o Dobrej Nowinie, bo piękniejszym, greckim napisana językiem.

— Czyżeś nie rzekł mi onegdaj — ze łzami w oczach zapytał Aron — że sam, wbrew tajnej nauce innych nie wierzysz, iż Bóg i Wszechświat to jedno, ale że Bóg jest wszechpotęgą najmędrszą, która z siebie wszechświat niezmierny wyłoniła i zaraz po stworzeniu od siebie oddzieliła jako twór nieskończenie od istoty Bożej niższy?

— Rzekłem tak istotnie, ale cóż to ma wspólnego z baśnią o powstaniu ciała ludzkiego z martwych?

— Rzekłeś jeszcze, że nasz okrąg ziemski to pyłek jeno nędzny, ciśnięty wola Wszechpotęgi Bożej między fale oceanu niezmiernego, który wedle ciebie jest właśnie owym kosmosem, tworem tak nieskończenie niższym od istoty swego Stwórcy?

— Rzekłem, ale...

— Słuchaj więc — z ożywieniem radosnym zawołał Aron — jeżeli choć trochę rozumiesz i szanujesz zasady logiki, nie możesz nie przyznać, że dla Wszechpotęgi Bożej nie byłoby wcale trudniejszym dziełem stworzenie jednego ciała ludzkiego bez ojca i wskrzeszenie tego ciała z martwych, niż wyłonienie ze swej woli takiego ogromu jak kosmos. Bo jeżeli wszechświat jest pyłkiem w obliczu Boga, ziemia zaś pyłkiem w obliczu kosmosu, to czyż nie błahe to zupełnie zadanie dla Stwórcy kosmosu nadać w jednym jedynym wypadku nowe właściwości naturze człowieczej, co przecież pyłkiem jest nawet przed obliczem okręgu ziemskiego? I to w przypadku tak szczególnym, jak

to ciało ludzkie, w którego kształt właśnie sama Natura Boża zechciała się przyoblec?

Ibn al Faradi znów pociągnął wielki łyk solni pomarańczowego.

— Nie rozumiemy się — odrzekł z powagą i w skupieniu. — Oczywiście Wszechmoc Boża, gdyby zapragnęła, mogłaby stworzyć ciało ludzkie bez udziału ojca i wskrzesić to ciało po śmierci. Ale logika żadnego mi nie daje na to dowodu, że Wszechmoc Boża właśnie tego zapragnęła. Bo i po co? Powiadasz, że po to, by się samej w to ciało przyoblec. Ale właśnie to jest zupełnie niemożliwe. Właśnie logika każe wykluczyć wszelką możliwość powstania w myśli Bożej takiego pragnienia. Dla wierzącego, iż Bóg jest wszechpotęgą, bluźnierstwem jest samo pomyślenie, że Wszechmoc i Wszechmądrość nieogarniona zniżyć się może do wcielenia się w tak nędzny kształt jak natura ludzka. Pomyśl tylko, młodzieńcze, chciałżebyś ty, tak wcale dużo wiedzący i mogący, przemienić się w pyłek plugawiony nieczystościami jaszczurki? A czymże jest to co ty możesz i wiesz, przed obliczem mocy i wiedzy Boga?

Aron zwiesił głowę. Właśnie w owej chwili najgoręcej pożałował, iż wszczął z Arabem taką rozmowę. Ogarnęło go nagle bolesne wspomnienie majaczeń na jawie w bazylice Świętego Pawła. Wzdrygnął się. Podniósł się z wzorzystej tkaniny, na której siedział — począł żegnać się z Ibn al Faradim. Ale nieoczekiwanie coś go przykuło do miejsca — zdławiło gardło radością bez granic, upojeniem, szczęściem. Wspomnienie majaczeń dręczących niosło mu nagły, niespodziany ratunek. Z tajników pamięci wynurzać się poczęły słowa — jego własne słowa, jakimi wówczas odpierał gorszący, kuszący, bluźnierczy szept kolumn bladoszarych. Oczy mu rozbłysły. Odetchnął pełną piersią.

— Okazuje się — zawołał — że nie tylko w Egipcie i Babilonie zakryty był przed wzrokiem gromady mędrców cel ostateczny, ku któremu zdążać winna wszelka moc. Wyście tacy sami, jacy oni byli. Mniemasz, mężu uczony, że myśl Boga tymi samymi kieruje się zasadami logiki, co myśl pyłku, jakim jest natura człowieka. Nie rozumiesz, nie chcesz, nie możesz zrozumieć, że moc z mądrości

płynąca nie sobie samej ma służyć, ale dobroci i miłości. Ludzka moc, a cóż dopiero Boża, która nie musi, ale chce służyć dobroci i miłości...

— Skąd wiesz, że chce? — przerwał Arab.

— Stąd, że gdyby nie chciała, nie udostępniłaby samych nawet pojęć dobroci i miłości naturze ludzkiej, którą na podobieństwo własne ukształtowała. Skąd pochodzi, że zdolny jesteś do litości? Bo zdolny do litości jest Bóg. I właśnie, ponieważ może się litować, chce się litować, zlitował się nad nędzą natury ludzkiej, by ją z nędzy grzechu ratować, nie zawahał się aż tak się poniżyć, by w nędzny kształt ciała ludzkiego się przyoblec. A że, jak słusznie powiadasz, nieczystość wszelaka plugawi nawet nędzę pyłku, Czystość Najdoskonalsza w taki zapragnęła przyoblec się kształt, którego nie tknęła nieczystość pożądliwości i nieczystość gnicia pośmiertnego. Ażeby nam, tobie, mnie, wszystkim otworzyć oczy na to, czemu służyć ma moc z mądrości płynąca — zechciała Wszechmądrość natchnąć Wszechpotęgę, aby w służbie Dobroci i Miłości nie tylko do wcielenia się w nędzny kształt ludzki się zniżyła, ale nadto męce i hańbie krzyża się poddała. Czyż doprawdy nie możesz tego zrozumieć, ty, taki mądry i uczony?

— Więc służ dobroci i miłości, a mnie pozostaw w spokoju, bym nadal służył mądrości tylko — ziewając odrzekł Abdallah Ibn al Faradi.

— Będę służył! — z zapalem odkrzyknął Aron. Z zapalem też rzucił się ponownie w wir zabiegów o wykupno niewolników. Szło mu tym razem lepiej niż za pierwszą bytnością w Kordobie. Wbrew mniemaniom Arona okazało się, że jednak zmiana kalifów wcale nie małe pociągnęła za sobą przemiany. Opadło go wołaniami, że chcą wracać do ziemi ojców, kilkudziesięciu nędzarzy, którzy przed pół rokiem jeszcze ogromnie bogacili się przy zarządach pałaców, przedsiębiorstw przywozowych, winnic, rynków, warsztatów — w jedną burzliwą noc ludzie ci potracili wszystko, prócz życia. Aron witał ich gorąco, nieraz ze łzami radości i miłości — dni całe spędzał na rokowaniach z muchtasibem, od którego uzyskiwał, w zamian za mnogie funty srebra, stosy pięknie wykaligrafowanych pism

stwierdzających, że taki a taki wykupił się przed Władcą Wiernych z przynależności do stanu niewolników.

Zabiegi o wykupno eunuchów nie pozostawiały wcale Aronowi czasu na pogłębianie wiedzy w dziedzinie języka i czytania autorów greckich. O tyle go to jednak nie martwiło zbytnio, iż już przedtem zdołał się nieco pogodzić i oswoić z niemiłą myślą, że musi poniechać marzeń o wykładaniu gramatyki i autorów greckich w szkole biskupa Fulberta w Chartres. Za kalifa bowiem Mohameta al Mahdiego z dnia na dzień coraz większą poczynają odzyskiwać moc prastare obyczaje, dawno zarzucone i dziesięciolecia całe wyśmiewane przez uczonych. Coraz częściej się zdarzało, że mistrzowie umiejętności rozmaitych ogłaszali przeniesienie swych wykładów na dziedziniec wewnętrzny świątyni, tak jak to za ojców bywało. Chrześcijanina zaś tam by nie puszczono; zresztą Aron sam się wzdragał na myśl, że mógłby przestąpić próg meczetu, świątyni niewiernych. Odrzucił zaproszenia arabskich swych przyjaciół, którzy chcieli zabierać go ze sobą na wykłady, byleby odpowiedni włożył strój. — Nie mogłem się uczyć, ale spełniłem za to udatnie wielkie dzieło miłosierdzia — pocieszał się sposobiąc się do wyjazdu. Miał zresztą inne zmartwienie, które z dnia na dzień pochłaniało jego myśl bardziej niż wszystkie inne. Rzezańcy, przez niego wykupieni, w dzieciństwie zostali ochrzczeni, ale w Hiszpanii wyrzekli się wiary Chrystusowej. Zadręczał się niepokojem, czy nie powinien ochrzcić ich na nowo. Osobiście mniemał, że nie powinien, że chrzest jest niezmażalny, ale kilku biskupów hiszpańskich, których się radził, sądziło inaczej. Niepokoił się, gryzł, wreszcie postanowił przekazać sprawę do rozstrzygnięcia arcybiskupowi Leuterykowi, któremu przecież przyrzekł wszystkich wykupionych przez siebie przekazać na wyżywienie.

Arcybiskup Leuteryk potwierdził słuszność mniemania Arona: chrzest jest niezmażalny. Dodał jednak, że odstępstwo od wiary Chrystusowej winno być odkupione bardzo ciężką pokutą, nad obmyśleniem której sam się zastanowi. Aron znów zaniepokoił się. Nie chciał, by ludzie, których skłonił do powrotu między chrześcijan, żalowali kiedykolwiek tego, że jego namów usłuchali. Przewidywał

zaś, że pokuta, którą arcybiskup dla nich obmyśli, może okazać się tak ciężka, iż istotnie gotowi będą pożalować wyjazdu z Hiszpanii. Zaczął się wstawiać za nimi: usiłował przekonać arcybiskupa, że grzech tych ludzi jest mniejszy, niż na pozór się wydaje: w chłopięcym jeszcze wieku zmuszeni zostali do odstępstwa, nie wiedzieli więc, co czynili. Arcybiskup Leuteryk jednak opryskliwie oświadczył mu, że rad nie potrzebuje, i przeciął rozmowę.

Aron niedługo bawił w Sens. Udał się do Paryża, by królowi Robertowi podziękować za pomoc w podjęciu dzieła miłosierdzia tak udatnie tym razem wykonanego, potem do Chartres, by oświadczyć biskupowi Fulbertowi, że nie będzie mógł przystąpić do wykładania autorów greckich. I tu, i tam przyjęto go zupełnie inaczej, niż dawniej bywało. Wprawdzie zarówno król Robert jak Fulbert okazywali mu dużo życzliwości i znowu sporo wyświadczyli usług — ale Aron wyczuł, że w otoczeniu królewskim jak i na dworze uczonego biskupa budzi swoją osobą raczej niechęć. To samo wyczuł w Reims, w Cambrais i we wszystkich klasztorach między Mozą a Mozela. Z rozpaczą pomyślał, że widocznie mają mu za złe długotrwałe, dwukrotne przebywanie wśród niewiernych, podejrzewają go o zanieczyszczanie duszy błędnymi pojęciami o Bogu, o boskości Chrystusa przede wszystkim: przecież bez trudu spostrzegł, jak rozpromieniła się Fulbertowi twarz, gdy usłyszał, że Aron nie będzie mógł wykladać w jego szkole.

Ale po jakimś czasie ze zdumieniem, zgorszeniem, wzburzeniem pojął, że źródło niechęci do niego tkwi zupełnie gdzie indziej. Jak dawniej tak i teraz widziano w nim przede wszystkim tego, który był ulubieńcom Sylwestra Drugiego. Lecz właśnie dlatego żywiono teraz do niego niechęć. Aron po powrocie z drugiej podróży zastał i we Francji królewskiej i w obu Lotaryngiach ogromne wzmożenie się sporów między kluniacczykami a zwolennikami nauki, że naczelną władzą w Kościele Piotrowym są synody biskupów, nie zaś papież, biskup Rzymu. Spory te miejscami przemieniały się w zbrojną walkę między książętami, z których jedni sprzyjali wspólnocie kluniackiej, inni — większość — stronie przeciwnej. Obie strony w jednym tylko

zdawały się godzić: w coraz surowszym osądzeniu pamięci Gerberta Sylwestra. Kluniacczycy wspominali, jak to Gerbert wziął nieprawnie z rąk władcy świeckiego arcybiskupstwo w Reims — obciążali nadto jego pamięć oskarżeniem, iż majestat Kościoła Piotrowego poniżył służalstwem okazywanym uroszczeniom Ottona, który nie tylko bluźnierczo nazywał siebie namiestnikiem Chrystusowym, ale kłał świętokradczo swe pomazanie cesarskie nawracaniem do zwyczajów pogańskiej Romy. Przeciwnicy zaś wspólnoty kluniackiej doszukiwali się na pamięci o Sylwestrze Drugim skaz najrozmaitszych po to, by zwalczać naukę o zwierzchności papieża nad synodem biskupim. Aron nie wierzył własnym uszom, słuchając przekazów opowieści tego czy owego wielce uczonego biskupa lub opata o grzesznych czarach Sylwestra Drugiego lub o jego tajnym rozmiłowaniu się w obyczajach, ba, nawet w obrzędach pogańskiej Romy. Przy czym każda taka opowieść kończyła się pełnym zgorszenia i oburzenia wykrzykiem:

„Zważcie, że to był najmędrszy z biskupów Rzymu. A jacyż dopiero są jego następcy?!” Do uszu Arona docierały opowieści, że Sylwester Drugi przed powzięciem jakiegokolwiek postanowienia radził się białej głowy, która zdobiła stół w jego sypialni, a przez której usta przemawiał do niego szatan zaklęty sztukami magicznymi, by służył papieżowi. Powracała też raz wraz opowieść o skarbach wydartych królestwu podziemnemu. Opat Ingon, krewniak króla Roberta, niegdyś uczeń Gerberta, wprost zażądał kiedyś od Arona, by opowiedział, jak to było z ową wyprawą nocną po skarby. Śmiał się nieufnie albo też udawał, że nie ufa, gdy Aron gorąco przekonywał go, iż cała ta baśń zrodziła się w marzeniu sennym pewnej niemądrej kobiety.

Najbardziej zaś zdumiewało Arona, że pamięć o Sylwestrze Gerbercie doznawała poniżenia nawet tam, gdzie z dnia na dzień coraz to gorętsza cześć osnuwała wspomnienia o Ottonie Trzecim. W Kolonii nadreńskiej, na dworze arcybiskupa Heryberta, byłego kanclerza Imperium, krążyły gadki, że Sylwester Drugi, sprzyjając tajemnie kluniacczykom, wkupywał się chytrze w przyjaźń namiestnika Chrystusowego, przedziwnego Ottona, po to, by poniżyć święty majestat cesarski, poddać go w służbę biskupiej stolicy rzymskiej.

Wprawdzie sam Herybert nigdy złym słowem nie pokalał pamięci Sylwestra Drugiego — ale on to właśnie był głównym sprawcą potężniejącej z dnia na dzień wiary, iż człowieka i władcy, co by równy był Ottonowi, nigdy już nie ześle Moc Boża rodzajowi ludzkiemu. Otoczenie Heryberta obciążało pamięć Sylwestra Drugiego oskarżeniem, iż choć mógł, nie uchronił Przedziwnego przed zdradą, nie osłonił przed chorobą.

— Jakże mógł, jeśli nawet lekarz nie mógł? — wołał namiętnie Aron w przystępie rozpaczy i nieomal wściekłości. — Zaraza powaliła Cesarską Wieczność, nie żadna zdrada. Boży palec tknął Ottona, nie ludzki.

— Mógł, mógł, słyszysz! Nie mógł nie móc, bo najmądrszym przecież będąc z wszystkich mędrców świata, lepiej stokroć zaprawdę znał się na leczeniu niż wszyscy świata całego lekarze. I wcale nie zaraza powaliła Przedziwnego, ale zdrada — świętokradcza zdrada tych, co znieść nie mogli blasku wspaniałego majestatu Ottonowego! — równie namiętym wołaniem ze łzami w oczach odpowiadała Rycheza, młodziutka siostrzenica Ottona, ulubienica Heryberta, gość prawie codzienny w arcybiskupim zamku kolońskim.

Nikt w obu Lotaryngiach nie czcił pamięci zmarłego cesarza z taką namiętą żarliwością jak Rycheza. Godzinami przesiadywała na małym stołeczku u nóg Heryberta, z zapartym tchem, z wypiekami na twarzy przysłuchując się opowieściom o wspaniałości i potędze Ottonowego majestatu — nigdy nieznużona, nienasycona. Dowiedziawszy się, że Aron znajdował się w pobliżu świętej osoby cesarskiej przez cały prawie bolesny okres tułaczki aż do najboleśniejszej chwili zgonu — również i jego zadręczała namiętymi pytaniami, każąc sobie opowiadać po wielokroć o ucieczce z Rzymu, o pobycie w Rawennie, o zdradach, o spiskach i odstępstwach, nade wszystko zaś o rozmowie Sylwestra Drugiego z Henrykiem bawarskim w Orwieto.

— Kłamał Henryk, kłamał przysięgając! — wołała w gniewnym uniesieniu — to on, na pewno on przyspieszył zgon Wiecznego Cesarza Augusta! On albo ci, co przy nim stali. A teraz nosi koronę

królewską Przedziwnego, krzywoprzysięzca, odstępcą, zdrajca, morderca! Ale my za króla go nie mamy...

Aron nie podzielał mniemania Ryczezy, iż Henryk przyczynił się do zgonu Ottona; pobożność bowiem ówczesnego księcia bawarskiego, a teraz króla Niemiec i Italii — pobożność nieklamana, żarliwa, w najsurowszych lubująca się umartwieniach — winna była rozpraszać, wedle Arona, wszelkie podejrzenia o udział w jakiegokolwiek zbrodni — cóż dopiero w świętokradczej zbrodni podstępnego cesarobójstwa i krzywoprzysięstwa! Prawdę natomiast niewątpliwie mówiła Ryczeza wołając namiętnie: „My go za króla nie mamy!” Istotnie, obie Lotaryngie od pierwszych tygodni po śmierci Ottona stanowiły kuźnię nieustannych buntów, wylęgarnię nieznużonych spisków przeciw Henrykowi Drugiemu. Herybert wręcz odmówił koronowania króla i potężni stronnicy arcybiskupa kolońskiego zamknęli przed Henrykiem bramy Akwizgranu, prastarej stolicy koronacyjnej. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów król Niemców zmuszony był do odbycia uroczystości koronacyjnych w Moguncji. Wprawdzie siła oręża, poparcie wspólnoty kluniackiej i przywilej dziedziczenia dostojęństw książęcych i hrabiowskich poddały po jakimś czasie Henrykowi najpierw Dolną Lotaryngię, a potem i Górną, wichrzenia przecież i spiski nie ustawały ani na chwilę. Każdy wróg nowego króla — w Bawarii, w Szwabii, nawet w Słowiańszczyźnie — pewien mógł być pomocy z Kolonii, z Trewiru, z Akwizgranu: pomocy zbrojnej lub pieniężnej, co najmniej zaś poparcia myślą i modlitwą.

Arona zdumiewała radość, z jaką witano w zamku rodziców Ryczezy i na dworach arcybiskupich Kolonii i Trewiru każdą wieść o niepowodzeniach Henryka w walce z Bolesławem, księciem polskim. Trudno mu było uwierzyć w prawdziwość opowiadań o smutku, żałobnym nieomal, jaki zapanować miał w obu Lotaryngiach na wiadomość, iż stronnicy Henryka wyparli Bolesława z krainy czeskiej; gorzkimi zaś wprost łzami gniewu i rozpachy oplakiwać miano w Trewirze i Kolonii wieść o poniżeniu księcia polskiego, zmuszonego do zawarcia niemiłej sobie ugody z Henrykiem, gdy ów

stanął z Sasami o dwie mile od biskupiej stolicy poznańskiej. Przez lata pobytu w Rzymie Aron przyzwyczał się uważać wszystkich Niemców — Sasów, Bawarów, Turyngów, Franków, Szwabów i Lotaryńczyków — za wspólnotę mocno spojona braterstwem krwi, dumy, mowy i obyczaju; wspólnotę nienawistną Rzymianom i wszystkim Italczykom, a nienawidzącą Słowian: wszak raz po raz rozbrzmiewały mu w uszach echa gniewnych wołań Dediego o szlachetnej krwi niemieckiej, o krzywdzie hańbiącej, jaką Otto i Sylwester Drugi wyrządzili niemieckiej czci plemiennej mianując Patrycjuszem Imperium słowiańskiego barbarzyńcę, dziecię nędznego plemienia niewolników! Tymczasem Herybert, Rycheza i liczni książęta lotaryńscy zdawali się nic nie wiedzieć o niemieckiej wspólnocie plemiennej: Słowianin Bolesław zdawał się być im bliższy niż Sasi, Bawarzy i Frankowie. Gdy do Kolonii dotarła wieść o ponownej wyprawie królewskiej przeciw Bolesławowi — wyprawie, która, jak dotąd, przynosi Henrykowi klęski tylko i poniżenia — radość Lotaryńczyków zdawała się nie mieć granic. Wprawdzie opaci klasztorów, do wspólnoty kluniackiej należących lub ciężących, przywoływali błogosławieństwo Boże na Henryka — gromili w kazaniach Bolesława jako utajonego poganina lub odstępcę zaprzędanego greckim obrzędowi i wierzeniom; arcybiskup Herybert przecież nie krył się wcale z mniemaniem, że dla wszystkich czcicieli dziedzictwa Ottonowego sprawa Bolesława to sprawa Przedziwnego! Sprawa Rzymu!! Sprawa Imperium światowładnego! Słowom arcybiskupa wtórowała rodzina Rychezy.

— Dopóki dłoń namiestnika Piotrowego — wołał jej ojciec, Herrenfryd — nie włożyła na czyjeś prawdziwie godne skronie diademu, znaku świętego Romy światowładnej, aż dotąd zastępcą dostojeństwa cesarskiego i pierwszym bojownikiem sprawy Imperium pozostaje Patrycjusz! Nie jako książę polski walczy on z Henrykiem, ale jako nosiciel srebrnych orłów, stróż wierny i czujny dziedzictwa wspaniałego osieroconej Romy...

Aron zrazu nie mógł zrozumieć, na czym polega odstępstwo Henryka od dziedzictwa Ottonowego. Z ogniem gniewnym

a wżgardliwym w oczach ciemnoniebieskich wyjaśniła mu Rycheza, że, jak wszyscy Frankowie i Sasi, nowy król mówiąc „Imperium Rzymskie”, myśli „Władztwo Niemców”. Przedziwny Otto zaś, jako Rzymianin prawdziwy, pragnął zjednoczyć w cieniu złotych orlich skrzydeł wszystkie plemiona wielojęzyczne okręgu ziemskiego, tak by żadne z nich ponad inne się nie wynosiło, gdyż wszystkie jednak są prochem w obliczu majestatu świętego Romy światowładnej.

— Czy ci wiadomo, ojcze Aronie, że Henryk nie używa łacińskiej pieczęci, jeno niemieckiej? I czyż zaprawdę nie jest to najlepszym dowodem odstępstwa od dziedzictwa Ottonowego, iż na pieczęci owej wryte są nie wspaniale głowa „Renovatio Imperii”, tylko „Odrodzenie królestwa Franków”?!
Aron odrzekł, że wcale go to nie dziwi. Dopóki Henryk nie jest cesarzem, tylko królem, nie może wspominać w tekście pieczęci o Imperium. Ale gdy wyruszy do Rzymu, gdy włoży na swe skronie święty diadem...

Gniewnie przerwali Aronowi naraz i Herybert, i Herrenfryd, i Rycheza. Henryk cesarzem? Nigdy, przenigdy! Diadem ozdobić winien tylko te skronie, w których tętni krew Ottonów z krwią Bazyleusów greckich zjednoczona. — Ale któż w takim razie może zostać cesarzem? — w zdumieniu zawołał Aron. — Chyba tylko ktoś z twoich braci, Rychezo? Lecz to jeszcze niemowlęta prawie!...

Rycheza nic nie odrzekła. Milczeli też Herybert i Herrenfryd. Ale któregoś wieczoru siostrzenica Ottona wezwała Arona do komnat swej matki. Matylda siedziała na wysokim krześle, haftując srebrne orły na połyskliwej niebieskiej tkaninie.

„Dar dla Bolesława” — przemknęło Aronowi przez myśl.

Nie omylił się. Nie przeczuł przecież, że siostra i siostrzenica zmarłego cesarza do niego zwrócą się z prośbą, a raczej ze zleceniem, by dar ów odwiózł Patrycjuszowi Imperium właśnie on, Aron.

— Ależ tam wojna się toczy! — zawołał pełen zdziwienia i niepokoju. — Którędy przejadę do Polski?

Odpowiedziały opryskliwie, że dobrze wiedzą, jakie dalekie, trudne

a niebezpieczne odbył już podróże; nie wątpią więc, że mąż tak uczony, tak doświadczony, tak wielkiej pełen mądrości — poradzi sobie znakomicie i w drodze do Polski. Nie tały, że jeśli odmówi, nie zechcą go darzyć nadal swoją gościnnością — nie tylko one, ale i arcybiskup Herybert, i klasztory dziedzictwu Przedziwnego wierne. Dodały ze zjadliwym uśmiechem, że oczywiście nie będą go wypędzaly z Lotaryngii, jeśli zdoła się schronić między kluniacczykami, nie mniemają jednak, by ulubieniec Sylwestra Drugiego nazbyt mile został powitany w którymkolwiek klasztorze do wspólnoty kluniackiej należącym.

— Powiesz Bolesławowi, Patrycjuszowi potężnemu — rzekła Rycheza takim tonem, jak gdyby ani mowy być nie mogło o jakimkolwiek sprzeciwie Arona w sprawie wyjazdu do Polski — że siostrzenica pierworodna Przedziwnego czeka z utęsknieniem chwili, gdy w bazylice Piotrowej zaślubi Bezpryma, pierworodnego syna Bolesława. Niechże więc nie zwleka dłużej Patrycjusz z wyprawą zbrojną do Rzymu. Miasto światowładne z dawna wypatruje przylotu srebrnych orłów.

Aron odrzekł, że nie pojmuje, jak może Bolesław udać się do Rzymu, prowadząc ciężką wojnę obronną z królem Henrykiem na granicach swych włości.

— Niech pokona Henryka, niech naśle na niego zabójców, tak jak Henryk nasłał ich na Przedziwnego! Niech w pochodzie tryumfalnym przejdzie od Polski przez Saksonię, Frankonię i królestwo Italii — niech pod stopy swe rzuci pychę książątek niemieckich. Jeśli tego nie zdoła uczynić, rzeknij mu, że niegodna jest krew jego, by się łączyć z krwią Ottonów i Bazyleusów!

Aron długą chwilę w zdumieniu przyglądał się rozognionej twarzy Rychezy. Wreszcie przeniósł oczy na pochyloną nad haftami Matyldę. Patrząc na jej twarz, jeszcze bardziej pociągłą, jeszcze bardziej grecką niż oblicze Ottona — na przepyszne łuki brwi i piękne wąskie wargi, tak żywo przypominające zmarłego brata — wspomniął żale cesarza na spowiedzi, iż oto zbłądził nie oddawszy Matyldy Bolesławowi. Otto nie żył, ale wiecznie żywy pozostawał pęd jego krwi

rodzinnej do połączenia się z Bolesławową krwią! Nie Matyllda, to jej pierworodna — nie z Bolesławem, to przynajmniej z jego pierworodnym!

— Najdostojniejsza Pani! — zwrócił się do siostry Ottona. — Racz oświecić posłańca, co ma odrzec, jeśli Bolesław zapyta: kto rozkazuje mi iść do Rzymu? Wszak Patrycjusz słuca rozkazów Wiecznego Pana Cesarza jedynie, teraz zaś nie ma cesarza. Czy mam mu rzec, że diadem cesarski ozdobić ma skronie któregoś z twoich synów nieletnich, Najdostojniejsza Pani? Że po to ma ruszyć Bolesław do Rzymu, by mieczem swym potężnym utorować drogę twojemu synowi — drogę, której mu wzbraniają wrogowie dziedzictwa Ottonowego? Ale któremu z twoich synów, pani Księżno? Czy Hermanowi?

Matyllda uniosła sponad haftów wielkie, czarne oczy. Patrzyły na Arona z podziwem i uznaniem. — Właśnie tak rzeknij — zaczęła, ale nie zdołała wypowiedzieć więcej nad trzy słowa. Ryczeza przerwała jej gwałtownie.

— Nie, wcale nie tak masz rzec, ojciec Aronie — zawołała władczo — wcale nie tak! Wszak Hermana rodzice dawno ślubowali poświęcić na służbę Pana Niebios; jeżeli będzie kiedyś władał Rzymem, to jako Piotrowy namiestnik, nie jako Chrystusowy, nie jako Cezar Augustus! Inni zaś moi bracia, to niemowlęta prawie jeszcze! Czemuż więc ich dziecięce skronie ma ozdobić diadem cesarski, nie zaś skronie dziecięca, co za rok już może przyjść na świat?! Dziecięca, które doprawdy, jak żadne inne, godne będzie, by władać Imperium różnorodnym! Samo bowiem krew aż trzech szczepów będzie w sobie miało: grecką, niemiecką i słowiańską. Troistość zaś krwi skojarzy w jedność wspaniałą majestat rzymskości!

— O jakim dziecięciu mówisz, pani Ryczezo?

— O moim synie.

— Ale przecież jeszcze się nie urodził!

— Ale przecież rzekłam, że narodzić się może za rok, ba, prędzej jeszcze! Niech jeno pospiesza Bolesław ze swym pierworodnym do Rzymu. Co noc, bosy, na żwirze lub żuźlach klęcząc modłę się żarliwie do Przedziwnego, który obok Chrystusa w niebie miejsce

zajął, by uzyskać błogosławieństwo Boże dla łona siostrzenicy swojej... Niech jeno otworzy to łono syn Bolesławowy, a zobaczysz, ojcie Aronie, jak rychło narodzi się dziedzic majestatu Ottonowego...

— Grzeszysz bluźnierstwem, pani Rychezo, modląc się do duszy Pana Cesarza, takiej ułomnej jak wszystkie inne ludzkie dusze — surowo powiedział Aron.

— To ty grzeszysz bluźnierstwem, mnichu! Nie było i nie będzie duszy wspanialszą opromienionej świętością niż dusza Ottona Przedziwnego! Do kogóż mam się modlić? Czyje wsparcie potężniejsze u Chrystusa niż prośba najwspanialszego z namiestników Chrystusowych? Ty grzeszysz, ty! I Bolesław też grzeszy: opieszalnością świętokradczą! Dawno być w Rzymie winien, dawnom winna pójść do łóża z jego synem! Patrycjusz młody jeszcze jest, czterdziestu pięciu lat jeszcze nie ma za sobą, może jeszcze ze dwadzieścia rządzić potężnie Imperium, aż podrośnie Cezar Augustus, wnuk jego!

Aron z trudem wierzył własnym uszom. Znów odwrócił zdumiony wzrok od Rychезy, znów przeniósł go na Matyldę. Natarł na nią niemym pytaniem — nie, nie pytaniem: żądaniem, by zaraz, natychmiast odpowiedziała, czy słowa jej córki z jej się poczęły myśli?! Czy siostra Ottona istotnie dopiero wnukowi, dziecięciu krwi słowiańskiej, diadem przeznacza, nie zaś żadnemu z synów?!

Ale Matylda milczała. Nie podnosiła oczu sponad haftów.

Niemiłą miał Aron noc po tej rozmowie. Istotnie, Rycheza nie mniejszym przepojona była poczuciem rzymskości niż zmarły jej wuj; tak samo jak on wstydziała się i zapierała swojej niemieckości. Odkąd, mając osiem lat, ujrzała potężne kształty rzymskiej Czarnej Bramy w Trewirze — nie przestawała mówić o sobie: — Jestem dziedziczką owych mężów potężnych, którzy takie umieli wznosić budowle. — Poznawszy Arona od razu mu powiedziała, że jeżeli czarownik Gerbert Sylwester nie znalazł się wśród demonów w ogniach piekielnych, to dlatego jedynie, iż nad grzechami sztuk magicznych przeważała cnota miłości do Ottona: niedoskonałej co prawda miłości, bo mistrz nauk tajemnych nie potrafił lub nie zechciał potrafić wydrzeć

Przedziwnego z pazurów demonów choroby i śmierci.

Rycheza grała na harfie i cytrze, biegle mówiła po łacinie, umiała cytować Wergilego, a nawet Marcjalisa, czym zdumiewała i gorszyła Arona; oświadczała jednak, że żaden z poetów starożytności nie godzien jest zaszczytu mycia nóg temu mistrzowi nad mistrzami, który pozyskał sobie sławę nieśmiertelną wierszem żałobnym opiewającym zgon Przedziwnego. Z przejęciem recytowała: „Quis dabit aquam capiti? quis succurret pauperi? quis dabit fontes oculis”. Płakała wołając słowami poety: „Vivo Ottone Tertio salus fuit populo. Plangat ignitus Oriens, crudus ploret Occidens”. Aronowi wiersz ów wydawał się prostacki, prawie nędzny — wprawdzie przyznawał, iż bije z niego moc rozpaczy szczerej i bólu, szczególnie z dystychu: „Plangat mundus, plangat Roma — lugeat Ecclesia”, ale cóż to za lichego rytm, cóż za ubóstwo słów, jaka prostackość barbarzyńska zwrotów! I żadnej prawie śpiewności w wierszu! Śmiał się w sobie z nieudolnego autora: ze smutkiem przecie przyznawał, że jego samego na taki nawet nie stać było wiersz, by uczcić pamięć Sylwestra Drugiego...

Co więcej, właśnie wspomnienie o Sylwestrze Drugim o największy przyprawiało go smutek, gdy przewracając się z boku na bok, przemyślał noc całą nad rozmową z Matyldą i Rychezą. Te kobiety zdają się nie rozumieć, że gwałtem wpychają święty diadem cesarski na głowę słowiańskiego barbarzyńcy! Przecie Bolesław nie jest głupcem, by dwadzieścia lat rządzić cesarstwem w imieniu wnuka i ani przez chwilę nie pomyśleć, iż zanim ów dorośnie, on sam może zamienić swoje srebrne orły na złote! A właśnie tego nie chciał Sylwester Drugi — wyraźnie nie chciał — on, Aron, jest tego pewien. Oczywiście, obydwie kobiety mają słuszość: Aron, który przedostał się czasu wojny do Kordoby, przedostanie się też i do Polski! Ale niemiło mu tam jechać. Zobaczy tam wprawdzie Tymoteusza, o którym od tylu lat żadnej nie miał wiadomości. Lecz nagle wspomnienie o Tymoteuszu pogorszyło tylko jeszcze nastrój Arona. Wszak Tuskulańczyk też wyruszył do Polski, by przyprowadzić Bolesława do Rzymu. Nie przyprowadził. Więc zapewne i Aron nie

przyprowadzi. A przy tym on wcale nie chce go przyprowadzać, Tymoteusz zaś chciał. Wprawdzie Sylwester Drugi nie odkrył przed ulubieńcom tajemnic swej myśli o przeznaczeniach Imperium po śmierci Ottona, nie chciał jednak wcale ujrzeć diademu na skroniach Bolesława — na pewno nie chciał. Barbarzyńca nie umiejący podobno czytać nawet, niezdolny dwóch słów choćby rzecz po łacinie — miałżeby zostać Cezarem Augustem, współrządcą Piotra, którego moc z mądrości właśnie, z uczoneości płynie?! I on, Aron, miałby się do tego poniżenia majestatu stolicy dwoistej — cesarskiej i Piotrowej — przyczynić? Nigdy, przenigdy! A oto siostra i siostrzenica Ottona zmuszają go, by się przyczynił...

Nazajutrz wczesnym rankiem wezwano go do arcybiskupa Heryberta. Nie łudził się odnośnie celu wezwania: Herybert nie tylko jednej był myśli z obu księżniczkami, lecz nadto — czego Aron z dawna się domyślał — kierował od lat całym kształceniem Ryczezy, przepajał jej myśl umiłowaniem rzymskości i czcią dla dziedzictwa Ottonowego. Idąc do komnat arcybiskupa, Aron pomyślał, że może nawet sam zamiar wysłania go do Bolesława począł się w głowie nie młodziutkiej Ryczezy, ale byłego archilogotety, kanclerza Imperium zjednoczonego: wszak Herybert znał dobrze Patrycjusza, wszak towarzyszył Ottonowi w wyprawie do Gniezna, brał udział w najtajniejszych naradach między cesarzem a Bolesławem.

Nie zdziwił się wcale bezdomny, osierocony ulubieniec Gerberta Sylwestra, gdy metropolita koloński zaczął swoją doń przemowę od słów:

— Chwilowo nie mogę ci udzielić nadal gościny, musisz pojechać...

Zdziwił się dopiero wówczas — a radosne to było zdziwienie — gdy Herybert zakończył wstępne zdanie słowami:

— ...do Kordoby, skądś niedawno przybył.

Cały koszt dalekiej podróży arcybiskup brał na siebie. Okazało się, że już się porozumiał w tej sprawie z trzema bogatymi Żydami; jednemu z nich odstąpił młyn nad Renem, drugiemu lasek i winnicę, trzeciemu duże pastwisko wraz z bydłem i obowiązkiem wypasania

dla siedmiu rodzin przynależnych do włości kościoła Świętego Gereona.

— Chciałbym, ojcie Aronie, byś mi przyprowadził z Hiszpanii takich samych mistrzów w zarządzie winnicami i rękodzielcami, jak Leuterykowi do Sens. Odkąd ich ma u siebie, wzbogacił swe arcybiskupstwo pięciokrotnie. Osiemdziesiąt kolonów przeniósł z ziemi w mury miejskie: pod rozkazami tych, którychś wykupił, robią podobno istne cudowniki: stoły, stołki, łóża, lampy, kielichy, misy...

Na zakończenie zaś rozmowy Herybert dorzucił:

— A powiedz tym tam w Hiszpanii, ojcie Aronie, że jak do mnie przyjdą, inaczej im tu będzie niż u Leuteryka: ani głodu nie zazną, ani poniżenia...

Za trzecią swą bytnością w Kordobie Aron nie kwapił się do odnowienia starych znajomości i przyjaźni. Nie myślał już o nauce u mistrzów arabskich — unikał rozmów, co napawały go zwątpieniem i zgorszeniem — nawet Ibn al Faradiego odwiedził dwukrotnie tylko, a i to bawiąc obydwie razy nie dłużej niż przez niespełną godzinę. Przecież takie krótkie nawet odwiedziny nie pozostały bez śladu; szczególnie po drugiej swej bytności u uczonego Araba Aron opuszczał jego dom ze ściśniętym sercem, z pełną zamętą głową.

— Pamiętasz? — zagadnął go Abdallah Ibn al Faradi — mówiliśmy z sobą niegdyś o niezmierności wszechświata oraz o tym, że nasza ziemia, to tylko nędzny pyłek, umieszczony, jak niektórzy powiadają, na grzbiecie ryby olbrzymiej zatkniętej na rogu byka...

— Pamiętam — z niepokojem wyszeptał Aron.

— Więc słuchaj — również podnieconym szeptem rzekł Ibn al Faradi. — Jest taka nowa, tajna nauka, która twierdzi, że nasza ziemia wcale nie jest płaskim jak talerz okręgiem, tylko kulą...

— Kulą? — zawołał Aron i zaśmiał się. — Jakżeż się ona utrzymuje na grzbiecie ryby? Musiałaby się toczyć przecież przy każdym drgnieniu rybiego grzbietu i wszyscy byśmy dawno pospadali z ziemi...

— Wcale nie musi toczyć się, może tylko lekko się kołysać...

Aron długo nie mógł opanować śmiechu. Wesoło się śmiał, drwiąco. Ziemia kulą? I uczeni mężowie wierzą w takie bzdury?!

— Ja też nie powiadam, że wierzę — szeptał Ibn al Faradi — mówię ci tylko, że są tacy, którzy w to wierzą.. Zresztą za takie wierzenia do lochu sadzają i biją. W zeszłym miesiącu na śmierć zatłukli kupca żeglarza, który głośno na dziedzińcu meczetu przekonywał, że ziemia jest kulą. A chcesz wiedzieć, jak on próbował dowieść prawdy tych słów? Oto mówił, że choć morze jest gładkie zupełnie, to gdy z okrętu widzi się z daleka inny okręt na wodzie, to zrazu jeno szczyt masztu tylko widać... A gdy do brzegu się dopływa, to początkowo też szczyty same drzew widać...

Aron zaniepokoił się. Przypomniał sobie, że gdy jechał okrętem z Anglii wraz z arcybiskupem Alfrykiem i Etelnotem, uderzyło jego wzrok i myśl to samo: od brzegów Normandii płynął im naprzeciw inny okręt żaglowy; istotnie, zrazu wyłonił się tylko wierzchołek masztu — zdumiony Aron zapytywał arcybiskupa Alfryka, czemu tak się dzieje, skoro nie masz na wodzie wzgórków ni pochyłości żadnych. Arcybiskup odrzekł wówczas, że to demon mórz, Neptun, zabawia się nieprzystojnie z chrześcijanami, złośliwie mamiąc ich wzrok magicznymi sztukami.

W nocy po odwiedzinach u Ibn al Faradiego przyśniła się Aronowi Teodora Stefania. Daleko przed siebie wyrzuciła pełne, białe ramiona, w obu zaciśniętych pięściach coś trzymała.

— Zgadnij, co tu mam? — pytała uśmiechając się do Arona przyjaźnie, prawie przymilnie.

— Pomarańczę — odpowiedział wskazując na jej prawą rękę. — A po skórcie mrówki biegają. Widzę, jak wypełzają ci spomiędzy palców.

— Zaśmiała się. — To nie mrówki, to ludzie, całe ich gromady, całe wojska na bój spieszące.

— Ludzie na pomarańczy?

— To nie pomarańcza, to kula ziemską. — A co w drugiej? — Dopomogę ci: coś cenniejszego niż cała kula i niż wszystkie ruchy gromad wojowniczych po jej skórcie.

— Aron uśmiechnął się. Oczywiście, zgadnie: nie na próżno tylu rzeczy nauczył się od papieża Sylwestra. — Dusza — powiedział. Spojrzała na niego z zachwytem.

— Zgadłeś. Ale powiedz: czyja dusza?

— Ottona. — Znowu się zaśmiała. — Tymoteusza? — Zaśmiała się jeszcze głośniej, jeszcze weselej. — Moja? — krzyknął w strachu i obudził się, cały obłany potem.

Postanowił, że już więcej nie pójdzie do Ibn al Faradiego. Jak za poprzedniej bytności, gorączkowo rzucił się w wir zabiegów o wykupno niewolników. Tym razem jednak nie szło mu łatwo. Muchtasib, zaprzyjaźniony z nim, znikł; nowy nie chciał nawet rozmawiać z niewiernym; za pośrednictwem Żydów zawiadomił Arona, że postara się o rozkaz wydalenia nieproszonego przybysza poza granice kalifatu. Aron dostrzegł wiele innych jeszcze zmian; mijając meczety, których piękno i wspaniałość na długie często godziny przykuwały ku sobie jego wzrok, widział niejednego ze swoich dawnych znajomych — ongiś rozmiłowanych w kpinach ze swej wiary i jej obrzędów — dziś spieszących w uroczystym stroju, z powagą nabożną na twarzach, by wziąć udział w codziennej lub świątecznej wieczornej modlitwie. Aron nie mógł się mylić: nie podążali do meczetów na wykłady; doszły go bowiem wieści, że mistrzom, nawet gramatyki, nie tylko logiki i matematyki, z tygodnia na tydzień coraz surowiej zakazywano publicznego wykładania.

Samotność coraz to większa pozostawiała wiele wolnego czasu, który Aron poświęcał nie tyle rozmyślaniom, ile przyglądaniu się urokom kraju i miasta. W towarzystwie przewodników żydowskich zwiedzał wszystkie dzielnice, wszystkie zaułki Kordoby, zdumiewając się wspaniałością i ogromem stolicy kalifów. Nie chciał wierzyć, gdy mu mówiono, że pięćset tysięcy ludzi zamieszkuje tu trzynaście tysięcy domów — ale nie mógł nie przyznać milcząco, że Rzym ze wszystkimi swymi wspaniałościami, gdyby przeniesiony został jakąś sztuką magiczną tutaj, mógłby być najwyżej dwudziestym dziewiątym przedmieściem Kordoby, i to wcale nie najwspanialszym, nie największym, a na pewno brudniejszym i uboższym niż prawie

wszystkie inne przedmieścia. Przypomniat sobie, że mniszka saksońska, Groswita, uczona poetka i żarliwa słuźebnica Chrystusowa, pisząc kiedyś o Kordobie nazywała ją „diamentem świata”. Wzrok Arona upajały kształty i barwy świątyn i pałaców, przepych ogrodów, bogactwo rojnych rynków, zwierciadlaność wody w rzece i perlisko jej w fontannach niezliczonych. Portyki oszołamiały pięknem marmurów, bladorożowych, bladozielonych, błękitnych lub czarnych. Przypominały mu się słowa jednego z malarzy, którzy pod jego kierownictwem zdobili tkaninę szat Ottonowych wedle pouczeń greckiej księgi; słowa te brzmiały: „Barwy są jak ludzie: bywają mocne i łagodne”. Przebiegając ulice Kordoby lub jej okolice Aron niejednemu raz pomyślał, że Mądrość Przedwieczna w Hiszpanii ten sam raczyła namalować obraz co w Italii, tylko tu użyła mocnej barwy, a tam łagodnej. Istotnie, niebow w Hiszpanii mocniejszy miało błękit niż niebo nad Rzymem, Arecją lub Rawenną; mocniejsza tu była zieleń gajów oliwnych, winnic i łąk; mocniejsza żółtość i pomarańczowość owoców szlachetnych; mocniejsza różowość i białość kwiecia, mocniejsza połyskliwość wody, czarność oczu i włosów, śniadość twarzy, szarość cieniów, złocistość zielonkawa księżycy, srebrzystość gwiazd, rudość ognista słońca. Ale nie tylko barwy i blaski były tu mocniejsze niż w Italii: także dźwięki i zapachy. Arona przerażało i bolało, że tyle wspaniałości i piękna stało się udziałem niewiernych bluźnierców; uspokoiła go dopiero myśl, że ponieważ wedle słów Sylwestra Drugiego za wszystko trzeba płacić, chrześcijanie muszą w zamian za dar wiary prawdziwej oraz łaskę chrztu i zbawienia płacić wyrzeczeniem się tych skarbów przedziwnych przyrody i sztuki. Ale czuł, że za trzecim razem z większym stokrotnie żalem będzie opuszczał tę krainę niż dwakroć uprzednio. Zaczęło go nawiedzać pragnienie pozostania tu na zawsze: zrazu odpychał je od siebie łatwo z oburzeniem i zgrozą, potem coraz trudniej, coraz słabiej. „Co mnie tam czeka? — myślał smętnie — tułaczka nie kończąca się od klasztoru do klasztoru, od dworu do dworu, chleb łaskawy, chleb jakże często gorzki książąt, biskupów, opatów, coraz krzywiej i podejrzliwiej patrzących na

mnicha-włóczęgę, co był kiedyś ulubieńcom Sylwestra Gerberta, mistrza nauk tajemnych”.

Pragnienie przekształciło się w postanowienie, a to po pewnym dniu, gdy miał naraz dwoje odwiedzin. Rano rozmawiał z eunuchem, niegdyś zarządcą zaufanym posiadacza czterdziestu dwu okrętów, od niedawna zaś nędzarzem, prawie żebrakiem. Aron gorąco namawiał go do opuszczenia kalifatu, obiecywał zgodnie z zaleceniami Heryberta zarząd wielką przystanią rzeczną na Renie. — Żydzi przywieźli mi wiadomość od brata, któregoś wykupił — uśmiechnął się wzgardliwie eunuch — błaga mnie, bym nie dał się takim jak ty namówić, bo wpadnę w taką jak on straszliwą niewolę. — Wolność ci niosę, nie niewolę! — wykrzyknął Aron podniecony, oburzony. Eunuch długo, bacznie mu się przyglądał. — Znam się nie tylko na okrętach, ale też na duszach ludzkich — odrzekł wolno, skandując każde słowo — opowiadano mi też wiele o tobie. Nie pobłędzę, jeśli powiem, że ani tobie, ani temu, który cię tu przysłał, a dziś już nie żyje, nie dane było wiedzieć, co nam przynosicie.

Wieczorem odwiedził Arona stary prezbiter, zaufany biskupa chrześcijańskiego Kordoby. Długo opowiadał o poniżeniach, jakich doznają sługi Chrystusowe pod władzą Półksiężycy, o podatkach olbrzymich, co odrywają od ust każdą niemal łyżkę strawy, o trudnym, niemal więziennym życiu poza murami kościołów, istnymi murami domów dla trędowatych. Całą jego opowieść można było przełożyć na jedno, jedyne zdanie: „Kraina to pełna dziwów przyrody, sztuki i mądrości — ale nie dla nas te dziwy: dla nas tu jeno powinność nędzy a prawo do łez”. Zakończył zaś swą opowieść nieoczekiwanymi słowami, poprzez które istotnie łyzy się przedzierały: — Pozostań z nami, bracie. Ten, który mnie przysłał, wiele wie o tobie i o tym, który ciebie przysłał, a który już nie żyje. Będziesz lampą, wspaniale oświecającą mroki domu trędowatych, co przecież zawsze jest domem Prawdy i Zbawienia.

Aron też uczuł łyzy w oczach swych i gardle. Postanowił: — Zostanę.

Ale nazajutrz znowu miał gościa. Rozmowa zaś z nim nie mogła

nie zachwiać postanowienia Arona.

Niezwykły to był gość. Miał na sobie krótki, obcisły strój wojownika, okryty powłóczystą lśniąca tkaniną, spływającą na kształt wąskiej opończy od naramienników szczerosrebrnej kolczugi aż do zdobiących spiczaste trzewiki równie szczerosrebrnych ostróg. Rubiny i ametysty zdobiły szczerozłotą rękojeść zakrzywionego, krótkiego miecza, zatkniętego za wielobarwny pas. Z twarzy wydał się Aronowi podobny nieco do Bolesława Lamberta — jasnoszare oczy i złotawe brwi dziwnie odbijały od ogorzalej na brąz cery. Złotawe też włosy wynurzały się tu i ówdzie spod ozdobionego ametystowym półksiężycem zawoju, barwy mocno purpurowej — tej samej barwy, w jaką wymalowana była szeroka i długa, aż na pierś spadająca broda.

— Nazywam się Khairan — rzekł przybysz.

Aron drgnął.

Dobrze mu znane było imię wodza najemnych drużyn, co od dziesięcioleci siejąc postrach wśród chrześcijańskich wrogów kalifatu, od lat kilku były postrachem także i Arabów samych, którym służyły. Przecież poprzedniego właśnie wieczoru opowiadał Aronowi prezbiter chrześcijański, że wojownicy Khairana zamordowali niedawno potężnego dostojnika, Wadhiba. Kiedyś zaś od Żydów posłyszał Aron przerażającą opowieść o mordzie okrutnym, dokonany przed dwoma laty na kalifie Mohammedzie al Mahdim, tym samym, który ongiś ukrzyżować kazał pozbawione głowy ciało Abd-er-Rahmana Sanczola. I to właśnie Khairan — ten oto Khairan — tą samą ręką, którą dotyka teraz powitalnie ust swoich i czoła — tym samym może krzywym mieczem, który zatknięty ma za wielobarwnym pasem — osobiście mordował kalifa Mahdiego wraz z innym wodzem najemników, Anbarem.

— Czego chce ode mnie ten krwawy okrutny morderca? — z zamierającym sercem zapytywał siebie Aron, nie mogąc oderwać znieruchomiałych w trwodze oczu od niesamowitej purpury brody, ponad którą grubawe, wcale nie arabskie wargi układały się w łagodny, prawie przyjazny uśmiech.

Khairan zaś ciągnął dalej:

— Nie zawsze tak się nazywałem. Alem zapomniał, jak nazywała mnie matka, gdy mi ostrzyżono uroczyście w dzieciństwie włosy. Może wołała na mnie Mściwoj, może Sobiebor, może Bolesław, może Włodzimierz.

Mówił po grecku, wolno, z wyraźnym wysiłkiem, raz po raz wplatając arabskie słowa. Opowiedział, że w jakieś kilka lat po postrzyżynach sprzedano go komuś w Przemyślu — potem komuś innemu w Kijowie i jeszcze komuś w Chersonie. Wiele lat wiosłował, do łańcucha przykuty, na galerze greckiej, potem egipskiej — wreszcie na którymś z licznych okrętów jakiegoś kupca z Murcji. Był bardzo silny, okazał się w czasie jakiejś bitwy morskiej odważny i zręczny — sprzedano go do wojska. Wojował długie lata, przeważnie przeciw książętom chrześcijańskim Kastylii — długo brał baty od dziesiętnika — potem sam je dawał jako dziesiętnik — potem stał się setnikiem, potem dowodził całym oddziałem konnicy, pięcioma oddziałami, dziesięcioma, dziś dowodzi potężnym, wielotysięcznym wojskiem.

— Wezyr, a i sam kalif Hiszam, biedaczyna lękliwy, to igraszka dziś w moim i Anbara ręku.

Aron niepewnym głosem zapytał, co sprowadza do niego tak dostojnego gościa. Przez chwile mniemał, że muchtasib wykonał swoją groźbę: nieproszony przybysz z krajów chrześcijańskich zostanie przemocą wypędzony z kalifatu, a może nawet wtrącony do więzienia. Zastanawiało Arona jedynie, dlaczego aż tak wysokiemu dostojnikowi wojskowemu zlecono czynność, która by przystała raczej naczelnikowi dzielnicowemu straży miejskiej? A może ów Khairan jest tak gorliwy w wierze, jaką wyznaje, iż sprawia mu radość pobożną własnoręczne mordowanie chrześcijan?

Spodziewał się więc wygnania, więzienia, pobicia, tortur, śmierci nawet. Ale nie tego, by Khairan go zapytał uprzejmie, przymilnie, prawie błagalnie: — Czy mógłbyś wyprowadzić mnie poza granice kalifatu wraz z niewolnikami, których wykupujesz? Może niezadługo będę potrzebował tej twojej pomocy. Sowiec ci zapłacę.

Aron nie wierzył własnym uszom. Czy Khairan kpi z niego? Szydzi z celu pobożnego, który przyprowadził chrześcijańskiego kapłana z tak dalekich krain aż do Kordoby? A może bada go podstępnie: uzyskawszy zgodę, oskarży Arona przed muchtasibem o oszustwo, o żądzę bogacenia się pod pozorem wywożenia wykupionych niewolników?

— Trudno mi uwierzyć, by pomocy mojej potrzebował tak potężny wódz, który przed chwilą raczył rzecz dumnie, że sam kalif jest igraszka w jego ręku — powiedział Aron siląc się na uśmiech. Khairan również uśmiechnął się.

— Porozmawiajmy ze sobą tak, jak zawsze przystoi mężom rozsądnym i wiele wiedzącym — rzekł ze spokojem chłodnej rozwagi. — Istotnie, dziś jestem potężnym wodzem, a kalif, władca wiernych, to igraszka w moim ręku. Ale co będzie jutro? za tydzień? za miesiąc? Allah to wie, lecz w żyłach moich płynie krew nie jego czcicieli; nie chcę więc, nie potrafię czekać bezwolnie, aż stanie się to, o czym Allah wie, że musi się stać. Chcę mu dopomóc. Wiesz zapewne, że dwie wielkie gromady wojowników najemnych służą od wieku blisko władcom wiernych: my, których zowią Słowianami nie nadto słusznie, bo są w naszej drużynie i Frankowie, i Pieczyngowie, i Mężowie Północy — oraz druga drużyna, równie potężna: Berberowie. Od wieku też blisko waśnią się ze sobą te dwie drużyny, a od lat kilkunastu otwarta wre walka. Jeszcze tydzień temu Allah jeden wiedział, jak walka ta się skończy — ale dziś ja wiem tyle co Allah, a stokroć więcej niż wszyscy moi towarzysze, nawet niż Anbar i Ibn abi Wada: jesteśmy pobici, za miesiąc, dwa, Berberzy wejdą do Kordoby — takie straszliwe tu się będą działy rzeczy, że czyny wojowników Jozuego Nawina w miastach chananejskich okażą się igraszka dziecinna. Nie bałem się nigdy śmierci, ale nie chcę, by Habbus czy Hobasa, czy też jaki inny wódz Berberów upajał się widokiem mojej głowy na włócznię nadzianej... Świat jest szeroki; wielu na nim królów i książąt, mężnego i roztropnego wodza potrzebujących; służyłem kalifom, posłużę komu innemu. Jest podobno jakiś Bolesław, książę potężny, Słowianin jak i ja. Poszukam

go, ofiaruję mu siebie. Powiadają, że on z Frankami walczy: niepopłatna to walka — jakąż to zdobycz można na Frankach uskubać? Istni nędzarze! Trochę krów i świń — zbroje lichy wyrobione — gnieźdzą się w kurnych szopach drewnianych, które w pysze prostackiej zamkami rycerskimi zowią! Ale niech jeno ja zawędruję do Bolesława — tak mu drużynę przysposobię, że na Wolin bogaty będziemy mogli pójść, na Nowogród daleki, od Wolina jeszcze bogatszy, a może i na sam Kijów, najbogatszy z bogatych: toż to łupu będzie! Tylko ty mi dopomóż, kapłanie chrześcijański, bym się z tobą na czas z granic kalifatu zabrał. A spieszyć się trzeba — najwyższy czas! Usłuchaj mojej rady, nie zwlekaj!

Arona już nawet nie zdumiewała wiedza ogromna, jaka przebijała ze słów wodza najemników, gdy o bogatych miastach słowiańskich mówił: tu, w Hiszpanii, Półksiężycu władzy poddanej, o każdym chyba zakątku świata lepiej, dokładniej, zdaje się, wszystko wiedzą niż sami zakątki tego mieszkańcy! Zapragnął natomiast gorąco odpowiedzieć surowo Khairanowi, że Bolesław z Frankami, a raczej z Sasami nie o łup walczy, jeno o spełnienie marzeń Ottonowych, o chwałę i potęgę Imperium Rzymskiego! Po namyśle jednak poniechał: nie zrozumie Khairan, co to jest szlachetne dziedzictwo Ottonowe! Spokojnie więc odrzekł to tylko, że poprosi znanych sobie Żydów, by przeprowadzili wodza najemników słowiańskich przez granicę kalifatu — sam bowiem nie wyjedzie: pozostanie w krainie władzy Półksiężycu poddanej — pozostanie na zawsze wśród uciskanych srodze braci swoich w Chrystusie.

Khairan nazwał go szaleńcem. Pozostanie wśród braci w Chrystusie? Ależ nikt tak straszliwie nie ucierpi od zwycięstwa Berberów jak właśnie chrześcijanie! Namiętnie, żarliwie a prostacko, barbarzyńsko czczą Berberzy Allacha i proroka jego, Mahometa — miłują się w mordzie wszelakim, ale w mordzie niewiernych nade wszystko! A już dlatego chociażby, że wśród przeciwników ich, drużynników Khairana i Anbara, sporo jest chrześcijan, utajonych, a nawet jawnych — nie przepuszczą żadnemu kapłanowi, żadnemu mnichowi chrześcijańskiemu. Niechże więc zmyka przybysz z krainy

Franków — niech co prędzej zmyka, póki czas! A jego, Khairana, niech weźmie ze sobą. Z Żydami w każdym razie Khairan nie pójdzie, nie może pójść. Z dawna nienawidzą drużyn słowiańskimi zwanych, bo co tu ukrywać: ludzie Khairana i Anbara nie raz i nie dwa na mieniu, zdrowiu i życiu Żydów użyli sobie, co się zowie. Żydzi sprzyjają Berberom — gdy będą mieli Khairana wśród siebie, z radością go wydadzą w ręce Habbusa.

— A u was tam, w krainach Franków, zabijają Żydów? — zapytał nagle z nieoczekiwanym niepokojem.

— Biskupi i opaci bronią Żydów, ale nie zawsze obronią: często więc ich tłum miejski zabija, szczególnie gdy zaraza się szerzy lub posucha — z westchnieniem odpowiedział Aron.

— A więc koniecznie musisz wziąć mnie ze sobą. Musisz wyjaśnić Frankom, kim jestem; bronić mnie. Przecież jeśli sam wyruszę między Franków, mogą mnie zabić mniemając, że Żyd. Bo i jakże przekonam waszych, iż jest inaczej. Wszak, gdym wiarę Mahometa przyjmował, znak przymierza Abrahama z Bogiem dostałem, niezmażalny znak...

Urwał Khairan. Zjeżył się, wzdrygnął.

— Najgłupsza to, najpodlejsza rzecz, zostać zabitym przez pomyłkę — dorzucił po chwili przerywanym głosem.

Aron współczującym tonem, ale ze stanowczością powtórzył, że choć bardzo chciałby pomóc pobratymcowi Bolesława Patrycjusza, niestety nie może, bo zostaje. Zostaje z braćmi w wierze, choćby z ręki Berberów tortury mu groziły i śmierć.

Lecz gdy Khairan odszedł ze zwieszoną boleśnie głową — Aron nie był już pewien, że zostanie.

Nie został. Opuścił Kordobę w straszliwy dzień mordów, tak dokładnie przewidziany, tak proroczo opisany przez Khairana.

Aron byłby także zginął, jak zginęły tysiące, jak zginął Abdallah Ibn al Faradi. Ale ocalili go Żydzi. Khairan nie mylił się. Żydzi istotnie sprzyjali Berberom. Berberzy zaś w podziękę rabowali ich tylko, nie mordowali. Dwaj Żydzi odszukali Arona w domu Ibn al Faradiego — wyprowadzili go wśród krzyku nieludzkiego gwałconych i zabijanych

żon uczonego Araba — wiedli między stosami trupów — każdemu napotkanemu Berberowi tłumaczyli z uśmiechem wtajemniczenia, że wiodą niemowę, siostrzeńca samego Ibn Nagrelli, wielkiego mędrca w Izraelu — uśmiech wspierali garścią szmaragdów lub złotym denarem. Gdy szczęśliwie przepłynęli Gwadalkwiwir i ukryli się bezpiecznie w gaju pomarańczowym — Aron począł gorąco, wylewnie dziękować za ocalenie. Starszy z dwu Żydów przerwał mu spokojnie, zimno, prawie oschle. — Nie potrzebujesz dziękować — rzekł. — Nam niceś nie winien za twe życie. Szwagier mojej ciotki dostał od jakiegoś waszego biskupa pastwisko pod Kolonią za to, ażebym ja tu, w Kordobie, czuwał nad twoją głową. Nie mnie więc dziękuj, swemu biskupowi.

Do Kolonii powracał Aron zupełnie samotny. Spodziewał się wyrzutów, może nawet wybuchów gniewu ze strony zawiedzionego Heryberta, któremu nie przyprowadził żadnego zarządcy winnic ni rękodzieł, żadnego nawet robotnika. Arcybiskup koloński wypędzi go zapewne ze swego dworu — ale Aron i tym się też zbytnio nie martwił. Powziął w drodze przez Francję królewską mocne postanowienie powrotu do Rzymu; poprosi o gościnę biskupa Jana Teofilakta: kto jak kto, ale ten ulubieniec Mądrości chyba nie wyparł się pamięci Gerberta Sylwestra, tak jak Francuzi i Lotaryńczycy, jak Ingon, Leuteryk, nawet Fulbert, uczeń ulubiony.

A jeżeli Jan Teofilaktos nie zdoła osłonić Arona tarczą bezpieczeństwa i beztroski, jeżeli syn Teodory Stefanii i nowy papież, Krescencjuszów, jak i poprzedni, narzędzie bezwolne, zaczną prześladować ulubieńca Sylwestra Drugiego, niechże i tak się stanie: za wszystko trzeba płacić, więc i za przyjaźń prawdziwie ojcowską Sylwestra trzeba płacić cierpieniem; nie wolno uchylać się od tej zapłaty, nie wolno.

Gdy z dala zarysowywać się poczęły wieże Kolonii, Aron po raz ostatni wypowiedział sobie z myśli, które przekazywał mu w hojnym dziedzictwie zamordowany okrutnie przez Berberów Abdallah Ibn al Faradi. Najboleśniejsza z tych myśli krążyła nieustannie wokół słów Pisma, wokół dwudziestego dziewiątego i trzydziestego wiersza

dwudziestego piątego rozdziału Ewangelii Mateusza. — Więc sam wasz Jezus, prorok wielki Jedynego Boga, tak powiada — zakończył Ibn al Faradi swe wywody o konieczności niewolnictwa. — Błędzisz — z żarem zawołał wówczas Aron. — Jezus, Bóg i Zbawiciel, przypowieściami mówił, alegorii raz po raz używając, i to także alegoria, iż temu, kto ma, więcej jeszcze będzie dane; nie mającemu zaś także i to, co ma, będzie odjęte. O posiadaniu cnoty tam mowa i o nagrodzie pośmiertnej za cnoty, nie o sprawach społeczności ziemskiej!

Ibn al Faradi wzruszał ramionami, uśmiechał się spokojnie i wyniośle, choć poprzez zasłonięte seledynową tkaniną okno dochodził już coraz to bliżej odgłos złowrogiego tętentu. Berberzy wjeżdżali do opuszczonej przez drużyny Khairana Kordoby, zaraz rozpocznie się rzeź! Oto już się rozpoczyna: do uszu Ibn al Faradiego i Arona dochodzi okropny krzyk kobiecy, potem męski, starczy... znowu kobiecy... i płacz dziecka, i znów kobiecy krzyk...

Ibn al Faradi twierdził, że aby jedni mogli budować piękne pałace, pisać piękne wiersze, zagłębiać się w tajniki matematyki, logiki i astronomii — inni muszą pracować na roli, w warsztacie, w kopalni, by tamci mieli co jeść, w co się odziać — muszą pracować, choćby nie chcieli: niewolnictwo więc jest konieczne. — Inaczej wszyscy byśmy żyli dziś jak zwierzęta, w jaskiniach, nadzy i ciemni.

— A jeżeli właśnie ten, kogo zmuszają do niewolnej pracy na polu lub w kopalni, uzyskał od Mądrości Przedwiecznej dar wspaniały a tajemniczy, co by na wolności uczynił zeń mistrza nad mistrzami w poezji, w matematyce, w filozofii? — ze łzami w oczach, z głuchym bólem w sercu zapytał Aron.

— To dar ów taką wykrzesze z niego moc, że rozkuje łańcuch niewoli i wzniesie między najdostojniejszych. Mówiłeś o Khairanie: czyż nie był niewolnikiem do galery przykutym? Dziś jest wodzem potężnym.

— A iluż Khairanów dalej wiosłuje, aż zemrą w łańcuchu? Psią zemrą śmiercią?... Drwisz ze mnie, a oto przecieżem po to tu przybył, by takich jak Khairan odkuć z łańcucha... Rzekłem ci kiedyś: moc

gromady mojej, moc Kościoła Piotrowego płynie z mądrości, a miłości i dobroci służy... Lecz jak Syn wyszedł przedwiecznie z łona Ojca, by do Ojca po ofierze miłości wrócić, tak i moc gromady Piotrowej poprzez dobroć i miłość z powrotem ku mądrości płynie falą stokroć bardziej niż poprzednio wezbraną... Wykupuję niewolników, by od łańcucha odkuci, grzbiety prostując i łokcie, władni byli myślą wyzwoloną pracować, krzesząc z niej skarby mistrzostwa w sztukach wszelakich.

— A do mnie dochodziły wieści, że ci, którycheś wykupił, stokroć ciężiej na ziemiach biskupów i klasztorów, grzbietem i ramieniem, nie myślą, pracują, niż tu jako niewolnicy pracowali... Lecz właśnie tak ma być. Gdyby bowiem nikt ciężko grzbietem i ramieniem na biskupa i opata w polu nie pracował, skądby wziął biskup czy opat odzież, jadło i kąć mieszkalny dla tych, co ciebie, Aronie, gramatyki, retoryki i logiki uczyli? Czyś pomyślał kiedy o tym, ile rąk niewolnych pracowało na to, byś był dziś taki uczony, jaki jesteś? Ale pozwól, że cię opuszczę. Tu jacyś Żydzi do ciebie przyszli. Ja zaś muszę pójść do haremu — mam czterdzieści cztery żony, ale tylko osiem z nich naprawdę miłuję. Te osiem zabiję własną ręką: nie chcę, by nim umrały otwierały swe ciała miłości Berberów.

Wówczas to przed oczyma Arona po raz pierwszy rozwarły się podwoje tajemnicze haremu. Po raz pierwszy widział gromadę tylu naraz pięknych kobiet — kobiet, które miały umrzeć za chwilę i wiedziały, że umrą. Widział, jak umierały: poznał tajemnicę zwierzęcości ciał zarzniętych i jeszcze potężniejszej zwierzęcości ciał, co wysilają się, by choć na okamgnienie oddalić chwilę zarznięcia. Aron błagał swych zbawców Żydów, by wraz z nim uratowali Ibn al Faradięgo. Obaj przecząco potrząsnęli głowami. — O twoje tylko troszczymy się życie — rzekł jeden. — Całe miasto wie, kim on jest, nie uwierzą Berberzy, że to jeden z naszych — dodał drugi. — Ibn al Faradi nie naśladował Rzymian: zabiwszy osiem umiłowanych żon nie zabił siebie. Lecz zabijany przez Berberów nie całował krwawych rąk, nie czołgał się u depczących piersi kobiece stóp, nie skamlał o życie: ziemia mogła być kulą, choć prorok Mahomet pouczał inaczej; ale

Kismet nieuchronny pozostawał sobą na kulistej nawet ziemi.

Wchodząc do Kolonii przez bramę zachodnią, Aron uświadomił sobie, że Rycheza, być może, wciąż jeszcze spodziewa się jego powrotu przez wschodnią raczej bramę. Opuszczając przed rokiem dom arcybiskupi, nie pożegnał się ani z siostrą Ottona ani z siostrzenicą. Bał się, że pogniewają się na niego — że namówią Heryberta, żeby zmienił zamiar, aby do Polski, nie do Hiszpanii wysłał bezdomnego mnicha. Aron po prostu uciekł wówczas przed rozkochanymi w krwi Bolesławowej kobietami. Uciekł tchórzliwie, byle tylko nie jechać do Polski.

A jednak pojechał do Polski. Nie jako mnich bezdomny, jako dostojny, czcigodny, przewielebny Pan Opat.

Władzy jego poddano tysiące dusz słowiańskich, ciemnych dusz, które utwierdzać miał w wierze nowej, obcej, niezrozumiałej. Ale nie tylko dusze ludzkie mu poddano. Także lasy rozległe, łąki i pola orne — splawy drzewne — barcie miodonośne — dziesiątki krów i świń — setki zwierząt leśnych, które zabijać dlań mieli łowcy wytrawni — i setki też grzbietów kobiecych i męskich, co zginać się winny były w pracy niewolnej, na niego, Arona, pracując. Bacznym okiem miał śledzić, które z grzbietów najmocniejsze się okażą, najzwinniejsze. Te miał wydzielić spośród pozostałych — okryć skórą niedźwiedzią ładnie wyprawioną, strojem wojownika książęcego. Wraz z każdą skórą miał wręczyć maczugę, łuk, strzał pół setki, a wyborowemu wojownikowi — oszczep i tarczę; wyborowemu spośród wyborowych sam książę już da szyszak kolczasty, łańcuch z kulek bursztynu, niejednemu i kolczugę z Sasa zabitego zdartą.

Ofiarowano mu też władzę karania śmiercią tych, co chrzest przyjąwszy, obrzędy pogańskie potajemnie odprawiają. Na każde jego zawołanie przybyłby do Tyńca z Krakowa setnik książęcy — każdego, na kogo by wskazał palec Opata, iż do obmierzłych obrzędów pogańskich wraca — szybko by, sprawnie na pal nawleczono. Najczęściej dziewczęta na odprawianiu obrzędów bezbożnych przyłapywano. Było wprawdzie jakieś prawo zakazujące karania dziewczę śmiercią — ale przecież Unger poznański, ten sam, o którym

Sylwester Drugi z grymasem niesmaku mawiał: „ów rzeźnik”, dawno już prawie dał się przekonać Bezprymowi, Bolesława synowi pierwородnemu, że kara śmierci nigdy dziewczyn nietkniętych nie dosięgnie. — Przecież nim umrze, pał będzie jej mężem — z żarem tłumaczył Bezprym zacierając sękatę rękę.

Lecz Aron z ręcznie odchylił od siebie prawo i obowiązek wydawania wyroków śmierci.

— Książęca to rzecz, nie mnisza — wyjaśniał cytując wymownie pisma Ojców.

A i inne też prawa i obowiązki, jakie nań nakłada dostojna godność opata najbogatszego w Polsce klasztoru — nie nęciły wcale ulubieńca Sylwestra Drugiego.

Długo odmawiał przyjęcia zaszczytu, o jakim nie marzył, jakiego nie pragnął. Wreszcie jednak uległ. Namowom Heryberta i Ryczezy oparłby się — nie ulękłby się niełaski ich i gniewu. Ale nie umiał się oprzeć naleganiom gorącym Tymoteusza, przyjaciela tyloletniego.

Tymoteusz przybył do Kolonii na miesiąc przed powrotem Arona z ostatniej podróży do Kordoby. Aron miał łzy w oczach przy powitaniu — Tymoteusz uśmiechał się niby wyniośle, ale naprawdę po to tylko, by pokryć wzruszenie.

— Niceś się nie zmienił przez wszystkie te lata, wielebny ojciec Aronie — mówił trzymając przyjaciela za ramiona.

— Tyś za to ogromnie się zmienił. Przewielebny Panie Biskupie — wyszeptał Aron, chciwie wpijając się oczyma w czerstwą, pełną, prawie otyłą, a przecież jeszcze bardziej urodziwą niż dawniej twarz, okoloną nie kudłami aż na ramiona spadającymi, tylko krótką, złotawą szczecina włosów z wystrzyżoną pośrodku tonsurą. — Takiś podobny teraz do stryja, Jana Teofilakta. I pomyśleć, że obaj dziś jesteście biskupami.

— Dawnoś nie był wśród chrześcijan, ojciec Aronie — uśmiechnął się Tymoteusz, biskup poznański — alboś się sprawami Kościoła Piotrowego przestał wcale zajmować. Nie masz już biskupa Jana Teofilakta, jest Ojciec Najświętszy, Benedykt Ósmy. Przyszła godzina zapłaty za poníženie Ottona Przedziwnego i Sylwestra Najmędrszego:

kamień na kamieniu nie pozostał z żadnego zamku Krescencjuszów — syn Teodory Stefanii, Patrycjusz błazeński, powędrował choróbskiem paskudnym tknięty do piekieł między dziadów i ojców, resztę zaś rodzinki daleko precz z Rzymu i okolic wygnał stryjaszek papież! Aron bezwładnie opadł na ławę.

— Jan Teofilaktos papieżem? — ledwie zdołał wyrzucić z siebie, tak mu ścisnęło się serce zdumieniem bezgranicznym a radosnym. Zdumieniem i nadzieją. Wróci więc do Rzymu! Ów, co przyszedł w nocy, by stanąć przy Sylwestrze osamotnionym w dniach największego ponizenia, nie odepchnie od siebie ulubieńca Sylwestrowego w dniach chwały swej i potęgi!

Ale szybko rozwiały się pełne radości nadzieje.

— Stryjaszek i ja zmieniliśmy się wielce, ale Miasto do ciebie jest podobne, ojcie Aronie, nie zmienia się. Po dawnemu wypędza każdego dostojnego namiestnika Piotrowego. Stryjaszka też wypędzili Rzymianie. Lecz nie martwię się, wróci! Jak Grzegorz Piąty, wróci. Tacy zawsze wracają.

Zapadła chwila milczenia. Tymoteusz zaczął się przechadzać, szeleszcząc strojną, powłóczystą szatą biskupią. Aron ścigał go spojrzeniem wciąż pełnym bezgranicznego zdumienia, ale też i radosnego podziwu.

W pewnej jednak chwili opuścił oczy ku posadzce.

— A co się dzieje z nią?

— Z kim?

— Z Teodorą Stefanią — wyszeptał, z trudem łowiąc oddech.

Tymoteusz uśmiechnął się pobłaźliwie, nie złośliwie jednak.

— Znaleźli się gorliwcy, którzy doradzali stryjowi — rzekł niedbale — aby kazał udusić ją gdzieś w lochu. Ojciec Najświętszy odmówił. „Bez męża i synalka niczym nie może już być groźna ta starzejąca się kobieta — odparł mądrości pełen i miłosierdzia. — Niech żyje, niech zażywa spokoju i wolności”. My Tuskulańczycy, ojcie Aronie, nie lubujemy się w okrucieństwach. Poprzednik mój, Niemiec Unger, każdą dziewczynę, którą przyłapano na rzucaniu wianków do Warty, zaraz na pal kazał wsadzać. Ja zaś takiej dziewczynie na rok do lasu

każę iść. Nie poźrą jej wilki, nie zemrze z głodu, to niechże wraca spokojnie po roku do zagrody rodzicielskiej; jeszcze zabiegam, by jakiś wojownik książęcy, co pobożniejszy, za żonę ją sobie wziął. Już on ją oduczy lubowania się w obrzędach pogańskich. Aron westchnął.

— Jakże ci nie zazdrościć, Tymoteuszu? Spełniły się twoje marzenia, takie, zdawałoby się, nieziszczalne. Mocą pomazania biskupiego walczysz z demonami Słowiańszczyzny!

Tymoteusz przeciągnął się. Potarł dwukrotnie pulchnym policzkiem o lewe ramię.

— A tak. Wszystko się spełniło. Więcej nawet, niżem wymarzył sobie.

Z głośnym szelestem szaty zbliżył się pospiesznie do Arona. Złotym krzyżem biskupim otarł się prawie o ubogą, mniszą suknię.

— Pamiętasz — zawołał — jak Ekkehard drwił, że Słowianie na patyku jeżdżą mniemając, że na koniu? Gdym stanął przed Bolesławem, zarazem mu to wygarnął. A on zmrużył kpiąco a wesoło zimne, jasne oczy i powiada:

„Jakże więc chcesz, bym z tobą aż do Rzymu na patyku posrebrzonym zajechał? Poczekaj, pozostań ze mną, ciężkim już, nieruchawy: pomożesz mi, Rzymianinie, na konia się przesiąść. Wówczas pojedziemy”.

— I pojedziecie?

Dumną, niezachwianą pewnością zabrzmiał głos Tymoteusza, gdy odparł:

— Pojedziemy. Zobaczysz. Już dziś na grzbiet koński wsiadamy, tylko wobec Sasów udajemy przed czasem, że wciąż jeszcze na patyku hasamy.

— Ale czy rychło pojedziecie? Spieszyć się musicie bardzo. Rycheza niecierpliwi się, gniewa się, pilno jej, by w bazylice Piotrowej Bezpryma pierwородnego co rychlej poślubić, z krwi Bolesławowej dziedzica Ottonowego, Cezara Augusta zrodzić.

Tymoteusz zaśmiał się.

— Nie Bezpryma, co choć pierwородny prostakiem jest i barbarzyńcą, ale Mieszka pięknego i uczonego poślubi pani

Rycheza. Ale nie mniemam, by w bazylice Piotrowej. 1 nie w Rzymie zrodzi dziedzica krwi Bolesławowej i krwi Ottonów, i Bazyleusów, lecz w Poznaniu lub w Krakowie. Na podróż do Rzymu poczeka jeszcze.

— Ale czy zgodzi się? Zawsze powiadała: w Rzymie, tylko w Rzymie.

— Właściem po to tu przybył, aby zgodziła się.

Rycheza długo się nie zgadzała. Ze łzami gniewu i dumy urażonej wołała, że nigdy, przenigdy nie pozwoli poniżyć wspaniałej swej rzymskości. Dziedziczka Ottonowa tylko w Mieście światowładnym powie księżęciu słowiańskiemu starorzymskim obyczajem: „Gdzie ty Kajus, tam ja Kaja”. Tylko w Rzymie pocznie syna, przyszłego Cezara Augusta. Były chwile, gdy zacinała się w oporze tak dalece, że oświadczała, iż nie chce ni Mieszka, ni Bezpryma — pójdzie do klasztoru wzorem ciotek, Zofii i Adelhejdy — nadto dziewczęce jeszcze ma ciało, by począć i rodzić. Aron dawno by cofnął się i uległ. Ale Tymoteusz był niezmordowany. Dnie całe spędzał na naradach z Matyldą, z Herrenfrydem, z Herybertem; któregoś dnia zaś zaskoczył i Rychezę, i Arona nieoczekiwanym oświadczeniem, że zaślubiny jej z Mieszkiem odbędą się w dzień zesłania Ducha Świętego w Merseburgu — takie jest bowiem stanowcze życzenie Najdostojniejszego Pana Henryka, króla Niemiec i Italii, a niebawem Imperatora Rzymskiego, którego woli nie mogą oprzeć się ani Herrenfryd, ojciec Rychezy, ani Bolesław, jako że są posłusznymi Henryka lennikami.

Aron pomyślał, że Tymoteusz nagle oszalał. Rycheza przez zaciśnięte zęby syknęła:

— Zdrajca! Nędzny pacholek barbarzyńców saskich!

Biskup poznański przybladł nieco, ale wnet uśmiechnął się i począł niby niedbałym, a naprawdę bardzo stanowczym tonem wyjaśniać, że wojna między Henrykiem a Bolesławem ma się ku końcowi, że Mieszko już gości u króla, że się z nim układa, ale że Bolesław nie zawrze z Henrykiem umowy, nie włoży dłoni swoich w ręce królewskie, jeżeli syn jego nie dostanie jak najrychlej siostrzenicy Ottonowej.

Rycheza z trudem tłumiąc łkanie pobiegła do matki, do ojca, potem do Heryberta. Arcybiskup szczerze zmartwił się wiadomością, z którą przyszła, ale rzekł, że Bolesław, Patrycjusz Imperium, przyjaciel umiłowany Przedziwnego — jeśli coś postanawia, to zawsze jedynie to, co jest najmądrzejsze. Matylda zaś szepnęła:

— Ojciec Najświętszy pragnie włożyć na skronie Henryka diadem cesarski, musimy być posłuszni świętej jego woli.

Długo potem jeszcze szeptała coś córce do ucha: w miarę jak mówiła — coraz bardziej rozpogadzała się twarz Rychezy.

Herrenfryd zaś wprost oświadczył córce:

— Henryk jest dziś bardzo potężny, Bolesław pozostanie tak potężny, jak był. Gdy ci dwaj dogadali się ze sobą, cóż my znaczymy?

Rycheza tupnęła nogą.

— Nadto wolno myślisz, panie ojczy. Bolesław nie zawrze pokoju z Henrykiem, póki Mieszko mnie nie dostanie, tak oświadczył biskup poznański. Jeżeli więc nie dasz mnie Mieszkowi, nie dogadają się ze sobą Henryk i Bolesław, nie będzie pokoju.

— Ty zaś myślisz prędko, ale głupio, córeczko. Henryk musi mieć dziś pokój z Bolesławem, musi! Żeby go zawrzeć, zabierze mi ciebie, by przekazać Mieszkowi, chociażby przemocą. Ale uważaj: wówczas zabierze mi nie tylko ciebie, zabierze mi także księstwo lotaryńskie, stać go dziś na to!

Rycheza przepłakała całą noc i cały następny dzień. Wieczorem zaś spowiadał ją wsławiony kluniacczyk, Ryszard, opat werdeński. Spowiadała się długo. Po przyjęciu Komunii Najświętszej oświadczyła Tymoteuszowi, że skoro taka jest wola jej ojca oraz Najdostojniejszego Pana Króla, uda się do Merseburga, by poślubić tam Mieszka, syna Bolesława, lennika królewskiego.

— Znowuś osiągnął, coś zamierzył — powiedział Aron Tymoteuszowi.

Biskup poznański przeciągnął się. Znow potarł pulchnym policzkiem o ramię.

— Tak — odrzekł. — Osiągnąłem, com na teraz zamierzył.

Znowu Aron opuścił oczy ku posadzce.

— Czy wolno mi Panu Biskupowi — szepnął — takie rzec słowo, jakie bym pragnął powiedzieć Tymoteuszowi, przyjacielowi wieloletniemu?

— Oczywiście, bracie miły, mów, mów — z żywością zawołał Tymoteusz.

— Pan Biskup pozwala, więc rzeknę. Czyś nie pomyślał nigdy, Tymoteuszu, nad tym, że wszystko, coś zdobył, Teodorze Stefanii zawdzięczasz? Czy to nie ona skierowała prostackiego wyrostka tuskulańskiego na drogę, która go zaprowadziła na stolicę biskupią?

— Wielka mądrość, głęboka mądrość przemówiła ustami męża, który zaiste tak jak nikt inny godzien był miłości Gerberta Sylwestra, mędrca nad mędrkami — wyszeptał Tymoteusz z podziwem i wzruszeniem. — W jednym tylko błądzisz, Aronie, bracie miły. Kobieta, o której powiadasz, nie zaprowadziła mnie na drogę przedziwną zaiste, jeno pchnęła na nią, pchnęła nieświadomie, przypadkowo. Nie winienem więc jej wdzięczności, tylko wspomnienie życzliwe. Istotnie też ucieszyłem się, że stryj mój, Ojciec Najświętszy, nie skłonił ucha ku podszeptom okrutników, ale pozwolił kobiecie tej zażywać wolności i spokoju. Uśmiechnął się.

— Pamiętasz, ojcie Aronie, jakieś mnie spowiadał? Jakże się bał, czy nie grzeszę przeciw Duchowi Świętemu zadufaniem zbyt w siłach swoich, w siłach oporu przeciw pokusom pożądliwości? Ale wiedział, com mówił. Nie lekkomyślnie zawierzyłem mocy przedziwnej, która z prostaka tuskulańskiego zrobiła biskupa wcale uczonego i doradcę zaufanego Bolesława, władcy potężnego i wspaniałego. Nigdy niczym nie zmazał owej mocy swojej, wiernym jej zawsze. I dobrze mi z nią. Pokusa żadna nawet snów moich nie płoszy. Gdym tu przybył, podesłano mi dziewicę urodziwą. Wiem kto i wiem po co. Cieszono się przedwcześnie krzykiem wielkim, jaki by miano rozpuścić po Kościele całym: książkę polski rozpustników biskupami u siebie ma!

— Pogłaskałem biedne dziewczę po ciemnej główce, powiedziałem: — Odejdź w spokoju i nie bądź głupia. Nie, nie zawiedzie się na mnie Bolesław. Nigdy.

— Nigdy, Tymoteuszu? A czy zdołałeś go uchronić całą przemyślnością swoją przed poniżeniem pochylecia dumnych, srebrnych orłów aż do stóp króla niemieckiego? Przyjaciół umiłowany Ottona włoży pokornie dłonie swoje między ręce tego, kogo wrogowie zaciekli Ottona i rzymskości Ottonowej wynieśli wysoko ku chwale Niemców, ku wszystkim nie-Niemców poniżeniu?!

W owej to właśnie chwili rzekł Tymoteusz:

— Jedź ze mną do Polski, Aronie. Mądrość twoja wielce przydatna będzie Bolesławowi. A potem dodał:

— Powiadano w Rzymie dziwy o pamięci twojej. Ja jednak nie mniemam, by pamięć twoja wnikliwości twej wielce ukształconej dorównywała. Nigdy nie mógł czy nie chciał spamiętać, com ci mówił o koniu i patyku.

Rycheza zdała się być echem Tymoteusza.

— Jedź ze mną do Polski, Aronie — zagadnęła tymi samymi słowami, co biskup poznański.

— Na cóż ci się tam przyda biedny, samotny, bezdomny mnich? — odparł z goryczą.

— Byłeś blisko Przedziwnego. Przy boku Gerberta Sylwestra wnikałeś w tajniki marzeń Przedziwnego, w istotę wspaniałej jego rzymskości. W Polsce, przy boku Patrycjusza Imperium po społu będziemy baczyć, by uszczerbku jakiego nie doznało dziedzictwo Ottonowe. Uczoność twoja kształcić będzie we wszystkich naukach i sztukach, Rzymianinowi prawdziwemu niezbędnym, myśl dziecięcą, a potem młodzieńczą przyszłego Cezara Augusta, mojego syna.

Aron uśmiechnął się gorzko, prawie boleśnie.

— Cezarem Augustem będzie Henryk, ulubieniec i wybraniec wrogów Ottonowych. Bolesław Patrycjusz, który miał dla syna twojego zdobyć i przechować wiernie diadem cesarski, włoży swe ręce jako lennik pokorny między dłonie Henrykowe. Wyzbądź się próżnych marzeń, pani Rychezo, jak wyzbył się ich Bolesław. Tupnęła nogą.

— Nic nie wiesz, nic nie rozumiesz! — zawołała głosem i słowami, które natychmiast tak bardzo przypomniały Aronowi Ottona. — Za ciemny jesteś, za głupi, by zrozumieć! Żadnych marzeń się nie

wyzbywam ani ja, ani też Bolesław. Czy wiesz, co mi rzekła matka, potem zaś na spowiedzi to samo powtórzył opat Ryszard? Król Henryk to istny mnich, z królową Kunegundą jak z siostrą od dawna już żyje, nie jak z małżonką. Nie będą mieli syna! Niech bierze Henryk diadem cesarski, skoro tak jest dziś potężny, że nikt mu przeszkodzić w tym nie zdoła. Ale gdy umrze bezpotomnie, kto będzie jego dziedzicem? Kto? Powiedz, mnichu, tak niby mądry, taki, powiadają, uczony... Kto? Mój syn, a wnuk Bolesława. Żadnych więc nie wyzbywamy się marzeń, żadnych. Zimą król Henryk wybierze się do Rzymu, z nim zaś Bolesław, a ja przy Bolesławie. Miasto światowładne ujrzy nareszcie Patrycjusza. Spełni się wola Przedziwnego.

Srebrne orły poniosą na Kapitel nie przed koniem bez jeźdźca, przed koniem, co Bolesława dźwigać będzie.

Ale znowu nie spełniła się wola Ottona Przedziwnego. Papież Benedykt Ósmy, dawniej Janem Teofilaktem zwany, włożył na skronie Henryka króla diadem, znak światowładny Imperium Rzymskiego. Ale Rzym nie ujrzął Patrycjusza Imperium. Srebrnych orłów wcale nie poniesiono w ślad za złotymi na Kapitol.

W Tyńcu, w Krakowie — zdumienie pełne goryczy — zdumienie i boleść.

Tymoteusz rzekł w Kolonii Aronowi: — Moc moja przedziwna zrobiła z tuskulańskiego prostaka doradcę zaufanego Bolesława.

Doradca zaufany nie może nie wiedzieć, dlaczego Bolesław nie chciał pojechać do Rzymu.

A jeśli on wie, będzie wiedział Aron. Jeśli prostak tuskulański nie miał tajemnic przed młodziutkim mnichem z Irlandii przybyłym — nie będzie ich miał biskup poznański przed opatem tyńieckim, na pewno nie!

12

Do Poznania z Krakowa jechał Aron przez krainę śląską. Sporo nakładał drogi, ale takie szalały owej zimy zawieje śnieżne, że inaczej niż Odrą i Wartą po lodzie trzech by nawet mil sańmi nie przejechał; od Krakowa do Odry niesiono go w lektyce, tak dobrze mu znanej z lat dawnych — tej samej, którą ongiś Teodora Stefania podążała co wtorku do Lateranu, by słuchać muzyki Sylwestra Drugiego. Po zgonie Ottona i odejściu Teodory Stefanii do Rzymu, arcybiskup Herybert zabrał ową lektykę z Paterna do Werony, a stamtąd do Kolonii — po latach zrobił z niej podarek ślubny dla Ryczezy.

Zdobiące lektykę złote orły radowały wzrok i myśl opata Arona. Zdawały się mówić: „Niech cię nie przerażają zawieje i mróz — nadal jesteś w Rzymie. Czy nie wszędzie tam jest Imperium Rzymskie, gdzie nasze światowładne rozpościerają się skrzydła?” Uczuł się dziwnie osamotniony, wprost nieszczęśliwy, gdy przesiadł się z lektyki w okryte skórą niedźwiedzimi sanie.

Blisko rok już przebywał w Polsce, a jednak bardziej obco, bardziej samotnie czuł się wśród towarzyszących mu dworzan Bolesławowych, pobożnych, gorliwych chrześcijan niż wśród czczących Mahometa i Półksiężyc Arabów. Za mało znał słowiańskich wyrazów — tygodnie więc całe musiał spędzać w nudzie dręczącej, jak gdyby głuchy i niemy był. Przyjazd do Wrocławia ogromnie go ucieszył: biskup Jan biegle mówił po łacinie, choć raz po raz niechlujne, barbarzyńskie wtrącał zwroty.

W gościnnym domu biskupim Aron ani na chwilę nie odchodził od pieca: nie dał się Janowi namówić ani na łowy, ani na wygłoszenie kazania w nieopalanej, drewnianej katedrze. — Czemu się tak dzieje — pytał trzymając skostniałe palce nad trzeszczącym wesoło płomieniem — że choć Anglia i Irlandia o wiele bardziej na północ od Rzymu się znajdują niż Polska, znacznie tam cieplej niż u was?

— Biskup Jan nie umiał wyjaśnić; rzekł tylko, że sam się dziwuje. Zawsze był przeświadczony, że w Anglii mroźniej jeszcze jest niż w Polsce: wszak uczono go, że od północy najdalszej równomiernie

rozlewa się ku południowi ocieplenie aż do Libii, gdzie żar przez rok cały panuje nie do wytrzymania, jako że z pustyni, Libię od południa półkolem otaczającej, blisko już do jamy ogniem ziejącej, skąd schody tysiącstopniowe aż do piekła samego wprost prowadzą. „Ciekawym, czy Ibn al Faradi umiałby to wyjaśnić” — pomyślał Aron i drgnął: oczyma duszy zobaczył uczonego Araba, jak schodzi tysiącem stopni w czeluście piekielne.

— W dalszej drodze nie będziesz się już tak nudził, panie opacie — powiedział mu któregoś dnia Jan. — Kazałem przysposobić największe, jakie we Wrocławiu mam, sanie: pojedzie z tobą Grek uczony, który przez Węgry z Konstantynopola ponoć samego do Pana Księcia naszego podąży z jakimiś tajnymi pismami.

Nowy towarzysz Arona istotnie okazał się mężem wielce uczonym — nie zaskoczyło go nawet pytanie, dlaczego w Anglii i Irlandii ciepłej jest niż w Polsce. Powiedział, że to bliskość morza łagodzi zimę na wyspach Północy. Wyjaśnienie to nie zadowoliło wprawdzie Arona w zupełności, ale nie umiał znaleźć żadnego dowodu na to, iż nie jest tak, jak Grek mówi.

Okazało się też, że Grek swobodnie i pięknie mówi po łacinie. „Prawie tak jak Ojciec Najświętszy Sylwester” — z podziwem stwierdził Aron. Ożywił się bardzo, rozweselił: z przyjemnością ogromną słuchał pochwał, jakich Grek nie szczędził tak niezwykle, tak nieoczekiwanie uczonemu mnichowi łacińskiemu. Z zaciekawieniem, wręcz z przejęciem wypytywał Arona o Irlandię, gdzie oto przechowuje się wciąż jeszcze — co również było dla niego niespodzianką — nauka grecka: — Przecież nawet Gerbert Sylwester — powiedział z pobłażliwym uśmiechem — ów największy mędrzec między łacinnikami, który co prawda u nas by wcale za wielkiego mędrca nie uchodził, ani pisać, ani nawet czytać po grecku nie umiał.

Aron, urażony ogromnie, już otworzył usta, by odpowiedzieć surowo, że nie pozwoli uwłaczać czci Sylwestra, mędrca nad mędrcami, ale zastanowiły go i oszołomiły dalsze słowa Greka: — Myślę jednak, że gdyby Gerbert Sylwester chciał, bez trudu nauczyłby się po grecku. Ale on rozmyślnie nie chciał. Całe życie hodował

w sobie bluźnierczo, niby kwiat wspaniały, a naprawdę trujący kwiat, nienawiść nierozsądną do wszystkiego, co greckiej myśli i sztuki było tworem.

Aronem aż dreszcz wstrząsnął. Skąd ów Grek może wiedzieć o myślach najtajniejszych Sylwestra Drugiego? O myślach, z których uczony papież zwierzył się ulubieńcowi poddawszy go próbie, czy aby Aron istotnie godzien był aż tak wielkiego zaufania?!

Greki zaś nie przestając się pobłaźliwie uśmiechać ciągnął dalej:

— Dawne to dzieje, minione dzieje, na zawsze minione, a przecież wielce ciekawe, pouczające. Bracia rodzeni są Wschód i Zachód; Zachód młodszy brat, słabszy, głupszy, ciemniejszy, zawsze krnąbrny, zawsze wicherzący... Wciąż mu się roi niezawisłość, równość, może nawet pokonanie mędrca, mocarza, brata starszego... Wieki całe bryka jak koń; jeźdźca z siodła chce zrzucić bydlę krwiste, piękne, silne a nierozumne... Niech bryka, nie zrzuci! Raz zaś jeden, miast rżenia, lwim głosem ryknął — głosem Gerberta Sylwestra — ale na rynku też się skończyło. Tyle tylko, że zaczął lew ryceć groźnie, zaczepnie, tryumfująco, a skończył rykiem bólu, grotem celnie ugodzony...

— Cóż to za grot był? — z trudem hamując podniecenie zapytał Aron.

Greki długo, w milczeniu rozcierał skostniałe ręce, potem nos i policzki, sięgnął nawet końcami palców do ucha okrytego futrzaną czapą.

— Wy tam w Anglii i Irlandii — podjął wreszcie, znowu pobłaźliwie się uśmiechając — na krańcu świata siedzicie, nie wiecie, nawet nie myślicie o tym, co się dzieje gdzie indziej. Dania, Norwegia, skąd ze strachem najazdów wypatrujecie — taki to wasz cały świat szeroki... Aleś do Krakowa przez Niemcy pewnie jechał, o cesarzu Ottonie Trzecim słyszałeś chyba?

Przed dziesięciu laty, przed pierwszą wyprawą do Kordoby, Aron by na pewno odkrzyknął na takie pytanie z oburzeniem, że wcale nie jest głupcem ciemnym, za jakiego go widocznie się ma — że nie tylko słyszał o Ottonie, ale był przy nim tak blisko, jak mało kto z żyjących

— spowiadał cesarza, wchodził swobodnie do jego sypialni, był świadkiem jego choroby ostatniej i zgonu bolesnego...

Lecz teraz, w wolno sunących ze skrzypem jęklwym saniach, odpowiedział dwoma tylko słowami: — Trochę słyszałem.

— Warto, byś więcej się o nim dowiedział — rzekł Grek, sięgając po butelkę z przejrzystym jak woda napojem rozgrzewającym.

Opowiedział Aronowi dzieje Ottona Trzeciego. Żywo, ciekawie, dokładnie. Kilka dni opowiadał. Cieszył się, że słuchany jest tak uważnie, w takim podnieceniu i napięciu. Aron nie potrzebował udawać uwagi, podniecenia, napięcia. Spowiadał Ottona, wchodził swobodnie do jego sypialni, był świadkiem choroby ostatniej i bolesnego zgonu Ottona, tyle, tyle słyszał o Ottonie od Sylwestra Drugiego, a oto teraz, na w pół leżąc w saniach jęklwie skrzypiących, wsłuchiwał się w opowieść o dziejach Ottona, tak jak gdyby istotnie bezpośrednio z Anglii do Polski przyjechał.

Była to bowiem opowieść o sprawach zaiste nowych, nie znanych, prawie nie przeczuwanych. Zdawało mu się, że oto dostał do rąk nowe pełne wydanie księgi zakazanej, z której dawnego wydania kartki jedynie wydarte miał w ręku: dwie, trzy, najwyżej cztery kartki. Obracał je często w rękach, wczytywał się — nic nie rozumiał albo ledwie co: jakże inaczej się rozumie ich treść, odnajdując je ponownie, ale w tekście już całkowitym! Inaczej rozumie się i skrwawiony zwitek w Cezenie pochwycony — i spotkanie z Bolesławem Lambertem w drzwiach komnaty Jana Filigata, i wygnanie Grzegorza Piątego przez Krescencjusza — nawet zaciekawienie Sylwestra Drugiego dla postaci kusznika greckiego w śnie Teodory Stefanii! Nade wszystko zaś gniew i prawie rozpacz papieża, gdy dowiedział się, że Otto postanowił poślubić Bazylissę!

Okazało się, że miał słuszność przeor klasztoru Świętego Pawła mówiąc ongiś młodziutkiemu Aronowi: „Za Krescencjuszami stoi ktoś bardzo potężny”. Ów ktoś to było Imperium Wschodnie — jedyne prawdziwe Imperium Rzymskie — dobitnie, z naciskiem powiedział Aronowi towarzysz podróży z Wrocławia do Poznania. — Rzym nie jest Rzymem, Rzymem jest Konstantynopol. Majestat Imperium to nie

Miasta majestat, ale Osoby. Odkąd Konstantyn, Apostołem równy, przeniósł siedzibę majestatu z obmierzłej stolicy pogaństwa nad Bosfor, do nowej Romy Chrystusowi poświęconej, nieprzerwanym ciągiem przechodzi dostojęstwo cesarskie od Pierwszego Konstantyna poprzez Leonów, Michałów, Justynianów aż po Bazylego i Ósmego Konstantyna, żyjących dziś Cezarów Augustów. Rzekł Syn Boży: „Jedna owczarnia i jeden pasterz”. Jakżeż odważają się barbarzyńscy królowie niemieccy przeciwstawiać bluźnierczo słowom Zbawiciela, wkładając sobie diadem na skronie i w ten sposób drugie — samozwańcze — cesarstwo tworząc? Co zaś jest źródłem pokusy do rozdawania świętokradczego owczarni Chrystusowej? Nic innego, jeno bzdurna nauka, że majestat Rzymu, to majestat Miasta, nie Osoby! Gdy odetnie się raz na zawsze dostęp królom niemieckim do Miasta, na zawsze też zniknie pokusa rozdawania Imperium! A jak zamknąć Niemcom drogę do Rzymu? Dwa są na to sposoby: jeden z nich ci odkryję, łacinniku uczony. Należy na zawsze wydrzeć z rąk Franków i Sasów koronę żelazną królestwa Italii!

— Wspieraliście więc Harduina przeciw Ottonowi Trzeciemu i Henrykowi? — zapytał Aron.

Wzgardliwym ruchem zjeżyły się pod niedźwiedzim futrem ramiona Greka. Nie raczył nawet zdziwić się, że Irlandczyk, który ledwie co o Ottonie słyszał, wie, kim jest Harduin.

— Gdy wicher niespodzianie tuż przed ucztą zetnie ci i zniszczy najpiękniejsze róże w ogrodzie, wieńczysz głowę byle czym, ale wiesz, że nic ci róży nie zastąpi. Istotnie, popieraliśmy Harduina, ale wówczas dopiero, gdy wicher gniewu Bożego ściał kwiat przepyszny: Ottona.

— Nie rozumiem ciebie. Z tego, co wiem o Ottonie, wynikało, że to on właśnie zespolił jak najściślej królestwa Niemiec i Italii.

Aronomalże nie dodał: tak ściślej zespolił, że po śmierci Hillibalda nie było już odrębnych kanclerzy dla każdego królestwa, lecz jeden tylko archilogoteta zjednoczonego Imperium, Herybert. Aż w język się ugryzł — tak późno przypomniał sobie, że ktoś z Irlandii bezpośrednio do Polski przybyły nie może nic wiedzieć o tych sprawach.

Greki znowu uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Gdyby Otto pożył dłużej, władałby już tylko Italią samą. Czyś słyszał co o arcybiskupie mogunckim, Willigizie? Tuż prawie przed zgonem Ottona wzniecić zamierzał powstanie wszystkich szczepów niemieckich przeciwko władcy, co niemieckości się wyrzekł. Wybraliby więc sobie Frankowie i Sasi nowego króla, zapewne tegoż Henryka, który teraz im króluje, a Ottona by już więcej z Italii poza Alpy nie wpuścili...

— Ale Italia też, jak mi wiadomo, zbuntowała się przeciw Ottonowi.

— Słusznie to powiadano, lecz z buntami Italczyków szybko by sobie poradziła wodzowie Miłych Bogu Pantokratorów Bazyleusów... z pomocą posłusznej córki Imperium, Rzeczypospolitej Weneckiej. Zresztą odkryję ci jeszcze jedną tajemnicę.

Aron z zadowoleniem pomyślał, że przejrzysty, do wody na oko podobny płyn rozgrzewający posiada przedziwną właściwość otwierania, niby kluczem magicznym, skarbnicy tajemnic Imperium Wschodniego.

— Słucham cię z uwagą, najdostojniejszy panie — rzekł tonem przesadnie uroczystym, prawie modlitewnym. „Im za większego będzie mnie miał prostaka, tym więcej się dowiem” — pomyślał wesoło.

— To, co ci teraz rzeknę, tajemnicą było dla wielu, także dla Ottona samego, lecz nie dla Gerberta Sylwestra. Ten wiele wiedział, za wiele. Tak, to był prawdziwie niebezpieczny wróg.

— Ale tajemnica? Jaka to tajemnica? — zawołał Aron, z trudem hamując wzruszenie, jakie w nim wywołały słowa Greka o Gerbercie Sylwestrze.

— A taka tajemnica, że większość buntów w Italii przeciw Ottonowi obmyślono w sali Dziewiętnastu Biesiadników w pałacu Konstantynowym nad Bosforem.

— Nie rozumiem — zupełnie szczerze zdziwił się Aron. — Sameś rzekł przed chwilą, że bunty te stłumić mieli właśnie wodzowie Bazyleusów. Sameś też nazwał pięknie Ottona różą przepyszną, tak jak gdyby miły wielce był on tobie i panom twoim. Po cóż wzniecać

bunty przeciw komuś miłemu wielce, a w dodatku po to, by — jak powiadasz — stłumić je zaraz?

— A po to, by temu komuś miłemu wielce zrobić podarunek ślubny z buntów stłumionych. Po to, by Otto zrozumiał, że bez pomocy Bazyleusów utraci żelazną koronę Italii, tak samo jak niemiecką koronę.

— A czy Bazyleusowie dopomogliby też Ottonowi do stłumienia buntu w Niemczech?

Greki spojrzeli na Arona z bezgraniczną wzdryką.

— Błądziłem uważając cię za jakiś cud niezwykłej mądrości w morzu ciemnoty łacińskiej. Takżeś tępy? Przecieżem ci rzekł, że o to właśnie chodzi, by król Italii nie był zarazem królem niemieckim. Niechby sobie Niemcy swobodnie obierali królów, niechby się gryźli między sobą Lotaryńczycy, Frankowie i Sasi, niechby sobie krwawili się w wyprawach przeciw Słowianom czy Węgom, byleby za Alpy już nogą nie stąpili. Za Alpami już władałby Otto z siostrą Bazyleusów ożenioną, władałby jako król Italii z tytułem najmłodszego Imperatora, dość silny na to, by z pomocą wodzów naszych i Wenecji nie puścić Niemców za Alpy; za słaby, by przeciw naszym oręż obrócić.

— Z tytułem Imperatora, powiadasz? Wszakże się oburzałeś niedawno na rozdwanie władzy cesarskiej.

— Mówiłem o rozdwanianiu Imperium. Byłoby jedno, jedyne, jednolite, niepodzielne, chociażby cesarzy trzech nawet było, tak jak dzisiaj jest już dwu: Miły Bogu Pantokrator Bazyleus Bazyli i Miły Bogu Pantokrator Bazyleus Konstantyn. Majestat świętej osoby cesarskiej na istocie i mocy władzy polega, nie na nazwie władzy. Cóż stąd, że króla Italii nazywano by Miłym Bogu Pantokratores Bazyleusem Ottonem; władza jego z istoty swojej i mocy byłaby władzą królika barbarzyńskiego: rozkazywałby z Pawii czy z Werony hrabiom longobardzkim, a może i margrabiom tokańskim...

— Nie z Rzymu?!

Greki znowu pociągali łyk przejrzystego płynu. — Zimno — rzekł wzdrygając się; napój nie był przyjemny w smaku.

— Oczywiście, że nie z Rzymu! — zawołał chowając butlę pod

niedźwiedzie futro. — Do Rzymu by mu wolno było przyjeżdżać na święto Romulusa lub na dzień świętego Piotra. Zresztą, mniemam tak, że jeśliby Bazylissa porodziła Ottonowi dziedzica, jeśliby syn ów wyrastał na Greka szczerego, jeśliby okazało się, że królestwo Italii wiernie a mądrze służy Bazyleusom konstantynopolskim — to wówczas... wówczas może by zezwolono Ottonowi przenieść stolicę swoją z Pawii do Rzymu: cóż by to szkodziło, jeśliby urządzał sobie pochody uroczyste z Awentynu na Kapitol... jeśliby sobie wyobrażał, że Augustem jest, Trajanem czy Konstantynem?! Byleby Niemcy spoza Alp nie przyszli...

Aron aż po pierś wychylił się spod niedźwiedziego futra. Zbliżył twarz aż pod lśniącą, czarną, kędzierzawą brodę Greka. Spojrzał mu przenikliwie w oczy.

— Tyleś mi powiedział, pozwól, że teraz ja coś rzeknę — syknął twardo przez zaciśnięte zęby. — Mądrość Przedwieczna ulitowała się nad Ottonem i zabierając do siebie oszczędziła mu poniżeń, jakieście mu gotowali. Ale gdyby nie zmarł, też byście niewiele osiągnęli: pojednałby się Otto z Niemcami, krew jego saska odwołałaby się do plemienia ojca i dziada, sam by przeciw wam znów za Alpy Niemców sprowadził... A może nie tylko Niemców, sprowadziłby też Bolesława Patrycjusza, przyjaciela wiernego z drużyną potężną...

Głośnym śmiechem wdarł się Grek między słowa Arona.

— Piętnaście blisko lat już czekają przyjaciele Ottonowi, aż Bolesław z drużyną potężną do Rzymu nareszcie przyjdzie. Nie przyszedł. I nie przyjdzie, wierzaj mi: nie przyjdzie. Gdyby był głupcem czy młodzikiem rojeniami książkowymi wypchanym, przyszedłby. Lecz nie jest ni głupcem, ni młodzikiem. A Niemcy? Ci przyszliby, słusznie powiadasz. Myślę jednak, że Otto nie doczekałby się już ich przyjścia, nie doczekałby się... A zresztą, nie wierzę, by w poniżeniu owym nawet — jak nazwałeś bluźnierczo los błogosławiony, gotowany mu przez Pantokratorów Bazyleusów — zechciał Otto przywołać Niemców, nie, nie pojednałby się z nimi, nie połączył, nie wróciłby do swojej niemieckości... Zginąłby raczej, a nie rzekłby o sobie: „Jam Niemiec”. Małżonka najdostojniejsza, Bazyleusów siostra roztropna,

troskliwiej by jeszcze hodowała w duszy Ottona nienawiść i wzgardę do krwi plemiennej ojca i dziada niż Teodora Stefania...

— Teodora Stefania?!

— Czemu tak krzyczysz? Tak, Teodora Stefania. Była przy Ottonie przez sporo lat kobieta urodziwa, co tak się nazywała. Wiernie, gorliwie Bazyleusom służyła. Czemu aż z twarzą chowasz się pod futro? Zimno ci? Napij się.

Długą chwilę trwało milczenie. Coraz jękliwiej skrzypiały sanie.

— Choryś? Masz dreszcze? Aż tu czuję, jak się trzęsiesz — mówił Grek przyjaźnie; a że Aron nie odezwał się, do przerwanego wrócił wątku: — Młodyś jeszcze, nie rozumiesz, jaką to siłę ma się w ręku, gdy kobietę wierną, oddaną posyła się, aby spała z tym, czyje myśli wedle swojej chcesz ukształtować woli... Wiele, wiele zdziałała Teodora Stefania. Zaiste, dziwnie ukształtowała Zofia, Mądrość Przedwieczna, duszę kobiecą. Powiedz tylko niewieście: „Otoś spała z umiłowanym, ale przyszedł wróg, zabrał umiłowanemu twojemu władzę, moc, cześć, a potem życie — chcesz pomścić umiłowanego? Idź, śpij z jego zwyciężcą i mordercą” — pójdzie. Judasza samego zgroza chyba ogarniała, gdy zdradzając całował; kobiety nie ogarnie zgroza, nie. Ale nie tylko Teodora Stefania wiernie Bazyleusom służyła. Gerbert Sylwester także.

— Cóżżeś rzekł?!

Tak straszliwie Aron krzyknął, że Grek aż się poderwał. Przybladła na okamgnienie zaczerwieniona mocno z zimna i płynu przejrzysta twarz.

Długo, w zdumieniu przyglądał się Grek Aronowi.

— Zgaduję — rzekł — że w Anglii i Irlandii nie mniej czczono Gerberta niż we Francji i Rzymie. Cóżem rzekł? pytasz. A to, że Gerbert również sprawie Bazyleusów przysłużył się wielce. Ale inaczej niż owa kobieta, bo bezwiednie. Wróg to był nasz nieprzejednany, wciąż mu się marzyło potężne Imperium Zachodnie, śnił, głupiec uczony, że myśl jego Ottonowym ramieniem z Rzymu Konstantynopolem będzie kiedyś rządziła. Imperium Zachodnie! Trup dawno pogrzebany a cuchnący! Syn Boży wskrzesił Łazarza, lecz

Gerbert nie wskrzesiłby nigdy trupa Imperium Zachodniego! Daremne zaklęcia i sztuczki magiczne wokół trumny pozłacanej wyczyniał! A jak się starał, jak się pocił, Irlandczyku! Tak mozolnie z gruzów spleśniałych twierdzę potężną budował! Ale budując rujnował tylko. Ledwie w jednym miejscu kawał muru zlepił, zaraz w innym wyłom się robił. Niepokoiło Gerberta, że wielu mnichów greckich wśród dzikusów węgierskich się płacze — bał się, że w ślad za mnichami drungi konnicy cesarskiej podążą, kohorty piechoty — nuże więc księcia Węgrów przeciw nam szcuć! Nie słowami tylko — darem bezcennym: koroną królewską. Tą samą, którą Otto Bolesławowi przyobiecał. Niepewnego przyjaciela nowego pozyskał, a dawnego, wiernego zraził... A już najwięcej nam dopomógł, od świtu do nocy przez lata całe wmawiając Ottonowi muzyką i słowami pięknymi: „Pamiętaj, żeś nie Niemiec, żeś Rzymianin!” Owszem, osiągnął cel, swój cel i nasz: znienawidził Otto niemieckość swoją. Czy stał się Rzymianinem? Gdyby nie zmarł, gdyby Bazylisę poślubił, gdyby syna, Greka szczerego, z niej miał, gdyby na królestwie pawijskim wiernie Bazyleusom służył — byłby Rzymianinem! Ale nie miemam, by ta rzymskość jego — jedynie prawdziwa rzymskość — uradowała Gerberta, któremu się wskrzeszanie trupów marzyło.

— Ładnieś to wszystko opowiedział. Mądrze. Ale Ottona zabrał do siebie Bóg, Henryk zaś, Niemiec szczerzy, za Alpy właśnie ruszył i lada dzień mu diadem cesarski na skronie niemieckie włoży ręką papieża, Ojca Najświętszego. Drwisz z rojeń Gerberta, ale w co się wasze przemyślnie obróciły rojenia? Macie Niemców znowu nie tylko po italskiej stronie Alp, w Rzymie samym ich macie! Spróbujcie, wypędźcie!

Greki uśmiechnął się.

— Wypędzimy! Wszakem ci rzekł, że dwa mamy sposoby przeciw rozdwanianiu świętokradczemu Imperium. Ze śmiercią Ottona na nic jeden sposób, to prawda. Ale drugi jeszcze pozostał.

— Cóż to za sposób?

— Patrz, już światła przed nami migocą. Zaraz będzie nocleg.

Wygodny, ciepły, iście książęcy mieli nocleg w kmiecej chacie

śląskiej. Ale Aron ani na chwilę nie zmrużył oka. Przebiegał pamięcią lata całe — wskrzeszał rozmowy niezliczone: swoje z Gerbertem Sylwestrem i Tymoteuszem — Tymoteusza z Ekkehardem, Teodorą Stefanią i Janem Teofilaktem — papieża z posłami polskimi — przywoływał tony pieśni arabskiej na muzykę organów przełożonej — tony, przy wtórze których rzekł Sylwester Drugi: „Przedziwny zaiste jest świat snów — a potem: — Pan Cesarz musi oddalić od siebie tę kobietę. Musi”.

Wiele zrozumiał z tego, co przez lata całe dziwne mu się wydawało, niepojęte. Wiele wytropił śladów zatartych, powikłanych. Śladem jednak stóp Teodory Stefanii, jednej w trzewiku, drugiej bosej — śladem wiodącym przez ręce sześciu wojowników z łoża Krescencjusza do łoża Ottona — nie mógł podążyć tak dokładnie jak innymi: gubił go co chwila lub nie rozpoznawał.

Rankiem dowiedzieli się od Ślązaków, że dalej końmi pojada, nie wołami. „Dostatniejsza to znów kraina” — z ulgą i radością pomyślał Aron. Pragnąłby już jak najrychlej znaleźć się w Poznaniu: czuł, że zaczyna niedomagać. Wciąż powracały silne dreszcze.

Gdy poczęto wprzęgać konie do sani, Aron nie mógł nie spostrzec, z jaką niechęcią, wrogością, wręcz nienawiścią spozierały spode łba oczy Ślązaków na niego i jego towarzyszy. Ileż bo to trudu, ile dobytku włożono w uzyskanie takiego bogactwa jak konie. A czyż można być pewnym, że się je dostanie z powrotem? Mogą nogi na łodzie połamać — wilki mogą je pożreć — jakiś drużynnik książęcy może je sobie oblubować w Poznaniu — albo i sam książę na wyprawę wojenną ruszając każe je osiodłać: miecz saski lub duński rychlej jeszcze może powalić bezcenne zwierzę niż wilki, niż lód... Ale nie śmieli odmówić Ślązacy: prawo książęce żelazem, a to i palem karało za odmówienie koni lub wołów podróżującym gościom, dostojnikom, dworzanom czy drużynnikom książęcym.

Zaledwie ruszono z kopyta, Aron zapytał Greka, czemu tyle wczoraj mówił o Gerbercie jako wskrzesicielu Imperium Rzymskiego, słowem zaś nawet nie wspomniał o największej, najdroższej tropce Gerberta: Kościele Piotrowym.

I znowu uśmiechał się Grek pobłaźliwie. Mówił, że najlepszym dowodem na to, iż Zachód łaciński nie dorósł, by sam sobą — bez opieki brata starszego, Wschodu greckiego — rządzić, jest właśnie rozdwojenie między Kościołem a władzą miecza — rozdwojenie coraz to widoczniejsze, odkąd kluniacczycy poczęli rósć w siłę. Aron spostrzegł, że Grek rozumuje w tych sprawach zupełnie tak samo, jak rozumował Otto Trzeci, z większą tylko stanowczością. — Namiestnikiem Chrystusa — rzekł — jest Imperator Augustus. Jak apostołowie wiernie służyli Zbawicielowi, tak też wiernie winni ich namiestnicy, patriarchowie i biskupi Chrystusowemu służyć namiestnikowi.

Inaczej jednak niż Otto twierdził Grek, że pierwszym wśród biskupów chrześcijańskich, prawdziwym namiestnikiem Piotrowym jest patriarcha Konstantynopola, nie zaś biskup starego Rzymu.

— Przecieżem ci już wczoraj rzekł, że majestat Rzymu nie tam, gdzie Miasto, jeno gdzie święta osoba Cesarza, dziedzica Konstantyna, Apostołem równego. A że stolicą swą Piotr Rzym uczynił, tam miejsce namiestnika Piotrowego, gdzie majestat Rzymu przebywa. Ale nie przeczę, że także biskup starego Rzymu dostojne w Kościele winien zajmować miejsce. Dlatego Bazyleusom tak zależy na tym, by biskupami starego Rzymu — papieżami, jak wy ich nazywacie, byli niezmiennie mężowie czcigodni, tak wierni majestatowi Imperium, jak Piotr wierny był Zbawicielowi.

Niestety, ostatnimi czasy papieżami zawsze bywali niegodni włodarze, oddani królom niemieckim, nie Bazyleusom Pantokratorom. Jedyne Jan Szesnasty...

— Jan Szesnasty? — przerwał Aron głosem pełnym wzburzenia. — O Janie Filigacie mówisz, przywłaszczycielu, świętokupcy? Nazywasz go jedynym godnym włodarzem? Ależ to najniegodniejszy z niegodnych. Jak Szymon Mag, za pieniądze chciał uzyskać moc najświętszą, za złoto kupił od Krescencjusza dostojność papieską, gdy żył jeszcze Grzegorz, prawowity Ojciec Najświętszy.

— Zaiste, daleko z Rzymu do Anglii i Irlandii! To u was, tam na wyspach, tak powiadano o czcigodnym Janie Szesnastym?

Zapewniam cię, że było wręcz przeciwnie. To Krescencjusz nakłonił Jana Filigata, by wszedł na stolicę biskupią rzymską...

Przed oczyma duszy Arona zamajaczyła naga czaszka i olbrzymia mleczna broda. Więc prawdę powiadał Nilus błagając o łaskę dla Filigata: małodusznością zgrzeszył jedynie, nie świętokupstwem! Ułękł się gróźb Krescencjusza i małodusznie — zapewne trzęsąc się cały ze zgrozy — sięgnął po klucze Piotrowe...

— Krescencjusz to także był wierny sługa Pantokratorów Bazyleusów, tak jak ojciec jego i dziad, i syn, choć nieraz im się wszystkim wydawało, że sobie służą, swoim rojeniom o mocy, o wskrzeszeniu Rzeczypospolitej, równie bzdurnym co Gerberta próby wskrzeszania odrębnego Imperium Zachodniego... Gdyby Włodzimierz ruski dostał Bazylisę Annę i dał się do chrztu namówić o siedem lat wcześniej, żarliwiej by spełniał wolę Bazyleusów walcząc przeciw Bolesławowi polskiemu w obronie jego braci przyrodnich. Czy wiesz, co by wówczas było? Polską rządziłby nie Bolesław potężny, ale trójka malców z matką; oczywiście nie zdołaliby oni tak być pomocnymi Ottonowi przeciw Słowianom nad Łabą, jak ich potężny brat pierworodny — przetoby nie mógł Otto pospieszyć do Rzymu, by Grzegorza Piątego ponownie na stolicę papieską wprowadzić. Rozumiesz? Błąd na szlaku między Chersonem a Kijowem popełniony obrócił się w Rzymie przeciwko Krescencjuszowi i Janowi Szesnastemu. Gdyby zaś dostał wcześniej Włodzimierz Annę, zapewne by nigdy nie wrócił Grzegorz do Rzymu, a i samego Ottona wpuszczono by — i to bez Gerberta — jedynie jako sprzymierzeńca, a to i sługę Bazyleusów: nie Sylwester by wówczas, ale Jan Szesnasty umacniał go w rzymskości i wzgardzie do niemieckiej krwi... Otto z papieżem Filigatem i patrycjuszem Krescencjuszem, miłeż by to było dla świętych oczu Bazyleusów widowisko!

— A czy Grzegorz Piąty wiedział, że Jan Filigat Bazyleusom służy?

— Nie, nie wiedział. Ale Gerbert wiedział.

Aron uczył nagle — jak dawnymi laty — tętnienie silne w skroniach, szum w uszach, chłód w stopach, co w okamgnieniu

ścierpły. Więc Gerbert wiedział! Więc dlatego nie bronił Jana Filigata, brata w służbie mądrości, przed gniewem i pomstą Grzegorza nie wiedzącego...

— Ale skąd wy wiecie, że Gerbert wiedział? — głos jego rozbrzmiewał zdumieniem grozą przepojonym i rozpaczą prawie.

— My wiemy wszystko.

— Wielka jest wasza moc — wyszeptał Aron zbielełymi nagle wargami.

— Czyś czytał kiedy dzieje Odyseusza przemyślnego, Irlandczyku? Czy znana ci jest baśń cudowna o czynach męża, który inaczej niż Achilles i Diomedes, mocą potężną myśli przebiegłej moc ramienia, jakże często zawodną, niezawodnie wspomagał?

Aron ożywił się. Nawet zgorszył się, uraził. Oczywiście czytał!

— Ale czyś czytał prawdziwą „Odyseję”? Nie przeróbkę żadną ni skrót, lecz ślepcy Homera pieśni z niczym nieporównane. Znasz te wiersze?

Wyrecytował kilkanaście heksametrów. Aron słuchał wzruszony, upojony, urzeczony.

— Nie, nie znam — wyszeptał. — Jakie to cudne!

— Więc słuchaj.

Potokiem stokroć wspanialszym od wód Gwadalkwiwuru w czarowną noc miesięczną polały się rytmy śpiewne, obrazy przedziwne, słowa słodko brzmiące. Oto mija Odyseusz Laertyda skałę syrenią — oto zwycięża Polifema straszliwego — oto zdobywa łuk pomstę niosący — a wszystko mocą swej myśli przebiegłej — mocą z mądrości płynącą.

— Spodobało się? — zapytał Grek urwawszy nagle heksametr w połowie. Poznać było, że sam jest wzruszony i upojony.

Aron skinął głową. Nie mógł mówić. Ledwie spojrzeniem zamglonym zdołał wypowiedzieć, że nigdy, nigdy niczego podobnego dotąd nie słyszał.

— Są tacy — rzekł po chwili Grek — którzy wątpią, czy w człowieku jest coś więcej ponad naturę zwierzęcą. Nie wierzą, żeśmy na obraz i podobieństwo Boże stworzeni, mniemają, że dusza

ludzka równie śmiertelna jest jak ciało. Lukrecjusz, poeta łaciński, wierszem nawet mniemania takie wyśpiewał. Czytałeś go kiedy?

— Nie. I dziękuję Mądrości Bożej, że nie dopuściła, bym takie bluźnierstwa obmierzałem kiedykolwiek czytałem.

— A jednak żałuj, żeś nie czytał. Bo właśnie Lukrecjusz wierszem swoim sam przeczy mniemaniu swemu bluźnierczemu. Gdy słuchasz jego heksametrów cudownych, nie możesz wierzyć w to, że w człowieku, który takie stworzył wspaniałości, nie masz nic ponad naturę zwierzęcą. A cóż dopiero, gdy Homera słuchasz! Myśl, co baśnie mistrzowskie te stworzyła — sztuka, co w wiersz taki je przekształciła — nie może nie być nieśmiertelna... nie może nie być odblaskiem myśli i mistrzostwa, które wszechświat pomyślały i stworzyły... Byłem kiedyś w Italii, w Rawennie... Widziałem w kościele Świętego Witaliego mozaikę cesarza Justyniana i jego dwór wyobrażającą... Kto raz spojrzeł w te twarze, nie zwątpi już nigdy: istota, która z kamyczków kolorowych takie stworzyć obrazy, nie może nie być obrazem Boga.

Aron drgnął. Nie po raz pierwszy słyszy te słowa. Bez trudu przypomniał sobie, gdzie je już słyszał uprzednio. Właśnie w Rawennie — właśnie w kościele Świętego Witaliego, właśnie pod tą samą mozaiką, o której wspomniał teraz Grek. Siedział u nóg Gerberta, wówczas arcybiskupa Rawenny. Naprzeciw Gerberta pomieścił się Romuald — pustelnik, pokutnik surowy bezgranicznie dla siebie i dla innych. Opodal stał Odylon, opat opatów, zwierzchnik najwyższy potężnej wspólnoty kluniackiej. Aron nie spuszczał oczu z twarzy Odylona: tak pięknego oblicza męskiego nie widział nigdy; nawet Krescencjusz, postawiony tuż obok opata opatów, wydałby się nieomal brzydki.

Ale nie tylko twarz Odylona — również i cała jego postawa, i spojrzenie, i głos przedziwnego pełne były uroku. Gdy najpospolitsze mówił słowa, zdawało się, że wiersz najśpiwniejszy recytuje. Nawet Romuald, który gardził wszystkim w naturze ludzkiej, co nie jest modlitwą i umartwieniem, upajał się muzyką głosu opata opatów. Z przejęciem, takim samym jak Gerbert i Aron, wsłuchiwał się w istny

chwalebny hymn rytmiczny, w jaki przekształcał głos Odylona zwięzłą wzmiankę o pobożności babki Ottonowej, cesarzowej Adelajdy. Jak psalm Dawidowy brzmiały zwyczajne, codzienne słowa o włosiennicach, o postach surowych. o jałmużnie hojnej, o najmiłszej Chrystusowi ofierze z poniżonej dobrowolnie dumy monarszej: chodzeniu boso po błocie nawet i śniegu. — Gdybym ja był spowiednikiem Adelajdy, zakazałbym jej chodzić boso — niespodzianie ostro przerwał Odylonowi Romuald.

Opat kluniacki zdziwił się ogromnie. Zdziwił się także Gerbert. — Czyżbyś mniemał — zapytał z uśmiechem — że widok takiego małego skrawka nagości kobiecej budzić może zgorszenie, podniecając pożądliwość męską? Pani Adelajda w takich już jest latach... — Czyżbyś mniemał, Romualdzie najczcigodniejszy — przerwał Gerbertowi opat kluniacki — że tak wielkie poniżenie dumy monarszej powodować może uchybienie dla czci majestatowi od pospółstwa należnej? — Żaden z was dwu nie zdoła, postrzegam, wnikać w myśl moją, chociaż obaj tacy mądrzy i uczeni — cierpko odparł Romuald. — Otoś rzekł, Gerbercie, zgorszenie. Istotniem o zgorszeniu myślał chodzenia boso nie pochwalając, lecz wcale nie o zgorszeniu dla oczu, na skrawek nagości spojierających. Czyż doprawdy myśl twoja, w tylu sztukach i naukach przez lat wiele kształcona, nie zdołała ogarnąć ogromu pokusy, na jaką naraża istotę człowieczą dotknięcie nagością ciała — nagości ziemi?

Wysuszone dłonie gwałtownie oderwały się od grubym sukniem okrytej piersi — kurczowo wpiły się w rzeźbione poręcze krzesła. Całym ciałem ku przodowi pochylony, odrzucił nagle Romuald daleko w tył głowę przedwcześnie osiwiałą; ku stropowi kopulastemu wznosił czoło głęboko poorane, brwi zmarszczone, oczy płonące. Cichym, a przenikliwym głosem zaczął mówić o hańbie, jaką ściąga na siebie istota człowieka bratając się z przyrodą, co nie została na obraz i podobieństwo Boże stworzona. Drżącymi wargami wyliczał demonów, co się czają podstępnie w każdej grudce ziemi, w każdej odrobince piasku, w ździebełku trawki najmniejszej, w każdej kropelce wody morskiej, rzecznej i deszczowej. Mile łechcą nagość stopy

piasek i trawa, i błoto, i woda — ale przecież nie kto inny łechtanie to powoduje, jeno duchy ciemności i zła. — Zapytaj Odylona, Gerbercie, czemu kaznodzieje kluniacy coraz goręcej, coraz surowiej nawołują małżonków, by zespalać się w uścisku, nowe życie ludzkie tworzącym, unikali, jako grzechu najcięższego, odsłaniania nagości ponad potrzebę przyrodzoną... Czemu? Oto aby dusze mężczyzn i kobiet nieśmiertelne nie zniżały się do zwierzęcej rozkoszy, jaką sprawia dotknięcie się ciała o inne ciało. A przecież mąż i żona, oboje na obraz i podobieństwo Boże są stworzeni — u obojga ta sama natura i skóry, i krwi pod skórą tętniącej. Nie powiadam, że źle pouczają małżonków kaznodzieje kluniacy ale skoro, jak twierdzą, poniża człowieka rozkosz dotykania innego ciała ludzkiego, to czyż nie stokroć bardziej winna go poniżać owa rozkosz, iście zwierzęca, jaką daje głaskanie koni, kotów, psów? A i one wszak żyją, choć życiem dusz nierozumnych, śmiertelnych! Żadnej zaś duszy własnej nie posiada natura ziemi — życiem demonów, co w niej się czają, jedynie żyje! Demonów, sączących w naturę ludzką łechtaniem miłym stopy bosej jad najniższej, najpodlejszej natury — jad, plugawiący to, co w człowieku jest z Boga. W moim eremie bracia pokutujący surowo mają zakazane chodzenie boso — nie inaczej stąpają po ziemi, jak na podszwach grubych: wielem bowiem dusz wypowiedała — dobrze wiem, że ów, co wczoraj boso po piasku, trawie lub błocie chodził, jutro nagi zupełnie tarzać się będzie po ziemi, mile łechtającej, lub w rzece się zanurzał, rozkoszą grzeszną członki rzeźwiącej. Bo wszak spodobało się Mądrości Przedwiecznej człowiekowi tylko spośród wszystkich stworzeń swoich cielesnych na obraz i podobieństwo własne ukształtować — w niego jedynie tchnąć duszę nieśmiertelną, a oto człowiek ów, błogiego doznając łechtania piasku, trawy, wody — zapomina kim jest: zapomina, że odciął go Bóg od przyrody nierozumnej, że wysoko ponad nią wyniósł, ku sobie przybliżył. Ziemia i woda, wichry i deszcze, skały i przepaście, łąki i lasy — wróg to natury ludzkiej odwieczny, zacięty, zazdrością tchnący, iż oto nie jemu, jeno człowiekowi użyczył obrazu swego Bóg — mamyż więc zniżyć się do tego wroga, zbliżyć i bratać się z nim, jednoczyć

w rozkoszy hańbiącej? Przenigdy! Uciekać, jak najdalej uciekać — poza mury grube i szaty grube, i podeszwy!

— Nie, nie uciekać, Romualdzie! — dźwięcznym, pełnym radości i dumy głosem zawołał Gerbert. — Nie uciekać, lecz naprzeciw wrogowi wychodzić, mężną, nie lękliwą obrócić ku niemu twarz! Słusznieś rzekł: ziemia i woda, wichry i deszcze, lasy i morza potworów żarłocznych pełne, wróg to człowieka odwieczny, wróg zazdrosny, nieprzejednany... Ale z wrogiem należy walczyć, Romualdzie! Walczyć bronią potężną, jaką jest myśl człowiecza na wzór Mądrości Przedwiecznej ukształtowana! Ostrzyć tę broń nieustannie, oto droga jedyna do zwycięstwa! Dobrześ rzekł: nie bratać się winien człowiek z przyrodą, lecz oddalać od niej; złą jednak drogę wskazałeś: nie za murami nam kryć się, jeno wzwyż podążać, wysoko ponad góry najwyższe, ponad słońce i księżyc, i gwiazdy — drogą, którą Zbawiciel sam wskazał powiadając: „Bądźcie doskonali, jako Ojciec wasz Niebieski doskonały jest”. Doskonali nie tylko doskonałością serca. Romualdzie, ale i myśli wyostrzonej doskonałością!

Urwał na chwilę Gerbert. Równie jak Romuald ku górze wznosił oczy, nie ku stropowi jednak: ku ścianie mozaikami ozdobionej. Jak gdyby z obrazu twarzy ludzkich, przedziwnie z kamyków kolorowych ułożonych, zaczerpnąć chciał natchnienie do dalszej przemowy. Istotnie, gdy ponownie przemówił, zdawać się mogło, że w głos jego, słowo i myśl, wstąpiły siły nowe, świeże a potężne. Przedziwny począł roztaczać obraz wędrówki natury człowieczej od bram Raju, co się gniewnie za Adamem i Ewą zatrzasnęły, poprzez dzieje tysiącleci minionych i przyszłych, aż do radosnego powrotu na łono Wszechpotęgi, Wszechmądrości, Wszechwiedzy Bożej. Mówił, że krwią najświętszą odkupił Zbawiciel dusze ludzkie, ale myśl człowiecza, w otchłań zwierzęcości za bramami Raju przez gniew Boży rzucona, sama sobie wyrąbywać musi drogę powrotną, w płomień potężny przekuwając słabiutką iskierkę Mądrości Bożej, jaką raczyło Miłosierdzie Boże pozostawić Adamowi i Ewie. Trudna to droga, niebezpieczna — ileż to już razy potykała się na niej natura

człowiecza, ile błędziła, nad ilu przepaściami zawisała! A przecież, potykając się i błędząc, wciąż naprzód podążała przez słup ognisty Mądrości prowadzona. Ongiś prawnukowie Adama i Ewy w ciemnocie trwożnej oczu nie śmieli podnieść na słońce i gwiazdy — uszy zatykali, by nie słyszeć wycia wichrów i ryku fal morskich — gwiazdom i morzu, kamieniom i drzewom, krowom i jaszczurkom cześć, niby Bogu samemu, bluźnierczo oddawali! Ale minęły tysiąclecia i oto z drzewa buduje człowiek okręty, którymi po morzu huczącym dumnie, władczo żeglują — z kamienia pałace i świątynie przewspaniałe wznosi — krowy, konie i psy jemu służą, a nie on im — z wichru i grzmotu, z ryku lwa i świergotu ptasiego wyśmiewa się pieśnią i muzyką, stokroć piękniejszą niż wszystkie przyrody nierozumnej głosy, co go ongiś taką grozą potworną napawały... Nie pada już na twarz przed gwiazdami, ale naturę ich śmiało bada, sam im rozkazując: „Przybliżcie się do mnie”. I przybliżają się. — Nie wierzysz, Romualdzie? Pójdź ze mną do pałacu arcybiskupiego — pokażę ci rurę przez siebie sporządzoną: spojrzysz w nią, przekonasz się, że gwiazdy na rozkaz ludzki zbliżają się, zwiększają... Są głupcy ciemni, co powiadają; grzech to wnikanie w tajniki wszechświata przez Boga stworzonego. Nie, nie grzech. Przeciwnie, żąda Mądrość Boża, by dowiodła natura człowiecza, iż niepodobna jest do owego sługi niegodnego, co talenty w ziemi zakopał — iż nie zagrzebała w cielesności zwierzęcej owej iskry Mądrości, miłosiernie Adamowi i Ewie pozostawionej... Dopiero bowiem wówczas, gdy niczym już chełpić się przed naturą człowieczą nie zdoła przyroda nierozumna, przez demony ciemne opętana — gdy pokona myśl ludzka ptaka, jak on w powietrze się wznosząc — rybę, jak ona pod wodę się zanurzając — błyskawicę, jak ona bez krzemienia jasność rozpościerając — dopiero wtedy, powiadam, rzeknie Mądrość Boża synom i córom Adama i Ewy: „Wróćcie na łono moje, otoście zaświadczyli, żeście obraz i podobieństwo moje”. I będzie to godzina pokusy najstraszliwszej: Pan Ciemności, który rzekł Adamowi i Ewie: „Bądźcie jako bogowie”, szepnie synom i córom Adamowym: „Otoście już jako bogowie”. I czekać będą duchy bezcielesne, świetliste

i ciemne, co odrzeknie natura człowiecza na ów podszept szatański. Czy przytaknie pysznie: „Otośmy jak Bóg”! Nie, nie przytaknie. Nad ziemią i niebem, nad tajemnicami gwiazd i otchłaniami mórz panując szepnie: „Panie, czymesmy przed Twoim obliczem? Prochem!”

Ukrył piękną twarz w dłoniach Odylon. Jeszcze silniej wpił się w poręczę krzesła Romuald — opuścił ku posadzce pełne łez oczy Aron: Gerbert zaś głosem coraz radośniejszym, coraz dźwięczniejszym — śpiewnym a miękkim niby muzyka subtelna organów — wywodzić począł, że w niczym z taką mocą nie przejawia się podobieństwo człowiecze do Mądrości twórczej Boga, jak właśnie w tworzeniu. A cóż może stworzyć myśl ludzka? Ciało człowiecze czy zwierzęce, czy trawkę chociażby? Nie, nie może. Ale może stworzyć kościół wspaniały z marmurów martwych — muzykę piękną z dźwięków bezładnych — wiersz precudowny ze słów pospolitych. I z kamyków kolorowych stworzyć może obrazy ludzkie tak podobne do ludzi żywych, że aż dech zapiera na samą myśl, iż oto takie dziwy władna jest stworzyć wyostrzona w mistrzostwie wola mądrości człowieczej. — Spójrzcie jeno na twarze, jakie macie tu przed sobą na mozaice — zakończył Gerbert swą przemowę z cichym westchnieniem wzruszenia najgłębszego pełnym i zachwytu.

— W Konstantynopolu nie byłeś, nieprawdaż, Irlandczyku? — zapytał Grek wysłuchawszy opowieści Arona.

— Nie byłem.

— Gerbert Sylwester też nie był. Gdyby był, zrozumiałby, że grzeszy przeciw Mądrości Bożej, nie chcąc uznać, że greckiej myśli pierwsze należy się niezmiennie miejsce w owym pochodzie powrotnym synów Adama i Ewy na łono Wszechdoskonałości. Bo oto i owe mozaiki wspaniałe w kościele raweńskim Świętego Witaliego wszak to greckich mistrzów dzieło. Gdyby zaś wszedł Gerbert do kościoła, właśnie Mądrości Bożej przez Bazyleusa Justyniana poświęconego, zrozumiałby, że nic na całym okręgu ziemskim tak doskonale Gerbertowych pięknych a głębokich nie wyraża myśli, jak właśnie ów kościół. Oto złoto i błękit, i różowość, i seledynowość mozaik, obrazy przedziwne przedstawiających — oto filary, rzekłbyś,

ręką olbrzymów wzniesione — oto galerie kolumn wysmukłych — oto strop kopulasty, któremu nie masz równego: strop niebios rozgwieżdżonych jedynie ogromem i wspaniałością go przewyższa. W kościele tym nie można nie czuć potęgi twórczej człowieka: cała przyroda nieogarniona i straszliwa, to proch jeno nędzny przed obliczem myśli, która kościół taki zdołała najpierw wyobrazić sobie, a potem obraz ów wymarzony w kształty przekuć kamienne. I zdawać by się mogło, że właśnie tam — na wspaniałości owe spoglądając — winien rzec sobie człowiek: „Otom już jak Bóg”. A jednak nie: nie rzeknie. Pod kopułą ową, przy filarach tych, przed mozaikami owymi jedno się tylko wyrwa z piersi westchnienie: przed twoim obliczem, Zofio, Mądrości Boża, czymże jestem? Oto zaiste prochem tylko.

Znowu sięgnął Grek po butlę z płynem rozgrzewającym. Pociągnął raz i drugi, trzeci.

— Zaiste pięknie i mądrze opowiedział to wszystko Gerbert. Dziw to nad dziwy! Grecką, prawdziwie grecką miał duszę ów łacinnik, wszystkiego, co greckie, tak zażarcie nienawidzący.

Głośno zabulgotał płyn w odrzuconej gwałtownie z rozmachem butli. Otwartą dłoń głośno uderzył siebie Grek w czoło. Głośno zawołał do Arona:

— Ale ty skąd wiesz o tym wszystkim tak dokładnie, jakbyś tam był?

Aron zmieszał się, struchlał nawet.

„Zdradziłem się” — pomyślał czując nagłe ścierpięcie skóry na całym nieomal ciele.

Nie wiedział zrazu, czy winien się wykręcać, czy raczej przyznać się Grekowi, że nie powiedział mu prawdy, że dobrze znał Gerberta Sylwestra, że obecny był przy zgonie Ottona Trzeciego.

Spróbował się wykręcić. Pomyślał bowiem, że Grek nigdy mu nie daruje ujawnionych przez siebie tajemnic — że będzie go chciał zabić w czasie snu na postoiu lub wrzucić do jądła truciznę.

Rumieniąc się, jękając, co chwila samemu sobie przecząc — począł opowiadać, że kiedyś do Anglii przyjechał ktoś, co jeździł do Rawenny i od niego właśnie słyszano...

— Oszukujesz mnie — przerwał mu Grek, ale nie gniewnie wcale, tylko ze śmiechem pełnym zdumienia. — Byłeś tam... na własne uszy słyszałeś, co mówili Romuald i Gerbert... Ale jakież ze mnie głupiec, żem od razu nie spostrzegł, iż nie z prostytutką rozmawiam, który prócz Irlandii, Anglii i Polski, nigdy niczego nie widział...

Długo śmiał się. Wesoło, prawie dobrodusznie. Ale Arona coraz bardziej niepokoił ów śmiech.

„Zwodzi mnie, żeby później tym podstępniej, tym okrutniej się pomścić — mówił sobie przy wtórze tętniących skroni i szumu w uszach. — Przed mściwą myślą takich jak oni nigdzie się nie schronisz, nikt ciebie nie obroni, nawet Bolesław” — powtarzał sobie po wielokroć.

Prawie pewien zguby nieuchronnej, postanowił wyjść naprzeciw niebezpieczeństwu. Wymusi na Greku zapowiedź zemsty: lepsze to niż groza wyczekiwania, skąd i kiedy uderzy cios. Sam przed sobą bał się przyznać, iż jednak żywi jeszcze gdzieś w tajnikach myśli nieco nadziei na przebłaganie mściwych zamysłów Greka, na wykupienie się skrucą pokorną i odwoływaniem się do miłosierdzia, które nie może być zupełnie obce mądrości tak wyostrzonej. Ale Grek nie dał mu nawet rzecz trzech słów:

— Niepotrzebnie się boisz, przysięgam na Zofię — powiedział znowu poczynając się śmiać. — Nie mam do ciebie urazy o nic. O nic, raz jeszcze przysięgam na Mądrość Przedwieczną.

Aron nie dał się tak łatwo uspokoić.

— Tyleś przede mną odstąpił zamierzeń tajnych — mówił prawie płaczącym głosem.

Grek lekceważąco wzruszył ramionami.

— Wszystko, com ci rzekł, Ottona Trzeciego dotyczyło. A Otto nie żyje. Tajność owych zamierzeń dawno już nie posiada ceny, jak i zamierzenia same.

— Znowu mnie zwodzisz — z goryczą, prawie z bólem odpowiedział Aron. — Czyż Niemców nie chcecie nadal wyrzucać poza Alpy?

— Chcemy.

— Więc nie uwierzę, byś nie żywił wobec mnie gniewu mściwego, nawet obawy. Nie możesz nie myśleć o tym, że opowiem, com od ciebie usłyszał, Panu Bolesławowi, któremu tak bardzo jestem bliski i miły.

— Opowiedz.

Aron do pasa wysunął się spod niedźwiedziego futra.

— O, nie! Nie zwiedzisz mnie kłamaną obojętnością, udaną dobroduszością! — zawołał z siłą rozpacz. — Dziś, gdy Bolesław po włożeniu w Merseburgu dłoni swoich w ręce Henrykowe wiernym jest lennikiem króla niemieckiego, co lada dzień weźmie w Rzymie na swe skronie diadem...

Ponownym wybuchem śmiechu przerwał mu Grek.

— Więc ty — zawołał — taki, jakeś rzekł, miły i bliski Bolesławowi, naprawdę myślisz, że ksiązę polski nie wie z dawna o naszych wobec Niemców zamiarach?!

Ale i te słowa nie uspokoiły Arona. Zacinał się w niepokoju, który już niebawem zaczął się z wolna przekształcać w gniewem tchnący upór.

— Nie uwierzę! — krzyczał — nigdy nie uwierzę, byś nie miał się bać ujawnienia przed Bolesławem tajemnic potęgi waszej i dróg, jakimi ona kroczy...

Grek przestał się śmiać.

— Mniemam, że od zgonu Gerberta nikt, poza nami samymi, nie zna tak dobrze tajemnic tych i dróg jak właśnie Bolesław — szepnął z powagą.

Dalszą rozmowę przerwało im oddalone wycie.

— Wilki — szepnął woźnica i począł zaciekle smagać końskie grzbiety długim rzemiennym batem.

Wilki nie dopadły Arona i jego towarzyszy — szczęśliwie zdążyli zajechać na miejsce noclegu. Ale długo goniło ich coraz to bliższe, coraz to groźniejsze wycie. Zapadający zmierzch zapalił światła nie tylko na niebie: także na tle czerni lasu trzykrotnie błysnęła para zielonkawych gwiazd.

Wówczas to Aron znowu wrócił myślą do słów Romualda

i Gerberta o wrogości między człowiekiem a całą resztą przyrody. Silnie kołatało mu serce, gdy wojownik księżęcy, obok woźnicy siedzący, sięgnął po oszczep i łuk. Nie ze strachu tylko kołatało. Czuł, że zalewa go fala nienawiści wojowniczej do tych, co wyją w gąszczu ośnieżonym, szczerząc potężne kły, chciwe ludzkiego mięsa i krwi gorącej. Czuł, że sam by z radością przebijał żelazem ślepie, co błyszczą w pośrodku głów niezdolnych, by jakąkolwiek urodzić myśl, prócz jednej chyba tylko: „Zabijać, żreć”. A może i tego nie myślą? Może nawet głód uczuć tylko mogą, nie zaś pomyśleć o nim? Przypomniał się nagle Aronowi Khairan, wódz drużyn słowiańskich kalifa, głuchym głosem mówiący: — Najstraszniejsza to, najpodlejsza rzecz zginąć przez pomyłkę. — Nie, błędził Khairan, ów, co przez pomyłkę zabija, jakąś przecież żywi myśl, zabijając: żywi gniew, pomstę; poznawszy zaś swą pomyłkę, żywi żal, rozpacz, co go nieraz aż po kres dni nęka. Ale wilki? Rzucając się na Arona, na Greka, nic nie pomyślą rozdzierając drgające jeszcze ciała, nie zatroszczą się o dusze, które mocą kłów swych cisną między światy nieznanne, o jakich nawet myślą dzikusa najdzikszego pomyśleć nigdy nie zdołają...

Im bliżej było do Poznania, tym okrutniej zdręczały Arona i Greka mróz i śnieżyce. — Nie, nie zdołam żyć w tym kraju, dławiąc się wichrem lodowatym — mówił sobie Aron kostniejącymi wargami. — Po com tu właściwie przyjechał? Miejsce moje przy nowym papieżu, Janie Teofilakcie. Gdziekolwiek przebywa na wygnaniu, na pewno nie jest tam tak okropnie zimno jak tu. Przyjechałem do Tymoteusza? Ale oto Tymoteusz jeszcze w Rzymie roił, jak będzie mocą pomazania biskupiego pokonywał demony, co mrozem, śniegiem i lodem gnębią krainę słowiańską. Nie pokonał! Na nic jego moc przedziwna! Pod samą jego stolicą tryumfująco hasają demony mrozu i zawiei. — Nie, Tymoteuszu, daruj: Aron rozstanie się z tobą, porzuci opactwo bogate, wyrzeknie się dostojęstwa, stokroć lepiej być mnichem-włóczęgą, byle w ciepłych krainach... Rycheza będzie się gniewać? Będzie wołać, że ją zdradził, osamotnił? Ale czymże dla niego jest Rycheza? Co go z nią wiąże?

Przed drewnianą bramą drewnianego również muru stoi gromada wojowników futrami niedźwiedzimi i wilczymi okryta. Na głowach połyskują szyszaki kolczaste — na pierś spadają okalające szyję łańcuchy, w słońcu dnia mroźnego lśnią. Poznań!

— Zauważ — mówi Grek do Arona. — Łańcuchy to szczerosrebrne. Nowość. Dawniej wojownicy Bolesławowi nosili łańcuchy z kulek żółtawych, na brzegach Morza Scytyjskiego skrętnie zbieranych. Taka kuleczka to zazwyczaj grobowiec przejrzysty owada: jak żywy rozpościera w jej wnętrzu skrzydła przez wieki całe; Pantokratorzy Bazyleusowie mogliby mu pozazdrościć tak wspaniałego grobowca! Na Wschodzie dalekim i na Zachodzie, wodami oceanu huczącego głąskanych, miłują się kobiety równie jak i wojownicy w kuleczkach owych. Nie skłamię, jeśli powiem, że bój odwieczny, jaki prowadzą mężowie Północy z księżętami Polski, o kuleczki owe się toczy. One to nęciły głównie oko Olafa norweskiego, gdy skłaniał ucha namowom Włodzimierza ruskiego, przez nas pouczonego — namowom. aby Bolesławowi zamek nadwodny w Wolinie wydarł...

— A cóż was w Konstantynopolu tak dalekim obchodziło, kto włada w Wolinie? — szcękając z zimna zębami zapytał Aron.

I znowu pobłażliwie uśmiechnął się Grek.

— Tylem ci mówił, a niceś nie zrozumiał. I na cóż tu jakąś żywić obawę, iż niebezpieczna mogłaby to być rzecz ujawnienie przed tobą tajemnic myśli greckiej?! Jak dziecko ponad dziesięć zliczyć nie potrafi, tak i ty też, ulubieńcze samego Gerberta Sylwestra, nie umiesz wiązać praw, które choć trochę odległe od siebie ci się być wydają. Gdyby Olaf wsparł był potężnie Włodzimierza, rozpadłoby się księstwo polskie, przez nieletnich braci przyrodnych Bolesława rządzone; wówczas — jakem ci rzeki — nie odszedłby Otto od Łaby, nie wprowadziłby Grzegorza ponownie do Rzymu i władaliby Miastem Jan Krescencjusz i Jan Filigatos, Bazyleusów słudzy najwierniejsi.

„Więc dlatego tak mnie wypytywali Jan Filigatos i mistrz Gerbert, co mówią w Anglii o przyjaźni między Olafem a Włodzimierzem” — pomyślał Aron w podnieceniu, ale bez zdumienia. Nic by go już nie

zdziwiło, cokolwiek by od Greka usłyszał.

Nie zdziwiło go także i to, że Grek dostrzegł nowy dowód przemyślności nieporównanej Bolesława w zastąpieniu dawnych łańcuchów rycerskich nowymi, srebrnymi.

— Grobowiec przejrzysty owada piękna to rzecz i cenna, jednak srebro cenniejsze, choć może i nie tak piękne dla oczu mędrca. Bo też nie szyje mędrców zdobią łańcuchy, ale wojowników. Takem cię olśniewał wspaniałością dróg, jakimi kroczy myśl grecka, ale na pożegnanie przyznam ci się: wielki to błąd nasz, że wojowników naszych nie wyróżnia strój szczególny a bogaty spośród wszystkich innych poddanych majestatu. Zawód bowiem wojownika szczególnym należy otaczać blaskiem.

— Tak mniemasz? — z żywością zawołał Aron, nareszcie znowu zdziwiony. — A Ojciec Najświętszy, Gerbert Sylwester, choć twierdził, że póki trąby archanielskie nie obwieszczą ponownego przybycia Zbawiciela, nie ustaną wojny ani zniknie zawód wojownika, przecież uważał, że wojowanie, to natury ludzkiej część wstydliva, niemal haniebna, dziedzictwo przeklęte zbrodni Kainowej.

— Prawdę rzekł Gerbert — znowu uśmiechnął się Grek — ale prawdę tę mędracy dla siebie powinni zachować; wojownik zaś musi od rana do nocy słyszeć, że nie masz zawodu dostojniejszego niż jego zawód: inaczej nie zechce ani ginąć, ani trudów bojowych znosić. Zostajesz w Poznaniu? Bywaj zdrów, miło się z tobą gwarzyło, łacinniku.

— Chodź ze mną. Chętnie ci udzieli gościny Pan Biskup poznański, przyjaciel mój najmiłszy.

— Dzięki wam obu, ale ja tu do jutra u pewnego mnicha greckiego wypocznę, a potem znowu w drogę...

— Dokąd?

— Do Bolesława.

— Gdzież on jest?

Greki uśmiechnął się.

— Rzekłeś, żeś miły wielce i bliski Bolesławowi, a oto nie wiesz, gdzie przebywa. Ja zaś wiem, choć ty mniemasz, że Bolesław winien

mnie się obawiać. Przyznaj, żeś po to powiedział: „Miłym Bolesławowi i bliski”, abym przestraszywszy się, myśli o pomście zaniechał, nieprawdaż?

W domu biskupim ciepło było, aż żar buchał. A jednak Aron wciąż się trząsał, wciąż szczykały mu zęby. W nogach jednak czuł jeszcze siłę. Ugięły się pod nim dopiero wówczas, gdy książęcy młodzieńcy kapelan, który skwapliwie pospieszył, aby pomóc pokojowcom rozbierać Pana Opata tyńieckiego, powiedział po niemiecku: — Pana Biskupa nie masz w Poznaniu.

— Gdzież jest? — ledwie zdołał wyszeptać Aron spieczonymi wargami.

— Nie wiem, Najdostojniejszy Panie Opacie. Ale może będzie wiedział Pan Opat międzyrzecki. Wczoraj zjechał do Poznania. Wprost z Merseburga zjechał, do klasztoru swojego nawet nie wstępując.

„A więc nie zdołałem uniknąć spotkania z Antonim” — wzdrygając się pomyślał Aron.

Mierziła go myśl sama, iż oto Antoniego będzie musiał prosić o wyjaśnienie przyczyn, jakie powstrzymały Bolesława od udania się z Henrykiem do Rzymu. Już go zaczynał boleć ów uśmiech zimny wzdrygliwej wyższości, jakim odpowie mu Antoni na pierwsze pytanie o Bolesława. Omal nie zapłakał z żalu i goryczy: czemuż zawsze ma tak być, że czy w Rzymie, czy w Polsce — jego, Arona, trzymają na uboczu od spraw dziejących się a ważnych?

Nawet Sylwester Drugi ułamek zaledwie odkrywał mu z tego, co sam o Ottonie i troskach Imperium wiedział! Powierzył ulubieńcowi wniknięcie w tajniki duszy Ottona — to prawda, ale przecież inne jeszcze były tajemnice — tyle tajemnic, jak się z wynurzeń Greka okazało!... I może... może ciekawszych niż tajniki wnętrza duszy Ottonowej...

Chwiejnym krokiem wszedł do komnaty, gdzie goręcej było niż w jakiegokolwiek innej izbie domu biskupiego. Opat Antoni siedział przy nie malowanym dębowym stole. Jeżył się bez ustanku, wciąż wtulając twarz w futrzany kołnierz strojnej szaty.

- Gdzie Tymoteusz? — od progu zapytał Aron.
- W Rzymie — szczękając zębami, odpowiedział Antoni.

13

Pomimo nieobecności Tymoteusza nie wypadło Aronowi żałować podróży z Krakowa do Poznania. Dzięki niej bowiem wiele dowiedział się o Bolesławie i o sobie, i o mrozie, co nie tylko brzegi rzek odległe, ale i serca odległe mostem mocnym wiąże. Gdy pierwszego wieczoru po przybyciu do Poznania Aron udawał się na spoczynek, aż do łoża odprowadzał go opat Antoni, co chwila troskliwie się dopytując: — Czyś nie chory, bracie? Tak ci płonie twarz, że aż strach patrzeć. Zaraz ci przyślę pokojowców: niech ci mocno plecy rozetrą, byś się spocił; a i miodu gorącego każę do łoża posłać... — Nie, nie jestem chory — w kółko mówił sobie Aron wślizgując się pod niedźwiedzie futro i odwracając się twarzą ku belkom ściany, by nie widzieć ognia, co w czeluści pieca chciwie a pospiesznie pożerał zwały ogromne drewna: oczy bolały straszliwie i w głowie huczało na widok zarówno blasku jak i cieni po powale fruujących. — Znużonym tylko bardzo drogą, a przy tym oszołomiony tym, com od Antoniego posłyszał — uparcie szeptały suche, płonące wargi. Istotnie, nawet wynurzenia Greka, towarzysza podróży od Wrocławia, nie oszołomiły Arona tak potężnie, jak to, co usłyszał od Antoniego.

Opat międzyrzecki zrazu niechętnie odpowiadał na stawiane sobie pytania. Zresztą, prawie już na początku rozmowy wybuchła między nimi sprzeczka o tytułowanie Bolesława. Aron mówił o księciu polskim: „Najdostojniejszy Patrycjusz”, Antoni zaś: „Nasz Pan Król”.

— Dlaczego zwiesz królem męża, który nie dostał pomazania?
— zdziwił się opat tyniecki.

Antoni zmierzył go pełnym surowości spojrzeniem.

— Postrzegam, że i ty odmawiasz panu, którego chleb jesz, czci mu prawnie należnej — powiedział tonem gniewnym i wzgardliwym zarazem.

Aron przygryzł wargi.

— Czczę pana, którego chleb jem, nie mniej żarliwie niż ty, ojciec Antoni — odparł też prawie gniewnie — ale wówczas gdy Romuald ci na pół mili nawet od eremu oddalać się nie pozwalał, jam miał

szczęście przebywać blisko osoby Ojca Najświętszego, Sylwestra, zaliż zapomniałeś o tym? Nie mniemam więc, by godziło ci się pouczać mnie, nie tylko karcić... Dobrze pamiętam, jak Ojciec Najświętszy rzekł, że stokroć większy to zaszczyt nosić tytuł Patrycjusza Imperium Rzymskiego niż króla słowiańskich barbarzyńców. Któż więc z nas większą cześć Panu Bolesławowi okazuje? Czyż nie ja — Patrycjuszem go tytułując, nie królem? Zresztą, spodobało się Ojcu Najświętszemu, Sylwestrowi, koronę Bolesławowi przyrzeczoną oddać władcy Węgrów, więc...

— W eremie podraweńskim nie zajmowano się muzyką ani matematyką, jeno tajemnicami wiary, ojciec Aronie — chłodno, ostro przerwał Antoni — więc pozwól mi mniemać, że jeśli chodzi o naukę, w kanonach wiary naszej świętej zawartą, niejednego mógłbyś się nauczyć od eremity, ulubieńcze mistrza Gerberta... Jak Bóg nie może już cofnąć łaski zbawienia rodzajowi ludzkiemu, krwią najświętszą Syna Bożego odkupionemu, tak też i namiestnik Chrystusowy niewładny jest cofnąć danej przez siebie obietnicy pomazania królewskiego... Zobaczysz sam: lada rok, nie, lada miesiąc nawet spocząć może korona królewska na skroniach najdostojniejszych Pana Bolesława... Na nic się zdadzą podstępny wrogów bluźniących imieniowi królestwa polskiego, już z dawna błogosławieństwem Bożym obdarowanego...

— Więc to po koronę pojechał Tymoteusz do stryja swego, Ojca Najświętszego? — w podnieceniu nagłego olśnienia szepnął Aron.

Drgnął nagle. Przymknął oczy. Z trudem splótł na piersiach palce trzęsących się bardzo rąk.

Bał się o Tymoteusza.

— Ale król Henryk?! — zawołał ze strachem, prawie z rozpaczą. — Przecież on znowu w gniew straszliwy wpadnie. Uwięzi Tymoteusza, rzuci go do lochu, lata całe będzie w niewoli trzymał, tak jak Ungera więził... tak jak ciebie, bracie Antoni, gdyś się był przed laty po koronę dla Bolesława wyprawił...

— Tymoteusz nie da się schwytać — tonem najgłębszego przekonania rzekł Antoni. Po chwili zaś dodał:

— Zresztą, wcalem ci nie rzekł, że Tymoteusz po koronę właśnie do Rzymu się wybrał: sama sobie to wymyśliła twoja głowa rozogniona...

Aron nie uwierzył. Niepokój o Tymoteusza rósł.

— A po cóż pojechał aż do Rzymu Pan Biskup poznański? — dopytywał się natarczywie. Antoni uśmiechnął się.

— Po to — odrzekł wydymając cieniutkie, blade wargi — aby król Henryk, biorąc na swe skronie niegodne cesarski diadem rzymski, nie zapomniał, że i o jego też majestacie wieszczyl król Salomon najmędrszy powiadając:

„Marność nad marnościami i wszystko marność”.

— Nie pojmuję, co chcesz rzec — marszcząc czoło i brwi oświadczył Aron. — Przecież nie to, iż Tymoteusz po to pojechał do Rzymu, aby czynić coś przeciw nowemu Cezarowi Augustowi.

Antoni znów się uśmiechnął.

Aron zerwał się z miejsca. Choć nogi ugiwały się pod nim, choć z każdą chwilą coraz większą czuł w ciele całym słabość — silnie bił pięścią w nie malowany stół dębowy, wtórzając pięci raz po raz tupaniem nóg podnieconym. W rozgorączkowanej myśli jego obraz Antoniego zlewać się począł z obrazem Greka, towarzysza podróży.

— Zaczynam mniemać, bracie Antoni — syknął chrapliwym głosem — że komu innemu wiernie służysz, nie Panu Bolesławowi, Patrycjuszowi Najdostojniejszemu, w którego myśli szlachetnej nie masz miejsca na podstęp ni zdradę. Skoro w Merseburgu włożył Pan Bolesław ręce swe między dłonie króla Henryka, nie Bolesławowi służą ci, co w Rzymie przeciw Henrykowi rozruch jakowys wszczynają... Nie wierzę ci, nie wierzę! Sam slyszalem w Kolonii, jak Tymoteusz powiadał, iż pojednać się postanowił Bolesław z królem Henrykiem, ba, lenno z rąk jego postanowił przyjąć... Do Rzymu miał mu wraz z całą drużyną swoją potężną towarzyszyć...

— Ale nie towarzyszy, ojcie Aronie. Nie towarzyszył i niech za to chwała i dzięki płyną z ust naszych ku Chrystusowi, co nie zechciał zaciemnić myśli wspaniałej Pana Króla naszego. Takem się bał ojcie Aronie, takem straszliwie się bał, że Pan Bolesław wytrwać zechce

neroztropnie przy zamiarze udania się do Rzymu...

— Co ty mówisz, bracie Antoni? Co ty mówisz? Opamiętaj się! — nie złościł się już, ale zawodził, prawie łkał opat tyniecki. — Przecież Rzym już blisko piętnaście lat czeka niecierpliwie, a wciąż daremnie na przybycie Patrycjusza Imperium! Przecież jeszcze Ojciec Najświętszy Sylwester wyrzucał opieszałość Panu Bolesławowi... Nie pogniewaj się, bracie, ale jeszcze raz cię zapytam, komu ty służysz? Komu?! Ty, który nie życzysz Panu Bolesławowi, by zgięło przed nim kolana Miasto światowładne! By ponieśli przed nim w pochodzie uroczystym na Kapitel znak potęgi wspaniałej, orły srebrne! Gdybyżeś wiedział, bracie Antoni, jak boleją nad nowym postanowieniem Bolesławowym wszyscy ci, co w księstwie polskim dziecię wiernie Imperium Rzymskiego, ostoję potężną dziedzictwa Ottonowego z miłosną zaiste upatrują dumą... Gdybyś wiedział, jak szemrze gorzko pan Poppo, biskup krakowski — jak zamartwia się aż do łez wstydu i boleści pani Rycheza, dziedziczka Ottona Przedziwnego najdostojniejsza...

— Więc i oni się zamartwiają, powiadasz? A jam myślał, ojczyźnie Aronie, że to tylko jawni wrogowie Pana Króla naszego łez swych i bólu nie ukrywają, iż oto nie dał się wywieść w pole, nie dał się błyskotkom posrebrzanym omamić umysł przenikliwy Pana Bolesława. Wiadome mi było, że płaczą nad Łabą, i nad Salą, i nad Sprewą, i nad Muldą, i nad Renem, nad Mozela nawet, ale że nad Wisłą też płaczą, tego nie przewidywałem... Myślałem, że w głębi dusz ukryją ból i hańbę zawodu, nie jawnie zapłaczą.

Podniósł się Antoni. Oparł dłonie o nie malowany stół dębowy.

— Dwukrotnieś mi rzucił w twarz obelgę bolesną, ojczyźnie Aronie, wołając gniewnie a wzgardliwie, a podejrzliwie:

„Komu ty służysz, bracie Antoni?” Alem ja jeno mnich pokorny, eremita, do poniżeń pokutnych przywykły: nie byłem ulubieńcem papieży, więc też i takie zniosę poniżenie. Ale nie pogniewaj się, Najdostojniejszy Panie Opacie, jeżeli ja z kolei tobie to samo zadam pytanie: komu służysz? Nie wybrał się Pan Król nasz do Rzymu i płaczą nad tym wrogowie jego zacięci, wrogowie nieprzejednani

wspaniałego Królestwa Polskiego — jawni wrogowie, a oto teraz dowiaduję się, że i tajni tak samo... Ty zaś z nimi płaczesz, ojczyźnie Aronie. Nie tylko z Popponem i Rychezą, ale z biskupem Dytmarem i księciem Bernardem, i opatem Ryszardem, i Odą, wygnaną macochą Bolesławową... Komuż więc z nas raczej przystoi usłyszeć to pytanie: komu służysz? Tobie czy mnie, który jako sługa najwierniejszy Pana Króla cieszę się niewymownie i Mądrości Bożej dzięki składam, że uchroniła Pana Bolesława przed wyprawą, z której by zapewne nie miał już dokąd wracać...

— Służę Kościołowi Piotrowemu, a za zgodą i radą Kościoła Bolesławowi, Patrycjuszowi Imperium Rzymskiego — odparł Aron, w zdumieniu niepomiernym wpatrując się w spokojną, zimną, mgłą tajemniczą jak gdyby osnutą twarz Antoniego.

— Źle mu służysz, ojczyźnie Aronie.

Antoni znowu usiadł. Cofnął dłonie ze stołu, ukrył je w szerokich rękawach strojnej szaty.

— Czy mówiono ci, że z Merseburga dopiero wrócił?

— Mówiono.

— Biskup Dytmar, który nie tylko piękniej i mądrzej pisze niż wszyscy Niemcy, ale prawie jeden za nich wszystkich myśli, rozchorował się ciężko na wieść, że Pan Król nasz nie wyruszył do Rzymu. Nie dziwię mu się. Ja bym się też rozchorował, gdybym na jego był miejscu. Albo na miejscu starej Ody. Myślała, że już, już — jeszcze maluczko, a w tryumfie wróci z synkami swoimi do Polski. Marzyła się jej już rozkosznie głowa Bolesławowa, na palu zatknięta.

— Co ty mówisz? — ledwie chwytając oddech wyszeptał Aron.

— Mówię, co słyszysz. Czy wiesz, po com do Merseburga jeździł?

— Księżciu Bezprymowi towarzyszył.

— Słusznieś rzekł. Póty się z nim nie rozstał, ażem go w pewne przekazał ręce. A trudno było o pewne ręce, bardzo trudno. Takem się bał, że mi go Dytmar wykradnie. Ale na szczęście sporo jest jeszcze wśród Sasów wrogów Henrykowych. Każdy z nich, równie jak Henryk i Dytmar, nienawidziłby Pana Króla naszego i wojowałby z nim orężem lub podstępem, gdyby na stolec królewski lub arcybiskupi chociażby

się dostał; ale nie mając nic takiego, chętnie Panu Bolesławowi usłużyć, byleby Henrykowi coś niemiłego uczynić. Czy wiesz, dokąd wiozą Bezpryma? Aron, nie mogąc słowa z siebie wydobyć, w milczeniu potrząsnął przecząco głową. Antoni znowu się uśmiechnął. Aron aż drgnął, tak dalece ów uśmiech przypominał mu Greka, towarzysza podróży.

— Tam go wiozą, skądem ja przybył. Po kres dni swoich o pół mili nie oddali się od eremu Romualdowego. Wiezie biedaczyna ciemny pismo, którego nie zdoła przeczytać — pismo od Pana Króla naszego do ojca Romualda. Sam owo pismo na rozkaz królewski sporządziłem: stoi tam, że natchnął Duch Święty króla Polski myślą pobożną, aby syna swego pierworodnego na służbę najsurowszą Bogu poświęcił. Jak Izaak Ezawowi, odebrał Pan Bolesław pierworodztwo Bezprymowi ciemnemu i krnąbrnemu, a przekazał Mieszkowi, niby Jakub pięknocią i mądrością jaśniejącemu.

— Tak samo jak Bolesława Lamberta uwięzi się Bezpryma w eremie na życie całe — wyrwał się z piersi Arona głuchy jęk.

— Nie, Bolesława Lamberta nie masz już w eremie Romualdowym — westchnął Antoni — wrogowie Pana Króla naszego dopomogli szczenięciu najmłodszemu Ody uciec z moczarów podraweńskich. A szczenię to sprytne: w ojca wdał się, w Niedźwiedzia nowochrzczeńca. Wiesz zapewne, że imię Mieszko właśnie niedźwiedzia oznacza, czy też nie wnikałeś jeszcze na tyle w mowę słowiańską?

— To Bolesław Lambert jest wolny? Ależ ucieszy się Tymoteusz! — prawie radośnie zawołał Aron.

— Ucieszy się? Wiem, wiem; była tam kiedyś między nimi jakaś przyjaźń, przed laty. Ale dziś, mniemam, Tymoteusz z ochotą sam by na powrozie Bolesława Lamberta odprowadził — do lochu już, nie do eremu. Taki wierny sługa Pana Króla, jak biskup poznański, nie może nie wiedzieć, jaki to z Bolesława Lamberta nieprzejednany a sprytny, jakem już rzekł, wróg pana naszego. W przekazaniu korony królewskiej Szczepanowi węgierskiemu też jego głowa udział swój miała!

Przed oczyma duszy Arona zamajaczył nagle obraz ogrodu wspaniałego za domem arcybiskupów Rawenny. A w ogrodzie opat Astryk Anastazy pod rękę z Bolesławem Lambertem się przechadza...

A gdzie on teraz? — zapytał.

— Kto? Bolesław Lambert? Mogę ci dokładnie rzec: w zeszły poniedziałek był w Kwedlinburgu, odwiedził tam matkę swoją. Mówił o buncie, jaki wybuchnie w Polsce po odejściu Pana Króla naszego do Rzymu. Wyliczali wszystkich stronników swoich i Bezprymowych. Z uciechą mówili, że wszystkie prawie rody kmiece i wśród Polan, i Wiślan, i Pomorzan ochoczo do buntu przystaną, niech jeno wybuchnie. Że to niby jedne rody zagniewane są na pogwałcenie przez Pana Bolesława prawa młodszych braci do ojcowego dziedzictwa, inne zaś o Bezpryma będą walczyć, o nienaruszalność pierworodztwa... Szeptali sobie, że za Bezprymem ci wszyscy się ujmą, co przy wierze ojców jawnie lub potajemnie trwają, biskupów a opatów nienawidząc. Słyszysz, ojcze opacie? Mniszka pobożna i pokutnik z eremu Romualdowego w poganach nadzieje swe pokładają! Spierali się też, co z Bolesławem uczynią, gdy na księstwo polskie wrócą. Starucha Oda głowy jego łaknie, ale Bolesław Lambert rzekł: „Oślepiemy go, jak on Odylena i Przybywoja, naszych stronników wiernych, oślepił. A zresztą myślę, Pani Matko, że król Henryk, gdy spostrzeże się, iż Polska przeciw Bolesławowi się podniosła, od razu w Rzymie go pochwyci i do wieży Teodoryka po kres dni wtrąci”.

Aron uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— Skądże ty możesz wiedzieć, o czym oni szeptali do siebie w zaciszu celi klasztornej w Kwedlinburgu?

— To nie ja wiem, to nasz Pan Król. A on wie wszystko. Aron wzdrygnął się. Znowu tak dobitnie przypomniał mu się Grek, towarzysz podróży.

— Dla wiernych a czujnych uszu nie masz za grubych ścian — znowu uśmiechnął się Antoni. — To tylko ty, ojcze Arenie, nie masz czujnych uszu ani oczu, choć może i wierne są one Panu Królowi, jak powiadasz... Łzy pani Ryczezy powlokły nie jej oczy, ale twoje... A nie tylko oczy, myśl ci także zaćmiły... Zaprawdę powiadam ci:

wielkie by to było nieszczęście, gdyby Bolesław bardziej się czuł Patrycjuszem Rzymskim niż Królem Polskim... gdyby wyruszył z Henrykiem do Rzymu... Ujrzałbyś wówczas ostatnią mgłą osnutymi oczyma siebie, mnie, Tymoteusza na palu przez pogan wystruganym...

— Nie! — krzyknął Aron. — Nie, nie wierzę tobie... Zmyślasz albo błądzisz w ciemności coraz straszliwszej... Sprawa księstwa polskiego i sprawa Imperium Rzymskiego, sprawa dziedzictwa Ottonowego — to jedno! Nie zagładę Kościoła Piotrowego w Polsce z ręki pogan, ale nowe błogosławieństwa Boże i Piotrowe przyniosłby pochód Bolesława Patrycjusza do Rzymu! Nie loch, ale potęga oczekuje pana naszego w Mieście światowładnym! W chwale i mocy przyleciałyby z Kapitelu na Wawel srebrne orły!

— Ustrzelono by je po drodze z łuków frankońskich i saskich, ukręcono by głowy zranionym...

— Nie tylko Ryczeza, dziedziczka wspaniała Przedziwnego, Pana Bolesława miłująca i tak bardzo z Patrycjatu jego dumna, ale i sam Mieszko, syn Bolesława umiłowany, bolał ogromnie, iż oto nie wyprawił się ojciec do Rzymu, iż oto nie spoczną srebrne orły na marmurach Kapitelu...

— Wielka jest moc kobiety obnażonej w łożu — mruknął Antoni.

„To samo mówił Grek o Teodorze Stefanii” — przemknęło Aronowi przez myśl. Zatętniało w skroniach, zaszumiało w uszach.

— Zresztą nie tylko w łożu i nie tylko obnażonej — ciągnął spokojnie opat międzyrzecki. — Oto i ciebie opętała Ryczeza, ojczyźnie Aronie. Wspaniała dziedziczka Przedziwnego! A biskup Poppo czym jest wspaniałym dziedzicem?

Urwał na chwilę. Znowu podniósł się, znowu oparł dłonie o stół.

— Czy wiesz, co się dzieje z Mieszkiem? — zapytał Arona świszczącym niesamowicie głosem.

— Wiem. Pojechał do Pragi układać się przyjaźnie sam na sam z księciem Udalrykiem.

— Przyjdzie mu się chyba układać, i to na odległość, listownie, z bratem młodszym Ottonem, by do łoża wszedł Ryczezy, jeśli Pan

Król nasz ma mieć wnuka z krwi Ottonów i Bazyleusów.

— Nie rozumiem ciebie. Cóż to za brednie opowiadasz... Głos Antoniego stał się bardziej świszczący, gdy uderzając otwartą dłońią o stół, wyskandował wolno i wyraźnie: — Żadne brednie, Najdostojniejszy Panie Opacie tyniecki. Książę Udalryk wziął Mieszka w okowy i wrzucił do lochu. Doradził mu to — pono na spowiedzi — biskup praski, Ekkehard, Sas. Okrutne grozi Panu Mieszkowi kalectwo.

— Oślepi go Udalryk, jak Patrycjusz oślepił rudego Bolesława? — ledwie zdołał wyszeptać Aron.

— Nie, nie oślepi. Sprawi, że Pan Mieszko nigdy już więcej nie pójdzie do łoża z panią Rychezą. Ani z żadną inną kobietą.

— Skąd wiesz o tym?

— Jużem ci rzekł przecież, że Pan Król nasz wszystko wie.

Jakżeż więc miał Aron nie odwrócić się twarzą do ściany, jeśli wiedział, był pewien, że cienie po ścianie fruujące, to cienie oprawców czeskich, którzy na palcach skradają się ku piecowi, by w ogniu do czerwoności rozżarzyć szczypcę żelazne, jakimi okrutnie kaleczyć będą urodziwego, uczonego małżonka Rychezo?! Jakże miał spozierać w płomień pożerający nie stosy drewna, ale kościoły w Krakowie, w Poznaniu, w Gnieźnie?! Kościoły Chrystusowe, ręką stronników Bezprymowych podpalone?! Nie tylko odwrócił się, ale jak najmocniej, boleśnie prawie zmrużył oczy: bo oto aż tu, na tę ścianę, tuż pod jego twarz przywędrował cień — długi, cienki, w górnym końcu wyraźnie zastrzony: cień pala, na który jego, Arona, zaraz nawlekać poczną poganie. — Cóżżeś zrobiła, Rychezo?! Namówiłaś Bolesława, by do Rzymu ruszył, a oto wiernego, oddanego ci Arona na pal zaraz będą nawlekać... Oto już przyszli, oto otworzyli drzwi, podeszli do łoża — już czuje na sobie dotknięcie ich dłoni. — Nie, Rychezo, nie wierzę, byś to ty... ty byś nie mogła, wspaniała dziedziczko Przedziwnego... Ale ratuj! Ratuj przed palem! Czyż potęga dziedzictwa Romy światowładnej nie zdoła wyrwać sługi Bożego z okrutnych rąk pogan słowiańskich? Oto wpijają się już w niego ręce okrutników...

Nie, to ręce pokojowców, których Antoni przysłał, by mocno, aż do potu natarli plecy dostojnemu gościowi.

Aron pełen jest wdzięczności i wzruszenia. Nie wobec Antoniego — wobec pokojowców. Za to, że okazali się właśnie pokojowcami. Miłuje ich bardzo. Chce im powiedzieć, że miłuje — mówi, ale nie słyszy swego głosu. Wyrazi im więc swą miłość oczyma. Nawet od ściany się odwrócił, by gonić odchodzących wdzięcznym, miłującym spojrzeniem. Nagle ogarnia go zdumienie. Jakże mógł od razu nie spostrzec, że jeden z pokojowców jest kobietą — jakże mógł dopuścić, by dotykała dłońmi nagiego jego ciała? Taki obmierzły popełnił grzech!

Kobieta zatrzymuje się przy drzwiach. Nie wyjdzie z komnaty. Wróci. Aron to wie. Ale on przecież wcale nie chce, by wróciła! Nie może chcieć!

Wraca.

— Czy pamiętasz mnie? — pyta siadając tuż przy łożu. Siada bardzo nisko, zręcznie podwijając pod siebie nogi, dotykając dłońmi palców swych stóp. Tak, Aron pamięta ją.

— Żyjesz? — pyta zdumionym głosem.

— Póki patrzysz na mnie — żyję.

— Więc nie zamknę oczu. Kobieta błogo się uśmiecha.

— Czy chcesz, bym w podziękę ci za życie zdjęła z siebie tę szatę?

Nie skończyła jeszcze pytania, a już jej ręce, ciemne, połyskliwe, zaczynają ściągać poprzez głowę cienką, prawie przejrzystą, fioletową szatę.

— Nie zdejmuj! — krzyczy Aron. — Zamknę oczy i zabiję ciebie.

— Toś inny zupełnie niż ów Berber. On najpierw kazał mi zdjąć szatę, a potem dopiero zabił. Nie chcesz mnie wziąć?

— Nie chcę.

— Kłamiesz. Chcesz. Wiem, że chcesz, ale nie możesz.

— Nie mogę, bo muszę płacić — mruknął Aron.

— Nie możesz, bo jesteś niby eunuch. Ale przy eunuchach często, prawie zawsze siadywała na podłodze, żadnego nie mając na

sobie odzienia. Więc i przy tobie będę siedziała naga.

Ręce jej znowu wzniosły się ponad główkę okoloną czarnymi splotami włosów — znowu ściągać poczęły szatę, odsłaniając nogi prawie już poza kolana.

— Zakazuję ci, słyszysz? Zakazuję! — zawołał Aron wysoko unosząc się na dłoniach. — Gdybyś w moim była haremie, także bym i przy eunuchach zakazał ci siedzieć nago. Nieprawda to, że eunuch nie pożąda. Nie masz pożądania potężniejszego niż pożądanie oczu, a czyż rzezańcy są ślepcami?! Ibn al Faradi też by ci zakazał, gdyby cię choć trochę miłował.

Kobieta znów się zaśmiała.

— Miłował mnie bardzo. Tak bardzo, że jednej mnie tylko nie bał się wcale.

— Dziwne są twoje słowa. Istne bzdury. Takie bzdury, że zaczynam mniemać, iżem chory i bredzę. Czyś chciała rzec, że wszystkich innych kobiet z haremu swego bał się Ibn al Faradi?

— Właśnie to chciałam rzec. Wcaleś więc nie chory, wcale nie bredzisz. Wielkim był mędrcom Ibn al Faradi, potężnym był dostojnikiem dworu władcy wiernych, ale w haremie swoim czuł się jak słabe, lękliwe chłopię w ostępach dzikich wśród zgrai panter zabłąkane... Czterdzieści cztery miał żony, a tylko przy mnie jednej zasypiał bez lęku...

— A jednak nie miłował ciebie. Gdyby miłował, zabiłby cię własną ręką, jak tamte osiem żon. Kobieta znów zaśmiała się.

— On mi mówił o tobie, żeś wielce mądry i uczony. Pobłądził chyba lub skłamał. Prawdziwy mędrzec zrozumiałby, że miłość nigdy nie zabija.

— Zabija, aby przed hańbą ocalić.

Kobieta zręcznym ruchem wysunęła spod siebie nogi, podniosła się na klęczki, pochyliła się naprzód, głową przywarła do niedźwiedziego futra, pod którym skulony leżał Aron.

— Stałeś z dwoma Żydami w komórce — poczęła szeptać głosem tak podnieconym, że podniecenie to natychmiast udzieliło się Aronowi.

— Widziałeś dokładnie, jak Berberowie wywalili drzwi haremu, jak

kazali nam obnażać się i kłaść na poduszkach, jak hańbili nasze ciała, a potem je zabijali. Aleś nie widział wyrazu twarzy Ibn al Faradiego na okamgnienie przedtem, nim ścięto mu głowę. Czy wiesz, ku komu poleciało ostatnie spojrzenie chłopięcia słabego, lękliwego, zarzynanego wraz z panterami, których nareszcie po raz pierwszy się nie bał?... Ku Berberowi leciało to spojrzenie, ku temu Berberowi, co mnie powlókł na jedwabne poduszki, roztrącając nogą odcięte głowy, piersi i ręce... A czy wiesz, co mówiło to ostatnie małżonka naszego spojrzenie? Oto dziękowało Berberowi za to, że wielekroć upajając się na nowo moim ciałem, pozwala mi żyć o chwileczkę dłużej, niż wszystkie inne żyły żony... Bo powiadam ci, mnie miłował najgoręcej. Znacznie goręcej niż moją córkę.

— Miałaś córkę? W tym samym haremie?

— Cóżeś za dziwne słowo wypowiedział: harem... Co to znaczy? Córkę miałam w pałacu królewskim. Samam ją uczyła tajemnic miłości. Ale oczywiście nie wszystkich, jakie znałam. Bom chciała, by król Edwig raz po raz w moje powracał ramiona z łoża królowej, córki mojej. I powracał, zawsze powracał. A nieraz wołał mnie wprost do łoża królowej, kazał jej patrzeć... uczyć się, co to jest prawdziwe miłowanie... Bo brednie to, że jedynie młodość władna jest poić rozkoszą bez miary. Czymże jest młodość bez sztuki miłowania? Bez piękności? Powiedzże sam: która z nas jest piękniejsza: Egifa czy ja? Spójrz w kąć na prawo od pieca: stoi tam moja córka. Widzisz ją?

Aron widział. Gwałtownie szcękając zębami, patrzył jak urzeczony to na jedną kobietę, to na drugą. Istotnie, starsza kłamała: była urodziwsza od swojej córki. Mimo to nie podobieństwo dostrzegał w nich Aron ogromne. Szczególnie oszołamiały linie i kształty palców rąk i stóp: u obu kobiet zupełnie były jednakowe.

— Nie dziw się — uśmiechnęła się Etelgifa — to tajemnica największej bliskości. Wszak jednym byłyśmy kiedyś ciałem, miałam Egifę w sobie... potem jednego miałyśmy małżonka: Króla Edwiga...

Aron zamknął oczy. Ale nadal widział dwie jasnowłose, niebieskookie kobiety, tak przeraźliwie do siebie podobne, mimo że różniące się wiekiem i urodą. Zobaczył, jak Egifa wychodzi z kąta, jak

na palcach zbliża się do matki, jak pomaga jej się podnieść z klęczek.

— Nie mogę sama wstać — szepcze Etelgifa — wszak wiesz, słyszałeś? Arcybiskup Odo kazał mi żelazem do czerwoności rozżarzonym wypalić ścięgna pod kolanami...

Aron gwałtownie odwrócił się do ściany. Czołem, nosem, dłońmi, kolanami wparł się w belki, jak gdyby chciał się pomiędzy nie wśliznąć. Nie widział już dwu kobiet, lecz za to coraz wyraźniej słyszał ich szept podniecony, namiętny a radosny:

— Znasz nasze głosy? Znasz, pamiętasz. Słyszałeś je młodzieniaszkiem w Kingstonie. Płynęły ku tobie z łoża szerokiego królów Anglii. Nie śmiałeś się przyznać przed sobą: aleś nas miłował, nie widząc nigdy. Teraz widzisz — przyszliśmy do ciebie — zaraz wślizniemy się pod futro, przytulimy się z obu stron do twego ciała — ochłodzimy je: tak straszliwie jest rozognione!

— Precz! Precz! Nie chcę was... nie znam was... nienawidzę...

— Kłamiesz, nie możesz nas nienawidzić. Mnichu-włóczęgo, sieroto biedny, samotniku wieczny — z nami przecież poznasz takie rozkosze i takie szczęście, jakie dawno niczym nie było udziałem. Czytywałeś, chętnieś czytywał o Junonie, co siostrą i małżonką Jowisza była na raz: spójrz na Egifę — weź ją — chce ci być siostrą i małżonką. A potem stokroć cię jeszcze większe czeka szczęście, jakiego Jowisz nawet nie dostąpił: ode mnie na raz otrzymasz miłość małżonki i miłość matki... Za szczęście to Edyp oczyma zapłacił — z radością zapłacił, przysięgam ci! To tylko głupcy powiadali, że rozpaczał: szczęśliwy był z Jokastą!

— Ratunku! Ratunku! Gerbercie Sylwestrze, ratuj! Ratuj, choćby zaklęciem magicznym!

Wyrzuciwszy z siebie straszliwy ów krzyk, Aron natychmiast przeląkł się własnych słów. Od drzwi poprzez szparę zamku trysnęło na niego strumieniem złocistego blasku. Obie kobiety pospiesznie cofnęły się od łoża — nawet Etelgifa, mimo kalectwa, skoczyła, frunęła nieomal w odległy kąt — zaszyły się tam, przykucnęły — Aron widzi je, dobrze widzi. Co je spłoszyło? Co odpędziło? Wołanie Arona? Nagła pomoc zesłana ulubieńcowi przez zmarłego Gerberta

Sylwestra?

Znów rzuciło Arona w żar straszliwy. Ten strumień blasku złocistego! Czyżby więc miało być prawdą, co powiadali wrogowie Gerberta Sylwestra? Miałżeby on istotnie kumać się z demonami? Oto poprosił Aron bluźnierczo o zaklęcie magiczne i stało się: posłuszne Gerbertowi demony strumieniem złocistego blasku odpędziły od jego łoża pokusę straszliwą, w postaci Egify i Etelgify wcieloną: ale czyż to nie grzech okropny — zło z pomocą złych zwalczać sił?!

Głośno skrzypnęły drzwi. Do komnaty wszedł białobrody, łysawy, czarnooki starzec — bosy był, ciało jego okrywała nędzna, żebracza suknia, istny łachman.

Wolnym krokiem zbliżył się do łoża, dotknął czoła Arona kościstą, pomarszczoną ręką.

— Choryś bardzo — rzekł przyjaźnie, współczująco. — Nie wiem, czy właściwie nie powinienem już zabrać ciebie z sobą. Ale chyba jeszcze nie czas.

— Czy one jeszcze tam są? — zapytał Aron szeptem.

— Nie myśl już o nich. Gdy jestem przy tobie, one są bezsilne.

— To królowa Anglii i jej matka, a tyś żebrak nędzny. Jak mię przed nimi obronisz? Zaklęciem magicznym?

— Przyszedłem cię uleczyć, bo mi powiedział miły a mądry towarzysz z drużyny mojej, żeś pełen jest mądrości wzniosłej. A widzę, żeś ciemny.

— Masz drużynę? A tak, słyszałem kiedyś, że żebracy łączą się w drużyny i wybierają sobie wodzów. Powiedz: cóż to za blask nie do zniesienia sączy się poprzez szparę w drzwiach? Nie mogę patrzeć: oślepie.

— To klucz, którym w drzwiach zostawił.

Aron nagle poderwał się całym ciałem. Zrzucił z ramion futro, mocno wsparł się na dłoniach, utkwiał w starcu spojrzenie przenikliwe a pełne zdumienia.

— Słuchaj — zawołał — jak to się dzieje, że z ust twych płyną słowa, których nie znam zupełnie, a rozumiem wszystko, co mówisz? — Przecieżem nigdy języka takiego się nie uczył, nigdy go dotąd nie

słyszał!

Starzec uśmiechnął się. Usiadł na krawędzi łoża.

— Nie ja jeden — rzekł — dwunastu nas otrzymało moc taką, by rozumieli mowę naszą i Rzymianie, i Grecy, i Egipcjanie, i Libijczycy, i ci, co z Pamfilii przyszli, i z Frygii, i z Kapadocji...

— Ależ cóż to za mowa taka dziwna?

— Mowa Abrahama, Izaaka, Jakuba.

— Jesteś Żydem? Nigdy nie widział Żyda tak nędznie odzianego — mruknął Aron.

— Nie mam w co się odziać. Na całym okręgu ziemskim nie znajdziesz takiej szaty, co by godna była moje okryć ramiona. Purpury wszystkich królestw świata, to jeno podściółka pod stopy moje.

— Strasznieś pyszny. Czy jesteś królem żydowskim? Nigdy nie słyszał o tym, by Żydzi po Herodach mieli jakiegoś króla. A może to Rycheza, nadal płacąc dług wdzięczności Ottonów, kogoś z rodu Kalonyma na tron królewski żydowski wyniosła?

— Nie, właśnie Żydzi, plemię moje, za władcę uznawać mnie nie chcą — odrzekł starzec ze smutnym uśmiechem. — Głupcy! Nie, biedni ślepcy raczej! Gdyby siedli wokół stóp moich, królewską purpurą okryłbym ich ramiona. Marmury Kapitelu ochłodziłyby ich czoła zbolale, wodotryski Watykanu obmyłyby ich stopy w wędrówce bezkresnej wielce utrudzone...

— Rzekłeś, żeś przyszedł mnie leczyć. Jesteś lekarzem? Ale chyba lepszym niż inny Żyd-lekarz, syn Kalonyma, ów, co Ottona leczył, przecież daremnie...

— Gdyśmy z Janem przez Bramę Piękną do świątyni wchodzili, dotknąłem dłonią chromego od urodzenia i zaraz skakać począł...

Aron zasłonił twarz dłońmi.

— Ulecz nie ciało moje, jeno duszę, Kluczniku Niebios. Straszliwie zgrzeszył pożądaniem, pożądaniem oczu duszy...

— A widzisz, powraca ci już zdrowie. Rozumiesz już, że to jeno dusza twoja postaci niewieście tu koło siebie widziała, naprawdę zaś ich nie było...

— Nie było?

— Jakżeś dziwny. Straszliwym głosem o pomoc wolałeś, a teraz żal i gorycz słyszę w twym głosie: żałujesz, że to nie naprawdę przychodziły do ciebie kobiety...

— Czy pozwolisz, władco królów, by drużynnik twój najędzniejszy zadał ci pytanie?

— Pytaj, jak gdybyś Sylwestra, ulubieńca mego, pytał.

— Czy ja... czy zawsze, do końca dni swoich będę musiał płacić?

Starzec dotknął ręką czoła Arona. Drugą prześliznął się po swoim czole, po policzku, po brodzie.

— Miałem, Aronie, żonę, którą bardzo miłowałem. A gdy przybiegł Andrzej, gdy krzyknął: „Znaleźliśmy Zbawiciela!” zarazem pobiegł, nigdy więcej do małżonki umiłowanej nie wrócił.

— Więc jednak bardzo zgrzeszyłem — z łkaniem szepnął Aron tuląc się do pomarszczonej, kościstej dłoni.

— Będzie ci przebaczone. Jeżeli mnie przebaczył Chrystus, zem trzykrotnie go się zaparł...

— Słuchaj! — zawołał Aron zupełnie innym tonem niż uprzednio: tonem, jak gdyby do kogoś równego sobie mówił. — Słuchaj, musisz mi rzec, jak to się stało, że chociaż zaparł się Chrystusa, pozostawił ci nadal władzę nad owcami i barankami...

— Niezmierzone jest Miłosierdzie Boże — szepnął starzec zwiesiwszy głowę.

— Nie, ja tego nie rozumiem — coraz to bardziej podniecał się Aron. — Nigdy nie zrozumiem! Mógł ci przebaczyć, bo wszakże rzekł, że siedem razy siedemkroć przebaczać należy! Ale przecież to wcale nie to samo: przebaczyć a wodzostwo zaufać. Czy dlatego, żeś Go bardzo miłował, uczynił cię namiestnikiem swoim, wręczył ci klucz złoty Królestwa Niebios, klucz, co w drzwiach teraz tkwi, blask złocisty sącząc? Ale Jan przecież także Go bardzo miłował. A przy tym Jan nie wyparł się Go nigdy, nie zdradził... Czemuż więc, przebaczywszy ci, nie odjął jednak klucza, nie przekazał go Janowi? Czyż mógł być pewien, że więcej Go nie zdradzisz?

— Mądrość Przedwiecznego zawczasu wie wszystko.

— Zawczasu więc wiedziała, że nim kogut zapieje, zaprziesz się

Jej. Jakżeż więc mogła, wiedząc to, powierzyć ci namiestnictwo w dowodzeniu drużyną swoją?

Starzec podniósł się. Odszedł od łoża, cofnął się o kilka kroków. W czarnych oczach zamigotał blask myśli skupionej, wielką tajemnicę tropiącej.

— Czyż nie mówił ci po wielokroć Sylwester mój umiłowany, że źródło mocy, w którą Majestat Boży wyposażył gromadę przeze mnie rządzoną — Kościół, w mądrości się tai? Rozglądając się za namiestnikiem, szukał Pan takiego wśród swych uczniów, co by nad wszystkimi mądrością, właśnie mądrością górował... Powiedźże sam: przez usta którego z apostołów głębsza, wnikliwsza mogłaby przemówić mądrość, niż przez te, co na pytanie „Kim mnie być powiadacie?” odrzekły — one jedne tylko odrzekły: „Tyś jest Chrystus, syn Boga żywego”. Nie dziw się więc, że na opoce ludzkiej mądrości wnikliwej zapragnęła zbudować swój kościół Przedwieczna Mądrość Boża. Mogłem zaprzeć się, mogłem zdradzić, ale zawsze pozostawał tym, który rozumie, który wie... A tylko ten, co rozumie, co wie, może władać... może namiestnikiem być Boga samego...

Znów zbliżył się starzec do łoża. Nachylił się prawie nad samym uchem Arona.

— A może — szepnął z zagadkowym uśmiechem — może On sam nie wiedział, nie podejrzewał, nie przeczuwał tego, co ode mnie usłyszał... Może za to właśnie mnie tak uczcił, że mu drogę właściwą, którą iść winien, wskazał... Każdy wódz mieć musi przy sobie mędrca, który mu drogę właściwą ku władaniu, ku mocy wskazuje; każdy wódz mędrcomu takiemu każde zaparcie się, każdą zdradę przebaczy...

— To nie ty mówisz, nie ty! — zawołał Aron wyskakując z łoża. — To Ibn al Faradi mówi! Poznaje jego głos, jego uśmiech, mowę grecką, myśl arabską poznaje! To nie ty... nie ty... nie ty...

— To ja, ojcie Aronie... ja, opat Antoni... uspokój się, Wracaj do łoża... Z kim ty rozmawiasz? Do kogo krzyczysz? Choryś straszliwie... Majaczysz okropnie...

Z trudem udało się Antoniemu przy pomocy pokojowców umieścić

Arona ponownie w łożu, ponownie otulić niedźwiedzim futrem. Poprzez kurczowo zaciśnięte wargi i zęby z trudem wlewano w gardło chorego gorące płyny pokrzepiające. Tygodnie całe bredził nieprzytomnie. Aż z Miśni, od margrabiego Hermana, zięcia Bolesławowego, sprowadzono Żyda-lekarza. Aron długo nie chciał dopuścić lekarza do siebie.

— Nie śmieję zbliżyć się do mnie! — krzyczał chrapliwie. — Nie śmieję! Znowu pokalasz czystość myśli mojej! Nie wierzysz, że Boga stać na to, by się zniżyć do wstąpienia w naturę ludzką... Nie wierzysz, że nim Piotr powiedział, On już wiedział... Sam wiedział, kim jest...

Żyd z Miśni więcej miał szczęścia niż Żyd z Rzymu, syn Kalonyma. Tamten nie ocalił Ottona, ten uzdrowił opata tynieckiego. W drugim tygodniu Wielkiego Postu Aron już zaczął wstawać z łoża, przechadzać się po izbie.

Któregoś dnia Antoni wszedł do jego komnaty w towarzystwie nieznanego Aronowi młodzieńca, wcale dobrze mówiącego po łacinie.

— To chyba nie Sas — nachylił się Aron nad uchem opata międzyrzeckiego. — Nie jest kapłanem, a tak biegle mową świętą Rzymu włada. Burgund? Italczyk?

— Nie, to Stojgniew, Polak — uśmiechnął się Antoni. — Otośmy wyhodowali pierwszy piękny kwiat mądrości na ugorze słowiańskim — dodał po chwili głosem, w którym wyraźnie rozbrzmiewała duma ogromna.

Stojgniew wyjeżdżał w poselstwie od Bolesława do książąt i biskupów Lotaryngii. Antoni wcale nie ukrywał przed Aronem, że poseł polski jedzie buntować Lotaryńczyków przeciw Henrykowi Drugiemu.

— Nowa wojna lada tydzień się rozpocznie — rzekł zacierając rękę. — Pobożny, świątobliwy król Henryk znowu Lutyków pogańskich na Pana Króla naszego szczuje. A my za to poszczujemy na niego Lotaryńczyków, może nawet braci własnej jego żony. Zechciej, ojczyźnie opacie, opowiedzieć Panu Stojgniewowi o wszystkich tych mężach znakomitych Lotaryngii, jakich poznałeś za swej tam bytności.

Opowiedz, kto z nich lubi konie, kto stroje, a kto kobiety — kto łatwo się upija, kto łatwo w gniew wpada...

Aron ze zdziwieniem przyglądał się twarzy Stojgniewa. Opuchnięta była — pod okiem miał siniak, na policzku znak wyraźny po zadrapaniu.

— To go ojciec i starsi bracia tak na drogę obdarowali — uśmiechnął się Antoni. — Rozwścieczyło ich, że najmłodszy z rodziny takie dostojęstwo wysokie przy dworze książęcym osiągnął. Wiele jeszcze potrzeba, ojciec Aronie, czasu, byśmy zdołali na dobre wbić we łby Polakom naukę szlachezną, iż nie masz praw pierworodztwa, jeno prawo mądrości i wierności w służbie królewskiej. Im się wciąż roją przekazy ojców pogańskich o jedności rodu, plemienia, krwi — nie zapamiętali jeszcze sobie słów Zbawiciela, iż kto nie wyrzeknie się ojca, matki, brata, siostry — nie jest godzien, by Jemu służyć. Jemu i namiestnikom Jego: królom, biskupom, opatom. Nie może pojąć ojciec Stojgniewa, że mniej jest synowi swemu bliski niż ja, Italczyk, czy ty, Irlandczyk — nie rozumie, że jedność w służbie Bolesławowej mocniejszą jest obręczą niż jedność rodu i krwi.

„Zupełnie tak jak Tymoteusz — pomyślał Aron, z podziwem patrząc na posiniaczone oblicze Stojgniewa — rzekł rodowi swojemu: «Ja przeciw wam»”.

— A czy Tymoteusz wrócił? — zapytał pospiesznie Antoniego.

— Nie wrócił. Za to o Panu Mieszku radośniejsze nieco mamy wiadomości. Już mu nie grozi kalectwo. Udalryk czeski wydał go królowi Henrykowi.

— A czy król Henryk wyda go ojcu?

Antoni znowu zatarł ręce, znowu uśmiechnął się.

— Na roścież otworzył Król Pan nasz podwoje skarbcza swojego. Dary bogate: zbroje, siodła, czasze, pierścienie, łańcuchy w obfitości się już rozeszły po grodach saskich, książęcych, margrabiowskich, biskupich. Już tam koło doradcze naciska na Henryka, by Mieszka co prędzej wypuścił.

Głos Antoniego spoważniał nagle, stał się prawie surowy. — Powiadają, że król Henryk zażądał od Mieszka przysięgi, iż mu

zawsze wiary dochowa, choćby przeciw ojcu nawet. Nie wiem, czy prawda to. Ale słyszałem, że ponoć pani Rycheza gońca do małżonka uwięzionego pchnęła namawiając, by koniecznie przysięgę wierności bezwzględnej Henrykowi złożył, ale nie jako królowi niemieckiemu, jeno Imperatorowi Rzymskiemu.

Prawie do świtu siedział Stojgniew u Arona z uwagą słuchając opowieści o dostojnikach lotaryńskich, o obyczajach ich i przywarach. Raz po raz wtrącał pytania, które aż w podziw wprawiały Arona: takie były rozsądne.

Antoni nie odszedł ze Stojgniewem.

— Czy masz w Anglii — zapytał Arona, gdy zostali sami — kogoś, o kim byś mógł powiedzieć, że to był przyjaciel zaufany młodości twojej?

Aron, zdziwiony, pospiesznie, ale uważnie przebiegł myślą szkolne swe lata glastonberyjskie. Z tajników pamięci wyłoniła się postać wyniosłego, milkliwego, zamkniętego w sobie chłopaka, który wespół z Aronem towarzyszył przed osiemnastu laty w drodze do Rzymu arcybiskupowi Alfrykowi.

— Jeden chyba Etelnot, syn Etelmera — szepnął opat tyniecki ze smutkiem prawie: goryczą go napawało, że tak bardzo czuł się w Anglii samotny, że jedynie o wyniosłym towarzyszu podróży rzecz może: „Mój przyjaciel”.

Antoni zerwał się z miejsca.

— Etelnot, syn Etelmera? Toż on dziś jest opatem glastonberyjskim: niczyj głos prawie w Anglii tyle ostatnimi laty nie waży, co jego. To dobrze, bardzo dobrze. Panu Królowi naszemu wielce przydać się może twoja z nim przyjaźń.

— Na cóż może się przydać? — zawołał Aron zdziwiony. Antoni długą chwilę przyglądał się mu bardzo badawczo, jak gdyby wahał się, czy powinien wdać się w dalsze wyjaśnienia, czy zmilczeć raczej.

Widocznie jednak bardziej ufał Aronowi, niż samemu mu się nieraz wydawało, bo wziął opata tynieckiego za rękę i rzekł prawie szeptem:

— Bolesław Lambert do Anglii wyruszył. Chce podobno do ugody przywieść króla Etelreda ze Swenem i Kanutem Duńczykiem. Może

mu się uda: wszak bratankiem jest żony Swena, a mężowie Północy w wielkiej czci mają pokrewieństwo poprzez kobiety. Gotów jest uzyskać, że z Etelredem się pogodzą, a przeciw Panu Królowi naszemu znów się obróca.

Ledwie zamknęły się drzwi za Antonim, Aron rzucił się na łożo. Znużony był bardzo. Po krótkiej chwili chrapał, porwany w objęcia snu — mocnego snu ozdowieńców.

Śniła mu się Rycheza. Szła przez Forum Romanum ku łukowi Tytusa. Aron ledwie nadążał szybkiemu jej krokowi. — A jednak jesteśmy w Mieście — powiedziała tryumfującym tonem, nie zwalniając kroku ani nie odwracając głowy. Przystanęła dopiero przed potężnym czerwonym gmaszyskiem bazyliki Konstantyna. — Tu przyjdziemy na noc z Mieszkiem — rzekła. — Tu, u stóp posągu olbrzymiego pocznę Cezara Augusta, co potęgą przerośnie nie tylko wuja Ottona, ale i Konstantyna samego.

Uniosła nogę, postawiła ją na stopniu. — Ależ, pani Rychezo — zawołał Aron wylęknionym głosem. — To jest przecież świątynia Arabów: tu Mahometa czczą, nie Chrystusa.

— Wejdźmy — mówi Rycheza i stawia nogę na drugim stopniu.

Dookoła meczetu rojno jest i gwarno, ale na nich dwoje nikt nie zwraca uwagi, nawet Ibn al Faradi, który kiwa się na mule, przerzucając skrwawionymi palcami łacińską księgę. Aron chciałby na niego krzyknąć, ale nie może sobie przypomnieć żadnego greckiego słowa. A bez Ibn al Faradiego nie śmie wejść do meczetu: modlący się Arabowie w okamgnieniu rozszarpią niewiernego, co hańbi Dom Boży, wprowadzając kobietę, i to z nie zasłoniętą twarzą. Zaczyna gorąco odradzać Rychezie wejście. Patrzy na niego z wzgardliwym uśmiechem. — Ze mną boisz się wejść? Ze mną?!

Nie, nie okaże więcej, że się boi. Tyle razy przechodził dawnymi laty obok meczetu i nigdy nie wstąpił. Zawsze czuł, że wstępując zdradziłby Chrystusa. A więc teraz go jednak zdradzi? Znowu zaczyna błagać Rychezę: niech nie popełnia zdrady — straszliwa dotknie ją pomsta, a jeszcze straszliwsza jego, Arona; siostrzenica i dziedziczka Ottonowa prędzej dostąpi przebaczenia lub choćby ulgi w wymiarze

kary niż samotny mnich-włóczęga... — A już wierzyłam, że ty mnie miłujesz — zawiedzionym głosem mówi Rycheza i o jeszcze jeden postępuje naprzód stopień. Aron zbladł.

— Nigdy ci tego nie mówił! — krzyknął i zdziwił się niepomiernie swemu krzykowi. W mowie irlandzkiej wypowiedział te słowa, a był pewien, że mowy tej zapomniał już zupełnie.

Niemniej zdziwiło go, że Rycheza zrozumiała, co powiedział.

— Ty nawet nie wyobrażasz sobie, co ja wiem i co mogę — odpowiedziała, jak gdyby czytała swobodnie w jego myślach.

— Wchodząc do arabskiej świątyni należy zdjąć obuwie, taki jest zwyczaj czczenia majestatu Bożego! — zawołał Aron z trudem hamując radość: był pewien, że nie wejdą już do meczetu, dziedziczka wszystkich najsłabszych myśli Ottonowych nie poniży się do obnażania stóp na oczach spóśłstwa.

Bez wahania zdjęła trzewiki.

I dopiero wtedy dostrzeżono ich w przewalającym się wokół meczetu tłumie. Otoczono ich ciasnym, hałaśliwym wieńcem, pokazywano sobie palcami bose stopy Rychezy, śmiano się jak z dziwu nigdy dotąd nie oglądanego.

— Ale ty także zdejmij obuwie, Aronie. Godnyś, by być moim bratem w poniżeniu.

Odparł jej pospiesznie uroczystym, prawie surowym tonem:

— Nie znasz obyczajów tej wiary. Kapłan może, a nawet musi wchodzić do świątyni ich w obuwii.

Zbudził się. Uniósł się lekko na łożu. Uczuł, jak do gardła podstępnie mu fala łkania. Czemuż skłamał? Czemu oszukał Rychezę? Powiedziała mu: „Godnyś zbratania się ze mną”, a oto on, sierota, samotnik, nikogo bliskiego krwią nie mający, uchylił się od zbratania. Głupiec, po stokroć głupiec! O cóż mu chodziło? Chciał przeżywać przez chwilę rozkosz wywyższenia się ponad dziedziczkę Imperatora? Skądże w nim tyle pychy? Ale nie, nie o to mu chodziło, nie o to. Niech ona sama zdradza prawdę, której dotąd służyła; bo czyż to nie zdrada dotykać nagością ciała tkanin, posadzkę meczetu okrywających — tkanin, poza którymi czają się demony niezliczone?

Nie, on jej w tej zdradzie nie towarzyszy, nie brat.

Odetchnął z ulgą i odwrócił się na prawy bok. Ze zdziwieniem i strachem zobaczył, że nie jest w izbie sam.

— Co tam robisz? — drżącym głosem zawołał do ciemno ubranej postaci pochylonej nad jakimś workiem potężnie wypchanym.

— Liczę szmaragdy, któreś zrabował w królestwie podziemnym — odpowiedziała Rycheza.

„Dalej śpię, powinienem się zbudzić co prędzej” — pomyślał Aron i odrzekł głośno:

— Więc ty także wierzysz w te brednie? Czyżesż zaprawdę taka sama jak Teodora Stefania?

— Tak samo miłuję się w szmaragdach — odpowiedziała.

Uniosła ku górze dłoń i Aron aż oczy przymknął: oślepił go prawie potok zielonych, iskrzących się kamyków, jakie się posypały ku bosym jej stopom.

— Nie masz do szmaragdów prawa! — zawołał tonem prawie urażonym. — Nie zielone wszak masz oczy, ciemnoniebieskie. Chodźmy, poszukamy dla ciebie szafirów, znam taką galerię w tym meczecie: różne tam znajdziesz kamienie.

Zwłókł się z łoża, narzucił na siebie leżącą na niskim stołeczku szatę — ze zdziwieniem spostrzegł, mając już ją na sobie, że zielona jest a cienka i lśniąca — kobieca raczej szata!

Łatwo odszukał galerię, o której mówił Rychezie. Na palcach prześlizgiwali się wzdłuż kolumn z połyskliwego marmuru o barwie pomarańczy. Prawie pod każdą kolumną stały na postumentach kamiennych misy, iskrzących się pełne kamieni. Rycheza nad każdą pochylała się misą: potoki czerwieni, błękitu, seledynu, fioletu spływały z jej palców, wysoko ponad głową unoszonych, na sploty ciemnych włosów, na piersi, pod stopy.

— Uważaj! — krzyknął Aron. — Kamień nawet najszlachetniejszy uderza. Będzie cię bolało.

— Mnie nic nie zabolę. Jam silna.

W głębi galerii płonęło sześć lamp. Sześć kręgów lśniących padało na zasłonę, całą w srebrze tkaną. Gdy podeszli bliżej, Aron

spozrzegł, że wprawne ręce tkacza, mistrza znakomitego, pokryły zasłonę setkami malutkich orłów. Aron uczył, że ogarniać go poczyna strach, choć nie mógł pojąć, co rodzi to uczucie grozy. — Tam za zasłoną ktoś jest — ledwie zdołał wykrztusić trzęsącymi się wargami.

Rychezę również zdawała się ogarniać trwoga. Tak samo jak Aronowi trzęsły się jej wargi, gdy mocno przyciskając pierś lewą ręką, wyszeptała:

— Czas już. Gdzie twój miecz? Zatętniło mu w skroniach, zaszumiło w uszach, tysiące igieł niewidzialnych kłuły od wewnątrz jego stopy.

— Nie mam miecza.

Zaśmiała się wesoło, a wzgardliwie, bezlitośnie.

— Nie masz miecza? Po cóżeś w języku matki swej do mnie przemawiał? I to z takim, co miecza nie ma, chciałam bratać się w poniżeniu?! Jakażem głupia! Istotnie pobłądziłam mówiąc, że mię miłujesz. Nikogo nie możesz miłować, miecza rycerskiego nie mając.

Aron postąpił krok naprzód.

— Mam miecz — gniewnie rzucił przez zaciśnięte zęby. — Mam. Godnym bratania się z tobą w chwale, w potędze, nie tylko w poniżeniu. Ale Ojciec Najświętszy Sylwester kazał mi go odłożyć, na zawsze. Nie obnażę go nigdy, jestem kapłanem, nie rycerzem.

— Nawet jeżeli padnę przed tobą na kolana, jeżeli całować będę twe stopy?

Ugięły się pod Aronem nogi. — Pani — wyszeptał z bólem, jęknął prawie. — Czy chcesz, bym przebił drugi bok Zbawiciela naszego?

— Nie, chcę, byś do innego godził mieczem celu.

— Do żadnego, pani Rychezo...

— To zostań tutaj. Sama uchylę zasłony, sama pod nią przejdę. Wezmę miecz Bolesławowi, potężny miecz.

— Przeciw komu go obrócisz? — chciał krzyknąć, ale ledwie słyszalny zerwał się z ust jego szept. Czuł, że jeszcze chwila, a runie na posadzkę, na stopy iskrzących się rubinów, szafirów, ametystów.

Ale Rycheza dosłyszała, co mówi. Na twarzy jej zaigrał uśmiech przebiegły i złowrogi zarazem. A przecież uroczy to był uśmiech.

— Najpierw przeciw sobie — rzekła uchylając zasłony — a potem....

Aron uczył, że za jego plecami ktoś stanął. Chciał zerwać się z miejsca, pobiec naprzód, zatrzymać Rychezę, odciągnąć ją od zasłony.

Ale nie mógł się ruszyć. Czuł, że nogi przyrosły mu do posadzki.

— Nie martw się, bracie — usłyszał tuż za sobą spokojny głos Tymoteusza. — Zawołaj ją tylko po imieniu.

Aron westchnął z niewysłowioną ulgą.

— Teodoro Stefano! — zawołał dźwięcznym głosem. Wypuściła z ręki brzeg zasłony, zachwiała się, cofnęła. Skurczyła się cała, zmaląła. Powoli, niechętnie, ale zakłębieniem nieodpartym jak gdyby przymuszona, obróciła ku Aronowi oczy. Szeroko rozwarte, spłoszone, pełne zgrozy. Nie ciemnoniebieskie — zielone.

14

Bolesław wszedł wolnym, ciężkim krokiem, szeroko rozstawiając stopy i wyraźnie kołysząc się w biodrach i ramionach. Przed nim postępowały dwa psy, tak olbrzymie, że lśniąco, kudłate ich grzbiety sięgały do jego rąk; Bolesław idąc głaskał je raz po raz z widocznym zadowoleniem; gdy w chodzie odwracały ku niemu głowy, zatrzymywał się i wesoło szczyrzył do nich piękne, olśniewająco białe zęby. Arcybiskup Hipolit, Tymoteusz, opat Antoni, Saul z Końskiego i Wincenty, Krzywym Wąsem zwany, szli za Bolesławem — wszyscy jednak silnie czymś przejęci, podnieceni, ale weseli raczej niż zgnębieni. Podniecenie też malowało się na twarzach Mieszka Lamberta i Ryczezy, lecz bynajmniej nie radosne: siostrzenica Ottona krzepiła małżonka spojrzeniem pełnym stanowczości, ale posępnym i prawie gniewnym. Była bardzo blada, przygryzała raz po raz wargi i szybko postukiwała o podłogę prawą nogą: poprzez cienką skórę obuwia nietrudno było dostrzec, jak bez ustanku kurczą się i sztywnieją na przemian jej palce.

Bolesław skierował się ku wzniesionemu o dwa stopnie ponad podłogą trójnogiemu stolcowi, nie mającemu oparcia ni poręczy. Gdy siadł, szerokie jego plecy prawie zupełnie przysłoniły wielki wizerunek orła, który zdobił ścianę, biały raczej niż srebrny, z biegiem lat bowiem zblakły, straciły połysk nici, jakimi znak Patrycjusza Imperium Rzymskiego wyhaftowany był na wielkim kawałku lśniącej purpurowej tkaniny.

Psy umieściły się u nóg Bolesława. Ocierały się grzbietami o jego obuwie, rozwierały pyski, szczyrzyły kły, oblizywały się.

— Czy Pan Ojciec pozwoli mi zadać sobie pytanie? — zapytał Mieszko po niemiecku głosem niepewnym, wyraźnie drżącym. Bolesław przyzwalająco skinął głową. Bardzo jasne jego oczy świdrowały bladą, pełną niepokoju, a jak zawsze uroczą twarz syna z nietajonym rozbawieniem, nie wolnym od leciutkiego szyderstwa. „Z góry wiem, o co mię zapytasz”, zdawały się mówić pobłaźliwie.

— Czy prawdą jest, że Pan Ojciec mnie pragnie powierzyć obronę

grodu krośnieńskiego przed cesarskimi wojskami?

Bolesław znowu milcząco skinął głową. Wzrok jego nie spoczywał już na synu — powędrował ku twarzy Ryczezy, prześliznął się po jej czole, oczach i ustach. Aronowi wydawało się, że mniej już w tym spojrzeniu jest szyderstwa, ale też i mniej rozbawienia. Stawało się ostrzejsze i zimniejsze, a jak gdyby też i bardziej skupione, bardziej czujne.

— Ten nie da się opętać żadnej Teodorze Stefanii — szepnął do siebie opat tyniecki, w całym ciele nagle silny odczuwając dreszcz.

Rok już prawie upłynął, odkąd w Poznaniu we śnie zawołał na Ryczezę: „Teodoro Stefanio!” Przełomowa to była dla niego chwila. Zamknął się w sobie; sposepniał. Opat Antoni nie poznawał go, przypisywał niezwykłą przemianę wyczerpaniu ciężką chorobą spowodowanemu. Również Ryczeza z miejsca mu rzekła, gdy wrócił do Krakowa: „Jakżeś inny!” Aron unikał jej jak mógl. Jeszcze bardziej zaś począł jej unikać po powrocie Tymoteusza. Jeżeli dotąd miewał chwile, gdy mówił sobie, że to demony nasyłały do niego w Poznaniu po chorobie sen mamiący, sen kłamliwy — chwile te skończyły się bezpowrotnie wraz z przyjazdem do Krakowa biskupa poznańskiego. Dnia owego przygnębienie Arona dosięgło szczytu: nie mógł już dłużej się łudzić. Musiał powiedzieć sobie, że sen jego nie kłamał, nie mamił. Ryczeza, to Teodora Stefania przy Bolesławie i Mieszku — nie miał już wątpliwości.

Tymoteusz wrócił z Rzymu do Polski niezwykłą drogą — przez Wenecję, przez Węgry.

— Gdybym inaczej do Poznania jechał, Niemcy by mnie do klatki złowili, przecież nawet na Węgrzech omal mnie nie pojмали — opowiadał wesoło, odsłaniając w uśmiechu szczerbę w bocznych górnych zębach.

Arona zdumiewało, że Tymoteusz znowu był jakiś inny. Zazwyczaj nie zmienia się już nic w naturze ludzkiej, gdy czwartego dziesiątka lat dobiega — tak się zawsze Aronowi wydawało, tak też pouczali go arcybiskup Alfryk i Arab Ibn al Faradi. A oto Tymoteusz zadawał sobą kłam temu mniemaniu: ruchy, głos, uśmiech, bogactwo myśli i słów —

wszystko to w nim było odnowione po podróży do Rzymu, odświeżone jak gdyby: bardziej dostojne a zarazem bardziej urocze. Znów był dojrzały, a jak gdyby odmłodzony równocześnie.

Rycheza patrzyła na biskupa poznańskiego z nie mniejszym podziwem niż Aron. O zachodzie słońca stali we troje na wzgórzu wawelskim, tuż nad urwiskiem, oparci o drewnianą balustradę, którą Rycheza kazała wznieść na wzór kamiennej balustrady nad urwiskiem Awentynu. Daleko w dole pod nimi wiosenną huczała radością wezbrana, odmłodzona Wisła. — O ileż wspanialsza to rzeka niż Tyber — szepnął Tymoteusz przechylając się ponad drewnianym ogrodzeniem.

— Doprawdy zdumiewam się, że nie miłowała ciebie Teodora Stefania — rzekła nagle wolno cichym głosem Rycheza.

Gładko wygolona, pełna, ładna twarz Tymoteusza jęła się z wolna obracać ku mówiącej. Bardziej niż kiedykolwiek podobny był teraz biskup poznański do stryja swego, Jana Teofilakta, zowiącego się od trzech lat Benedyktem Ósmym.

Wzrok Arona chciwie wpił się w oczy przyjaciela. „Jeszcze ułamek chwili — pomyślał ze strachem — a dowiem się wszystkiego... Przekonam się, czym dobrze zrozumiał, dlaczego rzekła mi w Rawennie: »Owo lekarstwo to dar wdzięczności«... dlaczego tak podniecony miała głos, gdy po zgonie Ottona wzywała Tymoteusza, by szedł za nią”.

— Nie godzi się, pani Rychezo, o takie sprawy ziemskie zagadywać tych, co pomazania biskupiego dostąpili — rzekł Tymoteusz z uśmiechem przekornym a pobłażliwym zarazem, pobłażliwie też wzruszając ramionami.

Uśmiechały się jednak tylko usta jego — zielone oczy były zimne, a jak się Aronowi wydawało, prawie surowe. Zupełnie czymś nowym była ta surowość. „Patrzy niczym Grzegorz Piąty” — zawstydził się nagle swoich myśli o Teodorze Stefanii opat tyniecki. Pospiesznie opuścił oczy ku ziemi.

Ale uczucie zawodu przemogło w nim nad nagłym zawstydzeniem.

— Nie widziałeś ostatnio w Rzymie Teodory Stefanii? — wyrzucił

z siebie jednym tchem, nie podnosząc wzroku.

Rzekłszy to, przeląkł się. I natychmiast rozżłościł się na siebie: cóż to się dzieje? Zaczyna bać się Tymoteusza?!

— Widziałem.

Jednako zaciekawione spojrzenie utkwili w Tymoteuszu Aron i Rycheza.

— Gdzie? Kiedy? — pospiesznie, prawie gorączkowo zapytał opat tyniecki.

Teraz uśmiechały się pobłaźliwie już nie tylko usta, ale też i oczy Tymoteusza. Niedbale odpowiedział, że w pierwszą niedzielę Wielkiego Postu asystował przy nabożeństwie w bazylice laterańskiej stryjowi swemu, Ojcu Najświętszemu; w przepelniającym bazylikę Janową tłumie dostrzegł w pewnej chwili wdowę po Krescencjuszu.

— Czy prawda to, że ona otruła wuja Ottona? — zapytała Rycheza wyrzucając za siebie dłonie i opierając je o drewnianą balustradę.

— Nie, nie otruła. Ale duszę jego truła. Truła długie lata. Świadomie truła.

— Grecy ją namówili.

Okrzyk ów wyrwał się Aronowi zupełnie wbrew woli. Tymoteusz wolno obrócił ku niemu twarz, wysoko wznosząc brwi i marszcząc czoło.

— Wiesz o tym? — zapytał tonem pełnym głębokiego zdumienia. — Tak, Grecy ją nasłali. Nasłali, by opętała Ottona, by truła mu duszę. Nie uwierzyłem stryjowi, gdy mi rzekł: „Zabrał ci ją ktoś potężniejszy od Ottona”. A okazało się, że prawdę rzekł. Ojciec Najświętszy Sylwester to potwierdził.

Urwał na chwilę Tymoteusz. Wolnym krokiem odszedł od balustrady, zbliżył się do Arona, wziął go pod ramię.

— Głupcem byłem i ślepcem, Ottona Cezara Augusta nienawiścią a zazdrością ścigając — podjął świszczącym nieco głosem. — Nie pojmowałem, że on zaiste stokroć większego godzien był pożałowania niż ja... stokroć dotkliwiej został zawiedziony... Pamiętasz, ojciec Aronie? Rzuciłem przed bramą Paterna w twarz Panu Cesarzowi słowa gniewne a obelżywe; zawołał mię zaraz potem Ojciec

Najświętszy Sylwester i rzekł na osobności: „Nikommu nie wolno właściwie wiedzieć tego, co zaraz ode mnie usłyszysz. Tobie jednak muszę powiedzieć, bo nie zniosę, byś jak osioł najgłupszy kopał ugodzonego boleśnie grotem lwa, za urojone mszcząc się krzywdy”. I opowiedział mi wszystko.

— Dlategoś płakał wówczas wieczorem, na kamieniu siedząc? — szepnął Aron.

— Tak, dlategoś płakał. Nad głupotą swoją i nad krzywdą Ottonową płakałem. Powiadasz, ojczyźnie Aronie, że wiesz, iż to Grecy kobietę ową na Pana Cesarza nasłali. Ale o tym chyba nie wiesz, że ona umyślnie między wojowników Ekkehardowych przyszła, umyślnie napaść ich na siebie skierowała, by krzykami margrabiego przywołać i z nim przed oblicze cesarskie pójść. Przedziwnie jej się to wszystko udało, cokolwiek zamyśliła. Źle mówię: wszak nie ona to zamyśliła, jeno Jan Filigatos, świętokupca...

— Jan Filigatos? — w zdumieniu zawołał Aron.

— Tak, to on z niej mścicielkę sobie wyhodował. Rzekłem oto: Grecy ją nasłali. Niedokładnie to rzekł, bracie. Nie Grecy, jeno Grek. Świętokupca, klęskę Krescencjusza, a więc i swoją oglądając, kary stokrotnie dla siebie zasłużonej oczekując rzekł sobie: „Zginę, ale niech zginą też ci, co mnie na mękę skażą”. Nim go pochwycili wierni słudzy cesarscy, zdążył Teodorę Stefanię dokładnie pouczyć, co czynić ma, by mękę jego pomścić.

„A jednak ja wiem więcej od niego” — z zadowoleniem pomyślał Aron przypominając sobie rozmowę z Grekiem, towarzyszem podróży do Poznania. — „Tyle zapewne tylko prawdy jest w tym, co Tymoteusz powiada, że to ustami Jana Filigata Grecy Teodorę Stefanię do służby wiernej Bazyleusom nakłonili”.

— Ale czymże był ów Jan Filigatos dla Teodory Stefanii? — zawołała Rycheza. — Czemu to ona właśnie miała mścić jego mękę?

— Ależ ona nawet nie wiedziała, że jego mękę mści. Zdołał przekonać ją, że nie jego wcale sprawie ma służyć, przy boku Ottona zdradziecko stając, ale swojej: sprawie swego męża, syna, Miasta. Straszyl ją, że gdy Otto i Grzegorz na dobre zwyciężą, Sasi wszystkie

możne rody rzymskie do lasów nad Łabę wysiedlą. A ty wiesz przecież, Aronie, że żadna myśl nie była równie obmierzła i straszna dla Teodory Stefanii, co myśl o rozstaniu się z Miastem.

— I to wystarczyło, by do takiej zdrady straszliwej ją pchnąć? Do tego, by lata całe miłość przed wujem Ottonem udawała? By krzepiła go uśmiechem, gdy małżonka jej tracił? Czyż nie miłowała tego małżonka?

— Bardzo miłowała.

— Nie pojmuję — zaczęła Rycheza, ale nie rzekła więcej nad dwa słowa, Tymoteusz przerwał jej bowiem z nieoczekiwaną zupełnie gwałtownością.

— Różne są sposoby, pani Rychezo — wycedził ze świstem przez szczyrby w górnych bocznych zębach — ażeby skłonić kobietę do służby zdradzieckiej przeciw temu, z kim do łoża idzie. Na jedną takie wystarczają sposoby, na inną owakie...

Zmierzch już zaczynał zapadać — dość jasno jeszcze przecież było, by oczy Arona zdołały spostrzec, że nagłą bladością okryła się twarz Rychezy. I natychmiast zbladł on sam — natychmiast uczuł znowu tętnienie w skroniach, szum w uszach.

— Ale czemuż to tylko tobie, Tymoteuszu, nie zaś wujowi Ottonowi samemu odkrył Pan Papież ową tajemnicę straszliwą?! — zawołała Rycheza takim tonem, jak gdyby z czymś się w sobie mocowała.

Tymoteusz znowu uśmiechnął się. Tym razem naprawdę wzgardliwie, nie pobłażliwie tylko.

— Nie jestem taki uczony jak przyjaciel mój miły, pan opat Aron — rzekł — alem przecież się gramatyki i retoryki poduczył trochę. Wiem, że lubowali się pisarze starożytni w wyrażaniu swych myśli za pomocą formy porównaniem zwanej. Pozwól więc, pani Rychezo, że porównaniem też ci odpowiem na ostatnie pytanie. Wiadomo, że wierną, oddaną jesteś małżonką Pana Mieszka Lamberta — wierną, posłuszną córką Pana Bolesława. Ale gdybyś zdradzała ich, gdybyś knuła coś przeciw nim, w łożu skłaniając Pana Mieszka do posłuchu dla knowań twoich, ja bym zaś o tym wiedział — rzeknij: czy uwierzyłby mi małżonek twój, gdybym mu tajemnicę ową odkrył?

Przenigdy! Przeciw komu obróciłby wówczas swój gniew? Czy przeciw tobie? Przenigdy! Przeciw mnie! Wielka bowiem jest potęga kobiety w łożu...

— Jak śmiesz tak przemawiać? — wybuchnęła Rycheza odrywając dłonie od balustrady i kurczowo zaciskając je w pięści.

Tymoteusz spokojnie postąpił krok naprzód. — Ależ ja przecież tylko pisarzy starożytnych, porównania używając, naśladowę — powiedział takim samym tonem, jakim we śnie Aronowym rzekł: „Zawołaj ją tylko po imieniu”.

Od owego wieczoru wiosennego coraz częściej zadawał sobie Aron pełne niepokoju, nawet bólu pytanie, pytanie, które samo w sobie już zawierało nie ulegającą, niestety, wątpliwości odpowiedź: — A więc Rycheza naprawdę jest Teodora Stefanią Mieszka i ojca jego?! — Z tego zaś pytania natychmiast inne się wyłaniało: — Czymże w takim razie ja jestem? Ja, którym do Polski przybył na rozkaz Rychezy, który rządę klasztorem przez nią ufundowanym i pod jej szczególną pozostającym opieką? Wszyscy mię tu nazywają: „Najwierniejszy sługa synowej Pana Bolesława”. Ale jej wiernie służąc służyć tym samym sprawie, której ona służy. A cóż to za sprawa? Ona powiada, że to sprawa dziedzictwa Ottonowego, święta sprawa światowładnego Imperium Rzymskiego — sprawa, co tak bardzo też miła była sercu Ojca Najświętszego, Sylwestra. Gdybyż to ta tylko sprawa! Sen mój i porównanie Tymoteusza zdają się jednak mówić, że nie tylko ta! A więc jaka? Taka jakaś chyba, co w Bolesława podstępnie godzi, i to Teodory Stefanii sposobami. Miałebym więc być igraszką tajnych wrogów Bolesławowych? Więc nie nadaremnie zapytywał mnie Antoni: „Komu ty służysz, ojczyźnie?” Więc może i Bolesław mnie już podejrzewa, że Rychezie wiernie służąc sprawie wrogów jego służyć?

Nie mógł sypiać. Zrywał się nocami z pośłania i do świtu krążył po obszernej swej sypialni tynieckiej. Wgryzał się pamięcią w każdy szczegół najdrobniejszy z Rychezą go wiążący: gorączkowo przypominał sobie wszystko, cokolwiek od niej posłyszał w Kolonii, w Merseburgu, w drodze do Polski, w Krakowie. Odtwarzał w pamięci

rozmowy jej z mężem, które niejednokrotnie w jego, Arona, prowadzone były obecności, lub które udało mu się przypadkowo posłyszeć. Tropił w rozmowach tych zdradę tajnie przeciw Bolesławowi knutą. Chwilami taka go ogarniała rozpacz, że postanawiał sobie natychmiast udać się na poszukiwanie Bolesława, pokłonić się księciu do nóg i oświadczyć, że opuszcza Polskę. „A dokądże pójdziesz?” — zapyta go niezawodnie Bolesław przyjaźnie kładąc szeroką rękę na szczupłym ramieniu.

Właśnie, dokąd? Do Rzymu, do Jana Teofilakta, dziś papieża Benedykta Ósmego? Ale Tymoteusz, zagadnięty kiedyś o to, rzekł mu nieoczekiwanie sucho, prawie niezycziwie: — Mówiłem o tobie ze stryjem swym, Ojcem Najświętszym. Rzekł, że nie masz po co wracać do Rzymu. Miejsce twoje w Polsce.

Więc może wrócić ma do Anglii? Myśl ta poczęła trapić Arona od dnia święta Wniebowzięcia Maryi, gdy doręczono mu niespodziewanie list z pieczęcią opata glastonberyjskiego. Była to odpowiedź na pismo, jakie Aron wysłał do Anglii z końcem zimy na żądanie Bolesława powtórzone mu ustami opata Antoniego.

Drżącą ręką złamał Aron pieczęć, drżącymi wargami odczytywał szeptem:

Etelnot, sługa najlichszy Chrystusa Boga oraz Etelreda, króla Anglów i Saksonów, dziś na wygnaniu przebywającego, Panu Aronowi, opatowi najdostojniejszemu i przyjacielowi najmiłszemu, braterskie śle pozdrowienie.

Dwadzieścia lat już minęło, bracie drogi, gdym uścisnął cię po raz ostatni, lecz bezsilny okazał się bieg czasu przed obliczem mocy miłości mojej do ciebie. Miłuję cię dziś, Aronie, tak samo, jak w szkole glastonberyjskiej, jak na okręcie, jak w Rzymie. Nikogom nigdy goręcej nie miłował, nawet braci rodzonych. Kierując dziś z woli Bożej oraz królewskiej opactwem glastonberyjskim i szkołą naszą, nikomu nie pozwałam siadać w owej ławie, gdzie myśmy obok siebie siadywali przed tylu, tylu laty. Puste miejsce pozwala mi nieustannie myśleć o tobie, gdy zaś o tobie myślę, czuję się szczęśliwy. Nigdy przecieżem tak szczęśliwy nie był jak w tej oto chwili: wiem, że żyjesz

— wiem, gdzie przebywasz, i mogę pisać do ciebie.

Aronowi drgnęła ręka — na podłogę posypały się kartki — mnóstwo kartek upstrzonych ciasnym szeregiem drobnych, pięknie wykaligrafowanych literek. Nie list to był, istna książeczka!

Wiec aż tylu, tylu lat oddalenia potrzeba, aby dowiedzieć się, iż się ma przyjaciela?! I to w kim? W wyniosłym, małomównym, opryskliwym zazwyczaj Etelnocie, synu potężnego Etelmera, pyszniącym się niezmiernie krwią swoją, bogactwem, mocą ojcowską, łaską królewską?! Przecież on, Aron, nie umiał odezwać się do Etelnota inaczej niż z drzeniem głosu i serca. Niezmiernie onieśmiał go ów towarzysz z ławy szkolnej — unikał Etelnota jak mógł, choć przez lata całe niejedną starał się bardzo poważną wyświadczyć mu przysługę, nie zdając sobie nawet dobrze sprawy, czy postępuje tak, przyjaźnią szczerą kierowany, czy też raczej chęcią przypochlebiania się, chęcią wkupienia się w łaski możnego dziedzica, z którym dzielił chwałę przodowania we wszystkich umiejętnościach wykładanych w słynnej szkole opactwa glastonberyjskiego.

Jeszcze w Rzymie nawet pewien był Aron, że Etelnot raczej go nie lubi, ba, wręcz nie znosi. Każde jego słowo, każdy postępek w stosunku do Arona zdawały się być pełne wzgardliwej urazy, iż oto z irlandzkim przybłądą-nędzarzem dzielić musi dziedzic Etelmera chwałę uczoneści, chwałę wysokiego wyróżnienia, jakim było wysłanie ich obu do Rzymu. Wszak jedynie obawa przed drwiną kazała Aronowi powiedzieć Antoniemu: „Etelnot był moim przyjacielem”, chciał bowiem uchodzić w oczach opata międzyrzeckiego, a za pośrednictwem tegoż i w oczach Bolesława także, za kogo? takiego, z kim muszą się liczyć, jeśli pragną osiągnąć coś w Anglii, gdzie on, Aron, rósł. Przecież wysyłając na zlecenie Bolesława list do Etelnota, nie spodziewał się wcale odpowiedzi: głęboko był przeświadczony, że wyniosły syn Etelmera nie zechce wcale odezwać się na wołanie z tak daleka — wołanie, co przypomnieć mu będzie musiało lata dzielenia się z przybłądą irlandzkim chwałą uczoneści... Może nawet wcale nie pamięta już Arona; otrzymawszy zaś list, rozgniewa się tylko, iż oto natrętnie podsuwa się jego pamięci rzeczy tak bardzo niemiłe, tak

silnie dumę jego rażące... Wysławszy list, opat tyniecki niejednokrotnie przyłapywał siebie na westchnieniu nadziei, iż oto może nie dojdzie owo pismo do Etelnota: może płomień je w drodze pochłonią lub — co najpewniejsze być się zdawało — fale morskie.

Zapytujesz mnie o Bolesława Lamberta, księcia polskiego i mnicha. Wiem o nim wiele, to prawda. Innemu bym przecież nie zawierzył tego wszystkiego, co wiem; troska o dobro królestwa Anglii kazałaby mi pominąć to i owo. Ale tobie, przyjacielu i bracie, opiszę wszystko dokładnie. Cieszę się, że mogę ci być przydatny. Tym bardziej iż wierzę, że prawdziwe dobro Anglii i prawdziwe dobro księcia polskiego, któremu służysz, jak piszesz, to jedna właściwie sprawa.

Słowo „prawdziwe dobro”, dwukrotnie w jednym zdaniu listu użyte, podkreślone było czerwoną linią. Taką samą linią podkreślił Etelnot początek następnego zdania: najwidoczniej bardzo mu zależało na tym, aby uwaga Arona nie przemknęła zbyt pospiesznie ponad słowami o częstym, niestety, zapomnianiu, iż Duńczycy wspólnym są wrogiem i Anglii, i księcia polskiego.

Wielce zawinił król Etelred mniemając, że srebro potężniejszym jest sprzymierzeńcem przeciw straszliwym mężom Północy niż drużyna dalekiego władcy polskiego. Kto rozsądny jest, nie pomyśli źle o Bolesławie z tej przyczyny, że ofiarował przymierze i przyjaźń, i siostrę w zamęcie władcy Duńczyków, postrzegając, że wzięwszy od nas srebro, przeciw niemu gotowi są się obrócić. Ale niechże wie Bolesław: jeśli dopuści Bóg Chrystus podbój naszej krainy błogosławionej przez barbarzyńców duńskich, niedługo się będzie księżę polski cieszył panowaniem nad wybrzeżem morskim. Maluczko, a ujrzycie łodzie mężów Północy nie tylko w zamku Jomsborga, nie tylko w zatoce Gdańskiej, ale pod Poznaniem, a może i pod Krakowem dalekim. Pan, któremu służysz, Aronie, wadzi się z pobożnym cesarzem rzymskim o byle płacheć ziemi słowiańskiej, tak jak gdyby nie pamiętał wcale tego, co tak dobrze ojcowie jego wiedzieli: nie od Zachodu, od Północy najstraszliwszą zsyłają klęskę demony na krainy słowiańskie. Nie masz potworniejszej grozy nad tę,

co od morza przychodzi. Niech nie łudzi się Bolesław zwodniczą nadzieją, że nie nad wyspą panując bezpieczny jest w głębi lasów od morza oddalonych. Jak trucizna przez otwór ust do żył się dostaje i po całym ciele się rozlewa, żołądka i serca sięgając — tak też rozleją się oddziały łodzi duńskich po całym księstwie Bolesławowym, żyłami rzek je przebiegając. Nie wadźcie się z cesarzem rzymskim, pchajcie wszystkie swe wojska nad wybrzeże morskie. Więcej powiem: wspólnie z cesarzem na Danię, gniazdo demonów morskich, uderzcie: dopomożecie nie tylko królestwu Anglii — sobie dopomożecie.

Czeluście piekielne pochłonęły Swena, odstępcę obmierzłego od wiary Chrystusowej. Kanut, syn jego, mieni się być chrześcijaninem pobożnym, ale my dobrze wiemy, co warta jest ta jego pobożność. Barbarzyńca przebiegły, stokroć od ojca swego sprytniejszy, pragnie wkupić się w łaski Anglów i Saksonów pobożnością kłamaną, od prawego króla Etelreda serca odwrócić chce poddanych, za mało już Kanutowi marzeń o najazdach i grabieży — koronę świętą wydrzeć pragnie krwi szlachtetnej Alfreda i Etelstana. Zaiste, czarny byłby to dzień dla królestwa Anglów i Saksonów, gdyby, istotnie spocząc miała korona święta na skroniach barbarzyńcy. Koniec wówczas szczęśliwości, koniec cnocie, koniec nauce wszelakiej. Nie, raczej jak jeden mąż, wszyscy bez życia legniemy, a barbarzyńcy za króla Anglii nie uznamy.

Daleko od nas do krainy polskiej, a przecież wiem, Aronie, że wielką jeszcze moc ma pogaństwo obmierzłe zarówno we włościach Bolesławowych jak przede wszystkim wśród tych szczepów słowiańskich, co głębokim klinem od morza między włości Sasów a Bolesławowe wchodzi. W kimże nadzieję pokładają owi poganie nieprzejednani? Zaiste, jak i ojcowie ich, i dziadowie, w nikim innym, jeno w Duńczykach. Bo choć jedni i drudzy pod różnymi imionami bogów swoich obmierzłych czczą, braćmi są w nienawiści do Jedynego i do Krzyża. Zaczekajcie maluczko — zaczekajcie bezbożnie, aż ręka okrutna Kanuta zaciąży nad całym królestwem angielskim — zaczekajcie, aż całe bogactwo Anglów i Saksonów obrócone zostanie w nowe łodzie, w nowe zbroje, nowe gęby i nowe

ramiona wojowników — zobaczycie wówczas, jak kopnie precz od siebie Kanut, niby psa niepotrzebnego, kłamaną swą pobożność chrześcijańską — zobaczycie jak pospieszy na pomoc Słowianom nadmorskim, braciom swym w wierze obmierzłej — zobaczycie, jak w Krakowie, od morza dalekim, wypatrywać będą poddani Bolesławowi żagli, pod którymi czciciele demonów przyplyną, by wespół z tymi, co przed wami dziś udają, że Chrystusa czczą, Chrystusowe obalać władztwo, a wraz z Chrystusowym — Bolesławowe. Nie czekajcie, aż nadejdzie straszliwa ta chwila — nie wadźcie się z cesarzem — nad morze idźcie, nad morze. Na wolność Kanuta od tyłu uderzcie: jeszcze czas — jeszcze nie padła Anglia — gdy padnie, wy także padniecie.

Gdy rolnik ocalić chce zboże swoje, z korzeniem chwasty trujące wrywa. Gdy ogień a miecz drużyn cesarskich i Bolesławowych samo serce pogaństwa duńskiego porazi, runie potęga mężów Północy w Anglii — jak ździebełka podcięte, wdepce ją w ziemię stopa zbrojna Saksonów i Anglów. Wówczas płacz wielki radości popłynie ku niebiosom nad naszą wyspą błogosławioną — wyspą, co przecież ciebie jak matka wykarmiła, Aronie, bracie najmilszy, i jak zgniłe liście opadną na ziemię i w proch się obrócą ostatnie nadzieje pogan słowiańskich: znikąd już nie będą mogli wypatrywać pomocy. W szczerzej skrusze wówczas padną na twarz przed Krzyżem: gorliwie nadstawią uszu słowu zbawienia, co płynie z ust twoich i tych wszystkich, którzy wspieracie Bolesława w świętym dziele wtłaczania Słowiańszczyzny w owo jarzmo Chrystusowe, o którym rzekło Pismo: „Słodkie jest”.

Najpierw duńskie zniszczyć pogaństwo, potem słowiańskie, oto wspólna droga dla cesarza rzymskiego i władcy polskiego — wołał z daleka do Arona Anglik Etelnot, zaskakując i zdumiewając opata tynieckiego tchnącym z całego listu przeświadczeniem, że dla nich tam na wyspie cesarz i Bolesław, to potęgi zupełnie sobie równe, jak gdyby nic nie wiedzieli lub nie chcieli wiedzieć o tym, że przecież Bolesław to lennik Henryka, że w jego ręce dłonie swoje wkładał, że miecz przed nim w Merseburgu do kościoła niósł. — Mocarzowi

wielkiemu służyysz, Aronie, królowi w chrześcijaństwie zaiste najpotężniejszemu, choć korony jeszcze nie nosi, nie omieszkaj więc w bliskości swojej od mocarza tego pożytku wykrzesać dla Anglii, tej, co z ciebie, sieroty biednego, mędrca wielce uczonego zrobiła.

Aron ze wzruszeniem odczytywał po wielokroć wołanie Etelnota o pomoc dla Anglii, ale na równi ze wzruszeniem ogarniać go począł niepokój. Wszak o to samo, co objawiony nagle przyjaciel, wołała także Rycheza — te same wskazywała cele, choć w odwrotnym porządku. — Nie wadzić się z Panem Cesarzem, ale wespół z nim zgnać doszczętnie pogaństwo słowiańskie, a potem duńskie — powtarzała wielokrotnie, szczególnie odkąd dotarła do Krakowa wiadomość, że Bolesław jawnie wspierać począł w Czechach stronników Jaromira wbrew woli Henryka, który Udalrykowi ziemię czeską jako lenno cesarskie przekazał.

Więc choć życzliwość szczerą dla prawdziwego — jak podkreślał — dobra Bolesława była z całego listu Etelnota, choć przekazywał Aronowi wiele ciekawych i cennych wiadomości o Bolesławie Lambercie, co aż w księstwie dalekim Normandii przy boku króla Etelreda, wygnańca, knuł zamachy przeciw bratu pierworodnemu — nie mógł przecież Aron opędzić się niepokojowi, że jeżeli Etelnot i Rycheza to samo doradzają, nie może chyba z tego nic innego dla Bolesława wyniknąć, jak szkoda tylko. Zaczął się nawet obawiać, że gdy Antoni przeczyta list Etelnota, a dopatrzy się w nim czegoś utajonego — czegoś takiego, czego Aron sam dostrzec nie zdołał — gotów będzie widzieć w tym liście dowód związków opata tynieckiego z wrogami Bolesławowymi. — Błądzą jak w ciemnej komnacie, pod której ścianami niewidzialnymi czają się spiskowcy! — wołał Aron do siebie z rozpaczą i zgrozą. — Mówią, że uczone, że mędrzec wielki, a nic nie pojmuję z tego, co się wokół mnie dzieje. Uciekać, uciekać stąd jak najprędzej! Oto objawił mi się nagle przyjaciel niezawodny: do niego pójdę, padnę mu w objęcia, błagać będę o przytułek, o pomoc — przydam się im tam w naszej szkole glastonberyjskiej. Zaiste, w Anglii jest moje miejsce: karmicielką moją była i nauczycielką w mądrości i sztukach wszelakich.

W miarę jednak jak wczytywał się w list Etelnota, nabierać począł przekonania, że przecież przyjaciel daleki ma słuszość powiadając, iż właśnie Bolesławowi służąc, wiele pożytku może Aron przynieść Anglii, karmicielce i nauczycielce swojej. Tam, na wyspie, wojna szaleje bez ustanku: mężowie Północy mordują okrutnie kapłanów Chrystusowych, niespokojnie tam, niebezpiecznie, jakże inaczej niż w Tyńcu, niż w Krakowie! A on, Aron, po Rzymie, po Karrionie, po Kordobie, dosyć już ma niepokojów i niebezpieczeństw! Nigdzie nie będzie mu tak dobrze jak pod możliwą opieką Bolesławową — nigdzie tak spokojnie, tak bezpiecznie. Zaiste, wielka to sprawa, święta sprawa: Polaków ciemnych w wierze Chrystusowej utwierdzać! Cieszy się w niebiosach święty Piotr, cieszy się też i Gerbert Sylwester, postrzegając, jak z klasztoru tynieckiego światło łaski i zbawienia na dusze pogan wczorajszych spływa...

Najistotniejsze zaś było to, że Aron czuł, iż nie zdobędzie się na odejście od Ryczezy. Czarami jakimiś chyba przykuła go do siebie — ulubieniec Sylwestra Drugiego śmiał się z wierzeń w czary, ale opat tyniecki począł wierzyć w nie z dnia na dzień coraz silniej. Śmiał się z nich natomiast teraz Tymoteusz; nie zabiegał jednak o to, by w duszę starego przyjaciela przelać beztróskie swe przeświadczenie o bezsilności demonów przed obliczem prawa Bożego, sprawami okręgu ziemskiego kierującego. Czary to jednak były czy nie czary, w każdym bądź razie każde dłuższe i głębsze rozmyślanie Arona o opuszczeniu Polski kończyło się szumem w uszach i tętnieniem w skroniach, wtórzającym głębokiemu przeświadczeniu, że oto od Ryczezy nie odejdzie, oto służby jej nie porzuci. Ona to prowadzi go za rękę poprzez ciemną komnatę, gdzie pod ścianami i w kącie każdym czai się ktoś niewidzialny a straszny, nie umie wyrwać ręki z jej uścisku, nigdy nie wyrwie — pójdzie wszędzie, gdzie za sobą go pociągnie. — Kto pociągnie? Kto? — wołał do siebie nieprzytomnym głosem, przerażonymi oczyma wpijając się w mrok nocy. — Jak to kto? — odpowiadał mu natychmiast własny jego głos. — Ta, którą we śnie zawołałem po imieniu.

Ciemna komnata, pełna niewidzialnych postaci, musiała gdzieś

mieć drzwi, I właśnie ku drzwiom tym prowadzi Arona Rycheza. Ale przecież tam za drzwiami przepaść — straszliwa przepaść, w porównaniu z którą urwisko i awentyńskie, i tarpejskie, i wawelskie to niski wzgórek o łagodnych zboczach! Tam, ponad przepaść straszliwą ciągnie go Rycheza. Idzie za nią — wie, że nie może nie iść — przecież opiera się odruchowo, raz po raz zwalnia krok, cofa się... Przez lato całe i przez jesień aż do dnia świętego Andrzeja nie pojawił się w Krakowie: gdy Rycheza przysyłała po niego do Tyńca Łódź lub lektykę, znikał wraz z kilku braćmi z klasztoru, nakazując powiedzieć pani Księżnej, że przebiega lasy odszukując myśliwców, co nie obmyli się jeszcze w wodzie zbawienia.

Aż gruchnęła wieść, że do Krakowa przybył Mieszko Lambert, świeżo z niewoli cesarskiej wypuszczony, a wraz z nim Tymoteusz. Zapowiadano też rychły przyjazd Bolesława samego. Mówiono, że posłów cesarskich przyjmować będzie Pan Książę na zamku wawelskim. Aron zdumiewał się: przecież posłowie zjadą na pewno z Merseburga do Magdeburga, po cóż więc ciągnąć ich aż do Krakowa? O ileż dogodniej byłoby Bolesławowi przyjmować ich w Gnieźnie, Poznaniu, czy Krośnie nadodrzańskim?!

Któregoś popołudnia przyplłynął łodzią do Tyńca Tymoteusz. Wygłosił piękne kazanie w mowie słowiańskiej do podwładnych Aronowi mnichów, po czym dwaj przyjaciele wspólnie spożyli wieczerzę. Biskup poznański wesół był i rozmowny — chętnie nawracał wspomnieniami do Grzegorza Piątego i Sylwestra Drugiego, dużo też opowiadał o stryju swoim, papieżu Benedykcie Ósmym. — Nie mogłem powstrzymać uśmiechu, gdym pierwszy raz po tylu latach w Lateranie do nóg jego przypadł. „A co stryjaszku — zapytałem — rzucać teraz klątwy poczniesz na wszystkich biskupów i opatów, którzy do Ofiary Świętej innego każą używać wina niż tuskulańskie?” A on mi na to z uśmiechem również: „Tyle tylko obchodzi mię dziś wino nasze, Tymoteuszu, aby mnie samemu go starczyło, iżby w Krew Najświętszą przemienić”. Rzekłszy to spoważniał nagle, zmienił się na twarzy, zbladł. „Nie zzymaj się, synu — szepnął — iżem to ja właśnie podniósł z błota klucz Piotrowy świętokradczą ręką

ciemnych prostaków tam porzucony. Wzięłem go, aby trzymać, aż nadejdzie ktoś naprawdę święty, prawdziwie potężny, potężny mocą wielkiej mądrości i miłości”. A wówczas i ja też zbladłem, bracie Aronie. Znowum do nóg stryja przypadł, a ze łzami już, nie z uśmiechem. Ale czas już nam na spoczynek chyba? Jutro ze mną do Krakowa popłyniesz.

— Nie mogę sypiać, Panie Biskupie.

Tymoteusz z z troskaniem przyjrzał się znużonej, zmiętej, zszarzałej twarzy przyjaciela.

— Nadal choryś, bracie?

— Duszę mam chorą, myśl mam chorą — szeptem pełnym rozpaczycy wyrzucił z siebie Aron.

Tymoteusz przyjrzał mu się jeszcze baczniej. Ale inne to już było spojrzenie. „Znow do Grzegorza Piątego jest podobny” — przemknęło Aronowi przez myśl.

Tymoteusz podniósł się. Zbliżył się do Arona, wziął go pod ramię.

— Przed piętnastu laty tyś mnie spowiadał w Lateranie, ojcze Aronie. Teraz ty klęknij: wysłucham twojej spowiedzi.

I znowuż, jak przed piętnastu laty, rozmowa to raczej przyjacielska była niż spowiedź. Ale gdy o świcie wzniosłszy rękę nad głowę kornie pochylonego przyjaciela, mocnym, stanowczym głosem zawołał Tymoteusz: „Ego te absolvo” — łzy mieli obaj w oczach.

— Tyłem się dziś od ciebie nauczył — wyszeptał podnosząc się z klęczek Aron.

— To nie ja, to Piotr cię uczy — również szeptem wzruszonym odparł Tymoteusz. — Bo i czymże oto jestem sam w sobie? Prostakiem tuskulańskim, dla którego wewnątrz grona winnego tajemnicą, nie tylko wewnątrz duszy i myśli ludzkiej...

— Znowuś taki jak dawniej — wesoło zawołała Rycheza, zaraz, jak tylko Aron przestąpił próg drewnianego zamku wawelskiego.

— Nie, nie takim jak dawniej — ze spokojnym uśmiechem odpowiedział opat tyniecki.

Zdawał się też zupełnie spokojnie przysłuchiwać rozmowie Rychezy z mężem. Mieszko Lambert żalić się począł, że król i cesarz

Henryk znowu czci Bolesławowej uwłacza. Oto Stojgniewa skuć kazał i do lochu rzucił.

— Słusznie uczynił Pan Cesarz! — zawołała Rycheza. — Stojgniew spiski knuł, biskupów i książąt lotaryńskich przeciw majestatowi buntował.

Prawdę mówiła. Aron dobrze to wiedział, nie gorzej niż opat Antoni.

— Ależ, Rychezo — zdumiał się Mieszko — czyżeś ty sama nie buntowała ojca rodzonego przeciw Panu Henrykowi? A wraz z ojcem innych też książąt lotaryńskich?

Podniosła się.

— Buntowałam ich przeciw Henrykowi, królowi Sasów i Franków, nie przeciw Cesarzowi Rzymskiemu. Biada ręce, co na majestat święty Romy się podniesie, gniew Chrystusowy porazi ją niechybnie: uschnie, sześcinnie.

Ściszyła głos.

— Boję się, małżonku mój, że i nas też porazi gniew Chrystusowy za to, że ojciec twój raz po raz posłuchu odmawia woli majestatu cesarskiego. Boję się, że nie pobłogosławi Duch Święty łona mego, że nie zrodzę ci syna z krwi Ottonów i Bazyleusów, a jeżeli i zrodzę, nie dostąpi łaski, by poniesiono przed nim orły złote z Awentynu na Kapitol. Nie masz grzechu cięższego przeciw Duchowi Świętemu niż niewierność lennika wobec pana, w którego ręce dłonie swoje wkładał. Twój zaś ojciec...

Gwałtownym ruchem przycisnął Mieszko Lambert obie piękne swe dłonie do skroni srebrnym diademem okolonych.

— Rychezo, Rychezo! — zawołał z bolesnym uśmiechem pełnym gorzkiego wyrzutu. — Jeszcze tak niedawno szydziłaś zuchwale z ojca z przyczyny owego włożenia rąk między dłonie cesarskie...

Nie dokończył. Rycheza przerwała mężowi tupnięciem nogi i gniewnym uderzeniem pięścią o pięść.

— Tak, szydziłam — syknęła — szydziłam, bom lata całe mniemała, że stać było ojca twego na podźwignięcie brzemienia dziedzictwa Ottonowego... że władny będzie nie dopuścić króla

Sasów do sięgnięcia po diadem Przedziwnego... że mocą srebrnych orłów pochwyci Patrycjusz w dłoń potężną rządy nad Imperium światowładnym i nikomu ich nie odda, aż dopiero wraz ze złotymi orłami wnukowi swojemu, mojemu i twojemu synowi, Mieszku... Ale skoro nie stać go było na to, niechże się uciszy, ukorzy, niech posłusznym będzie lennikiem tego, na czyje skronie wraz z diademem i pomazaniem świętym cesarskim spłynęła częśćka mocy Chrystusowej... Bo inaczej, jakem rzekła, porazi nas prawica Boża, bezpłodnym uczyni me łono lub sprawi ku hańbie waszej krwi i krwi Ottonów i Bazyleusów, że pokrakę zrodzę lub głupca, nie złotych orłów dzierżyciela...

Mieszko Lambert zbladł.

— Przecież i ja sam, Rychezo — szepnął — raz wraz ośmielałem się doradzać Panu Ojcu, by nie ściągał na siebie gniewu majestatu cesarskiego, a wraz z cesarskim Chrystusowego też gniewu. Wszak i ja nie mniej od ciebie, Rychezo, czczę złote orły i majestat Romy...

Rozmowa ta odbyła się wczesnym rankiem, zaraz po Ofierze Świętej, którą w katedrze biskupiej odprawiał Tymoteusz, jako że Poppo krakowski znowu stracił władzę w nogach. Po południu zaś przybyli na Wawel posłowie cesarscy, biskup Dytmar i Herman, margrabia Miśni, zięć Bolesława a syn owego Ekkeharda, który ongiś w teatrze Marcellusa w Rzymie łudził się przez chwilę, że otworzy mu swe objęcia Teodora Stefania. Bolesława jeszcze nie było, ale spodziewano się go lada dzień.

— Czy to godzi się, aby kazał posłom cesarskim tak daleką, tak nużącą odbyć podróż i jeszcze czekać kilka dni na siebie? — z gniewnym pytaniem zwróciła się Rycheza do Arona.

Pytanie to powtórzył Aron Tymoteuszowi, ów zaś uśmiechnął się i rzekł wesoło, odślaniając szczerbę w bocznych górnych zębach:

— Niech poczekają. Im dłużej się czeka, tym większej się czci nabiera, bracie, do tego, kogo się pragnie widzieć; dawno to wiadomo. A że złością się? Cóż z tego? Jeszcze bardziej się rozzłością, gdy Pana Bolesława się doczekają i pogadają z nim.

Wieczorem zaczął padać deszcz. Aron usiadł przy oknie,

przysunął do siebie łuczywo, otworzył Boecjuszowe „Pocieszenia filozofii”. Niedługo czytał. Drzwi komnaty nagle się rozwarły, na progu stanęła Ryczeza.

— Chodź ze mną! — zawołała rozkazująco.

— Dokąd, pani? — zapytał podnosząc się z miejsca i odkładając z westchnieniem książkę.

— Nie dopytuj się, chodź.

Musiałoby chyba stać się coś istotnie ważnego, skoro nie pokojowca po niego przysłała, ale sama przyszła.

Ze zwieszoną głową poszedł za nią. Przeszli cztery czy pięć komnat zupełnie pustych, choć zazwyczaj o tej porze dnia — jak Aronowi się zdawało — ruch i gwar winny były w nich panować. Wszędzie było ciemno i Aronowi w pewnej chwili wydało się, że jednak nie, nie sami są w owej ciszy przepelniającej mijane komnaty.

— Tam pod ścianą ktoś się czai — wyszeptał przystając.

Ryczeza zaśmiała się.

— Roi ci się. Podaj mi rękę.

— Nie podam.

Powiedział to tak głośno i z taką stanowczością, że Ryczeza przystanęła.

— Ośmielasz mi się sprzeciwiać?!

— Dokąd mnie prowadzisz?

— Tu, oto w te drzwi. Chodź.

Z ust Aronaomalże się nie zerwał okrzyk: „Tam za drzwiami przepaść!” Ale nim zdołał cokolwiek wypowiedzieć, Ryczeza pchnęła już drzwi: na Arona spłynął silny strumień światła. Tam, za drzwiami, nie łuczywa płonęły, ale wielka lampa oliwna.

— A więc nie przepaść — westchnął z ulgą i śmiało przestąpił przez wysoki próg.

W pośrodku jasno oświetlonej komnaty stał Dytmar, syn Zygryda, biskup merseburski. Głowa jego, jak zawsze, przechylona była na lewo: każdy inny dzięki temu wydawać by się musiał śmieszny, tym bardziej przy tak małym wzroście; ale na twarzy biskupa Dytmara tyle malowało się powagi dostojnej a pełnej mądrości, tyle jakiegoś

przedziwnego uroku, skupiającego się głównie w siwych, bardzo spokojnych, bardzo rozumnych oczach — że Aron, tak samo jak przed półtora rokiem w Merseburgu, nie mógł nie przyznać w duchu, że na tego oto małego człowieczka, karzełka prawie, przyjemniej jest patrzeć niż na niejednego postawnego urodziwca. Ani wzrost, ani zgrubienie nieuleczalne lewej szczęki, ani nos lekko skrzywiony i jak gdyby przetrącony niewładne były uczynić z Dytmara postaci szpetnej lub śmiesznej. „To wino wspaniałe przelewa się poza brzeg lichu ulepionego naczynia”, rzekł o biskupie merseburskim Tymoteusz w dniu zaślubin Mieszka Lamberta i Ryczezy.

Aron wiedział, że odkąd zmarł Otryk, słynny z dysput filozoficznych z mistrzem nad mistrzami, Gerbertem — nie masz w całej Saksonii nikogo, kto by uczonością i mądrością dorównywał Dytmarowi. Bawiąc krótko w Merseburgu, świeżo mianowany opat tyniecki przeczytał kilka rozdziałów kroniki napisanej przez Dytmara: oczywiście, ulubieniec Sylwestra Drugiego, który znajdował się jak najbliżej osoby Ottona Trzeciego w czasie całej tułaczki jego przedśmiertnej, nie mógł nie zauważyć błędów i przeoczeń w tym, co Dytmar pisał o ostatnim roku rządów Ottonowych — przecież czytając nie mógł ani przez chwilę pohamować łez wzruszenia, a nawet zazdrości. Gdybyż on, Aron, umiał tak pisać! — Okazuje się, że wcale nie trzeba najwięcej wiedzieć, by najpiękniej pisać — mruzczał sobie pod nosem raz po raz, przewracając karty czwartej księgi kroniki Dytmara. O szczególne zaś wzruszenie przyprawiły Arona końcowe słowa rozdziału trzydziestego tej księgi: zdało mu się, że słyszy znowu wyraźnie głos Sylwestra Drugiego, wznoszącego ostatnią modlitwę nad łóżem konającego Ottona: „Ten, który Alfą jest i Omega, niech zlituje się nad nim”, wołały żarliwie z pergaminowej karty małe, krzywe, pokracczne litery. — Płaczesz czytając to, com pisał? — rzekł do Arona Dytmar chowając księgę do wielkiej, żelazem okutej skrzyni. — Ja zaś śmieję się zawsze, ilekroć ją sobie odczytuję.

— Czemu się śmiejesz? — zdziwił się Aron.

— Jak to czemu? Z uciechy się śmieję. Księgi moje przeżyją nie tylko mnie, ale i pamięć wszelką o tym, żem pokraką był. Ludzie

bowiem wieków przyszłych, którzy tak jak ty teraz zachwycać się będą tym, com napisał, nie uwierzą w to, że mogłem nie być tak piękny, jak piękna jest łacina okresów moich. Z trudem wielkim oddziela myśl ludzka dzieło od osoby pisarza. Bądź łaskaw, zajrzyj do rozdziału pięćdziesiątego pierwszego: dokładny tam znajdziesz opis twarzy mojej i postaci całej.

Aron pospiesznie odszukał rozdział pięćdziesiąty pierwszy. Przeczytawszy go dwukrotnie, wzniósł ku Dytmarowi spojrzenie zdumione i rozczarowane.

— Po cóżeś to wszystko wypisał? Sameś przed chwilą rzekł, że cieszy cię, iż w przyszłych stuleciach ci, którzy księgi te będą czytali, innym będą cię widzieli, niżes naprawdę wyglądał. A oto sprawisz tym rozdziałem, że zobaczą cię takim, jakim jesteś.

Uśmiechnęły się siwe, mądre oczy Dytmara. — Zobaczą, a nie uwierzą. Nie uwierzą mnie samemu, opisowi mojemu własnemu. Stokroć bardziej niż słowom moim wierzyć będą myśli swojej o tym, że dzieło i pisarz muszą być do siebie podobni. Będziemy mogli o tym przekonać się obaj, chcesz? Gdy oznajmią trąby archanielskie godzinę sądu, gdy znajdziemy się z tobą wśród milionów zmartwychwstałych w dolinie Jozafata, pójdziemy, poszukamy tych, co w tysiąc lat po śmierci mojej czytać będą te księgi. Zobaczysz, jak wszyscy oni zdumiewać się będą zobaczywszy, jak naprawdę wyglądam. A przecież wszyscy oni przeczytają rozdział pięćdziesiąty pierwszy. Bo wiesz, co rzekną mi owi czytelnicy moi w dolinie Jozafata odszukani? Rzekną, że myśleli, iżem ja umyślnie swoją urodę w rozdziale pięćdziesiątym pierwszym oczernił, a to dlatego, bom pełen skromności wielkiej był lub też skromność udawał. Co prawda nie tylko mój wygląd w zdumienie ich wprawi: Homera i Wergilego takż.

Gdy Aron z zaślubioną świeżo Mieszkowi Rychezą opuszczał Merseburg udając się do Polski, Dytmar pożegnał go słowami, które nie mogły nie przywieść na pamięć Araba Ibn al Faradiego. Słowa te brzmiały: „Wszyscy mędracy i uczeni są sobie braćmi bez względu na to, jakiemu służą księciu czy królowi”.

Tymi samymi też słowami powitał Arona biskup merseburski w owej chwili, gdy Rycheza pchnęła drzwi i polał się przez nie silny strumień światła lampy oliwnej. Słowom przyjaznym przyjazne towarzyszyło uściśnięcie ręki. — Oto znowu widzimy się z sobą, choć jeszcze nie w dolinie Jozafata — rzekł Dytmar wesoło.

Wypytywał Arona o zdrowie, o książki ostatnio czytane, o osiągnięcia w dziele nawracania pogan i utwierdzania w wierze dawniej już nawróconych. Dużo mówił o Sylwestrze Drugim, i to z takim zapalem a zachwytem, że Aron uczył w oczach łzy wzruszenia i wdzięczności: odzwyczał się już dawno od tego, by sławiono tak w jego obecności pamięć papieża-mędrca. Z zachwytem a zazdrością mówił też Dytmar o tym, że wielkie to musiało być szczęście przebywać w Rzymie za czasów Sylwestra.

— Istotnie wielkie szczęście — z żarem potwierdził Aron.

— Ale i za Ojca Najświętszego Benedykta także podobno mądrość i świętość kwitną w Rzymie. Potwierdzają to ci, co z Panem Cesarzem czasu koronacji tam byli. Wspaniale to były dni, przepyszna uroczystość, dawno już Rzym takiej nie oglądał. Szkoda, żeś nie był, przecieżeś się stęsknił na pewno za Rzymem.

— Stęskniłem się — westchnął Aron. — Żałuję, gorąco żałuję.

— A czemużeś się nie wybrał?

— Bo Pan Bolesław wyprawy dawno przyrzeczonej znowuż poniechał — nagle odezwała się ostro z ciemnego kąta Rycheza.

Dytmar w milczeniu pokiwał kilkakrotnie głową. Współczująco a z lekkim, ledwie dostrzegalnym zgorzeniem.

Po chwili podniósł się. Dotknął palcami ramienia siedzącego Arona.

— Co się przydarzyło Panu Bolesławowi? — rzeki cicho i wolno, wznosząc ku górze rozumne, siwe oczy. — Taki był dawniej pobożny, taki roztropny, tak wielce dbał o cześć swą rycerską, o lenniczą cześć... Nie mieli Cezarowie Augustowie wierniejszego nad niego sługi, a teraz szatan go chyba omamił: krnąbrny stał się, pyszny, zleceń cesarskich nie słucha... Posłów cesarskich poniża, do dalekich, uciążliwych zmuszając ich podróży... A jeszcze nie wiadomo

przy tym, czy głosów owych posłów usłuchać zechce, choć przecież ustami ich sam święty majestat cesarski przemawia, majestat namiestnika Chrystusowego...

— Błędzisz, ojcze biskupie. Cesarz rzymski nie jest namiestnikiem Chrystusowym. Jest jeno pierwszym, najdostojniejszym monarchą w licznej gromadzie pomazańców, którymi wszystkimi jednako rządzi majestat Chrystusowy za pośrednictwem jedyne go, prawego namiestnika swojego, biskupa rzymskiego, papieża...

— Demony cię opętały, Aronie — jeszcze ostrzej niż uprzednio odezwała się znów z ciemnego kąta Rycheza — śmiałżebyś twierdzić, że Przedziwny Otto, wuj mój potężny, nie był najwyższym prawym namiestnikiem Chrystusowym?

Arona zmieszały jej słowa. Począł przywoływać myślą na pomoc Tymoteusza: starał się dokładnie przypomnieć sobie to wszystko, co usłyszał od niego w czasie spowiedzi.

— To ty błędzisz, ojcze opacie — ze spokojną pobłażliwością rzekł Dytmar. — Majestat żadnego pomazańca na całym okręgu ziemskim niegodzien jest, by nazwać się nawet cieniem cienia cesarskiego majestatu. Nawet majestat papieża, biskupa Rzymu. O tyle bowiem niższy jest od cesarskiego, o ile Piotr niższy od Chrystusa. Czyż nie tak zawsze nauczali ojcowie?

— Wcale nie zawsze. I Leon Pierwszy, i Grzegorz Pierwszy, i Zachariasz, i Mikołaj inaczej pouczali — odrzekł ustami Arona Tymoteusz, a raczej i nie Tymoteusz nawet, tylko Benedykt Ósmy, Jan Teofilaktos.

— Mikołaja przypominasz! — szyderczo zawołał Dytmar. — Ależ to nie ojciec żaden w wierze nieomylny, jeno heretyk na stolcu papieskim. Pozwolił Konstantemu i Metodemu, by Słowianom w ich barbarzyńskiej głosili wiarę świętą mowie.

— Czyż apostołowie nie różnymi głosili wiarę świętą językami? Dytmar klasnął w ręce.

— Czyżbyś i ty miał się stać heretykiem, ojcze Aronie? Chciałżebyś w mowie słowiańskiej odprawiać Ofiarę Najświętszą?

— Nie, wcale tego nie chcę. Jeden jest bowiem język święty,

łacina. I niczego bym tak nie pragnął gorąco, jak tego, by jak najwięcej Słowian tak umiało mówić i pisać po łacinie, jak ty, ojciec Dytmarze.

— Daleko do tego, bardzo daleko, ojciec Aronie... Oni się nawet po niemiecku jeszcze mówić wszyscy nie nauczyli...

Aron zdumiał się. — A po cóż po niemiecku mają się uczyć? — wyszeptał, szeroko rozkładając ręce.

Dytmar znowu klasnął w dłonie.

— Czy jajko od razu staje się kurą? — zawołał. — Nie, najpierw musi przekształcić się w kurczę. Jak kurczę do starej kury, podobna jest dusza młoda narodu niemieckiego do starej duszy Romy. A Słowianie to jajko, kształtu istoty żywej jeszcze nie mające, tyle w nim jeno życia prawdziwego, co ciepła. Wybacz mi, ojciec opacie, porównanie owo, nie nadto piękne, ale najdokładniej istotę rzeczy oddające. Czyż nie jak kura o jajko troszczy się dziś Kościół Piotrowy, Kościół Rzymski, o Słowian w wierze świętej utwierdzenie?... Czyż nie przysłała do Czech, do Polski dzieci swoich, tak wspaniale w naukach dziedzictwa Rzymu ukształconych, jak oto ty na przykład, ojciec Aronie? Gdy zaś rozgrzana ciepłem macierzyńskim Rzymu pięknie skorupa barbarzyństwa pogańskiego, co z łupin wyskoczy? Rzymianie? Przenigdy, ojciec Aronie! By Rzymianinem się stać, pierwszej stać się musi Słowianin Niemcem...

— Dziwna to a nowa, nie znana mi nauka — mruknął Aron. — Ojciec Najświętszy Sylwester pouczał, że Imperium Rzymskie to gromada narodów rozmaitych, równych sobie przed obliczem majestatu złotoskrzydłego Romy... Jednakże Rzymianinem jest Italczyk i Niemiec, i Słowianin...

— Nigdy Słowianin nie będzie równy Niemcowi, jeśli sam się Niemcem nie stanie — uniósł się gniewnie Dytmar. — Nigdy, ojciec Aronie, nigdy!

— Czemuż to, ojciec biskupie? Przecież niech jeno spocznie korona królewska na skroniach Pana Bolesława, równy będzie dostojnością swoim przed obliczem Boga, Kościoła Piotrowego i majestatu Romy dostojności niemieckich nawet królów — znów powiedział ustami Arona Tymoteusz.

— Bluźnisz majestatowi Romy — syknął Dytmar. — Nigdy nie będzie żaden władca słowiański dostojnością królowi niemieckiemu równy. Bo majestat królestwa niemieckiego i majestat Romy to jedno.

— Wydaje mi się, że błędzisz chyba, ojcze biskupie — znowu powiedziała z kąta Ryczeza. Głos jej niepewny był; poznać było, że jak najuprzejmiej stara się mówić do Dytmara, czuło się przecież, że wyraźnie jest zdumiona.

W świetle lampy oliwnej ujrzał Aron, jak nagle zmienił się wyraz twarzy Dytmara. W okamgnieniu odleciały gdzieś wzgardliwość i wzburzenie.

— Poblądziłem — mruknął pospiesznie z uśmiechem przymilnym, przepaszającym, wręcz skruszonym. — Język to nieudolny, nie myśl moja świadoma wyrzekła bzdurne istotnie słowa: majestat Romy i królestwa niemieckiego to jedno. Bom wcale, ale to wcale co innego miał na myśli. Chciałem rzec... chciałem przyświadczyć prawdzie, że jak dotąd, od niepamiętnych czasów, niemieckich tylko królów zaszczycała wola Boża łaską majestatu cesarskiego. Ale oczywiście także i dziedzic nie niemieckiej krwi mógłby zostać Imperatorem, na przykład Bolesław lub, co pewniejsze, wnuk jego, twój syn, pani Ryczezo...

— Prawdaż to? — popłynął z ciemnego kąta podniecony, wzruszony szept.

— Prawda. Ale aby dostąpić zaszczytu owego najwspanialszego, który tu oto tak poniżyć — bluźnierczo zaiste! — ośmielił się przed chwilą najdostojniejszy Pan Opat Aron — należy przede wszystkim pojąć, wniknąć, w czym tkwi istota majestatu Romy. Oto w tym, że każdy chrześcijanin, a więc i książę każdy, i król, winien majestatowi Romy posłuch bezwzględny. Nie masz bowiem na okręgu ziemi innej woli, jak Boża i z Bożą we wszystkim zgodna, cesarska...

— A wola Ojca Najświętszego, papieża? — wtrącił znowu ustami Arona daleki Benedykt Ósmy, Jan Teofilaktos.

— Gdy na stolicy Piotrowej godny mąż zasiada, nie różni się wola jego od cesarskiej.

— Ja zaś mniemam, że wola cesarska jeno odblaskiem być winna

Piotrowej woli.

— Bluźnierstwo! — namiętnie krzyknęła Rycheza.

— Herezja... — ni to z niesmakiem, ni to współczująco wymamrotał Dytmar. Westchnął. Po czym z miną, jak gdyby brata rodzzonego z toni usiłował ratować, jął żarliwie, błagalnie wręcz, wzywać Arona, by sobie przypomniał, czyż nie były jednością, miłości pełną, wole Ottona i Sylwestra Drugiego? I czyż nie są tak samo spojone dziś w jedność nierozzerwalną wole Ojca Najświętszego Benedykta i Pana Cesarza Henryka?

Nie, nie są — chciał już odpowiedzieć Aron, ale nagle przypomniały mu się słowa ostrzegawcze Tymoteusza na spowiedzi w Tyńcu: „Tego, com ci o stryju swoim, papieżu, i cesarzu Henryku Drugim rzekł, nikomu nie waź się powtarzać, bracie. Jeszcze nie czas. Pamiętaj: jeszcze nie czas”.

Dytmar zaś tymczasem ciągnął dalej:

— Są przecież zuchwalcy, przez demony niespodzianie w duszy swej i myśli odmienieni, którzy zapomnieli nagle, co winni są majestatowi Romy, zapomnieli, że wola Boża i cesarska to jedno. Pomyśl jeno, pani Rychezo; chciałabyś, iżby synowi twemu, Cesarowi Augustowi potężnemu, złotych orłów dzierżycielowi, rzekł nagle ktoś zuchwały: nie uznaję twojej woli za natchnioną przez Boga, nie poddam się jej więcej?!

— Nigdy! Przenigdy! — uderzyły potężnie z ciemnego kąta namiętne, gniewne słowa.

— Słyszysz, mężu uczony? Pani Rycheza, siostrzenica Ottonowa, dobrze pojęła, co to jest majestat cesarski. Zechciej więc pojąć i ty, ojczu Aronie. Wiem, jak bardzo oddany jesteś pani Rychezie. Nie poniechaj więc zaskarżenia jeszcze gorętszej jej wdzięczności. Przyjaźnisz się z Tymoteuszem, biskupem poznańskim — rzeknij mu, by Panu Bolesławowi, który chętnym uchem wszystkich rad jego słucha, przypomniał, co winien jest każdy władca chrześcijański, choćby najpotężniejszy, majestatowi cesarskiemu, majestatowi Romy nieśmiertelnemu. Wielką słowem tym przysługę wyświadczysz pani Księżnej, która przecież tobie tyle dobrego wyświadczyła,

dostojeństwem opacim, władzą i dostatkiem wielkim hojnie ciebie obsypując. Gdy staną posłowie majestatu Romy przed Bolesławem i rzekną mu święte słowo cesarskie, niech w świeżej ma pamięci władca Polaków ową prawdę najświętszą, na której, jak na postumencie z marmuru tysiącletniego, cała moc majestatu Romy się wspiera; co zaś jest ową prawdą najświętszą. Jużem rzekł: wola Boża i wola cesarska to jedno. Nie zapomnij więc rzec słówka Tymoteuszowi.

— Nie zapomnij, Aronie — rozkazująco, a zarazem przecież błagalnie prawie zawołała z ciemnego kąta Rycheza.

Dytmar wziął Arona za rękę.

— Moc Rzymu to moc Mądrości, ojciec opacie — szepnął ciepło, miękko — a uczeni mężowie to bracia, miłością wielką do Rzymu i do Mądrości nierozzerwalnie z sobą sprzęgnięci. Jak brat więc mam prawo cię prosić: nie zapomnij rzec słówka Tymoteuszowi.

Aron nie zapomniał. Rozmawiał z Tymoteuszem rankiem tego dnia, gdy zapowiedziano na wieczór przybycie Bolesława. Biskup poznański wysłuchał go ze skupioną uwagą, taką samą, z jaką w Tyńcu wysłuchiwał gorączkowej opowieści o majaczeniach Arona w chorobie i śnie jego po ozdrowieniu. Gdy opat tyniecki skończył, Tymoteusz chwycił go nagle gwałtownym ruchem za ramiona i począł trząść. — Co czynisz? — zawołał Aron zdumiony i wylękniony.

— Budzę cię, biedaku. Budziłem cię, budziłem, a ty wciąż śpisz. Więc znowuż ci powiem tylko to, com rzekł wówczas w śnie owym twoim: zawołaj ją po imieniu.

Aron tym razem dobrze zrozumiał, co chciał powiedzieć Tymoteusz. Zatrząśł się więc cały, gdy wieczorem znowu otworzyły się drzwi, znowu weszła Rycheza.

Nie panowała zupełnie nad wzburzeniem. — Pan Ojciec drużynę do Krosna wysyła, Mieszkowi dowodzić nią każe! — krzyknęła od progu, załamującym się głosem.

Aron zerwał się na równe nogi. — Więc wojna postanowiona? Nieodwołalnie? — zapytał słabo, ledwie dosłyszalnie.

— Może posłowie zdołają jeszcze jutro przekonać Pana Ojca, by

przecież przed majestatem Romy się ukorzył. Ale ja się nie wojną trapię najbardziej, Aronie... nie wojną, jeno hańbą, jaka na Mieszka spłynie... Przecież Pan Cesarz wolnością go wówczas dopiero obdarzył, gdy Mieszko przysięgę uroczystą złożył, że nigdy nic przeciw woli cesarskiej nie uczyni. Teraz zaś mi rzekł: „Jeśli Pan Ojciec każe mi Pana Cesarza do Krosna nie wpuścić, nie wpuszczę”. A wszak to przysięgi złamanie haniebne! Nie godzi się Mieszkowi tak postąpić, nie godzi się.

— A czy godziło się Panu Cesarzowi Pana Mieszka, przez Udalryka wolno puszczzonego, więzić podstępnie niby łotrzyka pospolitego?

Lecz Rycheza zdawała się nie słyszeć jego słów. Przyciskając dłonie do tętniących skroni wciąż wołała: — Nie godzi się... Nie godzi się... Hańba to straszliwa... hańba Mieszkowi... hańba łonu mojemu...

Aż nagłym ruchem oderwała rękę od skroni, splotła je kurczowo na piersiach, szeroko wyrzuciła w obie strony niebieską tkaniną okryte łokcie. — Lepiej by było, gdyby Udalryk go wcale Panu Cesarzowi nie wydał — syknęła ledwie zrozumiale poprzez szczękające zęby.

Aron chwycił ją za rękę, ścisnął mocno, boleśnie. — Cóżes wyrzekła, pani Rychezo? Cóżes wyrzekła, na Krew Najświętszą Chrystusową? Przecież o małżonku swoim mówisz! Takie straszliwe, takie grzeszne mówisz o nim słowa! Wszak jeśli by nie zabrał Pan Cesarz Pana Mieszka Udalrykowi, kalectwo by okrutne małżonka twego dotknęło... Nigdy by do łoża z tobą nie poszedł, dziedzica byś nigdy z krwi Ottonów i Bazyleusow nie zrodziła...

Rycheza gwałtownie wyrwała rękę z uścisku. — Głupiś! — rzuciła mu w twarz, jak gdyby biczem go trzasnęła. — Myślisz, że mi lubo Mieszka do łoża swego przyjmować... Myślisz, że to z nim koniecznie chcę mieć dziedzica z krwi Ottonów i Bazyleusów...

Odeszła, uciekła raczej. — Teodoro Stefano! — rzucił jej w ślad Aron pełne bólu raczej niż gniewu wołanie.

Nazajutrz z bólem też przyglądał się posępnej, bladej twarzy Mieszka, zapytującego ojca, czy istotnie jemu właśnie zamierza

poruczyć dowództwo nad drużyną mającą Krosna przeciw wojskom cesarskim bronić. „Opętany przez swoją Teodorę Stefanię” — myślał Aron ponuro o małżonku Ryczezy. Zalała go nagle fala współczucia ogromnego dla Mieszka: nie mógł wprost patrzeć na Ryczezę, na wzrok, jakim krzepiła męża — nienawidził jej w owej chwili. „Tak samo chyba Teodora Stefania na Ottona patrzyła, gdy Krescencjusza tracił” — boleśnie zakotatało w jego myśli. Wzdrygnął się cały. Przeniósł pospiesznie spojrzenie na Bolesława: ujrzał spokojny, ostry, zimny wzrok, badawczo utkwiony w pełnej podniecenia twarzy Ryczezy. I właśnie wówczas powiedział do siebie: ten żadnej się nie da opętać Teodorze Stefanii. Uspokojony zupełnie, wsłuchiwać się jął w sprzeczkę, jaka zaczynała się między ojcem a synową. Nie wątpił już, że w walce o Mieszka Lamberta Bolesław pokona Ryczezę. Za dobry poczytał to znak, gdy jeden z leżących u stóp Bolesława psów groźnie warknął na siostrzenicę Ottonową, ledwie pierwsze zdołała gniewnie wypowiedzieć słowo.

15

Bolesław pozwolił synowej wyrzucić z siebie wszystko, cokolwiek kotłowało we wzburzonej jej myśli. Zdawał się nie dostrzegać zdumienia i zgorzenia, jakie w miarę słów Ryczezy malować się poczynały na twarzach otaczających go dostojników. Ani na chwilę nie spuszczał z mówiącej niezmiennie zimnego i ostrego spojrzenia. Ręce jego spokojnie spoczywały na kolanach. Kilka razy zagryzł wargę i dosyć głośno mlasnął językiem. Dopiero gdy gwałtownym ruchem zrzuciła ze swej głowy czepiec, strój kobiet zamężnych, i ciemnymi potrząsając włosami, co aż na pierś i plecy jej spłynęły, zawołała:

— Hańba mi, zem z krwią waszą się złączyła! — Bolesław szybko, sprężyście, jak gdyby młodzieńcem był, zerwał się na nogi.

„Zaraz ją uderzy” — pomyślał Aron i szybko zmrużył oczy.

Nie usłyszał jednak uderzenia ni krzyku, jeno głos opata Antoniego, który głośno zawołał:

— Ta kobieta to twój wróg, Panie Królu! Dawno to wiem.

— Dawno wiesz, ojcie Opacie? — głos Bolesława kpiną rozbrzmiewał, wesołą i prawie dobroduszną. — Toś dawno już sobie głowę tą myślą zaprószał? Jakże mi szkoda twojej głowy.

Aron otworzył oczy. Bolesław schodził ze wzniesienia.

Nie spuszczał oczu z synowej, ale nie zimnym już spoglądał na nią wzrokiem, jeno kpiącym i dobrodusznym. Z ostatniego zszedłszy stopnia począł wolnym, ciężkim krokiem iść ku Ryczezie. Tym samym ruchem, co psie grzbiety, pogłaskał obnażoną jej głowę.

— Podnieś czepiec — rzekł. Nachyliła się, podniosła.

— Włóż.

Usłuchała. Ale nie szło jej łatwo. Ręce jej drżały, plątały się we włosach, raz po raz opadały bezsilnie.

— Dopomóż jej, Mieszku — spokojnie powiedział Bolesław, ponownie mlasnąwszy językiem.

Mieszkowi teraz trzęsły się ręce. Błady był, bledszy niż Ryczeza.

— Jakżeś mogła tak do Pana Ojca mówić? — szepnął drżącymi zbielejącymi wargami.

— Nie szkodzi wcale, że tyle nagadała — mruknął Bolesław wydymając policzki i zaraz potem wargi. — Wiem teraz nareszcie dokładnie, co się w tej główce niemądrej od lat uzbierało.

Znowu pogłaskał Rychezę, tym razem po policzku. Wciąż przyglądał się jej kpiąco a dobrodusznie. Ale wyraz oczu jego zupełnie odmienił się, gdy obrócił się ku Antoniemu: znowu zimne odmalowało się w nich skupienie.

— Nie jestem kapłanem uczonym, nie znam na pamięć Pisma Najświętszego, nawet przeczytać go nie zdołam, mniemam przecież, że majestat Boży nie tyle żąda od dusz chrześcijańskich ciągłego wczytywania się w Pismo, ile rozumienia należytego słów w nim zapisanych. Co o tym myślisz, najdostojniejszy Panie Opacie?

Antoni począł coś cicho wyklądać, ale Bolesław zdawał się nie chcieć wcale go słuchać, choć niby wprost ku niemu kierował pytanie. — Wiele mądrości znajdzie w Piśmie Najświętszym ten — ciągnął — co wmyśla się w jego słowa i nauki w słowach owych zawarte. Ale wmyśleć się trzeba, wmyśleć — powiadam. Ty oto, Panie Opacie, często zapewne księgi święte czytujesz, ale czytanie owo nie powstrzymało ciebie od okrzyku oskarżającego: „Ta kobieta to wróg”. Czyż nie godziłoby ci się raczej westchnąć nabożnie słowami Pisma: „Panie odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią?”

— Ale tym odpuść, którzy nie wiedzą, co czynią, takeś rzekł, Panie Królu — odparł Antoni silny kładąc nacisk na słowach „nie wiedzą”.

— A ona właśnie i nie wie, co czyni — uśmiechnął się Bolesław. Wzrok jego znów zacieplił się dobrodusznością.

Rycheza postąpiła krok naprzód. Oderwała ręce od czepca, splotła je kurczowo, silnie przycisnęła do piersi. Otworzyła usta, by znowu jakieś gniewne wyrzucić z siebie słowo, ale Bolesław, uderzywszy ją lekko po ręce, nie dał jej dojść do słowa.

— Nie szarp się już, kobiecinko — powiedział z lekkim niecierpliwieniem. — Tak jest, jak powiadam. Nie wiesz, co czynisz. Omamionaś, biedaczko głupiutka. Włożyłaś czepec, jak przystoi? Usiądźże więc obok Mieszka i bądź cicho. Pogadam z tobą później. A teraz uważaj: nie odzywaj się.

Ostatnie słowa wypowiedział innym zupełnie tonem niż wszystkie poprzednie. Surowym rozbrzmiewały rozkazem, ostre były i zimne.

Wrócił na swe miejsce. Wchodząc na stopnie znowu pogłaskał z uśmiechem psy. Dłuższą chwilę przeczekał pochylony, z rozbawieniem a zarazem i z rozrzewnieniem prawie przyglądając się wielkim jęzorom, co lizały mu ręce — wielkim ślepiom, co wpatrywały się w niego z oddaniem bezgranicznym.

Gdy siedział już znowu na stolcu trójnogim, gdy rozparł się szeroko rozstawiając nogi i wygodnie opierając się plecami o wielkiego orła, niegdyś srebrnego — skinął głową w kierunku podwoi, przy których stał Saul z Końskiego.

— Wprowadź posłów Pana Cesarza — rozkazał mu mową słowiańską.

Saul oddalił się, by po chwili wprowadzić do komnaty biskupa Dytmara i margrabiego Hermana. Towarzyszył im jeszcze ktoś, nie znany Aronowi: łańcuch srebrny na szyi i miecz zakrzywiony, jakiego Niemcy nie używają, kazał domyślać się w nim Bolesławowego raczej wojownika, a może nawet jednego z wodzów, niezwykle bowiem bogaty nosił strój. — Ale czemuż jam go nigdy dotąd nie widział? — zapytywał siebie Aron w zdumieniu.

Bolesław spokojnie i z uwagą wysłuchał przemowy posłów. Brwią nawet nie poruszył, gdy Dytmar w słowach pełnych szacunku, ale i stanowczości zarazem, wypowiedział formułę wezwania lennika przed sąd Pana Króla i zgromadzenia wszystkich wielmożów saskich. Formułę poprzedziło długie wyliczenie przewin Bolesławowych: przyrzekł towarzyszyć Panu Królowi na koronację cesarską do Rzymu wraz z całą drużyną swoją — nie poszedł ani drużyny nie posłał; Udalryka czeskiego przeciw majestatowi buntował, a gdy Udalryk ukorzył się przed królem i cesarzem, Bolesław ogniem i żelazem krainę czeską, lenno cesarskie, najechał; Stojgniewa do Lotaryngii wysłał, aby przeciw majestatowi wicherzył; aż w Rzymie dalekim bunt przeciw woli cesarskiej potajemnie wspierał; wezwany przed oblicze cesarskie dla usprawiedliwienia się — nie stawił się wcale. Czy stawi się teraz, gdy po raz wtóry wzywa go przed siebie pełen urazy

słusznej majestat?

— Nie stawię się.

Twarz margrabiego okryła się bladością, biskupa Dytmara purpurą.

— Nie chciej jeszcze bardziej rozgniewać urażonego Pana Króla i Cesarza, ojciec najmilszy — szepnął margrabia błagalnym prawie głosem.

— Kto nie czuje się winny, nie obawia się stanąć przed obliczem sądu. Jużś wydał wyrok na siebie, Panie Bolesławie — zimno cedził słowa Dytmar.

— Jeszcze nie, jeszcze nie! — przerwał mu Herman tonem, w którym rozpacz szczerą przeplatała się z resztkami nadziei. — Przecież ty wyruszysz przed oblicze Pana i Cesarza, ojciec... Na pewno wyruszysz, nieprawdaż?

— Nie, synu.

— Ale dlaczego?

— Nie chcę.

Aron dostrzegł, że wzrok Bolesława, gdy na Dytmarze spoczywał, zimny był i ostry, wyniosły a wzdurliwy; ledwie jednak prześlizgiwał się na twarz Hermana, ocieplał się i łagodniał.

— Córka twoja, a małżonka moja, Regelinda, nocami nie sypia, zawodzi wciąż żałośnie, o ciebie się boi, ojciec. Straszliwie poraża gniew majestatu, ona wie o tym.

— Stokroć żałośniej będzie zawodzić, jęczeć i krzyczeć będzie w rozpacz, gdy ugodzą mnie ciosy morderców podstępnych, niech jeno w jakimś grodzie cesarskim stanę.

Dytmar cofnął się o krok. Wysoko uniósł głowę, przed zgromadzeniem całym odsłonił odważnie zgrubienie lewą szczękę jego zniekształcające.

— Śmiesz spotwarzać majestat posądzeniami, że naśle na ciebie morderców podstępnych? Nową straszną obarczyłeś swe sumienie przewiną.

Bolesław wzruszył lekko ramionami. W zimnych, oczach zaigrały iskiereki śmiechu.

— Za poprzednika twego, biskupa Wiberta, opadli mię mordercy

podstępni w Merseburgu, panie Dytmarze. Ledwieam cały uszedł.

— Ależ, ojcze, nie posądzasz chyba Pana Króla i Cesarza...

— Hermanie, Hermanie! Czy ty naprawdę myślisz, synu, że to jeno uraza osobista i żądza pomsty kierowała dłońmi owych czterech rycerzy, co ojca twego Ekkeharda, przyjaciela mi wielce miłego, w łóżku, nocą w gospodzie zamordowali?

— A cóż kierowało ich dłońmi, ojcze?

— Kto kierował ich dłońmi, zapytać chcesz, synu? Chyba ten, myślę, kto nigdy by królem i cesarzem nie był został, gdyby nie zamordowano Ekkeharda. Byłbyś dziś dziedzicem korony, Hermanie! A teraz z kim przeciw mnie, ojcu małżonki swojej, idziesz? Z tymi, co miecze na rodzica twego wyostrzyli. Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj towarzysza swego, Pana Dytmara. Wszak to jego stryj, pan Lotar margrabia, Henryka stronnik najzapaleńszy, krzyczał do twego ojca, gdy obiór jego na króla już pewny był prawie: — „Cóż to? Nie widzisz, Ekkehardzie, że koła czwartego brakuje w twoim wozie?!”

— Nie przybyliśmy tu po to, aby o Ekkehardzie rozprawiać i Lotarze, stryju moim — sucho powiedział Dytmar. — Raz jeszcze zapytuję ciebie, panie Bolesławie, czy staniesz przed obliczem majestatu?

— Raz jeszcze zapewniam cię, panie Dytmarze, że nie stanę.

— Ojcze, raz jeszcze zaklinam ciebie — zawołał Herman. — Jeśli nie przybędziesz, wszystkich panów saskich, turyńskich i bawarskich zgromadzi Pan Król i Cesarz, by przeciw tobie ruszyli. I ja też będę musiał przeciw tobie pójść, choć z sercem boleścią ugodzonym. Miłuję cię, ojcze, alem wierny lennik cesarski, pójdę.

— Niemilo mi będzie mieć ciebie w polu przeciw sobie, Hermanie — spokojnie rzekł Bolesław.

— I księżę czeski, Udalryk, przeciw tobie miecz swój obróci.

— Niech obraca.

— I wszyscy książęta lutyccy i obodryccy, Słowianie, pobratymcy twoi, ilu ich tylko jest. Twarz Bolesława ożywiła się.

— Słyszycie, ojcowie wielebni? — zwrócił się do zgromadzonych w komnacie biskupów i opatów. — Uważnie słuchaj, Panie Hipolicie,

arcybiskupie najdostojniejszy. Słuchaj, Tymoteuszu, słuchaj, Aronie. I ty słuchaj, Antoni. Świątobliwy Pan Cesarz Henryk, który namiestnikiem Chrystusowym siebie zowie, pogan obmierzłych przeciw mnie poprowadzi. Bożki swoje przeciw krzyżom waszym poniosą, panowie biskupi i opaci. Cóż, Hermanie, synu miły — słowa twe cieszą mnie tylko: jeśli demony pogańskie przy tych staną, co przeciw mnie ruszą — przy mnie stanie Chrystus. A jeżeli z owej przyczyny boleję, to jeno w trosce o zbawienie wieczne tego, którego zowiecie namiestnikiem Chrystusa; potępienia duszy jego bowiem nie pragnę. Znow zabrał głos Dytmar.

— Mocą przesławnego, najdostojniejszego, najczcigodniejszego Pana Henryka, króla Niemiec, króla Italii i miłego Bogu Cezara Augusta wzywam cię w imię Chrystusowe, Bolesławie, lenniku niewierny, krnąbrny i obłudny: zwróć Panu Królowi i Cesarzowi, rozdawcy jednemu dóbr ziemskich wszelakich, wszystkie te ziemie, którymi obdarzyć zechciał cię łaskawie w owej chwili, gdyś w Merseburgu kolano swoje przed nim zgiął, ręce swoje w dłonie jego włożył, służbę mu wierną przyrzekając. Rozkaż, niech drużynnicy twoi wszystkie opuszczą grody przez majestat ci darowane.

Bolesław uśmiechnął się.

— Raczej cudze zabiorę, niż swoje oddam — rzekł kiwając stopą i dotykając nią grzbietu psa. Rozległo się głuche warknięcie.

— Słyszałeś, Dytmarze?

— To jedyna twoja odpowiedź?

— Nie, nie jedyna. Każ, Khairanie, osiodłać rumaki dla dostojnych posłów, zaprowadź ich na błonie, niech się dobrze przyjrzą drużynie, którąś mi z Hiszpanii dalekiej przyprowadził.

Aron drgnął. Wpił się oczyma w bogato odzianą postać z łańcuchem srebrnym na szyi i z zakrzywionym mieczem u boku. Więc to Khairan? Więc owa twarz wygolona gładko i złotymi okolona kędziorami, co aż na ramiona spadają, to ta sama twarz, która ongiś w Kordobie straszyla Arona wielką brodą o barwie purpury? Więc jednak odszukał Bolesława wódz drużyn słowiańskich kalifa? I nie tylko odszukał, ale i drużynę z sobą przyprowadził?! Lecz którądy?

Przecież nie przez ziemie Niemców chyba?

— A więc wojna, ojczyzna? — niemal łkając jęknął margrabia Herman.

Bolesław przechylił się na stolcu trójnogim. Daleko przed siebie wyciągnął rękę, by dosięgnąć ramienia Hermana. — Odpowiem ci, synu, tymi samymi słowami, które ci już raz przed laty powiedział, przed poprzednią z Panem Henrykiem wojną: „Jeden Chrystus wszystkowiedzący wie, jak niechętnie uczynię to, do czego mnie zmuszają”.

Dytmar zerwał się z miejsca. Ruszył ku wzniesieniu szybkimi kroczkami, biegiem prawie. Zaciskał pięści, marszczył przekrzywiony nos.

— Kłamiesz, kłamiesz, zawsze kłamiesz! Lubujesz się w wojnie, w mordzie, w pożodze, w zabijaniu mężów, w uprowadzaniu kobiet! Wzdychasz do Chrystusa, a w sercu pogańskich czcisz bogów wojny! Nie po to prowadzisz wojny, żeś zmuszony, ale boś łupu krwawego chciwy i niewolników, co by na ciebie, synów twych i drużynników twoich pod batami ciężko pracowali...

— Khairanie, wskaż dostojnym panom posłom drogę do podwoi, przed którymi rumaki stoją.

Aron gonił wychodzącego dumnie Dytmara niespokojnym, wylęknionym prawie spojrzeniem. Malutki ten pokraczny człowieczek władny jest pomścić się na Bolesławie srożej, straszliwiej niż ktokolwiek bądź z żyjących na całym okręgu ziemskim. Potężną bowiem rozporządza mocą. Mocą, by ludzie wieków przyszłych mówili o Bolesławie jego, Dytmara, słowami — widzieli Bolesława jego, Dytmara, oczyma. Nieodparty jest bowiem czar pięknej łaciny!

— Gotuj się do drogi, Mieszku — rzekł Bolesław, gdy posłowie wyszli. — Nie wpuścisz Henryka do Krosna?

— Nie wpuszczę.

— Słyszałaś? — zwrócił się Bolesław do Ryczezy. — Chodź teraz ze mną, pogadać chcę z tobą na osobności.

— Teraz dopiero obije ją Pan Książę — szepnął Wincenty, Krzywym Wąsem zwany, radośnie zacierając ręce. — Za takie zuchwalstwo, cośmy tu słyszeli, język by kobiecie wyrwać należało...

— Nasz Pan Król mądry jest, roztropny, rozważny — odpowiedział również szeptem opat Antoni. — Wszak kobieta owa zuchwała to dziecię krwi Ottonów i Bazyleusów, nie przystoi, by oczy sług królewskich oglądały bicie osoby tak dostojnej...

— Wcale bić jej nie będzie — odezwał się arcybiskup Hipolit, gdy Bolesław i Rycheza wyszli z komnaty, poprzedzani przez psy. — Skarci ją tylko słowem gniewnym...

— Nie, będzie bić, na pewno będzie — upierał się Wincenty.— Kto kobiety w domu nie bije, wrogów w polu bić nie zdoła.

Tonem głębokiego przeświadczenia wypowiedział ostatnie słowa. Ale nie poprzestał na własnym przeświadczeniu, najgłębszym chociażby. Pragnął gorąco, by inni jeszcze potwierdzili słuszność jego słów.

— A ty co mniemasz o tym, ojciec opacie? — zagadnął Arona.

Lecz opat tyniecki nie odpowiedział. Chyłkiem pomykał ku drzwiom. Powziął mocne postanowienie: musi słyszeć, o czym będą mówili z sobą Bolesław i Rycheza.

Udało mu się. Pierwszy to raz podsłuchiwał rozmyślnie. Nie pożałował, że podsłuchiwał.

Pomieścił się za purpurową zasłoną ozdobioną srebrnymi orłami. Nie odważał się jej uchylać, bał się ją nawet palcem poruszyć — nie mógł więc ani przez chwilę, nawet króciutką, widzieć ich twarzy. Ale to go nie martwiło zbytnio. Przeświadczony był, że gdy cały zamieni się w słuch, zdoła po jakimś czasie, niczym ślepiec, odgadywać wiernie tajemnicę spojrzeń i uśmiechów niewidzialnych z brzmienia głosu, z treści słów, z długości przerw między słowami.

Dobrze zdawał sobie sprawę z tego, na co się narazi, jeżeli nie zdoła na czas umknąć niepostrzeżenie, gdy któreś z tamtych dwojga wyjdzie spoza zasłony. A przecież ciekawość przemogła w nim lęk. Czuł, że musi ich podsłuchać, musi dowiedzieć się, co tało się za słowami Bolesława o odpuszczaniu tym, którzy nie wiedzą, co czynią.

Słowa te bowiem, do Rychezy odniesione, zdawały się Aronowi być zaklęciem, co zdejmuje z niej piętno jedności występnej z Teodorą Stefanią; zadawały kłam jego snowi, przywracały

niebieskość oczom, co się obróciły ku niemu zielone, gdy zawołał ją po imieniu. Ogromnie nim wstrząsnęły, Teodora Stefania bowiem wiedziała, co czyni.

Czuł się tak jak wówczas, gdy przyprowadzono go przed Jana Filigata lub gdy wchodził do rydwanu, którym z Lateranu wracała Teodora Stefania. Oto narażał się na niebezpieczeństwo, w pełni świadomy skutków, a przecież gotowy na wszystko. Rzadkie to były chwile w jego życiu: nadchodząc — przerażały: mijając — napawały dumą.

Nie zdążył na początek rozmowy Bolesława z Rycheza. Gdy na palcach zbliżył się do zasłony i zaszył w kąt, pochwycił uchem słowa: „...klękałeś, miecz przed nim do kościoła niosłeś?” — Słowa te, jakieś dłuższe kończące zdanie, wypowiedziała Rycheza tonem pytania, pełnego gorczy i naigrawania się zarazem.

Bolesław odpowiadał jej spokojnie, a przy tym tak miękko i łagodnie, że Aronowi wprost trudno było uwierzyć, iż to on właśnie mówi.

Nie spodziewał się nigdy, że Bolesław może takim przemawiać tonem do kogokolwiek bądź, a cóż dopiero odpowiadając komuś takiemu, kto wyraźnie przeciwstawiał mu się zuchwale, ba, ośmielał się naigrawać z niego...

„Tak się mówi do dziecka, którego nie można nie miłować, któremu nie można nie przebaczyć” — przemknęło Aronowi przez myśl.

Bolesław długo wyjaśniał Rychezie, dlaczego ukląkł w Merseburgu przed Henrykiem, dlaczego włożył swoje ręce w jego dłonie i niósł przed nim miecz do kościoła.

— Nie stałoby się to — mówił — gdyby mi Khairan o trzy lata wcześniej tylu wojowników wspaniałych przywiódł i tak znakomicie już wówczas drużynę moją do boju przysposobił, jak to teraz uczynił. Więcej ci powiem, Rychezo: głupcem byłem, żem jeszcze przed dwunastu laty nie ukląkł przed Henrykiem po to, by z rąk jego krainę czeską w lenno wziąć. Pobłądziłem, dumie przed roztropnością pierwszeństwo dając. Proch bowiem z kolana dawno bym strzepnął, nie byłoby go, a Czechy by były przy mnie i dziś bym tak samo

o Czechach mógł rzec Dytmarowi, jakem o Łużycach i Milsku rzekł: „Moje to, nie cesarskie. Nie oddam”. Za późno zmadrzałem. Gdybym bowiem Czechy dziś miał, pierwiej by w Bawarii Khairan był, nim by Henryk pod Krosno przyszedł. Niewczesną pobłądziłem porywcznością.

— Czy mam rozumieć. Panie Ojczy, że w Merseburgu Łużyce i Milsko jako lenno cesarskie biorąc, w owej już chwili, gdyś kolano przed Panem Henrykiem zgiął, taileś w sobie myśl, iż niech jeno mocniejszy będziesz ni lennikiem dłużej być nie zechcesz, ni ziem sobie podarowanych nie zwrócisz?

Bolesław zaśmiał się dobrodusznie.

— Ziem podarowanych, powiadasz? Ależ na ziemiach tych moje stało wówczas wojsko! To jam je Panu Henrykowi podarował, godząc się do czasu, by mi jako lenno dał to, nad czym dawno władzy nie sprawował.

Zapadło dłuższe milczenie.

— A jednak, Panie Ojczy — nie naigrawała się już, ale wzdychała Rycheza — ciężki to grzech przysięgi Panu Cesarzowi złożonej nie dotrzymać; przeciw majestatowi Romy miecz zuchwały świętokradczo obnażyć; srebrne orły przeciw złotym w bój puścić. Raczyłeś rzec, że rozproszona jest jak wszystkie kobiety z krwi Ottonów zrodzone lub z krwią tą w łożu małżeńskim zespolone. Raczyłeś więc i rady mojej usłuchać jako rady rozproszonej. Tak jak Pierwszy Otto słuchał rad Adelajdy, Otto Czerwony rad Teofanii, Otto Przedziwny rad babki i matki, i sióstr wszystkich, z których jedna mnie z mlekiem przekazała ową rozproszoność, jaką raczyś we mnie dostrzegać. Czyż nie lepiej zamiast z Panem Cesarzem się wadzić, wespół z nim przeciw Duńczykom uderzyć? Anglię ratować?

Aron był pewien, że Bolesław uśmiechać się musiał drwiąco i dobrodusznie zarazem w owej chwili, gdy wyjaśniać począł Rychezie, że wcale mu nie zależy na tym iżby Eitelred z wygnania rychło do Anglii powrócił. Niezawodną oto bowiem otrzymał wiadomość, że Bolesław Lambert, brat jego przyrodni a wróg nieprzejednany i wielce przebiegły, doradzał królowi wygnańcowi, by znowu się Duńczykom okupił, jak to już trzykrotnie uprzednio uczynił.

— Mniema bowiem Bolesław Lambert, że Duńczycy, srebro ponownie od króla Anglii wzięwszy, precz sobie z wyspy angielskiej pójdą, a przeciw mnie znów się obróca, dziesięciokrotnie potężniejsi w łodzie i zbroje, i w miecze za srebro Etelredowe kupione. Mniema też brat mój, że to on sam u boku Kanuta przeciw mnie mężów Północy poprowadzi, a mieczami ich mnie i drużynę moją pokonawszy, sam współ z braćmi krainą polską władać będzie.

„A gdyby nie ja, gdyby nie przyjaźń Etelnota do mnie, nigdy by się o tym Bolesław nie dowiedział” — uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem Aron.

— Błądzi przecież brat mój mniemając, że Duńczycy srebro dostawszy precz by sobie z Anglii poszli, jak to dawniej bywało. Nie zadowoli się już Kanut okupem: nie o łup walczy, o koronę. Niech walczy. Im chciwiej korony angielskiej pragnąć będzie, tym później przeciw mnie się obróci. A gdy włoży koronę ową na skronie swoje, a włoży ją na pewno, zapamiętaj sobie moje to słowo, Rychezo — wówczas istotnie może zechce Jomsborg mi odebrać, może i po Gdańsk sięgnie. Ale wtedy już pokój znowu będzie między mną a Panem Cesarzem: i to też zapamiętaj sobie moje słowo. I wtedy może istotnie współ z Panem Cesarzem przeciw Duńczykom miecz obrócimy.

— Czemu dopiero wtedy? Czemu wojnę świętokradczą przeciw majestatowi wszczynasz. Panie Ojcze, jeżeli już dziś o pokoju myślisz?

— Bo dziś Pan Henryk lennikiem chce mnie mieć, a jak wojnę ze mną będzie miał, to mu się odechce.

Rycheza zaśmiała się.

— Wydaje ci się, Panie Ojcze, że cokolwiek zechcesz, zawsze osiągniesz.

— Nie zawsze, dziecinko. Wszak chciałem osiągnąć, by Czechy przy mnie zostały bez tego, iżbym kolano zginał — nie osiągnąłem. Ale ci już rzekł, że m pobłądził wówczas. A gdy nie błądzę, osiągam wszystko, czego pragnę. A czy mam rzec ci, dlaczego tak się dzieje? Oto dlatego, że m zwykł pragnąć każdego dnia tego jedynie, co w dniu

tym osiągnąć można. A czy wiesz, kto mnie tego nauczył? Wuj twój, Pan Cesarz Otto. On to mi ową naukę najmądrszą Pana Papieża Sylwestra przekazał, choć sam jej nie usłuchał. A że nie usłuchał, padł. Za prawdę majaki miał, tak jak i ty, dziecinko.

I znowu cisza. Aron zgadywał, że w oczach Bolesława czułość ojcowska się maluje, w oczach Rychezy — zdumienie i opór.

— Nazwałem cię biedaczką głupiutką, Rychezo. Ale naprawdę nie myślę wcale, żeś głupia. Przeciwnie, tak mądrej kobiety nigdy dotąd nie spotkałem...

„Rycheza rumieni się teraz chyba” — przemknęło przez myśl Aronowi bardziej jeszcze niż poprzednio zdumionemu.

— Tak mądrej — ciągnął Bolesław — że doprawdy głupcem byłby ten, co by Mieszkowi mojemu takiej nie zazdrościł małżonki. Mądrość i uroda, i krew najdostojniejsza, jakże rzadko w jednym to się łączy człowieku...

— Nie pogniewaj się, Panie Ojczy, ale słowo twoje przeciw tobie samemu się obróci.

— Co chcesz rzec? Nie rozumiem ciebie...

— Oto i pan Bolesław potężny czegoś nareszcie nie rozumie! — tryumfująco zawołała Rycheza. — Ale nie wiem, czy godzi mi się wyjaśnić ci, com pomyślała, Panie Ojczy... Jeszcze mnie uderzysz za obelżywe słowo.

— Cóż to za słowo?

— Przyzwalasz, Panie Ojczy? Nie uderzysz? Więc rzeknę, ale pomnij: nie gniewaj się. Chciałam zapytać, czy wedle słów twoich winnam cię uważać za głupca?

Arona rzuciło w żar, potem w chłód i znowu w żar.

— Bądź cicho, dziecinko — rozległ się spoza zasłony po długiej, długiej chwili milczenia głos Bolesława, niski jak nigdy a dziwnie wibrujący. — Wszak moim synem jest ten, kogoś poślubiła...

— Nie mogłeś nie wiedzieć, że nie Mieszka chciała poślubić... — Głos Rychezy też niski był jak nigdy, a też dziwnie wibrujący. — Nie mogłeś nie wiedzieć, nie mogłeś... Nie mogłeś nie pojąć, czemu wołała w Kolonii do Tymoteusza, że za młoda jeszcze, by do łoża

z małżonkiem iść... że za wcześnie mi rodzić... Wcale nie za wcześnie było, kłamałam. Alem wiedziała, że Emnilda jest chora... że ledwie nogami włóczy... że za trzy, cztery lata umrze... — Emnilda wciąż jeszcze żyje, Rychezo. Głos Bolesława powagą wielką rozbrzmiewał, prawie surowością.

— Ale niedługo już będzie żyła! — zawołała Rycheza z nieukrywanym, dzikim iście upojeniem. — Żyd, lekarz z Miśni, co Arona w Poznaniu od śmierci uratował, powiedział Antoniemu, że nie dalej, jak za dwa, trzy lata umrze twoja Emnilda. Trzy lata, tylko trzy lata! Nie mogliście poczekać? Do łóża Mieszka gwałtem mnieście pchali, a jam przecież nie do jego wcale pragnęła iść łóża.

— Żyda owego na pał by nadzieć należało za takie gadanie — z zaciętością powiedział Bolesław.

Ale Rycheza zdawała się wcale nie słyszeć tej jego uwagi.

— Nie o Mieszku myślałam marząc o chwili radosnej, gdy małżonek łono mi otworzy... Nie Mieszkowi chciałam zrodzić syna z krwi Ottonów i Bazyleusów... Nie z Mieszkiem pragnęłam wstępować na stopnie Kapitulu... Ileż razy nawiedzał mnie w nocy Przedziwny, ile razy nawoływał mnie, bym tego tylko miłowała, kogo i on najgoręcej miłował.

Aronowi szumiało w uszach, tętniło w skroniach. Gwałtownie splatał i rozplatał ręce, aż w stawach chrzęściło.

„Teraz ona kładzie mu głowę na kolanach. Teraz on głaszcze ją po głowie, wydostaje jej włosy spod czepca”.

— Wyjechalibyśmy z tobą do Rzymu srebrnymi poprzedzeni orłami, ale niebawem złote by przed nami poniesiono. Nie zostałby Henryk cesarzem, nie na jego i Kunegundy skronie, na twoje i moje włożyłby Ojciec Najświętszy, Benedykt, diadem cesarów złoty... Spełniłoby się marzenie Przedziwnego, podwójnie by się spełniło, radością wielką duszę jego świętą na łonie Chrystusa spoczywającą napełniając.

— Nie spełniłoby się nigdy, Rychezo. Znowu chwila milczenia.

„Teraz ona odrzuca w tył nagłym ruchem głowę, spogląda mu w twarz zdumionymi a już znowu gniewnymi oczyma”.

— Nie spełniłoby się? Czy nie bluźnisz pamięci najświętszej Przedziwnego? I czy swojej wspaniałości i mocy nie bluźnisz też, mój Panie Małżonku? Pozwól mi dziś tak ciebie nazywać... tylko dziś...

— Nie pozwolę, córko moja.

„Słowami nie przyzwala. Ale głosem? A cóż dopiero oczyma, których nie widzę?”

— Przyznaj, żeś zbluźnił, jakem rzekła, i pamięci Ottona Przedziwnego, i swojej mocy wspaniałej. Nie wierzę, by się mogło nie spełnić coś, czegoście wy obaj pragnęli. Dawno by orły przed tobą na Kapitel poniesiono, gdybyś jeno zechciał. Nie zechciałeś. Wzywał cię Otto Przedziwny:

„Przyjdź, wesprzyj mnie potęgą swoją!” Nie przyszedłeś, nie wsparłeś. Nie miłowałeś Przedziwnego tak, jak on ciebie.

— Miłowałem, dziecinko. Alem ci już rzekł: tegom tylko zwykł pragnąć, co osiągnąć zdołam.

— Osiągnąłeś Patrycjusza Romy dostojęństwo wspaniałe. Tak samo osiągnąłbyś diadem święty cesarski.

— Nie osiągnąłbym, Ryczezo. Tak samo jak wuj twój Otto nie osiągnąłby nigdy tego, by odrodziło się Imperium Rzymskie w kształcie takim, jaki był mu miły. Sam bowiem Chrystus tylko wskrzesić mógł Łazarza pogrzebanego, a Otto nie był Chrystusem. Więcej ci rzeknę: nawet tego by Otto nie zdołał osiągnąć, bym Patrycjuszem Rzymu naprawdę był.

— Byłeś Patrycjuszem.

— Istotnie, spodobało się Ottonowi tak nazwać mnie, Ryczezo. Ale to był dźwięk jeno pusty. Mogę być i będę potężnym królem Słowian, niczyjej, jak Chrystusa tylko, władzy nad sobą nie uznającym, ale Rzymem Słowianin władać dziś nie może ni jako cesarz, ni jako Patrycjusz...

— Słowianin czy Niemiec, czy Italczyk — wszyscy jednacy przed obliczem majestatu Romy.

— I owe także słowa dźwięk jeno pusty, Ryczezo. To się tylko roiło wujowi twojemu, że wskrzesić dziś można Imperium Rzymskie, jednoczące wszystkie szczepy okręgu ziemskiego jako równe sobie

przed obliczem majestatu Romy. Dziś Imperium Rzymskie toż to samo, co niemieckie królestwo; imieniem Romy Niemcy nienawiść swoją i wzgardę do ludów innych osłaniają; pod zasłoną imienia tego swoją, swego szczepu potęgę pomnażają. Aby inne szczepy łatwiej im ulegały, mają je pięknymi słowami o jedności i równości ludów wszystkich w łonie Imperium różnoplemiennego. Zresztą nie tylko obcych mają, ale i swoich, jak ciebie i Heryberta. Niewielu bowiem nawet Niemców prawdę przeniknęło: Henryk ją zna, rozumie — Ryszard, opat werdeński — Dytmar także.

— Poblądziłeś. Wszyscy trzej, którycheś wymienił, gorąco wierzą w to, w co i wuj Otto wierzył: w Imperium różnoplemienne, nie niemieckie tylko.

— Skąd to wiesz?

— Sami to zawsze powiadali.

Bolesław się zaśmiał.

— Jużem ci rzekł dzisiaj, żeś omamiona, biedaczko. Czyś nie słyszała, com rzekł Antoniemu, iż należy ci odpuścić, boś nie wiedziała, co czynisz. Ale przestań już Mieszka i wszystkich moich majakiem Imperium różnoplemiennego mamicić i mamieniem tym nasz słowiański przeciw Niemcom osłabiać opór...

I znowu wydało się Aronowi, jak w rozmowie z Grekiem, towarzyszem podróży do Poznania — że księgę całą do ręki dostał — księgę, z której wyrwane kartki jeno dotąd czytał. Zrozumiał nagle, dlaczego król Henryk tak bardzo pragnął, by Rycheza syna Bolesławowego poślubiła — dlaczego opat Ryszard na spowiedzi odkrył Rychezie, iż Henryk z małżonką swą jak z siostrą żyje, nie będzie więc miał z krwi swojej dziedzica diademu cesarskiego — dlaczego Dytmar urwał nagle wywody, iż Niemcy jeno władać winni Romą, a Słowianie nigdy Rzymianami nie będą, chyba że w Niemców pierwej się przekształcą.

Ale Rycheza jeszcze nie dawała za wygraną. Jeszcze się opierała. Podnieconym zawołała głosem, że Gerbert Sylwester nie był Niemcem, nie lubił Niemców, a oto nikt wspanialszych niż on nie roztaczał przed Ottonem obrazów odradzającego się Imperium

różnoplemiennego.

— Gdym przed dwudziestu laty przybył do Magdeburga — wolno, w zamyśleniu widocznie i w skupieniu wielkim odpowiadał jej Bolesław — pokazano mi maszynę przedziwną, na której ów Gerbert coś naciskał, i pod tym jego naciśnięciem machina owa tony rozmaite z siebie wydawała, bardzo piękne nieraz tony. Myślę, że tak samo jak na maszynie owej grał też Gerbert Sylwester na duszy Pana Ottona. To i owo w niej naciskał i wnet posłuszny mu wydawała z siebie głos. Rozumiem, że jakąś pieśń przedziwną wygrać chciał Gerbert Sylwester na maszynie duszy Ottonowej, ale co to za pieśń, zgadywać nawet nie śmiem, Ryczezo, ani nie chcę. Zatrwożyłyby mnie może jej tony, a nie lubię się trwożyć, tym bardziej że nawet echo tej pieśni do mnie tu nie dochodzi.

„Dojdzie kiedyś, dojdzie” — radośnie, prawie tryumfująco pomyślał Aron.

Bo on wiedział, co to za pieśń była. Od niedawna wiedział. Od owej nocy, gdy w Tyńcu spowiadał go Tymoteusz.

I więcej jeszcze wiedział Aron. Wiedział, że Bolesław błędzi. Nie majak to wcale odradzające się Imperium różnoplemienne. Prawda to żywa. Jeno nie złote orły znakiem światowładnym owego Imperium, ale klucze złote. „Gdy na stopniach Kapitulu” — brzmiały słowa Jana Teofilakta, Benedykta Ósmego, dokładnie w Tyńcu przez Tymoteusza Aronowi powtórzone — „wołałem w dniu święta Romulusa do Ottona słowami »Eneidy« o przeznaczeniach Romy, śmiać mi się chciało i płakać zarazem. Komu władny był przebaczać biedny dzieciak Otto? Kogo władny był poniżyć? Ale my, Kościół Piotrowy, gromada moc swą z mądrości czerpiąca po to, by miłości i dobroci służyła — z dniem każdym z coraz większą słuszością będziemy mogli o sobie mówić słowami Eneidy:

Tu regere imperio populos, Romane, memento,
Parcere subiectis et debellare superbos.

Bo Rzym — to my. Imperium światowładne, różnoplemienne — to my.

My wkładamy diadem cesarski na kornie pochylonego u nóg

naszych króla Niemców.

I my też wspieramy władcę Słowian w jego oporze przeciw Niemcom. Bo właśnie dla nas, Rzymu prawdziwego, jednacy są przed majestatem Imperium, którego znakiem klucze złote — i Słowianie nowochrześcijańcy, i Niemcy pyszniący się urojonym prawem do władania nad Słowianami. Jedni i drudzy to dzieci nasze, jednako potrzebujące dobroci i miłości”.

„Oto komu ty służysz, ojciec Arenie — zakończył spowiedź o świcie w Tyńcu Tymoteusz. — W najwspanialszą zaciągnąłeś się służbę. Ciesz się, zawsze radosny bądź i wesół. A gdy znowu uczujesz, że trapić cię dotkliwie poczynają widziadła, w taką czy ową postać obleczone, znowu przyjdź, znowu przypadnij do kolan moich. Szczęśliwszy jesteś niż wszyscy mędrzy i wodzowie potężni starożytności; gdy oni obrzydzenia zaczynali do siebie nabierać, nie umieli zawołać: »Asperges me hysopo et mundabor, lavabis me et super nivem dealbabor.« I nie gryź się już Teodorą Stefanią ani tą, co zielone ma oczy, ani tą, co ciemnoniebieskie”.

Ale ze słów Bolesława ostatecznie się okazało, że jedna tylko była Teodora Stefania. Owa w Rzymie — zielonooka. Rycheza bowiem nie wiedziała, co czyni — nie wiedziała, komu służy.

— Marzeniami o Imperium różnoplemiennym, o dziedzictwie Ottonowym żywili cię niby mlekiem matczynym, aż na dobre omamili. Zwodzili cię słowem podstępny, że oni i my wspólną mamy sprawę, po to zwodzili, byś ich sprawie przeciw naszej, sama o tym nie wiedząc, służyła. Nie jesteś Rzymianką, Rychezo. Nie będziesz nią nigdy. Jesteś dziecięciem krwi niemieckiej, a małżonką księcia, co królem Słowian wszystkich będzie. Kto ci bliższy, dziecinko:

Niemcy czy my? Przy kim stoisz? Możesz stanąć tu albo tam. Na Kapitolu nie staniesz nigdy.

I znowu cisza.

A gdy przerwała ją wreszcie Rycheza, Aronowi trudno było uwierzyć, że to jej odezwał się głos. Głuchy był, chrapliwy, załamywał się przy każdym słowie.

— Rzekłeś: ..Przy kim stoisz? Możesz stanąć tu albo tam,” A czy

mogłabym stać i tu, i tam?

— Nie, dziecinko.

— Rzekłeś: „Powiadają Niemcy: Rzym — to my”. A wy nie powiadacie się być Rzymem?

— Chcemy być Rzymem. Ale ileż namordować się trzeba, Rychezo, nim Rzymem będziemy. Rzym — to wiara święta, a iluż wśród nas jeszcze pogan, tajnych, a nawet jawnych? Rzym — to potęga, a jam jeszcze korony królewskiej, znaku potęgi, na skronie swe nie włożył. Rzym — to gmachy wspaniałe, a u nas chałupy kurne. Rzym — to nauka i mądrość, a my ciemni. Rzym — to mowa wspaniała, myśl każdą wiernie oddająca, a oto ja po niemiecku, językiem wroga, do ciebie tu mówię, ażeby móc jakąś głębszą myśl słowem wiernie wyrazić, a i tego wszystkiego, co pomyślę, wypowiedzieć nie zdołam. Ale Mieszko zdoła: po łacinie mówi, każdą myśl swoją wyrazi. Miłuj Mieszka. Piękny i mądry — wspaniała z was para. Przestań go jednak już mamić dziedzictwem Ottonowym, Kapitelem, srebrnymi orłami.

— Więc wzgardziłeś srebrnymi orłami? Zawsze nimi gardziłeś?

— Nigdy nie gardził, Rychezo. Znak to miłości, wspaniałej miłości, jaką zapłonął ku mnie młodzienaszek rzekomo potężny, a w istocie nieszczęśliwy wielce, bo sam nie wiedzący, kim jest: Grekiem czy Niemcem?

— Rzymianinem był.

— Znowu siebie zwodzisz. Nie był Rzymianinem. Majak za prawdę brał, jak i ty po nim. Tyle jeno w nim z Rzymianina było, że rozumiał, iż majestat Romy to moc. Czczył moc. Płacząc przywoływał ją do siebie. Zdobiał ją. Moją moc srebrnymi ozdobił orłami. Nie odlecał ode mnie. Nie zmarnieją przy mnie. To nie szkodzi, że srebro na nich zblakło. Nadal moc zdobią, choć zbieleły.

Aron oderwał się od zasłony. Usłyszał odgłos jak gdyby pocałunku. W czoło ją całuje? W usta?

Odchodził radosny, wesoły. Ostatnia oto znika zmora: upewnił się, że Rycheza nie była Teodorą Stefanią. Może służyć jej wiernie a spokojnie. Nie padnie nań podejrzenie Bolesława o udział w knuciu

spisków — nie wypędzą go z Tyńca, gdzie zgodnie z zaleceniami Tymoteusza służyć będzie sprawie Imperium różnoplemiennego, Imperium światowładnego, którego znakiem złote klucze Piotrowe. Dobrze mu w Tyńcu — spokojnie, bezpiecznie, dostatnio.

Bez trwogi szedł przez ciemne komnaty. Nikt niewidzialny nie czał się pod ścianami ni w kątach.

Zabłądził w ciemności. Nie przeląkł się jednak. Wesóło podśpiewując półgłosem, krążył po wielkich pustych komnatach o małych okienkach, poprzez które przyglądały mu się ciekawie wesole jak on gwiazdy. Nagle przystanął. Skądś z bliska doszedł go głos Rychezy. Arona zdumiały jej słowa. Jeszcze bardziej zdumiałby się, gdyby widzieć mógł spojrzenie, z jakim się pochyliła nad małżonkiem. Ale do komnaty jej sypialnej tak samo nie mógł wejść, jak do wnętrza duszy jej i myśli. Zresztą, lepiej dla niego było, że nie mógł wejść ni tu, ni tam. Jeszcze by stracił wesołość, która bratała go z gwiazdami. Rycheza bowiem mówiła:

— Wszystko mi Pan Ojciec wyjaśnić raczył. Nie po co innego wojnę nową z Panem Henrykiem wszczyna, jak po to jeno, by wspaniałego dziedzictwa Ottonowego bronić, by Imperium światowładne, różnoplemienne wskrzesić, drogę sobie i orłom srebrnym do Rzymu utorować. Maluczko, a wstępować będziemy na Kapitel, Panie Małżonku mój umiłowany. Przed tobą, nie dopiero przed synem twoim poniosą orły. Nie srebrne — złote.

* * *